

# Pałuba





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

KAROL IRZYKOWSKI

*Patuba*

# SNY MARII DUNIN

*Palimpsest*<sup>1</sup>

## I

Wskutek ożywionej i serdecznej pogadanki, którą aż do późnej nocy toczyliśmy w salonie państwa X-ów, uproszono mnie, abym w mojej formie, formie szkicu z podróży, opisał pewien wypadek ze swego życia, mający związek ze sferami idealnymi, mistycznymi. Tak to czasem człowiek niechcący<sup>2</sup> wygada się w zapale i musi potem skutki ponosić. Rzeczywiście mam coś takiego w bibliotece swoich wspomnień; jest to zdarzenie, w którym mnie samemu przypadła w udziale rola raczej trudna niż upokarzająca, mimo to opowiem je szczerze, czyniąc, acz niechętnie, zadość wezwaniu.

Byłem wówczas wskutek rozmaitych przykrości nieswój i zdenerwowany, cierpiełem na bezsenność, a gdy zasypiałem, nawiedzały mnie sny fantastyczne, niezdrowe. Nic dziwnego, że w snach tych prześladowały mnie kobiety, wszak sprawy moje sercowe były wtedy właśnie w tym stadium, że pożyłem jakiegoś nowego miłosego stosunku. Jeden ze snów uderzył mnie szczególnie swoją wyrazistością i znaczeniem:

Znajdowałem się sam jakby w teatrze, w proscenium, przed próbą. Czy było tam więcej widzów, nie pamiętam, bo głąb sali pogrążona była w mroku. Nagle kurtyna rozsunęła się nieco u góry, jakby to były dwie spięte w środku kotary, a w otworze ukazała się głowa prześlicznej dziewczyny. Zdawało mi się, że widzę jej nagą szyję, i domyślałem się, że jej całe ciało ukryte poza kotarą jest również nagie, miałem nawet uczucie pewności tego. Wyciągnąłem ręce, wołając ją czule do siebie, ona jednak potrząsnęła głową. Dostałem się wtedy poza kotarę i zacząłem uganiać za dziewczyną po ciemnych korytarzach teatru, nie zwracając uwagi na to, że nie widziałem wcale jej ciała, lecz tylko jakby samą głowę posuwającą się w ciemnościach.

Naraz głowa odwróciła się i spojrzała na mnie — tymi oczyma, w których nie było źrenicy, zupełnie jak u starożytnych posągów. W tejże chwili wypowiedziała dziewczyna słowa zawierające jakąś głęboką myśl, a zarazem i dziwną słodycz. I nagle ujrzałem siebie jakby śpiącego wśród nocy na łóżku, nade mną nachylała się ta głowa, otoczona mdłym blaskiem, jakby w pobliżu dogasającej lampki, a ja stojący w ciemności wracałem w moje śpiące ciało i — budziłem się.

Zdjęty mimowolną trwogą, natychmiast przetarłem oczy, a ochłonawszy z wrażenia, skrytykowałem własną obawę, potem zaś przypominałem sobie na próżno owe niby to wielkie słowa wypowiedziane przez moje senne widziadło. Zamiast nich przypomniałem sobie, że tego dnia mam się przeprowadzać; więc zerwawszy się z łóżka, spakowałem skrętnie bieliznę, ubranie, książki oraz moje zbiory.

Z żalem wspominam, że wtedy stłuczono mi piękną, drogocenną umbrę, dar hrabiego Umbrii. Spotkawszy się potem ze znajomymi, opowiedziałem im mój zagadkowy sen i tego samego dnia jeszcze opowiedziałem go swemu fryzjerowi przy goleniu się i paru innym osobom. Niektórzy przyznali, że sen jest rzeczywiście tajemniczy, inni robili głupie i — że się tak wyrażę — sprośne uwagi.

W parę tygodni później udałem się w podróż archeologiczną w okolice N. Q.; największą osobliwość tego zakątka jest to zamek starożytny, pełen ciekawych osobliwości, godnych zwiedzenia i zbadania. Leży wśród lasów, a okolica jest ze względu na historię starożytnej strategii szczególna. Dziwnym by się bowiem wydało, że zamku nie zbudowano na górze, że więc przystęp do niego jest tak łatwy. Za to posiadał on widocznie inne szanse korzystne dla obrony, nad którymi się tutaj rozwodzić nie będę.

Pozostawiłem zapłaconego już woźnicę wraz z końmi na drodze w karczmie, sam zaś udałem się w głąb lasu, przedzierając się przez gąszcze. Ta samotna wycieczka miała w sobie wiele romantycznego uroku. Kroczyłem pod baldachimem gałęzi, a z krzewów

<sup>1</sup>*palimpsest* (z gr.) — w starożytności: zapis na wykorzystanym już wcześniej materiale (najczęściej pergaminie), z którego usunięto pierwotny tekst (może on jednak przeświecać spod spodu, co stanowi cenny materiał dla archeologów); przen.: tekst wieloznaczny, o wielowarstwowym znaczeniu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*niechcący* — dziś: niechcący. [przypis edytorski]

Sen, Kobieta, Pokusa

Sen, Tajemnica

przygrywała ptasia orkiestra. Tylko się trochę bałem, by mnie kto nie napadł i nie obdarł. Wreszcie dostałem się na wygodną polanę, szeroką może na jakich 80 metrów kwadratowych, ale że słońce prostopadle świeciło, postanowiłem w jej bliskości spocząć na murawie pod krzakiem. Szczęściem zaopatrzony byłem w parasol, który mnie doskonale chronił od spiekoty.

Miałem właśnie położyć się na trawie i rozpostarłem już w tym celu chusteczkę — gdy wtem, rzuciwszy okiem w bok, ujrzałem przez gałęzie i liście jakąś postać kobiecą siedzącą na pniu zwalonego drzewa.

Siedziała profilem ku mnie obrócona i patrzyła w inną stronę, splótłszy ręce na tyle głowy.

Ostrożnie i jak najciszej zbliżyłem się ku niej i obserwowałem ją, sam niewidziany. Była prześliczną.

Bardzo młoda osoba. Mniej więcej w tym wieku, kiedy dziewczyna zaczyna dojrzewać i pojmować, co to znaczy być kobietą. Podziwiałem kształty jej ciała, które widocznie wypełniały się i piękniały pod wpływem własnego jej wzroku, pod wpływem marzeń gorących o rozkosznych ustępstwach miłości. A to jej ciało w swej niedbalej pozycji, przysłonięte kratą gałęzi zielonych wciągnęło mnie od razu w jakiś czar zmysłowy, czar, który jednak raz na zawsze wyklucza prawdziwą miłość.

Takie było moje pierwsze wrażenie i dopiero znacznie później, bo po kilku miesiącach, zacząłem krytykować tę rzekomą piękność, obserwując skład jej czaszki, formę nosa i połączenie rysów. Przekonałem się, że poszczególne piękne rysy były jakby stworzone przez naturę do wywołania chwilowej złudy, bo nie było w nich właściwie nic pięknego w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, a fizjonomista umiejący, że tak powiem, czytać między liniami, dostrzegłby w twarzy tej damy nawet ogólne tło brzydoty. Nie chcę jednak, by mnie posądzano o jakąś niechęć przeciw Marii Dunin, i dlatego dodaję, że ta nawiasowa uwaga nie znosi poprzedniego opisu, bo owszem, pierwsze wrażenie było rzeczywiście bardzo silne.

Długo tak leżałem w gąszczu i patrzyłem na tę panienkę, nie starając się nawet ukryć i niejako marząc z nią razem, gdy wtem ona schyliwszy się podjęła gałązkę i rzuciła ją poza siebie w moją stronę. Zastanawiałem się już nad tym, czy i jak zacząć rozmowę z tą driadą, gdy namysł przerwały mi ciche słowa:

— Czy to ty jesteś?

A przy tym nie zmieniła postawy, wyciągnęła tylko dłoń, jakby gotową do uścisku.

Wprawilo mnie to w niemały kłopot. Aby pokryć zaambarasowanie, zerwałem się na równe nogi, zdjąłem cwikier z nosa i ukłoniwszy się grzecznie, przedstawiłem się, opowiadając o celu, który mnie w tę ustron leśną sprowadził. Rzuciłem kilka zdawkowych komplementów i w ogóle mówiłem dużo a trafnie. Ona patrzyła na mnie, nie odzywając się wcale, pożerała mnie wzrokiem i zachowywała się tak, jakby między nami było coś niedopowiedzianego. Wreszcie potrząsnęła kilka razy główką, jakby kończąc jakiś wewnętrzny monolog, i zerwała się do ucieczki. Wnet ją jednak schwytałem i onieśmieloną, rumieniącą się ścisnąłem mocno za ręce. Przypomniał mi się mój sen i opowiedziałem go natychmiast, naturalnie z opuszczeniem nieprzyzwoitych szczegółów. Słuchała z zachwytem, wpatrując się we mnie jak w tęczę. A potem zaczęła, ona mnie, rozpowiadać o jakichś swoich snach, porywczco, niesforenie i niejasno. Kładła mi końce paluszków na rękę, wskazywała na cztery strony świata, to przemawiając głosem cichszym od brzęczenia muchy, to znów podnosząc go uroczyście. Mało co rozumiałem z tego, co mówiła; były to jakieś fantasmagorie, cudactwa, mrzonki rozegzaltowanej, przedwcześnie rozwiniętej wyobraźni. Lecz za to patrzyłem w jej prześliczne turkusowe oczy, upajałem się melodią jej głosu i drżałem czując, jak jej jędrne, kształtne ciało garnie się do mnie; wreszcie zapomniałem się i wycisnąłem na jej ustach namiętny pocałunek. Zdawało mi się w tej chwili, że dostrzegam jakiś blask w jej oczach, lecz potem udała zdziwioną, potrząsnęła znowu głową, obtarła usta i strzepywała coś nerwowo dłonią z ubrania, chociaż o ile widziałem — bez przyczyny, bo ani stanik, ani spódniczka nie były prochem przykurzone.

Poprosiłem ją wreszcie, by mnie zaprowadziła do swego domu, bo jestem z drogi, zmęczony, a oprócz tego chcę zasięgnąć informacji co do okolicy pełnej śladów pochodzenia historii. Zgodziła się na to bez wahania, wstała i ubrała kapelusik (dobrze pamiętam: był przystrojony kwiatami maku). Chciałem jej podać ramię, lecz ona widocznie nie zrozu-

Kobieta, Młodość,  
Męczyzna, Piękno,  
Spotkanie

Sen, Pocałunek, Kobieta,  
Męczyzna



miała mego grzecznego gestu, podała mi tylko dłoń i szliśmy w ten sposób jak dzieci szkolne lub raczej jak instruktor z uczennicą.

Przybyliśmy w jakie pół godziny potem do pałacyku — tak bowiem, a nie dworkiem, jak to inni niewłaściwie czynią, nazywałem dom, w którym mieszkała Maria Dunin.

Z pałacykiem tym leżącym na brzegu lasu łączył się szereg innych domków tworzących z nim razem jakby jedną rodzinę. Cała kolonia leżała w odosobnieniu od świata, wśród lasów — pomimo to panował tam ciągły ruch umysłowy i wzajemne klepanie się po ramieniu. Zamieszkiwał ją ród będący już na wymarcu, a poświęcający się z zapalem pewnemu szczytnemu celowi, pewnej świętej idei, z której tyle zdradzę, ile mi obowiązek pozwoli. Pamiętam, kiedy raz pierwszy spotkał tych ludzi: jak ich oczy zwróciły się ku mnie z zaufaniem i sympatią, a w tych milczących spojrzeniach było, jak potem poznałem, serdeczne powitanie nowego sprzymierzeńca, którego we mnie przeczuli. Wśród takich to ludzi chowała się Maria Dunin, lecz wnet poznałem, że ta dziewczyna nie była kwiatem na tej pięknej grządce, ale gnijącym grzybem!!

Ojciec, a zarazem i impresario Marii Dunin, pan Acheronta Movebo, przyjął mnie tak, jakby już dawno na mnie czekano. Świetna to była i stylowa bestia, a mądry niesłuchanie. Powiedział mi zaraz z dobrodusznym uśmiechem, że mam minę porządnego opryszka i wnet nauczę się kraść bimy i bamy z powietrza. Był to taki jego styl, jak się potem przekonałem.

Skorom się posilił i wypoczął, wyprowadzono mnie na werandę, z której się roztaczała malownicza panorama. Przed pałacykiem był staw, a na środku stawu jakieś złote wysepki, które tak połyskiwały do słońca, że nie mógł dokładnie dojrzeć, co by to było. Aby zaspokoić moją ciekawość, zaprosił mnie pan Acheronta Movebo na przejażdżkę po stawie. Całe nasze towarzystwo, tj. pan Acheronta Movebo, Maria Dunin, jej siostra Hermina — również bardzo przystojna osoba — i ja, zeszło na dół, po czym usadowiliśmy się w łodzi i popłynęliśmy ku owym wysepkom. Były to trzy wielkie złote litery:

*BWD*

Uwiązawszy łódkę do B, wyskoczyliśmy na złote płyty i przeszedłszy po jednej literze, przeskakiwaliśmy do następnej, wreszcie siedliśmy na D, zwieszając nogi ponad sadzawką, tworzącą środek tej litery. Gubiłem się w przypuszczeniach, co ma znaczyć ten tajemniczy monogram, a gdym wyrażał swoje domysły, pan Movebo śmiejąc się powiedział, że to złoto to posag Marii, a litery znaczą, że Bardzo Wielki Dureń. Na to oburzyła się Hermina i zawołała, że to jest nazwa kraiku, pochodząca od D, którego tam nie ma. Stary jednym spojrzeniem pohamował ją i na tym się na razie skończyło. Maria podczas tej całej sceny zachowywała się zupełnie apatycznie, patrząc to na mnie, to w nieruchomą a przezroczystą toń wody, jakby sprawdzała, czy moje odbicie się w wodzie jest zupełnie prawidłowe.

Wieczorem udałem się do wyznaczonego mi pokoju gościnnego i kładąc się do snu, notowałem sobie geograficzne położenie kraju *BWD* i różne właściwości jego mieszkańców. Lecz literalnie ołówek wypadł mi z palców, gdy wśród szmerów nocy posłyszałem nagle wzbijające się ku mnie z dołu czarowne dźwięki jakiegoś nieznanego mi instrumentu. Niebawem ozwał się drugi taki sam instrument; grano jakiś duet, zapewne na moją cześć, gdyż obie koncertantki sprzeczały się z sobą za pomocą muzyki. Ukołysany niejako tą przepiękną harmonią, postanowiłem zagrać im coś także nazajutrz i zaśpiewać, a potem zasnąłem twardo.

## II

Kiedy się nazajutrz z Marią znowu zobaczyłem, czułem nieświadomie, że czar pierwszy przysł. Przyczyniło się do tego zwłaszcza jej dziwne zachowanie się. Dała się całować bez ceremonii, a mówiła przy tym rzeczy tak niezrozumiałe i *dwuznaczne*, że po pewnym czasie musiałem ją spytać o wytłumaczenie. Zmieszała się mówiąc, że żartuje, potem patrzyła na mnie długo i nic nie mówiąc odeszła. Tym razem nie goniłem jej, zostawiając ją losowi. To poskutkowało. Hardość jej została złamana i Maria przyszła sama do mnie, prosząc o wysłuchanie pokornie, ze spuszczonej oczyma. Kazałem jej opowiadać. Historia Marii Dunin wyglądała mi na bajkę z *Tysiąca i jednej nocy*, zdawało mi się chwilami, że ona drwi ze mnie. Lecz ton jej głosu przyciszony, głęboki, a często łkający przekonał

Kobieta, Kwiaty,  
Rozczarowanie

Kobieta, Mężczyzna, Słowo

mnie, że tak nie jest. Opowiadanie jej zainteresuje bezsprzecznie każdego. Aby uniknąć chaotycznych wyrażań mojej kochanki, opowiem sam wszystko.

Maria Dunin prowadziła od paru lat życie pełne sennych widziadeł. Dzień dla niej prawie nie istniał, a wszystko, co w nim było, miało dla niej tak małe znaczenie, że często zapominała dziś to, co się stało wczoraj, i ktoś niepobłażliwy mógłby ją nazwać — przepraszam za niesmaczne wyrażenie — głupkowaną. To, że wypadki jednego dnia łączą się z wypadkami dnia następnego, że zasnawszy dziś na jakimś miejscu, budzimy się jutro w tym samym miejscu i wśród tych samych stosunków — ta podstawa rzeczywistości była dla niej bagatelką. Hm! Dziwna jakaś atrofia. A przecież noc czymże jest? Mrowiskiem snów i marzeń, które rozwiewa każdy poranek. A jej właśnie o zmierzchu zaczynało żywiej bić serce. Jak na święto lub na jakąś uroczystość ubierała się we wszystkie swoje klejnoty, rozplatała włosy i zasypiała jak pisklę pod skrzydłami czarnego ptaka nocy, pogrążając się w toń snów.

Sny to jednak były, jakich może żaden człowiek nie śnił na ziemi, pełne grozy i szaleństwa. Ukazywała się w nich uporczywie postać mężczyzny nieznanego Marii, którego twarzy nawet widzieć nie mogła. I jego tylko wola, jego myśli panowały w tych snach, a Maria po daremnych wysiłkach oporu oddała mu się zupełnie i tęskniła do jego przybycia ze strachem i drżeniem, jakby pod wpływem ogromnej hipnozy. A ten chorobliwy fantom, który ją prześladował, grał rolę kochanka, uczył ją sztuki miłosnej, prowadził ją ze sobą w światy halucynacji, obłądu i dziwów.

Trudno by było opowiedzieć sny te w całości, z całym ich aparatem wspomnień i odsyłaczy. O ilem zauważył, mimo chaotyczności miały związek ze sobą; gorączka miłosna rosła w nich coraz bardziej i zrywała wszelkie pęta.

Raz ujrzeli się wśród olbrzymiego tłumu, który wyległ na ulice miasta zalanego tysiącem świateł; ludzie, cisnąc się do jakiegoś widowiska, rozdzielali ich ciągle, to znowu zbliżali, tak że ich dwoje mówić ze sobą nie mogło, a trwało to — we śnie — długie lata. Innym razem znaleźli się na dwóch łóżkach przytykających do siebie węższą krawędzią i oparłszy ręce na poduszkach patrzyli sobie w oczy, milcząc. To znów zdawało jej się, że zajeżdża po nią diamentowa karetta; ona wsiada i jedzie z nim do kościoła, tak wielkiego, że na jego posadzce było jakieś miasto, jak pod kloszem, a na stropach wiszące jeziora, z których jedno nazywało się Głęboczyzna. Naznaczali sobie schadzki na następną noc, rozmawiali zaś o takich rzeczach, o jakich ludzie nawet pojęcia nie mają — Marii brakło słów na ich określenie. Albo kłęczeli nad dwoma strumykami płynącymi równolegle w przeciwnie strony i posyłali do siebie na skrawkach papieru słowa — jakie? dowiedzieć się nie mogłem. Nie całowali się nigdy, chociaż zachowywali się wobec siebie swobodniej niż mąż i żona, a co najdziwniejsze: potrafili zamieniać swoją pleć dla zabawki. A jednak słowo „miłość” nie padło nigdy w ich snach, raczej był w tym odcień nienawiści, bo nieraz czyhali na siebie wzajemnie, aby się zamordować, i knuli plany tortur okropnych i wstrętnych. Ileż to razy szła za nim przez ciemne gąszcze, kryjąc na piersiach narzędzie mordercze; on, niby nic nie przezuwając, zwalniał kroku zamyślony, a przez jego przezroczyste ciało widać było bijące czerwone serce. Rzucił się na niego, aby się go pozbyć raz na zawsze, lecz on nagle zmienia się w słup ognia, który ją otacza, przykuwa do miejsca i przepala na wskroś. Te obopólne okrucieństwa podsycaly tylko ich szal, a tęsknota szukała sobie wyrafinowanych trudności i dróg zaspokojenia:

Byli albo oddzieleni od siebie, zakuci daleko w głębi skał granitowych, albo chodzili ze sobą, spotykając się w różnych częściach świata. Przestrzeń nie była im żadną przeszkodą, bo unosili się w niej nie jak ptaki, bo skrzydeł nie mieli, ale jak duchy samą wolą tylko, dążąc ku sobie z nieprzepartą siłą dwóch rzek spływających się w jedną. Byli echem i szukającym głosem, spragnionym podróży i źródłem tryskającym nagle na pustyni, artystą i błyskawicą pomysłu, lub znajdowali wspólne cudowne mieszkanie w jednej piersi człowieczej. Szukali się jako dwoje dzieci leżących na jednej pościeli, szukali się na gwiazdach, siedząc na srebrnym rogu księżycy lub błędząc po śnieżnych polach na pierścieniu Saturna; to znowu żyli razem w jakiejś chacie ze śniegu i lodu i pielęgowali w niej róże, róże zimowe o cudownej barwie i woni. Raz spuszczano ich windą w głąb jakiejś czarnej kopalni; winda się przerwała, a oni oboje latami spadali w przepaść świata bezdenną — albo też śniła o sobie i o nim jako o dwóch wężach olbrzymich, o skórze

Sen, Noc, Życie snem

Sen, Kobieta, Mężczyzna,  
Życie snem

z pstrymi pręgami jak u tygrysa, splecionych ze sobą silnymi skrętami i drzemiących niedbale gdzieś pod niebotycznymi drzewami strefy podzwrotnikowej.

Ale najczęściej wśród tych snów powtarzał się jeden, będący prawie jasnowidzeniem: oto widzieli siebie samych śpiących w jakichś zamknięciach i świadomi byli tego snienia swojego, leżąc jakby w marmurowych trumnach na dwóch końcach świata i czekając dnia zmartwychwstania, który im miało zwiastować uderzenie wielkiego dzwonu.

Wzruszona wyznaniem, przejęta strachem i rozpaczą, z powodu swego okropnego wyjątkowego stanu, którego nędzę dopiero teraz podczas własnego opowiadania poznawała, ukryła Maria Dunin głowę na moich piersiach i płakała tak, że przez kamizelkę czułem jej lzy gorące. Czasem, przerywając zwierzenia, wpatrywała się nagle osłupiałym wzrokiem przed siebie, wyrwała się z moich objęć, chcąc biec do jakiegoś widziadła, którego daleką wolę czuła nawet przez mgłę opowiadania. Był to smutny nad wyraz widok: Maria Dunin wydawała mi się posągiem niewoli przykutym do łańcucha, którego koniec ginał gdzieś w nieprzejrzanym nocnym czeluściach.

Roztkliwiłem się. Aby ją uspokoić i pocieszyć, całowałem ją w czoło, oczy i usta, mówiłem, że ją kocham, że ją uratuję itd. i rzeczywiście w chwili, kiedy to mówiłem, wierzyłem święcie, że przyrzeczenia dotrzymam.

Byłem podówczas bardzo młodym i nie widziałem ani cienia fałszywości w jej rzekomo serdecznym zwierzeniu. A przecież potem pokazało się, że zwierzenie to utrwaliło właśnie Marię Dunin w jej szaleństwach. Zakochany jak student, wziąłem się do sprawy Marii Dunin na serio, postanowiłem wyteńczyć wszystkie siły ducha, aby ją z dręczących snów wyzwolić. Wpływałem na nią rozmową spokojną, bez egzaltacji i starałem się zapoznać jej umysł i serce z miłością pełną ciepłaka i humoru. Wywierało to na nią ogromne wrażenie, niespokojne jej, fantastyczne sny ustały, lecz takie przestanki zdarzały się nieraz już i przedtem bez widocznego powodu.

Mówiłem już, że wszyscy byli mi wdzięczni za to przezorne postępowanie z Marią; oddano mi ją nawet osobnym dekretem pod obserwację. A tymczasem poznawałem coraz lepiej ludzi, którzy żyli naokoło Marii Dunin, wsłuchiwałem się niejako w ich życie i przyswajałem sobie ich ideały, do których miałem dziwną, wrodzoną widocznie skłonność. Lecz nie mogłem wstąpić do ich grona, póki nie rozwiążę zagadki *BWD*. I oto raz nastał dla mnie dzień uroczysty: wpadłem na myśl, że *BWD* znaczy „Bractwo Wielkiego Dzwonu”, czyli bractwo nawoływaczy, a może poszukiwaczy ideału. Odkryciem tym pochwaliłem się zaraz przed panem Acherontą, który wysłuchawszy mych słów tchnących radością wykrzyknął: „Ależ wybornie, młodzieńcze!” i uśmiechał się protekcjonalnie i chytrze. Ale ja byłem jeszcze chytrzejszym, bo nie wspomniałem mu ani słówka, że na rozwiązanie owej zagadki naprowadził mnie pewien niezrozumiały szczegół z opowiadania Marii Dunin.

Pan Movebo poklepał mnie po ramieniu, co było urzędową formą przyjęcia mnie do nowicjatu, a ponieważ moje odkrycie wprawilo go w wyśmienity humor, poufale kazał mi iść ze sobą i zaprowadził mnie do pewnego tajemniczego budynku, w którym codziennie odbywał inspekcję. Była to, jak się teraz dowiedziałem, Hala Manometrów. Zostałem tam Herminę, która milcząc podała panu Acherontce ostatni biuletyn manometry. Starzec przebiegł go bystrym okiem i uśmiechnął się z zadowoleniem, potem jednak sam badał stan ciśnienia na najważniejszych manometrach, których połączenia z światem zewnętrznym dojrzeć nie mogłem. Szczególnie koło jednego manipulował pan Movebo dość długo, lecz potem podniósł się z rozjaśnioną twarzą i zatarł ręce wesoło. Robota była skończona. Pan Movebo oznajmił, że dzień ten będzie zapisany w annałach Bractwa jako wyjątkowo pomyślny, po czym tak się rozochocił, że kazał Herminie wykonać przede mną jakiś egzotyczny taniec i sam jej do niego przygrywał na jakimś instrumencie w rodzaju organów, w którym odzywały się dzwony.

### III

Sprowadziłem sobie książki traktujące o somnambulizmie, spirytyzmie itp. i delektowałem się tą zajmującą lekturą. Nauka ta, dla której proponuję nazwę „spiritologia”, jest jeszcze nierozwinięta, ale ma przed sobą wielką przyszłość. Niektóre ustępy odczytywałem Marii Dunin głośno, aby ją przyzwyczaić do zastanawiania się nad swoim położeniem

Idealista

jako nad jakimś znanym anormalnym objawem, który ma nawet osobne łacińskie nazwy, i w ten sposób z obłądu wywieść ją w pole — ale w pole rzeczywistości. Czasem uciekałem się nawet do takiego świetnego wybiegu, że wymyślałem w stylu tej lub owej książki wypadek niby chorobowy, a podobny do wypadku Marii Dunin, dodawałem zakończenie po mojej myśli i spisawszy to na karteczce, wkładałem kartkę do jakiejś książki, a potem odczytywałem Marii niby nieumyślnie to, co jej chciałem zaaplikować. Miało to pewien skutek, chociaż nie taki, jakiego się spodziewałem.

Wypytywałem delikatnie Marię i jej rodzinę o różne symptomy dotyczące jej płciowego życia, gdyż powstawało we mnie dość uzasadnione podejrzenie, że owe sny są pospolitym objawem na tle patologicznym. Pomijam to jednak, gdyż nie chcę tu kompromitować Marii Dunin, którą bądź co bądź pewien czas kochałem i szanowałem.

W końcu na podstawie danych mi przez lekturę wskazówek, jako też własnych rozmyślań, postawiłem w sprawie Marii Dunin dwie hipotezy:

1) Sny Marii Dunin były zwykłymi widziadłami sennymi, a układała je tylko wrąca i rozeźlantowana fantazja tego osobnika oraz przedwcześnie obudzona zmysłowość. Maria śniła właśnie to, o czym śnić chciała, o czym cały dzień roiała. Układała ona romans w swej głowie z takim przejściem się, że nawet sen nie miał swobody i nie mógł uspokoić jej myśli, lecz owszem nagiął się do nich i — rzecz naturalna — był dalszym ich ciągiem. Związek pomiędzy poszczególnymi snami był prawdopodobnie także tylko jej wymysłem, którym uzupełniała wady pamięci niezdolnej sobie dokładnie odnowić gmatwaniny sennych zjawisk. Krótko mówiąc, sny Marii Dunin pochodziły ze źródła czysto subiektywnego i w ten sposób tłumaczyło się wszystko jasno i naturalnie.

2) Robiąc jednak ustępstwo teoriom spiritologicznym, można by snom Marii Dunin przypisać pewną obiektywność. Kto wie, czy nie żył gdzieś na świecie człowiek, który, nie znając jej, a nawet nie mając nadziei poznania, śnił o niej wzajemnie z tą samą wiernością i tęsknotą. Być może, że istnieje jakaś emanacja duszy, że lotna istota snów unosi się z mózgu w eter, niby idealne lustro, które zatrzymało w sobie obraz — przebiega ogromne przestrzenie i dostawszy się na miejsce przeznaczenia, wkrada się do drugiej duszy. Wszakżeż i ja doświadczyłem czegoś podobnego, a mój sen był jakby powstały wskutek zbłąkania się snu Marii Dunin. Byłaby więc to jakaś telepatyczna korespondencja, wypaczenie prawidłowego biegu przyrody, eksperyment złośliwego czarnoksiężnika, straszna igraszka, której ofiarą padło dwoje ludzi, a przynajmniej ta młoda istota, która swoją nadzwyczajną pięknnością i potwornością nieszczęścia taką litość wzbudzała. Zamiast cieszyć się i smuć jak inni ludzie, dzielić ich uczucia, ideały, sposób życia, stała się wyjątkiem, kaleką moralną, pogrążając się coraz bardziej w płomień piekielnej tęsknoty, która nie mogła być nigdy zaspokojoną.

A kimżeż był ten demoniczny człowiek, przedmiot jej snów, sprawcą całego nieszczęścia? Jakie misterium odbywało się tam w ciemnościach? Czy był ofiarą czy ofiarnikiem? Dlaczego wciągnął ją, właśnie ją, w wir tych snów, zatrul jej życie, wsiąknął w każdą jej myśl, rzucając całe jej jestestwo na kolana przed sobą? I jeszcze raz pytam, dlaczego, w jakim celu? Jakim prawem targnął się na jej wolność? Jeśli ją znał, dlaczegóż jej nie szukał? I gdzież była potęga zdolna ukarać takiego zbrodniarza? Sądy ziemskie ścigać go nie mogły, bo kodeks nie przewidywał takiego niesłychanego wypadku; a zresztą któż mógł ścigać i karać — fantom? Z całej duszy nienawidziłem tego nieznanego rywala, który górował nade mną chyba tylko urokiem tajemniczości i ukradł mi serce Marii, a ja nie miałem sposobu pociągnąć go do odpowiedzialności, wyzwąć go, wcisnąć mu w rękę pistolet i rozprawić się z nim, jak na mężów przystało: ty albo ja! Posyłałem mu w duchu przekleństwa, złorzeczyłem i lżyłem, myśląc, że go może w ten sposób zmuszę do porzucenia kryjówki, lecz wkrótce uczulem śmieszność sytuacji i to mnie otrzeźwiło. Wszakżeż to były tylko hipotezy wymyślone przeze mnie, a ja mimo woli popadłem w donkiszoterię. Aby walczyć z niebezpieczeństwem, trzeba mi było stanąć na realnym gruncie, nie egzaltować się, bo mając zamiar wkroczyć w labirynt, gdzie Minotaur więził swoją ofiarę, musiałem przede wszystkim wziąć ze sobą nitkę przewodnią — rozsądku.

Zacząłem działać. Nasamprzód ogłosiłem ów wypadek w kilku najpoczytniejszych gazetach starego i nowego świata, naturalnie o ile możliwości oszczędzając osobę bohaterki. Inne gazety skwapliwie chwyciły tę wiadomość i tak obiegiła ona całą kulę ziemską. Miałem stąd podwójną korzyść: oto roztrąbiwszy tajemnicę Marii Dunin, zrobiłem

Sen, Seks, Kobieta, Nauka

Sen, Życie snem, Kobieta



z niej pospolity przedmiot publicznej ciekawości, tajemniczość zmieniłem w sensacyjność. Przez to chciałem Marię przywieść do opamiętania: niechby poznała, jak ludzie traktują takie sprawy, a w zetknięciu z ich realną śmiesznością i brutalnością znikną te bańki mydlane. Po drugie mógł się zgłosić ów mistyczny kochanek (zwłaszcza że w ogłoszeniu napomknąłem o bogactwie Marii), a wtedy, walcząc z nim równą bronią, byłbym pewny zwycięstwa.

Rezultat był cudowny. Sprawa Marii Dunin narobiła hałasu co niemiara. Omawiano ją w prasie wszechstronnie, komentowano moje hipotezy i miewano o nich odczyty, a jakiś utalentowany komediopisarz osnuł na tle tej dziwnej historii zgrabną komediijkę, którą grano z ogromnym powodzeniem po scenach stołecznych i prowincjonalnych. Codziennie otrzymywałem stopy listów, w których ze mną polemizowano lub dawano mi rady i wyjaśnienia. Nadto zgłosiło się piętnastu panów fantomów, z których każdy w inny sposób uzasadniał swoje pretensje do ręki Marii Dunin. Były także dziewice, którym się uroiło, że znajdują się w tym samym stanie co ona, i które uzurpowały sobie prawo większej autentyczności. W takim to towarzystwie znalazła się teraz Maria Dunin, co mi było bardzo na rękę. Sprawa przybierała charakter humorystyczny, zabawne listy i projekty rozśmieszały Marię, a ja dokładałem wszelkich starań, aby w niej podtrzymać wesołe usposobienie kosztem jej mrzonek. Następnie zaręczyłem się z Marią oficjalnie, a ślub naznaczyłem na dzień, w którym po ukończeniu nowicjatu miano mnie przyjąć w poczet członków Bractwa. Zbliżanie się ślubu powinno było moim zdaniem nadać marzeniom Marii realne kształty...

Atoli przez nieostrożność pokazałem Marii jeden list, który wywarł na niej całkiem inne wrażenie. Był to nie list, lecz raczej posyłka zawierająca starą, zniszczoną książkę o bardzo dziwnym wyglądzie i również dziwacznej a niezrozumiałej treści. Litery były nie drukowane, ale pisane, i to atramentami rozmaitych barw, z obfitą ornamentyką. Książka traktowała o końcu świata, a autor jej, jakiś mnich średniowieczny, obiecywał po swojej śmierci nie zapadać gdzieś w nicość jak wszyscy, którzy przed nim umierali, lecz poznawszy tajemnice świata pozagrobowego, wrócić duchem na ziemię i nauczyć ludzi sposobu poruszenia Wielkiego Dzwonu. Pisze on tam, że w świecie rozlane jest pewne *fluidum*, o którego istnieniu nikt nie wie, które jednak kiedyś na jakimś małym punkcie, wstrząśnięte dźwiękami zbudzonego Dzwonu, zapłonie i świat rozsądzi. Mnóstwo nieudolnych i strasznych ilustracji objaśniało tekst książki, w której brak było wielu kartek, prawdopodobnie najważniejszych, oraz całego końca.

Maria tak samo jak ja nie rozumiała tej chaotycznej książki, ale cały nastrój i niektóre szczegóły podziały na nią jakby głos z dziedziny obłąkania, tak że owa misterna sieć, którą z taką sztuką zadzierzgałem dookoła Marii, została rozerwana. Zacietrzewiona w swoim, niezdolna do logicznego myślenia, nie słuchała moich argumentów, kiedym udowadniał, że ta książka to fałszyfikat — a byłem w tym kompetentnym, bo oko moje od dawna nawykło rozpoznawać stare manuskrypty. Poczyniłem kroki, aby odkryć nikczemnika, który się odważył na taką idiotyczną mistyfikację, a książkę wydarłem Marii i oddałem członkom Bractwa, jako kompetentnym do zbadania jej treści, zwracając ich uwagę na zawarte tam niebezpieczne wskazówki i potrzebę ewentualnego zapobieżenia złemu.

I, jak się domyślam, teraz oni sami szyki mi popsuli. Usunęli mnie od wpływu na Marię i pograżyli ją w jej dawną atmosferę. Acheronta Movebo odbywał z nią tajne konferencje; chodziło mu podobno o wyspiegowanie jakiejś rzeczy, o której tylko Maria mogła się za pomocą snów swoich dowiedzieć. Odważny ten mąż zaryzykował i otworzył furtkę do... niebezpieczeństwa.

#### IV

Pewien jegomość, któremu przeczytałem dotąd spisane wspomnienia, zarzucił mi — wśród innych złośliwych i niegodnych insynuacji — że się zanadto wypycham na pierwszy plan, a nad Marią Dunin się pastwię i zostawiam ją w cieniu. Sądzę, że tak ordynarnych zarzutów nawet zbijać nie potrzebuję, bo lojalność i rzetelność moich wynurzeń żadnej nie podlega wątpliwości. Przypuśćmy jednak, że on ma słuszość, to czyż nie mam prawa mówić i o sobie? Wszak jestem postacią kontrastową do Marii Dunin: ja jestem życiem, ona śmiercią, ja dniem, ona nocą, tu także potwierdza się teoria o wzajemnym przy-

Kobieta, Ślub, Małżeństwo,  
Marzenie, Przemiana

ciąganiu się przeciwnych biegunów. Maria Dunin — jestem tego pewny — stałaby się kobietą, niezwykłą kobietą, gdyby nie to, co nazywam „duchową idiosynkrazją”, gdyby nie pociąg do potworności i przesady, zmysłowe grzebanie w rzeczach umysłowych, podobnie jak w świecie fizjologicznym istnieje idiosynkrazja objawiająca się pociągami do jedzenia rzeczy niepożywnych, jak liście, wapno, węgiel itp., lub nawet obrzydliwych.

Tak zbiwszy mylne twierdzenia, wracam do swej opowieści. Mówiłem, że od czasu, kiedy otoczyłem Marię mą opieką, jej sny ustały. Lecz oto naraz zauważyłem ogromną, straszną zmianę w jej całej istocie, mowie, ruchach i spojrzeniach, tak że zrezygnowałem nawet z prawa pytania jej, co się z nią stało. Dziś nie mogę sobie zdać sprawy, co właściwie było przyczyną tego mojego wrażenia, lecz pamiętam dobrze jego jakość. Maria wydawała mi się chwilami osobą jakby ze snu wyjętą, jakby jakąś ciężką zmorą, jednak tak ludzko podobną do wszystkich ludzi, że z całego jej otoczenia tylko ja jeden to zauważam i nikomu tego spostrzeżenia powiedzieć nie śmiem, nie chcąc być wyśmianym. W takich chwilach nie mogłem się oprzeć natrętnej myśli, że człowiek jest zamaskowanym trupem, że my wszyscy chodzimy po świecie jak upiory, deptąc po własnych grobach, i że świat, dobiegłszy do punktu martwego, lada chwila zastygnie i zlodowacieje. Coś tajemniczego wiało od niej, co mnie upokarzało i trwożyło do głębi duszy, unicestwiała mnie, a ja — ja kryłem się ze swoim wstydem bezradny, milczałem i, jakby się nic nie zmieniło, obcowalem z nią na pozór tak samo jak dawniej, udawałem jej narzeczonego, rozmawiałem niby swobodnie, zagryzając usta z wściekłości, bo widocznym dla mnie było, że działa tu znowu ta głupia, brutalna nadludzka siła.

Lecz dosyć już tego! „W świat, w jasny, szeroki świat!” zawołał głos we mnie. Siadłem na konia i pędziłem przed siebie bez celu. Dałem wodze mojej dzikiej, nieokiełznanej naturze, przeskakiwałem przepaście, kłulem rumaka, aż mu krew z boków ciekła, o mało nie roztratowałem jakiejś dziadówki na drodze, aż wreszcie rumak ustał zdyszany. Byłem daleko po drugiej stronie gór. Spojrzałem do lusterka: twarz miałem powleczoną kurzem, na czole był strup krwi. Rozdrapałem go: była to rana; widocznie jakaś ostra gałąź przecięła mi podczas jazdy przez las moje wysokie czoło. Wstąpiłem do karczmy i kazałem sobie podać chleb z pajęczyną. Potem jechałem dalej stępą i nocowałem pod gołym niebem.

Na drugi dzień porwała mnie znowu wściekłość. Zadawałem razy koniowi, goniąc kłusem i szcując siebie samego myślami. Przypominałem sobie wyraz jej twarzy, kiedy mi tamto wszystko opowiadała, jej uśmiech tryumfujący, jej wzrok błyszczący — i w rozpaczę siekłem szpicrutą zielone liście drzew. Cóż ja zyskałem, czego się doczekałem? I może właśnie podczas owego opowiadania poznała ona cały — rzekomy — ogrom szczęścia swego stosunku i przywołała go teraz znowu siłą tęsknoty. Zazdrościłeś — zarzucają mi. Tak, zazdrościłem szalenie jej i jemu, a moja rozpacz była jak ocean kipiący, kiedy szturmuję w niebiosy wieżami bałwanów, aby słońce zedrzeć ze stropu.

Byłem w stanie zabić w tej chwili człowieka, gdyby mi się nawinął, więc co prędzej wystrzelałem z pistoletu wszystkie naboje, ubijając kilka wróbli. Ogarnęła mnie nawet myśl samobójstwa, którą jednak odważnie zwalczyłem, i snulem się po okolicy jak obłąkany. Tak upłynęło dwa dni.

Wtem posłaniec doręczył mi pismo, przytoczone poniżej z opuszczeniem słów, które by można fałszywie zrozumieć:

.....liśmy... pstwo, ..... koniecznie, w..... ostatni ra..... Ufamy.....prawdziwemu  
opry..... Co się..... to.....wałamy.  
B W D

Pod wpływem tego listu nastąpiła we mnie naturalna reakcja. Duch mój odzyskał dawną sprężystość i pełen nowych projektów wróciłem do pałacyku.

V

Ranę na czole przewiązała mi Hermina drżącymi rękami, przy czym opowiadała mi, że w Hali Manometrów dzieją się dziwne nieporządki, a stary pan Acheronta Movebo dzień i noc tam czuwa. Ponieważ podczas dwudniowej włóczędzy rozjaśnił mi się lepiej cały związek tych tajemnic, poleciłem oznajmić panu Acheroncie, że wróciłem i spełnię, co do mnie należy. Poszedłem do Marii. Zdawała się zrazu nie poznawać mnie, wtem zo-

Sen, Śmierć, Kobieta,  
Przemiana

Koń, Gniew

Kobieta, Dziewictwo,  
Tajemnica, Pożądanie

baczywszy przepaskę na moim czole, zerwała mi ją, ucałowała ranę i padając przede mną na kolana, pytała z radosnym zachwytem, czy ja jestem tym samobójcą? Wzruszyłem ramionami zdziwiony i chciałem roztroprnymi słowy przywieść ją do opamiętania, ująłem ją za rękę, lecz ona pogardliwie spojrzała na mnie i oświadczyła dumnym, napuszczonym tonem: że nie chce mieć nic z żywymi do czynienia, gdyż jest narzeczoną — umarłego!

Wówczas dopiero poznałem swoją nieostrożność i ze zdziwieniem poczułem w głębi duszy budzącą się hydrę zazdrości. Ukłute jej żądłem serce moje napełniło się jakby jadem gwałtowną, niezdrową miłością ku Marii Dunin.

Wydrzeć, wydrzeć ją temu fantomowi, przykuć ją do siebie, choćby kajdanami grzechu! Pożądałem jej, bo wywierała na mnie nieopisany czar zmysłowy, bo mi się zdawało, że w jej ramionach stoczę się na dno jakiegoś olbrzymiego wiru. Zaraza idiosynkrazji dostała się i do mnie, sympatyzowałem z tym, co mi się dziś wydaje szalonym i bezrozumnym. Zdarzają się takie wykołajenia nawet u tęgich umysłów. A ponieważ walka była nierówną, więc jak na wojnie miałem prawo do wszelkich środków taktycznych. Uwiesić, uwiesić ją chciałem, ha, bo już nie widziałem innego sposobu, z zemsty, z miłości, jak chcecie. Wyglądała mi zanadto na Brunhildę, a wiadomo, co Brunhilda musiała utracić, ażeby przestać być Walkirią. Były także przykłady, że jasnowidzące i święte traciły swą siłę, oddawszy się mężczyźnie. Tedy postanowiłem przez jej ciało dostać się do duszy, a miałem do tego podwójne prawo: jako narzeczony i jako zbawca. Wprawdzie mógłbym się także powołać na listowne pozwolenie Bractwa, ale pomijam tę arcyważną okoliczność, bo nie chcę upiększać swoich postępów i narażać się na takie zarzuty, jak owego bystrego jegomości, który czytał początek tych luźnych kartek.

Siostra Marii kochała się we mnie skrycie; na tym osnułem swój plan, by wywołać w Marii zazdrość i miłość. Nastąpiły dnie, w których byłem w bardzo fałszywym położeniu i nieraz sam nie wiedziałem, czego chciałem, gdzie kończy się udawanie, a zaczyna miłość. To nie tak łatwo udawać miłość, jak się zdaje; powoli zapala się serce i w komedii wkłada się, ba, musi się wkładać część kapitału szczerości. I tak miotany dwiema namiętnościami, kochając Herminę, a pragnąc Marii, pieściłem w duszy skrytą żądzę posiadania obu razem, lecz wstydziłem się przyznać do tego, nawet przed sobą samym. Dziś śmieję się, przypominając sobie te młodzieńcze kłopoty, a zarazem gratulując sobie, że swego honoru wówczas nijak nie nadwreżył!

Nie będę szczegółowo opowiadał o tych zabiegach w cieniu, półuściskach i wyczerpaniach, bo są to rzeczy, o których się zwykle nie mówi, lecz odkryję od razu cały ogrom swego poniżenia: oto poznałem powoli, że Maria Dunin, ta, która mi dotychczas była pełnym nadziei symbolem, ucieleśnieniem zmysłowej rozkoszy miłosnej, tak swobodna w mowie i czynach, nie wiedziała chyba tego, o czym zwykle wiedzą dorosłe dziewczyny, a gdy ja drżącym lubieżnie głosem wtajemniczałem ją w kult Wenery, przerwała mi śmiechem głośnym, że *to nic nie jest* i że ja się o to troszczyć nie potrzebuję (?) — jakby tam, gdzie indziej, na wyspach elizejskich, poznała całe jeziora rozkoszy, wobec których — nasze są tylko kroplami.

## VI

Upatrzyłem okno, przez które by się można było dostać do pokoju, gdzie spała Maria. W nocy, pamiętnej nocy, wykradłem się po kryjomu i stanąłem pod murem pałacyku. Namyślałem się czas jakiś. Celem moim było widzieć z bliska jej stan senny, a przy tym chciałem spróbować pewnego psychologicznego eksperymentu, który mi nie dawał spokoju. Oto przysunąwszy się do łóżka Marii miałem śpiącej szepnąć do ucha imię jej i moje, złączone w drżącym arabeskowym spleceniu, miałem ją upoić opowieścią o naszej miłości, aby wywołać w jej snach pożądaną zmianę. Zdawało mi się, że wystarczyłoby mi w takiej chwili tylko intensywnie pomyśleć o niej i kochać ją rzeczywiście, aby to uczucie przedostało się do jej duszy i osnuło ją swoją przędzą. Zastanawiałem się tylko, czy ja sam mam warunki do takiej sugestii, czy ją rzeczywiście kocham, lecz kiedym sobie wyobraził jej ciało leżące, bezwładne i jego kąty zarysowujące się pod fałdami koszuli, krew mi napłynęła do głowy i — wdarłem się na okno.

Przez chwilę siedziałem na oknie, zapałszy w sobie oddech. Lecz nikt się nie ruszał. Uspokoiwszy się, opuszczałam ostrożnie nogi z krawędzi okna, nie śmiejąc jednak

Miłość, Gra, Pożądanie,  
Kobieta, Męczyzna

Sen, Kobieta, Męczyzna,  
Miłość

dotknąć stopami podłogi. Przyzwyczajalem nasamprzód oczy do ciemności, póki nie zacząłem rozróżniać przedmiotów. Wreszcie stanąłem na ziemi, podłoga lekko skrzypnęła, mnie zaś w tej chwili zabiło serce, a nogi zaczęły się trząść ze strachu i żądy. Przeczekawszy więc znowu chwilę, posuwałem się dalej. Szczęściem całą tę drogę już dokładnie za dnia wystudiowałem. Nie szedłem na palcach, lecz kładłem od razu całą stopę na ziemię, nie sprawiając w ten sposób prawie żadnego szmeru — co także wprawdzie jeszcze obmyśliłem.

Według mego wyrachowania musiałem już być przy łóżku Marii, lecz dziwiło mnie, że jej nie widzę. Zapominając o ostrożności, opuściłem dłoń, spodziewając się w ten sposób dotknąć lekko ciepłego ciała, lecz poczułem tylko krawędź łóżka. Nachyliwszy się, wytężyłem oczy w ciemności i teraz dopiero wytłumaczyłem sobie, dlaczego jej nie mogłem zobaczyć od razu. Pozycja osoby śpiącej na łóżku, pod tym wysokim półbaldachimem, była tak nienaturalną, że mnie to wprawiło w rodzaj zdumienia.

Głowa leżała trochę na bok blisko krawędzi łóżka, a przechylona była tak gwałtownie w tył poza poduszkę, że jej prawie widać nie było, najwyższym zaś punktem ciała było dwoje piersi wygiętych do góry spod rozrzuconej koldry. Ręce były rozkrzyżowane; jedna leżała na pościeli i u tej palce były rozprzestrzenione, druga zwisała z krawędzi łóżka, dotykając podłogi. Całe ciało miało na sobie znamiona jakiegoś poddania się i ekstazy: te piersi obnażone, te ramiona jakby obslizgłe, szyja długa, biała, którą widziałem aż do podbródka. Potem rozeznałem dwie dziurki nosa, przechylonego prostopadle, następnie oczy zamknięte i dopiero z pewnym wysiłkiem umysłu udało mi się złożyć w całość te części ludzkiego oblicza, tak mi się wydawały dziwne i obce. Kosmyk rozczochranych czarnych włosów wy dostał się na twarz, ukośnie ją zakrywając, co nadawało twarzy wyraz nieestetyczny i odpychający.

Mimo to, kiedym tak stał nachylony nad nią, wymagania estetyczne przewyciężała coraz bardziej bliska ludzkość tego tak upragnionego ciała, którego nieporządek stawał mi się nowym powabem. Niepomny swego zamiaru, pochyliłem się jeszcze bardziej nad nią, aby ustami dotknąć jej ust — pod cieniem wysokiego półbaldachimu.

Usta me były już przy jej ustach, gdy wtem jakby iskra elektryczna wstrząsnęła mną nagła myśl, która nie wiadomo skąd przedostała się do mnie: że ucałuję usta trupa! To wyobrażenie było tak silne, że aż mi się krew w żyłach ścięła. Patrzyłem znów na ciało z wzrastającym przerażeniem. Nie śmiałem już sprawdzać, czy te usta były lodowate, nie chciałem dotykać tych piersi — w obawie może, bym się nie dowiedział, że z nich już duch uleciał. Czemuż nie byłem w tej chwili daleko od tego miejsca, gdzie mi groziło jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo, gdzie byłem wydany na pastwę nieznaną potęg, które ten tutaj mózg nawiedzały z głębokości swoich. A cisza była niezmierna, atoli nie negatywna, lecz wzbierająca, natężona, wodospad ciszy. W tym oczekiwaniu i wsłuchaniu się wpadłem w stan halucynacji, identyfikowałem nawet szelest mego oddechu z łopotem skrzydeł upióra, który się tu nad łóżkiem unosił i duszę z Marii wysysał, a ja intruz stałem tuż, trwożliwy i bezsilny.

...Rzeźby u szczytu łóżka zaczęły się ożywiać, zwiększać i błyszczeć, podłoga zdawała się chwiać pode mną, a łóżko było lodzią płynącą dokądś w przestrzeni...

...skutkiem działania światła, które padało przez okno w bocznej ścianie naprzeciw łóża Marii Dunin. Okna tego jakoś za dnia nie uwzględniłem. Teraz patrzyłem w nie zdziwiony, lecz uspokoilem się widząc, że to światło księżycy. Śledziłem jego promienie, obserwując fenomen, jak tam na polu, na oświetlonej przestrzeni poruszało się mnóstwo cieniów, które jak ćmy nocne razem łączyły się i wzlatywały ku oknu.

Trwoga moja ustała, a jej miejsce zajęła obojętność i senność, jakby w pobliżu źródła zatrutych wyziewów. Obchodził mnie tylko mój własny stan, który się co chwila zmieniał, i kiedy księżyc znowu zakrył się chmurami, przemknęło mi przez myśl, że moja wyprawa jest może tylko wyprawą lunatyka.

Każdy zapewne zauważył, że nieraz zbudziwszy się po pierwszym śnie, nie znajduje swego ciała w pierwotnej pozycji, lecz jest jakby odwrócony w przeciwnym kierunku i potrzebuje dopiero pewnego wysiłku pamięci, aby się opędzić temu złudzeniu, i wtedy ma uczucie, jakby się łóżko razem z nim obracało na powrót, naokoło jakiejś osi. Coś podobnego przytrafiło mi się widocznie wówczas, ale w wyższym stopniu. Miałem jakby

zawrót głowy, nie rozpoznawałem porządku przedmiotów, chociaż go sobie tak skrupulatnie spamiętałem. Leżąc na łóżku Maria Dunin odsuwała się jakby w mgłę daleką, a ja na szczęście ujrzałem przed sobą drzwi, którymi się wreszcie wymknąłem. Znalazłem się na chwilę w jakimś podziemnym chodniku, a przechodząc nim, ujrzałem niespodzianie w bocznej odnodze pana Acherontę, oddalającego się gdzieś ze ślepą latarką u pasa. Znikł mi z oczu mimo mego wołania, a i ja wkrótce byłem już na wolności i odetchnąłem głęboko.

Koło studni spotkałem jakiegoś człowieka, który mimo nocnej pory ciągnął wiadrem wodę. „Przyjacielu — rzekłem doń — pozwól mi usiąść w twoje wiadro, opuść mnie na dół do studni i skąp mnie trochę, a dostaniesz dwa złote”. „I owszem, zrobię panu tę przyjemność nawet za darmo”. „Tylko mnie nie utop!” — dodałem, siadając w wiadro. Zamaczał mnie kilka razy i tak przekonałem się, że nie śnię i że mnie przytomność nie opuściła. Wracając do domu, oddałem się uczuciom obojętności i rezygnacji, a zarazem tęsknocie do czegoś nowego, wyższego, co by zneutralizowało doznane przykre wrażenie. A to coś było już blisko, było u mnie, leżało na stole w postaci takiej karty<sup>3</sup>:

Dziś w nocy jeszcze wstąpisz w szeregi Bractwa, a potem weźmiesz udział w posiedzeniu Klapy Bezpieczeństwa.

A. M.

Więc zamiast iść na spoczynek, wzięłem znowu kapelusz i z przytłumioną dumą kroczyłem ulicami miasta, zapatrzonny w noc pełną gwiazd, przepaści i skaczących cieni.

## VII

Ulice miasta były mi znane, zastanowił mnie jednak ruch, jaki na nich tej nocy panował. Wielu ludzi, można by nawet powiedzieć fale ludzkie płynęły ku jakiemuś punktowi, porywając mnie z sobą. Byli to, jak wnet zmiarkowałem, członkowie Bractwa Wielkiego Dzwonu — wszyscy mieli na głowach błazeńskie czapki z dzwoneczkami i biegając klusikiem, dzwonili sobie. Poznałem kilku z nich; uściśnęli mi w milczeniu dłonie i zaprowadzili mnie na plac Trzech Gwiazd.

Jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałem, że ten plac w nocy przedstawiał się zupełnie jak — świątynia! Domy, które za dnia wydawały się porozrzucanymi tak prozaicznie i przypadkowo, teraz tworzyły oryginalną, architektoniczną całość, gzymsy, okna i mury układały się w strzeliste ornamenty, zaś bramy, arkady i dachy jakby pochylały ku sobie u góry czoła, przedstawiając niedokończoną kopułę, spoza której przez szczeliny świeciły gwiazdy. Nie było jednak czasu zastanawiać się nad tymi szczegółami, w których przeczuwałem materiał symboliczności i aluzyjności do arcyważnych studiów na lat kilka, gdyż właśnie rozpoczęła się jakaś ceremonia, która zajęła całą moją uwagę. Opiso- wi jej poświęciłem osobny ustęp w moim znanym dziele etnograficznym, do którego też odsyłałem moich czytelników, a tutaj dodam tylko jeden, opuszczony tam, mniej ważny szczegół. Oto jakiś człowiek stał w środku i niby z wielkim natężeniem — bo aż do ziemi przysiadł — ciągnął za długą, gdzieś w górze zaczepioną taśmę, naśladując ruchy kogoś zawzięcie dzwoniącego, a członkowie Bractwa pokładali się od śmiechu.

Stałem wśród tłumu, obserwując, rozmyślając i notując — naraz usłyszałem wymówione głośno swoje imię, a ktoś ujął mnie lekko za rękę. Była to Hermina ubrana w fantastyczny biały kostium z emblematami przedstawiającymi dzwony. Uczulem potrzebę wynurzenia jej wszystkich swoich bólów i już miałem przemówić, lecz ona dała mi znak milczenia i zaprowadziła mnie przed trybunę, na której ujrzałem najstarszych i najszanowniejszych członków wielkiego Bractwa. Twarze ich były typowe: nosy orle, czoła wysokie, duże brody spływały im na piersi, a w oczach widniał nie tylko rozum, ale i chytryść, i szyderstwo, cnoty wyższe od rozumu. Czulem się przez nich na wylot poznanym, ale zarazem właśnie dlatego ogromna ufność upajała mnie i spuściłem oczy raczej z radości jak z obawy. I usłyszałem:

— Jesteśmy stróżami świata, a ród nasz posiany od wieków na granicy Ziemi a Opatrzności, chociaż nie Opatrzności. Kołyszemy kołyskę ludzkości, spędzając jej muchy z no-

<sup>3</sup>w postaci takiej karty — w tym miejscu w tekście źródła znajduje się poprzedzający treść listu rysunek dzwonu z wypisanymi na nim literami W (widoczna połowicznie) oraz D (w całości). [przypis edytorski]



sa — bezinteresownie i niewidzialnie. Nie jesteśmy sternikami okrętu, lecz utykaczami szpar; bez nas poszedłby statek na dno. Wyłapujemy wszelakich przemytników i zdrajców i albo skazujemy ich na truciznę przyrządzoną z ich własnej krwi, albo pakujemy ich na miłe a pożyteczne zabawki do naszej dzwonnicy. Wyrabiamy śmiech ludzki i chichotanie, a lzy mieszamy tylko jako przyprawę, wszak ci sól zawierają. Jesteśmy niespożyci, rdza nie pokrywa naszych żelaznych kości, boimy się tylko bimbamu wielkiego dzwonu, lecz od czegoż wata w uszach naszych? Wszakże jesteśmy bractwem takiego dzwonu, którego nie było i nie ma, dlatego nazwa nasza trafnie jest dobrana. Całujmy tedy paznokcie stóp Boskich, a podstawiamy nogę szpetnym przemytnikom!

Pojąłem głęboką ironię tej blażeńskiej przemowy, która swoją śmiesznością uprzedała śmieszność i była podobna do kłębka linii spiralnych zakończonych wewnątrz figlami. A pan Acheronta Movebo kończył piskliwym i uroczystym głosem:

— Chceszli być tym, kim jesteś? Chcesz być bratem naszym? Więc zaprowadźcie go do dzwonnicy!

Zbliżyła się do mnie Hermina i przepasała mi chustką oczy. Potem w milczeniu prowadzono mnie, a częścią niesiono w rozmaitych kierunkach, nie wiem jak długo. Nie zważałem jednak na to, gdyż wciąż czułem za sobą Herminę, a to mnie upajało i napełniało błogością. W jakimś krużganku czy też na stopniach zachwiałem się i głowa moja dotknęła jej ramienia — a wtedy ona pocałowała mnie w czoło. Poznałem z tego, że naokoło nas musiało być zupełnie ciemno, lecz zachowałem się spokojnie.

Kiedy mi zdjęto przepaskę, ujrzałem przed sobą przepaść, podobną do krateru wygasłego wulkanu. Schodziło się po platformie w lejkowate zwężenie prowadzące do jakiegoś podziemia, podziemie to zaś było podobne do wnętrza kopalni: mnóstwo tam było świateł i mnóstwo ludzi po schodkach i drabinkach. Co mnie jednak szczególnie uderzało, to nie rozmiary, lecz forma kopalni. Rdzeń jej stanowiła góra, nie wiem już jakiego kruszcu, okrągła jak kopuła, jej zaś stoki sięgały w dalekie, niedostrzegalne okiem przestrzenie. Ściany kopalni były mniej więcej równoległe do powierzchni góry, tworząc wklęsłość dla jej wypukłości w ten sposób, że gdyby np. do krateru nalano roztopionego szkła i po wystygnięciu masy skruszono formę, to wydobyto by zeń wielkie szklane naczynie, podobne do kielicha dnem przewróconego<sup>4</sup>.

— To jest dzwonnica! — rzekła Hermina.

— Gdzie?

— Gdzie dzwon? Tego ja nie wiem i tego nikt nie wie.

W tej chwili błysła mi myśl genialna:

— A gdyby to był właśnie negatyw...

Hermina rozśmiała się impertynencko i rzekła:

— Kochany panie doktorze, na te i tym podobne myśli wpadało już wielu najznakomitszych inżynierów naszych. Istnieje o tym przedmiocie ogromna literatura, a jeszcze większa kołowacizna. W ostatnich czasach np. podzielono się na dwa obozy: jedni utrzymują, że negatyw jest dzwonem szczytnych ideałów, inni, że jest kielichem użycia. Ale więcej mi o tym powiedzieć nie wolno.

— Aż kiedy?

— Aż nam zaprzysiężesz<sup>5</sup> tajemnicę.

— Cóż robią ci ludzie na stokach góry? — spytałem znowu po chwili.

— To robotnicy, którzy kopią za dzwonem — kosztem naszego bractwa. Z pokolenia na pokolenie utrzymuje się tradycja, że w głębi ziemi, na której mieszkamy, znajduje się olbrzymi dzwon. Przed bilionem lat słyszano jego głos rozbrzmiewający gdzieś po wnętrzościach gór i wtedy na powierzchni ziemi szalały burze, biły pioruny, latały dziwne zwierzęta, a wszystkie linie psychiczne między ludźmi przedłużyły się i przecięły. Toteż gdy nam się czasem zdaje, że słyszymy jakieś głębokie echo, rozdrażnieni wściekamy się, hulamy, mordujemy się wzajemnie i podpalamy nasze domy, a kiedy minie chwila szału, wracamy do spokojnego życia i kochamy się jak króliki. Zresztą te fałszywe alarmy dają nam dużo emocji. Więcej mi powiedzieć nie wolno.

Dźwięk

<sup>4</sup>gdyby np. do krateru nalano roztopionego szkła (...) to wydobyto by zeń wielkie szklane naczynie, podobne do kielicha dnem przewróconego — w tym miejscu w źródle znajduje się rysunek w przekroju ukazujący kształt kielicha a. dzwonu otaczającego podziemną górę. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>zaprzysiężesz — dziś popr. forma: zaprzysięgniesz. [przypis edytorski]

— Dlaczego?

— Spójrz, jaki los czeka zdrajców tajemnicy!

Tu wskazała palcem na grupę ludzi w jednym zakątku kopalni, pochyloną nad jakimś ruchliwym przedmiotem. Zbliżyłem się do nich i ujrzałem człowieka przybitego do skały za język; ludzie ci naigrawali się z niego i szczyпали go w pośladek, on zaś piszcząc wierząc nogami na wszystkie strony.

— Nie trwóż się jednak o tego człowieka — rzekła Hermina — nic mu się nie stanie. Źle by z nami było, gdyby nasze posłannictwo zależało tylko od dyskrekcji jednego człowieka; jest ono daleko lepiej ubezpieczone. Zaczyna pan pojmovać? To zjedziemy na dół na próbę słuchu.

Siedliśmy w winde i spuszczone nas na samo dno kopalni. Położyłem się na ziemi i przytknąwszy ucho do jednego z lejków wkręconych w ziemię, łowiłem całą godzinę echa z podziemi. Nic; głucho było. Kiedym już miał wracać na świat boży, spytałem dziewczynę:

— Po cóż tedy ci robotnicy? Dlaczego kopiecie za zgubą i hańbą waszą, wy paradoksyarze?

Hermina poczęła się znowu litościwie śmiać, jakby się dziwiła mojej niepojętności, i podała mi jakiś przedmiot. Były to różowe okulary. Włożyłem je na nos — i o dziwo! w mniemanych robotnikach poznałem wszystkich członków Bractwa, z którymi dopiero co się rozstałem.

I teraz powtórzyła się znowu ta sama historia z przepaską i ta sama karuzela wśród ciemności, po czym ujrzałem się znowu niespodzianie przed trybuną pana Acheronty Movebo i jego towarzyszy, którym Hermina przedstawiła mnie następującymi słowy:

— Oto nasz brat, głuchman.

Gratulowano mi ze wszystkich stron, ściskano mi ręce, całowano, obdzwaniano mnie czapczkami, a potem zaprzysiągłem uroczyście rotę, składającą się z trzech punktów, które są pozornymi sprzecznościami. Niestety punktów tych wyjawić nie mogę, bo to są tajemnice każdego z nas (tj. członków Bractwa) ze sobą samym, a przed wszystkimi.

Zabraliśmy się zaraz do pracy. Pan Acheronta, wszedłszy znowu na trybunę, oznajmił:

— Bracia dyskretni! Teraz wytrzeszczać oczy! Przystąpimy do głosowania Klapy Bezpieczeństwa!

Przed nim leżała na stole wielka mapa z mnóstwem kółek połączonych ze sobą odpowiednimi liniami. Każde kółko przedstawiało duszę ludzką. A pan Acheronta wrzasnął:

— Zbliź się teraz, szlachetna denuncjantko, i wyjmij szpilkę z pięknych loków swoich!

Hermina tak uczyniła, a śliczne jej włosy spłynęły aż do stóp. W palcach jej zabyła diamentowa szpilka, którą trzymała obróconą w dół, nie dotykając nią jednak mapy, a utkwivszy wzrok w niebo. Wnet na kilku punktach mapy kółka zaszyły krwią. Serce mi się ścisnęło bolesnym przecuciem, a jednak kiedy potem przyszło do głosowania i moje jedyne „veto” zrównoważyć mogło wszystkie inne głosy, ogarnęło mnie poczucie solidarności i obowiązku. Zemdlałem tylko z żalu, lecz na pocieszenie ożeniono mnie jeszcze tej samej nocy z Herminą.

## VIII

Życie Marii Dunin gasło powoli, a nie można było poznać, skąd pochodzi siła, która ją zabija. Było to tak, jakby konała pod wpływem wyziewów zatrutych, które tylko ją dosięgały. Ale ona cieszyła się jak obłąkana i rada była z tego rozkładu ciała i duszy, który się w niej odbywał. I jakby jej nie dość było tego powolnego zanikania, godzinami wpatrywała się w słońce, aż jej wzrok zupełnie ociemniał. Ja i Hermina staliśmy się przewodnikami skazanej, wciąż zatopionej egoistycznie w swoich snach i marzeniach.

Kiedyśmy raz z oslepiłą wyszli na pagórek i podziwiali wspaniałą zachód słońca, ona, zwykle milcząca, zerwała się i wyciągnąwszy przed siebie ręce zaczęła wołać, że oto teraz dla niej wschodzi czarne słońce wiecznej nocy, a na tej tarczy, roztaczającej ciemność wokoło, błyszczą biała plama geniuszu. Daremnie uspakajaliśmy ją; wreszcie z przekory czy z coraz większego osłabienia straciła także mowę. Nie wspominałem jej już więcej o mojej miłości, bo czyż nie byłem jednym z tych, którzy ją skazali? Całą siłą młodzieńczej duszy kochałem teraz Herminę, w której twarzy odnalazłem tak dawniej kochane rysy Marii, i rozpoczęła

się między nami w kwitnących ogrodach odwieczna idylla dwóch kochających się serc, a obecność tej oślepiej Sybilli, otoczonej cieniami śmierci, przydawała naszemu romansowi dziwnego uroku.

Wreszcie umarła Maria Dunin. Ciało jej, któregniło już przed śmiercią, rozłożono chemicznie na pierwiastki, a równocześnie spalono ową książkę, napisaną rzekomo przez średniowiecznego mnicha. Na pamiątkę zaś jej zgonu wykuto w podziemiach dzwonnicy na metalowej ścianie jej imię i nazwisko, daty urodzenia i śmierci, tudzież złowrogi wiersz:

*Diritto pe blek, fa geniosa ilia,  
Usol mi cortu, pajto beni filia.*

To znaczy: „Oderwana od białości, nieurodzona prawie... (tu następuje zwrot pogardliwy, niedający się przetłumaczyć na polskie)... córka niemego zła”.

W nagrodę moich przysług wysłało mnie Bractwo celem propagandy w szeroki świat. Od tego czasu upłynęło wiele wody, zapomniałem o Herminie i o Bractwie, którego szczytne zasady tak mi w duszę wrosły. Nie próbowałem nigdy odszukać siedziby tych zacnych ludzi i nie wiem, co się z nimi stało, lecz wolę myśleć o nich jako o wspomnieniu, bo czuję, że mnie to wspomnienie uszlachetnia.

Co się tyczy Marii, to los tej nieszczęśliwej długo dręczył jeszcze moje sumienie; długo nie mogłem zapomnieć jej miłości ku mnie, zniszczonej przez tajemniczy przypadek, a cała jej historia ciąży na mnie jak zmora senna, która przesunęła się zbyt blisko, żeby w nią nie uwierzyć, a za niewyraźnie, żeby strachem napoić, a w duszy zostawiła tajemnicze memento, które się obojętnością pokrywa.

Dziś nie ma obawy, żeby mi się coś takiego przytrafiło. W moim umyśle zapisują się tylko te wypadki, które przystają do moich zasad, a wyrobiłem w sobie podziwienia godną zdolność odrzucania wrażeń niewygodnych. Moje niepospolite zdolności i rozległa wiedza zdobyły mi uznanie sfer kompetentnych; zostałem mianowany bibliotekarzem królewskim, co od dawna było moim ideałem. Zajmuję się archeologią, prowadzę spisy starożytnych pergaminów i wyczytuję z nich różne tajemnice, w wolnych zaś chwilach sporządzam sztuczne palimpsesty na wielką skalę i wsuwam je między rupiecie, pozwalając pająkom osnuwać je szarą i brudną przędzą.

A z owych palimpsestów ten właśnie celuje wyrafinowaniem, bo sam jestem najznakomitszym z Bractwa Wielkiego Dzwonu!

*KONIEC*

*We wrześniu 1896 r.*

Wspomnienia

# PAŁUBA

*Studium biograficzne*

## I. MIEJSCOWOŚĆ

W pewnym powiecie Galicji, tam gdzie zoczywszy od głównego gościńca, jedzie się tak zwaną polską drogą przez długi na parę mil młody las, pełny leszczyny, która gałęziami muska po twarzy jadącego wózkiem podróżnego, znajduje się wieś Wilcza, własność szlacheckiej rodziny Strumieńskich. Ostatni właściciel, Piotr Strumieński, jest głównym przedmiotem niniejszego studium biograficznego. Zanim przystąpię do rzeczy, uważam za stosowne opisać najpierw pokrótce teren wypadków, mianowicie dwór w Wilczy i jego otoczenie. Czynię to raz dlatego, żeby potem do tej materii nie wracać, po wtóre, żeby czytelnik umiejscawiał sobie opisane wypadki natychmiast we właściwy sposób, a nie posługiwał się w tym względzie — jak to zwykle mimo woli bywa — miejscowościami, które gdzieś kiedyś utkwiły mu w pamięci. Dla uplastycznienia niech posłuży załączona w *Uwagach* mapka<sup>6</sup>.

*A* oznacza dwór<sup>7</sup>, położony od wsi o jaki kilometr odległości. Wieś jest gdzieś w głębi na lewo od patrzącego. *D* oznacza drogę, naprzeciw której leży front dworu z gankiem (*G*). Koła przed gankiem oznaczają gazon (*B*), w pośrodku którego wznosi się ogromna stara lipa. Kto chciał z fantazją zajechać przed bramę (*C*), objeżdżał, wedle jakiegoś tam tradycyjnego zwyczaju, trzy razy ów gazon naokoło. Dwór dzieli się na dwa skrzydła połączone małym korytarzem, w którym kręcone schody prowadzą na pięterko, czyli tak zwaną facjatkę, umieszczoną na budynku w środku. Prawe skrzydło dworu, przeznaczone w większej części dla domowników, którzy stąd mają blisko do różnych zabudowań gospodarczych (*Z*); lewe dla państwa. Ostatni pokój, salon (*S*), posiada z jednej strony kształt półkolisty. Tu są drzwi oszklone, prowadzące do ogrodu (*O*); schodzi się z nich po kilku stopniach i ma się przed sobą gazony pełne kwiatów i kłomby, skupione pod dwoma dużymi świerkami, rosnącymi symetrycznie naprzeciw skrzydeł dworu. Ogród dalej przechodzi w owocowy; tu jest altanka (*a*), za którą sad się kończy. W okolicy *M* różne drzewa stoją coraz gęściej, przybierając charakter lasu; najwyższe z nich rosną tuż przy żywopłocie, ciągnącym się równoległe z drogą. *M* jest to kaplica, zbudowana przez pobożne prababki w miejscu, z którego można widzieć cmentarz (*E*) jako symbol znikomości świata. Główna aleja, wyznaczona podwójną linią, prowadzi aż do furty (*F*); ważniejsze ścieżki oznaczone są liniami wykropkowanymi. Jedną z tych ścieżek, wiodącą w dół, wychodziło się na czyste pola; nie każdy jednak, kto otwierał furtkę przy *N*, dostrzegał w pobliżu głęboką studnię, zakrytą gałęziami czterech grabów w kwadrat przy niej rosnących — ocienione, ciche miejsce śmierci. Za ogrodem rozciągają się dalekie, równe pola, zupełnie nieurozmaicone, zaledwie bowiem kilka grusz polnych, samotnie rozstawionych, daje punkty wytyczne na gładkiej przestrzeni. O kwadrans drogi piechotą od dworu równie przechodzą w wydmy pokryte wiklinami, za nimi piaszczysty brzeg jednej z większych rzek galicyjskich (*R*).

Dopływ tej rzeki, Wontok (*W*), w górnym biegu płynie jakby po schodach małymi kaskadami, wśród lesistego jaru. Po prawej stronie Wontoku są skały, zwane Organami (*OO*); na lewo, na wyżynie, której stoki miejscami urwiskowo spadają ku rzece, rozciąga się świeżo założony park (*P*), z pałacem (*p*) w środku. Park ma liczne wzniesienia i zagłębienia terenu; jedno z zagłębień jest naczyniem stawu, przez który przepływa inny dopływ rzeki *R* w kierunku oznaczonym strzałką.

Tak wygląda dwór w Wilczy i jego otoczenie.

<sup>6</sup>załączona w *Uwagach* mapka — uwagi autora zostały włączone w tekst w odpowiednich miejscach jako przypisy autorskie; z przyczyn technicznych mapka okolic Wilczy nie mogła być uwzględniona w tej publikacji. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*A* oznacza dwór (...) zajechać przed bramę (*C*) — oznaczenia literowe odnoszą się do szkicu mapki załączonej w źródle w *Uwagach* do tekstu; tu nieuwzględnionej. [przypis edytorski]

## II. PIERWSZE ZAŁAMANIE UNII

Rodzina Strumieńskich dzieliła się na dwa odłamy: jeden zamieszkały w Królestwie Polskim, drugi w Galicji, żyjące z sobą w stosunku nieprzyjaznym, a nawet wrogim. Za czasów powstań stan ten zaostrzył się w nienawiść. Strumieńscy z Królestwa, czyli Mariusze, garnęli się w szeregi wojowników, nie szczędząc krwi i grosza, podczas gdy Adam Strumieński, właściciel Wilczy, potępiał i szykanował te zapędy. Nie byłoby jednak w tym jeszcze nic wstępnego, gdyż Adam Strumieński był zwolennikiem mistycznej teorii o bezwzględnej wyższości ducha nad materią i bierny kwietyzm uważał za konieczny warunek przyszłego tryumfu ducha, a z nim i powrotu wolności: gdyby przy tym jego dwulicowe, a później arcylojalne zachowanie się nie obudziło podejrzeń co do szlachetności pobudek owej teorii. Dość że kiedy Mariusz Strumieński w Królestwie wyparł się starszego brata, a majątek jego i jego najbliższych stopniał niemal do czwartej części, Adam Strumieński, dotychczas mniej zasobny, dzięki swemu skąpstwu, indemnizacji<sup>8</sup> i innym szczęśliwym zbiegom okoliczności, o których różnie mówiono, dokupił parę folwarków pod Wilczą.

Do niesnasek z rodziną przyłączyła się jeszcze niechęć i zawiść sąsiadów, tak że Strumieński żył na swojej Wilczy prawie całkiem odosobniony wraz ze swoim synkiem Robertem, chorowitym garbuskiem, którego kalectwo uważano naturalnie za dziwną, choć słuszną karę niebios. Rówieśnikiem i towarzyszem Roberta był Piotruś Włosek, syn kowala, a potem leśniczego w lesie wilczańskim. Tego leśniczego Strumieński zastrzelił był niegdyś przypadkiem na polowaniu, a wdowę po nim wziął do siebie za gospodynię. Piotr Włosek jest właśnie osobą, do której się niniejsze studium przede wszystkim odnosi. Chłopakiem tym zajął się stary Strumieński już to dlatego, że trzeba było coś dobrego zrobić, już to, aby jego roztargniony jedynak miał kolegę, który by mu wbijał lepiej do głowy lekcje guwernerów i spełniał przy nim różne towarzyskie posługi.

Na dworze Strumieńskiego, który starzejąc się zdziwaczał, panowało zaniedbanie i niechlujstwo. Pomimo powracających od czasu do czasu podrygów wielkopańskich, obyczaje stawały się tam coraz bardziej prostymi i ludowymi, a zarówno potrawy, jak i przekleństwa były niewybredne. Stary Strumieński i jego latorośl przeżywali resztki świetnych tradycji; więc kiedy np. młody pan Robert pchnął nogą w pierś Piotrusia zdejmującego mu trzewiki, to mógł mieć przy tym uczucie dumy, Piotruś zaś uczył się coraz częściej ukrywać swoje przekonania. Zdarzało się także, że Robert posyłał go w krzaki, gdzie Piotruś znajdował ptaszki powieszzone na sznurku; takie same ptaszki widywał, gdy zbudziwszy się rano, z rozkazu Roberta otwierał okno.

Zresztą był Piotruś dzieckiem cierpliwym, pilnym i pobożnym. Włoskowie przeznaczili go na księdza, co w ich mniemaniu było wysoką karierą. Chodził też Piotruś do oddalonej o milę większej wsi posługiwać do mszy pewnemu księdzu, który go dawniej parę razy ocalił przed kijem ojca. Ów ksiądz, ceremoniał kościelny, cisze porannych mszy — wywierały wielkie wrażenie na małym ministrancie. Kiedy Robert zaczął mu tych wycieczek zazdrościć, wpadli na pomysł bawić się razem w księdza; zabawy te odbywały się w ogrodowej kaplicy (*M*), opustoszałej, lecz pełnej jeszcze świętych obrazów i niezrozumiałych ksiąg, które im były większe i cięższe, tym poważniejszą dawały zabawę. Wino do mszy ukradł Robert z ojcowskiej piwnicy — i raz obaj popili się aż do mdłości.

Naturalnym było, że z wiekiem podrzędne stanowisko Włoska zmieniło swój przykry charakter, a między oboma chłopcami powstał węzeł niemal braterski. Razem przebyli czar pierwszych wątpliwości religijnych i pierwsze doświadczenia zmysłowe. Równocześnie wpał im ojciec nienawiść do reszty rodziny Strumieńskich tudzież własne przekonania patriotyczno-filozoficzne, a chociaż go obaj krytykowali i wysmiewali, przecież zasady te i nastroje z nimi związane żłobiły dość głębokie bruzdy w ich młodocianych umysłach. Największą wrażliwość w tym względzie okazywał czy też raczej zaznaczał Piotr, który być może z chaty swych rodziców wyniósł pewną dozę uległości<sup>9</sup> i zdolność przy-

<sup>8</sup>*indemnizacja* (daw.) — odszkodowanie, wynagrodzenie strat i szkód płacone właścicielom w związku z uwłaszczeniem chłopów; w zaborze pruskim odszkodowanie płacili sami chłopcy, zaś na terenie Galicji i w Królestwie Polskim odszkodowanie wypłacał rząd, co pośrednio obciążało podatników w postaci tzw. podatku indemnizacyjnego. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*Piotr, który być może z chaty swych rodziców wyniósł pewną dozę uległości* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Naturalnie nie mam tu na myśli jakichś wpływów tkwiących we krwi, którymi tak chętnie posługują się dzi-

Rodzina, Konflikt, Polityka,  
Własność

Dworek, Pozycja społeczna,  
Pan, Okrucieństwo,  
Władza, Upadek

Dzieciństwo, Religia,  
Zabawa, Wino



stosowywania się do sytuacji. Był on też — w sekrecie przed Robertem — faworytem starego Strumieńskiego, który lubił nań zrządzić i targać go za uszy, bo chłopak był bardzo ładny. Powstała przy tym jeszcze następująca komplikacja:

Wśród domowników w Wilczy urobiła się plotka, że Piotr jest bękartem Strumieńskiego. Stary jej nie zaprzeczał, owszem, przez stosowne milczenie potwierdzał ją i utrwał. Wszak i tak w duchu niewiele liczył na Roberta jako na kontynuatora rodu, a podejrzania o spłodzenie tak dorodnego syna, jak Piotr, pochlebiali mu i dawały niejakię pocieszenie za Roberta, który się nie udał. Plotka dostała się i do szkół, do których uczęszczali obaj chłopcy, a w formie złośliwych żartów i przezwisk obila się o uszy Piotra. Reagował na nią z początku szablonowo, stając w obronie honoru matki do bójk z kolegami, ale gdy już był starszym, gromadziło się w nim z powodu takich aluzji pewne przyjemne poczucie odrębności swego losu oraz zalet i korzyści związanych z bękartem. I literatura zapewniała go, że ludzie tacy cieszą się szczególną sympatią; więc nieraz patrząc z ukosa na niekształtnego Roberta, mówił sobie w duchu słowa Edmunda z *Króla Lira*:

My to w zuchwałym złodziejstwie natury  
Więcej bierzemy treści, ognia, siły  
Niż prawowite tłumy niedołęgów,  
Spłodzonych w łożu gnuśnym, zimnym, nudnym,  
Przez rozespanych małżonków nad ranem.

Ta cicha ambicja bękartka Piotra była Robertowi nieco nie na rękę, bo chociaż kochał Piotrusia jak brata, jednak nie chciał w nim *mieć* brata, będąc zazdrosnym o swój postereunek jedynego reprezentanta tego odłamu Strumieńskich. Zazdrość wzmagało w nim jeszcze niezadowolenie z własnej powierzchowności. Starał się tedy delikatnie pocieszyć swego towarzysza, że jest on zupełnie legalnie urodzonym synem Włosków, i przytaczał mu na to różne niezbite dowody, Piotr zaś przyjmował to za dobrą monetę, aby się nie wydawało, że się pcha do rodziny. Obok Roberta, któremu pieniądze dawały możliwość różnych dozwolonych i niedozwolonych czynności, skazany on był na rolę niby to ciekawego widza lub co najwyżej pomocnika i doradcy w opalach; z rolą tą żył się, chociaż sprawiała mu przykrość. I tak np., kiedy Robert kochał się lub umizgał<sup>10</sup>, on nie śmiał ubiegać się o względy tej samej osoby, nawet gdy wiedział, że mimo braku pieniędzy miałby lepsze szanse. Był jak głodny błazen, który bawi ucztujących biesiadników, lecz niezaspokojony swój apetyt pokrywał miną dumnej obojętności. Ale na tej odmianie dumy Robert się nie poznawał i widział w niej tylko dziedziczną służbistość Piotra, bo chciał go uważać za „zdrową plebejuszowską naturę”, siebie samego zaś miał za „naturę

Uroda, Przemoc

Syn, Pozycja społeczna

Brat, Zazdrość, Pozycja społeczna

---

siejsi autorowie, a za nimi i przeciętna nasza inteligencja. Idzie mi tylko o przykłady służalczości, jakimi mógł Piotr nasiąknąć, spędziwszy pierwsze swe lata w chacie ludzi ubogich; pojmuję więc rzecz tylko psychologicznie, nie fizjologicznie. Mimo to nie zaprzeczam, że dziedziczność, rasowość itp. czynniki może i istnieją, że ktoś np. może być „urodzonym” lokajem lub „urodzonym” księciem. Ale hipotezy tej, którą nawet naukowo skontrolować trudno, nadużywa się w życiu potocznym jako pewnika, aplikując go wszędzie tam, gdzie by rzecz można wytłumaczyć z o wiele bliższych a mniej dowolnych pobudek. Np. śmiały okrzyk gorczy posła Bojki w Sejmie piętnuje się jako objaw chłopskiej natury: w tym wypadku komunał służy za podpórkę do zemsty i daje rodzaj potwierdzenia oburzeniu strony przeciwnej. Inny dowcipniś upatruje w namiętym zwalczaniu szlachetczyzny, jakie uprawia np. Daszyński, objaw właśnie buty szlacheckiej tego socjalisty: tu komunał odwodzi od wnikania w meritum polityki Daszyńskiego, odejmuje wartość jego szczeremu przejęciu się swymi zapatrywaniami, a ukazuje rzekomo jakiś głębszy, jemu samemu niewiadomy motyw jego działania. Zastrzegam się, że nie zabieram tu wcale głosu jako zwolennik tej, tamtej lub innej partii politycznej, interesuje mnie tylko psychologiczna rola komunału, w którego pętach być może znajdują się nawet i powyżej wymienieni politycy. Podobny wypadek zauważyłem niedawno przy takiej sposobności: Holzapfel napisał filozoficzną książkę pt. *Wszechideal* (*Panideal*), nie dla każdego przystępną, a ów Holzapfel jest Żydem. Otóż ktoś powiedział, że trudną i nieprzystępną jest ta książka z tego powodu, iż jej autor jest potomkiem talmudystów. Jakże temu, co to powiedział, byłoby na rękę, gdyby np. Kant był Żydem. Lub dajmy na to, że N., potomek szlachty zaściankowej, w poczuciu jakiejś swojej krzywdy prowadzi ciągle procesy i nie waha się po przegraniu sporu w ostatniej instancji apelować nawet do monarchy: czyż nie znajdzie się mnóstwo ludzi, którzy wpadną na „odkrycie”, że w N. odezwała się staropolska żyłka pieniacka? [przypis autorski]

<sup>10</sup>*umizgi* (daw.) — zabiegi mające na celu pozyskanie względów osoby płci odmiennej, starania o czyjąś rękę; flirt, zaloty, konkury, amory. [przypis edytorski]

arystokratyczną<sup>11</sup>, delikatną, trochę chorą, ale przede wszystkim *souverain*<sup>12</sup>, ale subtel-  
ną i zdolną nie tylko do wyczuwania, lecz i wytwarzania wrażeń estetycznych. Wstąpił  
do szkoły sztuk pięknych, Piotr zaś, żyjąc razem z Robertem wśród podobnych wpływów  
i sposobności, miał od dawna tę samą pokusę rzucenia się w zawód artystyczny, stłumił  
ją w sobie, już choćby dlatego, żeby nie być posądzonym o naśladownictwo, i oświadczył,  
że idzie na księdza. Rzeczywiście mimo braku wiary uśmiechał mu się połączony z tym  
zawodem spokój i sposobność do życia kontemplacyjnego. Nie chcąc dalej zaciągać dłu-  
gów wdzięczności u swoich dotychczasowych dobrodziejów, zniknął im z oczu i zaczął  
lekcjami zarabiać na życie. Podniecony przez Roberta do kontrastowania się z nim, wy-  
wołał w sobie nie całkiem szczerą napad uczuć demokratycznych i obok praw wziął się  
niby do kowalstwa, aby, jak sobie mówił, mieć w rękę na każdy wypadek jakiś uczciwy  
zawód, i to zawód, któremu oddawał się także i jego śp. ojciec, nim został leśniczym  
w Wilczy. Tę demonstrację z kowalstwem zrobił Piotr w czasie wakacji, gdy będąc u swej  
ciotki na leśniczówce wilczańskiej ze wzruszeniem oglądał warsztat osierocony przez oj-  
ca. Być może, że nie bez przyczynienia się Piotra, doniosło się coś o tym i do starego  
Strumieńskiego.

Tymczasem Robert zaczął się oddawać życiu artystycznemu, hulatyką i humorem nad-  
rabiał kalectwo, wyrzucając pieniądze na opłacanie sympatii swych bliźnich. Dowiedział  
się o tym stary Strumieński, a ubodło go zwłaszcza to, że wśród towarzyszy wesołości Ro-  
berta byli i młodzi potomkowie znienawidzonych Mariuszów z Królestwa. Zawezwał tedy  
Piotra do siebie, zganiał go lekko za niewdzięczność i brak miłości do przybranej rodziny,  
potem zaś polecił mu czuwać nad Robertem i wpływać na niego moralnie, żeby zaniechał  
malarstwa i hulaszczego życia. Robert miał się chwycić kariery politycznej, a Piotr pójść  
na agronomię<sup>13</sup> i być w jego dobrach rządcą. Podczas tej ważnej konferencji rozczulił się  
stary Strumieński, zachowywał się wobec Piotra tak tajemniczo, jakby naprawdę był jego  
ojcem, a w końcu pocałował go w głowę, czego dotąd nigdy nie czynił. W tej pięknej  
komedii odegrał Piotr z właściwym przejęciem się rolę naturalnego syna<sup>14</sup>, który wszyst-  
ko wreszcie rozumie, lecz umie dyskretnie uszanować tajemnicę. Co stary Strumieński  
robił ze ślepej opozycji do swych krewnych, to Piotr naśladował z instynktownego wy-  
rachowania. Taki był pierwszy widoczniejszy punkt fałszywy w historii mojego bohatera,  
jego pierwsze sfalszowanie, a raczej umyślne zaniedbanie prawdy.

Włosek, objąwszy kuratelę nad Robertem, zrazu sam omal nie utonął w wirze niedo-  
stępnych dlań dotychczas przyjemności. Ale właśnie wtedy zaszły niespodzianki paczące  
tok tego życia, jakie sobie Robert uplanował. Oto jeden z tamtych Strumieńskich, syn  
Mariusza, zdobył sobie kobietę, w której nadaremnie kochał się Robert. Wśród weso-  
łej kompanii zaczęli się niektórzy demaskować, z dawnych politycznych „zbrodni” Stru-  
mieńskiego ukuto broń, za pomocą której chciano unicestwić Roberta pod względem  
towarzyskim. Miało już nawet przyjść do pojedynku między Robertem a innym Stru-  
mieńskim, w tym czasie jednak z powodu nadzwyczajnej irytacji i podniecenia pojawiły  
się u Roberta skutki dotychczasowej rozwiązłości. Zapadł na suchoty i pielęgnowany  
przez Piotra wyjechał w jego towarzystwie do Włoch, gdzie niebawem umarł.

Pomieszało to szyki starszej generacji Mariuszów, która już nawiązywała ze starym  
Strumieńskim stosunki dyplomatyczne, a po Robercie spodziewała się różnych korzyst-  
nych ustępstw. Skostniały mózg starca, niedostępny dla zmian, i tak zwykł był wszystko  
na świecie pojmować pod znakiem nienawiści do Mariuszów, więc i teraz śmierć syna bez  
ogródka przypisał ukartowanemu przez nich spiskowi. Żeby zaś nie mieli z tego uciechy,  
iż jego ród wyginął, podczas gdy ich drzewo dalej rozrastać się będzie, adoptował Piotra  
Włoska i ustanowił go swoim spadkobiercą.

<sup>11</sup>zdrową plebejuszowską naturę (...) naturę arystokratyczną, delikatną (...) — [Komentarz autora z Uwag.]  
Tu mamy komunal w jednej z jego bardziej typowych wariacji. Wariacji tych istnieje mnóstwo, na podstawie  
ich konstruuje się „problemy” i „kwestie”. Można by to wykazać np. na *Sprawie Długiego* Weyssenhoffa. Dla  
mnie kwestia arystokracji, demokracji itp. nie istnieje, póki jest powleczone warstwą innej kwestii, mianowicie  
kwestii blagowania o kwestiach, która uniemożliwia czystość rachunku. Tak samo rzecz się ma z „kwestiami”  
rasowości, dekadentyzmu, płci itd. [przypis autorski]

<sup>12</sup>*souverain* (fr.) — niezależny, władczy, najwyższy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*agronomia* — tu: teoretyczna i praktyczna wiedza o rolnictwie, uprawie roślin i hodowli zwierząt, wraz ze  
znajomością zarządzania gospodarstwem. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*syn naturalny* — syn urodzony poza małżeństwem; daw. przeciwieństwo syna legalnego. [przypis edytorski]

### III. INTRUZ

Po śmierci swego podwójnie pozornego ojca Piotr Strumieński zmuszony był dalej prowadzić jego taktykę wobec rodziny. Ogłoszono go za intruza, za łotra, który podstępnie wyzyskał niedołęstwo umysłu starego Strumieńskiego, i wszczęto proces spadkowy, powołując się na rzekomy ustny testament. Wygrzebano różne rzeczy z przeszłości rodziców Piotra, poruszono kwestię jego „chamstwa”, a jeden ze Strumieńskich, znany pojedynkowiec, czyhał na sposobność zmuszenia go do walki na białą broń. Również sąsiedzi, obrobieni przez Mariuszów, przybrali wobec niego nieprzyjazną postawę, a gdy objąwszy spadek, pojechał złożyć wizyty ceremonialne, przyjęto go z impertynencką grzecznością wszędzie, gdzie w domu nie było córek na wydaniu. Ci, co byli łagodniejsi, mieli mu za złe jego grzeszne pochodzenie. Bękart, syn jakiegoś tam gajowego czy fornala<sup>15</sup> — te dwie sprzeczności wypowiadano jednym tchem.

Tak złożyło się, że młody Strumieński, podobnie jak jego przybrany ojciec, stanął izolowany wśród ludzi nieprzychylnych mu i zawistnych — a nie wiedział, że we wrogim usposobieniu, bez żadnych głębszych, osobistych przyczyn, nikt wytrwać nie ma potrzeby. Upokorzenia z czasów młodzieńczych, pamięć własnego niedostatku wśród wyższych potrzeb kulturalnych poznawanych wówczas nauczyły go cenić potęgę pieniędzy jako wartości materialnych dających się łatwo zamienić na intelektualne i uczuciowe i nakazały mu strzec czujnie, a z bezwzględny egoizmem tych tak szczęśliwie nabytych skarbów. Zrazu próbował wprawdzie zbliżyć się do Mariuszów i wejść na drogę ugody, ale odepchnięty ich pierwszym gwałtownym atakiem, cofnął się natychmiast, kiedy zaś potem oni, przekonawszy się o chwiejności podstaw procesowych, okazali z daleka skłonność do nawiązania powtórnie pojednawczych nici, on udawał, że się na tym nie poznaje, i był zadowolony, że wina nieporozumienia nie spada na niego. Tak z roli biernej odosobnionego przeszedł do roli czynnej człowieka usuwającego ze swego horyzontu wszystko to, co mogło mu przeszkadzać w urzędzeniu sobie życia po swojemu. To „po swojemu” obejmowało zamiary, których sobie nie chciał całkiem uświadamiać, na razie bowiem samo znalezienie się raptem na pewnej wyżynie i patrzenie stamtąd na wolne dalekie drogi w różne strony życia napawały go błogim uczuciem radości. Miewał jeszcze krótki czas tę pełną przesady uroczystą trwożliwość o jakość dalszych swych kroków, ten respekt, jaki odczuwa chłop, gdy pierwszy raz w życiu ma stąpić na bogaty dywan, utkany sztucznymi kwiatami, które za prawdziwe uważa.

W tym punkcie mej rozprawy na tle życia Strumieńskiego powinien bym roztoczyć moje wyobrażenia o charakterze i umysłowości badanego osobnika, aby uzasadnić dalsze jego postępowanie, umysłowość zaś jego, tak w teraźniejszym stadium, jak w dalszych, wyprowadzić genetycznie także z idei poruszających i nurtujących dobę współczesną, a nie tylko z jego własnych przeżyć życiowych. Z powodów jednak, które gdzie indziej wyluszczam, nie czuję się zdolnym do takiej sumienności<sup>16</sup> i zapowiadam, że będę się z tym załatwiać dość powierzchownie, na razie zaś ograniczę się do kilku wskazówek.

Wspomniałem już o wpływie nauk starego Strumieńskiego o wyższości ducha nad ciałem. Że w owym czasie ludzie przeciętnej inteligencji tkwili w grubym dualizmie, o tym bym wspominać nie potrzebował, bo i teraz nie jest o wiele lepiej. Idealizm i realizm, względnie materializm — tymi terminami szastano nie w ich naukowym, ale

<sup>15</sup>fornal (daw.) — daw. najemny robotnik rolny obsługujący konie w folwarku. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>nie czuję się zdolnym do takiej sumienności — [Komentarz autora z Uwag.] Bo nie kreślę ani reprezentanta jakiejś epoki, ani znamiennego typu, tylko człowieka, a każdy człowiek jest wyjątkiem. A więc wpływu idei współczesnych nie trzeba sobie wyobrażać tak, jakoby one całą swą masą działały na człowieka; przeciwnie, wpływ ich jest przypadkowy, pośredni. Nie każdy chce i może mieć ewidencję tych idei, jedne przychodzą do niego za późno, inne wcale nie przychodzą, a kto sam nie siedzi w obserwatorium, ten dowiaduje się o ideach z drugich i trzecich ust, poznaje je w formie sfalszowanej i uproszczonej. Cóż to jest zresztą „idea współczesna”? Często jakiś odświeżony stary komunał. Oprócz „idei” ogromny jeszcze wpływ na umysły ludzkie wywierają typowe sytuacje rozrzucone w utworach literackich — te zaś wpływy i im podobne są zbyt skomplikowane, żeby je wyliczyć w życiu własnym, a coś dopiero w życiu człowieka powieściowego. Dzięki szkole poznaje się zazwyczaj w młodości idee i walki idei takie, jakie interesowały starszą generację, dopiero potem się to wyrównuje, niektórzy zaś nigdy nie doganiają teraźniejszości. Stąd taki zlepek anachronizmów ze współczesnościami, jak Strumieński. Trzeba też wiedzieć, że gdziekolwiek jeździe się z sobą dwóch myślących ludzi, tam powstaje nowe źródło kwestii, nowe oryginalne różniczkowanie jakichś ogólnie przyjętych orientacji; np. w stosunku Strumieńskiego z Angelią. [przypis autorski]

w popularnym znaczeniu. Swego czasu, studiując razem z kolegami dzieła naszych najwybitniejszych poetów, wdawał się też Piotr Strumieński w kombinacje historiozoficzne i narodowe, i inne tym podobne płytkie głębokości<sup>17</sup>. Dalej wymienię zakres idei szlacheckich: dumę z tego, że się posiada ziemię, jest się obywatelem, ma się dwór, psy, konie, polowania i porządne tradycje, swoje zaintabulowane<sup>18</sup> w księgach krajobrazy i swój lud. Ale Strumieński oddalał od siebie te upodobania, których zarodki zasiały się w nim jeszcze za czasów obcowania z Robertem — czynił to z pewnym kryjonym żalem, gdyż właśnie one przypadły mu do temperamentu, dawały mu poczucie prostoty, porządku, pewności siebie. Skoro go jednak uważano za intruza, to był za cierpkim, by przywiązywać wagę i do nieurzędowych przywilejów swego nowego stanu. Podniesiony z jednej sfery, wypchnięty własną i cudzą wolą z drugiej, zawisł niejako w powietrzu między jedną a drugą, a wskutek tego przyciągnęły go sposoby życia, przy których nie ma mowy o „sferach”, czyli mówiąc krótko a źle<sup>19</sup>: „wykoleił się”.

Bardzo wiele takich i innych zawiązków myślenia przejął Piotr od Roberta — Robert w ogóle rzucił pewien osobliwy cień na urobienie się jego charakteru. Można by w tym widzieć naśladownictwo, upodobnienie się, można by jednak przypisać to raczej długoletniemu przystosowywaniu się do siebie obu przyjaciół, które się nie obeszło bez tych cichych walk, które nie mają swego Homera. W nich to Strumieński przyswoił lub wykształcił sobie pewne bronie: podejrzliwość, baczność na urażenia psychiczne, skrytą brutalność, a w ślad za nimi nauczył się hipochondrii i pesymizmu, które u Roberta były naturalnym wynikiem jego fizycznego upośledzenia.

Równocześnie z upodobaniami szlacheckimi, a raczej hreczkosiejскими, wsiąknęły weń pojęcia i nastroje romantyczne. I to słowo trzeba brać w znaczeniu popularnym, a więc przede wszystkim mieć na myśli miłość. O kobietach miał Strumieński bardzo pochlebne mniemanie, być może wskutek tego, że pierwsza część jego młodości upłynęła przeważnie w Wilczy, we dworze zdziczałego starca, gdzie pięknych i mądrych niewiast wcale nie widywał, znał je więc tylko z książek i wyobrażał sobie o nich cudowne rzeczy. To wytworzyło stały osad romantyzmu w jego duszy, który pozostał nawet wtedy, gdy Strumieński zetknął się z życiem miasta i przy pomocy przyjaciół rozszerzył zakres swych płciowych doświadczeń, otrzymując w ten sposób w dodatku pewien pokost cynizmu, który się łatwo zeszkrobywał. Skromność i nieśmiałość usposobienia, którą może i mylnie przypisywał tylko stosunkom, w jakich się chował, nie pozwalały mu na zbytnią natarczywość w platonicznych miłostkach z porządnymi kobietami, więc kochał się w nich mniej więcej według recepty Mickiewicza:

Ach, ja ją tak na martwym ubóstwiam obrazku,  
Że nie śmiem licem skazić jej bezbronnych ustek,  
I gdy dobranoc daję przy księżycu blasku,  
Albo jeśli w pokoju lampa jeszcze płonie,  
Nie śmiem rozkrzyć mych piersi, z szyi odpiąć chustek,  
Nim jej listkiem cyprysu oczu nie zasłonię.

Tylko ostatnich wierszy nie mógłby zastosować w praktyce, gdyż i o listek cyprysu było dość trudno, a zamiast chustek mogła być mowa o częściach ubrania bliższych ciała, np. kalesonach<sup>20</sup>.

<sup>17</sup>*płytkie głębokości* — [Komentarz autora z *Uwag.*] Tu muszę popełnić herezję i przyznać się, że mam na myśli takie „idee”, jakie są w *Irydionie* lub *Królu Duchu*: szerokie historiozoficzne lub kosmiczne kombinacje. Zwłaszcza idzie mi o ideę palingenezy. Idea ta imponuje ludziom jedynie dlatego, że połączone są z nią dalekonośne, monstrualne obrazy: jak dusze wędrują z ciała w ciała, i to się dzieje przez miliony wieków: strach! Uwielbiam tego rodzaju idei, działających bardziej fantastyczną atmosferą niż sensem, wydają mi się podobnymi do tego chłopca galicyjskiego, który otrzymawszy telegram z Ameryki zwiariował na myśl, że ten telegram przeszedł tak prędko tyle setek mil. [przypis autorski]

<sup>18</sup>*zaintabulować* (daw.) — wpisać do ksiąg urzędowych. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*mówiąc krótko a źle* — [Komentarz autora z *Uwag.*] To mówię po części *pro domo mea* [łac.: w obronie mojego domu; red. WL]. Jeżeli się chce coś rzetelnie określić, trzeba wprzód usunąć cały szereg niewłaściwych określeń i pojmoowań, czyli mówiąc obrazowo: im głębiej się kopie, tym większy powstaje nasyp. [przypis autorski]

<sup>20</sup>*mniej więcej według recepty Mickiewicza (...) np. kalesonach* — [Komentarz autora z *Uwag.*] To nie bluźnierstwo ani swawola, bo owszem wiersz ten uważam za dobry i szczerzy, ale jaskrawe podkreślenie pierwiastka pałubicznego, pierwszy zgrzytliwy akord pałubiczny. Idzie mi o to, żeby co prędzej rozdrzeć urok, jaki czytelnik

Niesmiałość młodzieńców jest znanym celem szyderstwa rówieśników. Gdy to spotkało Strumieńskiego, uczuł się ukłutym i, wiedziony instynktem charakteru, wynalazł sposób, za pomocą którego temu brakowi nadał piętno cnoty. Oto w czasie, w którym się rzucił „w brudne uciech rzeki” (Mickiewicz), gdy „Venus Vulgivaga otwierała mu swoje skalane łono” (Kasprowicz), po pewnych rozczarowaniach ułożył sobie teorię, że nie można *tego* robić bez pewnego rodzaju całkowitego oddania się swemu medium, co w chwili paroksyzmu<sup>21</sup> zwłaszcza stanowi tajemnicę skalania się. Spólkowanie jest święte — powiedział sobie. Taką miał teorię, chociaż w gruncie rzeczy nie był właściwie ani tak cnotliwym, ani tak wybrednym i przy nadarzającej się sposobności lubił podkładać iskierkę pod beczkę zanadto nagromadzonego prochu. Nie nauczył się jednak jeszcze kłopotać takimi sprzecznościami. Teorię jego wzmacniało i to, że wiedział, iż jest pięknym, piękność tę w sobie adorował, uważał ją za coś helleńskiego, bo zresztą była to jedyna cenna rzecz stanowiąca jego niezaprzeczoną własność. Wprawdzie Robert krytykował jego twarz z malarskiego punktu widzenia jako twarz bez wyrazu, ale była to oczywista zazdrość. Aby zaś całe ciało utrzymać w harmonii (helleńskiej), chodził Strumieński do swej kuźni, kuł żelazo, próbował podnosić ciężkie młoty, a u siebie rąbał drzewo — naśladując w tym historyczne przykłady osób z domów panujących. Zwłaszcza póki Robert żył, zarozumiałości te były rodzajem wewnętrznego odwetu za brak dóbr materialnych. Więc np. w myślach przynajmniej zachowywał się Piotr Strumieński tak, jakby rezerwował swoją osobę dla jakiejś specjalnej, nadzwyczajnej miłości. Ale bo też w istocie ideał takiej miłości, wyszedłszy ku niemu z książek, zastąpił mu drogę życia, jako rzecz zbędna wprawdzie, jednak mająca być urzeczywistnioną w imię pewnej wyższej konsekwencji — jako postulat, który na wzór kategorycznego imperatywu zawiera sam w sobie rację swego bytu i rozkazu. Wyciągnął go zaś Strumieński w tej formie z książek nie dlatego, żeby był głową niedojrzałą i romantyczną, lecz dlatego, że znalazł on słowo „miłość” używane we wszystkich książkach w pewnym absolutnym znaczeniu, które jeszcze bliżej objaśnię w rozdziale XIX, gdy będę już mógł powołać się na materiał dowodowy zawarty w faktach. Tu dodam tylko, że ten sam błąd (teoretyczny) w pojmowaniu miłości popełniają nawet ludzie 70-letni, pomimo że w praktyce całe życie postępowali tak, jakby znali jedynie właściwe, względne znaczenie tego wyrazu; Strumieński zaś różni się od nich tym, że pewne okoliczności i podniety wyzwały go do brania miłości bardzo na serio.

A z tych okoliczności najważniejszą była ta, że przez całe lata osierocenia, życia wśród stosunków towarzyskich wciąż tak zdradliwych i niepewnych, a wśród ludzi bądź to niższych wykształceniem, bądź też zdziwacznych, dziwacznych i monstualnych — kroplami uzbierało się w nim morze tęsknoty, powstawała żądza wynagrodzenia za te wszystkie chwile przykrości, poniżeń i osamotnień, ta zaś żądza, wyciągnąwszy wreszcie skrzepowane dotychczas ramiona, przerodziła się w gwałtowną potrzebę miłości i szukała nadzwyczajnego zaspokojenia.

---

wyniósł z lektury poezji, i przybliżył mu atmosferę rzeczywistego życia, które jest piękne, ale tylko po swojemu. Pewny jestem zresztą obrony tych wszystkich młodzieńców, którzy, posiadając fotografie swych ubóstwianych, oglądają je przed pójściem do łóżka. [przypis autorski]

<sup>21</sup>paroksyzm — atak, napad; nagle wystąpienie lub zaostrzenie się objawów chorobowych; w odniesieniu do uczuć a. przeżyć: krótkie, gwałtowne i silne (niekiedy wstrząsające) doznanie. [przypis edytorski]



## IV. ANGELIKA<sup>22</sup>

Po objęciu spadku i przebyciu różnych wrażeń i kłopotów związanych z tym faktem postanowił Strumieński pojechać do Włoch — do tego kraju klasycznych zaokrągłych natury — tym samym szlakiem, który już poznał w towarzystwie Roberta. Wówczas jednak, przykuty do chorego niby przyjaźnią, nie mógł napić się wrażeniami podróży, zwłaszcza że zazdrosny Robert uszczuplał mu swymi kapryсами wielką część przyjemności, a on — z przyjaźni — udawał nawet, że tych wrażeń nie pragnie lub że się na nich poznać nie umie. Chciał więc teraz odświeżyć i poprawić te swoje pierwsze wspomnienia na większą skalę, a wziął się do tego z pewną pedanterią. Zarówno z pietyzmu dla zmarłego „przyjaciela”, jak dla odczuwania satysfakcji, że jest od niego uwolnionym, zatrzymywał się akuratnie w tych samych miejscowościach, gospodach i pokojach co Robert, zwiedzał okolice, które Robert sobie zachwalał, ale których już ujrzeć nie zdążył.

Im bardziej Strumieński oddalał się od kraju, tym więcej — jak mu się zdawało — czuł, że wartość jego osobista rośnie: nikt nie poznawał w nim plebejusza, a niekiedy nawet uważano go za polskiego hrabiego. Zachowanie się jego w podróży było wahaniem się między pozą: „typ łagodnego Słowianina” a „typ kulturowego Europejczyka”, nb. o czułych na piękno nerwach. Tę drugą pozę podpatrzył u Roberta. Posługując się imieniem Roberta, wszedł w koła artystyczne, w których już pierwaj o nim wiedzano, ale sprawą jego legalności nie zajmowano się tak złośliwie jak w kraju. Artyści przyjęli go z otwartymi ramionami jako materiał na nowego mecenasa sztuki. Strumieński właściwie byłby wołał zostać jej adeptem, byłby wołał próbować tych studiów, które dawniej podpatrywał u Roberta i do których czasami czuł się bardziej powołanym niż zarozumialec Robert. Ale majątek i odziedziczone nowe „obowiązki”, których bądź co bądź zrzekać się nie chciał, uwalniały go poniekąd od obowiązku zostania dobrym malarzem, z drugiej zaś strony, poznanie dzieł imponujących, o jakich dawniej nie miał pojęcia, i obawa podjęcia się olbrzymich trudów sprawiły, że nazwał swoją chętkę „falszywym apetytem”. Zaprzeszał więc malować i winszując sobie tej rozumnej rezygnacji — wskutek której cierpiał tajemnie i teraz, i później — przyuczał się od biedy do roli znawcy i miłośnika, jakkolwiek czuł jej śmieszność i upośledzenie. Głównie jednak wpłynął na taką decyzję Strumieńskiego wypadek, który rdzennym władzom jego duszy nadał inny upust.

Na jakiejś wystawie obrazów ujrział pejzaże Niemki Angeliki Kauffmann — była to tylko imienniczka słynnej malarki z XVIII wieku<sup>23</sup> — i uznał je za „smutne jak śmierć”, tym bardziej kiedy (a raczej: dlatego że?) usłyszał frapujące szczegóły o osobie ich autorki. Że mianowicie ta kobieta to wariatka, nazywa się „niepokalaną Artemidą”, piękna, lecz zimna, niezdolna wzbudzić żaru miłosnego ni w sobie, ni w innych, i że ma *hymen cornutum*<sup>24</sup>: tak dziwnym jest talizman jej talentu! To wszystko go zainteresowało, lecz nie mógł się zdobyć na inny sposób sądu jak opinia publiczna, i raz po ujzeniu jej z daleka, wnioskuje z domniemych szczegółów anatomicznych o jej temperamencie, zabawił się tanim kosztem w obserwatora i zawyrokował: „Ma ona w sobie stanowczo coś niekobie-

<sup>22</sup>Angelika — [Komentarz autora z Uwag.] Imiona kobiece w *Patubie* pochodzą z pietyzmu dla bardzo dawnych wspomnień. Dwa są zaczerpnięte z lektury: Kseńka jest nastrojowo spokrewnioną z Kseńką z *Zamku Kaniowskiego*; z postacią Angeliki Kauffmann zaznajomiłem się jeszcze wiele lat temu, gdym dostał w szkole jako nagrodę dziełko dla młodzieży pt. *Znakomite niewiasty*. Przy pierwszej redakcji *Patuby* niemal mi szło o to, żeby imię „Angelika” wywoływało pewien stały nastrój w czytelniku, przypominający mu coś anielskiego, idealnego. Imię zaś „Berestajka” ma dla mnie znaczenie dwóch pamiątek: i jako ślad dawnych wspomnień, i jako ślad rozmyślań nad psychologią snu. Śniło mi się mianowicie raz, że jako mały chłopak biję się z innym chłopcem, brzydkim a ubranym jakby w jakiś habit zakonny, na sposób Tybetańczyków z *Podróży Landora*. Zrazu miałem nad nim przewagę, potem jednak on obił mnie straszliwie. Nazywał się Beresaczko. Otóż zbudziwszy się przyszedłem do przekonania, że nazwisko to pochodzi ze zrobionej we śnie kumulacji nazwiska „Borodajko” (które nosił jeden z moich kolegów gimnazjalnych, zresztą całkiem mi obojętny) ze słowem Beresteczko. Ale zdawało mi się, że proces kumulacji wskutek powolności snu nie został zakończony, gdyż ostateczny rezultat powinien był brzmieć: Berestajko, a nie: Beresaczko. Otóż żeby niejako naprawić, zaokrąglić ten „patubizm” snu, wpakowałem nazwisko „Berestajko” do mej powieści, robiąc to właściwie wbrew jej duchowi, ponieważ szanując twory rzeczywistości powinienem był zatrzymać nazwisko: Beresaczko. [przypis autorski]

<sup>23</sup>Angelika Kauffmann (1741–1807) — pochodząca ze Szwajcarii malarka i portrecistka; autorka neoklasycystycznych płócien o tematyce mitologicznej oraz portretów członków arystokracji europejskiej; nauczycielka sztuki księżniczek neapolitańskich. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*hymen cornutum* (łac.) — rogaty hymen; *hymen* tu: błona dziewicza. [przypis edytorski]

cego”. Tym przesądom pseudonaukowym rzeczywistość udowodniła wkrótce kłamstwo, bo Angelika była zupełnie inna.

Znajomość ich zaczęła się w czasie, gdy Strumieński pielęgnował jeszcze swój talent malarski. Dowiedziawszy się, że Angelika udziela lekcji rysunków, prosił ją o naukę, przeczuwając, że w ten sposób najprędzej zastąpi szal malarski innym szalem. Angelika, przyzwyczajona do uczenia tylko początkujących, domyśliła się, że idzie mu o dyskrecję — to było pierwszą ich serdecznością. Ona starała się pozyskać jego sympatię, przejmując się jego wykształceniem malarskim bardziej na serio, niż było potrzeba, dyskredytując przed nim tajniki sztuki — on kokietował ją, odkrywając przed nią zupełny brak zdolności w sobie i przychodząc do przekonania, że jego zapal do sztuki był tylko zapalem w ogóle. Wkrótce też miał już to, do czego dążył: zakochał się. Że Angelika była odeń starsza o lat kilka, to mu nic nie szkodziło, owszem, przez to stosunek nabierał w jego oczach szczególnego uroku. Było tu wyrachowanie uczucia: że Angelika z wdzięczności wynagrodzi go osobno za różnicę wieku i pokaże mu, iż inna kobieta, młodsza, świeższa, nie kochałaby go tak, jak ona. Tak samo nie zrażało go jej ubóstwo, owszem, dzięki temu ubóstwu spodziewał się mieć z niej doskonałą uczestniczkę w tej dziwnej przejściowej sytuacji, jaką mu zgotowało odziedziczenie majątku. Angelika zaś imponowała mu nie tylko pięknnością, ale i niespotykaną przezeń dotychczas nigdzie inteligencją i giętkością umysłu, którą nabyła podobno przez życie wśród artystów i uczonych. Ujmowała go szczególnie tym, że na dnie jej inteligencji dostrzegał coś, co mu się wydawało naiwnością, dziecięcością, a co później uznał za wariactwo. Zresztą Strumieński i tak z natury pozwalał się wszystkiemu terroryzować, nie dopuszczając do głosu zastrzeżeń, jakie się w nim budziły.

Kobieta, Artystka

Co do Angeliki, to i ona wnet straciła władzę nad swym sercem, tak jak się tego po sobie sama nie spodziewała. Z początku podobał jej się tylko strasznie ten „gorący Słowianin”, rozwinęła więc wobec niego całą potęgę pewnego przymiotu, który by — nie bardzo trafnie — można nazwać konwersacyjnym. Oto umiała w sposób niezmiernie zręczny igrać z faktami rzeczywistości, wyszydzać je lub zamieniać na fakta iluzoryczne, należące do jakiegoś urojonego fantastycznego kompleksu, przy czym świadomie unikała lub wymijała wszystko, co by mogło popsuć nastrój wywołany za pomocą jej kłamstw i projektów. Kto nie chciał wejść w koła takiej komedii, ten albo nudził się, albo po kilku pojedynkach na szyderstwa wydawał złośliwy sąd, że byłaby z niej lepsza poetka niż malarka. Trafem Strumieński doskonale reagował na ten objaw jej charakteru, a ponieważ wspomniany aparat bajkowo-konwersacyjny Angeliki był w gruncie rzeczy obliczony na sprawy erotyczne, więc też i Strumieński, osnuty złotą przędzą kłamstw Angeliki, stał się jej „ofiara”.

Słowo, Kobieta, Flirt

Ofiarą zaś był na razie dlatego, ponieważ, jak mu się zdawało, Angelika trzymała się sama z daleka od tych fantastycznych oaz, którymi jego wyobraźnię ludziła. W istocie Angelika na pozór zachowywała się sztucznie. Udawała obojętność i wyższość, przebywanie na szczytach lodowatych, niedostępnych dla ziemskiej miłości, wymyślała dla Strumieńskiego różne próby jak dla rycerza średniowiecznego, lecz z drugiej strony, w obawie, by nie zraził się, w krytycznej chwili umiała niby nieumyślnie zdradzać za pomocą słów, gestów czy spojrzeń całkiem inną sferę uczuć u siebie i otwierać jego nadziejom dalekie perspektywy. Powodem tej taktyki był wygórowany wstyd swego błędu anatomicznego, wstręt przed konieczną w przyszłości operacją, a zarazem duma, dążąca do zachowania jak najdłużej tego wyjątkowego stanu, który ją uczynił godną jej imienia. Także Strumieński wiedział o możliwości usunięcia przeszkody za pomocą operacji, mimo to bardziej mu dogadzało traktować sprawę w duchu Angeliki, to znaczy kochać się z nią tak, jakby siebie wzajemnie nigdy w życiu posiadać nie mogli. Przed oczyma jego duszy majaczył mu godny urzeczywistnienia, wspaniały, ale niewyraźny obraz „idealnej”, czystej miłości, a ową drobnostkę anatomiczną uważał za święty symbol, za tajemniczą wskazówkę duchów, jak tę „zagadkę” pojmować należy.

Miłość platoniczna

Wnet stała się Angelika współniczką tych pomysłów i zawarli ze sobą ślub czystości. Ale eksperyment ten „zepsuła” natura. Po pewnym czasie, kiedy pierwszy zapal ostygł, a przebywanie razem wytworzyło między nimi setki niedających się określić węzłów i poślizgnięć, wpadali już oboje na rozmaite pomysły, jakby sobie stworzyć surogat w miejsce brakującego czynnika fizjologicznego.

Wyrazem pierwszego etapu tych rzadkiego rodzaju miodowych miesięcy była seria obrazów Angeliki, w których ona, porzuciwszy swe dotychczasowe smutne tematy, zaczęła malować krajobrazy przedstawiające niebo. Niebo pełne refleksów słońca, niebo podczas burzy, zasiane czarnymi chmurami w oświetleniu błyskawic, niebo nocne, ciche i przepaściste, pełne gwiazd i dróg mlecznych lub pełne dziwnych istot je zamieszkujących, niepodobnych do bóstw żadnego Olimpu. Przy tych pracach pomagał jej radą i zachętą Strumieński, wywiadywał się sam pilnie o różne zjawiska z meteorologii i optyki i zbierał potrzebny dla niej materiał naukowy. Drugi etap atoli<sup>25</sup> mniej zawierał epizodów nadających się do malarstwa, ale mogłyby o nim coś opowiedzieć ptaki Adriatyku, które w locie swoim koło kolumn marmurowych w ogrodach cienistych widziały dwa ciała rozżarzone namiętnością, tułące się do siebie pod zwojami bujnych, wonnych kwiatów południa.

Skończyło się to na tym, że przecież zdecydowali się obniżyć poziom swej miłości o parę nieb i niby to dopiero teraz dowiedzieli się, że w tym wypadku Eskulap może pomóc Afrodycie. Angelika w masce udała się do lekarza, który usunął fizyczny warunek wyjątkowości. Stało się to w Italii, w tym kraju „klasycznych” zaokrąglen natury.

Stali teraz pochyleni nad rzeką płynącą niby to z dalekiego raj, tłumili gwałtowne westchnienia i nasycali się tęsknotą. Ale i w tym było instynktowne wyrachowanie: oto bowiem chcieli zapomnieć o wmieszaniu się prozaicznego lekarskiego żywiołu, ale żeby się nie wydawało, iż im tylko o to chodzi, zapelnili tę pauzę girlandą nowych wrażeń i pomysłów. Pokazało się wówczas, że jest do załatwienia jedna ważna kwestia: bankructwo miłości platonicznej. Musieli się wreszcie przyznać do tego, usprawiedliwić to jakoś przed sobą, zmienić. Uradzili więc, że miłość platoniczna nie znika, lecz tylko anektuje nową dziedzinę, rozszerza się, platonizuje pierwiastek zmysłowy. A kiedy wreszcie przeszli po tym moście na drugą stronę, wmawiali w siebie, że odczuwają rozkosze nie wiedzieć jak niebiańskie. Nie mówili jednakże o tym, czy pierwiastek zmysłowy istotnie został splatonizowany, wrażenia bowiem, które mieli wzajemnie z siebie, były tak nowe i elementarne, że na szczęście nie mogli ich umysłem opanować ani zaklasyfikować. W tego rodzaju rozkoszy są pewne fizyczne konsekwencje, których dowolnie omijać lub zmieniać nie można.

Miłość platoniczna, Miłość spełniona, Seks

Wyrazem tego trzeciego etapu w ich stosunku była *Księga Miłości*, rodzaj pamiętnika erotycznego w obrazach, do którego Strumieński chciał tekst napisać. Powstanie owej księgi wiązało się z pewnym nadzwyczajnym pomysłem, który podobnie jak wszystkie inne ich pomysły został potem albo zeskamotowany<sup>26</sup> milczeniem albo niewykonany. Oto Angelika i Strumieński wnet przyszli do poznania martwych punktów w miłości zmysłowej i przerazili się ich obecnością. Były one zapowiedzią końca ich urojeń, wykazaniem jednostajności materiału, którym rozporządzali. Postanowili więc walczyć z tym czynnikiem, który ich zreformowanej, rozszerzonej miłości zagrażał nowym fiaskiem. Wśród egzaltacji przyszli sobie do przekonania, że jest problemem, kryptogramem świata, który należy rozwiązać, który rozwiążą oni, kapłani miłości. Odcyfrowaniem zaś tej zagadki wydawała się im wspólna śmierć przez miłość. Umrzeć z nadmiaru życia, nie czekać na powolne wyczerpywanie się miłości, wydrwić tę straszną śmierć, która by może chciała zabrać jedno bez drugiego. W jaki sposób ma się to stać, to miało być przedmiotem ich narad w najszczytniejszych chwilach, najwyższą kulminacją ich duchów i ciał, ostatnim największym tryumfem. Czy by to był jakiś stan trwałej ekstazy, nieruchomego zapatrzenia się w siebie, zahipnotyzowania się wzajemnego wzrokiem i myślą, bez możliwości przebudzenia się, czy takie rozigranie się fantazji, połączone z obojętnością na wszystkie inne sprawy, żeby aż głód sprowadziło, czy zupełne wyczerpanie się fizyczne, czy też trzeba by było koniecznie pomóc jakimś środkiem z zewnątrz (rewolwerem, trucizną) — tego oboje nie wiedzieli, ale uspokajali siebie, że jeżeli nie wiedzą, to właśnie tylko dlatego, aby mieli po co żyć (sprzeczność!), o czym myśleć, żywić jakieś nieskończone pragnienie w swojej miłości. Mówili sobie nawet, że to by było złe, gdyby wiedzieli „jak”, bo przecie z nimi razem wiedziałby o takiej możliwości i cały świat, podczas gdy właśnie znaleźć ją mają tylko oni oboje, bo po to przyszli na świat. Otóż w *Księdze Miłości* mieli opisać tę

Miłość spełniona, Miłość silniejsza niż śmierć

<sup>25</sup>atoli (daw.) — mimo to, wszakże, jednak. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>zeskamotowany (daw., z fr. *escamoter*) — zręcznie ukryty. [przypis edytorski]

swoją podróż ku śmierci i pozostawić ją wraz z tajemnicą śmiertelności wynalazku w spuściznie wszystkim miłosnym parom, które by ich naśladować pragnęły.

Takimi pomysłami raczyli się jak muzyką, ale byli zbyt ostrożni, żeby kiedykolwiek jasno się deklorować, czy je biorą na serio czy nie. Zresztą mimo tych wszystkich spacerów w dziedzinie niemożliwości wracali zawsze z wielką pewnością na ubitą drogę praktycznego żywota. Strumieński przemyślał nad tym, że trzeba by przecież wrócić do kraju, dokąd go powoływał stan interesów, Angelika zaś przychyliła się do tego z innych powodów.

Podobnie jak w oko, szeroko rozwarte i z zaufaniem wpatrzone w błękit, wpada czasem mała muszka i zmusza je do zamknięcia się i gwałtownych drgawek, tak samo i horyzont jej szczęścia zaciemnił się przez głupstewko. Oto Angelika skompromitowała się na polu artystycznym: znawcy zarzucili jej plagiaty. Sąd ten, chociaż niebezpieczny, był jednak za surowy, bo plagiowanie u Angeliki miało źródło nie w chęci oszukania publiczności, lecz w nieodporności jej umysłu, było niejako jej potrzebą. Angelika tak się nieraz zachwycała i przejmowała urokiem niektórych cudzych pomysłów i efektów, że nie mogła się oprzeć popędowi odtwarzania ich na nowo, niemal niewinnie, a o talencie jej świadczyła tylko czystość naśladownictwa. Strumieński, chcąc ją bronić, wydał broszurkę, w której utrzymywał, że w sztukach plastycznych w ogóle nie może być mowy o plagiacie, ponieważ wszystko zależy od wykonania i naśladownictwo może nawet przewyższać oryginał, tak jak tego dowodem były podług niego właśnie obrazy Angeliki. Odpowiedziano mu, że wyrwał się jak Filip z Konopi, gdyż właśnie owe kopie są nieudolne. Dość że polemika ta przysporzyła mu nieprzyjemności — nawet ze strony Angeliki — i przyspieszyła powrót do kraju, na łono zajęć nieartystycznych.

Angelika, zniechęcona do Włoch tym epizodem, mówiła sobie teraz tak: tam, w ustroju, z dala od zgiełku świata odświeży się ich miłość, przywdzieje nowe szaty. Biedne, nie tak natarczywe wrażenia przyrody nie odwrócą już od tej miłości jego uwagi i Angelika stanie znowu na piedestale. Nienawiść ludzi naokoło, o której opowiadał, będzie czarnym tłem tego piedestału. A przede wszystkim tam wróci jego zachwiana wiara w jej talent.

Nie wiedziała, że i on pragnie ją mieć na swoim terenie, aby nad nią lepiej zapanować i rozjaśnić sobie pewne szczegóły pożywania z nią, które spostrzegał niekiedy, w nagłych momentach i notował na dnie swej duszy<sup>27</sup>. Była to jakaś „reszta” w jej charakterze, której

Sztuka

Miłość, Kobieta, Mężczyzna

<sup>27</sup>na dnie swej duszy — [Komentarz autora z *Uwag.*] Słowa „dusza” używam w starym znaczeniu, tj. jako urojonego substratu wszystkich naprawdę dostrzegalnych zjawisk psychicznych: wyobrażeń, myśli, uczuć, kojarzeń logicznych i nielogicznych, i wszelkich przedmiotów duchowych albo uświadomionych, albo takich, które mogą być uświadomione, a więc nawet wizji, delirów, przeczuć itd. Notatka ta nie byłaby potrzebna, gdyby słowa „dusza” od pewnego czasu u nas nie skompromitowano przez nadużywanie go w innym kierunku. Mianowicie dusza ludzka ma być już to częścią duszy wszechświata, już to jej objawem, już to tym samym co ona itp.; wreszcie „naga dusza” Przybyszewskiego jest tylko spolszczoną „wołą” Schopenhauerowską. Przeważnie też przypuszcza się, że objawy tej drugiej duszy są jakościowo inne jak duszy tamtej, że są to tylko przebłyski, echa zabłąkane, ślady, jasnowiedzenia itd. W ten sposób to niejasne, sentymentalne pojęcie duszy, jakie dotychczas kursowało głównie wśród kobiet, otrzymało rodzaj wyższej sankcji, zostało zrehabilitowane, nie przestając być banalnym. Ale choćby nawet takie pojęcie było prawdziwe, to odstraszałaby mnie od niego już sama jego łatwość i płytkość mimo pozornej głębokości, dalej podejrzana plastyczność porównań, jakimi się musi posługiwać, wreszcie jaskrawa nieautentyczność sposobu jego odkrycia, który polega li tylko na konstrukcji i skrytym lgnięciu do wewnętrznego unaoczniania sobie różnych rzekomych zagadek. Jeśli się przeniknie genezę jakiejś teorii, czyli pojmie ją od strony subiektywnej, to się już nie ma ochoty walczyć z nią obiektywnie. Ale właściwie i moje określenie „duszy”, chociaż zupełnie wystarczające do celów *Patuby*, nie da się filozoficznie utrzymać, suponuje ono bowiem albo także coś, co się „objawia”, albo jakiś rezerwuwar zjawisk, o którym się nic nie wie. Raczej by powiedzieć należało: dusza jest znakiem konwencjonalnym, którego się używa dla skrócenia, gdy ktoś chce zaznaczyć, że mówi o sumie zjawisk psychicznych. Nie ma bowiem „duszy”, są tylko zjawiska psychiczne (aforystycznie powiedzmy: nie ma rzeczownika, jest tylko czasownik), czyli pewnego gatunku „elementy”. Tu trzymam się Macha [*Ernst Mach* (1838–1916), fizyk i filozof austriacki; red. WL], myśliciela, który w ostatnich czasach dał moim własnym pomysłom pożądaną przeze mnie od dawna filozoficzną podstawę i gwarancję. Dla zupełności powiem czytelnikom moim krótko, na czym ta filozofia polega. Oto wyklucza ona dualizm ducha i ciała, podmiotu i przedmiotu, a na to miejsce wprowadza monizm najprostszy i najoczywistszy, zamieniając wszystko na wrażenia, a raczej na „elementy”, które między sobą różnią się nie co do swej „istoty”, ale co do kierunku, w którym się je bada, co do pola, na którym się ukazują. „Świat jako jedna masa wrażeń silniej z sobą związanych w tzw. ja”. Mach daje taki inwentarz: 1) A, B, C... kompleksy barw, tonów itd., czyli tzw. przedmioty zewnętrzne; 2) K, L, M... kompleks zwany naszym ciałem, a będący tylko szczególnie wyróżnioną częścią pierwszej kategorii; 3)  $\alpha$ ,  $\beta$ ,  $\gamma$ ... kompleks uczuć, obrazów, pamięci itd. Otóż zazwyczaj mylnie przeciwstawia się trzecią kategorię kategorii pierwszej i drugiej lub trzecią i drugą pierwszą, imaginując sobie jakieś „ja” i jakiś „świat ciał” czy też „świat zewnętrzny”. Mach przeprowadza w tych kategoriach niejako zrównanie stanów, robi to, co by można nazwać zrepublikanizowaniem „ducha”. Właściwie bowiem, rzetelnie rzecz biorąc, trzecia kategoria jest tak samo światem przedmiotów wewnętrznych jak pierwsza

by nie umiał określić, a którą odczuwał tylko w chwilach zbytnej niecierpliwości w przełamaniu nieporozumień między nią a sobą, nieporozumień drobnych, ale ważnych, bo wskutek nich wydawało mu się, że są pewne zastrzeżenia i niebezpieczne furtki, przez które jej miłość uciec może. W ten sposób jedno czyhało na miłość drugiego i pilnowało jej, a wzajemność miała charakter podstępny i wyłudzenia: sekret, który w historii każdej miłości odgrywa wielką rolę. Żeby nie pozostawiać czytelnika w wątpliwości co do owej „reszty”, której sobie Strumieński nie mógł (?) uświadomić, powiem już teraz sam, o co tu mniej więcej chodziło. Oto np. zauważał jej kłamstwa (pociąg do kłamstwa łączył się u niej z pociągiem do plagiatowania) i nie umiał sobie zdać sprawy, jak i po co robi to kobieta tak inteligentna. Po drugie: on chciał brać pomysły i marzenia na serio<sup>28</sup>, lecz nie miał z jej strony pomocy, widział z niezadowoleniem, że ona nie chce udawać wiary w te projekty cudackie i traktuje je tylko jako fantazję. Mogła tu grać rolę także różnica wieku. Wreszcie on — pod pozorem platonizowania zmysłowości — stawał się czasem nienasyconym i za swobodnym i miał Angelice za złe, gdy mu dawała do zrozumienia, że w takiej miłości ginie jej godność czysto ludzka, i gdy mówiła, że ona musi stać na straży świeżości miłosnego czaru. Jeszcze raz powtarzam, że tych różnic Strumieński nie analizował, przeciwnie, między obojgiem panowała „cudowna harmonia myśli”, mieli nawet wspólny język frazesów. „Harmonia” — już w tej eufemistycznej nazwie mieściło się zaznaczenie niezgodności, a więc dysharmonii, co zaś do wspólnego języka, to rzeczywiście nazwy były wspólne, ale każde łączyło z nimi nieco inne wyobrażenia i nadzieje, a czasami używali swoich teorii erotycznych na polemikę o rzeczy blahe, ale konkretne.

Słowo, Miłość, Pozory,  
Konflikt

Są jednak już w Wilczy. Tu stosownie do przewidywań Angeliki i Strumieńskiego miłość ich nabrała nowej siły, uzyskała odrębny koloryt. Zdawało się im, że są w jakiejś świątyni wśród lasu pełnego dzikich ludzi i zwierząt. Takie zabarwienie ich stosunku wywołane było w ich duszach li tylko przez analogię miejscowości na skalę o wiele drobniejszą: mianowicie, gdy Strumieński rozkazał kaplicę po prababkach, położoną w lesistej części ogrodu, przerobić na wspaniałe *atelier*<sup>29</sup> dla żony i nazwał je muzeum Angeliki.

Miłość, Sztuka

W tym muzeum powstają nowe obrazy, tam *Księga Miłości* wzbogaca się nowymi rozdziałami. Teraz Strumieński bierze w artystycznych pracach Angeliki coraz większy udział, przewyższa ją w wymyślaniu kłamstw, poddaje jej tematy, które ona chwytła i wykonuje, pobudza ją do snucia jej własnych pomysłów i pilnuje przy pracy. Otoczy ją wszystkimi wygodami i zbytkami, Gela nie będzie już więcej malować dla innych ludzi, tylko dla niego, wyłącznie dla niego, a raczej dla nich obojga. Miłość i sztuka — bo wszakże miłość jest także sztuką, nieprawdaż? Dzieci są w niej koniecznym przypadkiem, nie dziełem. Ach, jakież dzieła można by uzyskać ze zespolenia jednej i drugiej! Gdy inni ludzie kochają, z najlepszych żarów zostaje im tylko popiół pamięci, który czas rozwiewa; miałażby *ich* miłość nie być nieśmiertelną? Czyby raczej nie powinna stworzyć pamiątek, w których by zaklęte były wszystkie urocze chwile, ich natchnione improwizacje wzajemnego uwielbienia i melodie słyszane w ekstazach rozkoszy? Jeżeli skąpa natura dała dla miłości tylko jeden, niewybredny instrument, czyż nie należało jej poprawić i w świecie nadzmysłowym zbudować drugiego świata dla nowych możliwości, dla lepszych, czystszych dusz i ciał... Oto jest spółkowanie na wszystkich polach, oto jest legendowe przezwyciężenie zwierzęcego pierwiastka w człowieku, powolny proces uduchowienia się ludzkiej psychy od bram piekielnych do horyzontów niebieskich itp.

Miłość romantyczna

i druga, bo zarówno drzewo jak wyobrażenie o drzewie spostrzega się i w zasadzie wrażeniami są zarówno stół, kwiat, ton, jak gniew, ból zęba, sen, jakby nimi były nawet wszelkie wizje, istoty nadprzyrodzone, duchy itp. Tylko że gdy idzie o uczucia i myśli, wtedy sposób spostrzegania i kontrolowania spostrzeżeń jest mniej jasny i uchwytany niż wtedy, gdy idzie o tzw. rzeczy konkretne, i dlatego to przedmioty umysłowe otoczono specjalną aureolą, której zdarcie przynosi tylko zysk, nie stratę. Kto ciekaw, jak to wygląda u Macha, tego odsyłam do jego dzieła *Analyse der Empfindungen* [niem.: analiza wrażeń; red. WL], zwłaszcza do pierwszego rozdziału pt. *Antimetaphysische Vorbemerkungen* [niem.: antymetafizyczne uwagi wstępne; red. WL], który, jak łatwo poznać, tytułem swoim poddał mi myśl ochrzczenia mego pegaza „antypoetycznym”. Przebaczenie panowie uczeni, że mówię rzeczy wam tak dobrze znane, ale ponieważ nie chcę być fałszywie zrozumianym, wolę powiedzieć za dużo niż za mało. Sądzę też, że robiąc propagandę na rzecz filozofii Macha, robię coś, co jest bezwzględnie pożytecznym, chociażby nawet nie miało bezpośredniego związku z *Patubą*. [przypis autorski]

<sup>28</sup>on chciał brać pomysły i marzenia na serio — [Komentarz autora z *Uwag.*] Właściwie i on nie, lecz szło o stopień udawania, przejmowania się, by mieć przyjemność z tych autosugestii. [przypis autorski]

<sup>29</sup>*atelier* (fr.) — tu: pracownia artysty. [przypis edytorski]



Stało się jednak, że pomimo takich bardzo anielskich teorii tematy *Księgi Miłości* trzymały się więcej piekła niż nieba. Ten sam stosunek przybierały do siebie także odpowiednie pierwiastki w kochaniu, i to właśnie stanowiło dla Strumieńskiego i Angeliki ten tajemniczy węzeł, o którym oboje naumyślnie prawie nie wspominali, ale który ich łączył najwięcej.

Nie mogło jednak być inaczej, skoro czuli, że mimo obopólnych starań powstają między nimi wciąż nieporozumienia, i to w sprawach, które im się wydawały dość prymitywnymi — dlatego, bo nie wiedzieli, że z nimi są związane najgłębsze korzenie ich charakterów. I tak np. chciał Strumieński, by Angelika nauczyła się bodaj tyle po polsku, żeby mogła przy jego pomocy poznawać ulubione mu książki polskie i rozumieć, a nie tylko odczuwać pieszczotliwe i słodkie słowa, które żartem lub przez zapomnienie wypowiedział do niej w tym języku. Ona, zniecierpliwiona po kilku próbach, przerwała te niemiłe i trudne lekcje skarżąc się, że on widocznie chce ją tu zaaklimatyzować; Strumieński zaprzeczał, robił jej wyrzuty, że go obwinia o jakieś filisterskie przesady — a przecież Angelika nie tak bardzo się myliła. Jej tajnym życzeniem natomiast było, żeby mąż sprzedał majątek i wyjechał z nią w podróż. Po kryjomu nudziła się w Wilczy, mówiła sobie, że jednostajność krajobrazu działa na jej talent zabijająco, że ten talent odczuwa niemal nostalgię za prawdziwym pięknem przyrody. Strumieński wyczuwał z lekkich aluzji, o co jej idzie, zarzucał jej brak szczerości i zaufania, przyrzekał, że to się jakoś zmieni, mówił, że sprzedać majątku tak zaraz nie można i — że przecież tutaj dobrze, taki zaciszny mają kącik, jakby stworzony dla miłości. O śmierci przez miłość nie było już mowy, tym bardziej że Strumieński tak właśnie regulował swoje gospodarskie interesy, jakby miał ciągle żyć, a zajęcia tak mu się układały, że ich nie mógł ani zakończyć, ani przerwać. Z dnia na dzień zwlekał więc z załatwieniem życzenia Angeliki, czekał na przypadek, który by mu decyzję ułatwił, np. na zaostrenie się stosunków z Mariuszami i sąsiadami do tego stopnia, by pobyt jego w ojczyźnie stał się niemożliwym. A przecież, z drugiej strony, żał mu było Wilczy, nie chciał, by taki przypadek nastąpił, przy tym nie uśmiechała mu się rola impresaria Angeliki. Chciał mieć coś w rękach, czym by moralnie górował nad nią, co by przeciwstawił jej inteligencji i talentowi. Wciąż bowiem jeszcze uważał ją za niezwykłą kobietę, jakkolwiek jednocześnie z tym respektem łączył się w jego duszy brak respektu dla jej sztuki — ślad ujemnych krytyk, które o niej słyszał. Ten brak należytego respektu odczuwała Angelika w kurateli, którą roztaczał Strumieński nad jej twórczością, a przy tym miewała westchnienia w duszy, że zbyt na serio wziął jej pozę zrzeknięcia się dalszych występów publicznych. Dlatego też lubiła — nb. żartem<sup>30</sup> — hamować zbyt jego zapęły teoretyczne, nadto zdawało jej się, że jako fachowa, jako twórczyni, może je sobie lekceważyć. Słyszała gdzieś, że *grau ist jede Theorie*<sup>31</sup>. Atoli mimo tych podszeptów ambicji miarkowała, że jej siła i wiedza techniczna nie dorastają tych nowych zadań, jakie sobie w sztuce stawiali. Mówiła mu wtedy, że czuje brak talentu, lecz on zachowywał się wobec tego tak, jakby chciał jej zarzucić: „Udajesz to naumyślnie, aby nie poddawać się mojemu wpływowi”.

Lecz to wszystko nie wyczerpuje całej gry motywów; sięgały one jeszcze głębiej. Tu jednak wypada mi zaznaczyć ponownie, że wszystkie te motywki praktycznie z lekka tylko marszczyły powierzchnię ich życia, wywoływały małe sprzeczki, jako preteksty do nowych serii pocałunków, po czym oboje stwierdzali, że z każdym dniem kochają się coraz bardziej. Wszak tworzyli słynną, a raczej osławioną parę wariatów, a w okolicy mówiono o ich pożyciu legendy, w których pod maską szyderstwa ukrywał się taki podziw i zazdrość, jakie bywają wobec samobójstwa.

Zaszedł jednak wypadek, który otworzył ukryte ruchome dno w tym statku miłości, płynącym niby na osłep w krainę ułudy. Na Angelikę przyszedł czas ciąży i wywoływał różne zmiany w jej psychicznych dyspozycjach, od dawna zresztą przygotowywane. Najprzód zdawało jej się, że czuje, iż coraz bardziej traci talent i ochotę do artystycznej pracy. Była to może tylko autosugestia, bo Angelika wyczytywała swego czasu z ksią-

Kobieta, Ciało, Dziewictwo,  
Matka, Dziecko, Sztuka

<sup>30</sup>nb. żartem — [Komentarz autora z *Uwag*.] Rola żartu, jako jedyne czasem objawu, w którym się wynurzają tajemne uczucia wchodzące w skład jakiegoś oficjalnego stanu duchowego. [przypis autorski]

<sup>31</sup>*grau ist jede Theorie* (niem.) — dosł. każda teoria jest szara; w domyśle: tylko doświadczenie czy praktyka są barwne, tj. żywe i płodne; jest to nieco zniekształcony cytat z *Fausta* Goethego, gdzie podobne słowa wypowiada Mefistofeles. [przypis edytorski]

żek, że aspiracje artystyczne występują zwykle tylko u tych kobiet, które chybiły swego właściwego, kobiecego powołania, i że gasną, jeżeli taka kobieta zostanie żoną i matką. Przekonanie, że tak samo jest i z nią, wzmacniała w niej obawa<sup>32</sup> o swój intelektualny, a w następstwie i towarzyski wpływ w domu Strumieńskiego, bo mniemała zarozumiale, że bądź co bądź talent jest posagiem. A nie szło jej tylko o zewnętrzną stronę sprawy, tj. o to, by Strumieński nie wstydził się jej przed światem, lecz i o to, że jak sądziła, z pewną ujmą dla męża, jej kunszt malarski jest główną podstawą ich stosunku, a zarazem rękomią miłości Strumieńskiego, bo umożliwia mu złudzenie dostępu do twórczości, czyli do tej dziedziny, którą z takim żalem porzucał. Gdyby jedynym czynnikiem tej miłości pozostała jej piękność, to ona, Angelika, spadłaby do rzędu tych kobiet, które dumnie nazywała przeciętnymi i tak nienawidziła, jak one ją.

Niepokój Angeliki nasycił się z pewnego źródła, które przed jej poznanie się ze Strumieńskim było bardzo wysoko, a potem schowało się, lecz nie wysychało. Oto wówczas, kiedy jej ciało i — o ile możliwości — myśli były „czyste”, uprawiała ona fanatycznie kult własnego ciała, własnej piękności i dziewiczej dumy, dla której miłość mężczyzny byłaby największą hańbą. Jak wiadomo, przyczyną takich ostateczności u niej był pewien szczególnie fizjologiczny. Wtedy to obdarzono ją na wpół szyderczym przydomkiem „niepokalanej Artemidy”, wtedy próbowała nawet założyć „klub Amazonek”, złożony z pięknych tylko i mądrych dziewczyc, lecz klub ten nie wszedł nigdy w życie, i wskutek szykan, i wskutek tego, że sama inicjatorka wnet straciła kontenans<sup>33</sup>. Ale wspomnienia z tej kryształowej epoki życia, złączonej nadto jak najściślej z pierwszym rozkwitem jej talentu, odżyły teraz w Angelice, kiedy widziała swoje ciało pozbawione pięknych kształtów, pomarszczoną (w lustrze imaginacji) twarz i czuła zanik weny artystycznej. W takich chwilach ogarniał ją żal do Strumieńskiego za to, że wyrwał ją z jej poprzedniego „anormalnego” stanu. Czuła bezsensowność i niesprawiedliwość tego żalu, a jednak nie mogła mu się oprzeć, zwłaszcza wtedy, gdy rozpoczynające się przypadłości fizjologiczne coraz bliżej nasuwały jej myśli o strasznych cierpieniach i o możliwej śmierci. Z drugiej zaś strony, wiedziała, że stan jej ma być dla niej „błogosławionym”, że powinna odczuwać radość i szczęście, gdy tymczasem ona odczuwała tylko groźbę przed procesem odbywającym się we wnętrzu jej ciała, jakby się z nią miało stać coś innego jak z innymi kobietami. Pochodziło to stąd, że dawniej nie przygotowywała myśli swych i serca na tę epokę i teraz czuła się zbrutalizowaną, użytą przez naturę do podrzędnej funkcji. Tajemnym jej zmartwieniem i wstydem było, że nie kocha swego płodu tak, jak by kochać powinna, i drżała, by on, mąż a przyszyły ojciec, tego nie dostrzegł. Wprawiała się więc wysiłkiem woli w usposobienie, jakie by według znanych jej szablonów posiadała każda szczęśliwa przyszła matka, i fantazją doprowadzała to sztuczne usposobienie do egzaltacji. Takowe miotanie się sprzecznych uczuć, przy wątłym jej zdrowiu i przy ciągłym nałogu do mistyfikowania Strumieńskiego inną powierzchnią swej duszy, wywołało u niej znaczne rozdrażnienie nerwowe — lub raczej może było psychologicznym wykładnikiem rozdrażnienia istniejącego już wskutek zmian fizjologicznych.

Strumieński na pierwszą aluzję Angeliki o wypadku zachował się tak, jakby zapomniał, że to się w ogóle stać mogło, a potem padł jej do stóp i ze łzami w oczach przeproszał. Nie przeczuwając, że może się stać naprzykrzonym, skwapliwie strzegł jej i pilnował przy pomocy swej starej ciotki (bo matka już była umarła), wypytywał o dolegliwości, rozwijał dalej jej myśli o dziecku, a gdy ona mu żartem wytknęła tę natarczywą troskliwość, mówiąc, że jest mądrzejszym od jej lekarza, odparł również żartem, że bierze sobie przykład z samca gołębia, który luzuje samiczkę w wysiadaniu jaj i bodaj czy nie z większą pompą i namaszczeniem spełnia tę funkcję niż ona. Przez to zaś właśnie potwierdzał Strumieński przypuszczenia Angeliki, że podobnie jak pierwiej narzucał jej swoje idee artystyczne, tak teraz uważa ją za naczynie do urodzenia jego dziecka.

Gdy Angelika przyzwyczała się do swego stanu, myśli jej opuściły tor dotychczasowy i zeszyły na inny. Wkrótce w chaosie jej uczuć jedno było dla niej bezpośrednio jasnym:

Mąż, Żona, Kobieta,  
Mężczyzna, Dziecko

Miłość

<sup>32</sup>przekonanie (...) wzmacniała w niej obawa — [Komentarz autora z Uwag.] Jaśniejszym przykładem będzie Otello, w którym obawa, by go Desdemona nie zdradziła (a może przecucie, że tego wart), jest tak silna, że od wewnątrz wywołuje w nim uczucie przekonania o jej zdradzie: jakby instynkt samozachowawczy kompleksu obawy podtrzymywał fałszerstwem rację bytu tego uczucia. [przypis autorski]

<sup>33</sup>kontenans (daw.) — pewność siebie. [przypis edytorski]

że go „kocha nieskończenie”. Wszystkie jego zabiegi wydawały się jej dzięki swej miłej przesadzie nad wyraz pięknymi i rozczulającymi; smagała wtedy ukrytą w głębi duszy hydrę egoizmu i pychy, którą wykarmiły w niej lata samoistnego życia. Najwięcej jednak do tego zwrotu psychicznego przyczyniła się pogłoska, iż swego czasu Mariusze celem załagodzenia sprawy spadkowej mieli zamiar wprowadzić Strumieńskiego w swoją rodzinę przez ożenienie go z jedną z panien Strumieńskich. To uprzytomniło jej zaraz, jaki skarb posiadała, i nadało jej fizycznemu upodobaniu w mężu cechę skąpstwa i chytrej gwałtownej zazdrości. Mniemała, że Strumieński musi żałować tego, iż zamiar Mariuszów spełził na niczym, a gdy on przeczył, mówiła mu, że się myli, że nie zna tajemnic własnego serca. Równocześnie jej rozpamiętywania o śmierci — uzasadnione zresztą przez sytuację — były coraz częstsze, tym bardziej że знаła nieodporność swego zdrowia. Wówczas to ułożyła sobie pewien plan utrwalenia swego obrazu w duszy Strumieńskiego po swej śmierci, plan nie całkiem zresztą oryginalny i niemający szans upracticznienia, ale który mocą swej fantastyki tak ją samą olśniewał, że dawał jej niemal zupełne uspokojenie. W pewnych chwilach nawet cel był dla planu, a nie plan dla celu, tak ją to entuzjazmowało. Zostawiając mężowi dziecko i swój utajony konterfekt<sup>34</sup>, wierzyła, że bodaj na parę lat zapewni sobie pierwsze stanowisko w jego sercu, a z tą wiarą, choćby i złudną, lekko będzie umierać. A potem nie będzie już tych brudnych, szpecących piękność duszy pożądań i walk, nie będzie nawet miłości, a jej duch, wyzwolony z ciała, wejdzie w blaski powracającego dziewictwa.

Tymczasem, leżąc w łóżku, bawiła się kędzierzawymi włosami kłęczącego przy niej Strumieńskiego i opowiadała mu, jak to on po jej zgonie pojmie młodziutką żonę i będzie razem z nią obmawiać Gelę. Chciał protestować, zaklinać się, że jej zgonu nie przeżyje, lecz zamknęła mu usta pytaniem: „A któż będzie żył dla dziecka?”. Skoro zaś on z nierozważną pochopnością zawołał, że w takim razie i dziecko musi być poświęcone, odważyła się Angelika poruszyć delikatną kwestię: „Czy też nie ma jej za złe, że ona przemyśliwa o śmierci, zamiast tchnąć radosną pewnością, że żyć będzie, aby wychować dziecko? Czy uważa to za nienaturalne?”. — Strumieński się zdumiał, nie zauważył bowiem dotychczas w zachowaniu się Angeliki nic nienaturalnego; lecz to jej pytanie trąciło w nim — a raczej uodwaźniło — pewną ukrytą sferę uczuć. Dusze ich zbliżyły się wówczas do siebie jak nigdy jeszcze. W oczekiwaniu bliskich zająć tragicznych pograżyli się oboje w ciemną atmosferę coraz dalszych wynurzeń, a potem dziwnych projektów i umów. Powiedzieli sobie i to, że teraz właściwie kwestia śmierci przez miłość stała się bardzo aktualną, ale że plan jej pierwotny nie da się w tych warunkach wykonać, uradzili więc zmienić go tak, że Strumieński miał jeszcze pozostać przy życiu. Były to bardziej marzenia niż postanowienia, a wyrafinowana niebiańskość tych marzeń miała w sobie liczne źródła nowych upojeń. Pod wpływem takich rozmów, ufając nadto w moc swojego odrębnego planu — o którym nic Strumieńskiemu nie mówiła — Angelika niecierpliwie oczekiwała śmierci. Wyobrażała sobie, że znika ze świata jak gwiazda spadająca, ciągnąc za sobą długą smugę świetlistą i że ten fenomen przyrody wśród nocy ogólnej dostrzega tylko jeden człowiek, on.

Lecz stało się inaczej. W czasie chwilowej nieobecności Strumieńskiego w Wilczy nastąpiło przedwczesne rozwiązanie Angeliki. Dziecko umarło natychmiast, matka została przy życiu. Byłoby ją można nazwać ocaloną, gdyby połów nie wywołał w niej lekkiego zaburzenia umysłowego, podsyconego rozdrażnieniem wskutek śmierci dziecka i doznanego zawodu co do siebie samej. Jej instynkt samozachowawczy, narażony ciągle na próby i gnębiony przez nią samą, utracił wreszcie wszelką sprężystość.

Czy to była komedia czy tragedia, co się teraz w niej działo, tego sobie Strumieński nigdy potem wytłumaczyć nie zdołał. Angelika stała się względem niego zimną i odpychającą, jakby zapomniiała, że on jest i był jej mężem, gardziła również malarstwem, natomiast śpiewała całymi dniami włoskie pieśni, uroiwszy sobie, że jest znakomitą śpiewaczką<sup>35</sup>.

<sup>34</sup>konterfekt (daw.) — portret, wizerunek. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>uroiwszy sobie, że jest (...) śpiewaczką — Pomysł powyższy został przy końcu r. z. [roku zesłęgo; red. WL] niejako potwierdzony przez rzeczywisty fakt: oto węgierski malarz, Aleksander Ipoly, wpadł w obłąkanie, uroiwszy sobie, że jest słynnym kompozytorem oper (umarł w grudniu w okropnej nędzy). Przykład ten, któremu podobnych zapewne dużo zna psychiatria, świadczy dobitnie o istnieniu pewnego rodzaju mechanicznych urządzeń w mózgu: jakby poczucie sławności i ambicji, wypadłszy z jednego kompleksu, podłożyło się, zamieszkało

Śmierć, Marzenie

Szaleństwo, Samobójstwo,  
Kobieta, Matka, Dziecko

Ze strachem obserwował Strumieński ten rozwój „nieznanego”. Działy się rzeczy, które przedtem wcale nie wchodziły w rachubę. Aby to jakoś zmienić, postanowił wywieźć żonę do Szwajcarii, skoro jej się tylko polepszy. Lecz ona, uprzedzając ten zamiar, pewnej nocy wyszła przez salon na ogród i wskoczyła do studni. Strumieński wkrótce spostrzegł jej nieobecność w domu, wybiegł za nią i tknięty przeczuciem, zwołał ludzi, po czym ją z wody wydobyto. Próby cucenia okazały się daremnymi.

Na piersiach jej, niepodnoszących się już oddechem, pod zmoczoną koszulą znalazł potem Strumieński list do siebie. Część jego była nieczytelna, bo atrament rozpuścił się w wodzie, lecz to, co odczytał, zakończone pytaniem: „czy dobrze?”, przejęło go do głębi. Pod tym wrażeniem napisał na tym samym liście przysięgę, że „dobrze”, i bez namysłu z własnej inicjatywy złożył go znowu na piersiach zmarłej, gdy ją kładziono do trumny, niby odpowiedź, niby wieczny weksel.

## V. PRÓBA W GŁĄB<sup>36</sup>

Teraz nastał dla Strumieńskiego okres, w którym dobry geniusz jego życia dał mu zakosztować tzw. słodczy cierpienia, a ustrzegł go przed przepaściami.

Straszne wstrząśnienie nerwowe, jakiego doznał przez śmierć Angeliki, wywołane było nie tylko faktem jej utraty, ale i nadzwyczajnymi okolicznościami, wśród których to się stało. Smutek przytłumiła groza.

Wprawdzie, spełniając życzenie Angeliki, w dzień po jej pogrzebie wszedł do muzeum i tam, odsłoniwszy jej tajemny obraz, spędził przed nim parę godzin w bezmyślnym odrętwieniu. Jednakże ból jego nie znosił przymusu i biegł inną drogą, szukając sobie silniejszych punktów zaczepienia.

Zamknawszy muzeum Angeliki, Strumieński godzinami krążył naokoło dworu, przyciągany magnetycznie przez jedno miejsce: studnię. Wreszcie, gdy widział, że nikogo naokoło nie ma, przystąpił do niej ostrożnie i odchylił nieco zielone gałęzie, zasłaniające światło. Nic nie zobaczył prócz czarnej czeluści, bo lustro wody w studni było położone głęboko.

Poszedł na pole do robót, jak gdyby się nic nie stało, a myśl jego wciąż była przy studni. Wrócił po jakimś czasie znowu, odgął gałęzie, odłamał z nich kilka, położył się na ziemi i patrząc w głąb, przyzwyczajał oko do ciemności. Wkrótce dojrzał zielonym, wilgotnym mchem pokryte deski, których krawędzie gdzieśgdy wysterczały, ukazując na ścianach studni w szczelinach ziemię porastającą trawą. Wody nie widział. O te krawędzie mogła zawadzić (głowę?) Angelika, spadając do studni, lecz żadnych wyraźnych śladów tego nie znaleziono. W tej chwili kilka grudek ziemi osunęło się spod niego i spadło w głąb. Po lekkim plusku nastąpiła cisza. Wziął wtedy sam większy kamień i upuścił go do wody, a potem miarkował po plusku, jak to mogło być daleko, choć znał studnię jeszcze z czasów chłopięcych.

Rozpamiętywał szczegóły wyciągania jej z wody: jak nachylone latarnie odbijały się w studni, jak woda ściekała z włosów, z sukien nocnych trupa. Potem z coraz bardziej rosnącą trwogą cofnął się w czasie i przypominał sobie chwilę, gdy on sam, stanąwszy w ciemności nad studnią, nie wiedział w rozpaczy, co począć. Uchwycony w kleszcze wspomnienia, pochylił głowę i machinalnie wyszeptał: „Gela! Gela!”. A potem, jakby nabrawszy odwagi, głośniejszym krzyknął: „Gela!”. W studni zahuczało, Strumieński uczył pewien zawrót głowy i uchwycił się drewnianej krawędzi.

W tej chwili zbliżyła się jakaś dziewczka z dworu, niosąc konewki i pośpiewując. Strumieński cofnął się nieco w głąb ogrodu i czekał jej odejścia. Nie przestając śpiewać, wzięła

---

przez pomyłkę w kompleksie wiadomości z innej dziedziny artystycznej. Swoją drogą, niemiłą jest ta możliwość zwariowania nie na swoim gruncie; np. jeżeli autor *Patuby* zwariuje, to kto wie, czy, zamiast otworzyć sklep z punktami wstydliwymi, fałszywymi, płaszczkami duszy itp. towarami pałubicznymi, nie będzie pysznym ze skomponowania *Prasznika z Tyrolu* albo nie ogłosi się genialnym ekonomistą lub mówcą parlamentarnym. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>V. *Próba w głąb* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Zwracam uwagę na to, jak w całym tym rozdziale objawia się działanie czynnika pałubicznego nie tylko w oporze, który stawia Strumieńskiemu jego własna dusza, ale i w oporze urządzeń technicznych na świecie: chce słyszeć głos Angeliki: słyszy głos ciotki, chce śnić o niej: śni o guwernerze, chce ją rysować: nie udaje mu się; zdaje się, że gdyby nawet chciał naprawdę zwariować na temat pośmiertnej miłości, zawiódłby się także. [przypis autorski]

leżącą obok studni żerdź i zaczepiwszy na niej konewkę, spuściła ją do studni. Wkrótce nadszedł także jakiś parobek z kosą i prosił o wodę do oselki. Strumieński oddalił się i okrążywszy dwór poszedł ku cmentarzowi. Obejrzał się naokoło, a potem, przystąpiwszy do skromnego kamiennego nagrobka, położył na nim rękę. Tak stał chwilę, lecz widok zwiedłych kwiatów odstraszył go; odwrócił głowę i poszedł w pole.

W nocy, zbudziwszy się, zapalił latarnię i wszedł do salonu. Podumawszy chwilę, otworzył drzwi od ogrodu i stanął w nich, patrząc na czarne kontury drzew i krzaków, między którymi wiła się dróżka do studni. Potem poszedł tam znowu i spuściwszy latarnię na sznurku w głąb, badał lustro wody i wołał znowu: „Gela! Gela!” — wołał rozdzierającym, wariackim głosem i płakał nad tą swoją głupotą. Uspokoiwszy się, rozmyślał nad wielce interesującą kwestią, w którym miejscu stanęła Angelika, skacząc do wody. I czy skoczyła, czy też naprzód przelazła przez brzeg studni, a potem zsunęła się do wody? W tym wypadku, uchwyciwszy się dłońmi wystającej krawędzi, miała jeszcze czas na ostatnie zastanowienie się, na ostatnie myśli — jakie? Czy o nim? Czy długo pozostawała w tej pozycji? Czy może zdecydowała się żyć, ale wdrapując się znów na brzeg, ześliznęła się w głąb? Czy chciała krzyknąć, lecz wstydziła się — lub nie mogła?

Dręczony tymi myślami, Strumieński wrócił do domu i położył się spać. Ale nie mógł zasnąć. Znowu jedna rzecz przyszła mu do głowy. Wziął szal Angeliki, wyszedł przez salon do ogrodu i położywszy szal na krzaku georginii, znajdującym się przy dróżce, oddalił się kilka kroków, mając go na oczach. Takie samo widziadło ujrzał owej nocy, kiedy wybiegł szukać swej żony; ten szal naprowadził go na jej ślad. Dlaczego go zrzuciła? Czy aby wiedziano, gdzie jej szukać? O, jakże musiała drzeć z zimna w tej ostatniej drodze!

Chodził po ścieżkach naokoło klombów z kwiatami, to oddalając się, to zbliżając do owego krzaczka georginii, i wciąż obserwował plamę szala, bielejącą na czarnym tle nocy. Wpadł potem w głąb ogrodu, błędził naokoło muzeum Angeliki i wrócił znowu do tego samego miejsca, a zdjąwszy szal z krzaka, nagłym ruchem owinął nim sobie głowę, przytulił doń usta i oczy i tłumił łzy i łkanie.

Co nocy uparcie ciągnęło go, by wstawać, przebiegać puste pokoje i niby szukać czegoś czy kogoś, potem wchodzić do salonu, na werandę, a wreszcie iść do ogrodu na ten spacer. Ulegając dziwacznej pomyłce umysłu, kazał pod ścianą dworu od ogrodu złożyć długą drabinę i zwój lin, lecz nie wytłumaczył nikomu celu tego nakazu, bo jakże mógł się przyznać, że w ten sposób lżej mu było myśleć o szczegółach śmierci Angeliki? Taką samą nieznośną pomyłką umysłu było, gdy powtarzał sobie: „nie ma jej! nie ma!”, jakby co chwila na nowo odkrywał jej brak. Nie ma jej — a przecież dopiero co była. „Była” ukazywało się jako terażniejszość i chciało być panią, a surowe „nie ma” zabijało ją ciągle jako nonsens. Te uparcie aż do idiotyzmu powracające zestawienia myśli męczyły okropnie mózg Strumieńskiego; nigdy on się nie spodziewał, żeby w bólu psychicznym było tyle fizycznego pierwiastka<sup>37</sup>.

Do pewnego stopnia wprawdzie dopuszczał uczucie bólu, a nawet powiększał je skrycie: miał w tym dziwną przyjemność, podobną do tej, jaką się miewa, naciskając swój ząb bolący. Ale potem gorączka bólu rosła ponad miarę, tętniła w brwiach i skroniach, aż Strumieński na pomoc przywoływał różne komiczne myśli, wyobrażał sobie cierpienia głodu lub wyrwanie języków podczas inkwizycji hiszpańskiej i próbował cieszyć się, że sam nie doznaje aż takich tortur, że ma co jeść i w co się ubrać, a gdy te próby nie pomagały, zgnębiony, pisał laską na piasku słowa: „Kiedyż się to skończy!”.

Męczyły go również owe wycieczki nocne, z których wracał z mętnymi uczuciami, jak złodziej, jakby się sam przed sobą wstydził tej namiętności rozpaczy. Znienawidził je, a tymczasem z kąta jego dzikiego bólu wyszła ku niemu dziwna obawa: by kiedyś raz we śnie nie zaszedł do studni i sam tam nie wskoczył. To mogła być jedna chwila zapomnienia, sugestii — a czyżby miał tego żałować?

W ten sposób stanął wnet po raz pierwszy oko w oko ze sfinksową tajemnicą smutku, która z zimną surowością przedkładała mu jedyną szczerą konsekwencję. Zadrzał, wytłu-

<sup>37</sup> *żeby w bólu psychicznym było tyle fizycznego pierwiastka* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Tu przykład, który zbija późniejsze twierdzenia Strumieńskiego, ukute na gruncie dualizmu: ciało-duch [patrz dalej, w tymże rozdziale: „(...) co mu dało sposobność zmierzania się oko w oko z tzw. prawdziwym bólem (...)” oraz: „(...) nędza powodzian rozczulała go tylko teoretycznie, wmawiał jednak w siebie: cóż znaczy mój ból wobec tej strasznej nędzy ludzkiej?”; red. WL]. [przypis autorski]

maczył się życzeniami listu Angeliki i umowami z nią — zresztą wtenczas jeszcze nie umiał (czy też nie chciał?) siebie analizować. Wkrótce potem wydał rozkaz, aby zasypano studnię, lecz wnet cofnął go, kazał ją tylko zakryć, lecz i to cofnął. Był to żal za pamiętką? Czy jej uszanowanie? Czy instynkt samozachowawczy bólu, który stara się nie tracić zewnętrznych bodźców?

Jednak aby nie bawić już więcej w tych miejscach, które jego myślenie terroryzowały, przeniósł swoje mieszkanie do lasu, do leśniczówki, tam gdzie spędził swoje dzieciństwo. Z dawnej jego rodziny żyła tylko stara ciotka, która tu jego wygodę doglądała. Mieszkając w lesie, odciął się niemal zupełnie od wszystkiego. Czasem tylko wydawał jakieś rozkazy w sprawach gospodarstwa, które zresztą zdał na rządcę, nie troszcząc się o to, że może będzie oszukiwany. Wydawało mu się nieszlachetnym zajmować się teraz rzeczami tak marnymi; mimo to często nie mógł się oprzeć chęci kontrolowania czynności owego rządcy, a w jakiś czas potem objął jeszcze więcej dawnych swoich czynności, już to dlatego, że instynktowo szukał w nich zapomnienia, już to ponieważ niezajmowanie się niczym wymagało zbyteńnego wysiłku woli i nie pozwalało koncentrować całego nawału ponurych myśli w pewnych odstępach czasu (wyrachowanie uczucia). Nie czytał ani gazet, ani książek, nigdzie nie wyjeżdżał i, o ile możliwości, do nikogo nie mówił. Codziennie chodził do swej poprzedniej siedziby, lecz dwór omijał, wkradał się tylko do muzeum.

Powoli Strumieński przyzwyczaił się do osamotnienia: przestały go dusić myśli musowe, zaś myśl, że duch Angeliki unosi się naokoło, jeszcze świeży i silny, utraciła cechy pewności i grozy, a nabrała cech łagodnych — wszakże zwiędły już i te kwiaty, które widziały jej spacer ostatni. Był to wynik zmęczenia reprodukującej pamięci. Wyobrażenia o Angelice stały się bardziej ogólnikowymi, rozpacz zamieniła się w smutek, a smutek szukał szerokiego oddechu, niemych świadków i uczestników. Były więc nimi drzewa, gaje, strumień, chmury, słońce, księżyc i gwiazdy, ptaki, rośliny, owady — cała przyroda, o której jako tzw. inteligentny człowiek wiedział, że ją trzeba kochać i rozumieć. Było to bezwiedne urozmaicenie wyobrażeń, rozrywka pod pozorem, że i ona wciela się do melancholii. Mianował Angelikę boginią tej przyrody, „mniemał”, że ją wszędzie widzi i słyszy, dlatego bo ona była tłem wszystkich jego myśli; był to panteizm osobliwego rodzaju. Kochając Angelikę, chciał kochać świat cały, aby mieć złudę wielkości kochania. Ją niewidzialną prowadził tu za rękę, pokazywał jej te zakwicia w przyrodzie, które są pięknosciami, toczył z nią w myśli rozmowy, a w chwilach szczególnego podniecenia, przy wschodzie lub zachodzie słońca, przy odkrywaniu nieznanego mu dotąd zakątków lasu, miewał przez to niewidzialne obcowanie z nią napady nieokreślonego, powiększającego dobrowolnie zachwyty, prawie jakby szczęścia i rozkoszy. Nieraz zaś, kiedy się tak intensywnie wpatrywał w kontury, kształty i barwy naokoło siebie, zapominając absolutnie o wszystkim, wówczas zakulisowym ruchem fantazji wywoływał w sobie wrażenie, że kształty te i barwy poruszają się na swych krawędziach, jakby maszerować chciały, zmieniają się, przepływają w siebie, że cały świat chwieje się, drży i mruga na niego tajemniczo, jakby mu dawał znaki, jakby w nim było coś zakłętą, co się chce zdradzić, że nie jest takim, jakim się być wydaje.

Raz poszedł w górę strumienia drogą, którą już dawno nie chodził. Prowadziła ścieżkami i polankami wśród gąszczy leśnych, po wielkich, szerokich schodach na coraz wyższe wzgórza. Z każdego stopnia spływał strumień kaskadą, tworząc małe stawki, i szemał dalej; na każdym stopniu odkrywał Strumieński inny (tak sobie mówił) krajobraz, z inną niemal głębą i roślinnością; coraz jaśniejszy, bliższy nieba i słońca. Doszedł wreszcie tam, gdzie strumień sączył się już cienką taśmą po mlecznego koloru kamyczkach, gromadząc wodę z licznych źródełek, ukrytych po dziuplach i rozpadlinach wysokiego urwiska. Tu był dział wód, tu także urywał się las, poza którym ciągnęła się wyżyna pokratkowana polami i drożynami. Strumieński włożył dłoń do zimnej, przezroczystej wody; postawiwszy ją na poprzek jak tamę, patrzył, jak się woda ponad dłoń przeciska, a obserwując ten dziecięcy zakątek okropnego żywiołu, uśmiechał się i filozofował nad tym, jak różnorodne formy miewają te same rzeczy na świecie.

Nie doprowadził jednak do tego, żeby tę myśl zastosować do siebie i zmiarkować, że i jego smutek sączył się już teraz cienkim pasmem i stał mu się nie bólem, lecz pieśczętą. Las działał usypiająco, zdradziecko. Czasami za to w domu, wśród czterech ścian, napadały nań złowrogie, ponure myśli i wystraszały go; wówczas czuł, że mu jest bardzo źle, ale nie

Żaloba, Samotność

wiedział jeszcze dlaczego. Uważał się za nieszczęśliwego tam, gdzie słyszał tylko echo wyrzutów sumienia.

Takie próżniacze życie sprowadziło wreszcie do jego samotni nowego gościa: zmysłowość. Na falach szumiącej krwi wracała do niego Angelika. Smutek przemienił się w tęsknotę, na wstecz zwróconą, a coraz gwałtowniejszą. Przed oczyma jego wyobraźni wynurzały się w nieporządku wbrew (?) jego woli różne obrazy szczęścia zmysłowego, przeżytego z Angeliką. Panorama kształtów określonych rozwijała się przed nim — żywa księga miłości w registraturze nerwów. A razem z naturalizmem miłosnym ukazał się wskutek podobieństwa wyraźności także splot ostatnich wspomnień, otwierając zbliznioną już grozę i ból, które to uczucia tamtych odruchów pamięci wcale nie neutralizowały, owszem, zatruwały je przez rozpaczliwe „nie ma”. Strumieński był w więzieniu, którym sam się otoczył.

Pamięć „miłości” do jednej usposobiła go do „miłości” w ogóle. Widział ptaki — swobodne, słońce — sobą zajęte, dalekie, widział uciekające przed nim rogacze, lisy, zające — wszystko wolne, bez myśli i pamięci. Spotykał nimfy leśne — dziewczęta wiejskie, z nosidłami lub przy krowach, zdrowe i apetyczne, a sam ich widok wprawiał go w oszołomienie. Po kryjomu zazdrościł „swobodnej naturze”. Przerzucał na zewnątrz to, co się w nim samym odbywało, i zachowywał się w swych chęciach tak, jakby nie on porzucał czystość, lecz jakby do grzechu namawiało go otoczenie: „rozumiał” głosy przyrody. Był to najkrytyczniejszy moment w dziejach żaloby Strumieńskiego.

Atak jednakże nie był za silnym. Były to lubieżne myśli, niewywoływane, ale przychodzące, takie, które się czasem w sobie odkrywa i nie całkiem płoszy. Strumieński bawił się nimi jakiś czas w odkradanych chwilach, aż wreszcie wzrosły one, przedarły się do najwyższego trybunału świadomości i brutalnie zażądały zrealizowania. Ale o to właśnie było u Strumieńskiego najtrudniej. Nie tylko dlatego, że w tej epoce kontemplacji wszelki czyn, nienależący do obranego sposobu życia, był dlań przykrością i trudem, ale i dlatego, że doczepienie byle jakiego uścisku do łańcucha brylantowych uścisków Angeliki popsułoby mu całą estetykę smutku, byłoby oczywistym nonsensem. To głównie wpłynęło z wewnątrz na jego decyzję, żeby być wstrzemięźliwym, a że współdziałała tu także w pewnym stopniu obawa świętokradztwa na wspomnieniu zmarłej i na sobie samym, który był jej własnością, to nie ulega wątpliwości, i tak się też ta decyzja u niego nazywała.

Mocą kontrastu, porwany wstrętem do swoich poprzednich myśli, jął teraz sam zwoływać cały szereg wspomnień o Angelice, aby je przeciwstawić owym nędznym zachciankom. Chwilami trzeba było dać ostrogę wyobraźni, lecz potem już wspomnienia same wychodziły ochotnie naprzeciw niego, piękne, jedwabne, uśmiechnięte. Jej słowa, uśmiechy, zachowania się, najdrobniejsze nieraz jej ruchy, których wtedy pochwalić nie było czasu, właściwe jej pozycje ciała przy siedzeniu, w chodzie i schylaniu się, jej szczególna wprawa w używaniu lewej ręki, żyłki na ręce, włosy w ładzie i nieładzie — to wszystko wołało jedno drugie, aż dziwił się wierności swej pamięci. A przecież wszystko to było okryte mgłą różową, było mozaiką stłoczoną w jedną apoteozę, z której wykluczone były momenty przykre, zagadkowe lub trudne. Myślał o niej tylko plastyką, a nie myślami, a co czasem z myśli i sądów dołączał, to było tylko proste, niewątpliwe i szczerne. W jednym z napadów takiego zachwyty, w nocy, poszedł na jej grób i usiadłszy pod pomnikiem, głaskał i całował miękką murawę pokrywającą zgniłe już zapewne zwłoki, a potem wykopał sobie stamtąd trochę ziemi do wazonka<sup>38</sup> i hodował w nim jakiś kwiat.

Było to drugie zakochanie się, druga sielanka Strumieńskiego, ponowny ślub i ponowne miodowe miesiące. Tak wywołując w pamięci przeszłość, doszedł i do czasu, kiedy obserwował Angelikę, jak sprzeniewierzając się swemu ideałowi Artemidy, nie zważając na estetykę, tłumila w jego objęciach lekkie szczęknięcie zębami... Bo właśnie te chwile, w których ona zdradzała się przed nim z hamowaniem namiętności i o których jej nie mówił — pomimo niby to takiej swobody w stosunku z nią — te były mu najprzyjemniejsze. Widział, jak była od niego zależna... Nie mógł dłużej wytrzymać w tych regionach; ogarniała go jakby woń ukrytych, odurzających kwiatów — a tego wyrażenia, pomimo że w nim o kwiatkach mowa, nie należy brać zbyt stereotypowo.

<sup>38</sup>wazonek — dziś popr.: wazonik. [przypis edytorski]

Kiedy już przestał zwoływać swoje wspomnienia, zapożyczał się w muzeum Angeliki. Przypominał sobie rozmowy i debaty, odnoszące się do każdego obrazu i do różnych jego szczegółów, przegradzające je pocałunki, fakty, których przekreślonym wyrazem były te utwory, a specjalnym studium jego była *Księga Miłości*, to jest fotografie, szkice i uwagi w niej zawarte. Brała go nieraz ochota kontynuować ją, nieudolnym ołówkiem kreślił więc swoje westchnienia i obcowania niebieskie, zamienione na plastykę; lecz wnet darł te próby, wyładowywał swoją fantazję w strzelistych poematach, niezrozumiałych, bo dla niego tylko przeznaczonych. Wówczas to powiedział sobie między innymi, że powinno się wynaleźć aparat mogący odfotografować, odbić majaczenia — takie lotne, szybkie, niewidzialne płótne fantazji.

Wkrótce nie wystarczył mu materiał w muzeum Angeliki. Nie tylko dlatego, że ten materiał był mu, bądź co bądź, ograniczony, wężył wyobraźnię jego tęsknoty i nie stał w stosunku do tego ideału kochania pogrobowego, który się w Strumieńskim wytworzył. Co najważniejsza<sup>39</sup>, że wpatrywanie się w konterfekty jej postaci, przy niemożności przekształcenia ich w oryginał, męczyło jego umysł. Bezwładność i obojętność materii wypełniającej te przedmioty „sztuki” budziły w nim ironiczne niezadowolenie ze sztuki w ogóle, tej sztuki, która nie pomagała mu przejść poza pewną granicę. Tak więc ani zazdrosna zaradczość Angeliki, ani jego własna egoistyczna w rzeczach malarstwa wynalazczość nie mogły zakryć przeraźliwej luki, którą rzeczywistość odkrywała w coraz to innej formie.

A skoro mu już nie wystarczała tęsknota retrospektywna, tj. zwrócona w przeszłość, zaczął próbować, czy mu się nie uda stworzyć surogatu przyszłości. Kto chce, niech ten stan nazwie sztucznym, chorobliwym; gdzież jest legalna granica marzeń? Czy i tu ma panować system rogatek?

Szło najpierw o zbliżenie się do świata duchów. Strumieński nic w tym względzie nie „postanawiał” — jak gdyby bał się spłoszyć ten delikatny żywioł, z którym chciał mieć do czynienia. Zresztą swego czasu nauczył się w duchy nie wierzyć, potem słyszał o różnych znanych objawach, które nawet niedowiarków nawracały, i to zachwiało jego sceptycyzm, ostatecznie jednak nie miał nigdy sposobności wyrobić sobie w tej kwestii gruntownego przekonania. W rozmowach z Angeliką wspominało się nieraz o duchach, ale w sposób bardziej poetycki, dekoracyjny. Teraz jednak osamotnienie przyzwyczało go do szukania towarzystwa w świecie nie-ludzi.

Już od dość dawna zdawało mu się, że zauważa czasami — ale to bardzo rzadko — pewne drobne zajścia, które by prawie mógł nazwać oznakami. I tak, kiedy chodził po lesie, słyszał za sobą jakby szmer jakichś kroków po gałęziach, a w nocy księżycowej na polu, patrząc na swój cień, spostrzegł przez mgnienie oka obok tego cienia inny czy inne, których znaczenia (niby) nie rozumiał. Kiedy indziej, przyszedłszy na jakieś miejsce, miał uczucie, jakby tu ktoś był dopiero co przed nim. Niektóre rzeczy, które położył tu lub ówdzie, znajdował po pewnym czasie na innym miejscu lub w nieco innym położeniu, kiedy zaś w nocy budził się z jakiego przykrego snu, obawiał się wyciągnąć rękę w powietrze do góry — pod wpływem strachu, żeby się nie zanurzyła w jakiej gęstej, czarnej masie lub nie natrafiła na — zmore? Wszystko to dało się wytłumaczyć w sposób bardzo prosty, miało w sobie jednak coś zastraszającego, przynajmniej dla Strumieńskiego, który, zamierzywszy po śmierci Angeliki przeciąć sobie dalszy tok zwykłych ludzkich wrażeń, właśnie przez to stał się wrażliwym na pewne zazwyczaj nic nieznaczące sensacje.

Lecz dziedzinę tę zostawiał dotychczas odłogiem, aż inny fakt wydobyl ją na jaw. Oto raz musiał Strumieński zajrzeć do dworu i pozostać w nim przez noc, a noc była jesien-  
na, burzliwa i przykra. Strumieński wziął lampę i otwierając na oścież drzwi wszystkich pokoi, z pewnym przymusem kroczył przez nie aż do salonu, badając ich wygląd, zacierając we wszystkie kąty. Ponieważ wszystko było niemal takie same jak w dzień po śmierci Angeliki, więc mocą asocjacji wynurzył się w umyśle właściciela dworu ten sam stan duchowy, który w nim był przed ucieczką do lasu. Czas ukojenia jakby się zapadł, a to działało nań tak świeżo i bezpośrednio, jakby się stało dopiero wczoraj. Tylko że gdy pierwej ogarniała go groza z powodu sposobu, w jaki zginęła Angelika, teraz odczuwał coś podobnego do trwogi, i to nieokreślonej. Nieokreślonej? Czyżby dlatego, że nie chciał się

Duch

<sup>39</sup>co najważniejsza — dziś popr. forma: co najważniejsze. [przypis edytorski]



przed samym sobą przyznać, iż ta trwoga dotyczy Angeliki? Bałżeby się zobaczyć może jej ducha? Zadawszy sobie takie pytania, Strumieński otrząsnął z siebie dziecinne, instynktowne uczucia bojaźni, którym poddawał się zrazu raczej dlatego, że nie zwracał na nie uwagi. A potem, gdy uprzytomnił sobie, że on miałby obawiać się, a więc nie życzyć sobie, by bodaj na chwilę wróciła do niego ona, w jakiegokolwiek postaci — ogarnęło go wzruszenie i pewnego rodzaju litość.

A więc owszem, wzmocnił w sobie chęć ujżenia jej duchem, prosił, modlił się niemal, aby, jeżeli niewidzialnie gdzieś tutaj krąży, raczyła się zmaterializować i ukazać. Wzbudzał w sobie nastrój uroczysty, jaki w jego mniemaniu nadawał się do przyjęcia takiego zjawiska, odwiedzał wszystkie groźne i tajemnicze miejsca, przeniósł do dworu wielką część obrazów Angeliki, aby i w zimie mieć je przy sobie, wczuwał się w swoje otoczenie i roztopiał się w nim, aby tylko uczynić z siebie podatne medium. Między innymi próbował też takiego eksperymentu:

W atelier Angeliki znajdowało się duże półkoliste lustro. Siadając przed nim, widział Strumieński swoją postać na tle nieba, bo na przeciwległej ścianie był umieszczony jeden z krajobrazów Angeliki. Lustro zawsze podniecało go do pewnego stopnia mistycznie. Wpatrując się przenikliwie w swoje oczy, przybierał surowy wyraz twarzy, upokarzał siebie niejako i karciał nie wiadomo za jakie winy; „zdawało mu się”, że<sup>40</sup> tam, do tej idealnej przestrzeni poza lustrem, przeniosło się jego „lepsze ja”, godniejsze skomunikowania się ze światem nadprzyrodzonym, jeżeli taki świat istnieje. Równocześnie, gdy sobie przypominał siebie jako istniejącego także przed lustrem, na krześle, odczuwał swe ciało jakby coś obcego, jakby trupa, i wyobraziwszy sobie, że nie istnieje, czuł się własnym swoim duchem i w fantazji puszczał się na dalekie wycieczki po szlaku idącym w złudną głąb lustra. Jeżeli w matematyce są liczby urojone — żądał — dlaczego by nie miały istnieć

Lustro

<sup>40</sup>„zdawało mu się”, że — [Komentarz autora z *Uwag.*] Dlaczego ujmuję to w cudzysłów? W poezjach i powieściach roi się od tego rodzaju zwrotów: było mi tak, jakby... (np. to jezioro było moją duszą), zdawało mu się, że... (np. jest królem asyryjskim... lub: że w piersi jego rozszalał się cyklon), mniemał, że... (i tu coś, czego nigdy nie mógł naprawdę mniemać), ogarnęła go dziwna (?) tęsknota, itp. przesady, które autorowie i ich recenzenci biorą na serio. W sonetach np. jest to już nałogiem, że po jakimś opisie przyrody w pierwszych strofach przychodzi zwykle na końcu porównanie stanu duchowego z jakimś szczegółem zewnętrznym, zaintonowane przez „zdawało mi się, że...” lub „było mi tak, jakby...”. Stąd sonet stał się nie najtrudniejszą, ale najłatwiejszą i najbanalniejszą formą poezji: choć zarazem najwygodniejszą, bo oznaczona ilość wierszy uwalnia autora od myślenia na dalsze mety. Także w powieściach panuje wciąż ta sama kłamiwa a tania przesada: autorowie zwykle zgadzają się ze swymi bohaterami, wprawdzie może nie w ich czynach i myślach, ale w sposobach widzenia, pojmowania, myślenia: podpowiadają im. Nie idzie mi tu o kilka frazesów jak: „zdawało mu się, że...”, to tylko przykładzik, zewnętrzna poznała, ale świadcząca o tym, że autor komponując dzieło nie uwzględnił wcale sposobu rodzenia się myśli i wypadków. Kiedy indziej może przytoczę cały repertuar takich frazesów, aby wykazać, że tu się ma do czynienia z niedbalstwem, zamienionym w system, którego się jeden pisarz uczy od drugiego, a który stosownie do rangi autora nazywa się rutyną, wyrobieniem lub mistrzostwem. Nie chciałbym jednak krępować fantazji poetyckiej, zakazując jej posługiwania się podrzędnymi środkami pomocniczymi; czyli mówiąc obrazowo: nie chciałbym niszczyć zwykłych dróg i mostów i zmuszać jej do latania tylko na skrzydłach. Owszem, sądzę, że autor do pewnego stopnia musi podpowiadać swoim osobom (i ja to robię), wyposażyć je swoimi pomysłami, bo ścisłość sięgająca do takich szczegółów, jak np. w tym wypadku sposób myślenia i odczuwania, przechodzi może siły ludzkie. Ale sądzę, że prawdziwa fantazja nie wyklucza ścisłości, owszem, zawiera ją w sobie, prawdziwa fantazja polega na tym, że po pierwsze odbija w sobie rzeczywistość jak najszerszej a bez fałszu, jest czystym lustrem, po drugie: że buduje swoje wieżyczki z materiału tak poznanej rzeczywistości. Dlatego to ja ujmuję w cudzysłów taki frazes jak: „zdawało mu się, że...”. Jest to sobie właściwie tylko mały, niewinny proteścik literacki. Chcę przez cudzysłów zaznaczyć, że w odczuwaniu takich stanów zawarta jest pewna umyślność i szacherka, chcę podkreślić, że ja nie wierzę memu bohaterowi na słowo, iż on to a to odczuwa, widzi czy myśli. Podobnie na wielu innych miejscach. Np. „mianował Angelikę boginią tej przyrody, »mniemał«, że ją wszędzie widzi i słyszy”. Dlatego też piszę np.: „Wśród egzaltacji przyszli sobie do przekonania, że miłość jest kryptogramem świata” lub: „Namyśliwszy się, przyszedł sobie do przekonania, że to właściwie on temu wszystkiemu winien”. Proszę wyrzucić to słówko „sobie” w obu przykładach, a różnica będzie widoczna, bo wtedy będzie się zdawało, że akt przekonania był czymś stanowczym, koniecznym, wpływającym z sytuacji, podczas gdy ja wyrazu „przekonanie” używam tylko sposobem przybliżenia, a poprawkę biorę przez dodanie słówka „sobie”. Charakterystycznym jest, że niemal wszyscy, co czytali *Patubę*, słowko to w manuskrypcie podkreślali, przekreślali lub pisali nad nim pytajnik: tak dalece każdy z czytających przyzwyczajony już był natrafiać na pewne szablony powieściowe, w których się formułuje zdarzenia. Wyłamać się z tych szablonów zupełnie jest naturalnie rzeczą bardzo trudną i ja też raczej zaznaczam u siebie to wyłamywanie się, jak żebym go naprawdę dokonał. Bo i w *Patubie* jest dużo niewytrzebionych jeszcze ustępów poetycznych, które się uratowały z pierwszego manuskryptu, np. opis obrazu w rozdziale *Gwiazda podziemna*, opis urągający rzeczywistości. A jednak wielu osobom będzie się on najbardziej podobał z całej *Patuby*, znajdują się nawet tacy, co powiedzą (nawet mimo tej uwagi!), że tam się przebija rzeczywisty talent, który niestety autor sam sobie zepsuł, bawiąc się w jakieś doktryny. [przypis autorski]

duchy? Oczekiwał, że ona pokaże się tam, w półkolistej tafli, biorąc przez to na siebie materialną formę niby-odbicia.

Kiedy tak raz pogrążył się w ten jeden stan, oddalając od siebie wszystkie inne myśli, zdarzyło mu się, że zasnął. Powinien był właściwie uznać to za dobry prognostyk<sup>41</sup>, za oznakę zdolności do tego zupełnego rozpraszania myśli, które równa się monotonii i z początku nie może obejść się bez fizjologicznego objawu zaśnięcia. Atoli Strumieński zawstydział się przed samym sobą, że jego duch tak mało panuje nad ciałem, i zamiast wytrwać w tych eksperymentach, robionych według własnej intuicji, zamówił sobie książki traktujące o wywoływaniu duchów. Tymczasem stan jego już się przełamał. Niewiara w duchy odżyła, a umocniła ją sama myśl, że od właściwego celu będzie się musiał najpierw odgradzić jakąś nauką, jakimiś czarnoksiężskimi studiami. Gdy książki nadeszły, stało się to, co przewidywał: nie mógł się nimi zająć gruntownie, nudziły go, bo chociaż jego umysł po śmierci żony, obracając się wciąż w jednym kole myśli, maltretował się bardzo, to przecież, z drugiej strony, nie mniej niecierpliwilo go i drażniło wszystko, co nie dało się wpleść do sprawy Angeliki. Nadto sama treść książek rozczarowała go: wszystkich eksperymentów tamże opisanych dokonywano przy pomocy drugich i trzecich osób, i to zwykle jakąś śmieszną i bezduszną metodą, nie działającą wprost, ale chytrze i ogródkami. Nie imponował mu wcale przykład króla Zygmunta Augusta, dla którego pewien czarnoksiężnik miał wywołać ducha Barbary Radziwiłłówny. Że król na to się zgodził, to świadczyło o braku delikatności w jego uczuciach, o jego zabobonności i o tym, że pomimo wielkiego zakochania się, stosownie do epoki, w której żył, traktował żonę swoją jako istotę bierną, jako kobietę-rzecz, którą mąż ma prawo odwoływać nawet od stołu szczęśliwości niebieskiej i sprowadzać na ziemię gwałtem, bez pytania o jej przyzwolenie. Tak myślał, bo w gruncie rzeczy zazdrościł owemu królowi, a potem powziął wielki żal do Angeliki za to, że nie zejdzie doń po tych tajemniczych ścieżkach, które łączą rzeczywistość ze światem zagrobowym, tak jak uczynić przyrzekła nawet w razie, gdyby ją powstrzymywało najwyższe zakłęcie...

Tu spostrzegł się, że dochodzi w swoich rozmyślaniach do absurdu. O krok dalej, a mógłby wykrzyknąć: „Czyż tak dalece jest zajęta portretowaniem świętych w niebie, że nie ma czasu zajrzeć do mnie?“, a to przecież byłoby oczywistym nonsensem. A więc nie ulega wątpliwości, że jeżeli Angelika jemu się nie ukazała, to świat zagrobowy nie istnieje.

Konkluzja ta zawarta była właściwie już w poprzednich jego myślach, ale dopiero teraz wyjął ją i postawił przed sobą. Była to jakby latarka zapalona w ciemności. Jakkolwiek tragiczną była ta szara pustka, która się teraz naokoło niego w inny sposób ukazała, czuł przecież, że osiągnął jakieś ukojenie, jakąś pewność — że zamknął fazę.

Większa część tego, co się teraz i potem działo, działo się w głębokiej zimie, kiedy od reszty świata oddzielały go zasy śniegu, a zadyмки na horyzoncie wywierały na niego wrażenie, że świat zziąbł i zmałał, a tylko jego dworek istnieje.

Zewnętrzne wejście Strumieńskiego w ciągu tych kilku miesięcy, w których wywoływał duchy, zmieniło się nieco. Opowiadano o tym przesadne plotki, z których prawdą było chyba to jedno, że wskutek przebywania w ciemności oczy jego straciły zwykły swój blask i patrzyły jakby przysłonięte mgłą, w kątach zaś były krwią nabiegłe. We wsi mówiono, że pan zgłupiał. Inteligencja okolicy opowiadała sobie, że on tak rozpacza po stracie żony, a panie dodawały na chybił trafił, że jego czarne włosy miejscami przerzedziły się i posiwiały. U prostych ludzi wreszcie wytworzyła się legenda o tajemniczym pojawieniu się ducha nieboszczki, którą różni widzieli na różnych miejscach: na cmentarzu, w kaplicy i nad strumieniem; ktoś nawet miał ją widzieć przez otwarte drzwi salonu we dworze, jak razem z panem siadała do herbaty, i w 19 dni potem umarł, rażony apopleksją.

Po zamknięciu swojej „fazy” Strumieński rzucił się na chwilę w „wir” zajęć i dowiedział się wtedy, jaki to nimb go otoczył. Tak wprawiona została w ruch nieświadoma nieszlachetna pobudka: ambicja, duma, i ona to jeszcze raz rozwinęła czarny sztandar żaloby. Strumieński nie porównywał wprawdzie owych plotek z właściwymi rezultatami swego smucenia się, ale uczył się bohaterem, wzruszył się sam sobą ogromnie, tak jak gdyby uświadamiał sobie sympatię (przypuszczalną) tych wszystkich ludzi i postanowił znowu

<sup>41</sup>prognostyk — zapowiedź; znak, omen. [przypis edytorski]

— choćby *a posteriori*<sup>42</sup> — usprawiedliwić tę wielką sympatię i stać się jej godnym. Nie wiedział, jakim stekiem głupoty, złośliwości i przesądów była owa fama ludzka, która go na powrót do więzienia wtrąciła. Ale nie przyznałby się przed sobą, że prostackie powiedzenie: „on zwariował” otwarło przed nim — nie nad nim — znowu nowy świat, nowy rzewny ideał. Widział siebie w duchu, jak coraz bardziej pograża się w jedno uczucie, odgania inne, trzeźwe myśli, z początku siłą, potem one same pierzchają, wracają w coraz rzadszych odstępach, w których on rozkoszuje się potajemnie druzgotaniem własnego ducha, wreszcie znikają na zawsze, a on bredzi, majaczy, cudowne zjawiska otaczają go, na gruzach rozumu wschodzi jutrzienka przeszłości, wieczna, terażniejsza, bo czas w swym biegu odpoczął i zasnął... (Znowu inna forma tej samej dyspozycji ku ostatecznościom idealnym, którą poznaliśmy na s. 67<sup>43</sup>).

Przyczyną recydywy Strumieńskiego było i to, że jeszcze podczas owych prób z duchami wyłoniło się dlań pewne zadanie, którego nie chciał ominąć. Oto zmiarkował wówczas, że jakkolwiek nie można było wtargnąć w jakiś świat mistyczny, to przecież jedno jest łatwo możliwym: halucynacja! Poprzednia zaś tresura miała mu być pomocną przy nowych eksperymentach, przez które znowu spodziewał się dojść do pewnych krańców, z trwogą upragnionych.

Strumieński wyrobił sobie jeszcze za czasów zajmowania się malarstwem teorię, że organa wszystkich zmysłów są powtórzone w mózgu, w którym niejako siedzi drugi, mały człowiek. „Widział oczyma duszy”, „słyszał w duszy” — takie wyrażenia brał dosłownie. Ciągłość i plastykę swojej własnej wyobraźni uważał za regułę, mniemając, że wystarczy osiągnąć tylko wyższy stopień wmawiania w siebie jakiegoś zjawiska, aby je zamienić w wizję. Takie wizje musieli mieć np. święci mistycy albo ludzie cierpiący na *delirium tremens*<sup>44</sup> — których widzenia zalecał nawet swego czasu Angelice odtwarzać, na wzór *Myśli i marzeń głowy świętej Wiertza*<sup>45</sup>. Zauważył dalej, że nieraz bez żadnego powodu dźwięczą mu w uszach jakieś niby słowa oraz że kiedy np. dłużej wpatrywał się w słońce, to potem ciągle migają mu przed oczyma jakieś świecące płatki, zamieniające się na czerwono-zielone (tęczowe) obwarzanki. Jeżeli zmysły w ten sposób tworzą projekcje na zewnątrz — rozumował — to i wewnętrzne obrazy fantazji mogłyby się tą samą drogą uzewnętrzniać, obiektywizować. Brakło mu jednak środków do stosownego natężania gry wyobraźni. Wiedział wprawdzie, że haszysz, opium, meskal, kokaina itp. doskonale się do tego nadają, lecz wzdrzał się przed takim „materializmem”, gdyż był jeszcze zawsze tego błędnego zdania, że jakiś niecielesny duch i wola mogą kierować ciałem; był tego zdania, chociaż, jak widzimy, cała duchowość jego była przez „materializm” podminowana. Drugą przyczyną, dla której Strumieński, mimo swojego wyrafinowania, nie chciał się uciekać do sztucznych podniet, była podobna do tej, która go przedtem powstrzymała od próbowania wskazówek spirytystycznych. Trzecią wreszcie było — o niej potem powiem (s. 104<sup>46</sup>).

Stosunkowo najprędzej poszło Strumieńskiemu z wywołaniem efektów akustycznych. Wspominając różne zdania wypowiedziane przez żonę, jej specjalne zwroty, charakterystyczne akcentowania, przedłużania lub skracania głosek — usiłował wprawić w ruch ten fonograf pamięci. Kilka razy już mu się zdawało, że dopiął celu, lecz nie miał potem

Dusza

<sup>42</sup>*a posteriori* (łac.) — dosł. z następstwa; w następstwie faktu, na podstawie doświadczenia. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Znowu inna forma tej samej dyspozycji ku ostatecznościom idealnym, którą poznaliśmy na s. 67 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajdują się akapity z rozdziału IV zaczynające się od słów: „Wnet stała się Angelika (...) fizjologicznego” i „Wyrazem pierwszego etapu (...) kwiatów południa”. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*delirium tremens* (łac.) — stan zaburzeń świadomości, którym towarzyszą omamy oraz urojenia; majaczenie alkoholowe; biała gorączka. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>Wiertz, *Antoine Joseph* (1806–1865) — belgijski artysta okresu romantyzmu, malarz, rzeźbiarz, grafik i rysownik, w swoich pracach dawał wyraz fascynacji śmiercią, erotyką i przemocą; 18 lutego 1848 r. wziął udział w eksperymencie mającym sprawdzić, czy odcięta głowa nadal pozostaje świadoma po zgilotynowaniu; wprowadzony w stan hipnozy Wiertz miał wczuć się w stan skazańca (włamywacza François Rosseela) w chwili śmierci; swoje hipnotyczne wrażenia zapisał w formie trzecioosobowej narracji, relacjonującej odczucia (szok, cierpienie, zapadanie w mrok) zgilotynowanego w ciągu trzech minut po oddzieleniu głowy od tułowia, a także stworzył malarski tryptyk pt. *Ostatnie myśli i wizje świętej głowy* (1853). [przypis edytorski]

<sup>46</sup>O niej [o trzeciej przyczynie] potem powiem (s. 104) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnej stronie znajduje się akapit z rozdziału V zaczynający się od słów: „Tu muszę wreszcie poruszyć kwestię sumienia (...)”. [przypis edytorski]

pewności, czy to nie było tylko zbyt intensywne „zamyślenie się”, tak że to, co słyszał w głowie, w duszy, przez pomyłkę uważał za usłyszane z zewnątrz. Za to w parę dni potem prawie mimo woli „usłyszał” jakiś fragment dialogu: ale był to głos osoby innej, mianowicie jego ciotki, którą właśnie niedawno słyszał rozmawiającą z jakimś Żydem. Ujęty w cudzysłów wyraz „usłyszał” ma tu znaczenie przesadne, ściślej by ten fakt można określić tak: miał takie wrażenie jak człowiek, który dopiero co coś usłyszał. Mimo to Strumieński jeszcze nie rezygnował z tej dziedziny eksperymentów.

Co do halucynacji optycznych, to Strumieński żywił nadzieję, że mieć je będzie w przerwach snu, bezpośrednio po zbudzeniu się. Wyobrażał to sobie tak: „W chwili kiedy się nagle budzę, senna mara działa jeszcze dość silnie, więc skoro tylko otworzę oczy, może ona od razu utworzyć na czarnym tle nocy projekcję w czerwonych ramach, które będą odpowiadały krwi napływającej do oczu”. Istotnie też przyzwyczaił się przypominać sobie we śnie, że ma się zbudzić, i kiedy chciał, budził się prawie świadomie, ale prócz znanego mu już upiorowatego uczucia: jakby ktoś dopiero co tu był — niczego więcej nie doznawał. Za jakąkolwiek halucynację dałby wówczas wiele, a przecież — sam był temu winien, że nie przychodziły. Gdyby te próby robił kilka miesięcy wcześniej, kto wie — może by wtedy jeszcze miał tę energię na serio, potrzebną do przeprowadzenia tak niesłychanego zadania.

Wnet atoli powiedział sobie, że jeżeli ma urzeczywistnić *swoje* wizje, musi w jakiś sposób wpływać na odpowiednie ukształtowanie się snów za pomocą wysiłku woli. Zdało mu się, że tu otwiera się przed nim bardzo wdzięczne pole. Wprawdzie dziwił się nieco, że pomimo jednostronnego życia umysłowego tak rzadko śni o Angelice, a kiedy śni, to np. jej twarzy nie widzi — lecz mniemał, że to się teraz zmieni.

W której jednak chwili miałby się odbyć ów „wysiłek woli”? Przed zaśnięciem czy wśród samego snu? Jak posłać do snu reżysera ze swymi rozkazami? Strumieński rozmyślał o tym tylko teoretycznie, w praktyce zaś czekał, co będzie, i ograniczał się do tego, że np. zasypiając badał obrazy pod powiekami. Bywały to czasem różne niesymetryczne rzeczy widywane w życiu codziennym; obrazu ich nie mógł nigdy dowolnie zatrzymać lub zmienić, musiał się tylko przypatrywać, jak one się same zmieniały, a raczej łamały w figury, coraz to inne. Najczęściej zaś miał pod powiekami wirujące tapety o różnokolorowych deseniach, wzór ich wciąż się zmieniał na inny — podobnie jak to bywa w kalejdoskopie lub ruchomych dioramach<sup>47</sup> dla dzieci — aż wreszcie po takiej orgii deseni pozostawała nieregularna gwiazda z czerwonych włosów, która rozplywała się w ciemność. — Raz, zasypiając w ten sposób, zaczął marzyć o wytapetowaniu ścian całego świata takimi właśnie wzorami, „pojmował” świat jako pudełko wyłożone dziwną cynfolią<sup>48</sup>; gdy wreszcie zasnął, przywidziała mu się ściana z malowidłem kształtu liści. Liście zaczęły drgać, poruszać się, ożywiać, jakby to była altana opleciona jakąś rośliną. „Dobrze namalowane!” pomyślał sobie. Budzi się — naokoło niego był rzeczywisty las.

Wyłamywanie się snów spod jego kontroli i wpływu powinno go było naprowadzić na myśl, że to, co brał za zapowiedź powodzenia, to były tylko drobne sensacje, że snami rządzą skomplikowane prawa, działające daleko poza wpływem jego woli i rachuby, gotowe do najrozmaitszych niespodzianek. On zaś przypuszczał, że tu już jest oczekiwany tunel do świata zagrobowego, tymczasem zamiast utęsknionej przezeń postaci zjawiał się uparcie inny sen, który do terażniejszego jego życia wcale nie przystawał, a pochodził z czasów jego chłopięctwa: mianowicie sen o instruktorze, który po pijanemu bił go liną za to, że Robertowi przed pójściem do szkoły nie powkładał książek do torby. Nawiedzały go również dość często przykre sny z najbliższej rzeczywistości, takie, w których pod maską różnych nonsensów powtarzał się ten sam co na jawie stan mglistych syzyfowych usiłowań dotarcia w głąb... tylko zredukowany do dziecinnej karykatury.

Aby więc do snów wprowadzić pożądane tematy, postanowił za jawy wyźłobić w umyśle swoim odpowiednie bruzdy. W tym celu chodził znowu do muzeum Angeliki i ćwiczył się w rysowaniu jej twarzy. Miał dość materiału pod ręką, szkiców, fotografii, portretów, wreszcie ów cudowny obraz Angeliki, który zawsze najbardziej przypominał mu jej

<sup>47</sup> *diorama* — namalowany na przezroczystej tkaninie lub szkle obraz dający przy odpowiednim oświetleniu wrażenie trójwymiarowości. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *cynfolia* — cienka, miękka blaszka imitująca złoto a. srebro, używana głównie do pakowania artykułów spożywczych. [przypis edytorski]

„wszechobecność” i był wiecznym źródłem beznadziejnej nadziei. Chciał doprowadzić do takiej wprawy, żeby z pamięci rysować kontury jej oblicza w dowolnym ułożeniu.

Ale ćwiczenia nie szły tak, jak sobie obiecywał. Wprawdzie znalazłszy najwybitniejsze cechy jej oblicza, spamiętywał je sobie dokładnie i po kilkunastu dniach prób udawało mu się trafiać podobieństwo. Jednak to, co wychodziło spod jego ołówka, nie zadowalało, owszem, irytowało go, bo było przeważnie karykaturą, to jest podobieństwem li tylko ogólnikowym, takim, na jakie właśnie mógł się zdobyć dyletant. Nadto w toku prób owych, które wkrótce zaczęły odbiegać od swego właściwego przeznaczenia i ciągnęły go za sobą w labirynty techniki rysowniczej, powstawało w nim pytanie, czy on w ogóle osiągnie coś na tej drodze, bo wszakże jemu nie szło o wyrazność twarzy — na którą we śnie i tak nie zwraca się uwagi, gdyż wystarcza poczucie, że się ma z tą a tą osobą do czynienia — ale raczej o... sceny dramatyczne.

Mimo to przez takie forsowne myślenie o jednej rzeczy udało mu się zaludnić swą wyobraźnię samymi *tableaux* główek Angeliki i już podczas owych ćwiczeń zauważał, że jego sny, chociaż nie wpadają jeszcze na upragnione przezeń tory i ulegają wciąż nieprawidłowościom, to przecież powoli stają się mniej banalnymi, występują wyraźniej, a osnowa ich staje się coraz bardziej poetyczną i — erotyczną. Stwierdzał to z radością, ale i z pewnym niepokojem. Dlaczego?

Tu muszę wreszcie poruszyć kwestię sumienia. Oto przy wszystkich niemal dotychczasowych eksperymentach Strumieński, mimo nadzwyczajnej wytrwałości i zdecydowania na wszystko, nie mógł się ustrzec od tego, żeby w pewnych tajemniczych chwilach, rozstrzygających o losie eksperymentu a szybkich jak błyskawica, nie hamować rozpędzonego wehikułu. Prawie nie zdawał sobie z tego sprawy, nie chciał sobie zdawać sprawy (Nie chciał? Nie mógł? Punkt fałszywy). Czyż bał się, że może dojdzie do pewnej granicy, poza którą znalazłby absolutne upewnienie się o bezowocności swych poszukiwań lub poza którą wpadnie w coś szalonego, a on przecież nie chciał zrywać mostów za sobą?

Widmo ostatecznych konsekwencji przychodziło doń jeszcze w innej nęcącej postaci. Oto nagromadzony w nim jad erotyczny, który dotychczas nie mógł odnaleźć połączenia z właściwym rdzeniem jego marzeń, lecz funkcjonował niezależnie, miał teraz szanse wydobycia się w sposób prawidłowy, przy akompaniamencie tematów godnych właściciela tej całej człowieczej maszyny. Ta nadzieja popychała go do brnięcia dalej na obranej drodze; mimo dobrowolnego zapалу czuł się już jakby osaczonym przez jakieś wyższe moce — gdy wtem od niebezpieczeństwa (rzekomego?) odsunął go następujący przypadek:

Strumieński, chodząc po lesie, spotykał nieraz psa wygłodzonego, parszywego, okrytego ranami. Litość go zdjęła, postanowił psa zabić. Brał więc ze sobą na spacerzy strzelbę i wreszcie raz strzelił do niego. Ale widocznie przez pomyłkę włożył do strzelby patron nabity śrutem, gdyż pies zaskowyczał tylko i brocząc krwią, włókł się dalej. Strumieński strzelił znowu, tym razem celniej, potem zbliżył się do zwierzęcia i przeklinając swoją pomyłkę, chciał je dobić kolbą. Wtem pies ostatkiem sił rzucił się na niego i pokąsał go w nogi, aż wreszcie zginął pod uderzeniem kolby. Strumieński stał nad skatowaną ofiarą swojej litości i sam poczuł obrzydzenie do życia, zwłaszcza pod wrażeniem zdenerwowania wskutek ran; ale niedługo tak dumiał, gdyż rany zadane przez psa podnieciły jego instynkt samozachowawczy do gorączkowej czynności. Podejrzewał, że pies był zarażony wścieklizną, natychmiast więc kazał je sobie wypalić rozpalonym żelazem, co mu dało sposobność zmierzenia się oko w oko z tzw. prawdziwym bólem (on sobie ten ból tak nazywał). Położył się do łóżka, nie wołał jednak do siebie lekarza, pomimo że jego usposobienie hipochondryczne tego się dopraszało; było to odczepne dane postulatowi samobójstwa. Postanowił zaryzykować i ewentualnie umrzeć; obok siebie miał nabity rewolwer, aby sobie w łeb palnąć, skoro tylko poczuje pierwsze symptomy szału. Na pozór gardził życiem; czy dlatego, że czuł się okaleczonym, a ból fizyczny ciągle go upokarzał, czy z innych powodów? Dalsze eksperymenty zawiesił na kolku, gdyż wbrew wysiłkom woli bóle zanadto zajmowały jego umysł. Z dawnych planów, zawodów i rozpaczy a terazniejszych obaw, jęków żalonych i przekleństw zrobiła się dzika mieszanina, myśl zaś o śmierci czuwała nad nim wraz z inną marą: myślą o możliwości wesołego życia, bez trosk, przy...

Wieść o chorobie Strumieńskiego dostała się do uszu jego sąsiadów w przekręconej formie: rozpowiedziano sobie, że Strumieński popełnił zamach samobójczy. To wreszcie

Pies, Śmierć, Samobójstwo

zjednało mu pierwszą rzeczywistą sympatię, kto go bowiem pierwiej nie lubił, teraz miał prawo żałować go i litować się nad nim. Dowiadywano się o jego zdrowie, przysyłano mu słodczyce i przedmioty do wygody, kilku ciekawszych czy serdeczniejszych odwiedziło go. Strumieński rad nierad zmuszony był przyjmować te oznaki dobroci z udaną wdzięcznością, aby zaś nie być dłużej ich przedmiotem, co rychlej się dźwignął, nadrabiał miną zdrowego, a natrętnej pogłosce zaprzeczył opowiedziawszy, jak się rzecz miała. Rekonwalescencja szła szybko, o życie nie było obawy. W tymże czasie dowiedział się Strumieński, że Mariusze w obawie niezawodnej przegranej cofnęli proces i oświadczyli wobec osób trzecich, że nie chcą nękać Strumieńskiego i zgodzą się na polubowne załatwienie sprawy. Strumieński wiedział dobrze, z czym to ma związek.

Tak to życie wciskało się doń wszystkimi porami, a Strumieński nie mógł i nie chciał odnajdywać dawnych nastrojów i z daleka tylko za nimi tęsknił, w sekrecie przed samym sobą. Teraz nie naruszał już równowagi swego ducha, a do zupełnego otrzeźwienia go przyczyniła się powódź, która z wiosną nawiedziła okolicę. Nawiasem: niektórzy zabobonni chłopcy przypisywali powódź wpływowi nieboszczki żony Strumieńskiego, którą uważali za planetnicę<sup>49</sup>. Ta klęska żywiołowa wymagała natychmiastowej energii i czynności. Strumieński jakby rad, że mu się nadarza sposobność rozwinięcia swych młodych sił żywotnych, był niestrudzony w niesieniu pomocy i w ofiarności. Jakkolwiek nędza powodzian rozczulała go tylko teoretycznie, wmawiał jednak w siebie: *coż znaczy mój ból wobec tej strasznej nędzy ludzkiej?* Ten wyuczony frazes przypominał mu się w sam czas. Podczas akcji ratunkowej zetknął się znowu z ludźmi, którzy mu podczas choroby okazali uprzejmość i miłość i — jak sobie mówił — uratowali jego wiarę w ludzi. To wszystko przyczyniało się do rekonwalescencji duchowej. Był teraz podobny do człowieka, który chciał się utopić, lecz dotknąwszy nogą dna, zmienił swój zamiar i wyrzucając ramiona w górę i w dół całą siłą, robi kręgi w wodzie, aby się wydobyć na jej powierzchnię.

A dobry geniusz Strumieńskiego nie pozwolił mu zdawać sobie z tego sprawy zbyt jasno, lecz kazał mu zagłuszać szeptem dawnych myśli wynajdywaniem coraz to innych potrzebnych czynności zewnętrznych. Wobec owych głosów zresztą był Strumieński posępnym, gniewnym, ze zmarszczonym czołem — i ignorował je. Tylko raz musiał uchylić głowy przed majestatem swego minionego cierpienia: gdy jadąc promem po zalanym obszarze wioski ujrzał unoszącą się na falach próżną kołyskę.

## VI. OLA

Zanim przejdę do dalszych zmian w życiu Strumieńskiego, muszę jeszcze po sprawiedliwości nadmienić, że opis żałoby w poprzednim rozdziale zrobiłem nie według reguł rzeczywistości, ale po literacku, przejrzyście: były w nim fazy (można by ich naliczyć 7 lub 9 nawet), stopniowania, jedna faza była oddzielona od drugiej, a druga ukazana jako następstwo logiczne poprzedniej, chociaż w rzeczywistości takie fazy mogły się odbywać dość współcześnie i komplikować się ze sobą jeszcze bardziej. Ja wyprułem niejako różnokolorowe nici z kanwy i pozwijiałem każdą na osobny kłębek. Po drugie, niezupełnie jeszcze odkryłem swoje karty: albowiem dla dokładniejszego zademonstrowania i podkreślenia niektórych moich myśli przygotowałem parę małych eksplozji, które do poprzedniego opisu dorzucają jeszcze potem kilka szczegółów.

Skończyłem rozdział V na gwałtownym wyzwoleniu się Strumieńskiego spod władzy smutku, który już dawno wykroczył poza granice zakreślone mu przez naturę. Mówiłem o powodzi. Jako człowiek inteligentny, nauczony przez poezję wiązać zjawiska wewnętrznego życia ze zjawiskami przyrody, nie omieszkał Strumieński powodzią odpowiednio się wzruszyć; np. w czasie jej srożenia się „było mu tak, jakby” „ten smutek” wystąpił z brzegów i wylał się z jego własnego serca, a raczej z „duszy”, a duch „jej” unosił się ponad wodami, zaś po uspokojeniu się nawałnicy „było mu tak, jak gdyby” ta woda pokrywała „jakieś krajobrazy jego duszy”<sup>50</sup>. Istotnie zresztą w owych analogiach, w ostatniej

<sup>49</sup> *planetnica, planetnik* — w wierzeniach słowiańskich, na polu demoniczna istota uosabiająca zjawiska atmosferyczne, kierująca chmurami i zsyłająca burze, ulewy czy grad; planetnikami (inaczej też: chmurnikami, obłocznikami) miały zostawać dusze zmarłych nagłą śmiercią i samobójców (szczególnie wisielców i topielców). [przypis edytorski]

<sup>50</sup> „było mu tak, jakby” „ten smutek” wystąpił z brzegów (...) „było mu tak, jak gdyby” ta woda pokrywała „jakieś krajobrazy jego duszy” — [Komentarz autora z *Uwag.*] Podobnie i [w rozdz. V, por.: „Przerzucał na zewnątrz to,

zwłaszcza, a prócz tego ogólnie w widoku rozległości toni, były momenty, które objęły zastępstwo podupadłych już uczuć. Toteż, gdy woda opadła i wszystko wróciło na dawne miejsce, a energia niewiele miała okazji do bezpośredniego wyładowania się, przed Strumieńskim ukazała się nieznośna pustka. Wprawdzie nie było już w nim ani krzty żywiołowego smutku, tylko z powodu ciągłego naruszania gruczołu tęsknoty smutek ów wyrodził się w chroniczną dyspozycję, przy której za lada naciskiem woli drgała cała sfera stanów już nagromadzonych i wypróbowanych. Ale — czy dlatego, żeby się znowu nie zawieść, czy żeby nie przebywać znowu tych tajemniczych wycofywań się — dość, że Strumieński nie chciał już snuć dalej czarnego wątku tam, gdzie skończył, orzekł sobie, że to, czego nie dorobił ów epizod z powodzą, zostało przecież dorobione, a rozkołysawszy duszę w szerszych, choć powierzchownych wrażeniach, skorzystał z pierwszego lepszego pretekstu, aby postanowić wyjazd w podróż. Na uspokojenie zaś osieroconych duchów, w przelocie myśli stworzył sobie wykrętek, że właśnie gdy wróci, podda się z tym większą ochotą dotychczasowej robocie<sup>51</sup>.

Trzeba jednak uwzględnić i to, że w takich epokach bardziej przełomowych stan psychiczny człowieka dość łatwo i chętnie stosuje się do bodźców i wskazówek, które płyną z wypadków zewnętrznych. Oto Strumieński otrzymał z Drezna od ojca Angeliki, eks-wojskowego, list z zaproszeniem, by przy sposobności odwiedził go w Dreźnie. Jadąc do niego, zamierzał Strumieński wywiedzieć się nowych szczegółów o Angelice, której przeszłość znał mało — cieszył się także, że zobaczy nowych ludzi, miasta, stosunki, i już *anticipando*<sup>52</sup> przeżywał osobliwy stan zetknięcia się tych nowych wrażeń ze swoją melancholią. W pierwszym względzie zawiódł się, bo dowiedział się tyle co nic. Ojciec Angeliki żył od dawna z drugą żoną i miał z nią kilkoro dzieci, a o córkę swoją nigdy się nie troszczył; toteż, chociaż widocznie był przygotowany na indagacje Strumieńskiego, sprawiała mu one wstyd i zakłopotanie. Strumieński nie wypytywał zanadto. Był on przez Angelikę powiadomiony, jaką sytuację zastanie, i poprzestawał na tym, co mu mówiono z obowiązku; natomiast domyślał się wiele i z pewnym tajnym zadowoleniem wyszukiwał podobieństwa w jej przeszłości i swojej. Z sentymentalizmu omal nie popełnił tam głupstwa: oto uroiło mu się, że najmłodsza córeczka Kauffmanna, małe dziecko, przypomina Angelikę, i chciał ją wziąć ze sobą, lecz wczas<sup>53</sup> otrzeźwiły go pewne dysonanse — chociaż i tak, jak się zdaje, był to tylko chwilowy zapał. Strumieński zmiarkował, że ojciec Angeliki chce od niego „pożyczyć” „małą” kwotę pieniędzy, i dał wymijającą odpowiedź, wskutek której stosunek teścia do byłego zięcia stał się z grzecznego naprężonym. Nadto wobec całkiem pospolitego poziomu kulturalnego, na jakim się znajdował dom Kauffmanna, Strumieński zaczął w coraz przykrzejszy sposób odczuwać różnicę narodowościową dzielącą go od rodziny swej byłej żony. Zakupił więc trochę pamiątek po Angelice, między nimi kilka jej pierwszych obrazów, zrobił dość gruby prezent najmłodszej córeczce i wyjechał, postanowiwszy w duchu nigdy już nie zetknąć się z tymi ludźmi. Wizyta u Kauffmanna dała przejściom Strumieńskiego z Angeliką poniekąd spóźnione zakończenie, wywołała w nim niesmak i potrzebę obejrzenia się za inną rodziną — czy ogniskiem rodzinnym? — i otworzyła furtkę do tego, co się potem stało.

Teraz bowiem, z pełną świadomością następstw, Strumieński porzucił dalszą podróż, osądził, że nie ma talentu urządzania i korzystania z podróży, i pojechał uregulować wreszcie swój stosunek do rodziny Strumieńskich w Królestwie. Uczynił to wbrew wyraźnemu zakazowi przybranego ojca, który mu przekazał swoją nienawiść; lecz, wygrawszy

co się w nim samym odbywało (...) jakby do grzechu namawiało go otoczenie: »rozumiał« głosy przyrody”; red. WL]: Strumieński znajduje w objawach przyrody niejako aprobatę swych zamiarów. Albo odbywa się w nim podejrzenie o związek, np. że skoro w przyrodzie zaszła zmiana żywiołowa, to i w duszy powinna nastąpić taka sama zmiana, a może już i nastąpiła. Albo też zachodzi tu mimowolny błąd umysłowy przez upodobnienie: jak woda pokrywa pagórki, tak pokrywa wyżyny jego smutku. Albo wreszcie odbywa się w nim takie działanie myślowe: te łąki, pola itd., które były świadkiem jego smutku, są teraz usunięte, więc on nie potrzebuje już... itd. Mnogość sposobów rozwikłania owego kłębaka uczuciowego tłumaczy się tym, że ów kłębek należy do stanów, jakie opisałem w [rozdziale] *Trio [autora]* pod [numerem] 6. [przypis autorski]

<sup>51</sup> *podda się (...) dotychczasowej robocie* — [Komentarz autora z *Uwag.*] W stylu autora znać tu (i na wielu innych miejscach) jakby szykanowanie bohatera. A jednak np. słowo „roboty” należy brać całkiem poważnie; odcień ironii zaś pochodzi stąd, że ponieważ dotychczas nie stworzono aparatu do oddawania stanów nieświadomych, więc też, o ile one wyglądają jakby świadome, o tyle robią wrażenie komiczne. [przypis autorski]

<sup>52</sup> *anticipando* (łac.) — antycypując; z wyprzedzeniem mających nastąpić wydarzenia. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *wczas* — w samą porę, zawczasu. [przypis edytorski]

proces, sądził, że byłoby nieszlachetnym upierać się przy swym formalnym prawie, ugruntowanym ostatecznie tylko na zajadłości starego Strumieńskiego. Niechby nie myślano źle o nim, niechby im sprawił niespodziankę, upokarzającą ich insynuację. To drugie — a pierwsze: Strumieński już od dwóch lat niemal słyszał, że przeznaczono tam dlań na żonę niejaką pannę Olę (Aleksandrę), ciekaw więc był ją poznać, ciekaw był wymiarkować, jak ją usposobił ten plan matrymonialny i jakie wrażenie wywarły na nią różne o nim pogłoski. Szeptał sobie wprawdzie, że się rozczaruje, ale już samo to słowo „rozczaruje” zdradza kierunek jego myśli. Wiedział, że wolno mu się żenić po raz drugi, bo tego sobie życzyła Angelika, i w rozmowach z nim, i w pozostawionym mu liście, chociaż te jej życzenia były nieco mętne... Strumieński dotychczas odsuwał od siebie ową możliwość, lecz zawsze jakby rezerwował ją sobie na kiedyś, teraz zaś przypatrzył jej się z bliska i postawił otwarcie w środku swych dążeń. Przyszedł nań bowiem czas jakoby zupełnego ignorowania Angeliki, a przy tym (w wynagrodzeniu?) i siebie samego — czuł, że chce jeszcze kochać i być kochanym, więc dobrowolnie wyobrażał sobie, że jest jakimś innym. Ale czuł także, że obok tych egoistycznych wymagań układa się w nim coś na kształt programu, który mu jednak powoli i kawałkami dopiero występował w umyśle.

Tymczasem zawitał w dom matki Oli, ojciec bowiem tej panny, jeden z dawnych przeciwników Strumieńskiego z Wilczy, zmarł już, a Olą opiekował się jej stryj. Nazywano ten dom arystokratycznym, bo chociaż Strumieńscy-Mariusze należeli tylko do średniej szlachty, pielęgnowali jednak u siebie starannie znicznymi wytwornymi manierami i tradycjami, a szli w tym kierunku o tyle do ekstremu, że wobec braku środków finansowych usiłowali wywyższyć się w swoich i cudzych oczach doskonałym i subtelnym znawstwem tych tajemników koloru<sup>54</sup>, smaku i tonu, które według nich były równoważnikiem bogactwa. Była to więc arystokracja z odwetu. Co szczególnie, ale częste, do zwyczaju należało u nich przy tym pokpiwać sobie z arystokracji rodowej<sup>55</sup> i czasami grać rolę ludzi zupełnie wolnych od przesądów. Ten pozór złudził zrazu Strumieńskiego, olśnił go także pewien blichtr serdeczności, komfortu i rodzinnego ciepła, chociaż wnet poznał, że go tu nie zawsze mile wspominało i że w ich oczach wciąż jest jeszcze Włosem, chamem. Mimo to przymierze zostało zawarte, a i małżeństwo nie ulegało wątpliwości.

Zajmiemy się teraz Olą. Jak ją pojmował Strumieński? Przy pojmowaniu indywidualności kobiet przez mężczyzn zdarza się zwykle jeden błąd: dualizm, dwutykowość. Mają oni w zapasach umysłowości swojej po dwa, w literacki sposób skontrastowane, szablony na „typy” kobiece, np. Balladyna — Alina, Telimena — Zosia, Aza — Motruna, Lilia — Roza, Basia — Krzysia, Brunhilda — Kriemhilda, Safo — Melitta — i do szablonów tych mimo woli naginają rzeczywistość. Najpospolitszym jest następujący kontrast: z jednej strony kobieta ognista, megerowata, o cygańskich narowach, oplatająca mężczyznę urokiem zmysłowym, brunetka; z drugiej zaś dziewczątka słodkie, domowo-gospodarskie, wstydlive, tzw. przylepka, zwykle blondynka z niebieskimi oczyma, „owiana urokiem wiośniowym” itd. — znamy to przecież doskonale, nieprawdaż? Ten drugi typ ma nawet być specjalnie „naszym”. Otóż Strumieński pod pierwszy typ postawił Angelikę, a pod drugi, jeszcze dawniej, na chybił trafił Olę; tylko kolor włosów nie stosował się, Angelika bowiem była blondynką, a Ola brunetką. Zdawało mu się, że wystarczy palcem kiwnąć, aby mieć ową Olę, że wyświadczy jej zaszczyt, dając jej prawo uszczęśliwiania i pocieszania siebie, że będzie miał podatny materiał do eksperymentów. Rzecz się miała nieco inaczej, a jednak Strumieński jeszcze dość długo potem nie mógł wyzwolić się spod wpływu tej autosugestii.

Ola była panną roszczącą sobie pretensję do tego, że ma wrodzony szyk, i uchodziła w kole swych towarzyszek za pewnego rodzaju *lumen*<sup>56</sup>. Umiała dobrze śpiewać,

Pozycja społeczna,  
Obyczaje, Szlachcic, Chłop

Kobieta, Mężczyzna

Miłość niespełniona,  
Miłość romantyczna,  
Artysta, Kobieta, Gra

<sup>54</sup>*polor* — kultura towarzyska, rozumiana przede wszystkim jako zachowywanie dobrych manier i znajomość obyczajów. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*do zwyczaju należało (...) pokpiwać sobie z arystokracji rodowej* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Zwyczaj ten był asekuracją kłamstwa, opisanego w poprzednim zdaniu. Dla dobrobytu swego życia intelektualnego człowiek zwykle obiera lub tworzy sobie jakichś przeciwników, nad których się wywyższa, na których zwała różne winy, których skutecznie zbija. Najgorszy literat ma kogoś lub coś, z czym walczy, co mu daje złudę, że on jest potrzebny na świecie, co stanowi tło korzystne dla jego osoby. Tak samo jest i w innych dziedzinach życia publicznego i prywatnego. Ale każdy z takich antagonizmów, chociaż ma rację bytu na pewien promień, w większym kole nic nie znaczy. [przypis autorski]

<sup>56</sup>*lumen* (łac.) — światło. [przypis edytorski]



tańczyć, jeździć konno itd., potrafiła czasem powiedzieć coś rzekomo oryginalnego lub bardzo śmiałego. Miała tam naturalnie jakieś wykształcenie, czytała dosyć po polsku i po francusku, ale tu idzie o stopień umysłowych orientacji. Owóż orientacje jej były mniej więcej na tym stopniu, jaki dają publiczności powieści Sienkiewicza. W tej to Oli kochał się niejaki Gasztold, młody malarz i aspirant na geniusza, kręcący się wśród arystokracji. Miłość Gasztolda do Oli była jedną z wielu wariacji wzoru, który dał niegdyś Mickiewicz w Tuhanowicach, kochając się beznadziejnie w Maryli, a który od tego czasu naśladował niejedyn z naszych artystów, aby mieć za sobą — i wobec siebie samego podejrzenie, że jest geniuszem. Wiedzano o tym, że Ola ma teraz wyjść za Strumieńskiego ze względów rodzinno-finansowych, a Gasztold, który był adeptem nowych prądów w sztuce, wyrażał się o nim, zanim go jeszcze zobaczył, jako o filistrze, który ma przyjść i „potrzęsnać workiem pieniędzy”. Również Ola rozumiała dobrze swą rolę Maryli i chociaż traktowała Gasztolda tylko jako swego satelitę, przecież ułożyła sobie *anticipando* takie zachowanie się, jakby z drżeniem serca zgodziła się być „ofiara” („poszła za wdowca” — to tak brzydko brzmiało) i jakby zadawano gwałt jakimś jej młodzieńczym marzeniom — gwałt, przeciw któremu ona walkę swoją bardziej zaznaczała, niż toczyła, zawsze bowiem uważała, że powinna zrobić świetną partię.

Kiedy Strumieński przybył, zrobił się w tych wszystkich antycypacjach mały nieporządek. Przede wszystkim on sam zmiarkował, że Ola „boi się” go i „nie ma doń jeszcze zaufania”, a potem, gdy wniknął w stosunek Gasztolda do Oli, ogarnęła go pewna niechęć wciskania się tam, gdzie ktoś inny kocha. Widział nadto, że Gasztold jest człowiekiem utalentowanym i intelektualnie pobije go wobec Oli, a przecież sam wbrew swemu lepszemu przekonaniu mianował go zarozumiałym, półgłówkiem, bo był zły, że wskutek jego obecności nie może się przed nią popisać swym dyletanckim znanstwem w rzeczach sztuki. Wśród tej nieprzyjaznej atmosfery wróciła mu jego dawna, nabyta w towarzystwie Roberta, skryta i zacięta niby-duma. Zaczął udawać, że nie zaleca się znowu tak bardzo na serio, lecz raczej z grzeczności, a przy tym w delikatny sposób objawiał współczucie dla poetycznego stosunku Gasztolda i Oli, dając do poznania, że go nie chce rozrywać. W istocie Strumieński miał przed Gasztoldowym zakochaniem się troszeczkę respektu i nie bardzo się kwapił do roli Puttkamera<sup>57</sup>. Atoli właśnie ta częścią szczerą, częścią nieszczerą taktyka była trafną, gdyż Ola — chociaż i w każdym innym razie byłoby się na tym skończyło — zaniepokojona niedbałością Strumieńskiego, zaczęła mu dawać oznaki, że źle sprawę pojął, że ma on tu większe widoki, niż sądzi, że Gasztold ją tylko terroryzuje. Strumieńskiego wzruszały te objawy lgnięcia do niego, tym bardziej że i on jeszcze pierwiej, mimo swej rezygnacji, odczuwał już z powodu niej pewną zazdrość i ukłucia w sercu. Również i to zawiązywanie się uczucia poza wiedzą Gasztolda miało swój urok. Jednakże Strumieński, zapoznawszy się bliżej z atmosferą całego domu, nie ufał Oli. Wprawdzie każde zetknięcie się z nią, zwłaszcza z początku, wywierało nań niespodziewane pewne fizyczne wrażenie, w którym nie było nic lubieżnego, ale to wrażenie właśnie, przyspieszając tempo jego wyobraźni, wzbudzało wnet silne wspomnienia o Angelice. Wówczas stawał się nadal poważnym, urzędowym i chłodnym, a przyczyniały się do tego także ataki Gasztolda, o których zaraz opowiem. Ola coraz więcej przechylała się na stronę Strumieńskiego, który, nawiasem mówiąc, dosyć jej się podobał. Jego pełne rezerwy zachowanie się przypisywała wyłącznie melancholii po samobójstwie żony, a w swoim panińskim pamiętniku zapisała: „Serce me zapragnęło zanurzyć się w głębinach tego tajemniczego smutku”. Wreszcie na widmo Puttkamera była prosta rada: wyrugowała je, nadając Strumieńskiemu inną, wygodniejszą dla niej wartość literacką, mianowicie Ohnetowskiego *Właściciela kuźnic*<sup>58</sup>.

Gasztold poznawał się na mimowolnej taktyce sercowej Strumieńskiego i starał się demaskować go przed Olą, zupełnie jednak bezskutecznie, gdyż Ola właśnie korzystała

<sup>57</sup> Puttkamer, *Wawrzyniec* (1794–1850) — narzeczony, a następnie mąż Maryli Wereszczakówny, ukochanej Adama Mickiewicza w okresie poprzedzającym jego debiut poetycki. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *Ohnet, Georges* (1848–1918) — literat fr., wielbiciel prozy George Sand, przeciwstawiający się nurtowi nowocześniejszego realizmu, niestroniący natomiast od melodramatyczno-romantycznych motywów, zyskał wielką popularność u współczesnych czytelników i czytelniczek; jego najbardziej poczytna powieść, *Właściciel kuźnic* (oryg. *Le maître des forges*) została przerobiona na sztukę teatralną i przez rok nie schodziła ze sceny. [przypis edytorski]

z tych demaskowań, aby Gasztolda — niby dopiero dlatego — „przestać lubić”, a raz nawet wyraziła mu swoją pogardę. Zdarzało się też często, że Gasztold wyciągał Strumieńskiego na rozmowy o sztuce, aby mu dać sposobność do zblamowania się<sup>59</sup>, jednak Strumieński, biorąc udział w takich dysputach, nie omieszkował zaznaczać z pewną obłądą, że on jest tylko hreczkosiejem i że nie zależy mu wcale na tym, by mieć słuszność. Zazwyczaj też w opinii audytorium Strumieński wychodził zwycięzcą, dzięki swojej wytrwałej flegmie i komunałom, które, obracając się zawsze w sferze ciasnego dualizmu (duch i ciało), mimo swej abstrakcyjności były dla słuchaczy bardziej „zrozumiałe” niż niejasne, ale świeże argumenty Gasztolda, który zaperzał się i co chwilę sam siebie poprawiał.

Z tych dysput streszczam dwie charakterystyczniejsze. W jednej Strumieński, wstępując przeciw nowym prądom w sztuce, udawał, że naśladowanie dawnych szkół i technik może mieć tylko wtedy rację bytu, jeżeli artysta czerpie z tych technik bodźce do własnej oryginalnej twórczości, aby rozpocząć niejako na nowo i zbadać, czy przy wznoszeniu fundamentów nie zapomniano czegoś nader ważnego. W ten sposób zasila się nową sztukę ożywczyimi sokami sztuki dawnej<sup>60</sup>, samo zaś naśladownictwo dla mody nie ma sensu i jest chyba tylko upozorowaniem próżniactwa. Dajmy na to, że nowożytny malarz widzi przed sobą rysunek asyryjski z naiwną perspektywą, przedstawiający np. rząd żołnierzy w ten sposób, że tylko pierwszy żołnierz jest narysowany, a dalsi są tylko zaznaczani za pomocą kresek, równoległych do konturów postaci pierwszego. Otóż prawdziwy, utalentowany artysta na widok takiego rysunku przeniesie się myślą do źródeł sztuki w ogóle, oderwie ją od tysiąca sposobów już znanych i wynajdzie jakiś nowy sposób, tysiacy pierwszy; partacz natomiast będzie ową naiwną technikę naśladował i stworzy tylko nową dziwną manierę. Wbrew temu Gasztold — bardziej dla opozycji niż z przekonania — twierdził, że to się tylko tak na pierwszy rzut oka laikom wydaje, że, jego zdaniem, w sztuce nie wynajduje się właściwie nic nowego, bo wszystko jest już zrobione i przewyższyć się nie da<sup>61</sup>. Nie można więc mówić o tysiąc pierwszych sposobach, bo to nonsens: liczba typowych form w sztuce jest tak samo ograniczona, jak liczba dowcipów i liczba sytuacji dramatycznych. Jakkolwiek to brzmi złowrogo, przecież prawdą jest, iż w sztuce nie ma rozwoju. Rozwój to pojęcie mylnie przeniesione z dziedziny zjawisk społecznych do zjawisk estetycznych i ludzi się nie można, że dzisiejszemu pokoleniu pozostaje tylko naśladownictwo wielkich poprzedników. Co się zaś tyczy przykładu, który przytoczył pan Strumieński, to rzecz się ma tak, że ten sam rysunek asyryjski, który był dawniej nieudolnym, dziś może być oznaką wysokiej kultury artystycznej: albowiem przez taki sztucznie znaiwniony rysunek wieje trzy tysiące lat cywilizacji.

Naturalnie, że tak radykalne i dziwaczne zdania wzbudziły politowanie u słuchaczy usposobionych konserwatywnie, tym bardziej że znano Gasztolda jako malarza nieproduktywnego, a Strumieński zwyciężył.

Ważniejszą była druga dysputa. Gasztold stawiał tezę, że sztuka może wciągać w swój zakres wszystkie tematy, choćby najdrażliwsze, na zasadzie: *naturalia non sunt turpia*<sup>62</sup>, i przytaczał na to liczne przykłady, zmuszając delikatniejszą część audytorium do ucieczki. Strumieński bronił dogmatu, że nie wolno używać tematów nieestetycznych, lecz należy zawsze trzymać „linii piękna”, która jest „cienka jak włos<sup>63</sup>”, a poczucie tej linii każdy prawdziwy artysta przynosi na świat ze sobą. Kwestia „materiału” nie jest wcale tak obojętną — cóż byśmy na to powiedzieli, gdyby Michał Anioł najpiękniejszy swój

Sztuka

Sztuka

<sup>59</sup>zblamować się (daw.) — skompromitować się, ośmieszyć się. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>zasila się nową sztukę ożywczyimi sokami sztuki dawnej — [Komentarz autora z *Uwag*.] Chociaż zgadzam się ze Strumieńskim, muszę dodać uwagę, że przeważnie tylko nieudolność artystyczna szuka drogi do źródeł sztuki i do kontaktu z życiem przez archeologię i filologię. Są np. u nas literaci, którzy poznawać życie uczą się u chłopów, u pieśni ludowej, u biblii, a po źródła sztuki chodzą do Sofoklesa. Filologia jest znamiennej cechą ich twórczości. Mnie tego nie potrzeba. [przypis autorski]

<sup>61</sup>wszystko jest już zrobione i przewyższyć się nie da — [Komentarz autora z *Uwag*.] Pewien znakomity poeta współczesny twierdzi, że po Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim, poezja nie ma już nic do roboty. Brawo! [przypis autorski]

<sup>62</sup>*naturalia non sunt turpia* (łac.) — rzeczy naturalne nie są szpetne (hańbiące). [przypis edytorski]

<sup>63</sup>„linii piękna”, która jest „cienka jak włos” — [Komentarz autora z *Uwag*.] Tu korzystam z Hebbła, który twierdzi: *Die Linie des Schönen ist baarscharf und kann nur um tausend Meilen überschritten werden* [niem.: „linia piękna jest dokładna i może być przekroczona tylko o tysiąc mil”; red. WL]. Mylne, chociaż surowe. [przypis autorski]

posąg ulepił z nawozu? Tak samo itd. To porównanie zupełnie trafiło do serca słuchaczy i zmiądzżyło Gasztolda, który ze zjadliwym uśmiechem pobitego pytał: „A czy w *Ledzie z łabędziem* jest zachowana ta linia? I jak to sobie pan wyobraża, że malarz przychodzi na świat z linią w głowie?”. Na to Strumieński spokojnie odpowiedział: ależ wyraźnie powiedziałem „poczucie linii”, podobnie jak się przynosi na świat słuch muzyczny lub poczucie harmonii. I tak dalej.

Dysputa ta była dla Strumieńskiego ważną dlatego, że w jej toku uczuł, iż odnosi pyrrusowe zwycięstwo<sup>64</sup>. Miał wrażenie, jakby jego horyzont nagle się rozszerzył, i chciwie czyhał na argumenty Gasztolda. Rzecz bowiem miała się tak: Strumieński dotychczas całą zmysłową stronę twórczości swojej i Angeliki traktował tylko jako wybryk, który osobiście miło jest tolerować, w którym nawet można się rozlubować, byle w ukryciu i byle ze świadomością, że tak robić nie należy. Wiedział wprawdzie o istnieniu różnych „niezdrowych” prądów w sztuce, ale żeby to mogło być dla niego jako osoby aktualnym, żeby mogło tak blisko niego domagać się swoich praw do życia i mieć swoje precedensy i uzasadnienia, to mu nigdy w poważny sposób na myśl nie przyszło. Umysł jego, zbyt niesamodzielny i powolny, potrzebował bodźca, żeby adoptować to teoretycznie, czego nie wahał się uznawać w praktyce. Lecz adoptowanie nie nastąpiło już teraz, bo bodźce takie działają dopiero na daleką metę, nastąpiło ono w długi czas później, a i to nigdy zupełnie.

Wszystkie owe zawikłańka z Gasztoldem nie miały siły i czasu, żeby się wyżyć i dokończyć, czy to w sposób komediowy, czy dramatyczny, zostawiły tylko swój materiał na przyszłość, tymczasem bowiem siłą rzeczy Strumieński ożenił się z Olą. Ona powzięła sobie zamiar kochać go, Strumieński zaś, aby dać miarę swej miłości — i on bowiem tego słowa wobec niej używał bez skrupułu — przepisał na jej imię dwa swoje folwarki i oddał je w zarząd jej stryjowi, który równocześnie miał być generalnym zawiadowcą całego majątku i poprawić jego stan gospodarczy. To poddanie się Strumieńskiego niejako pod kuratelę Mariusza — raczej z wyrachowanej dobroci i niedbałości niż z potrzeby — ściągnęło nań potem liczne nieprzyjemności. Ale za to miał Strumieński tę tajną satysfakcję eks-plebejusza, że on, syn gajowego Włoska — nie tyle żeni się, co — będzie posiadał ładną pannę z domu „arystokratycznego”. Bo i on, chociaż „czuł się” wyższym ponad kastowość, pozwalał czasem sobie narzucić rolę „plebejusza” i przejmował się nią nawet, co w dalszym ciągu opowiadania jeszcze parę razy podkreślę. Mniemał nadto Strumieński, że zaimponował „im” szlachetnością, że to nie chybi także wrażenia na Oli i dobrze ją dla pewnych spraw usposobi.

Czas narzeczeństwa trwał bardzo krótko, a oboje go nie wyzyskali. Stał na przeszkodzie już to Gasztold, już to wspomnienie Geli, już to wzajemna nieufność. Tak stało się, że podczas kiedy pewna część małżeństw miewa poza sobą, w czasach narzeczeństwa, jakąś fazę „miłości” lub wmawiania w siebie miłości, fazę, w której oboje są odkrywcami uczuć, filozofami lub poetami, a w następstwie tego po ślubie fazę rozpadania się owych za wysoko spiętrzonych gmachów idealizmu — i te wszystkie przejścia stanowią jedną z ważnych, być może podstawowych pamiątek w skarbcu ich wspomnień: małżeństwu Strumieńskich brakło tego oślego mostu, było ono w swym założeniu stosunkiem przeważnie konwenansowym, towarzyskim; nie śmiałyby jednak rozstrzygać, czy i o ile ta okoliczność wpłynęła później na ich pożycie ze sobą.

Po ślubie wyjechali w podróż do Szwajcarii, chociaż oboje się uskarżali na „tę głupią modę” podróży poślubnych. Czy uchylę zasłony, za którą się kryją sceny z miodowych miesięcy? Muszę, ale opowiem rzecz tak sucho i nudno, że nikt się nie zgorzyszy. Otóż co do Strumieńskiego, to ten z początku uległ świeżości wrażeń i strzegł się je zamącać. Zdziwienie jego z tego powodu było prawie żadne, bo wszakże już raz wymógł na sobie decyzję ożenienia się i, jak mu się zdawało, wtedy jeszcze wszystko uwzględnił, teraz więc oddał się bez skrupułów używaniu swego ludzkiego prawa. Tylko w pewnych chwilach układało się w jego myśli coś w rodzaju cichej modlitwy do Angeliki, za pomocą której czynił ją świadkiem swej nowej miłości. Był czasami w Oli tak gwałtownie zakochany,

Ślub, Mąż, Żona, Własność,  
Pozycja społeczna

Małżeństwo, Miłość

<sup>64</sup>pyrrusowe zwycięstwo — zwycięstwo osiągnięte nieproporcjonalnie wielkim kosztem w stosunku do odniesionych korzyści; określenie nawiązuje do imienia króla Epiru Pyrrusa, który w III w. p.n.e. toczył wojnę z Rzymem na terenie Italii i wygraną w bitwie pod Ausculum w 279 r. p.n.e. okupił ogromnymi stratami w ludziach, co miał podsumować słowami: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a zginiemy bez śladu”. [przypis edytorski]

że oddychał tajną nadzieją, iż ona wyruguje z jego duszy pamięć Geli, która unosiła się gdzieś z daleka, jak przykra chmura podczas brzasku dnia majowego. Chciał odwiązywać wszystkie złote niewidzialne nitki, które go łączyły z Angeliką, i przywiązywać je do Oli — tak to u siebie wyrażał. Ale z niczym się przed nią nie zdradzał, traktował Olę jak dziecko — jakoś to było najwygodniejszą komitywą — choć przy tym jak obcą na wpeł grzecznie. Naumyślnie czy też z musu — ale nie tajał przed nią. Co do Oli, to miała ona z początku nieco roboty ze wspomnieniem Gasztolda, którego pozostawiła w rzekomo beznadziejnej rozpacz. Ona sama o to się nie troszczyła, ubolewając wszakże nad swoim okrucieństwem, ale troszczył się — kto jak nie Strumieński, który bodaj w ten sposób dodawał do „muzyki dwojga serc” swoje znane już mollowe dźwięki. Aby się przed nim nie skompromitować, musiała Ola trochę udawać, że jej żal „tego biednego chłopca”. Wiadoma zmiana stanu o wiele mniej podzialała na Olę, niż się Strumieński spodziewał. Nic jej ani bardzo nie dziwiło, ani nie przerażało, a pod względem reprezentacji małżeńskiej na zewnątrz Ola rychło potrafiła zachowywać się tak, jakby już z pięć lat była mężatką, i słowa „mój mąż” lub „my się kochamy” wymawiała od razu z wielką pewnością siebie. Powaga i „godne” zachowanie się Strumieńskiego imponowało jej jeszcze czas jakiś, a prócz tego bała się go trochę, co jej pochlebiało. Wiedziała, że jego pierwsza żona umarła śmiercią nienaturalną — „może on ją zabił, kto to wie?” myślała sobie, chociaż dobrze była powiadomiona o szczegółach tej śmierci.

Zapowiadałam, że teraz i w dalszym ciągu nieraz będę zwracał uwagę na powtarzania się lub podobieństwa pewnych ukształtowań psychologicznych. Otóż Strumieński, który zrazu zachwycał się wszystkim, co robiła Ola, i pojmował jej czyny i słowa w jak najlepszym duchu, zaczął zauważać w zachowaniu się Oli pewną „resztę”, która go nie zadowalała. O takiejże „reszcie” u Angeliki już był zapomniawszy, bo nigdy jej sobie wyraźnie nie określał — zsunęła się już wraz z innymi wspomnieniami o Angelice w pewną perspektywiczną całość, o czym będę później mówił. Co zaś w zachowaniu się Oli nie wypełniało mu tego obrazu miodowych miesięcy, jaki sobie wyidealizował w domu Mariuszów, tego Strumieński sam jeszcze dokładnie nie wiedział. Na razie przyznawał tyle — bo to dlań było jaskrawe — że w chwytności wrażeń z przyrody Ola zachowywała się całkiem inaczej niż Angelika. Chwytała je nieco za hałaśliwie, z pewną sztuczną, jakby wyuczoną afekcją, w której Strumieński dopatrywał się nieszczerości, tym bardziej że on sam — a to go dość dziwiło — doznawał słabszych wrażeń, niż się spodziewał. Czyżby mu brakło oczu i sugestii Angeliki? Ale czegoś uwziął się grozić Oli, że wróci prędzej, niż było oznaczone w programie, ją zaś to gniewało, bo chciała się trzymać wytkniętej drogi i czasu. Tak powstała pierwsza sprzeczka i naturalnie pierwsze pogodzenie się.

Kiedy podróż miała się już ku końcowi, wpadł Strumieński na pomysł wypróbowania uczuć Oli, który może kogo innego rozśmieszy, ale dla indywidualności Strumieńskiego był całkiem odpowiedni. Oto roztajał przed Olą, powiedział, że nie chce już przed nią udawać zimnego i sztywnego, bo takim bynajmniej nie jest, i prosił ją, żeby powrót do domu odłożyć na nieograniczony czas i pojechać „het w świat za oczy”, bo on nie chce, on boi się wracać — „czy rozumiesz, Olu?”. Strumieński sam nie brał na serio tej propozycji, przeczuwał bowiem, że Ola jej nie przyjmie, chciał się jednak o tym upewnić i widzieć, jak to będzie wyglądało. Potrzeba wewnętrznej przekory namawiała go, żeby Oli dać sposobność do skompromitowania się w jego oczach. Jeżeli by jednak propozycję przyjęła, był może gotów robić jakieś wariactwa, uciec z nią czy coś takiego. — Ola odpowiedziała naturalnie, że go rozumie — może by jednak lepiej odłożyć sobie to aż na drugi rok? Humorystycznie dodała, że zapewne dawne lary i penaty<sup>65</sup> w Wilczy przyjmą nową intruzkę? Znużyła się już i znudziła podróżą — mówiła, że ją „już wszystkie kości bolą”. Myśli jej krążyły koło tego, jak jej stryj urządził się w dobrach Strumieńskiego, jak się tam teraz stosunki ułożą, i chciała wracać, spieszyła się, żeby cywilizować Wilczę i męża — dzikiego Azjata. Bo już się go nie bała, sama mu wyznała: „Pierwej to się ciebie bałam, a teraz nic a nic” — taki był skutek jego roztajania. Zaczęła się śmiać do niego i z niego i zanotowała w swoim pamiętniczku, że go dopiero teraz „naprawdę” kocha, on zaś zgodził się na powrót, bo spodziewał się, że po tym pęknięciu lodów wypłynie z nią na pełne morze — jakie i po co? To pokaże się w następnym rozdziale.

<sup>65</sup>lary i penaty — w staroż. Rzymie bóstwa opiekuńcze związane z domostwem. [przypis edytorski]

## VII. NOWA PRÓBA W GŁĄB

Dwie są dziedziny, które myśl ludzka nierównie chętniej odwiedza niż słowo. Jednocześnie umiłowane i wzgardzone, wyzywają ludzi do dziwaczego zachowania się.

Pierwsza — to, przed czym sobie „Amor figlarnie zakrywa ręką oczy” (Goethe), dziedzina szczegółów zmysłowej rozkoszy, przyrodzony materiał miłości. Jakże trwożliwie cofają się słowa przed tą przepaścią! — z jakiej przyczyny? Oficjalnie wymija się to ogólnikami lub metaforami: „szczęście”, „rozkosz”, „przepaść”, „utonęli w niebie”, wreszcie licząc na fantazję czytelników, daje się dyskretne kropki..... „szczęścia” samego się nie maluje. „Miłość” — to słowo jest obszerną skrzynią, w której się trzyma rozmaite zwierzątko. Gdyby ono nie było takim liczmanem, lecz za każdym razem przypominało całą treść swoją, byłoby może zakazane. Od słowa „miłość” przelećmy z zamkniętymi oczyma ponad pewną bezimienną okolicą, a znajdziemy napisy brutalnego cynizmu — bo na szczegóły „szczęścia” zwykłych nazw nie ma, tylko albo urzędowe, naukowe, albo cyniczne. Proszę je sobie na jedną chwilę — zaraz teraz uprzytomnić, wsłuchać się w ich dźwięk śmieszny, brutalny, dosłuchać się w nim więcej niż szyderstwa, bo może nawet nienawiści. Kto wie zresztą, czy ów cynizm nie jest kłamstwem wymyślonym przez ludzi instynktownie po to, aby wzajemnie przed sobą ukrywali swój zbyt gorący współludzka? Nie ma może rzeczy, do których by człowiek jako człowiek miał żywszy, dziwniejszy, bezimienniejszy stosunek. Prawie wydaje się, że słowa należące do tego zakresu to tylko żywopłot odstrasający, groteskowy, zazdrośnie otaczający raj, w którym myśl ludzka przebywa tym bardziej samotnie i tajemniczo — nawet mimo współnika.

Druga dziedzina: chwile samotnych marzeń sumują się, wytwarzają w człowieku stały osad i człowiek staje się podobnym do skrzypiec, w których tony wsiąkają w pudło i zamykają się w komórkach drzewa. Są westchnienia, uczucia, myśli święte i tkliwe, słowa i czyny szalone, pieszczoty niewykonane, pomysły na wół pomyślane, które wiecznie czekają nad jakimś brzegiem, czy i na nie przyjdzie kiedyś pora? Ale nikt nie próbuje wykrzyknąć się, wypłakać, wygadać, zapomina o tym swoim świecie, ogranicza jego rozrost, skazuje go wreszcie na zaumarcie. Wstydlivość, obawa przed śmiesznością, zarzutem patosu, niepewność co do współludzka drugich, wreszcie ciągle zawody i nieporozumienia odcinają człowieka od człowieka. Być może, że w samej technice współżycia z ludźmi istnieją zasadnicze przeszkody, by jeden człowiek wpadł z taktem swego życia w takt drugiego. Bo dlaczego — gdy się przypadkiem zajrzy w głąb duszy drugiej, podsłucha ją na jakimś gorącym uczynku serdeczniejszego wybuchu wobec samej siebie: jej modlitwę, list, monolog, twarz zwróconą ku niebu, czuje się nieraz więcej niż obojętność, bo wstyd, chęć ucieczki i niewiedzenia o tym? Tak dzieje się, że ludzie stykają się ze sobą tylko niższymi regionami, a nie szczytami swoimi, nie aureolami, i to wszystko, co popularnie nazywa się pięknym, dobrym i prawdziwym, to wszystko najrzadziej się wypowiada.

Nie ulega wątpliwości, że jest to dziedzina, w której człowiek najbardziej się śmiesznym wydaje, najbardziej się kompromituje, najwięcej tedy wymaga pobłażliwości, sympatii, miłości, zrozumienia i rozumu. Nie ulega też wątpliwości, że w wielkiej liczbie wypadków zarzuty: patosu, sentymentalizmu, romantyczności, stosuje się słusznie, potępiając naśladownictwo, nieszczerłość i w ogóle różne nadużycia w pewnych rzekomo serdecznych wybuchach uczuć — ale czyż każdy ma czas i zdolności, by szukać swojej odrębnej, oryginalnej formułki wypowiedzenia się? I kto wie, czy pewna część najsubtelniejszych może uczuć nie zawdzięcza swego istnienia właśnie wytworzeniu się i pokomplikowaniu wielu formułek (następcze życie duszy), a chociaż oparta na nich, niemniej jest konkretna i żywa, niemniej dolega?

Określenia moje są może nieco podejrzone wskutek poetyczności wysłowienia się — dałbym jednak sam zły przykład, gdybym w takiej sprawie nie mówił gorąco i niejasno. Streszczając się, powiem: są dwa więzienia w duszy ludzkiej, jedno pełne złodziei, drugie pełne aniołów, czyli że na marzenia zmysłowe i umysłowe nie ma odpływu.

Zrobiłem z tego rodzaj przedmowy do dalszych perypetii Strumieńskiego, któremu zdawało się, że w obu tych dziedzinach Angelika była jego partnerką i towarzyszką. Przedmowa taka tym bardziej była potrzebna, że z łatwo zrozumiałych powodów muszę opuszczać pewne rzeczy, które by były konieczne celem nadania właściwej wagi i barwy wielu psychicznym zawikłaniom. Oprócz tego wiadomego powodu jest jeszcze i ten, że

Miłość, Szczęście

Samotność, Kondycja  
ludzka, Słowo

Kondycja ludzka, Dusza,  
Więzienie, Marzenie

żaden autor, nawet i ja, nie jest dość odważnym wobec swojego czytelnika, jeżeli chce ominąć utarte, wygodne obszary patosu, a wpłynąć na patos niebezpieczny, który zawsze musi być dość osobistym... Gdybym na przykład napisał, że Strumieński i Angelika zbudowali sobie sami chatkę w lesie i naśladowali kochanie się pierwotnych ludzi, że umówili się odgadywać swoje myśli, że ona malowała jego portret pędzlem z własnych włosów itp. komedie, które bym mógł powymyślać, do których odgrywania i przejęcia się nimi trzeba by więcej siły umysłu, niż ma przeciętny człowiek: czyż nie powiedziano by, że to jest wyrafinowane, nieprzyzwoite, antyspołeczne? I czy nie byłoby trochę zazdrości w takich określeniach? Śmiano by się z takiej przesady — a przecież „miłość”, jeżeli w ogóle ma być czymś, jest właśnie przesadą, żyje z przesady i nadmiaru, jakkolwiek (i to jest punkt ważny) więcej sposobem zaznaczania i pomyślenia niż wykonywaniem.

\*

Gdy Strumieński przyjechał do Wilczy, rozrywało go z początku urządzenie nowego ogniska wspólnie z Olą, która już sobie wszystko naprzód ułożyła i przewidziała. Sam troskliwie unikał wspomnień o Angelice, lecz mimo to, a może właśnie dlatego, wpadł znowu w objęcia zaczajonego nań tutaj we wszystkich przedmiotach demona, którego sobie sam wychował. Stało się to dość nieznacznie, a zrazu nawet mowy o tym nie było. Tylko czasami, gdy przechodził to tam, to ówdzie, było mu tak, jakby go coś z westchnieniem mijało, nie zaczepiając. Jego grób — a takim był dotychczas dwór w Wilczy — osnuwał się siecią nowych stosunków, co go zmuszało myśleć o znikomości świata. A te stosunki wnet okazały się dlań obcymi i groziły mu łagodnie zacieśnieniem jego indywidualności — więc umysł jego szukał choćby urojonego sojusznika.

Równocześnie zaczynał się zacieśniać także widnokrag, który mu się otworzył z chwilą nabycia Oli. Wprawdzie nie przyznawał tego, że po miodowych miesiącach występowała ona przed nim coraz bardziej jako ściśle oznaczony, ten a nie inny charakter, nadający sobie swoje własne prawa, mający własny punkt ciężkości poza obrębem jego programu. Podczas gdy pierwiej, bezpośrednio po śmierci Angeliki, patrzeć mógł jeszcze w zagadkową, ale obszerną, pełną różnych możliwości przyszłość, teraz, posiadwszy jedną i tę właśnie żonę, odciał przed sobą pewną, kto wie jak wielką, część owych możliwości. Wchodziły tu także w grę czynniki bardziej „intymne”<sup>66</sup>.

Strumieński był przez Angelikę rozkapryszony, zepsuty, przyzwyczał się z nią do innego sposobu kochania się, wobec którego miłość z Olą, po starciu uroku świeżości, była dość prymitywną, jak on się potem wyrażał, fuszerką. Tu muszę bystro spojrzeć w oczy czytelnikowi i usunąć jego wątpliwości. Nie idzie mi bynajmniej o te barbarzyńskie wyuzdania płciowe, jakimi bezmyślni ludzie, nieumiejący nic mądrego począć z materiałem miłości, usiłują rozszerzyć sobie zakres swoich przyjemności i nadają im miano „wyrafinowanych rozkoszy”. Moim zdaniem rozkosze takie, o ile nie są naśladownictwem lub złem koniecznym, są wybuchami niezadowolenia i ironii, rozcięciem węzła, którego się rozplątywać i splatać nie umie. Gdybym zresztą takie fakty miał na myśli, z pewnością bym ich nie zataił, radząc sobie w ten lub ów sposób z pruderią czytelnika — bo uważałbym jasne postawienie sprawy za rzecz niezbędną dla mego studium, którego nie piszę dla dzieci ani dla takich dorosłych, którzy chcą, by ich traktowano jak dzieci. Strumieński i Angelika byli zbyt „artystami”, zbyt dużo gadali o tzw. Pięknie, żeby popaść w powyżej napomknięte wybryki, w których by ich razila nie bezcelowość, lecz tzw. nieestetyczność; na innym miejscu zresztą już opowiedziałem, jakie oboje mieli poglądy na miłość fizyczną. Mimo to miłość ich można było nazwać systemem rozkoszy, który wprawdzie wciąż dopuszczał improwizacje: poezji, „czułościowości”, namiętności, ale miał swoją historię doskonalenia i ustalania się, swoje szczyty i skrytki, a mógł być cały zapomniany,

<sup>66</sup>czynniki bardziej „intymne” — [Komentarz autora z *Uwag.*] Używam tego wyrazu z pietyzmu dla kierunku twórczości, który swego czasu uprawialiśmy, Womela [*Womela, Stanisław* (ok. 1873–1911); lwowski poeta, krytyk literacki, artystyczny i teatralny, przyjaciel Irzykowskiego; red. WL] i ja, z dala od oficjalnego zgielku literackiego, jeszcze wcześniej, nim się w Polsce modernizm pojawił. Kierunek ów nazwaliśmy intymizmem, ponieważ szło w nim o wyciąganie na tapet wszystkich najserdeczniejszych tajemnic ludzkich. Nazwa ode mnie pochodzi, Womela nazywał to także „obnażaniem woli”. Kierunkowi temu wierny dotychczas zostałem, tylko że zamiast tajemnic seksualnych pod wpływem Grossa uznałem tajemnice intelektualne za ważniejsze. [przypis autorski]

bo nikt go nie zapisywał, tylko nerwy i pamięć. Otóż ten „system” przypominał się teraz Strumieńskiemu na każdym kroku; tyle miejsc i mebli opowiadało mu historię i jego, i odnośnych rozpamiętywań z dni żaloby w Wilczy. Więc już choćby dlatego, żeby się tym wspomnieniom opędzić, chciał podzielić się nimi z Olą.

Zrazu nie żądał wiele, gdyż, jak powiedzieliśmy, program jego tylko powoli i kawałkami występował mu w umyśle. Jest też w miłości dziedzina, która z natury rzeczy bywa u wszystkich jednakowa, bo tak czy owak dostarcza zawsze silnych podnieceń. Ale było wiele powiedzeń, które z Olą nie były powiedziane, pieszczot i uścisków — niewymienionych, toków myśli i marzeń — wspólnie nie przemyślanych. I tak np. nie zdarzyło się, żeby kiedy ona jego z własnego popędu w rękę pocałowała — aż raz sam to na niej wymógł, gdy niby to żartem rzucił ją przed sobą na kolana i kazał powiedzieć, że uznaje się za jego niewolnicę. Za to lubowała się Ola w komedii, w której te role były odwrócone — bo tak przecież wypadało, by ona była damą, a on rycerzem, to odpowiadało szablonowi, który przejęła podczas swego wychowania. Nie znała też np. sztuki czy potrzeby wabienia go przez rozpuszczenie włosów — a miała ładne włosy — nie zdarzyło się też, żeby ona jemu napraszała się ze swymi uściskami, wreszcie nie pozwalała widzieć *siebie samej*, tłumacząc mu, że to jest niepotrzebne i że tak daleko jego prawa nie idą. To co uważał z początku za wstydlivość, okazywało się chłodem; zaspokajał tylko głód, ale nie miał rozkoszy. Wprawdzie i ona posiadała pewien temperament — ale na krótką metę; namiętność jej była bardziej wegetatywna, egoistyczna, nieprzypuszczona przed forum świadomości, hamowana z jakiejś przekory przeciwko samej sobie: a gdzie był czas, kiedy tamta w jego objęciach drżała, jak owa kobieta na spienionym rumaku na obrazie Podkowińskiego! Co prawda dla Oli znowu można by wybrać inne poetyczne powiedzenie:

*In meinen Armen war sie ganz wie todt,  
Wenn ich — es schüttelte sie innrer Frost,  
Sie schien ein Engel, der sein Flügelpaar  
Abwehrend gegen irdischen Staub bewegt<sup>67</sup>...*

Ale nie byłoby to wcale trafne, bo Ola przecież nie była aniołem.

I Angelika, i Ola wychodziły z tego samego dualizmu i tych samych założeń (raczej: przesądów) estetycznych, ale Ola trzymała się całkiem innych rezultatów, mianowicie tych, według których miłość powinna się redukować mniej więcej do tej koniecznej miary, jaką się kontentują zwierzęta w czasie rui — chociaż właśnie odstępowanie od tego minimum nazywała Ola zwierzęcością. Chciała i w *tych* miary, dystynkcji, estetyki i nazywała to u niego — i u siebie — przesadą, co on nazywał szalem. Mimo to rozprawiała bardzo wiele i ładnie o miłości, a w pamiętniku swoim pisała, jaka to ona teraz szczęśliwa — o czym Strumieński nie wiedział. Odpychała lekko lub przyjmowała ze zdziwieniem wiele jego pieszczot i czułości, a to głównie z powodu, że w głowie jej usadowił się pewien szablon co do pojmowania mężczyzny: jako człowieka o szorstkiej dłoni, dzikiego zdobywcy, lekceważącego kobietę, wydziałem zaś kobiety jest mieć uczucie, dzierżyć kądziel i łagodzić gniew rozjuszonego pana itd. — znamy to przecież doskonale.

Czytelnikowi, który może chciał mnie tutaj przychwycić na niekonsekwencji, daję następujące zadanie psychologiczne: rozpatrzyć, w jaki sposób mógł się ten dopiero co opisany szablon, który nazwijmy prehistorycznym, pogodzić w postępowaniu Oli z szablonem rycersko-trubadurskim, według którego Ola wymagała od Strumieńskiego różnych względów, uszanowań i delikatności. W tym celu może czytelnik zrobić nawet ankietę wśród znajomych pań — najlepiej starszego pokolenia — naturalnie bez ich wiedzy. Np. niech raz wywoła objaw pierwszego, a innego dnia drugiego szablonu, wtedy przekona się, że w mózgach ludzkich leżą takie przejęte foremki obok siebie, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. Dla mnie zresztą nie ma tu niekonsekwencji, przy charakterze bowiem idzie nie tyle o treść enuncjacji ludzkich, co o pewien gest objawów charakteru, a gest ten jest w niekonsekwencjach ten sam. Co się zaś tyczy Oli, to jest to umysł wychowany eklektycznie, niesamodzielny, nie produkuje, nie przetwarza, ale

<sup>67</sup>*In meinen Armen (...) Staub bewegt* (niem.) — W moich ramionach była zupełnie jak martwa, (...) tak wstrząsana wewnętrznym mrozem, wydawała się aniołem, co swych skrzydeł parą broni się przed ziemskim kurzem [tłum. WL]. [przypis edytorski]

Miłość, Marzenie, Pan,  
Niewola, Gra, Kobieta,  
Mężczyzna

Kobieta, Miłość, Obyczaje,  
Zwierzę

tylko reaguje na zewnętrzne wrażenia, mając na większą część wypadków w świecie już gotowe, okrągłe sposoby mówienia, mniej więcej na kształt rozmówek w podręcznikach dla osób podróżujących w kraje, których języka nie rozumieją.

Powyższe nawiasowe uwagi o umysłowości Oli trzeba naturalnie przyjmować *cum grano salis*, to znaczy jako nieco przesadne, i wziąć odpowiednią poprawkę. Powiedziałem np.: umysł jej nie produkuje. Miało to znaczyć, że nie jest zdolna spostrzegać niekonsekwencji lub niezupełności w przejętych szablonach, że pewna ilość grup myślowych wystarczyła jej całkiem do życia. Ale produkowanie w znaczeniu zwykłym — takie tam było. Bo oto np. Ola, wyćwiczona w salonowej szermierce dialektycznej, miała dowcip — płytki, ale dlatego niebezpieczny, ponieważ dowcip, jak wiadomo, musi być nieścisłym i niesprawiedliwym, nie uwzględniać odcieni i przekręcać rzecz, a przy tym wciskać się niedyskretnie w pewne tajniki, na których lubi osiadać pasożytem. Dowcip ma swój popęd do bytu, wskutek którego gmatwa brutalnie iluzje, poluje na niedomówienia, sekrety. Ponieważ zaś Strumieński miał właśnie duszę naszpikowaną tajnikami, przeto zmiarkowawszy ów talent żony, musiał się mieć na baczności i przypominał sobie wtedy humor Angeliki z pierwszych czasów zapoznania się z nią, humor, polegający na przekłuwaniu baniek mydlanych, wydmuchanych przez niego lub przez nią samą.

Wszystkie te dysonanse — których repertuar później jeszcze wzbogacę — zbadałem przez szkło powiększające, bo na oko nie psuły one ogólnej harmonii w pożyciu Strumieńskich (podobnie s. 72, 76<sup>68</sup>). Rzeczywiste życie posiada pewien kwas niwelujący, zawarty w codziennych wypadkach, który to kwas nie tylko rozcieńcza i znosi znajdujące się w życiu poetyczne szczyty, ale także zmniejsza i łagodzi, i przytępia antagonizmy, gotowe do tragicznego na siebie natarcia. W gruncie rzeczy jednak zazwyczaj między najbliższymi sobie osobami wrą ciche walki (niemające jeszcze swego Homera, jak raz powiedziałem), a zasada: *homo homini lupus*<sup>69</sup> na terenie psychicznym święci największe tryumfy, bo tu nie ma ochrony państwowej, mowa zaś ludzka jest gąszczem, w którym można z najniewinniejszą miną swego bliźniego obić i obłupić. W dalszym ciągu pokażę, jak różne braki w stosunku Strumieńskich wywoływały czasami rozjątrzenia i niesnaski. Tu jeszcze dodam, że im ludzie mniej wyćwiczeni psychologicznie, tym później poznają się na właściwym, a nie przypadkowym ustosunkowaniu się swych charakterów, przypisując sobie wzajemnie zrazu dobre serce itp. platoniczne przymioty (co też bywa oznaką, że tam wewnątrz nie wszystko w porządku); podczas gdy ludzie wyćwiczni wolą nawet zrobić ze sobą eksperyment i doprowadzić zjadliwe soki do próby czyraka.

Mimo opisanego powyżej procesu zubożniania się przykrych składników życiowych, Strumieński wpadał nieraz z powodu Oli w stany podsuwające mu przykre ostateczności, w tzw. czarne myśli. Ale na szczęście ze stanami takimi życie stowarzysza zwykle jakiś stan myśli odwrotny, który zaprzecza i niszczy rezultaty tamtego, a nakłania do wyszukiwania nowych, konkretnych i pocieszających widoków. W jakiej proporcji oba te stany były teraz u Strumieńskiego, trudno by oznaczyć, lecz naturalnie drugi wkrótce wziął górę. Było bowiem mnóstwo innych okoliczności, które ciągle przeważały szalę na stronę Oli: przede wszystkim to, że ona żyła, była wciąż naokoło niego, że chociaż na razie było tak a tak, to przecież przed nimi było tysiące jut, w których wszystko mogło się ułożyć dobrze i brylantowo. Przecież ona co dzień mówiła mu, że go kocha, i raz pozwoiliła mu zajrzeć do swego pamiętnika, pełnego pochlebnych dlań zapisków (innych Ola robić by nie umiała, bo nie znała takich wzorków), z czego się zrobił bardzo szczęśliwy dzień, bo jemu się zdawało, że po raz drugi pierwszy raz ją posiadł. Miłość dwojga ludzi, którzy się dopiero co pokochali, obfituje zresztą w różne takie pierwszości. Bezpośrednia więc rzeczywistość przygłuszała niezapominajki wyrastające od czasu do czasu na grobach pamięci. Ola wniosła w jego dom śliczny komfort, „ścieliła gniazdko” — a nazywało się z początku, że to dla nich dwojga — co na nim wywierało pewne zmysłowe wrażenie i mogło być na dłuższy czas surogatem. Najpiękniejszym jednak i najzabawniej-

Słowo, Walka, Rodzina

Żona

<sup>68</sup>na oko nie psuły one ogólnej harmonii w pożyciu Strumieńskich (podobnie s. 72, 76) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnych stronach znajdują się fragmenty rozdziału IV: „Żeby nie pozostawiać czytelnika w wątpliwości co do owej »reszty«, której (...) ale konkretne” (s. 72) i „wszystkie te motywki praktycznie z lekka tylko marszczyły powierzchnię ich życia (...) wobec samobójstwa” (s. 76). [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*homo homini lupus* (łac.) — człowiek człowiekowi wilkiem. [przypis edytorski]



szym sportem była ona sama: wszędzie jej było pełno, latała dużo i śpiewała („napelniała dom święgotem”), przyjmowała służbę, kreśliła dowcipne sylwetki osób zamieszkałych w Wilczy, nie wyjmując siebie i Strumieńskiego, wysmiewała stryja, biorąc stronę męża przeciwko niemu w sporach o rozstrzygający wpływ w gospodarstwie, bo, nawiasem mówiąc, stryj już wówczas zaczął bruździć Strumieńskiemu. Przyczyną wesołości Oli była radość, nie tyle z posiadania męża — bo wszakże sądziła się być godną księcia — co z zawładnięcia domem, który zamierzała prowadzić według swego gustu, aby zaimponować i zabłysnąć, a w tym celu przygotowywała się nawet na pewne ustępstwa dla chimer Strumieńskiego, obiecując sobie w duchu wziąć go pod pantofel (cel ten wpojono jej na równi z frazesami o miłości). Strumieński zaś, chociaż pamiętał, że Angelika inną była panią i nie udzielała się nikomu, tylko jemu, lubił obserwować wesołe grasowanie Oli, a nawet w ocenianiu tych symptomów przesadzał, upatrując wyłącznie naturalność tam, gdzie była i poza. Ale jemu też szło o to, żeby mieć bodaj w części potwierdzenie swoich dawnych poglądów na Olę (zob. s. 113<sup>70</sup>).

Tak tedy bliskość Oli i jej ciągły wpływ osobisty podniecały Strumieńskiego — jak już zaznaczyłem — do wyszukiwania takich kombinacji, w których by mógł stopić *dulce cum utili*<sup>71</sup>. Jego własny egoizm zmysłowy szedł w parze z potrzebą (?) czy nakazem (?) kontynuowania kultu Angeliki — a przy tym przecież jako mąż nie powinien był się kryć przed nią z niczym. (Pomieszczenie motywów popędowych z przybranymi). Jakież to były kombinacje?

Stosunek Strumieńskiego do Angeliki pełen był różnych tajemnic i — sekretów faktycznych, z których jedne były mniej, drugie więcej powiedziane. Na razie nie ulegało dlań wątpliwości, że owe tajemnice, a raczej część ich, powinien był *może* zachować u siebie jak święte, jak relikwie, tym bardziej że miały się one rozrastać w przyszłości. Z drugiej strony jednak nic nie stało na ich straży, owszem, żaden zwykły ludzki argument nie przemawiał za tym, żeby do nich nie wpuszczać nowej towarzyszkii — ba, nawet sama Angelika wspominała o tej możliwości w swoich rozmowach przed połogiem, były też co do tego jakieś aluzje w jej liście — który jednak razem z nią zamknięty był w grobie. Strumieński czasami nie mógł sobie przebaczyć, że listu tego nie zatrzymał lub nie przepisał, lecz postąpił z nim tak patetycznie — nierozsądnie, czasami znowu był rad, że mu to zostawia swobodę. Cekał, aż zachowanie się Oli da mu wskazówki, by mógł rzucić most na drugą stronę, by, jak się wyrażał, przeszłość wmurować w teraźniejszość i przyszłość. Wszakżeż w jej pamiętniku czytał, że miała się „pogrążyć w jego smutku”, a ona tymczasem dotąd jeszcze nie zażądała nawet pokazania jej muzeum Angeliki, chociaż to było takie naturalne i proste.

Wprawdzie Ola była zbyt sprytną, żeby nie poznać, że Strumieński ma jakieś „kapyrsy” na tle swego pierwszego małżeństwa, i dawniej zamierzała też naprawdę ulżyć mu ciężaru żaloby, póki go otaczał pewien nimb, póki nie został tylko jej mężem, człowiekiem, który się przecież z nią razem śmiał, żartował, jadł, pił, a czasem był śmieszny i nieogolony. Teraz jednak ciężyło to na niej jak obowiązek, który krzyżował trochę nowe jej plany, a wkrótce wydał jej się bezpotrzebnym. By jednak tę obojętność przed sobą samą upozorować, wymyśliła, że jest „dyskretną”. Stało się to raz przy sposobności rozmowy ze Strumieńskim o nieco podobnej sprawie, którą Strumieński naumyślnie poruszył; wtedy zmuszona do obrony, wpadła jakoś od razu na tę szczęśliwą definicję swego zachowania się i zaaplikowała ją Strumieńskiemu. Kiedy indziej znów powiedziała, że nie uznaje pierwszej żony Strumieńskiego: ona sama jest pierwszą i jedyną. Bardzo pięknie! Takimi to dowcipami wymijała jego uroszczenia, nad którymi w ogóle nie chciała sobie łamać głowy, bo wołała, by ją mąż od nich uwolnił. W antraktach więc między interesami a zatargami ze stryjem przemyślał Strumieński nad urządzeniem pewnej komedii... Naturalnie on tego wówczas tak nie nazywał, jak ja sobie na to ze swawoli pozwałam, gdy mówię: komedia. Jemu marzyły się inne rzeczy. Już nie dbał o to, czy przekroczy granice zakreślone w umowach z Angeliką, bo zdawało mu się, iż właśnie dla uświetnienia przeszłości potrzeba pozyskać Olę na współniczkę, aby ten nowy strumień skierować

<sup>70</sup>potwierdzenie swoich dawnych poglądów na Olę (zob. s. 113) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnej stronie znajduje się fragment z rozdziału VI: „Zdawało mu się, że wystarczy palcem kiwnąć (...) autosugestii”. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*dulce cum utili* (łac.) — przyjemne z pożytecznym. [przypis edytorski]

w „podziemną rzekę” (późniejsze jego wyrażenie). Tu znowu zamajaczył mu niewyraźny, bo nieśmiały obraz tej „idealnej” miłości, który wytworzył był się w jego umyśle w pierwszej epoce stosunku do Angeliki, a potem nawiedzał go podczas dni żałoby (por. s. 67, 99<sup>72</sup>). Ale chęci jego bladły każdego poranku wobec rzeczywistości, która mu przynosiła całkiem inne rzeczy, niemające związku z jego wewnętrznym życiem — póki wreszcie „to” nie przeszło w stałą dyrektywę jego postępowania.

Dlatego urządził się tak, by było widocznym, iż regularnie co pewien odstęp czasu są godziny, w których pragnie być samotnym i unika towarzystwa Oli. W godzinach tych szedł do muzeum Angeliki, zamykał się tam, spał, czytał książki, palił papierosy, a po każdej takiej pauzie bywał to małomówny i opryskliwy, to smutny i ponury. Naśladował na wpół rozmyślnie swoje własne dawne usposobienie z dni żałoby<sup>73</sup>. Kiedy Ola wypytywała go, co mu jest i gdzie się ukrywa, wypierał się niezgrabnie wszystkiego, aż raz powiedziała mu wprost, że on się zamyka w atelier swej zmarłej żony, do którego wszystkim przystępu wzbrania, i tam oddaje się bezcelowym wspomnieniom lub studiuje jej szalone obrazy. Powinien by się przecież opamiętać i zwierzyć swojej Oli z żalu i z cierpienia, ona mu przecież tego bólu nie ukradnie i potrafi być jego powierniczką, jak jest jego żoną. Strumieński czuł stereotypowość tego współczucia, nie chciał więc od razu skwapliwie ulec, lecz być wprzód kilka razy proszonym, aż się ujawni szczerść jej chęci. Spochmurniał więc tylko i starał się zbyć ją kilku słowy, mówiąc, że jej domysły są tylko w części trafne, że on jej kiedyś wszystko wyjaśni, teraz jednak wiąże go przysięga (kłamal), której złamać nie może. Co zaś do tego domku, to Ola, jeśli chce być grzeczną, nie powinna mu robić przykrości i stawiać żądań, których by potem sama żalowała, tym bardziej że ów pokój przedstawia właściwie tak mało tematu dla ciekawości, zresztą tam jest tak zagracone, taki nieporządek itd.

Ola, zaintrygowana taką odprawą, na razie umilkła, lecz potem ustawicznie nalegała na męża to prośbami, to kaprysami, żeby jej pokazał muzeum. Teraz już istotnie zależało jej na wtargnięciu w państwo Strumieńskiego, pożerała ją ciekawość, podsycona przezeń tak umiejętnie, że jej się zdawało, iż Bóg wie co tam zobaczy. Podrażnione były także jej upór i ambicja, gdy Strumieński gwizdał na jej pytania i mówił: „Moja droga, nie nudź mnie”. Właściwie stawał się on teraz i u siebie niekonsekwentnym. Jego wycieczki do Angeliki bywały mniej ostentacyjne, a zachowanie się Oli narzucało mu dalej rolę zamkniętego w sobie, nieugiętego, tylko bardziej na serio — zaczął prawie wierzyć, że nie powinien do swoich „skarbów” dopuszczać intruza. Na odmianę znowu potem bawiła go ta wojna z Olą, sprawiała mu dużo przyjemnej złudy, więc ją przedłużał. Wiedział też, że Ola go śledzi, szpera mu po książkach, a nawet raz spostrzegł w zamku muzeum ślady dobywania się innym kluczem. Niestety, we wszystkich tych objawach ciekawości nie znajdował momentu, który by mógł wyswobodzić go od przyjętej roli, a tymczasem musiał być wciąż w obawie, by one nie ustały. Obawa taka okazała się wnet nieplonna i wtedy, aby niebezpieczeństwo zażegnać, wpadł Strumieński instynktownie na najlepszy sposób przygotowania sytuacji, w której by musiał wreszcie wszystko z siebie wydobyć<sup>74</sup>. Wszczął wielką awanturę z żoną i pokłócił się z nią.

<sup>72</sup>obraz tej „idealnej” miłości (...) por. s. 67, 99 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnych stronach znajdują się fragmenty z rozdziału IV: „Także Strumieński wiedział o możliwości usunięcia przeszkody (...)” (s. 67) oraz z rozdziału V „Widział siebie w duchu, jak coraz bardziej pogrąża się w jedno uczucie, odgania inne, trzeźwe myśli (...)” (s. 99). [przypis edytorski]

<sup>73</sup>wesołe grasowanie Oli (...), gdzie była i poza (...) Naśladował (...) własne dawne usposobienie — [Komentarz autora z *Uwag*.] Każdy naśladowuje sam siebie po pewnych doświadczeniach, bo w swojej skórze każdemu najlepiej i najwygodniej. O tym naśladowaniu własnego charakteru wypowiada dobre uwagi Schopenhauer w głównym swym dziele, w księdze IV, § 55. [przypis autorski]

<sup>74</sup>wpadł (...) instynktownie na najlepszy sposób przygotowania sytuacji, w której by musiał wreszcie wszystko z siebie wydobyć — [Komentarz autora z *Uwag*.] W zacytowanym powyżej § [55 księgi IV swego dzieła głównego] mówi Schopenhauer: „Lecz należy zauważyć, że w celu złudzenia samego siebie przygotowuje się dla siebie pozorne zapomnienia się, które właściwie są czynami skrycie obliczonymi. Bo nikogo nie oszukujemy, nikomu nie pochlebiamy za pomocą tak subtelnych fint, jak sobie samym”. Tu jedna konieczna uwaga. Jeżeli mówię o planach, programach, komediach, fintach Strumieńskiego teraz i później, to bynajmniej nie w tym sensie, żebym go chciał przedstawić jako człowieka wyrafinowanego, np. jako takiego gracza-psychologa, jak *Uczeń Bourgeta* [Bourget, Paul (1852–1935), fr. pisarz, autor powieści psychologicznych; red. WL], działającego z zimnym obrachowaniem celu i środków. Owszem to, co w analizie przedstawia się jako bardzo skomplikowane, to samo, obserwowane na powierzchni bieżącego życia, wydawałoby się zupełnie prostym, szybkim i naturalnym.

Tu weszły w grę motywy z innego kompleksu wypadków. Ola, urządziwszy się w Wilczy, postanowiła zawiązać stosunki z sąsiadami, a przede wszystkim chciała złożyć wizytę u pp. X-ów, z którymi rodzina Mariuszów miała koneksje. Ale właśnie Strumieński nie cierpiał X-ów, miał do nich uprzedzenie, wpojone mu jeszcze przez starego Strumieńskiego, a uprzedzenie to utrzymało się w nim później, gdy słyszał, jak pan X. szykanuje jego niskie pochodzenie. Zdawało mu się, że Ola powinna była sama domyślać się, dlaczego on nie chce mieć nic do czynienia z X-ami, tu bowiem trzeba dodać, że Strumieński nigdy tych drażliwych kwestii z sobą nie poruszali, tak etykietałnym był ich wzajemny stosunek. Strumieński czuł także, że tu idzie nie tyle nawet o X-ów, co o to, kto ma właściwie wycisnąć piętno na nowym ułożeniu się stosunków w Wilczy, on czy ona; była to więc walka o przewagę, bardzo podobna do tej, jaką prowadził ze stryjem Oli. Równocześnie plan tej wizyty był u Oli niejako realnym wyrazem wspomnianego jej przełomu od ciekawości ku obojętności — o tym jednak podczas sprzeczki naturalnie nie było mowy.

Od tej chwili Ola unikała męża na każdym kroku, o ile to tylko ludzkich podejrzeń nie budziło. Nieraz zbliżał się do niej, aby ją pocałować, lecz miał przy tym minę takiego lekceważenia, że Ola odsuwała go lekko i odchodziła, nie rzekłszy ni słowa. Teraz, aby zgoda była zupełną, postanowił Strumieński doprowadzić ten stan do maksimum<sup>75</sup> i udawał również oziębłego, bo przy tym, całkiem osobno, szło mu o tę satysfakcję, żeby ją przetrzymać. W ten sposób nastąpiła między nimi jakby nieumówiona separacja. Strumieńskiemu imponował „hart” Oli i podbijał go zarazem, zwłaszcza gdy niby przekonywał się, jak Ola w chwilach, w których niby to sądziła, że jest niewidzianą, wodzi za nim oczyma pełnymi żalu i tęsknoty i jak te oczy czerwieńnią z płaczu i podkrążają się sinymi podkówkami. Namysłiwszy się, przyszedł sobie do przekonania, że właściwie (?) on temu wszystkiemu winien, i już chciał pierwszy podać rękę do zgody, gdy raz pewnego Ola weszła do jego pokoju, nie patrząc nań położyła przed nim jakiś różowy, woniejący liścik i uciekła. W liście była prośba o przebaczenie, a po prośbie przyrzeczenie uległości. „Czuję, że wkrótce umrę — pisała — osierocając kogoś, kogo jeszcze nie ma na świecie, ale nie chcę po sobie zostawiać złego wspomnienia. Przebac przyszłej matce” itd. Strumieński wybiegł za nią, znalazł ją z twarzą zapłakaną, do której kurczowo przyciskała chusteczkę. Odejmuwał więc rączki od twarzyczki, pocieszał, całował, uspokajał, błogosławił ją itp. brednie wyrabiał, ponieważ nowina, udzielona mu przez Olę, wstrząsnęła nim i zmusiła go do traktowania jej na serio. Jego komedia przerwała się w samą porę. Udobruchawszy Olę, wyszedł z nią na ogród, a uważając, że to on jest przyczyną jej przyszłych cierpień, rozserdeczniał się. Zgodził się już na wszystko: na wizytę u pp. X-ów i na wyjawienie jej celu swoich tajemnych wycieczek — bo uznał za rzecz samą przez się zrozumiałą, że jej szło także i o to. Więc gdy przechodzili koło muzeum Angeliki, zapytał żartobliwie: „Aha! Czy ja ci nigdy tych osobliwości nie pokazywałem? Nie? Ano, to chodźmy tam. Ale tam jest tak zagracone, taki nieporządek, proch, pajęczyny...”

Była to kaplica stojąca na wysokim podmurowaniu, wewnętrzne zaś jej urządzenie miało pretensję, żeby je nazwać oryginalnym lub egzotycznym. Ołtarz zasłonięty był czarną draperią, na tle której widniał kościotrup anioła — symbol właścicielki tego ustronia. Ściany były wyłożone grupami i kolumnami kamiennymi tak, że całe wnętrze naśladowało poniekąd grotę bazaltową. Odpowiednia do tego była i flora: drzewa ze sztucznymi liśćmi i kwiatami, o takich kombinacjach barw i kształtów, jakby ten, co je sfabrykował, odtwarzał z fantazji rośliny rosnące na Marsie lub Uranusie. Były dalej kolekcje pięknych motyli i chrząszczy, kilka wypchanych ptaków, muszle morskie, próżne klatki, w których dawniej były zamknięte ptaki, ale po śmierci Angeliki wyzdychały, bo Strumieński zapomniał je karmić. Przez wielkie okno w suficie tudzież dwa okna w południowej ścianie wpadało obficie światło. Wszystko to bardzo się Oli podobało, zauważyła tylko, że tu panuje miły artystyczny nieporządek, chociaż wnet potem obiecała zaprowadzić i tu ład

Podobnie jak nasze ciało odczuwamy jako jednolitą masę, anatom zaś i lekarz wykazują w nim różne zawilosci. [przypis autorski]

<sup>75</sup>aby zgoda była zupełną, postanowił Strumieński (...) — [Komentarz autora z Uwag.] Wyrażenia takie, jak „postanowił”, „wpadł na myśl” itp. należy brać nie dosłownie, lecz według zwyczaju jako skrótowania, służące do odbudowania sobie toku myśli i uczuć nieświadomych, których zygzyki, gdy się je chwyta na papier, wydłużają się w jedną prostą linię. [przypis autorski]

i szyk, aby to ustronie wyglądało jak cacko, aby mężulek, jeżeli zechce kiedy pomarzyć o jej rywalce, miał przynajmniej wszelką wygodę.

Obrazów było mnóstwo: na sztalugach, niektóre wprawione w sufit albo w ściany, inne w ramach lub albumach. Wiele kopii, wiele pozaczynanych i wkrótce porzuconych szkiców, czasem na jednym i tym samym płótnie plan jakiegoś obrazu przepływał w inny, tworząc dziwną całość. Ola patrzyła z wielkim zaciekawieniem, nie szczędząc czasem słów zachwytu. Rzeczywiście zapomniała, że jest na gruncie swej duchowej rywalki<sup>76</sup>, oddała się tylko wrażeniom ciekawości. W zbiorze obrazów było naprzód kilka pejzaży o nastroju ponurym i marzycielskim. Bardzo zastanowił ją obraz przedstawiający głębinę morza wokół zatopionego okrętu, a potem obraz toni morskiej, w której pływały zamiast chelbi białe mózgi ludzkie z przyczepionymi do nich, niby włosami, rdzeniami pacierzowymi i pękami nerwów. Niektóre mózgi płynęły spokojnie, inne goniły za sobą i oplątywały się wzajemnie nerwami: symbol miłości platonicznej. Ola, która od Gasztolda nauczyła się błądzać nieco o obrazach, rzekła, że to pomysł nie malarski, ale literacki, co przyznał Strumieński, dodając: „Dużo by o tym mówić”. Objął też, że naumyślnie dla tych dwóch obrazów Angelika przeglądała oceanografię, a potem kazała się spuścić w dzwonie nurkowym na dno morza, aby studiować grę barw w wodzie. Miał dużo kłopotu, zanim to przyszło do skutku. Na zapytanie Oli, czy i on był także w tym dzwonie, zawahał się nieco Strumieński i odpowiedział, że tak, zarumieniwszy się przy tym nieznacznie.

Weselszą była grupa pejzaży nieba, których było około 20. Oglądając je, Ola pytała męża żartem, czy i balonem podróżował z Angeliką, na co odrzekł: „Była i o tym mowa”. Jakby zabłąkany między tymi pejzażami był obraz przedstawiający na tle burzliwego nieba dwoje ust całujących się: z twarzy osób znać było niemal tylko przymknięte w upojeniu oczy.

Przekomarżającym się był portret Strumieńskiego jako satyra, który maluje pozującą mu z drugiej strony rzeki nimfę z parasolką; po minie satyra poznać, że wolałby być na przeciwnym brzegu, tak się przechyla i badawczo przypatruje, paląc papierosa. W technice naśladownictwo Böcklina. Również barokowy pomysł miało malowidło wyobrażające wielką stopę, prawdopodobnie jakiegoś olbrzyma. Stopa przygniotła właśnie różę na drodze, a na jej wielkim palcu siedział spokojnie mały człowieczek i wyjmował olbrzymowi ostrożnie cierń z tego palca. Opowiedział przy tym Strumieński, jak Angelika badała stopy tyłu to a tyłu chłopów, zanim odpowiedni model znalazła, i jaką to sensację obudziło we wsi.

Pewnego rodzaju całość tworzyły obrazy główek dziecięcych, na których Angelika próbowała połączyć szczegóły swojej twarzy z rysami Strumieńskiego. Na jednym chłopczyk-aniółek rysował jakieś bohomy, na innym spał w słoneczny dzień w zbożu, a nad nim krążyła chmara motyli, rzucając na twarz i nagie ciało dziecka różnokolorowe refleksy. Potem Strumieński kazał Oli usiąść na trzcinowej kanapie i spojrzeć w górę. W suficie tkwił obraz w kolistej ramie, do złudzenia naśladowujący płaszczyznę wody w studni, w której odbijała się twarz pochylonego nad nią dziecięcia.

Objaśnienia, które dawał Strumieński, były dość skąpe, suche, czasem drwiące, np. gdy na jakiś obraz powiedział wbrew swemu przekonaniu: „Szczególny, ale niesympatyczny koncept”. Omijał również, o ile możliwości, swój związek osobisty z tematami obrazów (bo chciał, żeby go właśnie o to zapytywała), dość prędko też przechodził od jednego obrazu do drugiego, jakby chciał dać Oli uczuć, że ją wobec tych pamiątek nieco pogardliwie traktuje. Łajał sam siebie później za te drwiny z obrazów Angeliki — nie wiedząc, że one właśnie maskowały pietyzm. Bał się też, że to wszystko Oli nie zaimponuje, czuł dopiero dziś — gdy po raz pierwszy trzecia para oczu przypuszczona była do tajemnicy — jak mało w tych śladach artystycznych uwydatnia się wewnętrzna historia jego miłości z Angeliką; szykanował więc nieco Angelikę, aby Olę skłonić do opozycji i poznać, co ona istotnie myśli, z drugiej zaś strony, gotów był natychmiast upokorzyć ją słowami, gdyby się odważyła wtórować jego szykanom. Ale Ola nie robiła ani jednego, ani drugie-

<sup>76</sup>nie szczędząc czasem słów zachwytu. (...) zapomniała, że jest na gruncie (...) rywalki — [Komentarz autora z *Uwag*.] Motywy bezpośrednie działające czasem wbrew właściwemu psychologicznemu schematowi sytuacji. Por. [rozdz. XVII *Komedia triumfalna* rozważania zaczynające się od: „A tymczasem właśnie dla niego komedia, aby go zadowolili, musiała być prawdą!”; red. WL] autonomia okoliczności. [przypis autorski]

go, zachowywała się tylko tak, jak z sytuacji wypadalo. Mówiła więc np., że to wszystko daje jej dużo do myślenia, że teraz zaczyna pojmować intencje Angeliki, że gotowa być o niego naprawdę zazdrosną. Po przejrzeniu cyklu obrazów odnoszących się do dziecka, powiedziała, że w nich przebija się kobiecość i chęć macierzyństwa niemal wzruszająca, że to są takie marzenia przyszłej matki, jakie by i ona, Ola, malować chciała. To samo — o kobiecości i macierzyństwie — umiał pomyśleć sobie i Strumieński, lecz teraz skorciło go zachwiać jej twierdzenie, rzekł więc: „Mógł to jednak być zwykły eksperyment malarzski”. W ogóle nie bardzo mu się podobało zbyt łatwe solidaryzowanie się Oli z Angeliką, wolałby był usłyszeć jakieś słowa owijające w sobie zazdrość.

I aby przerwać jej powierzchowne zachwycanie się Angeliką, wybrał dwa ze złożonych w kącie obrazów i postawił je przed Olą. Pierwszy był pomniejszoną kopią, a raczej przeróbką obrazu Ingresa i przedstawiał rycerza Rüdigera uwalniającego nagą Angelikę (jedną z bohaterek epepei Ariosta), przykutą do skały i zagrożoną przez straszego smoka morskiego. Strumieński opowiedział, że do tego obrazu pociągała jego żonę nie tylko sympatia z uwięzioną pięknoscią jako z imienniczką, lecz także sam temat, pod który można było podłożyć symboliczny sens, np. taki, że ów potwór to czyhajaca na kobietę zmyslowość własna i cudza, od której uwalnia ją idealny rycerz zjeżdżający na skrzydlatym koniu.

— Czy w istocie obraz ma to oznaczać? — spytała Ola z zainteresowaniem.

— Ależ bynajmniej. Gela rozczarowała się też niemało, gdym ją potem zapoznał z Ariostem i przeczytał jej ustęp opisujący, jak ów idealny rycerz po uwolnieniu Angeliki bierze ją poza siebie na konia i galopuje do lasu, gdzie pożerany widokiem jej piękności, zrzuca z siebie gorączkowo i niecierpliwie zbroję i...

— I... co?

— O jaka moja pani ciekawa! Tu właśnie urywa autor pieśń swoją, mogę cię jednak zapewnić, że zanim Rüdiger uporał się ze zbroją, figlarna Angelika dzięki pierścieniowi, który ją niewidzialną uczynił, uniknęła „niebezpieczeństwa”.

Drugi obraz był oryginalny i przedstawiał wnętrze rzymskiej świątyni Westy<sup>77</sup>; na podłodze leżał skępowany Nero, otoczony gronem Westalek. Widocznie wtargnął tutaj, aby zadowolić swe chuci, lecz zwyciężono go i związano. Niepokalane kapłanki znicza Westy, obserwując chłodno bezsilną wściekłość okrutnika, naradzały się, co z nim zrobić; jedna z nich, wysoka, o surowych rysach twarzy, stojąc pod światłem wiecznej lampy, próbowała ostrza topora. Ramki obrazu naśladowały lilie. Strumieński objaśnił Olę, że nie jest to bynajmniej wena historyczna, lecz tylko mizoandryczna<sup>78</sup> fantazja, wymyślona przez Angelikę w epoce, kiedy chciała założyć klub Amazonek. Każda z Westalek miała twarz jakiejś uczestniczki niedoszłego klubu. Na wezwanie Strumieńskiego, by mu wyjawiała swe szczere zdanie, Ola poprosiła go wpierw, by jej nie miał za złe, jeżeli go w czymś urazi. A potem powiedziała, że jej trudno wyobrazić sobie kobietę z toporem w ręku, że kobieta stworzona jest tylko do kochania, to jest jej całe szczęście, a zajęcia męskie jej nie przystoją. Więc też nawet talent artystyczny jest u niej zboczeniem, a nadzwyczajne wyjątki potwierdzają regułę (por. s. 76 w. 17 i nast<sup>79</sup>.), zresztą w ogóle wszelka sztuka wysusza serce. Odpowiedź Oli stała w sprzeczności z poprzednim jej zdaniem o kobiecości obrazów tyjących się dziecka, lecz ani Ola, ani Strumieński tego nie zauważyli. Strumieński nie wiedział, jak się wziąć do rzeczy, by Oli zaaplikować jakiś wyższy pogląd na poruszoną przez nią kwestię, lecz na razie wmówił wreszcie w siebie, że to jest objaw zazdrości u Oli, i tak uniknął obowiązku polemiki. By jednak ratować swój dawny pietyzm dla Angeliki, naruszony nieco przez Olę, skorzystał z zapytania Oli: „Czy jej obrazy kupował kto?”, i rzekł: „I owszem, bardzo dużo pesymistycznych krajobrazów zakupił jakiś jej wielbiel, podobno Szwab z Norymbergi, kupiec, uratowałem tylko kilka, z których ten oto jest mi najulubieńszym”.

<sup>77</sup>Westa (mit. rzym.) — bogini ogniska domowego i państwowego. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>mizoandria — nienawiść a. silne uprzedzenie w stosunku do płci męskiej. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>nawet talent artystyczny jest u niej zboczeniem, a nadzwyczajne wyjątki potwierdzają regułę (por. 76 w. 17 i nast.) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment rozdziału IV: „(...) Angelika wyczytywała swego czasu z książek, że aspiracje artystyczne występują zwykle tylko u tych kobiet, które chybiły swego właściwego, kobiecego powołania, i że gasną, jeżeli taka kobieta zostanie żoną i matką”. [przypis edytorski]

Obraz, który Strumieński teraz pokazał, był pierwaj pominięty tak przez niego, jak i przez Olę. Przedstawiał skaliste wybrzeże nad jakąś wodą, ogromnie puste i smutne. Wszystkie fale płynęły w kierunku od brzegu, jakby już wrócić nie miały, trzciny na wzgórkach pochylone wiatrem w jedną stronę, w powietrzu był mrok i ukryta burza, a całe to miejsce miało tajemniczy nastrój opuszczenia.

— Jakiego doznajesz wrażenia, patrząc na ten obraz? — spytał Strumieński.

— Że to było przeczucie — odpowiedziała Ola po pewnym namyśle, nie wiedząc, do czego Strumieński zdąży, a chcąc mu się przypodobać zgodnością myśli.

— Że to nie wszystko — czy tak?

— Że to nie jest wszystko — powtórzyła Ola tonem na wpeł potwierdzającym. — Bardzo nastrojowy krajobraz — dodała potem.

— I więcej nie widzisz nic?

— Nic.

Strumieński uśmiechnął się tryumfująco, gdyż obraz ten zawierał w sobie jeszcze coś, o czym Ola dowiedziała się dopiero w wiele lat później.

— Przy tym i przy innych pejzażach — rzekł — szło nam o rozwiązanie zagadki, jak wygląda natura, gdy jej człowiek nie podgląda. Jakim ci się np. wydaje ten odpływ wody?

— A czy natura jest inną, gdy się jej nie podpatruje? — spytała Ola, sądząc, że tym tak prostym pytaniem wprowadzi w kłopot męża.

— No nie, naturalnie, to wszyscy wiemy. Ale też w sztuce nie idzie o odtwarzanie pospolitej rzeczywistości, lecz hipotez serca — a człowiek ma prawo to i owo sobie myśleć.

— Zupełnie nie pojmuję, coście rozumieli przez te... jak powiedziales?... hipotezy serca?

— Toteż ja ciebie chcę tego nauczyć, moja duszo — rzekł Strumieński tonem przewagi i pocałował Olę.

— Ja mam lepsze rzeczy do roboty niż malowanie — odparła Ola, a potem, chcąc naprawić wrażenie tych słów, oddała mężowi całus i mówiła — Jakże mi ciebie rozkaprysiły, czego to ja ciebie będę musiała oduczyć, moja duszo!

I zaczęła po sali tańczyć i śpiewać, mimo że Strumieński zawołał na nią: „Cicho, *enfant terrible*<sup>80</sup>”, aż przewróciwszy kilka obrazów, przestraszyła się i zaczęła męża przeproszać. Ten tymczasem otworzył okno, oparł się na nim i patrzył — w dal. Ola przystąpiła do niego. Widok z okna wychodził na pole, a zamykało go wzgórze, na którego szczycie był cmentarz. Od cmentarza szedł w dół pas drogi, a po obu jej stronach, na tle zielonego pastwiska, leżały duże białe głazy, wykopane dawniej z wierzchołka góry. Ola milczała, szanując uczucia, których mógł jej mąż doznawać wobec tego widoku, lecz (niesłusznie!) zdziwiła się, gdy on, zamiast skarżyć się, zaczął mówić, że te głazy wyglądają brzydko, jak szkielety wyciągnięte z trumien, że należałoby użyć ich do wyszutrowania<sup>81</sup> drogi lub sprzedać do budowy mostu kolejowego pod T. Następnie, objąwszy ją, opowiadał o powstaniu tej kaplicy, o pobożnej prababce itd., nie przeczuwając, że przez to wzbudza w Oli myśli: „A więc miejsce to odebrano Bogu i poświęcono marnościami tego świata. Szkoda, że taki libertyn ten mój mąż”.

— Aha, prawda, jeszcze ci jeden obraz pokażę — rzekł Strumieński, przypomniawszy coś sobie. Podeszedł do drugiej ściany i chciał odsłonić półkoliste lustro, gdy wtem, rzuciwszy okiem na blat stojącej pod lustrem konsoli, ujrzał odcisnięty na pyłe ślad małej ręki kobiecej. Będąc jeszcze pod wpływem cmentarnego widoku, nie wpadł na właściwy i bardzo prosty domysł, lecz wzdrygnął się i ukazawszy palcem na ów ślad, krzyknął lekko: „Co to jest?”. Natychmiast przyskoczyła do niego Ola i wnet oboje zaczęli się cieszyć. „Widocznie nie pamiętasz dobrze jej ręki, o, popatrz na moją”. I położyła znowu swą dłoń na stolik w tym samym miejscu, chwając się kokieteryjnie „rączką” i zalecając ją do pocałowania. Strumieński to skutecznie, otrzepał rączkę z pyłu, a potem odsłonił lustro, do którego Ola zaczęła się zaraz mizdrzyć, poprawiając sobie fryzurę. Tymczasem mąż jej zapuścił storę na okno naprzeciw umieszczone, wskutek czego natychmiast zniknął w lustrze widok cmentarza, a wystąpił obraz pogodnego nieba letniego ze słońcem

<sup>80</sup>*enfant terrible* (fr.) — okropne dziecko. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*szutrować* — wysypywać coś drobno pokruszonymi kamieniami. [przypis edytorski]

pobijającym chmury. Ola, zdziwiona tą zmianą, odwróciła się i ujrzała na miejscu okna zawieszony obraz. Strumieński wytłumaczył:

— Nie można przecież było znosić ciągle tak poważnego widoku, więc na złość prababce przemalowaliśmy jej ulubiony pejzaż. — A potem zbliżył się do żony i objąwszy ją, spojrzal teraz razem z nią do lustra, pytając:

— A co, czy ładna para?

— Ale to wyście sobie tutaj ładnie urządzali — rzekła Ola, całując go.

— Teraz nie wy, ale my — prawda?

Na to Ola nic nie odpowiedziała, lecz zaczęła wyrzucać Strumieńskiemu, że tak zaniedbał ten salon; widocznie więc nie ma pietyzmu (nie wymieniła dla kogo). Powinno by się tu urządzać galerię dzieł sztuki, dokupić innych obrazów i pokazywać ludziom, może by kto co na tym skorzystał, może by przyjeżdżali jacy artyści, krytykowali, pisali — to by było bardzo przyjemne. Strumieński milczał na te plany, które i jemu już przychodziły do głowy, lecz które zawsze oddalał od siebie, bo nie chciał, by ktoś obcy profanował swoją ciekawością świętości jego życia prywatnego. Czuł, że kiedyś to uczyni i uczynić powinien, aby Angelice dać sławę, której za życia nie miała, lecz wolał z egoistycznych pobudek odwlec ten czas na jak najdalszą metę. To było prawdą, ale prawdą też było, że Strumieński dotychczas jeszcze wątpił, czy obrazy Angeliki, które jemu się tak podobały — z powodów osobistych — mają w ogóle jakąś wyższą wartość artystyczną, czy może krytyka nie uzna ich za komiczne *curiosa*<sup>82</sup>, nie chciał więc skompromitować jej i siebie. Tak dalekim był jednak od podejrzenia siebie o tę drugą pobudkę, że chcąc zamaskować pierwszą, powiedział:

— A na co? Aby pierwszy lepszy krytykował i urągał? Przecież widzisz sama, że tak się nie maluje!

Była w tym powiedzeniu spora doza goryczy, albowiem Strumieński, gdyby był pewnym sukcesu Angeliki, nie chowałby światła pod korzec, zwłaszcza że prawie połowa obrazów była obojętnej treści. Potem Ola wszczęła z nim dysputę, które z tych bohomażów (tak powiedziała żartobliwie, ale pod wpływem jego poprzednich słów) podarowałby jej do urządzenia salonów we dworze. Bądź co bądź obraz to dekoracja, jak się go zawiesi na ścianie, zawsze stanowi ozdobę, wypełnia puste miejsce, a o arcydzieła trudno. Strumieński udawał, że z nią o tym na serio dysputuje, potem jednak krótko, ale stanowczo odmówił, mszcząc się w ten sposób lekko za jej lekceważenie.

— Dać ci mogę tylko kopię Ingresa, to lustro i tę statwę.

Tu wskazał na stojący wśród kwiatów odlew gipsowy, który przedstawiał człowieka wykuwającego samego siebie w kamieniu. Człowiek wyłonił się dopiero do połowy ze skały, która go na kształt niszy otaczała, i pracował mozolnie dłutem nad wyrzeźbieniem reszty swego ciała. — Rzeźba mistrza Florentiniego. — Dźwięk włoskiego nazwiska zelektryzował Olę, mimo to nie mogła się jakoś przekonać do tego dzieła. Wydało jej się to opacznym, żeby rzeźba nie wyobrażała całego człowieka w jakiejś pozie, np. trzymającego winogrona, rzucającego dyskiem. Strumieński, zawstydzony nieco tą arogancją krytyczną, jął tłumaczyć Oli symboliczne znaczenie posągu, mówił, że to ma oznaczać duchowy rozwój człowieka itp. Nie tyle to wytłumaczenie, co słowo „symboliczny”, przekonało nieco Olę, tylko zarzuciła jeszcze:

— Dlaczego jednak wykuwa dalszą połowę swego ciała? Przecież głowa i popiersie to najważniejsze — to przecież siedlisko ducha i serca.

— No, w takim razie można by pojąć to jako symbol kształtowania lub uwalniania siebie w ogóle, a zresztą — powiem ci coś do ucha.

Lecz Ola zaczęła uciekać, potem wybiegła na ogród, gdzie ją wreszcie dogonił i powiedział jej dozwolony żarcik małżeński.

Na drugi dzień Ola, wzięwszy klucz od kaplicy, samowolnie „urządziła” wewnątrz muzeum: pozmiała proch, śmiecie, pajęczyny, poprzewieszała obrazy, kazała lustro i statwę przenieść do dworu. Statwę ludzie jej stukli po drodze, odniesiono więc szczątki na powrót, złożono je w kącie i jak trupa przykryto prześcieradłem. Strumieński, ujrawszy, co się stało, rozgniewał się, a Ola żartobliwie obiecała kupić mu za ten jeden posążek dwa inne. Będąc raz w gniewie, gderał też Strumieński na Olę, że mu tutaj pomieszała,

<sup>82</sup>*curiosum* (łac.) — osobliwość. [przypis edytorski]

popsuła mu pamiętkę, bo od śmierci Angeliki on sam nic tu nie zmieniał. Kłamał — lecz w dobrej intencji, koniecznie bowiem musiał Olę za coś złać.

— No to ja ci to wszystko na powrót na dawne miejsce poukładam, tak jak było, zaproszę, zaśmieczę — czy może każesz poszukać także wyrzuconych pajaków? — mówiła Ola, uwierzywszy mu.

— No... widzisz... ale bo mi się zatracił obraz...

— I cóż z tego? Więc ja go naumyślnie zburzyłam! — podchwyciła Ola, zmyślając naprędce to „naumyślnie” — Po co masz o tym myśleć!

— Czy i w duszy też zburzysz? — spytał Strumieński, ale nie tak dobitnie, jak by wymagał sens tych słów.

— Wszędzie, wszędzie — a to mi się udało!

I zaczęła klaskać w dłonie. Byłby pedantem, łajac ją dalej.

— Przede wszystkim wezmę stąd tego nietoperza — rzekła, wskazując na kościotrup anioła, i w mylnym przypuszczeniu, że to może męża obraziło, przeproszała go całusami. — Przepraszam, przepraszam, jak zechcesz, to i nietoperza przeproszę, pocałuję go — rzekła, czując, że wycalowała już sobie prawo używania tego przezwiska. — A czy pozwolisz?

— I owszem, nie wiem tylko, czy to wypada panience z tak dobrego domu? — rzekł ironicznie, bo nie chciał, aby Ola poprzestała na słowach.

Ola, zapędzając się w swawoli, chciała udać odważną, więc przystawiła sobie krzesło do ołtarza, a stanąwszy na nim, sięgnęła aniołowi do piersi. Ona to już była przedtem przewidziała, teraz więc zrobiła gest, jakby się już zrzekła wykonania swego chwilowego pomysłu, który brzmiał zuchwale, ale w praktyce mógł być nieprzyjemny. Strumieński jednak był tak złośliwym, że wziął ją natychmiast z krzesła na ręce i podniósłszy na stosowną wysokość, rzekł: „No, no, pociumaj aniołka!”

Ola zakolysała się rękami w powietrzu, chwytając równowagę, potem obejrzała się w dół na męża i spytała:

— A... czy nie będziesz zazdrosny?

— Przenigdy w świecie.

Otarłszy czaszce zęby naperfumowaną chusteczką, Ola przybliżyła nieco do nich swe usta i w powietrzu lekko cmoknęła, mimo to potem przez zapomnienie otarła swoje usta tą samą chusteczką, krzyknęła, zaczęła popluwać i mówiła:

— A pfe, ale cuchniesz, aniołku!

Wzięła jednak niebieską wstążeczkę i zawiązała „aniołkowi” na szyi krawatkę, po czym Strumieński zsadził ją na ziemię.

Takich „idylli” użył Strumieński jeszcze kilka. Z rezultatu ich był o tyle zadowolony, że wreszcie w jego szafcu zrobił się wyłom; zresztą udawał, że mu jest teraz dobrze, bo chciał wytchnąć na osiągniętym już stopniu. Ale „na dnie duszy” wiedział, że tu czegoś brak, bo podczas owych „idylli” oczekiwał od Oli czegoś zupełnie nowego, jakichś innych, dalej idących dowodów współczucia i wniknięcia w niego, czegoś, czego by sam nie umiał wymyślić, chociaż poznałby, że to właśnie jest to, gdyby się było wyłoniło. Ola zaś mniemała, że już się wszystko skończyło, że skoro zamknięta dotychczas kaplica ukazała jej swoje wnętrze, to nic więcej niepokoić jej nie może.

Lecz Strumieński, złudzony pozornymi dowodami jej sympatii, „prześadował” ją dalej. Nastąpił teraz okres, w którym jego stosunek do Oli był z konieczności platonicznym, więc zakochał się w niej i czcił ją jako przyszlą matkę. Zakochanie się zaś pobudzało go do otwartości, więc pod pozorem wynurzeń przesuwiał przed nią w sposób poetyczny różne epizody z dziejów swojej pierwszej miłości, wybierając z początku tylko szczytne i wzniosłe. Sądził, że w ten sposób zaimponuje Oli, że skłoni ją do dzielenia jego własnych zachwyty, chciał zrzucić to brzemień na cudzą duszę, słyszeć tony z ust drugich, do których sam może już nie był zdolny. Aby ją dobrze usposobić, zezwolił na zawiązanie stosunków z pp. X. — a powiedział jej, że jeżeli się dotychczas na to nie zgodził, to tylko dlatego (nieprawda! zob. s. 138/139<sup>83</sup>), że był zazdrosny o jej uwagę i zainteresowanie, lecz

<sup>83</sup>nieprawda! zob. s. 138/139 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się akapit z rozdziału VII: „Tu weszły w grę motywy z innego kompleksu wypadków (...) o tym jednak podczas sprzeczki naturalnie nie było mowy”. [przypis edytorski]



teraz będzie wspólnie z nią wszędzie, a ona z nim. Ona uważała to również za bardzo naturalne po tym, co między nimi zaszło.

Mimo to Strumieński nieraz żałował swoich opowiadań, nieraz je niezręcznie cofał lub zmieniał, czując, że może przebrał miarę. Starał się zawsze zachować jakieś azylum osobno dla siebie i Angeliki, aby potem cieszyć się: „O — tego jeszcze nie powiedziałem!”. Robił doświadczenie, że tajemnica udzielona, ale niepodzielona zostawia w sercu najprzykrzejszą próżnię. Chciał zresztą nie tylko sam mówić, ale być pytanym mądrze i z intuicją. Podsuwał więc żonie te i owe pytania, zadawał jej niejako zadania, z których ona wywiązywała się lepiej lub gorzej, a często i wykręcała. Gdy zniecierpliwił się, chciał wywierać zemstki, naturalnie pod innymi pretekstami, lecz mając jeszcze wiele atutów w rękę, dawał jej pokój; zresztą, jak już powiedziałem, czcił w niej majestat macierzyństwa, czyli: oszczędzał jej irytacji, które by mogły niekorzystnie wpłynąć na ustrój cielesny dziecka.

Z okazji owego dziecka zagrał przeciw niej taki atut: spytał, czy zna Goethego *Powinowactwa z wyboru*, a gdy zaprzeczyła, opowiedział jej treść tej powieści i przeczytał jej opis nocnej wizyty Edwarda u Charlotty oraz to, co się odnosiło do skutków tej wizyty<sup>84</sup>. Z dziełem Goethego zapoznała go Angelika, a jeszcze podczas jej ciąży wpadli oboje na plan, aby to, co tam jest opisane jako przypadek, Strumieński po powtórny ożenieniu się zastosował w praktyce z całą świadomością. „Według tego — mówił Strumieński sucho — możliwym jest, że dziecko twoje będzie właściwie jakąś transcendentalną drogą dzieckiem Angeliki, która dała się tylko zastąpić innemu żywemu ciału”. Potem opowiedział jej o swoich ćwiczeniach w rysowaniu i (dodał) malowaniu twarzy Angeliki, przypomniał jej także obrazy na temat dziecka. Wszystko to naturalnie nie mogło się Oli podobać i przeraziło ją nawet, bo była nieco zabobonna. Uczuła się nagle raz jedyny pod pewnego rodzaju duchową przemocą Strumieńskiego, który — jak się jej przez chwilę zdawało — mógł siłą woli czy sugestii wpłynąć na płód w jej ciele, uczuła, że oni oboje, tj. on i jego pierwsza żona, mają lub mieli jakiś odrębny świat, ulotny wprawdzie i nikły, ale mogący się właśnie w tej praktycznej kwestii wdrzeć w jej świat i w jej prawa. Przerażona, zarzuciła mężowi ręce na szyję, pytała gorliwie, czy to w istocie możliwe, groziła, że gdyby się coś takiego stało, znieawidziłaby go na całe życie lub nawet by się z nim rozwiodła. Strumieński zdumiał się na ten wybuch egoizmu macierzyńskiego i próbował mówić: „A dlaczego pozwalasz, bym myślał o innej? Dlaczego nie wypalisz mi w sercu wspomnień o niej swoimi pocałunkami, dlaczego dopuszczasz, bym śnił o niej, nie o tobie?”. Lecz widząc jej odrazę do siebie, zmuszony był wyznać prawdę: że wspomnianego planu nigdy na serio nie wykonywał; przecież Ola jest zbyt ponętną, żeby przy niej można zapomnieć o niej. Czuł, że tym przyznaniem się kompromituje właściwie wszystkie zamki na lodzie budowane przez Angelikę z myślą o Oli, żeby się więc przed samym sobą usprawiedliwić, krytykował Goethego, że napisał niemożliwą scenę: w wiadomym momencie bowiem można myśleć tylko o osobie, z którą się ma do czynienia, albo raczej o niczym. Obawy Oli rozproszyły się przy narodzinach dziecka: był to synek, bardzo podobny do niej, bo wyglądał na bruneta i miał niebieskie oczy, podczas gdy Angelika była blondynką i miała oczy zielone. Strumieński byłby dał Bóg wie co w tej chwili, gdyby dziecko było podobne do Angeliki — lecz udawał, że się cieszy, i śmiał się razem z Olą z jej poprzednich obaw, np. gdy wpadła na koncept, że mogłoby się narodzić dziecko z oczyma różnego koloru, aby obie strony zadowolili.

<sup>84</sup>czy zna Goethego „Powinowactwa z wyboru”, a gdy zaprzeczyła (...) — dla tych, co nie czytali Goethego *Powinowactwa z wyboru*, opowiem, o co idzie: w powieści tej występuje małżeństwo: Edward i Charlotta. Ale Edward kocha Otylię, a Charlotta kapitana. Raz w nocy zdarza się, że Edward chce z daleka widzieć Otylię czuwającą do późna w swym pokoiku i mimo woli zachodzi do żony, która właśnie jest rozmarzona wskutek bliskiego odjazdu kapitana. Edwarda chwytają pokusa, lekki opór żony podnieca go, wówczas gasi świecę. „W zmróku pod przyćmioną lampą, wewnętrzne skłonności i fantazja natychmiast wzięły górę nad rzeczywistością. Edward miał tylko Otylię w objęciach, przed duszą Charlotty majaczyła postać kapitana to bliżej, to dalej, i tak, dość dziwnie, splótło się obecne z nieobecnym w sposób pełen czaru i rozkoszy” (część I, ustęp 11). Później rodzi się z tego dziecko, które ma rysy twarzy kapitana, a oczy Otylii. Skruszony Edward powiada: „To owoc podwójnego cudzołóstwa” (II, 13); [ten dopisek autorski jest w wydaniu źródłowym przypisem dolnym; większość pozostałych, jeśli nie zostało to zaznaczone, stanowi odniesienia umieszczone na końcu utworu jako Uwagi; red. WL] [przypis autorski]

Lecz wkrótce znowu przy jakiejś sposobności wyjawiał jej taki swój przejściowy zarzut: „Powinnaś była dla mojej miłości pierwsze swoje dziecko poświęcić Angelice, żeby jej duch błakający się spełnił swoje ziemskie przeznaczenie, powinnaś była za moim pośrednictwem złąć się ze mną i z nią w taką jedność, taką utworzyć z nami trójkę niezwykłą, żeby to dziecko mogło być nawet fizycznie jej dzieckiem, żeby było do niej podobne!”. Tu znów można zauważyć to, co już raz napomknąłem, że Strumieński zwał na duszę Oli ciężar tych nadzwyczajnych postulatów, którym sam nie mógł podołać, a które go jeszcze od czasu do czasu napastowały. Pamiętał on np. jeszcze bardzo dobrze, jak trudno było Angelice rozstawać się z nim — jak skąpcowi, który umierając musi opuścić swoje skarby. Pamięć o jej tajnych życzeniach pośmiertnych (*sic*<sup>85</sup>) uważał za swoją specjalność — za niesłychane misterium — lecz wymagania psychologiczne i fizjologiczne życia wykolejały wciąż jego dobre chęci. Trzeba więc było Olę wtajemniczać dalej — zwłaszcza że to leżało na linii jego własnych rozkoszy.

W ogóle wchodziły tu w grę współcześnie dwa czynniki: Strumieński mniemał, że Ola wyratuje go od Angeliki, i chociaż myślami był w sojuszu z Angeliką (drugi czynnik), przecież działał przeciw niej, bo chciał Olę podnieść do rywalizacji. A więc były to czynniki sprzeczne — czy tylko na pozór<sup>86</sup>? Co do tej kwestii, proszę porównać moje rozumowania na s. 131<sup>87</sup> tudzież rozproszone uwagi o tym, że z pewnym stanem umysłowym wnet stowarzysza się zwykle jakiś stan wprost przeciwny (np. s. 133<sup>88</sup>). Zresztą potrzebował od Oli Strumieński pewnej pomocy moralnej, co jednak jasno uświadomił sobie dopiero później, albowiem fakt samobójstwa Angeliki miał pewne skrytki, które mu czasem mąciły spokój, i one to zwykle przeważały szalę na korzyść Oli.

Podaję teraz przerwany wątek: trzeba było Olę wtajemniczać dalej... Wplatał on już dawniej w swoje opowiadania szczegóły mogące drażnić jej ciekawość, ona też każdym razem na nie czyhała. Nawet najcnotliwsze kobiety lubią te szczegóły. „Psul” ją — widział, że ten teren jest dla niej przystępniejszy i zrozumialszy, mniemał, że to będzie silny fundament, na którym się już łatwiej postawi coraz wyższe piętra. Teraz pokazał jej *Księgę Miłości*, pamiętnik erotyczny Angeliki, i objaśnił go. Nie wystarczyło mu jednak być tylko anegdociarzem. Chciał od niej współczucia, zazdrości, chciał, żeby albo rywalizowała ze swoją poprzedniczką, albo ją naśladowała, chociaż właściwie jedno wykluczało drugie. Lecz „na dzień duszy” czuł, że może kaprysi, gdyż jego żona z biegiem czasu przyzwyczajwszy się do niego, lepiej rozumiała jego pocałunki — podobno bywa tak po pierwszym dziecku — była dlań czulszą i bardziej mu oddaną niż kiedykolwiek przedtem i potem. Bo i na nią działał — podobał się jej pewien patos w jego uczuciach, wchodziła też w grę specjalna rozkosz z odświeżania pierwszych wspólnych wspomnień. Lecz Strumieński nie chciał być zadowolonym: gdy ona odezwała się lub postąpiła tak a tak, to on sobie myślał, że powinna była powiedzieć co innego, spojrzeć w ten sposób, odgadnąć jego życzenia w przeczeniu, dla własnej przyjemności poświęcać mu własne przyjemności, solidaryzować się z nim nawet w jego nonsensach, grzechach i śmiesznościach, jednym słowem, być jego sobowtorem kobiecym. Gdyby nie znał Angeliki, byłaby mu może Ola dzieśnięć razy wystarczyła. Ale nawet i Angelika taką nie była, jaką ją Oli opisywał (por. np.

Samobójstwo

<sup>85</sup>*sic* (łac.) — tak, tak było; używane w funkcji zwracania uwagi na jakiś fakt czy użyte słowo. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*były to czynniki sprzeczne (...) czy tylko na pozór?* — [Komentarz autora z *Uwag*.] W rozstrzygnięciu tego pytania szło mi przede wszystkim o tzw. niepoprzebijane ścianki; a jednak nie wyczerpuje to kwestii, zostawiłem bowiem całkiem na boku następującą jej część: oto, jak wiadomo, każdy, przyciśnięty do muru, umie pogodzić swoje logiczne sprzeczności, na zawołanie wypełniając jako tako człony pośrednie. Subiektywnie nie czuje się sprzeczności, bo ma się w swoim „ja” jakby ciemne źródło wszelkich pogodzeń. Z tego samego powodu zdarza się, że jeżeli w dyspucie przekonasz przeciwnika, to on ci na końcu powie, że właściwie obaj mówiliście to samo. [przypis autorski]

<sup>87</sup>*czynniki sprzeczne (...) proszę porównać moje rozumowania na s. 131* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment rozdziału VII: „Czytelnikowi, który może chciał mnie tutaj przychwycić na niekonsekwencji (...) kraje, których języka nie rozumieją”. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*z pewnym stanem umysłowym wnet stowarzysza się zwykle jakiś stan wprost przeciwny (np. s. 133)* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnej stronie znajduje się akapit z rozdziału VII zaczynający się od słów: „Mimo opisanego powyżej procesu zobojętniania się przykrych składników życiowych (...)”. [przypis edytorski]

s. 72<sup>89</sup>), on tylko posługiwał się nią jako pretekstem do rozszerzania swoich wymagań. Bo zawsze czuł pewną fałszywość wysiłków Oli, może więc wołał ludzić się, że on chce za dużo i tylko dlatego Ola mu nie dogadza (szacherka uczucia). A kiedy wreszcie Ola zraziła się i odstrychnęła, spoglądał dumnie na swój wykulminowany do niemożliwości gmach i swoje w proch obrócone nadzieje. Kiedy indziej znowu uważał wszystko za tak łatwe i proste i zupełnie nie rozumiał Oli. Tak wahał się między rozmaitymi sposobami pojmowania jej charakteru i swoich postulatów: gdy mu było z Olą dobrze, mylił się co do niej, dostawał szerokiego oddechu i chciał ją porwać z sobą w bezgranicza, gdy mu zaś brakło pewnego minimum ciepła, porzucał eksperymenty, zapominał o duchu Angeliki i dbał o siebie samego, zadowolając się byle czym.

Tu muszę jeszcze nawiasem wtrącić, że Ola po urodzeniu synka często bywała w Warszawie, aby się bawić, robić zakupna, wydawać swe krewne za mąż, czy też odetchnąć na łonie bliższej rodziny, i tam zasilala się w swym oporze przeciw Strumieńskiemu, uczyła się lekceważyć go i wyzwałać się spod jego wpływu.

Większa część tego, co Strumieński opowiadał Oli o Angelice, przedstawiała się głupio i prozaicznie, bo nie miał zachęty mówić o niej coś mądrzejszego. Miał nieraz satysfakcję w tym, żeby Oli zagmatwać obraz, żeby w niej obudzić przynajmniej nienawiść do tego, do czego nie mógł ożywić jej sympatii. Przesadzał więc i gadał niesmaczne rzeczy, obniżał i obezwładniał całą kwestię tak, że przestawała być aktualną, a potem był na Olę zły, że ona go zmusza do przekręcania, do ściągania w dół swych pragnień, do postępowania tak, żeby zdawał się grzęznąć w pornografii zamiast być idealnym.

Ola wnioskowała z takich wyrzutów, że on widocznie nawet tamtej nie kochał ani nie szanował, Strumieński zaś brnął coraz dalej, stawał się gadatliwym i nudnym. Wywoływał u niej różne mimowiedne wybuchy szczerości („*naturlauty*”), zdradzające właściwe jej poglądy na niego: „Nudzisz mnie! komedia! komediant!”. Cały więc eksperyment wypaczył się, wszedł w stadium śmieszności.

Tu jest dziurka, przez którą można widzieć pewien daleki horyzont. Ze wszystkimi najpiękniejszymi uczuciami i zamiarami łączą się bardzo prędko pewne stany parodyjne<sup>90</sup>, które zbijają z tropu owe uczucia, przemalowują je i obniżają. Bo też wśród zawikłań życiowych myśli, uczucia, zamiary, stany ciągle zmieniają swą postać, tylko energia się nie rozprasza. Trzeba by bohatera, żeby zaplątawszy się w sieć tych zawikłań, dobrze je wszystkie pamiętał i nie dał się uwieść sugestii ostatniej śmieszności, ale podtrzymywał mocno swą słuszność. Trzeba jednak bohatera już na to, żeby sobie taki stan uświadomił i określił. Takim bohaterem był Napoleon, który powiedział: „Od szczytności do śmieszności tylko jeden krok”. Ale i on nie był szczerym, bo powiedział „tylko jeden krok”, podczas gdy prawda taka objawiła mu się najpewniej w chwili zlania się jakiejś „szczytności” z jakąś „śmiesznością”. Strumieński takim bohaterem nie był, dlatego zgnębił swoje odruchy zmierzające do dalszych, coraz trudniejszych wyjaśnień, i wstydił się, i irytował, ale po cichu.

Jedna z ostatnich scen tego rodzaju między małżonkami była następująca: Strumieński żądał od Oli, żeby raz na miesiąc ubierała się w suknie Angeliki i zupełnie ją udawała, on też miał ją w tym dniu nazywać Gela i zachowywać się odpowiednio do tego. „To jest takie głupstwo, a nikt nawet o tym wiedzieć nie będzie”. Udowadniał, że gdyby jej nie

<sup>89</sup>Angelika taką nie była, jaką ją Oli opisywał (por. np. s. 72) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment rozdziału IV: „Żeby nie pozostawiać czytelnika w wątpliwości co do owej »reszty«, której sobie Strumieński nie mógł (?) uświadomić, powiem już teraz sam, o co tu mniej więcej chodziło (...) blahe, ale konkretne”. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>stany parodyjne — [Komentarz autora z *Uwag.*] Tu już właściwie poruszam sprawę tzw. punktów wstydlivych. Ze zaś to jest istotnie „sprawa”, którą w interesie ludzkości warto podciągnąć pod osobną nazwę, aby się nauczone patrzeć jej w oczy, to ujawniło mi się przed kilku laty, kiedy usłyszałem następującą, podobno prawdziwą anegdotkę. Pan X. kochał się w mężatce, pani Y. Wreszcie postanowili razem umrzeć, wynajęli mały pokój na piętrze, zamknęli się, wyrzucili klucz przez okno, zażyli truciznę, pocałowali się i oczekiwali śmierci. Dotąd wszystko symetrycznie, tragicznie, tak jak się należy. Lecz cóż się dzieje? Aptekarz, który panu X. sprzedawał truciznę, zmiarkował był, co się święci, i dał mu zamiast trucizny środka rozwalniającego, a tymczasem uwiadomił męża pani Y. Ludzie nadchodzą, wyważają drzwi pokoiku, no i *tableau* [*tableau* (fr.): obraz, widok; red. WL]. Mąż: „Czekaj, krwią mi za to zapłacisz”. Pan X.: „Ależ zapłacę, zapłacę, tylko mnie teraz puść” (wybiega, ale nie w celu ucieczki). Czyż to rozchwianie się tragiczności nie jest bardziej tragiczne i ludzkie niż sentymentalna wspólna śmierć? [przypis autorski]

kochał, to by jej się nawet nie ośmielił zaproponować tak dyskretnie pięknej komedii, lecz właśnie ma zaufanie do Oli i wierzy, że ona to zrobi. Ola odparła na to: „Jesteś wariat, ja jestem twoją żoną, a nie kochanką”. To odróżnienie oddawało jej zwykle dość dobre usługi, więc stosowała je często, pomimo że małżonek wykazywał jej, że to nonsens — ale bo też szło jej tylko o to, żeby zaznaczać odmowę z zasad wyższych, a nie z egoizmu i uporu. Gdy Strumieński jeszcze coś dalej mówił, zaczęła śpiewać, a on jej na to: „Milcz, nie śpiewaj!”. Śpiewała dalej, a on, wiedząc, że własny śpiew sprawia jej przyjemność, prosił ją, żeby nie śpiewała, dlatego że mu to w sposób zbyt przykry przypomina Angelikę, która w ostatnich dniach swego życia pod wpływem obłąkania zaczęła nucić ni stąd, ni zowąd. Tak chciał Strumieński chytrze przeforsować swój zakaz, lecz Ola palnęła mu śpiewając:

No to ja ją naśladuję,  
Do rozkazu się stosuję.

Porwał za kapelusz i wyleciał w pole. Gdy wrócił, Ola była chora, miała migrenę, potem grała na fortepianie, a na drugi dzień nic do niego nie mówiła — „skoro mego głosu nie lubisz”.

Strumieński stał w ogniu wypadków i był nimi tak zacierzwiony, że nie mógł charakteru i postępowania Oli zupełnie trafnie ocenić. Czasami w irytacji, na podstawie analogii z samym sobą, dobrze oceniał jej egoizm, objawiający się w drobnych ukłuczeniach szpilkami w najniewinniejszej na pozór formie, lecz zamiast widzieć w tym wpływ jej wychowania, wykształcenia, stosunków, przesądów, zamiast uwzględniać masę innych czynników, trudniejszych do uchwycenia, wołał pójść drogą wygodnych umysłów i w swoich walkach psychicznych z Olą upatrywał rzekomy wieczny antagonizm między mężczyzną a kobietą w ogóle<sup>91</sup>. Ta ponętna teoria uspokajała go nieco, pozwalając mu cieszyć się swoją wyższością umysłową; obchodząc wtedy z daleka ostrożnie wspomnienia o Angelice, aby ich nie narazić na zetknięcie się z tą teorią, popadał Strumieński w mizogiczne rozmyślenia, które zaznaczył także w ten sposób, że synka swego nazwał Pawłem — od imienia apostoła, który nie lubił kobiet.

Jakże zaś te zawikłania przedstawiały się Oli? Przybywając do Wilczy, widziała ona przed sobą całkiem inne zadania. Mniemała, że przyjdzie na tę pustynię jak anioł zbawczy, pochlebiała jej nawet, że idzie za męża za plebejusza z rodu, i chwaliła się tym przed towarzyszkami jak bohaterstwem, sobie samej zaś mówiła: „Jaki on będzie szczęśliwy, dumny, pojawiwszy za żonę córę hetmanów!”. Bo chociaż na pozór głosiła się być wyższą nad kastowe uprzedzenia, przecież gdy szło o życie praktyczne, wówczas wyłaziło szydło z worka. A potem znowu, wznosząc się ponad kastowość, myślała: „Jak splendor taki zaimponuje pp. X., państwu Truskawskim i innym sąsiadom, jak odtąd nabiorą respektu dla biednego Włoska Strumieńskiego, którym pomiatali, o, bo tym ludziom tylko imponować potrzeba!”. Zdobywszy szacunek dla męża, ułatwi mu byt, skłoni do zawiązania stosunków z ludźmi dobrej woli, odda go społeczeństwu. Będzie się mógł nią popisywać, bo ona umie śpiewać, grać, kokietować, jest piękną: tego wszystkiego będą mu inni zazdrościć. W jego melancholię nie wnikała merytorycznie, ale uważała ją za miłą dekorację, za dodatek, wskutek którego ludzie mogliby kiedyś powiedzieć: „O, jak on przy młodej żonie poweselał”. Niby to wyobrażała sobie dawniej Strumieńskiego jako człowieka statecznego, poważnego, lecz jakże bardzo się na nim zawiodła! Ma on dobre serce, ale jest kapryśny i dziwak. Płakała, cierpiała skrycie, bo on odepchnął jej miłość dla kaprysów. Jeżeli zaś była dla niego surową, jeżeli zadawała mu rany, to dlatego, by

Kobieta, Mężczyzna, Ojciec,  
Mizoginia

Pozycja społeczna, Mąż,  
Żona, Polak, Niemiec

<sup>91</sup>rzekomy wieczny antagonizm między mężczyzną a kobietą w ogóle — [Komentarz autora z Uwag.] To zapatrywanie ma dwie formy: jedną popularną, w której od dawien dawna kursowało wśród ludzi, np. za pomocą przysłowia [dziś popr.: przysłów; red. WL], drugą badawczą, docierającą w głąb, często zaciętą, taką, jaką widzimy np. u Schopenhauera, Strindberga. U nas ta druga forma nabrała zaraz sentymentalno-filologicznego pokostu. Zamiast próbować rozwikłać sieć komplikacji psychologicznych między mężczyzną a kobietą, która to sieć w każdym poszczególnym wypadku jest inna i żąda innych wytłumaczeń, nasz poeta radzi sobie w bardzo łatwy sposób: sprowadza całą trudność do jednego mianownika („wiecznej idei“): Adam-Ewa, który może swoją asocjacją strasznej odległości historycznej komuś imponować, ale przecież jest trochę gimnazjalnym. [przypis autorski]

zapomniał o tamtej, która była niegodną jego miłości, skrzywiła, złamała mu życie, wyszła za niego tylko dla miłego grosza, a zresztą była, jak wiadomo, wariatką. To nie była kobieta, to była samica, indywiduum zepsute cywilizacją. Cudzoziemka, skaziła naszą rodziną, polską atmosferę jakąś niesympatyczną, niemiecką domieszką, której on z siebie teraz otrząść nie może. (I Strumieński był czasem tego samego zdania).

Tak by może mniej więcej napisała Ola w swym pamiętniku, bo na wszystkie wybryki egoizmu znajdzie się płaszczyk. O tym wie każdy. Ale może nie każdy wie o tym, że w tych płaszczkach, tj. upozorowaniach, tkwi zwykle *więcej* racji, niż się na pozór wydaje<sup>92</sup>, nie ma w nich nic śmiesznego, jest, owszem, nieraz logika i słusność najlepszego rodzaju; tylko trzeba każdy taki płaszczkowy argument z osobna ożywić i wmyśleć się weń. Za to nie ma tam *zupelnej* racji, uwzględnienia wszystkich czynników, nie ma autokrytyki i szczerego śledzenia konszachtów między układaniem się wyuczonych słów, frazesów i poglądów a nieświadomym życiem duszy.

I tak np. Ola nie lubiła zbyt ściśle rozważać swego stosunku do Angeliki. Wypieszczona w domu, uważana za „*lumen*”<sup>93</sup>, musiała wobec Strumieńskiego przybrać tylko rolę kobiety *par excellence*<sup>94</sup>, rządzącej się głównie uczuciem. Strumieński zanadto poniżał jej ambicję, stawiając wciąż Angelikę jako wzór inteligencji kobiecej — a ją, Olę, lekceważył, bo nawet, jak jej się zdawało, nie spostrzegął, że ma do czynienia z arystokratką, nie był z tego dumny, ignorował to. W tym punkcie Ola myliła się nieco, bo Strumieński ulegał kastowym przesądom w ten sam sposób co ona, chociaż jak potem zobaczymy, traktował je bardziej teoretycznie. Uprzedzenia Oli do Angeliki płynęły nie z zazdrości o męża, ale w ogóle z zazdrości intelektualnej. Miałaby rozum być zazdrosną o osobę nieżyjącą! Gdyby Strumieński zbałamucił żonę jakiego prezesa, marszałka, wówczas może by ją to dotknęło, to byłby przyzwoity skandal, dla którego warto by sobie nadpsuć trochę serca — ale tak... Wskutek wspomnianej zazdrości intelektualnej wyrobiła się w Oli potrzeba zaznaczania i wobec Strumieńskiego, i wobec innych, że ona jest kontrastem do Angeliki, np. namiętnie zwalczała emancypację kobiet, chwaliła się swoim doskonałym zdrowiem, zamięłowaniem w zajęciach gospodarskich tudzież w różnych sportach itd.

Raz zaproszono ich na polowanie. Strumieński nie chciał w nim wziąć udziału, bo miał jeszcze dawną pretensję, żeby Wilcza była wyspą inteligencji, a nie głupich zabaw. Ola natomiast zaczęła narzekać, że ją więzi w domu, jest o nią zazdrosny itd. Wówczas on wyznał jej, że przecież jego ojca zabito na polowaniu, że jego samego niegdyś jako chłopaka używano do nagonki. To wzruszyło ją, postanowiła pozostać w domu i tą małą uległością ujęła go tak, że oświadczywszy: „Ale co ja sobie tam będę z tego robił!”, pojechał z nią na owo polowanie. Odtąd dogadzał wszystkim jej życzeniom tego rodzaju, „cywilizował się”. Ola tryumfowała: „Wygrałam, przyszedł do rozumu”.

A właściwie prawdą było tylko to, że Strumieński sam zaczął powątpiewać o wartości problemu Angeliki. Przede wszystkim, dotknąwszy śmieszności, cofnął się jak sprężyna, zaprzestał dręczyć żonę, a zaczął szanować jej „kobiecość”, tym bardziej że także ich miłość zaczęła mieć swoją historię, swoje skrytki, wspomnienia, kłótnie, przeprosiny, stałe pieśczęty i słodycze. Urobił się między nimi pewien *modus amandi*<sup>95</sup>, wzbogacany od czasu do czasu nowościami. Z drugiej strony, powstawał w nim dość często przesył

<sup>92</sup>w tych płaszczkach, tj. upozorowaniach, tkwi zwykle więcej racji, niż się na pozór wydaje — [Komentarz autora z Uwag.] Dlatego baczność! Stronniczość nie wyklucza słusności. Gniew np. jest złym doradcą, ale bystrym analitykiem, podsuwa takie argumenty, jakich by się kiedy indziej nie wyszukało. Tak samo i przyjaźń mocą swej tolerancji dokazuje cudów sprawiedliwości. W afekcie rozważając zalety i wady jakiejś osoby, widzimy je obficie, ilościowo jest więc nasza obserwacja silniejsza, trudniej nam tylko oznaczyć miarę i wzajemny stosunek poszczególnych cech badanej osoby. Ale czyż kiedykolwiek ten stosunek jest nam zupełnie jasny? Czyż wobec najbliższych naszych, wobec samego siebie nawet, nie jesteśmy w stanie ciągłej fluktuacji zapatrywań? Zresztą por. [fragment rozdz. XVII Komedia triumfalna, zaczynający się od słów „Strumieński czasem w interesie swego egoizmu wychodził przeciw z obrębu nazw i myślał nie gotowymi ułożeniami, ale fotograficznie, faktami, czyli używając starego wyrażenia: intuitywnie te fakty odczuwał”; red WL]. Ciągłe się mówi, że dzieła sztuki należy oceniać *sine ira et studio* [*sine ira et studio* (łac.): bez niechęci i sympatii; tj. bezstronnie; red. WL], że powinno się krytykować tylko dzieło, a nie osobę autora. Bynajmniej! Wszakże nie rozchodzi się o dzieło, ale o stan psychiczny, z którego ono wynika, o zapatrywania autora, o to, co w nim jest najdroższe i najlepsze, bo nie ma rzeczy bardziej osobistej niż poezja! Wykazując, że czyjeś dzieło jest głupie, unicestwiam intelektualną istotę autora: to nie ulega wątpliwości. [przypis autorski]

<sup>93</sup>*lumen* (łac.) — światło. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*par excellence* (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu, w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*modus amandi* (łac.) — sposób [realizowania] miłości; styl miłości. [przypis edytorski]

z powodu fizycznej miłości, znużenie, wyczerpanie niby do dna siebie i jej; bywał w sąsiedztwie myśli, że „miłość” nie tylko nie jest bezdenna, ale że to dno jest nawet bardzo blisko, że ostatecznie cała sprawa redukuje się do... *tant de bruit pour une omelette*<sup>96</sup>. Chcąc się wycofać z zajmowanego dotąd fortu, robił sobie wyrzuty, czy może nie przeholował, czy nie „kaprysi” — bo czegoż to on żądał właściwie? Nie wiedział. (A niedawno wiedział). Wszakże łapał nieraz siebie na tym, że mówił jej: „to”, „coś”, „to we mnie rośło”, „taki ideał” — jakże ona miała to rozumieć? — Zamknął więc dalsze wynurzenia i żądania, chciał być ze swoim problemem sam na sam. Mówił sobie, że przez pokazanie obrazów i wtajemniczenie Oli w tyle szczegółów stało się już wszystko, co się stać mogło: pozostawało wprawdzie jeszcze *to i owo*, ale to były rzeczy mniej ważne (?). Niby kapłan odprawił już nabożeństwo za zmarłą duszę. Przy tym orzekł, że jego kult Angeliki doznał mnóstwa skaz, że ją zdradził i skompromitował, chciał więc naprawić swój błąd, chciał dać żonie czas, by zapomniała o wszystkim, wymazać z jej pamięci zupełnie ten epizod, aby Angelika miała mauzoleum tylko w jego duszy, w jej najdalszych i najskrytszych grotach. Na szczęście, zachował sobie jeszcze kilka tajemnic, których nie wyjawiał Oli, i cieszył się z tego. Miał swoje *sanctissimum*<sup>97</sup> — postanowił jednak nie dbać o nie, nie myśleć o nim, nie brać go z sobą w „walki życia”, ale przechować nieskalane. Tak chował, chował coraz głębiej, aż go się wreszcie pozbył. Ale chociaż potem zaparł się swego ideału i odmienił swą skórę, zawsze wiedział — nie mówiąc tego sobie — że tam jeszcze coś na niego czeka.

Tak to wycofanie się swoje podpierał Strumieński z różnych stron — w różnych nb. czasach — sprzecznymi nieraz argumentami, które z początku nawet się ze sobą nie ścierały (niepoprzebijane ścianki). Zauważam jeszcze, że naturalnie to tymczasowe zakończenie sprawy Angeliki nie było nagłe, ale przygotowywało się od dawna i od dawna już równocześnie z tym kompleksem krzyżował się i wchodził w związki kompleks inny, dotyczący zewnętrznego życia Strumieńskiego. Bo Strumieński wziął się potem, żeby żyć tylko powierzchwnią.

## VIII. *Naturam expellas furca*<sup>98</sup>...

Idealem byłoby właściwie opisywać bezpośrednią rzeczywistość, w czasie terażniejszym, ze wszystkimi szczegółami — i na takim materiale dopiero wypowiadać swe spostrzeżenia i uwagi. Ale uważam to zadanie za niesłychanie trudne, tym trudniejsze, że dotychczasowa metoda powieściopisarska, polegająca na kreśleniu fałszywych wycinków z życia, przeważnie rozmówkowa lub nastrojowa, przyzwyczaiła nas do tylu formułek i sposobów upraszczania rzeczywistości, z których się trudno otrząść, że prawie zatarasowała nimi widok na ogromne, nietknięte obszary. Dlatego zadawałam się streszczaniem jakiegoś materiału, który niby to leży w całości przede mną; streszczam go zaś, kratkuję, prześwietlam, posługując się często abstrakcjami, już to znanymi, już to wynalezionymi przeze mnie. Ale mimo to usiłowaniem moim w *Patubie* jest docierać wciąż do tych warstw życia, gdzie ono abstrakcji urąga, spod uogólnień się usuwa i objawia się jako trudne do rozwikłania, rozpaczliwe, wyjątkowe. Wyjątkowe — więc właśnie z zatrzymaniem tych cech przypadkowych, które wedle recepty dotychczasowych estetyków (zwłaszcza w zakresie dramatu) odrzucać należało, aby niby wydobyć to, co jest „wieczne”, „istotne”, „typowe”, a więc czego ani zrozumieć, ani wyobrazić sobie nie można — czyli co nie istnieje, a co zaopatrzone przymiotnikiem „transcendentalny” jest dobrowolną zgryzotą poetów. Wspomnianą wyjątkowość dostrzegamy w chwilach cierpienia i rozkoszy, a zwłaszcza podczas cierpień intelektualnych na tle zdarzeń osobistych, które zmuszają nas zapomnieć o znanych kategoriach, pobudzają do wynalazczości we własnym zakresie, do tego sprawiedliwego uwzględnienia wszystkich specjalnych czynników, w którym mamy jedyny środek praktycznego ratunku. W chwilach takich na chwilę nie kłamiemy, jesteśmy oryginalni, wiszący nad nami bicz losu pędzi nas do wszechwiedzy, do „genialności”,

<sup>96</sup>*tant de bruit pour une omelette* (fr.) — wiele hałasu o nic; dosł. wiele hałasu o omlet. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*sanctissimum* (łac.) — tu: miejsce najświętsze. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*Naturam expellas furca...* (łac.) — choćbyś naturę wypędzał widłami [ona zawsze powróci]; fragm. przysłowia łac. *naturam expellas furca, tamen usque recurret*. [przypis edytorski]

do strasznej, uspokajającej analizy<sup>99</sup>, aż wreszcie stajemy przy jakichś atomach. W atomach jest to, co jest bezimienne, bogate, rzeczywiste, to, co jest boskie, niewymierne, niedające się z niczym porównać, wyjątkowe.

Strumiński wstydził się być wyjątkowym, chociaż naturalnie teoretycznie uznawał, że oryginalność jest zaletą. Zwłaszcza gdy zaczął się rozglądać w stosunkach naokoło, zapoznawać się z ludźmi, których dotąd unikał, słuchać turkotu społecznych i politycznych wypadków, gdy go udrapowało ojcostwo — popadł w ekstrem<sup>100</sup>, niby to przeciwny swemu charakterowi. Podsycała go w tym dziecinna ambicja, widział bowiem, jak go ludzie szanują, jak wysoko cenią jego inteligencję i zdanie, jak są wyrozumiali i dyskretni. W istocie wskutek przybycia Oli nastąpił inny kurs w Wilczy. Strumiński ze zdziwieniem przekonywał się, że ci, których dawniej uważał za swoich wrogów, nie są już nimi albo nimi nigdy nie byli — chociaż oni właściwie tylko zapomnieli o jego przeszłości i nie mieli potrzeby teraz się nią zajmować lub też bali się tego z bliska, co lekceważyli z daleka. Ogarnęła go niepohamowana chęć, żeby w obcowaniu i stosunkach z nimi cieszyć się rzekomą wyższością swoją, ale przede wszystkim trzeba było upodobnić się do nich. Poświęcał więc jedną swoją odrębność po drugiej, zdierał strupy z rany, która się już dawno zagoiła. Sprawa Angeliki pozostawiła w nim pustkę; oglądając się za wypełnieniem jej, brał to, co było pod ręką. Ją — zamknął, niby w cyborium<sup>101</sup>, którego nie naruszał, ale tak ją zabezpieczywszy, lekceważył, ignorował, odpychał. Myślał: „Co sobie ludzie myślą, którzy ze mną mówią?” i wstydził się. Nieraz sam przed nimi poruszał swoją drażliwą kwestię, przekreślał ją, zacierał, odejmował jej wagę. Czymże to było wobec nieszczęść narodowych i społecznych! (por. s. 107<sup>102</sup>.) Uważał siebie za zboczenie, za wyjątkowy wypadek, o którym nie warto mówić, bo to, co on przebywał z Angeliką, a potem z Olą, nie było podobne do tego, co przebywali inni ludzie i co było w książkach i bieżących ideach — to było takie śmieszne, dziecinne. Nie wiedział, że życie naokoło niego wre wewnątrz od wyjątkowych wypadków i tajemnic na różnych tłach, lecz sięć nazw, nieszczerłość ludzka wobec drugich i siebie, trudność dowiedzenia się i zgromadzenia rozstrzygających szczegółów zakrywają to, co by mógł odsłonić chyba

<sup>99</sup>bicz losu pędzi nas do wszechwiedzy, do „genialności”, do strasznej, uspokajającej analizy — [Komentarz autora z Uwag.] Zaręczam np. że każdy z owych poetów, którzy lubią pisać o ewowatości kobiet, jeżeli idzie o jego własną skórę, np. o pozyskanie lub utratę jakiejś żywej kobiety, nie będzie jej traktował jako przedstawicielki rodzaju, lecz jako indywidualność, uwzględni wszystkie okoliczności danego zdarzenia, postąpi praktycznie jak agent śledczy i przynajmniej w myślach spłaci rzeczywistości dług aż do ostatka, zanim zacznie na tle przebytej awantury dzierżyć filozoficzne i poetyczne arabeski. Jak dalece egoizm, zagrożony praktycznie, domaga się analizy i bezimienności, to mógłbym pokazać na wstrząsających przykładach, ale ograniczę się do drobnostek, z których każdy pozna, o co mi idzie. Mam znajomego, którego raz na wpół żartem nazwałem niedołęgą, zarzucając mu, że nie umie sobie znaleźć zajęcia, nie poszuka protekcji, nie zdaje egzaminów, nie postąpi tak lub owak. Na to ów znajomy, odrzucając epitet niedołęgi, utrzymywał stanowczo, że to mi się tylko tak na pozór wydaje, w rzeczy samej zaś on nie tylko nie ma sobie nic do zarzucenia, lecz owszem sądzi, iż postępował w miarę możliwości energicznie. Potem opowiedział mi swoje stosunki, sięgając parę lat wstecz, i przytoczył tyle ważnych, choć na pozór drobnych okoliczności, żem cofnął swój zarzut, może i nie całkiem mylny, ale za ciasny, za ryczałtowy. Inny mój znajomy jest niepunktualnym i niesłownym, ale broń Boże mu to powiedzieć: wpada w gniew i broni się tak wymownie, że musi się wierzyć, iż on każdym razem ma inny bardzo ważny powód rzekomej niesłowności. Proszę mi też pokazać polityka, który by poczuwał się do nazwy „szowinista” i każdego zarzutu szowinizmu nie potrafił ilustrować po swojemu, wykreślając misterną, obliczoną na milimetry granicę między patriotyzmem a szowinizmem. A w procesach o tzw. sprzedaż przekonani jak często dochodzi rozprawa do bezimiennych atomów, które się odważa na szalce wagi aptekarskiej, a które przecież przez biedny sąd nazwane być muszą! W niedawno odbytym we Lwowie procesie o rozruchy robotnicze, podczas których wojsko użyło broni palnej, doszła rozprawa do takich atomów: żołnierz P. maszerując kopnął jakąś kobietę: przypadkiem? Umyślnie, korzystając z nastroju ogólnego rozjątrzenia? Tu atom. Robotnik S., ujmując się za uderzoną, beszta żołnierza (podobno i policzkuje), aresztują go, robotnicy odbijają, stąd fatalne następstwa. Ale dlaczego ujmuje się? Czy z rycerskości? Z dobrego serca? Czy korzystał z pretekstu, aby dać upust swej awanturniczności (garderoba duszy)? Tu psychologiczny atom, nad którym sąd już nie panuje. A jeżeli poczują jest antycypacją spełnienia najwyższych pragnień praktycznych, jeżeli jest najpraktyczniejszą sztuką i nauką, inżynierią rzeczywistych zamków na lodzie i błękitnych mostów między ludźmi, to w takim razie... [przypis autorski]

<sup>100</sup>ekstrem — dziś raczej z oryg. końcówką łac. r.n.: *ekstremum*. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>cyborium (z gr.) — czara, kielich; naczynie liturgiczne. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>Czymże to było wobec nieszczęść narodowych i społecznych! (por. s. 107) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment rozdziału V: „a do zupełnego otrzeźwienia go przyczyniła się powódź (...) w sam czas”. [przypis edytorski]

diabeł Lesage'a<sup>103</sup>. Zwłaszcza miał Strumieński wyrzuty sumienia na punkcie swej przesady w miłości. Tak dać się ovladnąć jednej kobiecie — to wstyd. On, on był „owadem na róży kwiecie” (Mickiewicz) — owadem. Nazywał to zrazu sardanapalstwem, bo nie miał właściwego pojęcia o historycznym Sardanapalu<sup>104</sup>, potem sentymentalizmem i wybujałym erotyzmem, wreszcie z gniewu odważył się nawet używać przeciwko sobie twardych i brutalnych słów. Powiedział: „Erotomania, umysłowa onania”. Rumieniec występował mu na twarz...

Erotyzm

Oprócz przyczyn specjalnych główną rolę grała tu ówczesna zaraza umysłowa, która w Polsce wyraziła się w *Bez dogmatu* Sienkiewicza. To, co dla Hamleta było chwilowym powiedzeniem<sup>105</sup>, które Szekspir strzegł się rozszerzyć na cały dramat, co u Goethego w *Mistrzu Wilhelmie* było głębokim *aperçu*<sup>106</sup>, to nabrało z biegiem czasu wartości pewnika, szczepiło się z innymi pospieszonymi hipotezami i grasowało w literaturze. Ludzie subtelni i czuli zaczęli zazdrościć półgłówkom, zaczęli szukać ożywczych soków, bredzić o kwiatyzmie, chorobliwości, wybujałościach cywilizacji, aż wreszcie zgodnie stwierdzono, że się jest do niczego, a za jakiś czas, że się już jest na drodze do poprawy i czynów. Niektórzy pozowali tylko i uznawali się za niedołęgów — dla honoru, inni cierpieli i gryźli się wewnętrznie. Łatwość i przejrzystość świeżo odkrytej „prawdy”, a przy tym jej paradoksalna beznadziejność hipnotyzowały inteligentne, ale mało odporne umysły: surowość postulatów identyfikowano z jego słuszością<sup>107</sup>. Ale np. takie *Bez dogmatu* działało

Artysta, Moda

<sup>103</sup>diabeł Lesage'a — postać diabła wykreowana przez Alaina René Lesage'a (1668–1747) w powieści *Diabeł kulaawy*. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>Sardanapal — ostatni legendarny król Asyrii, uważany przez starożytnych za rozpustnego tyrauna, który podpalił swój pałac i zginął w nim razem ze swoim dworem. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>co dla Hamleta było chwilowym powiedzeniem — [Komentarz autora z *Uwag*.] O ile mi wiadomo, najnowsi badacze *Hamleta* zarzucili już ten pogląd, który w połączeniu z wielu innymi modnymi przesadami stał się gruntem, na którym wyrosło *Bez dogmatu* lub nieco później naśladowane z zagranicznych dekadentów potępienie rozumu itd. Zacytuję np. dziełko Gelbera pt. *Problemy Szekspira*. W dziełku tym autor ze znacznym nakładem bystrości udowadnia, że Hamlet musiał postępować tak, jak postępował: nie wierząc duchowi ojca, chciał mieć obiektywne dowody zbrodni swego ojczyzna i dlatego urządził śledztwo za pomocą sztuki odegranej przez aktorów; był to w danych warunkach środek jedyny, lecz pewny. Potem Hamlet cofa się przed zamordowaniem modlącego się Klaudiusza, bynajmniej jednak nie ze wstrętu przed czynem, lecz tylko z tego powodu, że wierząc w życie pozagrobowe (to wstrzymuje go także od samobójstwa), nie chce, żeby się zbrodniarz dostał do nieba. Co prawda Gelber naciąga swoje wywody do innego planu pojmowania: mianowicie, że w *Hamlecie* jest problem religijny, kolidują rozum z dogmatami. Ten plan jest również tylko jednostronny, cząstkowy. Gdybym próbował do *Hamleta* zastosować rezultaty *Patuby*, zwracałbym może uwagę na to, jak Szekspir nie dopuszcza pierwiastka konstrukcyjnego, lecz naśladuje zygaki życia, jak z obowiązkiem zamordowania Klaudiusza spleta się komedia charakteru Hamleta, to znaczy, jak ten charakter wyzyskuje ów obowiązek w celu wyżycia się, jak Hamlet sam tworzy sobie kontrasty, jak życie samo dostarcza mu różnych analogii i półanalogii, wreszcie jak wybitnie zaznacza się w tej sztuce rola pierwiastka pałubicznego, zwłaszcza w akcie V, gdzie przypadek zmusza Hamleta do czynu, odejmując równocześnie temu czynowi wartość zemsty. Choćby się nawet odliczyło pewien procent na rachunek jakiegoś osłabienia woli u Hamleta, to moim zdaniem przecież sposób stawiania się „czynów” jest czymś wyższym nad charakter słaby lub silny; w ogóle gdy chcemy tę sprawę zbadać na serio, to idąc po linii poetycznej wprost, docieramy także do kwestii „naukowych”. Tym wszystkim, którzy tylko pobłaźliwie raczą sympatyzować z Hamletem i nazywają go prototypem dekadentów, należałoby postawić obcesowe pytanie, czyby oni na miejscu Hamleta tak od razu zabijali, mordowali? Niemożność zemsty, nonsens zemsty. O ile mi się zdaje, któryś z badaczy *Hamleta* powiedział: „Nie Hamlet nie dorósł do swego czynu, ale czyn nie dorósł do niego”. [przypis autorski]

<sup>106</sup>aperçu (fr.) — zarys. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>surowość postulatów identyfikowano z jego słuszością — [Komentarz autora z *Uwag*.] Tę samą kwestię poruszam [w rozdziale XI]: „Ludziom się zdaje, że większa prawda leży w pobliżu większej nieprzyjemności”. Jeżeli Herkules na rozdrożu wybrał cnotę, to jak sądzę, stało się to wskutek przemożnej sugestii paradoksu. Dowód paradoksu zawiera się np. w następujących frazesach: „Poznać siebie samego jest trudniej niż poznać innych”. „Samobójstwo jest tchórzostwem”. „Łatwiej napisać dobrą tragedię niż dobrą komedię”. (Dwa ostatnie frazesy wytyka Schopenhauer w *Parerga i Paralipomena* II. § 43). „Sonet jest najtrudniejszą formą poezji”. Paradokso- wi zawdzięcza swe powstanie homeopatia. Patrz także [rozd. VIII]: „Pocziwość była zaletą, którą jako cechę uzupełniającą sugestionowała drastyczność jego obejścia się, rubasność wyrażen”. Tego rodzaju błędy myślowe trzeba nie tylko stwierdzać, ale także badać, wytłumaczyć, w czym mają źródło, jaki jest ich mechanizm, one bowiem są często powodem wielkich teorii, ruchów politycznych, etycznych, religijnych itd. Ja sobie powstawanie dowodów z paradoksu tak wyobrażam: jakiś kontrast, jakaś sprzeczność wywołuje pewien silniejszy ruch umysłowy, po czym uwaga ustaje, leniwieje, kontrast zrazu tylko zanotowany staje się pewnikiem, np. samobójstwo staje się tchórzostwem na przekór oczywistości [Hebbel wyśmiewa ten paradoks mówiąc: „Wielu ludzi wskutek tchórzostwa nie może się zdobyć nawet na to tchórzostwo”; fakty zaś, że dzieci nieraz z obawy przed karą popełniały samobójstwo, należą pod rubrykę: dowód z wyobraźni, analogiczną jak dowód z paradoksu; przyp. autora]. Naturalnie, że obok tego procesu snuje się też rodzaj jakiegoś dowodu obiektywnego, który jest tylko podpórka *ex post*. Dowód z paradoksu można by także porównać do zawrotu umysłowego. Rozważmy, jaki tok myślowo-uczuciowy budzi się w nas, gdy spoglądamy w przepaść: tak łatwo można spaść, dość



dwustronnie: wywoływało teoretyczną antypatię do schyłkowców, a praktyczną sympatię do gaszonych słońc, do tych konsekwencji, których dotąd nie przeczuwano. Kobiety płakały nad Płoszowskim, lecz jak kura żadna by z nich nie wyszła poza koło zakreślone przez autora. Ludzie robili dziwne rachunki sumienia, rodzili dopiero teraz myśli, które przychodziły na świat z gotowym piętnem: jesteśmy złe, wyklęte, niepotrzebne, ohydne. Taką jest obłuda. A bliskość końca wieku poddawała tym wzgardom taką ładną, dobrą nazwę: schyłkowcy, findesieciści... ba, ta nazwa sama już była dowodem.

jeden krok zrobić i można się zabić, straszliwie zabić! A możliwość wywołuje podrażnienie i pewien silny ruch umysłowy, domagający się na ślepo zrealizowania, ciało chce naśladować wyobrażenie, chociaż to wyobrażenie jest tylko częścią myśli, a nie całą myślą, bo wszakże ów morderczy akt wyobraźni odbywa się w trybie przypuszczającym, otoczony jest przez „nie”. Otóż jak przy zawrocie głowy ciało realizuje akt wyobraźni, tak samo przy paradoksie umysł realizuje sprzeczność i nasycą ją *ex post* li tylko nastrojem prawdy, pożyczonym od innych prawd. Podobny błąd myślowy, a w następstwie i „sercowy” popełniła jakaś piękna dama, która porzuciła swego pięknego męża i zakochała się w brzydkiem Murzynie. (Naturalnie ta przyczyna w rzeczywistości mogła być tylko jednym z włókien kompleksu, podpórka jakichś innych motywów). Być może, że tej pani zdawało się nawet, iż na tym nonsense, który ona popełnić zamierza, ujawnia się świetnie potęga miłości; więc dla dogodzenia konstrukcji, dla zaokrąglenia planu pojmowania, postąpiła tak jak Angelika ([por. rozdz. XVII: „Podniecenie umysłowe na tle fizjologicznym po urodzeniu dziecka popychało ją (...) do szukania motywów śmierci we wszystkim (...)”]; red. WL)]? Mało kto wie, ile intelektualnego pierwiastka, ile szachrajstwa lub pomylek umysłowych tkwi w tzw. żywiołowych zdarzeniach. Pod sugestią paradoksu znajduje się zapewne i ów poeta, który twierdzi, że po Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim poeci polscy nie mają już nic do roboty. Działa w nim jednak także topielcza złośliwość tej treści, że nie tylko on, ale i inni koledzy apolliniści muszą się ugiąć pod ciężarem takiego przeznaczenia, a on jest przynajmniej w tym od nich wyższy, że poznaje swój los; o tę wyższość nawet chodzi tu przede wszystkim, bo w głębi duszy poeta ów właściwie w to swoje paradoksalne twierdzenie nie wierzy i wie, że i publiczność na serio jej nie weźmie. Jeszcze w gimnazjum odczuwałem paradoksalność historii o węźle gordyjskim [węzeł gordyjski: przen. skomplikowany problem, trudna do rozwiązania sprawa; wyrażenie nawiązuje do podania, według którego Aleksander Macedoński rozciął mieczem kunstowny węzeł zawiązany przez Gordiosa I, ojca Midasa, syna Frygii; według przepowiedni wyroczni człowiek, który by rozplątał węzeł, miał zostać panem Frygii lub całej Azji; red. WL]; cóż bowiem za bohaterstwo, jakaż energia ma się okazywać w tym, że Aleksander Wielki węzeł ten rozciął, a nie rozwiązał? Takich Aleksandrów jest pod dostatkiem, a ja chłosczę ich właśnie teraz, właśnie tym tu ustępem, jednym z najpożyteczniejszych w całej *Patubie*. Ale nie idzie tylko o paradoks, bo w ogóle każde zestawienie w wyobraźni, wywołujące silniejszy, niespodziany ruch umysłowy, lubi kraść dla siebie atmosferkę pojęcia przyczynowości i stroić się w nią. Są więc dowody z porównania, z aforyzmu, z wyobraźni, z rymu, z okropności, z dziwaczności itd. Weźmy dowody z porównania (symetryczności). (Hebbel mówi: „Porównania mają siłę nie tylko objaśniającą, ale i udowadniająca”). Taki dowód powstanie, gdy np. napiszę, że ten a ten dekadent-alkoholista ma styl zygzakowaty, pijany, zataczający się. Nb. można by temu powiedzeniu nadać dodatkowo rację, wykręcając rzecz tak, że kto dużo pije, ten cierpi na stale zamroczenie umysłu, a wskutek tego i styl jego jest niejako pijany; ale to już będzie doszukiwanie motywów. Taki sam krytyk, który się zdobył na powyższe „trafne” i „piękne” powiedzenie, mógłby w ten sposób odezwać się o *Patubie*: zwyczajem jest, że gdy się buduje dom, stawia się rusztowanie, ale gdy już dom skończony, wtedy się rusztowanie burzy, ty zaś, autorze, dajesz nam i dom, i rusztowanie: po co? Co nas twoje rusztowanie obchodzi? Na co nam wiedzieć, co ty sobie o czymś tam myślisz! My chcemy tylko domu, my chcemy arcydzieła, wrażeń estetycznych, a to, to nie jest sztuka... Jeden z moich znajomych, w którym kochała się brzydka panna, udowadniał jej w listach, że jej zewnętrzna brzydota stoi w związku, a nawet jest dowodem jej brzydoty duchowej. Baby wiejskie, chcąc leczyć niemoc męską, szukają pewnej rośliny, której korzenie kształtem są do njad podobne. Indianie jedzą serce walecznego wroga, aby posiadać jego odwagę. Pewien obłąkany, który miał niejasne poczucie swej choroby, zabijał swych towarzyszy w szpitalu i jadł ich mózgi, mniemając, że w ten sposób wzmoże swoją inteligencję i odzyska zdrowie. Dwa ostatnie przykłady zaczerpnięte są z dzieła H. Stracka [Strack, Hermann (1848–1922), niem. protestancki teolog i orientalista] pt. *Krew w wierze i przesądach ludzkości*. Z obfitego materiału przykładowego zawartego w tym dziele nasuwa mi się ten wniosek, że wszędzie i zawsze ludzie niewykształceni pozostawali pod sugestią myśli, iż różne części i wydzieliny ciała ludzkiego posiadają moc już to leczniczą, już to czarodziejską, a ta sugestia była jeszcze silniejsza, gdy celem pozyskania tych rzekomo nadprzyrodzonych środków trzeba się było uciekać do czynności okrutnych, wstrętnych, nienaturalnych, uroczystych lub dziwacznych (obwarowanych np. pewnymi terminami lub szczegółami). A więc chwytają w czary krew tryskającą z kadłuba świętego skazańca, kąpią się w krwi niemowląt lub dziewic, którą uważają za środek kosmetyczny, zakopują kości ludzkie pod fundamentami domu, z tłuszczu trupów sporządzają świece złodziejskie, przy których świetle rzekomo nikt w okradanym domu ruszyć się nie może, uciętym palcem trupa pukają w ząb bolący, mielią zęby trupów i tak uzyskany proszek sypią do tabaki swych wrogów. Ręka trupa 5-letniego dziecka ma otwierać wszystkie zamki; krew kota, zrzuconego z wieży we środę drugiego tygodnia postu, leczy wiele chorób; proszek z dwóch żab suszonych, zmieszany z czerwonym winem i krwią ludzką, tamuje krew; chorey na wodną puchlinę puszcza sobie krew z prawego ramienia, zamyka ją w skorupie wyszczonego jaja i zakopuje to w gnoju; dziewczyna pluje potajemnie w kufel swego narzeczonego, by sobie zapewnić jego miłość; morderca zjada wątroby swych ofiar w przekonaniu, że w ten sposób zabezpieczy się od wyrzutów sumienia; chłopci chorzy na przypadłości weneryczne dopuszczają się zbrodni przeciw moralności na nieletnich dziewczętach, aby się uleczyć; pewien rosyjski żołnierz rozkazuje swemu towarzyszowi, by go zabił, krwią pokropił miejsce, w którym miał być jakiś skarb ukryty, a potem kopał za skarbem: wtedy znajdzie obok złota i żelazną sztabkę, którą go znowu wskrzesi do życia; inny fantasta morduje ciężarne kobiety i zjada serca nieurodzonych niemowląt, wierząc, że gdy 9 takich serc nieurodzonych skonsumuje, urosną mu

Strumiński przeżył już swoją awanturę erotyczną, nie przyciągała go więc odwrotna strona medalu, zwierciadło grzechu nie kusiło go do grzechu, ale wessał w siebie teorię i dobijał nią to, czego mu jeszcze nie zożydziły Ola i nowe jego zachcianki. Bał się wprawdzie, że charakteru jego nie można już naprawić, ale na wypadek, gdyby tak było niestety, zamierzał przybrać przynajmniej pozór, że jest innym, wstydić się i żyć ze swoim „garbem psychicznym” wśród ludzi *incognito*. Przede wszystkim zniechęcił niby sztukę, a zwłaszcza jej adeptów, zrobił z niej kopcuszkę swojej fantazji, usunął „zgangrenowaną” lekturę, a wziął się do książek naukowych: anatomicznych, fizykalnych, botanicznych, śmiertelnie nudnych, w których — to trzeba mu przyznać — rozcinał kartki. Potem wziął się badać, czy nie jest zwyrodniałym, neurastenikiem. Albowiem, jak cała ta epoka, wierzył teraz święcie w fizjologię, lekceważąc wpływy psychiczne wychowania i wyjątkowych stosunków. Wprawdzie nie mógł, niestety, orzec, że jest zdegenerowanym, pochodził bowiem z rodziców prostaków, którym nic nie miał do zarzucenia, ale może degeneracja Strumińskich przerzuciła się na niego? Może się upodobnił do Roberta? Aha, tu byłoby sedno rzeczy. Poszedł do jednego lekarza, ten powiedział, że pacjent zdrowy, lecz to Strumińskiego nie zadowoliło; poszedł do drugiego, który, wysłuchawszy historii jego różnych istniejących i urojonych dolegliwości, osądził, że pacjent ma „nadszargane nerwy”. Strumiński brał więc różne kąpiele, tusze, nasiady, czytywał pisma humorystyczne, aby się nauczyć wesołości, śpiewał fałszywie razem z żoną, grał z nią w *lawn-tennis*, urządzał wyprawy łódką po rzece, wreszcie powrócił do kowalstwa, założył sobie warsztat i kuł żelazo, póki gorące. Ten „gruby” sport gniewał jego żonę, która, ignorując nowe zasady męża, widziała w jego kowalstwie tylko powrót do plebejuszostwa (on sam wywoływał to żartami) lub dziką ekstrawagancję. „Nie dotykaj mnie zawałanymi rękami — taką masz twarz zamurdzaną jak jaki chłop”. A tymczasem Strumiński rychło przeszedł do bawienia się różnymi sztucznymi zamkami, które na złość żonie posprawił w całym domu, naprawiał zegar antyk, badając z satysfakcją jego ciekawy mechanizm — czuł, że w ten sposób przecież popada w jakiś dawny nałóg, ale dał już sobie pokój. Dużo mówił o skarłowaciałości pokolenia, gdy wznosił toasty, to dla idei: *mens sana in corpore sano*<sup>108</sup>. Aby nic nie mieć w sobie subtelnego, złożonego, wziął się kochać żonę jako „prawdziwą kobietę”, prostą, nie sztuczną, cenił jej zdrowy rozum, pytał o rady, popisывał się nią przed sąsiadami. Zastosował do niej tempo swego życia, wmawiał w siebie, że ona go uratowała, że jej charakter, lubo<sup>109</sup> nie tak skomplikowany jak jego, ma „wrodzoną” wyższość moralną. Może głowa do pozłoty — chociaż w towarzystwie omal jej nie poznawał, tak była sprytną i dowcipną — ale serce złote, a serce grunt.

W taki sposób powoli dokonywał się w jego umyśle ten sam zwrot, który równocześnie dokonywał się na całym niemal terenie umysłowości polskiej: zwrot od jednego

Dusza, Ciało, Rozum,  
Moda

skrzydła i będzie mógł latać w powietrzu. Zwykle czytelnik, gdy czyta takie przykłady, zwraca uwagę tylko na ich sensacyjną, anegdotyczną stronę, która go interesuje, przyciąga i odpycha lub mierzy zarazem, nasyciwszy zaś swą pierwszą ciekawość, ciekawość brutalną, dalej już o nich nie myśli. Mało kto zauważy, że we wszystkich owych przykładach zaznaczają się rudymenta jakiejś logiki, co prawda gwałtownej, pełnej skoków fantastycznych, tworzącej *dowody z okropności i dziwaczności*. Ale już w przykładach, które zaraz przytoczę, logika ta podnosi się na wyższy stopień i staje niejako na dwóch nogach, szukając podobieństw i symbolów, próbując nawet korzystać z poszlak fizjologicznych. Więc rany, wrzody, piegi, brodawki, miejsca sparaliżowane gładzi się lewą ręką zmarłego, w przekonaniu, że i one umrą (jakby ta ręka posiadała w sobie siłę zabijającą, jakiś fluid śmiertelny). W Dalmacji zawierają mężczyźni przyjaźń z sobą w ten sposób, że puszczają sobie z palców krew i wzajemnie ją sobie wysysają. W siedmiogrodzkiej Saksonii mężatki, chcąc sobie zapewnić wierność mężów, zakopują włosy trupa i własne *menses* [tj. materiał składający się z krwi i szczątek komórek z macicy, które usuwane są podczas menstruacji; red. WL] w miejscu, gdzie mąż zwykł pozbywać się moczu. Symboliczną logiką kierował się pewien chłop bawarski, który przed 7 laty wykopał trupa świeżo zmarłego dziecięcia i wyjął mu jedno oko, wierząc, że odtąd będzie mógł wszędzie chodzić niewidzialnie i wszystkich okradać. (Oko trupie — oczy ludzi żywych — niewidzialność). Dobijanie się o krzesło nieszczęśliwego gracza-samobójcy w Monte Carlo polega już na paradoksie. Głęboka wiara ludzi w skuteczność tego rodzaju dziwacznych środków, wiara tak zakorzeniona, że przeszła nawet do poważnych książek lekarskich, każe przypuszczać, że ma się tu do czynienia z pewnością z pewnościami zamienionymi w wewnętrzne halucynacje. Ale jeżeli w powyższych wypadkach błędy myślowe są dla nas naozycznymi dlatego, że są to fakty krwawe i straszne, nie zważa się na mnóstwo takich samych błędów myślowych, które mają skutki niekrwawe, ba nawet piękne i poetyczne (np. palingeneza), a stanowią do dziś repertuar wielu nawet wykształconych umysłów. Bo czy Huron zjada serce odważnego misjonarza, czy sławny krytyk wywodzi zygakowatość czyjegoś stylu ze skłonności autora do alkoholu, schemat psychologiczny myślenia jest ten sam. [przypis autorski]

<sup>108</sup>*mens sana in corpore sano* (łac.) — w zdrowym ciele zdrowy duch. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*lubo* (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

dualizmu do drugiego<sup>110</sup>. Mianowicie od dualizmu, który polegał na jaskrawym przeciwstawianiu materii i ducha na korzyść ducha — do dualizmu, który dzieli zjawiska duszy ludzkiej na dwie odmienne dziedziny: na mądre, pierwotne uczucie i głupi, pochodny rozum. Pierwszy nazwałbym dualizmem romantycznym, drugi modernistycznym.

W tych wszystkich metamorfozach Strumieńskiego była pewna przesada, konstruowanie, ciągle wpuszczanie przez furtkę innych „głupich” myśli, ale się tym nie zrażał. Wszakże minął jego wiek „burzy i pędu”, kwiat odkwitł — a po kwiecie musi nastąpić pożyteczny owoc. Zaczął więc brać udział w takich „czynach”, jakie mu jego otoczenie i stosunki podsuwały, przekonał się jednak szybko, że nie odegra tu wcale wybitnej roli. Jeszcze od starego Strumieńskiego nauczył się był dbać tylko o siebie, nie mieszać się do niczego i unikać pokus do wmieszania się. Teraz mniemał, że nowe życie rozpocznie. Ale ani rusz nie mógł znaleźć węzła między tym, do czego dążyli współcześni działacze, a tym, co jego dotąd zajmowało. Wszystko tu było trudne, ciężkie, nieobliczalne, a w praktyce koślawe, pospolite i nudne. Wreszcie pozycja majątkowa, zaciekłość w paradoksach, stosunki towarzyskie i ciężenie ku życiu wygodnemu, pełnemu tylko pozornej pracy, wprowadziły go do obozu konserwatywnego. Bo wynosząc czyn i siłę na tron w przeciwieństwie do nieproduktywnej myśli, zwalono wówczas osiwiłe bożki rewolucyjne: równość i wolność, a z rupieci wyszukano sobie i zrehabilitowano ideę czystej rasy, ideę arystokratyzmu, jako reprezentanta siły<sup>111</sup>. Od teorii Nietzschego szły coraz szersze koła współśrodkowe, myśli jego kierował każdy na swój młyn, przekręcał, a to, co dostawało się do Strumieńskiego, przeszło już przez kilkanaście głów. Wprawdzie przeszkadzało mu to, że sam nie był potomkiem szlacheckiego rodu ani nawet bękartem, no ale o tym już ludzie zapomnieli, zresztą mógł sobie uważać za jeden z tych świeżych soków, którymi się zasila stara, dobra rasa. Wskutek tych zapatrywań Strumieński traktował arystokratyzm

Pozycja społeczna,  
Szlachcic, Obyczaj

<sup>110</sup>zwrot od jednego dualizmu do drugiego — [Komentarz autora z *Uwag.*] Temu przesunięciu się dualizmów wcale nie przypisuję znaczenia ewolucji ideowej; jest to tylko zmiana tematu rozmowy na rynku literackim, rozmowy, którą nie kierują najtęższe głowy. Są tzw. ewolucje umysłowe, które są nimi tylko dla tłumów. Dualistyczny szablon: „rozum-uczucie”, dziś u nas modny i dla wielu wygodny, jest w literaturze starym wynalazkiem. W epoce Goethego nazywał się: „naiwnością-sentymentalnością”. A jeszcze Hebbel na jednym miejscu w swych pismach skarży się: „(...) ten rozum, którym to się dziś tak skwapliwie pomiatą, chociaż go nigdzie nie ma za dużo”. Widocznie pół wieku temu grasowały na świecie takie same banalności jak teraz, bo wszystkie tego rodzaju „idee” wciąż czekają u stołu i raz jedna, raz druga karmi się uwagą ludzi. W *Patubie* nie idzie mi o dokładne pod względem historycznym określenie fluktuacji prądów umysłowych w Polsce, ale o punkty zetknięcia się ich z niższymi szablonami krążącymi tymczasem u dołu między ludźmi. Zresztą oficjalną historię tych prądów umysłowych u nas trudno nawet napisać, bo musi ona wciąż iść zygzakami, a posługiwać się insynuacją. Oto chaotyczna próbka. Schopenhauer (źródło ogólne, ale z patriotyzmu przemilczane) postawił dualizm: intelekt-wola, przyznając intelektowi piękniejszą rolę; lecz już Nietzsche obrócił kota ogonem. Ale Nietzsche podobno miał krew słowiańską w żyłach, Niecki, szlachcic: aha, więc nasz styl, styl, i tu skok do Krasieńskiego, Słowackiego. Równoległe na wzór Francji przełamanie nauki, realizmu, pary i elektryczności: wiat fantazja, uczucie, pierwotność! Przybyszewski uczuwała kobiece zabobony, filologia biblijna kwitnie, jest i skok do Rousseau’a: Niemcewicz, K. Tetmajer (*Słońce*), W. Tetmajer kombinuje nadczłowieka z ludowością, Kisielewski wydrwiwa psychologiczne pocenia się Ibsena i wielbi wielką prostą sztukę Japończyków itd. Ale modernizm nie może wypowiedzieć ostatniego słowa i wyperswadować, że jest właściwie siłą (Szczepański, Staff), już go przekrzyżowali inni, hasło: „hajże na cywilizację!”, w imię którego modernizm zwyciężył, okazuje się obosiecznym, obraca się przeciw tzw. dekadentom. Ktoś zaczyna sobie przypominać, że to w domu umarłego dzieją się takie orgie, Wypiański pluje w pysk nastrojom litość swoją, wszyscy przychodzimy z radością do przekonania, że jesteśmy zgnili: Gustaw-Konrad, Kordian, Anty-Hamlet, Cyrano, Zawisza Czarny. Zbierzchowski wita wschód słońca i modli się o siłę, Nowaczyński w *Mieczyku kawiarnianym* robi tajemny rachunek sumienia i uchyla głowę przed naszościami. Irzykowski... cóż to? Recydywa kierunku pozytywizmu! Reakcja! Ależ to są zapatrywania przedwcześnie: ignorant... Tę bajkę urągającą chronologii można kilka razy inaczej opowiedzieć, bo każdy pisarz ma po kilka twarzy. Pierwotniaki, siłacze, subtelniaczki, górale, bramini: maskarada; wszystko niby spontaniczne, a wszystko ma w tajemnej ostatniej instancji korzenie, tj. filozoficzne uzasadnienie gdzieś za granicą. Mieszać się do tych sporów nie śni mi się tak samo, jak by mi się nie śniło mieszać do sporu dzieci, z których jedno utrzymuje, że oś ziemską zrobiona jest z drzewa, a drugie, że ze złota. Moim zdaniem, ci, którzy bronią różnych mód modernistycznych, i ci, co je zwalczają, właściwie zgadzają się z sobą, bo mają te same orientacje; podobnie jak np. Polacy, hakatyści i Rusini stoją teraz na tym samym poziomie orientacyjnym w kwestii narodowości i rasy. [przypis autorski]

<sup>111</sup>ideę arystokratyzmu, jako reprezentanta siły — [Komentarz autora z *Uwag.*] Ciekawe to, że np. [w rozdziale I, we fragmencie: „Robert (...) siebie samego zaś miał za »naturę arystokratyczną«, delikatną, trochę chorą”] występuje arystokratyzm jako słabość, u Strumieńskiego zaś mamy wahania: chcąc dostosować się do szablonu zdrowotnego, uważa, że zdegenerowanie Strumieńskich może się przerzuciło na niego ([rozdział VIII: „(...) pochodził bowiem z rodziców prostaków, którym nic nie miał do zarzucenia, ale może degeneracja Strumieńskich przerzuciła się na niego?”]), potem zaś uważa tę samą rodzinę za dobrą, starą rasę ([rozdz. VIII: „mógł siebie uważać za jeden z tych świeżych soków, którymi się zasila stara, dobra rasa”). W jednym i drugim razie zawadza mu to, że nie jest ich synem. [przypis autorski]

podobnie jak Mariusze: nalewał go do naczynia, z którego on się już dawno wylał. Nie robił wprawdzie głupstw: nie przyklepał swego herbu na liberii stangretów, nie mówił po francusku z żoną i dziećmi ani nie gromadził portretów ni oręży pradziadów. Ale za to np. w stosunku do służby naśladował na małą skalę feudalnego pana, dając jej w miarę zasług domki i małe grunta; w mowie swojej starał się unikać wyrażen szorstkich i prostackich, owszem, udawał, że jest lakonicznym i że nigdy się nie gniewa, grał jednak często rolę nieobliczalnego tyрана; zachowywał uprzejmą wyższość w stosunkach z sąsiadami dorobkiewiczami — jednym słowem, robił w imieniu arystokracji wiele dobrych rzeczy, do których go skłaniała własna natura lub stosunki.

Konserwatyzm wabił go jednak nie tyle w znaczeniu politycznym, to znaczy, o ile u nas łączył się z arystokratyzmem, co w znaczeniu umysłowym. Oto jeszcze wspólnie z Robertem zaraził się on ideami liberalnymi, rewolucyjnymi, nie uznawał nikogo i nic za święte, dochodził nawet do lekkiej kokieterii z tzw. złem. Teraz więc, gdy pracował nad uzdrowieniem swojej duszy, obrał sobie przeciwny biegun, ale tu wmieszały się jeszcze inne pobudki. Naprzód sugestia pewnego szablonu: sądził, że ostatecznie wszyscy rewolucjoniści kończą na konserwatyzmie i że to jest naturalna ewolucja ludzkiego umysłu, otóż kierując się ambicją, zapragnął od razu, już w tak młodym wieku, zastosować się do tego fałszywego szablonu. Po wtóre: z daleka przedstawiali mu się konserwatyści jako jakiś umówiony, uświadomiony w swych zaprzeczeniach słuszności i prawdy cech — cech, który się porozumiewa ze sobą w ogłupianiu świata. Naturalnie wielu z jego znajomych obywateli pojmowało rzecz po prostu, w dobrej wierze, lecz musieli przecież być i tacy, jakich on sobie wymyślił, za takiego uważał np. obłudnego Truskawskiego, którego wybór na posła popierał i któremu przypisywał pewien machiawelizm.

Takiej to kombinacji zwolennikiem był Strumieński, ale na zewnątrz nie działał się dużo. Wszedł w różne przygotowane już dla każdego formy czynności, nie próbując ich rozprześć, np. przystąpił do różnych stowarzyszeń. Z oryginalnego repertuaru próbowano tam podówczas tylko związku sąsiedzkiego, którego programem miała być akcja w kierunku wywłaszczenia Żydów, posyłanie sobie wzajemne robotników, regulowanie ich płacy, wzajemna kontrola gospodarstw itd. Założenie towarzystwa speliło na niczym, bo nikt nie myślał o jakiejś czynności na serio, była tylko okazja do zebrań, do gremialnego pochlebiania sobie, wygłaszania mówek i toastów: „Kochajmy się”. Obradowano też nad potrzebą sprowadzenia ruchu ludowego na zdrowe tory — była to narada myszy, chcących kotu uwiązać dzwonek do szyi. Tylko Strumieński przedwcześnie uwikłał się, ratując zbankrutowanego pana X., reprezentanta jowialności, „jednego z ostatnich”.

Ponieważ interesuje mnie głównie historia jednego tylko kompleksu w umyśle Strumieńskiego (dotyczącego Angeliki), przeto nie będę się wdawał w te różne odgałęzienia jego psychiki, z których każde wymagałoby osobnego aparatu analitycznego. Podam tylko dla zaokrąglenia (w życiu nie ma zaokrągleń) niektóre zmiany, a raczej zawody, w które popadł Strumieński wskutek obranego kierunku życia. Zmiany te odbywały się w ciągu kilku lat i wpływały — łączyły się z innymi równoległymi wypadkami, które potem opiszę, gdyż nie zależy mi na utrzymaniu chronologicznej ścisłości. Najmniej bolały go zawody teoretyczne, bo przecież w jego nowych teoriach było i tak wiele świadomego zmyślenia. Poznał np., że aby być konserwatystą, nie trzeba mieć doktryn, ale odpowiedni „charakter” (trudno się posunąć poza to słowo); nie zapatrywanie, ale charakter rozstrzyga. Widział takich, którzy wyznając idee oparte na postępie szli instynktownie konserwatyzmowi bardziej na rękę niż on; np. Przetocki, który ujadął na cały obóz zacońców, a w chwilach rozstrzygających milczał i robił to, co oni. Strumieński, usiłując oprzeć na podstawach świadomych to, co z natury swej jest ślepe i nieświadome, działał nie wstecznie, ale nawet rozjaśniająco, tak że stryj Mariusz, który rzeczy brał po prostu, z pewną słusznością zwał go radykałem. Naturalnie wszystko to rozgrywało się przeważnie w rozmowach między liniami czynów, a nie w czynach, bo czyny bywają głównie wynikiem różnych zewnętrznych musów i zwyczajów. Strumieński rozczarował się nawet na owym Truskawskim, do którego przywiązywał zrazu pewne nadzieje, bo Truskawski miał w głowie znowu inny ćwieczek: był oportunistą. W tym rozczarowaniu się odegrała też rolę mała osobista uraza intelektualna: Strumieński podsunął mu jakąś zdaniem swoim ważną myśl, którą tamten źle przyjął. Wesola to musiała być dysputa dwóch głów zawikłanych, przywiązyjących do nazw absolutne znaczenie, zwalczających siebie wzajemnie

Polityka

własnymi upiorami. W ogóle jednak wszyscy ci ludzie, którym Strumieński narzucał się na sojusznika, byli to *beati possidentes*<sup>112</sup>, niewybredni w dialektycznych pozorach, bo mało zagrożeni.

Mniejsza jednak o to — ciekawsze to, że Strumieński na swoich nowych sympatiach stracił parę tysięcy. Albowiem wspomniany powyżej program związku obywatelskiego, mającego funkcjonować stale, był wymyślony z okazji bankructwa p. X. — i w sposób niedomówiony — do użytku tego pana; dlatego też nie przyszedł do skutku, bo każdy, wiedząc, o co idzie, wykręcił się. Głównymmacherem<sup>113</sup> był Truskawski. Gdy przyszło do licytacji majątności p. X., Strumieński stanął do niej z wadium<sup>114</sup>, aby podbijać cenę, przyrzeczono mu bowiem święcie, że w najgorszym wypadku wkrótce znajdzie się kupiec, który majątek nabędzie z wolnej ręki. Tak uwięził Strumieński wadium, a otrzymał kulę u nogi. Prawdopodobnie miał prawo skarżyć X-a za oszustwo, ale sprawę jakoś załagodzono, gdyż ostatecznie X. obalił licytację. Jednakże ludzie, niechętni Strumieńskiemu, mieli teraz pretekst do zarzucania mu, że jest skąpym awanturnikiem, który swą połowiczną pomocą pomieszał X-om szyki. Strumieński zaś upatrywał w tym zajściu intrygę oszukańczą, która rozpoczęła się już w chwili inicjowania owego związku, ale mylił się, bo nie znał psychologicznej techniki wypadków. Wprawdzie istotnie nadużyto jego zaufania o tyle świadomie, że majątek Strumieńskiego uważano za dojną krowę, za *male parta*<sup>115</sup>, którymi powinno się teraz ratować uczciwych ludzi, i np. nie przy tej, ale przy innej sposobności podsunęto mu myśl, by w gronie najszlachetniejszych obywateli zrobił rewizję życia swego ojca, zlikwidował folwarki odkupione tak tanio od bohaterów i przeznaczył je na cele dobra publicznego. Ale zresztą wszystko szło tak, że obaj ci obywatele, X. i Truskawski, mieli na zawołanie dowody najlepszej wiary, i to nawet przed swymi własnymi sumieniami. Ten moment rzekomej dobrej wiary i przygotowywania sobie zawczasu rzetelnych motywów powtarza się w historiach wielu oszustw. Pozory dobre i złe cudownie splatają się z sobą, a potem u widzów wywołują wręcz przeciwne osądy, dlatego bo tzw. zło zawsze jeszcze ludzie wyobrażają sobie jak akt szczerzej decyzji, na sposób Franciszka ze Zbójców, Jagona lub Ryszarda III<sup>116</sup>, zamiast widzieć, jak ono już przy swym urodzeniu się, wiedzione instynktem samozachowawczym, wchodzi w chemiczne połączenia z pierwiastkami „dobra”, od których sobie maski pożycza. W powyższym przykładzie nawet jeszcze głębiej pójść można. Oto rzecz miała się tak, że Strumieński właściwie nie miał o co mieć żalu do tych, co go oszukali, on sam bowiem w tym pomagał. Przeczuwał on, że go X-owie „naciągną”, że tych pieniędzy już nie odbije, mimo to lał w niebezpieczeństwo, obliczając nieświadomie, że ile straci materialnie, tyle zyska moralnie: bo poniżej X-ów, zmusi ich do rumienienia się przed nim, będzie miał prawo do ich wdzięczności, do ingerencji w ich majątku, opłaci także niejako okup od swego dziedzictwa, a zarazem wkupi się, on, intruz, w „ich” stan, gdy sobie wzajemnie nie będą mieli nic do wyrzucenia, i na wszystkich punktach nastanie wzajemna tolerancja. Ale i to dodać trzeba, że Truskawski odgadł te motywy Strumieńskiego — nie przez psychologiczną intuicję lub badanie, ale przez czysto złośliwą insynuację — i mówiąc o nich z X-em, uspokajał skrupułki jowialnego bankruta.

<sup>112</sup>*beati possidentes* (łac.) — szczęśliwi posiadacze. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*macher* — oszust, kombinator. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*wadium* — kwota składana do rąk osoby rozpisującej przetarg lub wpłacana do depozytu sądowego jako gwarancja, że oferent nie zmieni ani nie wycofa złożonej oferty. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*male parta* (łac.) — źle nabyte. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*tzw. zło (...) ludzie wyobrażają sobie jak akt szczerzej decyzji, na sposób Franciszka ze Zbójców, Jagona lub Ryszarda III* — [Komentarz autora z *Uwag.*] Schopenhauer w *Maksymach* (sub [pod numerem] 29) między innymi tak pisze: „Natura nie postępuje tak jak poci-partacze, którzy, mając przedstawić głupca lub łotra, biorą się do tego tak niezgrabnie, że niejako za każdą osobą widzi się autora, który ich zamysły i słowa wciąż dementuje i ostrzegającym głosem woła: »To jest łotr, to jest głupiec; nie wierzcie temu, co on mówi«. Przeciwnie, natura robi tak, jak Szekspir lub Goethe, w których dziełach każda osoba, choćby nawet szatan, ma słuszość, póki jest na scenie i przemawia; ponieważ skreślona jest tak obiektywnie, że mimo woli wciąga nas w koło swoich zamiarów i myśli i zmusza do sympatii; ponieważ tak jak wszystkie dzieła natury jest ona rozwinięciem pewnego wewnętrznego pierwiastka, wskutek czego jej czyny i słowa są naturalne, a więc i konieczne”. Tę prawdę powinno by się właściwie znać powszechnie i dziś nie ma takich poetów, o jakich tu Schopenhauer mówi. A jednak w potocznym życiu szafuje się ogólnikami: głupiec, idiota, łajdak, szuja itp. tak bezwzględnie i z takim przekonaniem, że dzieje się to chyba albo z lenistwa, albo dla własnego dobrobytu intelektualnego (patrz uwagę do [słów „do zwyczaju należało (...) pokpiwać sobie z arystokracji rodowej” w rozdziale VI]). [przypis autorski]

Ola i jej stryj, rządcą w Wilczy, również mylili się co do komedii Strumieńskiego, mianowicie co do jego komedij konserwatywnych. Stryj zwłaszcza, człowiek gwałtowny i rubaszny, obdarzony wielkim wzrostem i siłą, nazywał rzecz po imieniu. Już od dawna między nim a Strumieńskim były spory o przewagę w gospodarstwie. Mariusz był zarozumiały na swoje znanstwo, a jeszcze bardziej na swoją energię, chciał wszystko „wziąć za łeb”, uważał to za punkt honoru — była to jego fiksacja, jego ćwieczek, komedia jego charakteru. Ten „prostoduszny” człowiek uważał za swój obowiązek krytykować i ganić wszystko, co zarządził Strumieński, i niby to nie narzucał się ze swoją radą. Gdy Strumieński próbował być wobec niego twardym, groził stryj, że sobie pójdzie, wiedząc dobrze, że Ola, jego faworytka, do tego nie dopuści. Wkrótce stryj rozpanoszył się na swoim folwarku, tak że nie można było ruszyć go stamtąd. Ignorował Strumieńskiego, lekceważył go, za plecami tytułował go „jego chamska mość”, wynalazł dlań niby to dowcipny przydomek: „pacholeń hetmańskie” (z Pola) i starał się ten przydomek rozpowszechniać, odgrażał się nawet czynnymi obelgami: „W proch zetrę tego chłystka”, „Na kobiercu mu, panie tego, wlepię pół tuzina (tuzin, sto — liczba stosownie do okoliczności i humoru) bizunów”. Jak już powiedziałem, Ola ujmowała się za mężem, ale wnet działo się to tak, jakby się tylko za nim do stryja wstawiała, prosiła; jeżeli zaś w rozmowach swoich solidaryzowała się ze Strumieńskim, to zwykle w ten sposób: „Po coś to zrobił, jak można było być tak nieostrożnym i sprowadzać tu stryja, nie miałeś względu na swoje dzieci (nb. których wówczas jeszcze nie było)!”. Gdy w Oli odzywały się skrupuły wdzięczności, stryj uspokajał ją takim wytłumaczeniem: „Zachciało się chamowi panienki z pierwszego domu, palił się do niej, wkręcał się w nasze łaski, a potem, gdy mu ją dano, tak się dureń ucieszył, że, że... no i nie zrobił głupio! bo co by się tu stało beze mnie! zmarniałoby wszystko! On ze swoją starożytną orką! W takie ręce dostał się ten majątek!”. A gdy trzeba było silniejszych atutów, udowadniał Mariusz, że Włosek wkradł się w łaski starego Adama Strumieńskiego i wysadził Mariuszów z siodła, zanim zdołali się porozumieć z tym starym wariatem.

Aby Strumieńskiego upokarzać, pokazać mu, jaką to on jest zakałą rodu, mówił przed nim o znakomitych koligacjach rodziny Strumieńskich, o przodkach, ich czynach dawnych, o herbie; robił to umyślnie i złośliwie, chociaż przypisywano mu naturę zupełnie niezłożoną, prostą, ale pocziwą, i uważano go za weredyka<sup>117</sup> pierwszej wody, który „rznął prawdę prosto z mosta”. Jednakże pocziwość była zaletą, którą jako cechę rzekomo koniecznie uzupełniającą sugestionowała drastyczność jego obejścia się, rubasność wyrażań, jeżeli zaś zdarzyło się, że stryj od czasu do czasu spełnił coś dobrego, to właśnie kupował sobie tym sposobem prawo do rubasności i do złego. Te „proste” natury zawierają w sobie więcej skrytek, niż się zwykle przypuszcza; już by się też zdało zrobić raz z nimi porządek!

Że i Ola, o tyle, o ile jej wypadalo, należała do obozu stryja, tłumaczy się także tym, że lubiła go bardzo od dziecka, on zaś, wyzyskując to, niby ochraniał ją przed Strumieńskim, pytał: „Jak się ten pacholek z tobą obchodzi?”, udzielał jej rad i wskazówek, z którymi Ola kryła się przed mężem ostentacyjnie. Był to odwet za to, że Strumieński czasem dawał jej uczuć, iż uważa ją tylko za swą metresę, co znowu z jego strony było odwetem za jej twierdzenie, że jest żoną, a nie kochanką, za jej lgnięcie do stryja, wreszcie za to, że Ola zdawała się zupełnie nie troszczyć o jego konserwatywno-arystokratyczną zmianę frontu i uważała go po dawnemu tylko za eks-plebejusza (coś nowego niełatwo przyjmował jej umysł). Nieuwaga Oli w tym względzie bolała go tym bardziej, że uważał ją za instynktowną znawczynię wytworności, cenił jej smak i takt; Strumieński bowiem, jak wiadomo, był przystępny dla wielu przesądów. Raz przyszło między nimi do kłótni — z tego powodu, lecz nb. z innej okazji. Strumieński, czując się bezsilnym, z udanym spokojem rzucił na ziemię wagę japońską, którą Ola niedawno kupiła w Warszawie, na to zaś Ola porwała naprawiony dopiero co przezeń zegar antyk i potłukła go, a przy tym oblała męża szczerym potokiem mimowiednych szczeroci („naturlautów”), przeważnie obelg używanych przez stryja. Strumieński zauważył, że nieraz jeszcze będzie wazy rozbijał, aby się prawdy dowiedzieć, ale że obelgi Oli wcale nie były w smaku wybredne ani instynktowo arystokratyczne, tego nie zauważył.

<sup>117</sup>weredyk — osoba mówiąca prawdę bez względu na konsekwencje. [przypis edytorski]

Gdy Strumiński uwikłał się w aferę z X-em, stryj miał znowu sposobność do udowodnienia: „Jaki to marnotrawca, jaki to głupi człowiek, dał się oszukać temu X-owi!”. A z X-em żył w przyjaźni! Może być, że wobec takich powiedzeń Strumiński wołał swoją nieostrożność (tylko? patrz s. 76/77<sup>118</sup>) upozorować jako dobrowolną ofiarę i dla konsekwencji nie wytaczał X-owi procesu. Mariusz miał pogardę dla chłopstwa dochodzącą do szaleństwa: znęcał się nad swoimi parobkami, bił ich po twarzy, szturkał palicą, jednym słowem, był panem starej daty. Obici chcieli się mścić, zaczajali się kupkami na Mariusza, który, korzystając z tego, jeszcze bardziej się zaciekał, postawił cały swój dom na stopie wojennej, uzbroił służbę, urządzał obławy na nieprzyjaciół. Wznosił jakiś błahy spór z gminą o granicę, robił awantury, a gdy Strumiński krzywił się na to i mówił, że dla błahego zysku nie trzeba się narażać, stryj udrapował się w ideę i dał mu do poznania, że nie zna widocznie wartości tej świętej ziemi, którą przodkowie przekazali do strzeżenia. Na stronie: gdzie tam taki, co się wyrwał sroce spod ogona, będzie dbał o ziemię ojców. (A folwark był, jak wiadomo, kupiony). Doszło do takich pogroźek, że i Strumiński musiał chodzić z bronią, co także na niego ściągnęło nienawiść. Pewnej nocy spłonął dom stryja i gumna<sup>119</sup> ze zbożem. Nie ulegało wątpliwości, że go podpalono, lecz sprawcy nie wykryto. Stryj z własnego kapitaliku pobudował się i teraz Strumińskiemu jeszcze trudniej było wykurzyć go, bo stryj bił w to, że włożył tu swoje pieniądze, ma więc prawo, a taki wyrzutek w rodzinie chce go wyrzucić itd. Uwziął się na wieczną dzierżawę, sprowadził syna i zasiedział się.

Jedynym człowiekiem, z którym Strumiński mógł jako tako przyjemnie obcować, był ksiądz Huk, wikary z pobliskiego miasteczka, dawny kolega Strumińskiego. Prowadzili z sobą dysputy religijne, dawali sobie różne dzieła do czytania, aby siebie wzajemnie przekonać, i w końcu polubili się. Ksiądz był synem cieśli, afiszował się z tym dość głośno, mówiąc, że wszystko sam sobie zawdzięcza, a Strumińskiemu wyrzucał, że udaje arystokratę, że wstydzi się swego pochodzenia, choć będąc z ludu powinien iść do ludu, a nie pchać się między panów itp. A więc, jak widzimy, ksiądz ów brał na serio tego rodzaju „zapatrywania” Strumińskiego, zacietrzewiał się razem z nim w rozmowach, naturalnie nie przeczuwając nawet, że w praktyce zapatrywania te wciąż się zamywały i przeinaczały. Dbał o zapatrywania Strumińskiego, a więc o to, co w jego duszy było na wystawie, nie o duszę samą i jej szczęście. Jego namowom i wskazówkom zawdzięczał Strumiński rozmaite dobrodziejstwa, jakie wyświadczał mieszkańcom okolicznym, chociaż spełniał je z pewną dozą, a raczej pozą lekceważenia i niewiary. Żeby jawnie wyrazić swe nowe przekonania, rozpoczął Strumiński nawet budowę kościoła dla wsi. Wikarego zrazu bardzo to zdziwiło, zwłaszcza gdy widział, że Strumiński sam pilnie zajmuje się architekturą kościoła i jego wewnętrznym ozdobieniem, które wypadło w duchu pietyzmu i skupienia religijnego. Osądził więc ksiądz: „To jest już moja dusza, chociaż sama siebie nie rozumie i przybiera inną szatę”. I postanowił być takim, jak ks. Myriel z *Nędzników* Wiktora Hugo. Nie próżno Strumiński w dzieciństwie służył u księży i sam msze odprawiał; teraz zaś przypominała mu ten dawny nastrój lektura niektórych Ojców Kościoła, pełna dytyrambicznymi zachwyty, wyrażonych rozlewnym stylem, stylem ludzi-ascetów, którzy pisali dla pławienia się w jednym uczuciu, a nie dla czytelników. Zresztą w fakcie, że Strumiński budował kościół, nie było nic dziwnego, gdyż kosztą budowy opędzano nie z jego własnych funduszy, ale z funduszy przekazanych osobnym legatem Adama Strumińskiego. Legat ten, mający najpewniej jakieś znaczenie ekspiacyjne, zapisany był na jakikolwiek cel dobroczynny lub religijny, który oznaczy generalny spadkobierca. Otóż rozporządzenie spadkobiercy, odnoszące się do legatu, przypadło jakoś właśnie na ten czas, w którym stryj zaczął się na nowo pobudowywać — niemało też było z tego powodu nowych kwasów, gdyż stryj żądał, żeby legat tymczasem zużyć na cel konkretniejszy i bliższy, tj. na domy na folwarku, a Strumiński

Pan, Chłop, Wojna,  
Szlachcic, Własność,  
Rodzina

Ksiądz, Pozycja społeczna,  
Chłop

<sup>118</sup>nieostrożność (tylko? patrz s. 76/77) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment rozdziału IV: „A nie szło jej tylko o zewnętrzną stronę sprawy, tj. o to, by Strumiński nie wstydził się jej przed światem, lecz i o to, że jak sądziła, z pewną ujmą dla męża, jej kunszt malarski jest główną podstawą ich stosunku, a zarazem rękopismą miłości Strumińskiego (...) które dumnie nazywała przeciętnymi i tak nienawidziła, jak one ją”. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>gumno — budynek, w którym składane było zboże przed wymłóceniem. [przypis edytorski]

stanowczo oparł się temu, oświadczając, że chce wypełnić ostatnią wolę swego ojca. To dało stryjowi nową sposobność do wydobywania różnych kompromitujących szczegółów z przeszłości zmarłego Adama Strumieńskiego. Ola wreszcie musiała lawirować między uczuciem dla stryja a rozwijającym się w niej załóżkiem dewocji, który Strumieński pielęgnował z pewną pieczołowitością godną lepszej sprawy — cieszył się on bowiem, że bodaj w ten sposób może na nią oddziaływać i mieć z nią przecież jakiś wspólny teren, w guście bardziej kontemplacyjnym.

Ale w końcu nawet na owym księdzu zawiódł się Strumieński. Ksiądz, dysputując, nie umiał szanować w nim przeciwnika, nie umiał stanąć razem z nim na punkcie zero, traktował jego argumenty z arogancką pobłażliwością i zawsze twierdził w końcu, że Strumieński właściwie jest już przekonany, tylko z uporu i ambicji nie chce tego przyznać. Nie mógł wiedzieć, że Strumieński chce mieć w nim tylko surogat tego obcowania duchowego, które utracił wraz z Angeliką, którego nie mógł mieć z Olą. W końcu uwziął się ksiądz nakłaniać Strumieńskiego, by się przed nim spowiadał, i narzucał się z tym bardzo niezręcznie, imputując Strumieńskiemu z góry grzechy, których tenże albo nie miał, albo które w całkiem inny sposób oceniał i odczuwał. Mieli dysputę o grzechach, w której Strumieński stanął na stanowisku dość podobnym do zasłyszanej od Gasztolda doktryny o obojętności piękna i brzydoty w sztuce, w odwet zaś za natarczywe zaczepki księdza, zrazu, niby pod pozorem wyznań spowiedziowych, wybadywał go o rzeczy erotyczne, natrzęsał się z jego naiwności na tym polu, udawał cynika, namawiał go do stosunków z kobietami, malując mu niedozwolone rozkosze w artystycznych, ponętnych barwach. Wskutek tego ksiądz zirytował się, zbeszał Strumieńskiego i na pewien czas odsunął się odeń, ale się potem pogodzili i dość dobrze żyli ze sobą.

Impet Strumieńskiego na polu „czynów” osłabł dość wcześnie. Odkrył w sobie różne głupie ambicjki, zobaczył, jak mu się zdawało, olbrzymie trudności zorientowania się w pracach społecznych, trudności, których inni dlatego się nie bali, bo ich nie widzieli, stwierdzał na każdym kroku chaos zasad, mały zakres tego, co zdziałać można, wreszcie brak łączności między tym „coś”, co w nim podobno było, a tym, co się wydarzało na najkrzykliwszych pobożowskich życia. Odczuł także, chociaż na małą skalę, że nie tyle idzie o zewnętrzne niebezpieczeństwa, powodzenia i dobrobyty, co o zawikłania wśród najbliższych sobie ludzi, bo te go najwięcej interesowały i przejmowały. „Odczuł” — bo określać, to ja sam określam za niego. Wśród zastoju swych najlepszych spraw psychicznych uregulował sobie pewien *modus vivendi*<sup>120</sup>, maszynowo już oddawał się pewnym zajęciom obywatelskim, w które włączył. Straciwszy istotny impet, nie miał siły otrząsnąć się z narzuconych mu stosunków, lecz z przyzwyczajenia łątał życie dalej, żeby zaś zatrzcę ową łataninę w swych czynach, wymyślił sobie rodzaj oportunistycznego, potem nawet przybrał sobie dobrze brzmiącą nazwę „artysty życia”.

Był to więc — mówiąc popularnie, czyli bardzo źle — ciasny samolub o widnokręgach spodniczkowych, pasożyt społeczny itd. Chciał być innym, ale zrobił fiasko.

Najwidoczniej rodzą się takie niepotrzebne indywidua na świecie — powiedział lis, patrząc na ryby pływające w rzece.

## IX. O PUNKTACH WSTYDLIWYCH I O GARDEROBIE DUSZY (KONTRABANDZIE)

Będę jeszcze potem mówił w osobnym rozdziale o dalszych przejściach Strumieńskiego z Olą, tu z tych przejść wyjmę jeden epizod.

W odwiedzinach do Oli przyjechała jej kuzynka z Warszawy, młoda wdówka, pani Mosorowa. Była to kokietka w rodzaju tych, które się nazywają zepsutymi, pełna werwy a umiejąca wzbudzić zaufanie kobiet takich jak Ola. Nie tylko cały dom bardziej się ożywił wskutek jej przybycia, ale także stosunek Oli do Strumieńskiego, w którym był już zastój, znowu zróżniczkował się trochę przez ten nowy czynnik. Jako wdowa miała pani Mosorowa pretensję do grubego doświadczenia, które jej też Ola przyznawała, robiąc przed nią coraz szersze zwierzenia. Zrazu naturalnie była mowa o mężczyznach niby w ogólności, mimo że obie kobiety miały na myśli tylko tych mężczyzn, których najbliżej poznały, więc Ola Strumieńskiego. Mówiono, iż każdy mężczyzna to samiec, że po ślubie każda

<sup>120</sup>*modus vivendi* (łac.) — sposób życia. [przypis edytorski]



kobieta się zawodzi, zamiast miłości ma tylko szal zmysłowy itd. Kuzynka poddawała, Ola chwyciła jej nomenklaturę i brnęła w tych niby to ogólnikowych wyznaniach coraz dalej. Potem przyszło i do wynurzeń szczegółowych. Gdyby Olę w ogóle można było popsuć, byłaby to Mossorowa uczyniła prędzej niż Strumieński.

Wyznania Oli wzbudziły w kuzynce zainteresowanie dla jej męża i chęć urzędzenia tu małżeńskiego trójkąta. Torowała sobie do Strumieńskiego drogę za pomocą niby to niewinnych zaczepek, a wiedząc, że znają ją jako osóbkę śmiałą i że jako typowej ciepłej wdówce wiele jej wypada, nadużywała dość świadomie swego temperamentu, przesadzając w jego objawach wobec Strumieńskiego. Strumieński odsuwał ją z pewnego rodzaju powieściową powagą, krzyżował jej ułatwienia, omijał sposobności, wstrzymywał wyznania. Sprawiało mu to przyjemność, że może kobiecie dokuczyć, chciał także przez okazywanie swej stałości działać na Olę.

Natomiast Mossorowa powiedziała Oli: „Ja ci pokażę, że on może być niewiernym, pokażę”. Ola była ciekawa, co się stanie. Nagadała ona swej kuzynce dużo na Strumieńskiego, oczerniła go, powiedziała jej różne swoje trzeźwe zapatrywania o nim, ale był pewien kącik sercowy, w którym ona sama zaprzeczała tym oszczerstwom i męża przecież kochała. Wskutek umizgów Mossorowej widziała w nim znowu uroki, przez nią znów jej się podobał, czuła, że chociaż wdówka gra niby komedię, ale gra ją z zanadto wielkim zapalem, była więc zazdrosną. Ale stało się tak, że wygadała się przed kuzynką prawie naumyślnie o sprawie Angeliki w ogólnych zarysach, w aluzjach Mossorowej poznał to Strumieński i odtąd trudniej mu już było korzystać ze względów wdówki. Mimo tego przeszkadzającego manewru Ola właściwie nie stała teraz po stronie męża, co miało po części źródło i w tym, że kuzynka, mszcząc się na Strumieńskim, zasiewała w niej ziarno powrotu do Gasztolda.

Strumieński byłby może chętniej nagiął się do życzeń Mossorowej, gdyby zachowywała się nie tak zaczepnie; wolałby uwodzić, niż być uwiedzionym, bo nawet w tego rodzaju stosunku chciał choćby jakiegoś surogatu miłości, ułatwiającego ludzenie samego siebie, tu zaś widział, że Mossorowej idzie głównie o zadowolenie swej ambicji. Nie ufał jej zresztą, miał ją w podejrzeniu, że w rozstrzygającej chwili się cofnie, a on będzie skompromitowany przed nią i przed żoną. Przeczował, że może między obiema kobietami jest jakaś umowa co do wypróbowania go — nie wiedział, że takie umowy zostawiają dość miejsca dla akcji wprost przeciwnej. Podejrzał także, że Mossorowa ma jakieś konszachty z Gasztoldem, i nie chciał pić z tego samego źródła, z którego się może tamten nasycił, wiedząc zaś o miłości Gasztolda do Oli, domyślał się, że może Gasztold ma jeszcze jakieś nadzieje i chce Olę właśnie przez tę panią wybać. Słowem, ułożył sobie obraz jakiejś intrygi i postanowił nie dawać Oli pożądanego może przez nią pretekstu do zwrócenia swych myśli w stronę Gasztolda, a lekceważenia męża, postanowił wytrwać, a przed żoną udać, że czyni to nie dla niej, lecz dla Angeliki. Oprócz obrazu owej intrygi oraz potrzeby konsekwencji czynów wobec Mossorowej grała tu także rolę pewna zaboronna, ale musowa obawa, której myślność sam poznawał: że jeżeli dopuści się zdrady, wtedy Ola przez mgłę to odczuje i będzie miała prawo odplacać mu tym samym. Panował więc nad sobą, unikał wahania się, udawał niezłomnego. Głównie jednak obawiał się tego, że przez zadanie się z Mossorową popsuje się coś w dotychczasowej jego pozycji między oboma biegunami: Angeliką i Olą, że w sercu jego powstaną nowe komplikacje, bo znał siebie pod tym względem — a on, tak jak lubił kąpać się, czysto ubierać, porządnie prowadzić swoje rachunki — tak samo chciał, żeby akta sercowe sprawy Angeliki były jasne i czyste, bez takich kartek, które by trzeba może wydierać lub zamazywać. To by się zresztą dla pani Mossorowej nie oplaciło, bo nie była dlań sympatyczną. A więc — że się tak wyrażę — z próżniactwa zignorował jej pokusy, a na prośby swego zmysłowego „ja”, że zmiana płciowej strawy byłaby pożądaną, odpowiedział, że to wszystko jedno, z kim zadowala niższe kategorie swych uczuć, że rozmaitość w obrębie pewnych rzeczy jest tak małą, iż nie warto dla niej nadweręzać ustalonego spokoju (por. s. 91<sup>121</sup>).

<sup>121</sup>nie warto dla niej nadweręzać ustalonego spokoju (por. s. 91) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnej stronie znajduje się akapit z rozdz. V zaczynający się od słów: „Mocą kontrastu, porwany wstrętem do swoich poprzednich myśli, jął teraz sam zwolnywać cały szereg wspomnień o Angélice (...)”. [przypis edytorski]

Zdarzyło się raz, że podczas jakiegoś bankietu Mossorowa trochę więcej wina wypila i stała się w zachowaniu się swoim wobec Strumieńskiego więcej niż zwykle wyzywającą. Chciała mu pokazać miejsce pod sercem, w które, jak ją pouczono, trafia się kula, by popełnić samobójstwo, ale Strumieński powiedziawszy, że nie zna się na artylerii (bez-sensowny koncept), odepchnął ją chłodno, a potem opowiedział cały fakt żonie. Wywołał przez to następujący kłębek sprzeczności: „Takich rzeczy żonie się nie mówi; cóż to, czy nie potrafisz sam siebie upilnować, i jak możesz rzucać taką potwarz na moją kuzynkę, ona z tobą żartowała tylko, ja to bardzo dobrze uważam”. Kto umie czytać między liniami zdarzeń, ten przyzna, że to solidaryzowanie się Oli z Mossorową wygląda tak, jakby jej szło o poniżenie Strumieńskiego, o ściągnięcie go z pewnego piedestału. Tak energia zazdrości przepłynęła u Oli w coś całkiem przeciwnego.

Przy odjeździe spytała Mossorowa Strumieńskiego: „Czy mam jeszcze przyjechać?”. Na co on najprzód odrzekł z kurtuazją: „Ależ i owszem, prosimy!”. Ale potem ten jeden raz z pewną szczerością, pokrytą szyderstwem, dodał: „Jak mi się stęskni za panią, to proszę przyjechać”. W gruncie rzeczy bowiem miał wyrzuty sumienia egoizmu (i egoizm ma swoje sumienie), że tak lekkomyślnie, dla chimery, nie korzystał ze względów ponętnej pani. Po jej wyjeździe marzyło mu się trochę o niej. Pobyt jej bądź co bądź spulchnił w nim grunt, na którym wyrosła potem roślina niewierności. Powoli przyzwyczajał się do tej myśli, bo chociaż w jego mózgu były różne niepoprzebijane ścianki, chociaż miał umysł nieco powolny i dość długo wytrzymywał w jednym stadium, jednak był zarazem dość śmiały, żeby się zdobyć na stadium inne, względnie wyższe. Na razie wszakże to obcowanie z praktyczną możliwością posiadania innej kobiety niż Angelika i Ola, z możliwością szukania rozkoszy poza sferą ustaloną przez tyloletnie marzenia, rozkołysało jego duszę w kierunku rzewnych myśli o Angelice<sup>122</sup>, dało mu nastrój liryczny, tj. taki, w którym najchętniej zanurzają się pragnienia unikające jeszcze światła dziennego.

Tak tedy w idei problem wierności Strumieńskiego był już właściwie rozstrzygnięty, w praktyce stało się to dopiero o wiele później. Na pozór powinno być inaczej. W małżeństwie często dzieje się tak, że po różnych wahaniach w górę i w dół temperatura zatrzymuje się wreszcie przy jakimś obojętnym punkcie. Wówczas jedna strona, w tym wypadku żona, przestaje dla drugiej być czymś w rodzaju problemu, zastępczynią nieznaną części świata, lecz zaczyna należeć do *status quo ante*<sup>123</sup>, staje się tylko członkiem rodziny, takim jak ojciec, matka, brat, siostra i reszta, a wtedy mąż pod pewnym względem właściwie znowu jest kawalerem i zdarza się też, że stosownie do tego prowadzi życie. Że tak się ze Strumieńskim nie stało, to było przede wszystkim skutkiem braku odpowiednich mediów w pobliżu; postanawiał wprawdzie kiedyś ich szukać, lecz ten obowiązek egoizmu odkładał na czas późniejszy. Tymczasem jego siły psychiczne ugrzęzły zupełnie w użeraniu się ze stryjem i w ogóle w tych starciach, które powstają w stosunkach między mężczyznami, a czasem są jeszcze ciekawsze niż komplikacje miłosne. Ale na wyczerpanie spraw z tej nowej dziedziny trzeba by chyba poświęcić osobny ustęp, w którym opisałbym wysoki stopień przejęcia się Strumieńskiego tymi sprawami, jego myśli o naturze ludzkiej, sprawiedliwości i krzywdzie, odważanie drobiazgów na szali tych myśli, wytwarzanie się różnych przejściowych „zadań” jego życia i porzucanie ich, oddziaływanie tego wszystkiego na jego poglądy erotyczne. „Miłość” rozpadła się na swoje części składowe (popęd, ambicja, potrzeba twórczości, ciekawość psychologiczna, energia w regulowaniu swego stosunku do innych ludzi itd.), z których każda z osobna gdzie indziej miała zaspokojenie.

Ciekawa i na pozór nieprawdopodobna formacja zazdrości u Oli, a dalej główny sekret wierności Strumieńskiego skłaniają mnie jeszcze do innej dygresji. Najpierw zauważam, jak znaczną rolę mają w życiu punkty wstydlive<sup>124</sup>, to znaczy motywy na pozór drobne

<sup>122</sup>rozkołysało jego duszę w kierunku rzewnych myśli o Angelice — [Komentarz autora z *Uwag*.] Podobne objawy psychiczne: „A razem z naturalizmem miłosnym ukazał się skutek podobieństwa wyrażności także spłot ostatnich wspomnień” (rozdział V); „to wrażenie właśnie, przyspieszające tempo jego wyobraźni, wzbudzało wnet silne wspomnienia o Angelice” (rozdz. VI); red. WL]. Por. także „wstrząsają się pewne połączenia myślowe, skutek czego myśli się całkiem niezależnie od myśli nasuniętych przez gości, myśli się o swoich myślach” (rozdz. XVIII); red. WL]. [przypis autorski]

<sup>123</sup>*status quo ante* (łac.) — poprzedni stan rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*punkty wstydlive* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Najlepsze przykłady na punkt wstydlivy mamy, śledząc, jak w historii Strumieńskiego przewija się i powraca od czasu do czasu nitka zachcianek artystycznych, np. już

Sumienie, Egoizm

Małżeństwo, Miłość,  
Rodzina, Mąż, Żona,  
Zdrada

Miłość

Małżeństwo, Zdrada

i sztubackie, którym się nie chce przypisywać znaczenia dlatego, ponieważ wydają się być niegodnymi poziomu sprawy. I tak np. Strumieński mógłby się, jak mi nie mam, dość łatwo przyznać do wszystkich motywów swej wierności — tylko nie do tego, co określiłem mniej więcej jako pedanterię sercową, bo to wydałoby mu się śmiesznym, dziecinnym. Tak samo wstydziłby się on przyznać np. do tego, że w chwilach, w których zamierzał skorzystać z umizgów Mossorowej, kierowała nim w znacznej mierze chęć przekonania jej, że i on jest mężem postępowym, który swą żonę zdradzić potrafi bez skrępowań! Nie ubliżałoby mu jednak przyznać się, że go „natura” uniosła. Tęgo samego rodzaju śmieszna ambicja wstrzymała go jednak potem od romansu na dobre — gdyż nie chciał dać Mossorowej powodu do powiedzenia, że ona jego uwiodła, i wołał swojemu początkowemu wahaniu się nadać *ex post*<sup>125</sup> piętno wyższej, lepszej, uświadomionej stałości. Do wszystkich takich motywów nie przyznałby się Strumieński, bo one wydawałyby mu się — jak powiedziałem — niższymi od tego poziomu, który chciał reprezentować. Moim zdaniem jednak, takie „wstydlive” motywy są nieraz bardziej żywiołowymi niż te, które jako wybitnie żywiołowe (np. natura go uniosła) wyrobiły już sobie prawo obywatelstwa w literaturze i w myślach ludzkich.

Druga uwaga dotyczy podobnej sprawy, ale rozważanej z innego stanowiska. Garderobą duszy nazywam miejsce, w którym się kryją wół świadome, wół musowe myśli

Zło, Dobro, Czyn

[w rozdziale II] (żeby nie być posądzonym o naśladownictwo...), dalej [w rozdziale VI: „był zły, że wskutek jego obecności nie może się przed nią popisać swym dyletanckim znanstwem w rzeczach sztuki”], bardzo wyraźnie zaś [w rozdziale IV: „przyjęli go (...) jako materiał na nowego mecenasa sztuki. Strumieński właściwie byłby wołał zostać jej adeptem, byłby wołał próbować tych studiów, (...) do których czuł się bardziej powołanym niż zarozumialec Robert. Ale majątek i odziedziczone nowe »obowiązki« (...) uwalniały go poniekąd od obowiązku zostania dobrym malarzem”]. Por. także [rozdział V: „doczepienie byle jakiego uścisku do łańcucha brylantowych uścisków Angeliki popsuloby mu całą estetykę smutku, byłoby oczywistym nonsensem. To głównie wpłynęło z wewnątrz na jego decyzję, żeby być wstrzemięźliwym”], [tamże: „odczuwał coś podobnego do trwogi, i to nieokreślonej. Nieokreślonej? Czyżby dlatego, że nie chciał się przed samą sobą przyznać, iż ta trwoga dotyczy Angeliki? Bałżeby się zobaczyć może jej ducha?”], [„Ale nie przyznałby się przed sobą, że prostackie powiedzenie: »on zwariował« otwarło przed nim (nie nad nim) znowu nowy świat, nowy rzewny ideał”] (ambicja przyczyną powtórných prób), [rozdział VII: „Udowadniał, że gdyby jej nie kochał, to by jej się nawet nie ośmielił zaproponować tak dyskretnie pięknej komedii, lecz właśnie ma zaufanie do Oli i wierzy, że ona to robi”], [rozdział VIII: „Myślał: »Co sobie ludzie myślą, którzy ze mną mówią?« i wstydził się. Nieraz sam przed nimi poruszał swoją drażliwą kwestię, przekreślał ją, zacierał, odejmował jej wagę. Czymże to było wobec nieszczyść narodowych i społecznych!”, [tamże: „W tym rozczarowaniu się odegrała też rolę mała osobista uraza intelektualna: Strumieński podsunął mu jakąś zdaniem swoim ważną myśl, którą tamten źle przyjął” itd.], [rozdział XX: „ale najbardziej tajemniczą okolicznością było to, że Strumieński zazdrościł Pawłkowi swego własnego wychowania i własnej troskliwości”]. Aby jednak dać popularne wyobrażenie, o co mi idzie, przytoczę przykłady z potocznego życia: dzieci, gdy stając przed ojcem w dniu jego imienin zapominają w połowie powinszowania. Konkurent, gdy zaproszony na kolację w domu swej przyszłej je cokolwiek za dużo lub ze zbyt wielkim apetytem. Scena, która, pomysłana przez dramaturga bardzo tragicznie, w świetle kinkietów wywołuje śmieszne wrażenie. Chwila wyjmowania chusteczki do nosa podczas płaczu. Po zgonie kogoś bliskiego, gdy się siada do stołu i niby to nie ma się apetytu, a przecież się je. Autor *Patuby*, który w obawie podejrzeń o naśladownictwo i wpływy nie wie, czy się przeciw nim zastrzec i przytoczyć dowody swej oryginalności, czy tę sprawę pominąć. Panna, o której ktoś np. mówi, że ona nie rozumie rzeczy dwuznacznych, wstydzi się, że ją poczytać można za zanadto „porządną”, a więc za trochę głupią. Ktoś, co w pierwszym napadzie szlachetności wzbrania się przyjąć wynagrodzenia za przysługę, a za chwilę żałuje tego i rad by chwycić za tę rękę, którą nagrodził chowa pieniądze do kieszeni. Dwoje młodych ludzi, mających się ku sobie, przechadza się w dzień wiosenny po trótarzu; wtem zbliża się przekupień fiolków i natrętnie naprasza się ze swym towarem, spekulując na rycerskość dzentelmena. Gdy małżonkowie w dniu obchodu swego srebrnego wesela kłócą się ze sobą. Uczucia, jakich doznaje ten, którego się chwali: gdy obawia się pić tę pochwałę, podejrzewa szczerłość chwającego, nie chciałby narazić się na zarzut nieskromności i wstydzi się wybuchnąć zwierzęcym objawem zarozumiałości, choćby dlatego, żeby nie spłoszyć chwającego itd. Oprócz „punktu wstydlivego” i „garderoby duszy” zwracam w *Patubie* uwagę jeszcze na trzeci kształt stanów, a raczej momentów psychicznych, który nazywam punktem fałszywym. Wszystkie trzy stany właściwie zrastają się z sobą, przepływają w siebie, więc też na ściśle odróżnianie ich nie kładę nacisku. Jeden znamieny przykład punktu fałszywego podałem [w rozdziale V („dobry geniusz Strumieńskiego... kazał mu zaguszać szeptem dawnych myśli wynajdywaniem coraz to innych potrzebnych czynności zewnętrznych”)]. Punkt fałszywy jest to świadome albo zwykle nieświadome zamilczenie prawdy, uchylenie pierwiastka pałubicznego, wyminięcie tego, co jest dla naszego dobrobytu intelektualnego w pewnej chwili niewygodnym. Np. [rozdział V: „przy wszystkich niemal dotychczasowych eksperymentach Strumieński, mimo nadzwyczajnej wytrwałości i zdecydowania na wszystko, nie mógł się ustrzec od tego, żeby w pewnych tajemniczych chwilach, rozstrzygających o losie eksperymentu a szybkich jak błyskawica, nie hamować rozpędzonego wehikułu”] (kwestia sumienia). Kwestia punktu fałszywego poruszona jest już w *Snach Marii Dunin* w sposób alegoryczny, tylko że słowa „przemysłownik, przemycanie” użyte są tam w dodatnim znaczeniu, to w *Patubie* przemycaniem nazywa się właśnie ta konieczność, która się odbywa pod opieką niewidzialnego B.W.D. [przypis autorski]

<sup>125</sup>*ex post* (łac.) — po fakcie. [przypis edytorski]

z dziedzin kompromitujących, zanim się przebiorą w szatę, w której mogą już pokazać się światu — w tzw. płaszczyk. Np. ślepa niechęć Oli do Strumieńskiego, wywołana jego powodzeniem u Mossorowej (zazdrość?), przerzucona w uprawniony na pozór okolicznościami wyrzut: „Na co mi mówisz o tym brudzie? Po co ją spotwarzasz?”. Wskutek fałszywych nauk etycznych ludzie w sposób zabobonny prawie boją się przyznawać do myśli, zachcianek i podszeptów egoistycznych, których by się właściwie wstydić nie potrzebowali, ponieważ są to przeważnie myśli musowe, wynik niezależnego od nas mechanizmu poddającego nam pewne gotowe już wyobrażenia i myśli. A chociaż religia mówi, że mimowolnymi myślami nikt nie grzeszy, ludzie nie lubią patrzeć śmiało w ten tajemny alembik<sup>126</sup>, nie lubią odkrywać i wypowiadać tego, co się tam odbywa, lecz prześlizgują się ponad nim — a tymczasem owa „zła” myśl przerzuca, przemyca się, przybiera sobie do pomocy jakąś formę szlachetną i tak się przecież na świat wydostaje. Dlatego to jest tylu złych ludzi, a prawie nikt do złego przyznać się nie chce, dlatego jest tyle ważnych spraw spornych między ludźmi, które usuwają się spod kompetencji zwykłych sądów, a badane mogłyby być chyba przez jakieś utopijne trybunały psychologiczne. Z jakim nakładem świadomości odbywa się to zaspokajanie swego egoizmu krętymi drogami, to by była ważna kwestia, w której tkwi nawet moment etyczny.

Przykładów na owe utajone procesy myślowe dostarcza dosyć cała *Patuba*, a w życiu od nich się roi. Jeżeli np. ktoś mnie pokrzywdził, a ja wkrótce potem mimo to daję sowitszą jałmużnę ubogiemu, wówczas naddatek jest zemstą w celu powiększenia wyrządzonej mi krzywdy: tym bardziej staję się pokrzywdzonym, im jestem litościwszym. Panna znajdująca się w pobliżu znanego uwodziciela objawia w sposób jaskrawy swą antypatię do niego: dość przejrzysta „komedia” w celu zwrócenia na siebie uwagi i poddania uwodzicielowi chęci zdobycia owej nienawidzącej za pomocą uczciwego zakochania się (ale przy tym i żal z powodu trudności zapanowania nad uwodzicielem). Jeśli jednak potem ta osoba przecież „padnie ofiarą”, stanie się to właściwie albo wskutek ślepego naśladownictwa nawet bez większego popędu, czyli wskutek nieodporności na sugestię, że się takiemu człowiekowi ulec musi — albo wskutek popędu, którego zaspokojenie może w tym razie liczyć wyjątkowo na niejakię przebaczenie u bliźnich, gdyż można się usprawiedliwić, że się nie zdołało oprzeć jakiemuś tajemniczemu „czemuś”, które posiadał „ów człowiek”. W obu razach jednak te właściwe, chłopskie motywy wybierają sobie w garderobie duszy

Krzywdza, Zemsta, Dar

Miłość

<sup>126</sup>alembik — daw. sprzęt laboratoryjny; szklane a. metalowe naczynie służące do destylacji cieczy. [przypis edytorski]

plaszczyk<sup>127</sup>, czerwone domino<sup>128</sup> — „miłość”, to wygodne pojęcie, które w duszy od razu wprowadza stan wyjątkowy. I wówczas nieszczęśliwa ofiara wpada w ramiona uwdziela z okrzykiem: „Już nie mogę dłużej walczyć z głosem miłości!”, a utrata wianka odbywa się pod pretekstem, że ona go tak kocha, iż nie może mu niczego, nawet tego odmówić. A więc „miłość” gra tu rolę sojusznika przywołanego po to, żeby dał swą firmę; najważniejszym jednak jest to, że z sojusznika robi się współnik, „miłość” staje się szczerą, nieodpartą — kto wie nawet, czy nie przychodzi już jako szczerza i nie wydzwięcza się w tym zakresie, który nazwałem następczym życiem duszy. (Por. *Trio* pod 3<sup>129</sup>). Pani, która przychodzi na zebranie towarzyskie w nadziei, że na nim będzie błyszczeć, tymczasem niespodzianie zjawia się inna osoba, która ją przyćmiewa; wówczas owa jejmość sugeruje sobie ból głowy i odchodzi do domu — z rzeczywistym bólem głowy. Panny bez szans wyjścia za mąż mówią czasem, i po części wierzą w to, że nie mają w sobie powołania do zamęścia lub że dałyby kosza mężczyźnie, który by im się oświadczył, lub że nie wierzą w miłość. Panna zazdrosna o swego domniemanego konkurenta, którego z powodzeniem kokietują jej towarzyski, zarzuca im potem — nie odbieranie jej go, lecz brak wychowania, nieprzyzwoite zachowanie się, brak skromności dziewczęcej itp. Stara panna strzegąca młodej od pokus męskich — czy z bezinteresownego ukochania cnoty? czy z zazdrości? Rodzice, którzy nie pozwalają córce iść za głosem serca, lecz zmuszają ją do zrobienia partii z rozsądku, np. do wyjścia za człowieka starszego, który jest ich

<sup>127</sup>garderoba duszy — [Komentarz autora z *Uwag*.] Przykłady w *Patubie*: postępowanie Oli [w rozdziale VI: „Gasztold poznawał się na mimowolnej taktce sercowej Strumieńskiego i starał się demaskować go przed Ołą, zupełnie jednak bezskutecznie, gdyż Ola właśnie korzystała z tych demaskowań, aby Gasztolda (...) »przestać lubić«”]; kalkiem analogiczny fakt [w rozdziale IX: „solidaryzowanie się Oli z Mossorową wygląda tak, jakby jej szło o poniżenie Strumieńskiego, o ściągnięcie go z pewnego piedestału. Tak energia zazdrości przepłynęła u Oli w coś całkiem przeciwnego”]; najwybitniejszy przykład [w rozdziale XII: „Gasztold (...) Czuł, że w życiu rzeczywistym były jeszcze jakieś inne, dalsze, nieznanne lub bardzo zakłane czynniki, które sprawiały, że ani Ola nie rzucała mu się w ramiona, ani Strumieński nie był takim, jakim go w powieści opisał” itd.] Taktyka Strumieńskiego wobec X-ów [w rozdziale VIII: „Ten moment rzekomej dobrej wiary i przygotowywania sobie zawczasu rzetelnych motywów powtarza się w historiach wielu oszustów” itd.]. Pretekst [w rozdziale VII: „Zgodził się już na wszystko: na wizytę u pp. X-ów i na wyjawienie jej celu swoich tajemnych wycieczek, bo uznał za rzecz samą przez się zrozumiałą, że jej szło także i o to. Więc gdy przechodzili koło muzeum Angeliki (...)” itd.] Przesunięcie się pobudek u Oli [w rozdziale XV: „Zawsze w mężu lubiła pewien patos, o ile był do niej skierowany, teraz (...) myślała nad tą sprawą głębiej. To, że on kochał i ukrywał Angelikę tak długi czas, wywołało jej podziw, poruszyło w niej strunę romantyzmu”] itd. Cały rozdział IX, traktujący o kontrabandzie psychicznej, ma moim zdaniem ogromną doniosłość praktyczną. Zdawałoby się, że mówię rzeczy znane powszechnie. Rzeczywiście chodzi mi o fakty najpospolitsze, najcodzienniejsze, powtarzające się od wieków: lecz podczas gdy bada się ruchy najdalszych gwiazd, wykrywa się cudowne włókienka i gruczolki w organizmie ludzkim, kompleks trzeci, kompleks  $\alpha$ ,  $\beta$ ,  $\gamma$ ... o ile dotyczy spraw międzyludzkich, praktycznych, pozostawiony jest na pastwę najdowolniejszej fuszerki. Ujmijmy od razu wołu za rogi. Istnieje np. we Lwowie pisemko „Monitor”, oparte na doskonałej zasadzie: nie bawi się bowiem w ogólnikową politykę, ale sprawy indywidualizuje, wdziera się w stosunki prywatne, to znaczy w te atomy, z których się buduje życie publiczne. Dobrze; olbrzymie zadanie. Lecz jakież orientacje ma ten wentylator cnót obywatelskich? Te same co ci, których piętnuje, a więc używa obficie nazw takich jak: „zlodziej, oszust, łotr, sprzedawczyk, głupiec...” i posługuje się odpowiednią do tych kategorii metodą śledczą. W połowie wypadków może to nawet wystarczać i być w pewnym stopniu pożyteczne, ale zwykle tego rodzaju ryczałtowe załatwianie się z ludźmi nie dorównuje skomplikowaniu faktów i dlatego bywa płytkim, mylnym, stwarza nowe koło błędów, a co najważniejsza nie przekonywa tych, na których uderza. Nikt nie pozwoli się napiętnować lotrem, skoro czuje, że nim nie jest, bo w ogóle bardzo rzadko przeciętne sumienie człowieka zdolne jest świadomie udźwignąć poczucie popełnionego lotrostwa, zwykle wysnuwa ono ze siebie chronicznie jakiś plaszczyk ochronny, podobnie jak ślimak stale otacza swoje miękkie ciało piękną skorupą. Musiałoby się i tę skorupę rozbić, i wykazać komuś na materiale obiektywnym, że jest takim a takim, należałoby potem zaatakować go od strony subiektywnej, wykurzyć go z jego ostatniego azylu, zniszczyć jego argumenty. A że, jak Holzapfel stara się wykazać we *Wszechideale*, trudności etyczne redukują się już do kwestii techniki pożycia ludzi ze sobą, już to do kwestii wykształcenia, więc moim zdaniem, zbadanie geografii duszy (kompleksu  $\alpha$ ,  $\beta$ ,  $\gamma$ ...) jest tu konieczne. Wreszcie, ponieważ *summum ius summa iniuria* [*summum ius summa iniuria* (łac.): szczyt prawa to szczyt bezprawia; red. WL.] i robiąc z kogoś preparat kryminalny, wyrządza mu się krzywdę bez względu na korzyść tzw. „ogółu”, przeto skalpel powinien zawierać moc leczniczą, badanie samo powinno być kapłaństwem, które by nikogo nie oszczędzało, nawet samego badania. To są wszystko praktyczne utopie, ale chciałem pokazać to, co się znajduje na końcu idealnego przedłużenia linii zawartej w tej sieci rozumowej, którą pokryta jest *Patuba*. Skoro Lutoslowski usiłuje ściągnąć Królestwo Boże na ziemię za pomocą filologii i sentymentalnej szczerości, to ja sądzę, że szczerść bez narzędzi szczerści to nie taka łatwa historia, jak się z zewnątrz wydaje; wiadomość o prawach nim rządzących wejść musi wprawdzie w krew ogółu: i dlatego to może za jakie tysiąc lat *Patuba* naprawdę wyjdzie w szkolnym wydaniu jako próbka psychologii z kamiennej epoki ludzkości. [przypis autorski]

<sup>128</sup>domino — tu: strój karnawałowy. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>Por. *Trio* pod 3 — autor odsyła tu do dalszej części powieści, do punktu 3 w rozdziale XIX pt. *Trio* autora. [przypis edytorski]

dawnym przyjacielem — zwykle wmawiają w siebie i w nią, że czynią tak tylko dla jej dobra, a nie dla dogodzenia swoim planom. Sytuacja to w życiu bardzo pospolita, tyśiąć razy opracowywana w powieściach i dramatach — a mimo to nikomu nie chciało się widzieć tu psychologicznej szacherki i zdemaskować owych rodziców w sposób pokazany tu przeze mnie. Zwykle zarzucało im się wprost ordynarny egoizm, do którego naturalnie oni się przyznać ani nie chcieli, ani nie mogli, albo też święcie wierzyło się w ich szczerę i dobre chęci. Swoją drogą, rodzice, rozporządzając w ten sposób losem córki, mogą mieć w większości wypadków słuszność; lecz jeżeli mają tę słuszność, to tylko w rzeczy samej, nie w motywach. Porównaj co do tego zastrzeżenie wypowiedziane na s. 163<sup>130</sup>. Inny przykład. Dajmy na to, że ktoś kogoś bardzo nie lubi, uważa go za głupca lub łajdaka, lecz wtem zbliża się sytuacja, w której uśmiecha mu się zawarcie z owym człowiekiem jakiegoś sojuszu lub interesu, lub też w której musi go prosić o pieniądze, protekcję, w ogóle jakąś przysługę. Wówczas doznaje się pewną potrzebę szczeroci przy rozpoczynaniu kroków przyjaznych, aby wobec siebie samego nie wyglądać na obłudnika. Przygotowuje się więc w swoich zapatrywaniach zwrot na korzyść tej osoby, myśli swe o niej, ustawione dotychczas w szyku bojowym, szereguje się inaczej, wyszukuje się jej zalety w takiej liczbie i sile, by mogły osłabić żywe jeszcze poczucie obrazu jej wad — tak że w końcu udowadnia się prawie sobie samemu jej inteligencję lub dobroć. Podobnie dzieje się przy słuchaniu niespodzianych pochlebstw od osoby dotychczas lekceważonej i na odwrót: jeżeli jakaś osoba, którą poważamy lub lubimy, gani nas lub sprawia nam przykrość, wkrótce traci nieco w oczach naszych z wewnętrznej wartości. Mówi się nawet wtedy żartobliwie: „Jego akcje poszły u mnie teraz wysoko w górę” lub „spadły”, szkoda tylko, że prawie nikt nie krytykuje tego biuletynu giełdowego. Naturalnie cały ów proces duchowy opisany powyżej odbywa się nieświadomie, lecz kto nie jednoczy się na ślepo z tym, co mu podsuwa mechanizm jego duszy, lecz chwilami podpatruje ją na gorącym uczynku, ten może niejako czuć to dziwne, a pod względem moralnym zatrważające skręcenie w swoich myślach — gdy np. pozostawiwszy splot myśli o jakiejś osobie w ułożeniu niekorzystnym dla niej po kilku godzinach wraca doń i — z pewnym wstrętem nieraz — zastaje go już w ułożeniu innym, korzystnym dla tej osoby, nawet już z gotowymi usprawiedliwieniami.

Przykład na garderobę duszy daje i ateista, który, spadając ze skały, wierzy na chwilę w Boga, aby tylko móc się spodziewać cudownego ocalenia (czy też ocalenia w nagrodę?), np. w formie drzewa, które by zatrzymało nawróconego niedowiarka na miękkich gałęziach. Ażebym mnie jednak nie posądzano o umyślne budowanie przykładów, sięgnę do tego, co mnie samego dotyczy i co, jak każdy przyzna, ma specjalny zapach wypadku wyrwanego z rzeczywistości. Oto, żeby swobodnie przystąpić do ostatecznego opracowania *Patuby*, musiałem na jakiś czas porzucić zajęcie, które było moim źródłem utrzymania, ryzyko jednak przy tym było niewielkie. Jeden z moich znajomych, sytuowany w życiu również dość podrzędnie, wymawiał mi, co robię, dlaczego sobie byt psuję, narażam się na stratę chleba, jednym słowem, odradzał mi skwapliwie. I ja musiałem to przyjąć za dowód dobrego serca, życzliwości, przyjaźni, to, co — właśnie w owej garderobie duszy — było podyktowane przez zazdrość (popularnie powiedziałyby się: zazdrość przez niego przemawia), ten człowiek bowiem nie mógł ścierpieć, że ja chcę być czymś więcej, że się chcę wybić na wierzch, że odważam się zaryzykować, choć nie bardzo, swój byt materialny. Naturalnie ów człowiek przysięgłby na wszystko, co mu święte, że życzył mi jak najlepiej, i może by nawet nie przysięgł fałszywie. Tu chodzi właśnie o ów małeńki moment świadomości, o szczeroci. Jak już zaznaczyłem, można by to pojmować pod moralnym kątem widzenia, ale właściwszy byłby może naukowy. Prawdopodobnie u pewnych ludzi o bardzo nieodpornym umyśle proces w garderobie duszy odbywa się tak prędko i z siłą tak nieprzepartą, że preparat, który wychodzi, przekonuje ich samych, inni natomiast tolerują dość świadomie te szacherki swego umysłu. Wielką rolę gra tu zapewne i instynkt samozachowawczy, który nie dopuszcza, by jakaś kontrabanda umysłowa odbyła się na otwartej scenie świadomości, bo wtedy sumienie, chcąc nie chcąc,

Dusza, Sumienie,  
Przebranie

Zazdrość, Sumienie

Prawda

<sup>130</sup>zastrzeżenie wypowiedziane na s. 163 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnej stronie znajduje się końcówka akapitu z rozdz. VIII: „(...) nie ma autokrytyki i szczerzego śledzenia konszachców między układaniem się wyuczonych słów, frazesów i poglądów a nieświadomym życiem duszy (...)” oraz akapit następny. [przypis edytorski]

z ramienia swego urzędu musiałyby wdać się w tę sprawę, kazałyby człowiekowi przyznać się do „złego” i zrzec się jego pomocy. Więc też ów instynkt ukrywa chwilę przebierania się motywów, ukrywa ją w ciemnych zakamarkach duszy, a sumienie zachowuje się tak, jakby dostało łapówkę (por. s. 176 w. 25 i n.<sup>131</sup>).

Sprawa ta nie należy do zakresu ani psychologii transcendentalnej, ani fizjologicznej, lecz do tej psychologii introspektywnej, praktycznej, którą uprawiali dotąd prawie jedynie poeci. Zadaniem moim jest stopić te ich rozrzucone próby, aby takie śledzenia po omacku, takie zbyt metaforyczne uchwycenia rzeczy, jak i w tym ustępie, zastąpić metodą ściślejszą i bardziej przekonywającą. Należałoby też rozpocząć jakąś kulturę szczerości, aby sobie uświadamiano jak najszerzej własne procesy myślowe i uczono się rozumieć i demaskować różne kłamstwa mniej naoczne, które zamacają stosunki między ludźmi i wyrządzają nieraz wielkie szkody. Nastaną wtedy może nowe formy kłamstewek, bardziej skomplikowane, np. takie, w których szczerość staje się wybiegiem lub w których człowiek zanadto cieszy się własną szczerością i odkrywa w sobie różne podłości, a przecież jest „dobrym”, itd. Ale bądź co bądź wśród takich ludzi żyć przyjemniej i bezpieczniej.

## X. *Tamen usque recurret*<sup>132</sup>?

I w tym rozdziale idzie mi nie o chronologiczny porządek zdarzeń lub o pokazywanie talentu narracyjnego, lecz tylko o psychologiczny przekrój nowego ważnego kompleksu. Jeżeli zaś przy tym szczegóły nie będą się może dość wyraźnie zarysowywały przed wyobraźnią czytelnika, to dlatego, że chcę opowiadać fakty tak, jak się one przedstawiają *a posteriori* dla rozważającej pamięci, nie dla wyobraźni. Mógłbym wprowadzić i ja zaciekawiać, drobić efektami, w pozorowanej obiektywności ukrywać swój sąd, rozwałkować każdą część swego tematu na scenki i rozmówki, zamiast podawać treściwie i sucho to, co właśnie nazwałem psychologicznym przekrojem, a co bym mógł także nazwać esencją tego lub owego zdarzenia. Naturalnie, że zawsze obok takiego streszczenia daję jakąś krótką ilustrację, pisząc: „stało się np. tak a tak”, bo mnie samemu idzie o to, żeby być w ustawicznym zetknięciu z rzeczywistością i co chwila próbować, czy moje streszczenie można zamienić na powrót na fakty — jest to przynajmniej moim dążeniem. I ta moja nudna metoda podawania przekrojów, myślenia przed czytelnikiem, zamiast urządzania przed nim teatru, nie jest wcale tylko dowolnym złamaniem przyjętego zwyczaju, lecz naśladowaniem najzwyklejszej, najnaturalniejszej formy, w jakiej każdy człowiek przedstawia sobie prawdziwe zdarzenia. Proszę wziąć bibliotekę pamiętników i życiorysów i porównać je z powieściami. Tak jak się w przeciętnych powieściach opisuje fakty, tak może się one i dzieją, ale w tej formie nikt zająć swego życia nie pamięta ani rozważa; dopiero w sposób, w jaki się życie układa w rzetelnych i rozumnych pamiętnikach lub autobiografiach, może być dla autora ważną wskazówką, z której należy skorzystać. Otóż i ja często podchwytuję ten ton pamiętnikowy, bo on mi daje pewną gwarancję prawdy, bo on mi daje największy zapach prawdy; wydaje mi się, że ta forma jak magnes przyciągnie najlepszą treść, i dlatego już w wyobraźni urabiam fakty po największej części w perspektywie przeszłości.

Wymieniłem już różne przyczyny, przeważnie zawody, które spowodowały w życiu Strumieńskiego powrotną falę, recydywę ku Angelice. Skryształizowały się zaś one wskutek zasłabnięcia Strumieńskiego. Zdarzyło się bowiem raz, że Strumieński skaleczył się w nogę, przechodząc w nocy obok tacek postawionych na ziemi. Rana była dość silna, a ponieważ znajdowała się niemal w tym samym miejscu, co dawne rany, zadane przez podejrzanego psa, więc Strumieński obawiał się niebezpiecznych komplikacji. Było to,

Prawda, Literat

Choroba, Przemiana

<sup>131</sup>sumienie zachowuje się tak, jakby dostało łapówkę (por. s. 176 w. 25 i n.) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnej stronie znajduje się fragment rozdziału VIII: „Ten moment rzekomej dobrej wiary i przygotowywania sobie zawczasu rzetelnych motywów powtarza się w historiach wielu oszustw. Pozory dobre i złe cudownie splatają się z sobą, a potem u widzów wywołują wręcz przeciwnie osądy, dlatego bo tzw. zło zawsze jeszcze ludzie wyobrażają sobie jak akt szczerzej decyzji, na sposób Franciszka ze Zbójców, Jagona lub Ryszarda III, zamiast widzieć, jak ono już przy swym urodzeniu się, wiedzione instynktem samozachowawczym, wchodzi w chemiczne połączenia z pierwiastkami »dobra«, od których sobie maski pożycza”. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*tamen usque recurret* (łac.) — zawsze powróci; fragm. przysłowia łac. *naturam expellas furca, tamen usque recurret*: choćbyś naturę wypędzał widłami, ona zawsze powróci. [przypis edytorski]

jak sam wiedział, hipochondryczne urojenie, ale nie mógł mu się oprzeć. Rana zaogniła się tak, że była obawa amputacji, lecz wreszcie uleczył ją pewien zdolny chirurg. W tym okresie, gdy Strumieński był przykuty do łóżka, jego myśli dość często odwiedzały krainę śmierci. Zastanawiał się nad marnościami świata, nad fałszami swojej na pozór szczęśliwej doli, nad swym bliskim kalectwem.

Mały Pawełek stał się jedyną istotą, do której się teraz Strumieński naprawdę przywiązywał; na nim zatrzymywały się myśli chorego, a potem rozbiegały się w dal, przepływały w mgły i stapiały się z niewidzialnymi — cieniami. Widok wyrastającego Pawelka wywoływał, niby farbę dopełniającą, niezapomniany obraz Angeliki. Tak to ta sama rana wróciła go Angelice, która przed kilku laty od niej go odcięła. Nie było jednak w tym sprzeczności, gdyż tak teraz, jak i wtedy, szło głównie o zmianę, a nie o kierunek zmiany; cierpienie w obu razach wywarło pewną ogólną sugestię, że z tym fizycznym wypadkiem należy połączyć jakiś ważniejszy wypadek wewnętrzny, cierpienie dało także energię ruchową, a wybór wypadku podsunął egoizm. Swoją drogą, tym razem egoizm leżał zupełnie na linii marzeń.

Cóż w tym czasie robiła Ola? Oto dawała wprawdzie mężowi do poznania, że obawy jego uważa za przesadne, ale pielęgnowała go troskliwie, z pewnym absolutyzmem, drobiazgowością; więcej jej szło o pielęgnowanie niż o niego samego. Ale przecież był on wówczas dla niej sympatyczniejszy: bo był niedołężny, skompromitowany okrzykami bólu i wyznaniem trwogi, zależny od niej, podobny do dziecka, z horyzontem myśli ograniczonym tylko do najprostszych trosk zdrowotnych. Nie domyślała się, że w chorym odbywają się różne kotłowania uczuć, przewroty i powroty, porachunki z życiem, wyzwalania się.

Ona sama zaczęła mieć także swój krąg „wariacki”. Nauczyła się od męża wielu rzeczy, ale przecież jej życie psychiczne nie mogło wejść w jego życie nigdy tak, jak dwie powierzchnie prawie nakrywające się. Przyczyną tego były między innymi różne skoki logiczne, dyktowane jej przez pewną niechęć do Strumieńskiego, którą w sobie wyrobiła. I tak zapominała już, jak to było z jego żądaniem co do Angeliki, albo raczej sfalszowała tę historię w swej pamięci, złudzona jego dalszym zachowaniem się. Gdy np. przypominała mu, że trzeba by coś zrobić z obrazami Angeliki, pokazać je, gdy sama zaczęła ją innym ludziom rozchwalać, Strumieński tamował te jej zapędy obojętnością lub mówił: „Nie mieszaj się do tego”. Jak wiadomo, przebywał on okres, w którym lekcewał artystów (Ola: „Twoja żona była przecież także artystką”). Widziała jego wysiłki, by zostać ideałem porządnego i czynnego hreczkosieja, i wierzyła w nie, zaczęła go uważać za człowieka pospolitego i dziwiła się, jak mogła dawniej patrzeć na niego zupełnie innym wzrokiem. Frazesy o filistrach, których on sam ją nauczył, teraz ona stosowała do niego. Naturalnie nie działo się to w okropnych rozmiarach — mowa tu tylko o tych *ostatnich sądach*, które każdy zachowuje dla siebie (a mimo to tak zupełnie na serio ich nie bierze), a nie o codziennej komitywie, która była zadowalająca. Również historię z kuzynką sfalszowała Ola, twierdząc u siebie, że Strumieński byłby się dopuścił zdrady, gdyby go ona, Ola, nie upilnowała, czy też gdyby się przed nią nie wstydził. Zresztą wszystkie takie przelotne uczucia względem Strumieńskiego były po większej części pretekstami przygotowywanymi na wszelki wypadek. Mimo wspomnianego antagonizmu do Angeliki przejęła od niej Ola idealne wyobrażenia o panieństwie i dziewictwie, lecz używała ich właśnie w tym celu, żeby w duchu kontrastować się z Angeliką i wywyższać siebie, jako kobietę o czystych myślach, nad nią, jako kobietą zepsutą. Męża znowu naśladowała Ola swym stosunkiem do Gasztolda. Zaczęła o Gasztoldzie myśleć więcej, niż należało, ale bo też lata jej miały jednostajnie, troska o dzieci nie była zbyt wielka, a tymczasem ambicja i serce dopominały się nowej strawy. Gasztold wypytywał, dobijał się o nią, starał się ją uwiadomić, jak boleje, miał nadzieję, że kiedyś może poromansuje z mężatką. Pobyt Mossorowej skierował jeszcze bardziej myśli Oli ku Gasztoldowi. Pisała więc w swym pamiętniku panieńskim, że go zrujnowała, że on przez nią zaczął pić, że zmarnował talent — to dogadzało jej ambicji. Pisała: „Zmarnowałam Gasztolda”, lecz nie badała, że to właściwie złe, zdawało jej się, że jego rolą jako mężczyzny jest kochać się i cierpieć, jej zaś rolą jako kobiety jest „zmarnować” go, i tę rolę przyjmowała bez wahania. Na wzór

Choroba, Żona, Mąż,  
Opieka, Władza

Małżeństwo

Kobieta demoniczna,  
Kobieta, Żona, Miłość



innych mężatek miała swój *jardin secret*<sup>133</sup>, w którym kontynuowała niejako swe życie panięskie, a więc i kwestię miłości, „prawdziwej miłości”, rozwijającej się niezależnie od spraw małżeństwa, które dla wielu kobiet jest tym, czym dla mężczyzny objęcie urzędu. Ola robiła te rozpamiętywania raczej z naśladownictwa niż z potrzeby. Strumieński na jakiś czas przytłumił w niej to, co było „*lumen*”, ale potem ono powoli odżyło. Awantury, które wyrabiał Gasztold, pochlebiali jej dumie, duma występowała naturalnie tylko *incognito*, w towarzystwie żalu i głębokiej litości. Wtem przyszła wieść, że Gasztold popełnił zamach samobójczy podobno z powodu nieszczęśliwej miłości (?). To dało zarozumiałym myślom Oli pewną sankcję; uważając Gasztolda za ofiarę, mówiła sobie samej różne nieszkodliwe, a w gruncie rzeczy pochlebne impertynencje: że jest dumną, okrutną, nielitościwą jak głaz kokietką itd. Zasada: „Poznaj siebie samego”, obchodziła tu ironiczny tryumf. Ola pozwoliła i Strumieńskiemu zajrzeć za kulisy (?) swego serca i mówiła o swej skrusze z powodu samobójstwa Gasztolda tak, żeby Strumieński mógł sobie pomyśleć: „Więc dla niej się nawet zabijają (zaraz *pluralis*<sup>134</sup>), nie umiałem cenić tego skarbu!”. Strumieński jednak nie chciał jej zrobić tej przyjemności, bystrość jego zaostrzyła się, i teraz on w odwet zaczął prawić Oli: „Komediantka! A czemuś go nie kochała, czemuś go porzuciła? Tyś go nigdy nie kochała!”. Ola: „I ty to mówisz mnie, swojej żonie, ty go przede mną bronisz, za nim się ujmujesz!?”. Roztrząsali różne szczegóły z przeszłości, demaskowali się wzajemnie, psuli sobie i targali „piękne wspomnienia”, ale ostatecznie, zatruwszy sobie zupę, jedli ją razem dalej, to znaczy: pogodzili się jakoś, bo on był „szlachetnym”, a ona miała „dobre serce”. Coraz bardziej zbliżali się do tego typowego w małżeństwach stanu, który by można nazwać segregacją interesów: osobno sercowe, osobno umysłowe, osobno płciowe itd., jak w pewnych płynach, które, zmieszane razem w jednym naczyniu i wstrząśnięte, po pewnym czasie układają się przeciw siebie w osobne warstwy. Jakkolwiek więc na pozór wszystko się „odstało”, Strumieński za mało już miał wiary w swój stosunek do Oli, uważał go za rodzaj koniecznego złego, które lepiej, że było takie niż inne, za wymierzone zwyczajnym cyrkiem przeciętne szczęście, które mu dał pan los, poznawszy, że dając mu Angelikę, pomylił się w mierze. Tak istniały obok siebie dwie tragikomedie, nierozumiejące się wzajemnie.

Dalej muszę znowu poruszyć wpływ literatury i tzw. prądów umysłowych w sztuce na Strumieńskiego. Koniunktura literacka była teraz taka, że tzw. dekadentyzm, secesja, po okresie walk, w których je odsądzone od czci i wiary, zdobyły pewne prawo obywatelstwa i, jak niektórzy znawcy mówili, ukłasytchniły się. Zmiana ta dokonała się stosunkowo dość prędko. Nowym aspirantom sztuki wskazywano już nawet weteranów dopiero co ukłasytchnionego prądu jako wzory do naśladowania, jako tych, którzy już właśnie „dopelnili miary tego, co w sztuce dozwolone”. Więc biedacy nowi nie mieli nic innego do roboty, jak wołać z Aleksandrem Wielkim: „Mój ojciec podbił świat cały, a mnie nic nie zostawił!”. To działo się przy „głównych ołtarzach” sztuki i literatury, jednakże dla publiczności naszej owi weterani i ich naśladowcy byli właśnie dopiero teraz nieuznanymi, uciskanymi i prześladowanymi, bo „prąd” dopiero wtedy zyskiwał tu zwolenników, gdy go już gdzie indziej dostatecznie sprawdzono i wypróbowano, gdy już zagiął swe ostrze i nie był istotnie szkodliwym.

Znamy dawne stanowisko Strumieńskiego wobec współczesnych prądów umysłowych. Otóż jak wówczas, tak i teraz przyłączył się on do rzekomej mniejszości, słuchającej jak trawa rośnie, pociągało go to nawet, żeby być zwolennikiem idei „zapowietrzonych”. Był zelektryzowany. I jak pierwiej, tak i teraz przystosowywał idee, wyrzucane na brzeg przez „prądy czasu”, do sprawy Angeliki. Znalazł teraz rehabilitację i uprawnienie tego, czego się dawniej w myślach wstydził, co dlań było tylko zastraszającym, niesłychanym, czymś, co trzeba ukryć pod ziemię lub sfalszować — i odetchnął. Poznawał dalsze dzielnice swego charakteru tak, jakby rozszerzał swój majątek lub odkrył w nim kopalnię.

Nie od razu odbyła się w nim ta zmiana. Wszakże czuł, że nowe rzeczy, do których Ignął, są poniekąd w sprzeczności z poglądami, które dopiero niedawno na sobie wymusił. Właściwie nowa jego ewolucja nie była dokładną, symetryczną recydywą, bo kiedy wówczas „wypędzał swą naturę”, działo się to na tle antagonizmu „czynu” z „myślą”, Hamleta

<sup>133</sup>*jardin secret* (fr.) — sekretny ogród. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*pluralis* (łac.) — gram. liczba mnoga. [przypis edytorski]

z Fortynbrasem, neurastenii ze zdrowiem, teraz zaś przeciwstawieństwo brzmiałoby raczej: filister i dekadent albo — ponieważ do nazwy dekadenta nikt przyznać się nie chciał: — filister i człowiek subtelny, wyczuwacz, *vulgo*<sup>135</sup> subtelniaczek, kulturalny Europejczyk o skomplikowanej duszy. Otóż jakiś czas tolerował Strumieński u siebie i starego, i nowego gościa (niepoprzebijane ścianki), odkładał załatwienie tej dwoistości na później, a tymczasem nie walczył z sobą, lecz oddawał się upodobaniom secesyjnym. I stary gość wkrótce sam się wyniósł, pozostawiając po sobie różne „postulaty”, „obowiązki” tudzież minę prochową dla swoich następców.

Nowych upodobań swoich Strumieński zrazu nie prowadził na własny rachunek, lecz na rachunek Angeliki i Pawełka. Przede wszystkim bowiem przekonywał się, że twórczość Angeliki w najszykowniejszych nawet swoich objawach nie była czymś bezsensownym, a więc wyjątkowym, czymś, co miałoby tylko prywatną wartość, ale przeciwnie, miała pewne cechy wspólne z dążnościami modernistycznymi i mogła się zapewne pokazać przed szerokim forum, wywołać sensację i uznanie. Dotyczyło to nie tylko obrazów, ale nawet *Księgi Miłości*. Ziarno, zasiane niegdyś przez Gasztolda, teraz kielkować zaczęło. Wprawdzie wcale nie miał zamiaru pokazywać spuścizny duchowej Angeliki, zanadto jeszcze był z nią osobiście związany, a za mało był pewnym jej i siebie. Ale zaczął dla niej odczuwać respekt przekonaniowy, współczuł przez nią, dla niej i w jej imieniu z nowym ruchem, chociaż się jeszcze stanowczo nie decydował, wątpił. Pamiętał, że dawniej lekcewał ją nieco, teraz postanawiał to wynagrodzić. Dlatego też rozmyślenia o niej przybierały czasem formę uwielbienia — jakby potrzebował jej protekcji, żeby należeć do tej sfery, w którą ona już była wtajemniczona. Na razie zaczął pisać jej życiorys, aby opowiedzieć historię jej obrazów, wyhuszczyć jej intencje malarskie, które przekreślał na modłę modernistyczną. Dla kogo miał być ten życiorys przeznaczony, na razie nie wiedział, ale miał na myśli, oprócz szerszej publiczności — po swej śmierci — także Pawełka.

Strumieński zajmował się gorliwie wychowaniem Pawełka, więcej niż innych swoich dzieci. I w tym był punkt egoistyczny. Po pierwsze: na dzieciach tak przyjemnie widzieć zupełność i nowość swego oddziaływania; po drugie: wskutek łatwo zrozumiałego, po większej części dobrowolnego złudzenia umysłu widział w nim siebie jako dziecko i chciał mu dać wszystkie te dostatki, wrażenia, nauki, pieszczoty rodzicielskie, których sam w swoim dzieciństwie nie zaznał. Używał razem z Pawełkiem rozkoszy swego wychowania, wmyślając się w jego stany — wracały mu czasy zamierzchłe. Studiował dzieła pedagogiczne, badał go, podsuwał mu różne wyobrażenia i myśli, stosownie do tego, jaki przełom odbywał się w jego własnych zapatrywaniach. Starał się trzymać go jak najdalej od wpływu Oli, który uważał za szkodliwy i ogłupiający, i w tym celu wzbudzał w nim dość świadomie niechęć i nieufność względem matki. To było także powodem niesnasek w łonie rodziny, choć Ola sama wnet wpadła w ton poddawany przez Strumieńskiego i bojkotowała Pawełka, poświęcając swą uwagę i miłość wyłącznie innym dzieciom i tresując je w swoich upodobaniach (czym znowu naśladowała Strumieńskiego). Tak dzieci były żywymi figurkami na tej szachownicy małżeńskiej.

Strumieński w okresie, w którym opętany był jeszcze przez prądy antydelikatne, zamierzał nadać wychowaniu Pawełka zakrój szorstki, angielski, robinsonowy, uniknąć wszystkiego, co by mogło jego umysł zniewieścić; dlatego usuwał także wpływ Oli, której pedagogia polegała na zawijaniu dzieci w futra, dawaniu im łakoci, strojeniu ich i przywożeniu im bezużytecznych a drogiej zabawek. Tolerował nawet różne dzikie pociągi u chłopca: bitność, pasję, okrucieństwo. Pamiętał ze swego własnego dzieciństwa, jak ów ksiądz, któremu służył do mszy, poddawał mu pierwsze, nieznaczące pojęcia sentymentalne, jak np. uczył go, że ptaszki to stworzenia boże, że to „ptaszkiwie niebiescy” — i jak on potem srogich doznawał cierpień, gdy Robert, poznawszy jego litościwe popędy, co dzień rano wieszal przed jego oknem na szpagacie wróble i myszy lub prowadził go nad rzekę, wyjmował z kieszeni ślepe jeszcze pieski lub kotki i topił je mimo błagań przybranego brata. Atoli właśnie troskliwość, jaką Strumieński otaczał Pawełka<sup>136</sup>, czuwanie nad każdym objawem jego życia nie sprzyjały uprymitywnieniu umysłu dziecka, bo go zbyt rozwijały i komplikowały. Rodzice, którzy dzieci zaniedbują, puszczają

Rodzina, Ojciec, Dziecko,  
Matka, Mąż, Żona, Gra

<sup>135</sup>*vulgo* (łac.) — powszechnie znany, pospolicie nazywany. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*Atoli właśnie troskliwość, jaką Strumieński otaczał Pawełka (...)* — [Komentarz autora z *Uwag.*] Podobnie [rozdział VIII: „nie zapatrywanie, ale charakter rozstrzyga” itd.]. [przypis autorski]

je samopas, nie robią z nimi eksperymentów, łatwiej osiągają ten cel, który sobie wytknął Strumieński, usiłując wywołać niejako sztuczne zdziwienie u Pawełka. Strumieński szedł za hasłami Rousseau'a, odświeżonymi przez nowoczesną błagę o „czynię”, i nie wiedział, że tzw. powrót do natury byłby szczytem subtelności, mógłby być osiągnięty chyba przy pomocy bardzo trudnego alembiku, i że tzw. ludzie prości, ludzie posiadający tzw. chłopski rozum, mają w głowie więcej zakrętasów niż ludzie wyrafinowani, są kłamliwi, posługują się grubszymi, bardziej niezrozumiałymi (choć popularnymi) abstrakcjami, jednym słowem, nie są wcale naturalni.

Lud, Natura

Ze zmianą ugrupowania w poglądach Strumieńskiego na najżywotniejsze kwestie duszy zmienił się też i jego plan co do ukształtowania charakteru Pawełka. Opowiem o tym później (w rozdziale XIV), a tu tylko powtórzę, że wspomnianą biografię pisał Strumieński po większej części dla Pawełka, wyobrażając go sobie dorosłym młodzieńcem, robiąc doń różne odezwy — chciał go bowiem zapoznać z jego duchową matką, a za taką uważał właśnie Angelikę.

Różne więc powody: małżeńskie, towarzyskie, literackie, ojcowskie itd. złożyły się na to, że Strumieński rozpoczął znowu brnąć w stary nałóg, którego ścieżki były już udeptane. Nastrój i treść, nagromadzone w czasie żaloby, zakonserwowały się dobrze pod lodem odstępstwa. Obraz Angeliki odżył w jego duszy czysty, a fala sceptycyzmu, która po nim przeszła, przyczyniła się tylko do jego uszlachetnienia. Cały ten daleki okres życia, którego skutków nigdzie nie było na świecie prócz jego duszy i jego muzeum, o którym zapomnieli inni ludzie, zapomniła Ola, imponował mu teraz, zachwycał, napawał go dumą. I Strumieński powracał weń pamięcią jakby w las żywiczny, który bez jego wiedzy wyrósł na dawnym pustkowiu. Ale dość poetycznych porównań: posługuję się nimi głównie dlatego, żeby skrócić rzetelny opis i dać jakiś równoważnik powieściowy za subiektywny wygląd tych wzruszeń i uczuć, którymi przepojona była recydywa Strumieńskiego<sup>137</sup>.

Wspomnienia

Gdy rozpoczął ową biografię, spostrzegł zrazu, że wpada w ton zachwyty, hymnu, ale pozwolił sobie na to, bo we współczesnej literaturze znajdował dość analogicznych wzorów. Wnet jednak poznał, że rytm jego myśli o Angelice nie pochodzi tylko z naśladownictwa, lecz jest wywołany wewnętrzną potrzebą, gdyż kompleks Angeliki nabrał przez ten czas paury, bez udziału jego świadomości, mnóstwo nieznanych mu przedtem barw, tonów, nazw, odnośników, ogromnie się uperspektywizował, ale zarazem mimo swojej uroczyści zbanalizował. Nie był tak plastycznym, malarskim, jak napad wspomnień opisany na s. 91<sup>138</sup>, był za to bardziej muzycznym. Gdy chciał w biografii przystąpić do szczegółów, musiał użyć pewnego wysiłku umysłowego, aby rozkruszyć zrosły kompleks. Łapał siebie na tym, że nie pamiętał wielu rzeczy, o których pierwiej doskonale wiedział. Odtąd pisząc lub rozmyślając (biografia stała się niejako krytyką jego marzeń, którą jako krytykę porzucał), coraz bardziej pisał i przypominał sobie sam dla siebie. Opanowała go gorączka człowieka, który ratuje i wydiera toni swoje skarby. Ubierał swoje wspomnienia w ładne formy, posypywał poetycznym cukrem, rugował to, co mu się zdawało przypadkowym, niepotrzebnym (por. s. 91 w. 30 i s. 166 w. 20<sup>139</sup>), stwarzał całość, sprzątał z sobą fakty wyrwane luźno z przeszłości. Satysfakcję przy tym sprawiało mu

<sup>137</sup> *żeby skrócić rzetelny opis i dać jakiś równoważnik powieściowy za subiektywny wygląd tych wzruszeń i uczuć (...) Strumieńskiego* — [Komentarz autora z Uwag.] Mowa o tej stronie, w której uczucia i myśli przedstawiają się bezpośrednio (por. początek rozdz. VIII); chcąc ją uwzględnić i wcielić do *Patuby*, musiałbym wziąć nowy rozbieg i napisać drugą część mej powieści, niejako muzykę pod tekst. Wtedy byłaby idealna całość. Przedstawiać życie od strony subiektywnej próbowali u nas Przybyszewski i Kleczyński (w dwóch doskonałych nowelach drukowanych swego czasu w „Życiu”); są to jednak przeważnie próby przestylizowane, nie mają cech szczerego wpatrywania się w teraźniejszość, są rysunkami, nie fotografiami. O ile wiem, w Niemczech eksperymenty, o które mi chodzi, ujęte są przez Holza w teorię, jako uzupełnienie naturalizmu; zdaje mi się, że i Schlaf i Mombert tu mają swe uzasadnienie. [przypis autorski]

<sup>138</sup> *napad wspomnień opisany na s. 91* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na wskazanej stronie znajdują się dwa akapity z rozdz. V: „Atak jednakże nie był za silny. Były to lubieżne myśli (...) nazywała” (początek akapitu na poprzedniej stronie) oraz „Mocą kontrastu, porwany wstrętem (...) hodował w nim jakiś kwiat” (końcówka akapitu na następnej stronie). [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *rugował to, co mu się zdawało przypadkowym, niepotrzebnym (por. s. 91 w. 30 i s. 166 w. 20)* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajdują się następujące fragmenty rozdziału V i VIII: „A przecież wszystko to było okryte mgłą różową, było mozaiką stłoczoną w jedną apoteozę, z której wykluczone były momenty przykre, zagadkowe lub trudne” (s. 91; rozdz. V) oraz: „docierać wciąż do tych warstw życia, gdzie ono abstrakcji urąga, spod uogólnień się

pokonywanie różnych trudności i rzekomych przesądów w sobie, pisał i myślał śmiało i swobodnie — tak mu się zdawało. Poruszał różne kwestie erotyczne, kokietował nieraz z *Księżką Miłości*, a czasem to i owo zmyślał i dodawał, wsuwał między zdarzenia jakieś własne wymysły czy domysły, a te mu się potem w głowie tak utrwały, że uważał je za wspomnienia rzeczywiste, które wyłoniwszy się z pamięci, zamieszały się przypadkowo między wytwory fantazji. I tak np. zdawało mu się, że pamiętał, jak raz we Włoszech badał na piasku nadbrzeżnym ślady jej bosych stóp i płacił jakiemuś chłopakowi za szukanie dalszych śladów — a przecież się mylił. Zajście takie nie zdarzyło się wcale, było nawet nieprawdopodobnym, a obraz jego urobił się w głowie Strumieńskiego na podstawie innego zajścia, jakie mu się zdarzyło jeszcze w dzieciństwie nad brzegiem owej rzeki nienazwanej u mnie, do której wpadał Wontok.

Potem zaś ustawał zapał biograficzny i Strumieński, znalazłszy się wśród błoni przeszłości, doznawał czasem jakby drżenia terażniejszości, otaczał się znowu ukochanymi widmami — tym razem bez smutku i bez tęsknoty. Albowiem nawet najważniejsze wypadki powlekły się już jakąś mgłą powieściową tak, że to, co teraz przeżywał, było niejako rozkoszą estetyczną. Nazywał siebie szczęśliwym, chodził jakby odrodzony, a w tej pozie błogości nie chcąc, by mu ją cokolwiek z zewnątrz zepsuło, był dobrym dla otoczenia, dzielił się nawet swoim szczęściem z Olą, która, nie domyślając się niczego, dziwiła się nagłym jego wybuchom czułości. Pory nieumówionej separacji i wstrzemięźliwości płciowej jeszcze bardziej sprzyjały wzrostowi tego nowego pokolenia cyprysów w pamięci Strumieńskiego; niemniej jednak sprzyjało i zaspokojenie, bo odrywało od marzeń ciężar tęsknoty i pozwalało im bezinteresownie bujać po dalekich obszarach.

W Angelice miały ucieczkę także wszystkie niezaspokojone ideały, nierozwiązane zadania, do których mu brakło zdolności. Tu był jego ratunek ogólny, jego *panaceum*. Ona była mu zastępczynią „prawdy”, której już nie potrzebował, posiadłszy niby cel wszelkich prawd; tak samo była lekarstwem przeciw przykrościom zewnętrznym, np. z powodu Gasztolda i Oli, opisanym w rozdziale XII. Nie zawadzi też nawiasem zwrócić uwagę na jedną małą różnicę: że Strumieński pieścił się czasem Angeliką samą, a czasem tylko historią jej, jedno było ucieczką, drugie przyjemnością.

Taki sposób życia nie przeszkadzał kochankowi swej zmarłej żony oddawać się zwykłym zajęciom, nie wyrzucał go z toru, nie kłócił go z nikim, toteż Strumieński, zawdychając mu nową dumę, mianował go swoim „życiem podziemnym”. Uważał się za legendowego mędrca, który chodzi z diamentem w głowie — a arcyzm życia zasadzał teraz na tym, żeby żyć między ludźmi, nie zdradzając się ze swoim bogactwem.

Wprawdzie były drobne nieforemności w tym szczęściu, np. gdy ono przechylało się w stronę tęsknoty. Widzieliśmy, jak sobie radził fantazją, ale też wracało mu do pamięci wiele szczegółów o Geli, nieprzeczutych podówczas dobrze, niewyzyskanych, niedopowiedzianych niejako — szczegółów, które mu się teraz wydawały przepięknymi. Zaokrąglął je w swym opisie, uzupełniał, ale nie zawsze udało się pamięć oszukać, czuł zanadto dobrze niezgodność opisu z rzeczywistością i bolał nad bezsilnością swej tęsknoty. W tymże czasie on, który w okresie żaloby forsował sny o Angelice, zaczął coraz częściej śnić o niej. Fluktuacje snów są dziwnym a nieobliczalnym zjawiskiem. Widocznie tak jak w czasie pierwszej próby w głąb śnił sceny z dzieciństwa, tak teraz epoka pożycia z Angeliką była niejako drugim dzieciństwem, które zajęło miejsce tamtego, skryzalizowała się w duszy jako materiał na sny i sny te wylatywały niespodzianie jak z puszki Pandory. Strumieński z radosnym biciem serca widział w nich przeznaczenie, zrządzenie, bliskość Angeliki, nazywał je wskazówką losu. Między zabiciem niegdyś psa w lesie a nową swoją raną, która cofnęła go na powrót w „życie podziemne”, upatrywał jakiś tajemniczy związek. Znowu zaczął rozmyślać o wywoływaniu duchów — ale wkrótce sny minęły, rozpierzchnęły się i nie wracały. Pożegnał je z westchnieniem i pewną rozpaczą, ukrywając przed samym sobą, i prowadził dalej swe oficjalne „życie podziemne”. O duchach rozmyślał wciąż — ale wszedł już na tory teoretyczne, mówił np.: „Ponieważ czujemy potrzebę duchów, więc one muszą istnieć”. Był to kulawy dowód scholastyczny, albowiem *essen-*

Wspomnienia

Wdowiec, Artysta

Wspomnienia, Tęsknota,  
Sen, Duch

usuwa i objawia się jako trudne do rozwikłania, rozpaczliwe, wyjątkowe (...) właśnie z zatrzymaniem tych cech przypadkowych” (s. 166, rozdz. VIII). [przypis edytorski]

tia (albo raczej *cupiditas*<sup>140</sup>, *voluntas*<sup>141</sup>) *alicuius rei non involvit eius existentiam* (definicja, a raczej pożądanie, chęć jakiejś rzeczy nie stanowi o jej istnieniu).

Nieforemnościami nazwałem to. Ale w ten sposób zajechał po kryjomu do Strumieńskiego...

## XI. PIERWIASTEK PAŁUBICZNY

A tuś mi, tajemniczy pierwiastku! Przybywasz płać figle mojemu bohaterowi, ty wysłańcze Bogini Rzeczywistości? Ale dobrze mu tak: dlaczego nie ukorzy się i nie uwielbia twojej Pani, ale maluje na lustrze i pieści się skaleczonym odbiciem, skoro naga, „brzydka” prawda piękniejsza jest i obfitsza od złudzenia!

A jakże ślicznie i dziwacznie brzmi mi ten tytuł! Co za nazwa pysznie szkaradna i niemuzyczna! Jaki sukces politowania u ludzi rozsądnych!

W czasie, gdy Strumieński pisał swój pamiętnik, ukazało się 20 wydanie *Snów Marii Dunin*. Autor *Marii Dunin*, jak wiadomo, zmarł niedawno w swojej willi nad morzem Tuscarora, syt sławy, zaszczytów i korowodów z pochodniami, a do jego grobu odbywają pielgrzymki dekadenci z całego świata. Strumieński i jego żona dotychczas nie znali tego słynnego dzieła; zainteresowało ono oboje nadzwyczajnie. Ola zachwycała się samą Marią Dunin jakby osobą niepowieściową, ale odczuwała brak pięknych opisów przyrody, mówiła, że autor jest jej niesympatyczny, że ona by to całkiem inaczej napisała, że nawet, jak będzie miała czas, napisze nową *Marię Dunin* i że autor ostatecznie nie wytłumaczył, co to jest miłość. Pojęła ona tę powieść zupełnie na tle teorii o kulcie dziewictwa, których jednak nie traktowała tak na serio jak Angelika, bo nawet za złe miałyby wszelkie wyciąganie z nich praktycznych konsekwencji. Ustęp, w którym „rozbestwiony autor” wkrada się do pokoju Marii Dunin, zdawał się jej bardzo trafnie kreślić „zachłanność i tyranie” mężczyzn. W Strumieńskim *Maria Dunin* wywołała różne, bardzo sprzeczne uczucia. Zrazu był nią zajęty, lubo<sup>142</sup> nie przejęty, chciał się z nią solidaryzować, ale coś go od tego odpychało, tak że niebawem stanął do niej w opozycji. Wprawdzie literackość *Marii Dunin* nadawała pewną sankcję jego podziemnemu światu i z tego powodu nawet Ola, w lot pochwywszy wspólne znamiona sytuacji, nazwała go „męską Marią Dunin”. Dla Oli było to jednak tylko prostym stwierdzeniem podobieństwa bez tonu istotnego współczucia, stwierdzeniem, w którym go nieco urażał brak dyskrecji, zwłaszcza że miał pewność, że Ola sobie z tego podobieństwa niewiele robiła. Kiedy słyszał, że nazywała autora niesympatycznym, brał go w obronę, ale tylko dlatego, ponieważ czuł, że ona nie ma prawa krytykować pisarza tak znakomitego, sam zaś w duchu polemizował z nim żarliwie. Do polemiki podniecała go i zazdrostka: miał żal do autora, że ten go uprzedził, a do siebie, że bez takiej sankcji może by się nie odważył sam adoptować niektórych swoich dawnych postępów i postępowań, tak mu się one — i to do niedawna jeszcze — wydawały sentymentalnymi i przesadnymi. Sądził dalej, że w tym kierunku, w którym idzie *Maria Dunin*, można by (forma nieosobowa) daleko więcej uczynić, z drugiej strony zaś hamował oficjalne zachwyty Oli, która powtarzała to, co gdziekolwiek wyczytała o *Marii Dunin* napisanego. Mówił więc, że autor w wieku, w którym tę rzecz napisał, był jeszcze widocznie bardzo niedoświadczonym; już to: „Mylisz się, Olu, on wcale nie miał zamiaru apoteozować takich fantastyczności, lecz przedstawił kobietę historyczną, dekadentkę”; już też wreszcie korzystał nieszczerze ze swych dawniejszych poglądów (z rozdziału VIII) i starał się w oczach Oli poniżyć autora jako romantyka, dekadenta, neurastenika, który uświetnia erotomankę itp.

Tak wyglądały zewnętrzne objawy jego wewnętrznego niezdecydowania, jego małej chwilowej recydywy w kierunku sceptycyzmu, objawy dość świadomie nieszczerze. Ideal kontemplacji, zatopienia się w sobie, przedstawiony w *Snach Marii Dunin*, uważał Strumieński za niemożliwy, ponieważ zaś Ola podnieciła jego krytycyzm, mówił w jej obecności, że takich snów nie ma; spanie istnieje, ale sny tak jednolite, tak literackie i poetyczne, to nonsens. A właściwie czuł, że rozmarzenie Marii Dunin jest właściwym tym samym stanem, w pobliżu którego był już on, Strumieński, w okresie żaloby, lecz

<sup>140</sup>*cupiditas* (łac.) — żądza, chciwość, pożydlivość. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*voluntas* (łac.) — chęć, poczucie, pragnienie. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*lubo* (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

— cofnął się? Nie mógł iść dalej? Tu był punkt przykry, który w myślach omijał. To jedno, a drugie: niemile uderzało go, że w *Snach Marii Dunin* żywił kobiecy upokarza żywił męski, a na domiar potwierdza poniekąd te śmieszne co do fizycznej miłości poglądy, którym holdowała Ola. Przypisywał więc autorowi feminizm — ale cóż to właściwie było? To, że miał wyrzuty sumienia własnego intelektu na cudzy rachunek, bo u autora *Marii Dunin* widział w skarykaturowanej, wyidealizowanej formie to uwielbienie, które sam składał na ołtarzu Angeliki, a przeciwko któremu buntował się w nim ten inny zakorzeniony pogląd, że mężczyzna powinien zawsze górować nad kobietą, nie zaś być jej satelitą. Ale grał tu rolę właściwie jeszcze jeden tajemniczy czynnik, który Strumieński skrupulatnie omijał, aż dopiero w wygodnej chwili użył go jako dynamitu.

W ten sposób na dnie miłości i uwielbienia znajdował coś jakby zdanie nawiasowe zaopatrzone pytajnikiem, takie zastrzeżenie myślowe, które tę drugą edycję żaloby czyniło do pewnego stopnia przybraną rolę, wytworem dowolnym fantazji, artyzmem. Tak, i tu dopiero mógł odetchnąć, dopiero jeżeli miłość i uwielbienie (a po cichu: uniżenie, podporządkowanie się) były rolą dobrowolną, mógł myśleć i pisać dalej w tym tonie. Atoli już teraz wplatał czasami lekkie, ale to bardzo lekkie uwagi lub słówka ironiczno-sceptyczne, w hymnie zaznaczał pewien niby to nieumyślnie objawiający się rozdźwięk między uczuciami kochanka i męża a chwilowo wyzwającym się obiektywnym sądem roztropnego, wyższego człowieka; przesadzał nieraz w zachwytach, aby coś niejako samo spadło z góry i rozczarowywało. Równocześnie cel biografii i jej przypuszczalni czytelnicy zmieniali się: raz był to Pawelek, już to jako młodzieniec, już to jako dojrzały człowiek, albo było to większe grono ludzi inteligentnych. Stosownie do tego pozował Strumieński tak lub owak, ale ponieważ terminu puszczania tej biografii w świat ściśle nie oznaczał, był w ogóle szerszym, niż gdyby, dajmy na to, pisał jakąś powieść według utartych wzorów: szerszym był także dlatego, ponieważ niektórych faktów życiowych bądź co bądź nie można ani obalić, ani zastąpić innymi i one same swego biografę najlepiej pilnują.

Te ciche wewnętrzne walki były wpływem pierwiastka destrukcyjnego, pewnej autoanalizy, która leży w rzeczach samych — drugi cień, który rzucają rzeczy. Już nawet w kierunku dodatnim (s. 211<sup>143</sup>) znaleźliśmy „nieforemności szczęścia”. Teraz i na innych dziedzinach pokażą interwencję „pałubicznego pierwiastka”, a niech na razie niewyraźność nazwy sama charakteryzuje niejasne, zduszone, zmaczone występowanie tego pierwiastka w duszy Strumieńskiego, zanim w rozdziałach dalszych dokładnie i w sposób niewątpliwy nawet dla Strumieńskiego ukazać jego panowanie i rozległość.

Widzieliśmy, jak Strumieński ratował swój egoizm i ambicję podczas pisania życiorysu, równocześnie jednak chodziło mu bardzo o to, żeby nie przerywać swego życia podziemnego, bo i ono należało już do agend jego egoizmu i jak wiadomo, wydawało mu się czymś nadzwyczajnym — światem odrębnym, w którym gościł różne względne, rzekomo odważne prawdy, nieprzystępne dla filistrów. Ale właśnie to życie podziemne nie rozwijało się w sposób pożądaný, do tych piwnic — zatrzymuję porównanie — wciśkała się różnymi porami woda, rzucał się grzyb. Zajęty jedną stroną medalu, błyszczącą, nie oglądał się na tylną, był jak augur, gotów dać życie za bóstwo, w które sam wątpił. Wprawdzie wątpliwości owe przedstawiały mu się raczej w formie trudności pisarskich, nie zachwiewały go tak bardzo w przekonaniach, pisał bowiem, a więc i myślał według mnóstwa utartych wzorów, służących do stylizowania zdarzeń, wzory te zaś zdawały mu się już ostatecznymi, bo innych nie znał ani nie mógł sobie wyobrazić. A tu tymczasem zamiast powierzchownych tajemnic, które miał zamiar mówić, np. jakie on to kochanie urządził sobie z Angeliką lub że byłby dla niej poświęcił nawet ideę ojczyzny, gdyż ideę gatunku uważa za silniejszą, lub o śmierci przez miłość, lub o umowach przed śmiercią Angeliki — zamiast tego wystąpiły inne tajemnice, które mu pokazywał demon bezimienności. Ponieważ zaś Strumieński „pojmwac” ich nie umiał, bo go nie objaśniały o tym żadne powieści ani poezje, ani nauki, więc nie ruszał ich, nie wiedząc nawet, czy je choćby stwierdzać wypada.

<sup>143</sup>nawet w kierunku dodatnim (s. 211) znaleźliśmy „nieforemności szczęścia” — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się akapit z rozdz. X zaczynający się od słów: „Wprawdzie były drobne nieforemności w tym szczęściu (...)”. [przypis edytorski]

Zanim przykładowo podam kilka takich tajemnic pałubicznych, które Strumieński odkrywał w zamkniętym już epizodzie pt. „Angelika”, uzupełnię wpierrw nieco historię jego załatwiania się z tajemnicami, które napotykał właśnie teraz przy pisaniu biografii, wskutek przymusu określenia i stylizowania wspomnień.

Otóż znalazł on wnet pewien punkt oparcia, z którego mógł ratować swoją ambicję wobec Angeliki jeszcze wygodniej niż dotychczas i jeszcze śmieiej pokazywać swój sceptycyzm. Mianowicie gwoli „obiektywności” wplatał czasem uwagi fizjologiczne, naukowe, które na przekór autorowi *Marii Dunin* brał na serio, i on bowiem, jak większa część współczesnych ludzi, był pod przygnębiającym wrażeniem odkryć fizjologicznych, lekarskich, do których jeszcze nikt nie stosował pierwiastka pałubicznego. A więc przypisywał Angelice geniusz, ale na tle patologicznym, jak światełko na bagnach, przez co (tu jak i później sam domawiam to, czego on domawiać nie śmiał) pośrednio sam siebie zasłaniał przed zarzutem, dlaczego nie jest geniuszem. Poszlakami owego tła patologicznego mógł być najprzód jej pociąg do kłamstwa czy zmyślania, potem *hymen cornutum*, wreszcie jej obłąkanie, chociaż Strumieński wątpił, czy było ono wynikiem nieszczęśliwego położu, czy jej całego usposobienia, a nawet czy było w ogóle obłąkaniem (bo zachowywała się wprawdzie dziwnie (?), ale oczywistych nonsensów nie robiła). Właściwie wszystkie te poszlaki, jak i inne, nie bardzo wystarczały, więc Strumieński uciekł się do ogólnikowego przedstawienia rzeczy, tym bardziej że ogólnikowość i z innych względów była mu na rękę: po pierwsze, oszczędzał Angelikę, chociaż popadał w tę samą obłudę, co urojony autor historii o *Marii Dunin*, po drugie, chronił się przed tzw. świństwem (o czym dalej).

Była jednak sprawa o wiele ważniejsza. Oto Strumieński wahał się, czy i o ile ma podnieść swoje własne zasługi w dziełach Angeliki, jak wysoko ma oceniać swój wpływ, żeby się nie narazić na zarzut samochwalstwa, a przecież przyznać sobie, co mu się należało. Wprawdzie mógł tę kwestię zamalować, mógł powiedzieć, że to było takie współnictwo miłosne, ale go przecież wciąż korciło, żeby oddzielić swoją zasługę od jej zasługi. Czasami bowiem w chwilach upojenia samym sobą czuł, że te wszystkie dzieła to jego dzieła i że w tym tkwi jego sekret tak głębokiego do nich przywiązania! A także tu grał rolę punkt widzenia fizjologiczny. Strumieński, jak już wiemy, był zwolennikiem ogólnikowego mówienia o mężczyźnie i kobiecie, o rzekomych zasadniczych, odwiecznych różnicach dwóch płci. Jest to temat wydatny i przyjemny dla wielu ludzi, którzy umieją w dowcipny i bystry sposób manipulować banalnościami, jakich już sobie bez liku narobiono w tej dziedzinie — temat, w którym każdy, jak mnieja, ma coś odrębnego do powiedzenia. Otóż Strumieński mówił, że jak pod względem fizycznego ustroju kobieta ma pewne minus, a mężczyzna plus, tak samo i pod względem duchowym: „On ma nasienie, a ona łono, on zapładnia, a ona przyjmuje, przetwarza i nosi plód, odżywia go w sobie, karmi i wydaje na świat”. Dowcipny ten wywód miał w swej symetryczności złudną siłę przekonującą, był dla Strumieńskiego dowodem. Gdy go zastosowywał do artystycznej twórczości Angeliki (tu się pokazuje, co warte takie zastosowania lub porównania), wtedy jego rady, wpływy, plany były duchowym nasieniem, pierwiastkiem dominującym, głównym, natomiast to, co ona dawała od siebie (wiedza techniczna, wykonanie, wprawa ręki i oka), wypadało z owej proporcji jako coś podrzędnego, jako aparat, zewnętrzna forma, łono. Czuł Strumieński, że tu nieco przeholował, ale mimo to był już mniej skrupulatnym w ukrywaniu swoich zasług, jakkolwiek tylko bardzo subtelne oko zdołałoby w jego pamiętniku rozpoznać takie samochwalstwa, gdyż skrupuły rozgrywały się między liniami. Skądże pochodziły te skrupuły, zmuszające go do ukrywania (?) swych zasług? Najpierw, z paradoksalnej nieufności względem samochwalstwa, rodzącej się wskutek tego, że z samochwalstwem łączy się doznawanie przyjemności, ludziom zaś często wydaje się, że większa prawda musi być w pobliżu większej nieprzyjemności. Po drugie, z obawy, by ktoś go nie posądził o przechwałki w tak błahych (?) sprawach jak sprawy sztuki, o żakowskie wściubianie swoich trzech groszy, słowem, o zachowanie się takie, jakie w sposób bardziej złośliwy niż sprawiedliwy wyrażone jest w przysłowiu: konia kują, żaba nogi nadstawia. I oto mam punkt wstydlivy *par excellence!* A przecież Strumieński miał nawet słusność, wrywając dla siebie listki z tego laurowego wieńca, który spletał dla Angeliki. Powstawała więc w tym punkcie taka niemila przeszkoda w życiu duchowym, której się nie chce poruszać z obawy, żeby nie być fałszywie zrozumianym; ale ponieważ „czuje” się, że się ma jakoś słusność, w pewien jeszcze tylko niewyjaśniony sposób,

Kobieta, Mężczyzna,  
Sztuka, Władza, Słowo

Prawda

przeto dla uzupełnienia wetuje się sobie tę słusność drogą uboczną. Tak też postąpił i Strumieński. Wiedział on, że nikt by może nie uwierzył w jego wpływ na Angelikę, że może i Angelika, gdyby wstała z grobu, nie uznałaby jego pretensji i wydzierałaby mu zazdrośnie to, co on chciał sobie przywłaszczyć: szachrował więc i np. w sposób trochę tendencyjny odbudowywał swe rozmowy z nią, udając w ich opisie, że się chciał tylko uczyć, informować, lecz przez swoje wyższe pytania zmuszał ją do zastanawiania się nad sztuką i pogłębiania własnej twórczości. A może ona tylko z pochlebstwa udawała, że się przejmuje tymi pytaniami? O, ten zarzut był słabym, bo przecież mogła grać podwójną komedię i takim pochlebstwem tylko malować rzeczywiste zainteresowanie się (por. s. 76 w. 26 i n.<sup>144</sup>). Inna przyczyna ustępstw Strumieńskiego na rzecz Angeliki leżała jeszcze głębiej: była to chęć wynagrodzenia jej za mniemaną krzywdę, o której szeroko opowiem aż później. Jeżeli przy tych wszystkich przyczynach uwzględnimy jeszcze powroty w kierunku lekceważenia malarstwa Angeliki, a więc i swego w tym malarstwie współdziałania, będziemy mieli mniej więcej wyobrażenie o sprzecznościach i zmiennościach tego splotu psychicznego.

Inny punkt wstydlawy powstawał, gdy Strumieński przystępował do kwestii własnej przystojności. Nie mógł tego pominąć, bo wiedział, że Angelika pokochała go — z początku przynajmniej — głównie (a w tym „głównie” brzmiało i „niestety”) dlatego, że jej się podobał z twarzy i postawy. Ale jakże miał o tym pisać? Po pierwsze, mniemał, że go to poniża, iż Angelika nie pokochała w nim tzw. duszy, ale przede wszystkim futerał duszy; po drugie, wydawało mu się to tak dziecinny sposób pisać o własnej przystojności. A jednak pozbawiłby się tym sposobem wielu ładnych szczegółów. Pamiętał np., jak ona przed nim klękała, uwielbiała go, zachwycała się nim, jak w nocy, gdy spał, pochylona nad nim z lampą patrzyła w jego rysy itp. wyrabiała awantury. Czasem mu te awantury pochlebiali, a czasem go irytowały, bo czując w nich swą śmieszna rolę (mianego, a nie mającego), nie chciał się nimi przejmować i kładł je już to na karb niemieckiego sentymentalizmu, już to na karb rozjątrzenia samicy, która chce koniecznie uwielbiać. A więc ich „miłość” kryła w sobie takie poniżenia i śmieszności, do których bał się przyznawać, chociaż, z drugiej strony, korciło go właśnie nie troszczyć się o ten punkt wstydlawy. Imaginował on sobie jakieś „ja”, oderwane, duchowe, coś w rodzaju tzw. lepszej cząstki samego siebie, a jednak czasem lubił jednoczyć się raczej z innym „ja”, z gorszą cząstką, ze swoją zewnętrzną powłoką — jakby poprzestawał na tym, żeby być tylko własnym ciałem. Wracał wówczas myślą w swe dawne upodobania helleńskie i pytał, dlaczego ktoś nie ma się jednoczyć z własną pięknoscią, podobnie jak się to czyni z własnym geniuszem i talentem? Czy dlatego, że tamtą można wskutek choroby utracić? Ależ tak samo i talent — można zwariować — wiedział o tym, bo działy się takie przykłady. Atoli jednocząc się ze swym ciałem, stawał przez to w sprzeczności ze swoim dawnym dualizmem, opartym na wyższości ducha nad ciałem, w dualizm ten bowiem nie chciały wejść poglądy helleńskie — a oba sposoby uregulowania tego kłopotliwego psychicznego okazały się niemal równo upragnionymi.

Takie walki toczono na pograniczu świadomości i nieświadomości zmuszały Strumieńskiego albo do urywania biografii w pewnym punkcie i zaczynania jej w innym, wygodniejszym — co nazywał szkicowaniem, albo też, co się najczęściej zdarzało, do niepisania w ogóle nic i załatwiania kwestii — czy też borykania się z nimi — w myślach. Trzeba bowiem wiedzieć, że Strumieński pisał ową elukubrację życiorysową tylko od czasu do czasu, przyparty zewnętrznymi bodźcami, za to w fantazji często sobie wyobrażał siebie piszącym, marzył na rachunek tego, co miało być napisanym<sup>145</sup>, bo czuł, że marzenia dawały mu więcej szczęścia niż ich spisywanie, szerzej zadowalały ambicję i łatwiej

<sup>144</sup>pochlebstwem tylko malować rzeczywiste zainteresowanie się (por. s. 76 w. 26 i n.) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment rozdz. IV: „jak sądziła, z pewną ujmą dla męża, jej kunszt malarski jest główną podstawą ich stosunku, a zarazem rękojmnią miłości Strumieńskiego, bo umożliwia mu złudzenie dostępu do twórczości”. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>często sobie wyobrażał siebie piszącym, marzył na rachunek tego, co miało być napisanym — [Komentarz autora z Uwag.] Stałe powracanie tego stanu: [w rozdziale V „Widział siebie w duchu, jak coraz bardziej pogrąża się w jedno uczucie (...); w rozdziale XI „(...) pisząc widział siebie niejako w towarzystwie ludzi (...)”; w rozdziale XVI „I widział wciąż w duchu siebie, jak pochylony lub klęczący nad nagrobkiem (...)”; w rozdziale XVIII „Strumieński w wyobraźni stawał przed obrazem Geli i przemawiał do niej (...)”]. [przypis autorski]



też w ten sposób przepływał między Scyllą a Charybdą<sup>146</sup> różnych trudności, trudności, jak mniemał, technicznych, którym jednak ja przypisuję o wiele głębsze znaczenie.

Z takimi „trudnościami technicznymi” borykał się Strumieński wobec faktów, które mu stawiały pozorny dylemat: zmysłowość czy świństwo. O prawdzie nie myślał, sądził, że jego względne prawdy wystarczają, znał jednak postulaty realistyczne, naturalistyczne, choć niewiele czytał w tym kierunku, i czujności tych to właśnie postulatów zawdzięczał wszystkie swoje skrupuły. Wprawdzie z większą częścią swoich płciowych przygód z Angeliką mógł się załatwić w sposób ogólnie podówczas przyjęty<sup>147</sup>: używając stylu namiętnego, pełnego barw, tętnienia krwi, stylu, który niby to rozkosz apoteozuje, ale jej rzeczywiste, ludzkie rozmiary rozsadza i póty nakrywa oboje kochanków gwiazdami, słońcami, niebami, kometami i chaosami, aż ich nie widać. Taki styl naśladował Strumieński, postępował jak malarz, który na obrazie maluje dym z prochu i powie, że to bitwa. Kłopot atoli sprawiała Strumieńskiemu np. historia owego *hymen cornutum*, którą, jak już powiedziałem, poruszył całkiem ogólnikowo. Gdyby był mógł o tym wspomnieć jako o świętym symbolu, a, to co innego, ale skoro idealna, czysta miłość zrobiła *fiasco*<sup>148</sup>, na cóż było jej urągać? Zresztą mówić o doktorze, masce itd. — to psuło mu symetrię obrazu dalszej miłości, opisywać zaś to, co zaszło przed interwencją Eskulapa, było mu i żal, i wstyd. Albowiem odwaga jego anektowała różne szczegóły z życia seksualnego z wolna, między jedną a drugą aneksją upływały miesiące i lata, i owe szczegóły tworzyły długo terytorium sporne między postulatami odwagi a zakorzenionymi przesądami „estetyki”. „Estetyka” zaś tkwiła w nim dwoma korzeniami. Jeden: prymitywny strach, wpojony na podstawie powszechnej, milczącej umowy ludzkiej, i ten korzeń był istotny i właściwy, ale Strumieński nigdy by się do niego nie przyznał, bo wszakże był człowiekiem „europejskim” i postępowym. Był więc drugi korzeń: teoretyczny, zwany pospolicie odwiecznym i u wszystkich ludzi jednakowym kryterium dobrego smaku (por. s. 117 i 118<sup>149</sup>), takim samym jak to, na podstawie którego  $2 + 2$  dla wszystkich ludzi ze zdrowym rozsądkiem jest 4. Ten to korzeń pozorował działanie tamtego, chłopskiego. Dlatego Strumieński był odważnym tylko przy wymienianiu i opisywaniu tych faktów, które mógł połączyć z jakimś gotowym już albo do sporządzenia łatwym chaosem i hałasem poetyckim, takim szum-bum, takimi skrzydłami, takim poetyckim balonem, który odrywał brzydkie fakt od ziemi i unosił go pod niebiosy. Ale nie tylko to. Jak powiedziałem, Strumieński, lubo nie miał literackich pretensji, jednak tak obył się z literacką kulturą, że pisząc widział siebie niejako w towarzystwie ludzi, wprawdzie mądrych, subtelnych, wyrozumiałych, ale bądź co bądź ludzi. Otóż gdy w myślach swoich stawał przed forum takich czynników, było mu i żal, i wstyd, bo właśnie tego rodzaju wspomnienia były mu miłsze niż inne, w nich widział historię, postęp, wspólną zdradę ideału, a nie wiedział wcale, jak by się to innym ludziom wydało, i czuł się wobec nich bezbronnym.

Były to jednak skrupuły odnoszące się raczej do pisania, które w razie potrzeby można było po prostu odłożyć. Ważniejszymi były odkrycia, które robił sam, grzebiąc z okazji zamiaru pisania w kompleksie „Angelika”. Tu napotykał dalej na momenty pałubiczne<sup>150</sup>. I tak np. ważnym powodem, dla którego wymijał epizod „*hymen cornutum*”, była także nagła myśl: jakim sposobem on mógł dowiedzieć się, że Angelika taką była? Skąd ona sama o tym wiedziała? Mogło to się stać wskutek pewnych oznak fizjologicznych, ale także... Przed jego fantazją przeleciał nagle żółty motyl zazdrości i znikł. Potem przychodziła mu często na myśl owa „reszta” nieodgadniona w Angelice, a najbardziej zastanawiało go to, że porównując Angelikę z Ołą, widział w obydwóch wiele podobieństw w zachowaniu

Wspomnienia, Kobieta

<sup>146</sup> *Scylla i Charybda* (mit. gr.) — dwa potwory morskie, które czatowały na żeglarzy po obu stronach cieśniny, utożsamianej z Cieśniną Mesyńską, i pożerały ich. [przypis edytorski]

<sup>147</sup> z większą częścią swoich płciowych przygód z Angeliką mógł się załatwić w sposób ogólnie podówczas przyjęty — [Komentarz autora z *Uwag*.] Dawniej było w modzie opisywanie scen zmysłowych na sposób hellenicki (jaskrawy przykład: sonet *Leda* K. Tetmajera), teraz transponuje się je na wizję fantastyczne (np. Przybyszewski). I jeden, i drugi sposób jest idealizowaniem, zacieraniem lokalnego kolorytu spraw zmysłowych, które są piękne, ale ani po grecku, ani muzykalnie, ani pierwotnie, ani nawet wirowato-kosmicznie, lecz po swojemu. [przypis autorski]

<sup>148</sup> *fiasco* (wł.) — kłapa, fiasco. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> kryterium dobrego smaku (por. s. s. 117 i 118) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnych stronach znajdują się w rozdz. VI akapity: „Naturalnie, że tak radykalne (...) tak dalej” oraz: „Dysputa ta była (...) i to nigdy zupełnie”. [przypis edytorski]

<sup>150</sup> napotykał dalej na momenty pałubiczne — całość ich wyczerpana będzie dopiero przy końcu rozdz. XVII i z początkiem XVIII. [przypis autorski]

się, w zapatrywaniach — kładł to na karb „kobiecości” (*das Ewig Weibliche*<sup>151</sup>), przez co jednak psuł sobie plan pojmowania przeszłości (zaznaczony np. na s. 113 w. 2 i n.<sup>152</sup>). Dalej zdawał sobie sprawę z tego, że i on nie kochał Angeliki całkiem tak, jak by według tego planu wypadało, że użył sztuczki, aby nie pokazywać jej obrazów, że nazwał wprawdzie jedno źródło jej imieniem, ale nie wprowadził tej nazwy w używanie itd. Strumieński nie wiedział, że rzeczy jak ta ostatnia robi się dla zabawki, i więcej wartości ma dorywcze pomyślenie i wypowiedzenie takiego projektu niż wykonanie go. Traktował miłość jak rzecz religijną, szło mu o tzw. czyn, a jednak źródła nie oznaczył nawet na mapie (bo wstydził się) pod pozorem, że chce uniknąć profanacji imienia Angeliki, nie kładąc go na usta innych ludzi. Zapuszczając się dalej w gęstwę wspomnień, przypomniał sobie, ale jakby przez mgłę — jedną umowę między sobą a Angeliką: że się nie ożeni, choćby potem, w umowie niby odwołującej tamtą, ona go nawet prosiła, by się po jej śmierci ożenił. Co za naiwność w tym jej wyrafinowaniu! — jakby to szło tylko o żenienie się. A przy tym — czy mu się tylko zdawało? — ta jej zazdrość, że on żyje, a ona umierać musi, zazdrość, pokrywana szlachetną rezygnacją. Albo jak jej obiecywał, że nigdy w życiu nie dotknie już żadnej kobiety — ale nie przysięgał, nie zapędzał się za daleko, trzymał się pewnej miary w obietnicach (punkt fałszywy). Takie samo prześlizgnięcie się koło rzetelnego niebezpieczeństwa w miłości uratowało go od strzelenia sobie w łeb (zapomniał już, że szło o utopienie się) po śmierci Angeliki (por. s. 87<sup>153</sup>). W związku z tym medytował nad rozbiciem się projektu wspólnej śmierci przez miłość — i robił w myślach zarzut Angelice, że może tylko wskutek jej sceptycznego zachowania się projekt ten pozostał tylko zabawką, bo on nie chciał przed nią zblamować się braniem go zbyt na serio! (punkt wstydlawy). I tak powoli, brnąc dalej w przykrych odkryciach, przekonywał się pesymistycznie, że właściwym tłem wszystkich uczuć i porywów jego była dawna obojętność i egoizm, otaczający go niewidzialną, braterską opieką.

Wreszcie rozważając zajścia przed samobójstwem Angeliki, napotykał dużo momentów zagadkowych lub takich, o których myślał jakby tylko ukradkiem przed innymi myślami. Szło tu o jedną większą tajemnicę, która była właściwie najgłówniejszym motorem jego eksperymentów i nadawała jego podziemnemu życiu tak niezwykłą siłę, tak maniacką wytrwałość — ale ona sama była w tym życiu Minotaurem i psuła zupełnie jego symetrię. Mam na myśli przypuszczalną przyczynę samobójstwa Angeliki, która wypłynęła na jaw dopiero w ustępie XVII. Teraz Strumieński jeszcze ją zacierał, chociaż — co już tu podnieść trzeba — on sam dobrze nie wiedział, jak się „to wszystko” odbyło. Otóż gdy się nad obmyśleniem (*sic!*) tego przejścia zastanawiał, wpadła mu na myśl pewna hipoteza, dziwaczna, ale mająca w sobie szanse prawdopodobieństwa. Przypomniał sobie, że gdy przybywszy do domu po połogu Angeliki, domagał się natarczywie pokazania mu martwego dziecka, powiedziano mu, że jest pochowane. Zrobił awanturę, lecz Angelika traktowała jego hałasy i rozpaczę nieco pogardliwie, powiedziała: „Dziecko jest tu koło mnie, przykryte prześcieradłem!” I odkryła prześcieradło. Było to wieczorem. Z daleka ujrzał niewyraźną bryłkę ciała, które Angelika pospiesznie zakryła, prosząc go dziwnym tonem, by jej nie robił przykrości i nie patrzył na martwe niemowlę, bo ona sama już na nie patrzeć nie może... A potem rzekła doń żartem: „Udusiłam, prawda, że my już nie będziemy mieli dzieci?”. Zajęty wówczas nią samą, nie zważał na te jej słowa, a potem, kiedy rozchodziły się wieści o dziecku-potworku, uważał to za głupie chłopskie legendy, wypytywał tylko starą akuszerkę, która powiedziała, że dziecko było całkiem normalne. Ale jeżeli akuszerka powiedziała mu tak tylko, aby go nie martwić? I jeżeli Angelika nie

<sup>151</sup>*das Ewig Weibliche* (niem.) — wieczna kobiecość. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*plan pojmowania przeszłości (zaznaczony np. na s. 113 w. 2 i n.)* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment rozdz. VI: „Otóż Strumieński pod pierwszy typ postawił Angelikę, a pod drugi, jeszcze dawniej, na chybił trafił Olę; tylko kolor włosów nie stosował się, Angelika bowiem była blondynką, a Ola brunetką”. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*Takie samo prześlizgnięcie się koło rzetelnego niebezpieczeństwa (...) po śmierci Angeliki (por. s. 87)* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment rozdziału V: „a tymczasem z kąta jego dzikiego bólu wyszła ku niemu dziwna obawa: by kiedyś raz we śnie nie zaszedł do studni i sam tam nie wskoczył. (...) Wkrótce potem wydał rozkaz, aby zasypiano studnię, lecz wnet cofnął go, kazał ją tylko zakryć, lecz i to cofnął. (...) Jednak aby nie bawić już więcej w tych miejscach, które jego myślenie terroryzowały, przeniósł swoje mieszkanie do lasu, do leśniczówki (...)”. [przypis edytorski]

zartowała? Więc może ona popełniła przecież — to ze wstrętu, a potem popęd macierzyński zemścił się na niej i zabiła siebie, nie mogąc znieść plamy na swej czystej duszy, bo pod względem moralnym chciała być zawsze białą jak gronostaj. Miał jeszcze inną poszlakę. Angelika nie mówiła mu wprawdzie dokładnie o swych obawach podczas ciąży, ale on znał jej wyobraźnię, wiedział, że miewała myśli musowe, tak jak on. Mimo jej czystości — a może wskutek niej — demonicznie pociągała ją potworność, lubiła mówić o pomysłach Breughela, Goyi, Redona, a ta skłonność jej objawiła się i w kopii obrazu Ingres, i w owym krajobrazie podmorskim oraz w zamiarze malowania „potwornych piękności”, właśnie z przeciwieństwa do Redona, autora potwornych brzydot.

Jednakże każdy szczegół w hipotezie Strumieńskiego był tego rodzaju, że można go było i tak, i owak tłumaczyć. Akuszerka mogła mówić prawdę, a Angelika mogła kłamać, jak to było jej zwyczajem. Nie był też pewnym, czy go pamięć nie myli co do tonu owych słów Angeliki; przy tym podejrzewał siebie, że całą hipotezę nasunęły mu wspomnienia o Robercie, który był garbuskiem. Pomyślał, że dobrze by może było rozkopać cmentarz i zobaczyć szkielet dziecka, przy tej sposobności dostać by mógł ów list Angeliki... Ale to było okropne i straszne, trąciło świętokradztwem, zresztą i list, i ów trupek były już teraz tak „nieaktualne”. Bądź co bądź żałował, że nie uległ pierwszemu popędowi serca i nie kazał pochować Angeliki w muzeum, gdzie mógł ją wiecznie mieć przy sobie, gdzie byłby może w czasie swojej pierwszej próby w głąb łatwiej porozumiał się z jej duchem... Lecz on, niestety, pochował ją w grobie familijnym, tak jak przystało na „pana” Strumieńskiego, jak należało uczynić, żeby sąsiedzi, przyszedłszy na pogrzeb, nie szeptali sobie do ucha o jego dziwactwach (punkt wstydlivy); w grobie familijnym, w którym oprócz starego Strumieńskiego i Roberta żaden umarły nic go nie obchodził, a w którym Angelika była przecież intruzem. To bolało go, zamierzał tedy kiedyś przenieść jej zwłoki do muzeum i wyznaczyć tam także miejsce dla siebie, żeby pokazać Oli... ale to wszystko było jeszcze w dalekim polu.

Takie było podziemne życie podziemnego życia.

## XII. TENŻE SAM PIERWIASTEK Z WIZYTĄ U GASZTOLDA

Pierwiastek pałubiczny polega między innymi na inkongruencji (nieprzystawaniu) obrazu w duszy, myśli, fantazji, teorii z odnośną rzeczywistością. Aby głębiej odczuć działanie pierwiastka pałubicznego, trzeba stosunkować się do życia, wybiegać poza nie myślą, mieć plany pojmowania lub kształtowania go, wyrosłe czasem do tzw. *idées fixes*<sup>154</sup>, lub mieć choćby jakiejś żywej, osobiściej odczute szablon — wtedy nawiedza nas ten gość skryty, niepożądany, wyrzucany za drzwi, gość, którego biletu nie kładzie się na tacy.

Podczas gdy Strumieński układał sobie w wolnych chwilach epopeję o Angelice i kłopotał się o szczegóły autobiograficzne, Gasztold pisał powieść na urząd jako zawodowy literat, porzucił już bowiem malarstwo. Zobaczmy jednak wpierw, jak się rzecz miała ze wspomnianym zamachem samobójczym Gasztolda.

Otóż Gasztold w istocie bolał bardzo z powodu utraty Oli, a właściwie nie miał podstawy mówienia o „utracie”, skoro miłości Oli nigdy naprawdę nie posiadał. Swoją drogą jednak Ola, idąc za mąż za Strumieńskiego, zachowywała się wobec Gasztolda z dwulicową kokieteryą, bo np., rozstając się z nim, udawała jakiś niedomówiony żal, upozorowany współzuciem. Postąpiła jak Tatar, który uciekając wysyła jeszcze jedną zatrutą strzałę. Gasztold miał inne powody do żalowania za Olą. Mówił sobie, że Ola wabi jego zmysł malarski wdziękiem, estetycznymi ruchami, rysami twarzy — tym nawet usprawiedliwiał się przed samym sobą z tego, że się tak rozpaczliwie o nią ubijał; wreszcie pragnął „wejść w dom” i dostać jakiś posążek. „Reszta” u Oli mało go obchodziła, owszem, zdawało mu się, że to i ładnie, i zabawnie, jeżeli kobieta jest drapieżną kotką.

Wnet potem stanął Gasztold u progu swojej kryzys artystycznej<sup>155</sup>: zaczął wątpić w swój talent malarski. Stało się to na wpół dla pozy, przyjęto bowiem za pewnik, że w życiu każdego „prawdziwego artysty” musi być jedna taka epoka. Ale poza ta właściwie ratowała go na razie od zbyt silnego odczuwania istotnej tragedii w sobie (wentyl), bo miał on rzeczywiście słuszne powody do powątpiewania w swe uzdolnienie. Od daw-

Artysta

<sup>154</sup>*idée fixe* (fr.) — natrętna myśl; idea stale zaprzatająca umysł. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*swojej kryzys artystycznej* — dziś r.m.: swojego kryzysu artystycznego. [przypis edytorski]

na nie tworzył już nic większego, obserwował wprawdzie naturę i zjawiska optyczne, ale tak tylko, jak koryfeusze kazali, nadto widział coraz wyraźniej ogromne braki w swoim wykształceniu fachowym. Mimo to nieproduktywnością swoją wywyższał się nad kolegów, mówiąc, że jemu byłoby bardzo łatwo robić takie „bryndze”, jakie „tworzą” oni, lecz wtedy by musiał sam sobą pogardzać. Sceptycyzm co do swego talentu ogarniał go jeszcze podczas znajomości z Olą; lubił się przed nią popisywać nieufnością w siebie aż do cynizmu, tak że wreszcie ją samą przekonał. Miłość jego do Oli nie miała w sobie tyle romantycznego bałwochwalstwa, ile by np. mogła mieć na jego miejscu miłość Strumieńskiego. Gasztold potrafił pogardzać Olą i kochać ją zarazem, roznamiętniał się do niej, zrobił z niej swoje głupie przeznaczenie, fatum, ananke. Kiedy Ola wyszła za męża, udawał, że musi pić, ażeby się oszołomić, że musi się wdawać w miłostki, odwiedzać kobiety z pół- i ćwierćświatka, aby się pocieszyć. Oficjalna nieszczęśliwa miłość była pokrywką wybryków, a jednak gdy Gasztold zamianował ją tak ważnym czynnikiem w swoim życiu, wchłonęła w siebie wszystkie inne ujemne pierwiastki z tego życia i zaczęła działać tak dobrze, jakby na serio. Ona była teraz przyczyną upadku jego talentu, ona wreszcie sprawiła, że Gasztold nabawił się brzydkiej, niebezpiecznej choroby, której pierwszymi symptomami tak się przejął, że postanowił sobie życie odebrać. Tu odegrał rolę pierwiastek pałubiczny (według schematów nakreślonych w rozdziale IX) w następujący sposób: właściwym motorem zamachu była owa choroba, to jest groza z powodu jej następstw i raptowna beznadziejność, wywołana przez niedokładne informacje co do dalszego przebiegu choroby. To był powód najrzeczywistszy, silny, żywiołowy. Drugim takim samym powodem była zazdrość o to, że jego kolega, rzekomo najlepszy przyjaciel, otrzymał medal za jakiś tam obraz. Można by teraz mniemać, że samobójca nie potrzebuje już nic maskować, a jednak tak nie jest. Myślenie o tym, co ludzie powiedzą po jego śmierci, zachowanie się i aluzje wobec nich przed zamachem, pieszczanie się samym sobą w przedostatnich chwilach — to są szczegóły, z których samobójca buduje sobie misterny stos, na którym ma spłonąć. Nie mam wszakże pretensji do mówienia tu o samobójcach w ogóle, bo w większości samobójstw prawdopodobnie główny, żywiołowy motor działa tak silnie, że odbiera ochotę do wszelkiej komedii. Ale Gasztold nie był zaskoczony swoim postanowieniem, on niejednokrotnie już myślał o samobójstwie, ale brakło mu istotnego powodu, motoru silniejszego niż on sam. Teraz miał ich już dwa: chorobę i zazdrość, ale irytowało go, że ktoś może go posądzić o to, iż on zabija się nie np. wskutek namysłu filozoficznego lub pogardy ludźmi, lecz po prostu pod przymusem choroby, która, jego zdaniem, (plan pojmowania) tylko skryształizowała nagromadzone już w jego duszy usposobienie. Więc dla zatarcia wstydlwego punktu, dla wyrządzenia sprawiedliwości samemu sobie (s. 220, analogiczny wypadek ze Strumieńskim<sup>156</sup>), mianował inne psychiczne pobudki prawdziwymi pobudkami swego zamiaru, a chorobę samą uznał za pobudkę tylko pozornie prawdziwą, brutalną. A właściwie było mu tylko przykro musieć ginąć dopiero teraz, skoro już pierwiej miał do tego lepsze i piękniejsze powody. W tym przesunięciu się pobudek pomogło mu następujące zdarzenie: właśnie wnet po wybuchnięciu choroby spotkał w Warszawie Olę, bawił się z nią, tańczył, otrzymał oznaki sympatii, a na pożegnanie małego pieska i melancholijną zachętę do rezygnacji i platonicznej miłości z daleka. Było mu to na rękę, bo i tak na razie nie mógł się o nic więcej ubiegać, nie krytykował więc jej postępowania, lecz wziął je sobie do serca, podniecił się, przebarwił swoje motywy na barwę Oli. Teraz był przynajmniej pewny, że bodaj tę będzie miał pociechę, iż śmiercią swoją zakrwawi jej serce.

<sup>156</sup>dla zatarcia wstydlwego punktu, dla wyrządzenia sprawiedliwości samemu sobie (s. 220, analogiczny wypadek ze Strumieńskim) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment z rozdz. XI: „Skądże pochodziły te skrupuły, zmuszające go do ukrywania (?) swych zasług? Najpierw, z paradoksalnej nieufności względem samochwalstwa, rodzącej się wskutek tego, że z samochwalstwem łączy się doznawanie przyjemności, ludziom zaś często wydaje się, że większa prawda musi być w pobliżu większej nieprzyjemności. Po drugie, z obawy, by ktoś go nie posądził o przechwałki w tak błahych (?) sprawach jak sprawy sztuki, o żakowskie wściubianie swoich trzech groszy, słowem, o zachowanie się takie, jakie w sposób bardziej złośliwy niż sprawiedliwy wyrażone jest w przysłowiu: konia kują, żaba nogi nadstawia. I oto mam punkt wstydlwy *par excellence!* A przecież Strumieński miał nawet słuszność, wyrwijając dla siebie listki z tego laurowego wieńca, który spletał dla Angeliki. Powstawała więc w tym punkcie taka niemila przeszkoda w życiu duchowym, której się nie chce poruszać z obawy, żeby nie być fałszywie zrozumianym; ale ponieważ »czuje« się, że się ma jakoś słuszność, w pewien jeszcze tylko niewyjaśniony sposób, przeto dla uzupełnienia wetuje się sobie tę słuszność drogą uboczną”. [przypis edytorski]

Miłość, Cierpienie, Kobieta  
demoniczna, Samobójstwo

Samobójstwo, Korzyść

Nadszedł dzień wykonania zamiaru. Jego przedzgonny nastrój samobójczy był szczerzy, a jednak właściwie wciąż nie miał wrażenia, że idzie na pewną śmierć: zamykał główną bramę życia, lecz otwierał w niej furtkę, ryzykował życie i nie unikał śmierci, ale też jej wprost nie sprowadzał. Zobaczymy, jak się to przebiło przy wykonaniu, bo w „przedśmiertnych” chwilach Gasztold miał wprawdzie niejasne przeczucie swego niezdecydowania, ale sądził, że ono musi ogarniać każdego samobójcę i jest tylko nic nieznaczącym odruchem myśli. Tymczasem poddawał się nastrojowi, drapował się we wszystkie szlachetne uczucia, w przebaczenia dla ludzi i pogodzenia się ze światem, przebywał gwałtowne napady szczerości, napisał listy, w których się silił na zupełne pozbycie się pozy, na niebiańską naiwność i niemal dziecięcość. Ten brak pozy był pozą — ale też rzeczą pewną jest, że człowiek, który dużo czytał i fantazjował, i oswoił się z różnymi „sposobami” w życiu, nie może żadnego ważniejszego kroku zrobić bez tak zwanej pozy.

Gasztold nie mieszkał sam, lecz u pewnej rodziny i mógł wskutek tego być pewnym, że w razie wypadku odratują go. Wziął morfinę, zastrzyknął ją najpierw pieskowi Oli; piesek w dwie godziny zdechł. Widok śmierci ulubieńca Oli przeraził nieco kandydata na samobójcę, nadto okrucieństwo i oczekiwanie skutku okrucieństwa wyładowały nieco przygotowaną jego energię. Mimo to z pewnym wewnętrznym przymusem wziął się dalej do dzieła. Nabral morfiny w strzykawkę, ale właśnie tylko taką dozę, jaka wedle informacji kolegów akuratnie wystarczała na zabicie człowieka. Dlaczego nie większą? Przecież wiedział — choć na to zapomniano zwrócić jego uwagę — że różne organizmy wytrzymują różne dozy; ale mówił sobie, że skoro on tego środka pierwszy raz używa, to i mała doza wywoła śmiertelny skutek. Dlaczego zresztą nie wieształ się, nie truł, nie strzelał, nie używał takiego sposobu, w którym moment ostatniego, rozstrzygającego postanowienia jest wyraźny i sam przez się groźny — ale uciekał się do morfiny, odważał się na śmierć, ale się nie zabijał? To było tajemnicą mózgu; machinalnie instynkt samozachowawczy działał przeciwko zamiarowi. Iglą strzykawki przekłuł sobie skórę na lewej ręce wyżej przegubu i równocześnie wstrzyknął zabójczy płyn, ale zdawało mu się, że natrafił na nerw, wstrząsnął się, wyjął igłę, przeniósł ją w powietrze, mimowiednie naciskając wciąż dalej tłoczek, tak iż spowodował wylanie się paru kropli, zanim igłę w inne miejsce wetknął i resztę płynu w ciało zastrzyknął. Logika rozkazała mu nabrać znowu morfiny do strzykawki, lecz potem zamiast ponownie użyć instrumentu, położył go obok siebie i wyczuwał, jak ciało jest na osiągniętym już stopniu zatrucia. Patrzył na dwie niedostrzegalne niemal dziurki na obnażonej ręce, przez które weszła śmierć do jego ciała, i według polecenia rozcierał morfinę, żeby się rozeszła po krwi. Przez autosugestię uczuł w żyłach coś jakby krążenie, przepływanie jakiegoś strumienia i postanowiwszy mniemać, że uczynił już zadość demonowi samobójstwa, położył się na łóżku, aby odpocząć jak po ciężkiej pracy. Rzucił okiem na drzwi i przypominał sobie, że należy zasunąć zasuwkę, ale wyobraził sobie, że już nie ma siły tego uczynić, bo go senność ogarniać zaczęła; poddał się tej senności i zasnął. Było to w nocy nad ranem. Poprzedniego dnia jeszcze zdradził się Gasztold ze swym zamiarem wobec córki swojej gospodyni, dziewczyny, na którą w ostatnich dniach przenosił swe uczucia, imponując jej przedśmiertnym humorem. Córka opowiedziała rzecz matce, która wysłała do pokoju Gasztolda wczesnym rankiem męża, aby zobaczył, jak się malarz miewa. Mąż poznał zaraz po przyrządach, co się stało, przywołano doktora, który odratował samobójcę, i tak skrupiło się wszystko tylko na piesku Oli. Stek punktów fałszywych!

Nie chcę szkanować Gasztolda, jak by niewątpliwie on uczynił, gdyby miał w rękę te nici co ja. W jego rzekomym samobójstwie nie upatruję ani tchórzostwa, ani braku inicjatywy, owszem, twierdzę, że takie wypadki jak i inne (choćby nawet i skuteczne samobójstwo, bo Gasztolda ocalił tylko przypadek), o których się, jednym słowem, opowiada, nigdy się tak gładko i czysto nie dzieją; szło mi więc głównie o pokazanie mniej więcej struktury takiego zdarzenia.

Przebyte natężenie samobójcze wzmocniło siły moralne Gasztolda, objawy współczucia podniosły go na duchu. Rozpoczął kurację, a równocześnie wszedłszy rada w radę ze sobą, uznał, że przeżył tyle, iż warto by temu dać upust w jakimś dziele literackim. Zmysł malarsko-ornamentacyjny ciągnął go do powieści, bo tu nie potrzebował tak jak w dramacie dbać o nieubłagane plastyczne wrażenie na widza, niezależne od „piękno-

Samobójstwo, Gra

Samobójstwo, Pies

Samobójstwo

ści poetyckich”, ale mógł malować, pieścić, cyzelować, zadowalać swe postronne uczucia i skryte zachcianki.

Gasztold należał do tych poetów, którzy w swoich dziełach wysyłają w świat westchnienia, manifesty dla kobiet, wszystkich lub niektórych, chwalą się: „Jak ja cierpiałem! jak ja kochałem! jak ja bym potrafił kochać!”. Był też wówczas na porządku dziennym romans subiektywny, zdradzanie tajników własnej duszy, naśladowanie szczytnej nieprzepartości zwierzeń. Dawano niby to kawały życia, ociekające jeszcze krwią. Gasztold miał do oddania to wszystko z siebie, co się skupiało koło Oli, ze wszystkimi zachwyta- mi, sympatiami, nienawiściami, psychologiami, nastrojami. Powieść jego poruszała się mniej więcej na torach *Bez dogmatu* i *Na jedną kartę* Sienkiewicza. W postaci odpowiadającej Oli naśladował Anielkę, lecz naturalnie zatarł to naśladownictwo. Swoje znanstwo malarskie okazał, opisując dokładnie z różnymi subtelnościami twarze, suknie i ruchy osób, a opisując Olę wynalazł w całej jej postaci jakieś „coś” specjalne. Miał bowiem, nb. na uboczu, zamiar pochlebiaenia jej, aby sobie na wszelki wypadek zabezpieczyć na przyszłość jej względy. Nawet jej okrucieństwo dostało sympatyczny pokost, opisał ją bowiem jako ofiarę wpojonych poglądów, jako istotę zależną, niesamodzielną, jako Marylę Mickiewicza. Siebie wprowadził Gasztold jako utalentowanego muzyka, Strumieńskiego (Kromickiego) jako fabrykanta, który wciska się w sfery artystyczne i udaje mecenasa sztuki, aby mieć zaszczyt żyć z artystami. Miał to być typ skończonego filistra — takiego filistra, o jakim się w książkach czyta. Jako bogaty dorobkiewicz, żywił Strumieński Gasztolda także pretensje arystokratyczne, lubił wyrzucać pieniądze, hulać, bawić się — „tak, jakby wszyscy jego przodkowie barbarzyńcy po chciwej pracy skupili się w nim, ażeby wreszcie używać”. Miał jednak ów Strumieński mimo pociągu do hulatyki i używania nierycerską miarę, która go w sam czas hamowała w wybrykach: przegrywał — ale nie krocie, kochał się — ale nie niszczył zdrowia, pił — ale miał dobrą głowę, a po każdej serii złożonej z takich orgii rzucał się w wir pracy i zarabiał nowe tysiące. Podczas gdy obok niego ci, którzy naprawdę mieli krew błękitną w żyłach, szaleli, marnowali się, tracili majątki, strzelali się lub pojedynkowali, on jeden zachowywał *juste milieu*<sup>157</sup>, miał instynktowną miarę w walce o byt, zdrowe tempo życiowe zwierzęcia fabrykującego i wzbogacającego się. Gasztold bardzo się cieszył wynalezieniem takich subtelnych rysów dla charakteru swego Strumieńskiego, tym bardziej że, jak sobie mówił, charakter ów nabierał przez to znaczenia „typu” (awans!), i to typu o podkładzie społecznym, mniej więcej na sposób powieści, jakie się wówczas pisało. Naturalnie sympatia autora była nie po stronie fabrykanta Strumieńskiego, lecz tamtych, tych „*morituri*”<sup>158</sup>, którzy ginąc ginęli wspaniale, dawali światu bezinteresowne ogniotryski, marnowali siły swojej — nb. nagromadzonej przez wieki — inteligencji i swego uczucia na rzeczy niepotrzebne, idealne, jak ci rycerze, co szli na odsiecz Wiedniowi. — Gasztold znajdował się pod wpływem nowoczesnych ogólników o rasach, kastach, sferach itd., a wiadomo już, jak na ten sam wpływ reagował Strumieński. (Por. także zapatrywania Roberta s. 54<sup>159</sup>).

*Licentia poetica*<sup>160</sup> ułatwiła Gasztoldowi mniej skrupulatne rachowanie się z materia-łem życiowym, stanowiącym podkład jego powieści, toteż łatwiej przełamywał on trudności niż Strumieński, który musiał się trzymać rzeczywistego toku wypadków. Zresztą był Gasztold gwałtowniejszym, prędzej chciał dotrzeć do celu, traktował rzecz z ślepym „rozmachem”, miał w sobie te wszystkie cechy geniusza, o których można wyczytać w literaturach. Pozwalał sobie na mnóstwo szczerostek, demaskował swoje rzekome podłości, ale za to kupował sobie prawo mszczenia się na prawo i lewo. Zaznaczył więc np. w romansie, że miał pewne dwuznaczne przywileje u Oli i że tylko tym przywilejom zawdzięczała ona przykucie go do swego rydwanu. Nie było to prawdą, ale Gasztold chciał

<sup>157</sup>*juste milieu* (fr.) — umiar, złoty środek. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>*morituri* (lac.) — mający umrzeć; idący na śmierć. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>*Gasztold znajdował się pod wpływem nowoczesnych ogólników o rasach, kastach, sferach itd. (...) (Por. także zapatrywania Roberta s. 54)* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku we wskazanym miejscu znajduje się fragment: „[Piotr] niezaspokojony swój apetyt pokrywał miną dumnej obojętności. Ale na tej odmianie dumy Robert się nie poznawał i widział w niej tylko dziedziczną służbiwość Piotra, bo chciał go uważać za »zdrową plebejuszowską naturę«, siebie samego zaś miał za »naturę arystokratyczną«, delikatną, trochę chorą, ale przede wszystkim *souverain*, ale subtelną i zdolną nie tylko do wyczuwania, lecz i wytwarzania wrażeń estetycznych”. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*licentia poetica* (lac.) — wolność twórcza, swoboda poetycka. [przypis edytorski]

się mimochodem pochwalić swoim rzekomym szczęściem do kobiet z wyższych sfer, a Strumieńskiemu dokuczyć i wzbudzić w nim zazdrość. W osnowie powieści wymierzył sobie Gasztold zupełną satysfakcję co do Oli. Oto Ola po wyjściu za mąż przekonywa się, że na świecie oprócz pieniędzy jest jeszcze potrzeba szczęścia. Zaczyna się więc kochać w Gasztoldzie, który tymczasem dzięki swym cierpieniom stał się kompozytorem, nb. słynnym. Co dziwne, autor nie mógł się tu powstrzymać od starego porównania o perle, która jest chorobą muszli; chociaż aby je zdebanalizować, dodał: „to stare porównanie nie jest tak banalne, jak by się wydawało”. Muzyk chce się mścić na Oli, oplątuje ją siecią miłosną, upaja muzyką, zwabia ku sobie, czeka, aż ona sama rzuci mu się w objęcia, aby ją wtedy odepchnąć i ukarać. Rzeczywiście powieściowa Ola przychodzi na wyznaczoną schadzkę, aby się oddać powieściowemu Gasztoldowi, on zaś ma zamiar w stanowczej chwili, kiedy zdrada jej nie będzie już ulegała wątpliwości, obejść się z nią zimno, zawołać jej męża, wyjąć ze stolika dwa rewolwery i powiedzieć: „Teraz walczmy oko w oko jak dwa samce o samicę w lesie pierwotnym”. Lecz właśnie w rozstrzygającej chwili nie dopisuje mu zimna krew, na widok wdzięków Oli ogarnia go szal, zdradza więc sam siebie, zdradza „mężczyznę w sobie”, bo zamiast korzystać z podejścia, woli, by ona oddała się jemu samemu, to jest nie zamaskowanemu tą rolą, jaką grał dotychczas. Pada na kolana, wyznaje jej swój nieczyny zamiar i oddaje się na łaskę lub niełaskę. Lecz ona wzdryga się przed nim. Póki go kryła maska, póki był tajemniczym tyranem, póty jej się podobał, imponował (ach, te kobiety!); teraz jednak, gdy właściwie znikła już logiczna podstawa obaw, Ola zaczyna się instynktownie bać ukrytych w nim demonów i możliwych dalszych zasadzek i ucieka — dawszy mu wprawdzie w napadzie skruchy do poznania, jak bardzo kocha ona swego męża, a mąż ją (dobry rys). Po jej wyjściu Gasztold kładzie kres swemu życiu, nie morfiną jednakże, ale wystrzałem rewolwerowym, po przebyciu chwil przedśmiertnych takich, jakie niby to w istocie przeżył sam autor.

Tak sobie użył Gasztold w powieści, lecz chociaż skulminowanie jej w walce między „mężczyzną” a „kobietą” (por. podobne szablony u Strumieńskiego na s. 161 i 219<sup>161</sup>) wydało mu się doskonałym, wysoce problemowym, a nawet jasnowidzącym, miał przecież małe wyrzuty sumienia co do przekręcenia charakteru Oli, Strumieńskiego, swego i różnych figur epizodycznych, które zaczerpnął z otoczenia. Czuł, że w życiu rzeczywistym były jeszcze jakieś inne, dalsze, nieznanne lub bardzo zawikłane czynniki, które sprawiały, że ani Ola nie rzuciła mu się w ramiona, ani Strumieński nie był takim, jakim go w powieści opisał. Powiedział sobie wprawdzie, że poecie wolno „tworzyć” charaktery, ale powiedział to sobie z zuchwałstwem rezygnacji, bo chociaż z estetyki nauczył się lekceważyć życie jako coś chaotycznego, był przecież na tyle wrażliwym, że czuł z pewną zazdrością, iż ono jest bogatsze, lepiej napisane, że tragiczne momenty wychodzą w nim inaczej, że ono, lubo<sup>162</sup> napisane nieporządnie, ma przecież swoje odrębne, nienaruszalne kryterium, że jest w nim coś szekspirowskiego do dziesiątej potęgi. Nie mógł się również całkiem zasłaniać tym, że postawił problem, ideę, gdyż dostrzegał w swym dziele i inne, bardziej poziome tendencje, których się przecież pozbyć nie chciał — ale wkrótce stworzył sobie na ich poparcie teorię, że tak właśnie być powinno, bo autor nie jest twórcą bezpłciowym, lecz właśnie namiętnym, stronnikiem kawałkiem życia.

Powiedziałem, że na porządku dziennym był wówczas romans subiektywny, rozkrawianie publiczne własnej duszy, i że na tym tle powstała powieść Gasztolda — jednak muszę to zmodyfikować. Gasztold nabrał tylko odwagi wskutek tej „szkoły”, korzystał z jej technicznych ułatwień w toku powieści, nie miałby także za złe, gdyby jaka panna,

<sup>161</sup>skulminowanie jej w walce między „mężczyzną” a „kobietą” (por. podobne szablony u Strumieńskiego na s. 161 i 219) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swojej powieści; w tym przypadku we wskazanych miejscach znajdują się odpowiednio fragmenty rozdziału VII: „(...) lecz zamiast widzieć w tym wpływ jej wychowania, wykształcenia, stosunków, przesądów, zamiast uwzględnić masę innych czynników, trudniejszych do uchwycenia, wołał pójść drogą wygodnych umysłów i w swoich walkach psychicznych z Olą upatrywał rzekomy wieczny antagonizm między mężczyzną a kobietą w ogóle. Ta ponętna teoria uspokajała go nieco, pozwalając mu cieszyć się swoją wyższością umysłową (...)” (s. 161) oraz rozdziału XI: „Strumieński, jak już wiemy, był zwolennikiem ogólnikowego mówienia o mężczyźnie i kobiecie, o rzekomych zasadniczych, odwiecznych różnicach dwóch płci (...) mówił, że jak pod względem fizycznego ustroju kobieta ma pewne minus, a mężczyzna plus, tak samo i pod względem duchowym: «On ma nasienie, a ona łono, on zapładnia, a ona przyjmuje, przetwarza i nosi płód, odżywia go w sobie, karmi i wydaje na świat» (...)” (s. 219). [przypis edytorski]

<sup>162</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

czytając powieść, westchnęła do jej autora lub oświadczyła mu się, nie gniewałby się też na serio o skandaliczne plotki mogące powstać z powodu jego powieści, bo one zrobiłyby mu reklamę w niektórych głębszych inteligentnych sferach. Temu popędowi jednak stawał na drodze i osłabiał go inny, mający źródło, po pierwsze, w odruchowym wstydzie obnażania się publicznie i narażania się może na ujemne komplementy (na dodatnie by się zgodził); po drugie, w obawie, by nie posądzono go, że skoro czerpie żywcem z życia i okrada je, to widocznie brak mu fantazji lub poluje na skandal; po trzecie zaś, w innym znowu ówczesnym przesądzie literackim, dzięki któremu Gasztold wchodził w kompromis ze swymi tajemnymi zachciankami, zacierał nieco genezę swego dzieła, umieszczał punkt ciężkości w nim samym, a nie poza nim, przeinaczał figury, dodawał im rysy wprost przeciwne tym, jakie miały w rzeczywistości, wprowadzał nowe motywy, niespodzianki, mające zbici z tropu tych zanadto domyślnych, którzy by chcieli coś przewąchiwać. Przesąd ów polegał na tej *idée fixe*, że „dzieło sztuki” — tak to nazywano — buduje się według prawideł jakiejś zaziemskiej, transcendentalnej, matematycznej estetyki, „tej nienapisanej”, że ma ono stanowić jakąś dziwną symfonię, z której ani jednego tonu ująć, ani dodać nie można, żeby nie zniszczyć nieznanych proporcji dzieła. Ten cement spajający dzieło wyższym jest od twórcy i to jest właśnie legendowa iskra boża. Taki był postulat-upiór, który dręczył ówczesnych literatów, zwanych poetami. Chętnie także nazywano poetyczne dzieło organizmem, bo wtedy można było przeprowadzić dużo dowcipnych analogii, a zmysł spostrzegawczy miał pole do popisu. Owóż Gasztold, ten sam Gasztold, który gdy szło o wydrwienie Strumieńskiego, tak dobrze mówił mu o linii piękna w głowie, był zaciętym zwolennikiem takiej tezy-upióra, a miał ją jeszcze z czasów, gdy był nieproduktywnym malarzem i krytykował wszystkich kolegów artystów, tak malarzy, jak literatów i muzyków, coraz to wyższymi postulatami, obchodził się z nimi jak sztukmistrz, który tresowanym pieskiem nadstawia laskę do przeskakiwania, nisko, wyżej, coraz wyżej, wreszcie tak wysoko, że aż: „Widzisz, tego już nie przeskoczysz”. Tego rodzaju postulaty miały w literaturze swoich ascetów i swoje ofiary. Gasztold, nawykłszy do surowości względem innych, próbował jej teraz na samym sobie. Postulat swój przedstawiał on sobie sposobem następującej hiperboli. Że oto jego dzieło jest już niejako napisane, napisane doskonale, tak jak ono powinno wyglądać, a praca autora polega właściwie tylko na odcyfrowywaniu, spisywaniu kabalistycznych podszeptów duchów, które mu odczytują owo napisane już w prabytciu dzieło, i to się nazywa natchnieniem; o ile natchnienie mniej więcej dopisuje, o tyle dzieło ziemskie zgadza się mniej więcej ze swym transcendentalnym pierwowzorem. Albo też porównywał dzieło do gotowego już obrazu zakrytego jakimś bielmem, które twórca ma powoli zeskrobywać. Otóż ilekroć mu takie ideały na myśl przychodziły, tylekroć żałował, że za wiele czerpie z życia, że nie tworzy kryształu według prawideł nieznannej krystalografii estetycznej, lecz zlepia jakiś konglomerat mający tylko pozór jednolitości.

Sztuka

Jednak wszystkich tych skrupułów Gasztold nie doprowadzał do ostatecznej konsekwencji, nie rozwiązywał, nie rozjaśniał sobie, ale raczej odczuwał je tylko. Jakoś znalazły się drogi pośrednie, paliatywy, żeby i wilk był syty, i koza cała. Jakoś — w tym tkwi sęk. Oto nie tylko ciało, ale i umysł posiada swój „instykt samozachowawczy”, mocą którego ochrania swoje ulubione wytwory przed napaścią zbyt srogich postulatów, wymija je (w tak nazwanych przeze mnie punktach fałszywych), a wytwory swe wynosi na tron, syci je, aby rozkwitły — czasem nawet samo stawianie postulatów może być takim wytworem, jak to widzieliśmy u Strumieńskiego.

Falsz

Z prawdziwą przyjemnością kreślę historię literackich kłopotów i cygaństw Gasztolda. Życzę jak najwięcej takich kłopotów wszystkim „poetom”, życzę im, żeby się gięli, męczyli i samobójstwa popełniali pod grozą własnych chimier estetycznych! *Pium desiderium*<sup>163</sup> moje — ale wszakże oni są pod strażą *BWD*<sup>164</sup>.

Dalsze większe zmartwienie miał Gasztold z następującym dylematem: napisał dzieło, w którym miłość odgrywała rolę jego zdaniem za wielką, w którym bohater do spraw erotycznych przywiązywał za dużo wagi; obawiał się więc popaść w podejrzenie, że on, autor, solidaryzuje się z takim rozlazłym, kochliwym bohaterem. Bo Gasztold był przymu-

<sup>163</sup>*pium desiderium* (łac.) — pobożne życzenie. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>są pod strażą *BWD* — autor odsyła tą aluzją do poprzedniej części powieści, zatytułowanej *Sny Marii Dunin*. [przypis edytorski]



sowym zwolennikiem antydekadenckiej nagonki, w której pętach widzieliśmy już Strumieńskiego (por. s. 169 i dalsze<sup>165</sup>); zdrowotne i siłowe szablony współczesne imponowały mu tym bardziej, im bezlitośniej obchodziły się z jego skrytymi sympatiami. Znał także Gasztold różne sławne przykłady otrzeźwienia się w literaturze, które mu imponowały i które naśladować, cytować uważał za swój obowiązek, zwłaszcza gdy taki przykład był mu przeciwko komuś na rękę, choćby przeciw niemu samemu. Ale podczas gdy otrzeźwienie się u owych koryfeuszów poezji, których Gasztold obrał sobie za wzór<sup>166</sup>, przychodziło dopiero jako naturalna ewolucja po okresie rzeczywistej burzliwości i szczyrych próbach

<sup>165</sup>Gasztold był przymusowym zwolennikiem antydekadenckiej nagonki, w której pętach widzieliśmy już Strumieńskiego (por. s. 169 i dalsze) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; w tym przypadku na odnośnej stronie znajduje się fragment rozdz. VIII: „Ludzie subtelni i czuli zaczęli zazdrościć półgłówkom, zaczęli szukać ożywczych soków, bredzić o kwietyzmie, chorobliwości, wybujałościach cywilizacji, aż wreszcie zgodnie stwierdzono, że się jest do niczego, a za jakiś czas, że się już jest na drodze do poprawy i czynów. (...) Strumieński przebył już swoją awanturę erotyczną, nie przyciągała go więc odwrotna strona medalu, zwierciadło grzechu nie kusilo go do grzechu, ale wessał w siebie teorię i dobijał nią to, czego mu jeszcze nie zohydziły Ola i nowe jego zachcianki. Bał się wprawdzie, że charakteru jego nie można już naprawić, ale na wypadek, gdyby tak było niestety, zamierzał przybrać przynajmniej pozór, że jest innym, wstydić się i żyć ze swoim »garbem psychicznym« wśród ludzi incognito”. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>u owych koryfeuszów poezji, których Gasztold obrał sobie za wzór (...) — [Komentarz autora z Uwag.] Wkrótce po napisaniu tego rozdziału *Patuby* wyszło dzieło, które jest klasycznym okazem takiego sposobu powstawania dzieła, jaki dopiero co określiłem. Jest to Zbierzchowskiego powieść *Przed wschodem słońca*. Autor sypie nastroszonymi, „zdawaniami się” itp. zabawkami, dopuszcza się elukubracji fortepianowych za dziesiątym już wzorem, posługuje się najwykleszszym żargonem poetyckim {Oto cytaty z tej powieści, które mogą być także przykładami do sprawy poruszanej na s. 456 [tj. w uwadze do słów „zdawało mu się», że...” w rozdz. V; red WL]: „Jakiś smutek nieokreślony wkradł się do duszy S.” „Zdawało się, że całe złoto jesiennego słońca zbiegło się w jej płowych włosach”, „Przyznała mi tu jakaś wyższa moc”, „Trawy szumią jednostajnie, niby jakiś cichy wtór do wielkiej symfonii jesienniej”, „...konał ów wieczny, adamowy bunt męski”, „(służąca) ...sięgała chwilami prostym, brutalnym spojrzeniem aż do dna skomplikowanej duszy swej pani”, „...przejeździł pół świata, zostawiając wszędzie cząstkę swej wrażliwej, miękkiej duszy”, „nerwy poszarpane na strzępy”, „przebijała się w nim prawdziwie słowiańska miękkość charakteru”, „Wisiał w powietrzu coś ciężkiego i duszącego... a jakaś wyższa moc przykuwała do miejsca”, „wszystkiemu winna ta przeklęta do wszystkiego wtykająca swój nos analiza”, „Rozdżce zaci, prości, szczyrzy jakby zupełnie nie odbiło się na nich kilka tysięcy lat kultury” (por. *Patuba* [rozdz. X: „szedł za hasłami Rousseau’a odświeżonymi przez nowoczesną błagę o »czynie« (...)]”), „Noc była gwiazdnym migotaniem gwarna”, „Nagle stało się we mnie coś dziwnego”, „Odwieczna modlitwa do kobiety...”, „Uczuwał jakiś wewnętrzny przymus...”, „S... analizował każdą myśl, każdy poryw, każde drgnienie Psychy” (mamy to wierzyć autorowi na słowo, bez dowodów), „...otrząsał się z lachmanów powątpiewań, goryczy, przerafinowania i odczuwał znów wszystko z siłą i prostotą pierwotnego człowieka”, „obrzucił Emę tym specjalnie męskim obnażającym spojrzeniem” (z tym frazesem można się bardzo często spotkać), „zdolna bestia, tylko straszny leń i narwaniec”, „szczęścia dla dusz takich jak nasze — znękanych, bezdomnych”, „wzrok jego gasł, jakby w nim dogorywała dusza”, „...o literaturę, dzisiejszą chorobę wieku”, „S... powtarzał: a my co? komedianci, marne robaki, ...zmarnowaliśmy siebie i drugich”, „kąpał się bezgraniczny, rozpaczny smutek”, „...a to byli ludzie cisi, nieraz zdolni, tylko dziwnie smutni, bezdomni, znękani, przeczuleni...”, „a cały nasz błąd, to dusza smutna, za wrażliwa, prawie kobieca...”. Ta sama naiwność planu pojmowania jest np. u Mirandolli: „My wnuki Braminów znad Gangi...”. Jednym słowem Z. bierze na serio, lecz bezkrytycznie wszystko to, z czego ja się śmieję. Nie przypisuję tej powieści większego znaczenia literackiego, lecz korzystam z tego bardzo szczęśliwego trafu, że w nim napotykam niektóre współczesne przesady inteligentne na kupie: zaiste lepszego przykładu do wiwiskcji literackiej nawet na obstalunek dostać bym nie mógł. Muszę jednak dodać, że nie atakuję Z. bynajmniej jako jednostki, lecz jako reprezentanta pewnego gatunku pisarzy, a do tego gatunku należą choćby Żeromski i Sienkiewicz. Z. jest tylko wychowankiem tej szkoły zaniedbań intelektualnych w poezji, która jest w imię Boże naszą polską specjalnością. Ciekawe jest to, że Z. zna także tę myśl, i modną chorobę nerwów, schyłkowość, niezdrowie duchowe można w siebie wmawiać (s. 38. jego książki), a jednak i ta myśl występuje u niego tylko jako szablonik, nieprzeszkadzający szablonikom wprost przeciwnym (niepoprzebijane ścianki). Ciekawe jest i to, że bohater jego książki występuje już to jak analityk, rozumowiec według dawnej recepty, już to jako subtelniś, czuciowiec, według recepty nowej, chociaż właściwie jedno z drugim się nie zgadza (patrz *Patuba* [rozdz. X: „Nie od razu odbyła się w nim ta zmiana. Wszakże czuł, że nowe rzeczy, do których lgnął, są poniekąd w sprzeczności z poglądami, które dopiero niedawno na sobie wymusił (...)]”); przypis autora), a mimo to stara się wyskoczyć ponad siebie i kreśli sytuację, w której na Sądzie Ostatecznym Bóg pyta: „Kraj, biedny, wyniszczony, żądał od was pracy, tysiące ginęły w nędzy, ...aby w nieszczęściu hartowały się ludzkie dusze (znany frazes!). Jeśli doświadczał ciężkimi próbami, to dlatego, aby to co lepsze jak oliwa wyszło na wierzch, aby dać pole do zmagania się, do walki, do czynu. Gdzie byliście w tych chwilach, co robiliście wtedy?”. A oni (tj. poeci) odpowiedzą wielkim głosem, niosąc pod pachą manuskrypty: „Pisaliśmy!!”. Musiałem o tym wspomnieć, gdyż inaczej mógłby mnie ktoś powiedzieć, że ta powieść służyła mi za wzór do rozdziału XII, podczas gdy ona była mi tylko potwierdzeniem moich myśli, udowodniła mi, że próbując w ten sposób jak u Gasztolda skombinować krążące dziś u nas w powietrzu tematy i idee, byłem bliski prawdy. Zresztą pierwiastki powieści Gasztolda wysnute są po części z innych dzieł, których nie wymieniam, gdyż *Chora miłość* nie ma na celu szkanować autorów, lecz jest próbą odbudowania genezy dzieł tego rodzaju w związku z życiem. Próba ta należy do kompleksu innej kwestii pt. „Propozycja poetycka”, którą się żywo zajmuję i o której kiedyś więcej powiem. I szczególnie o elukubracjach fortepianowych nie potrzebowałem brać od Z., bo szczególnie ten był i jest ogólnie w modzie, może wskutek tego, że w gimnazjach naucza się, iż koncert Jankiela jest szczytem mistrzostwa

brania wszystkiego na gorąco, wywołanych nieznaną proporcji świata: Gasztold w swoim dziele antycypował wyniki takiego rozwoju, korzystał z ich imponującego pozorów, a ponieważ równocześnie nie otrząsnął się jeszcze z młodzieńczych szaleństw, więc pozwolił sobie niejako na kopnięcie samego siebie w tym samym dziele, zwalając wyłącznie na sumienie swego bohatera te wybujałości, np. erotyczne, które tkwiły w autorze.

Zatytułował przede wszystkim swoją powieść: *Chora miłość*. Z tajną przyjemnością okrucieństwa wypisywał te słowa na tytułowej kartce, szło mu bowiem nie tylko o zaznaczenie swej wyższości nad dziełem, ale i o zrobienie niespodzianki, zawstydzającej tych wszystkich, którzy by się ośmielili sympatyzować z jego bohaterem w inny niż przepisany sposób. Tak to przynajmniej w wyobraźni tworzył sobie Gasztold towarzyszy niedoli, wyrządzał innym tę samą krzywdę, którą sobie zadawał. Nadto napisał Gasztold przedmowę, w której w sposób dość lekceważący wyrażał się o swym temacie, bohatera nazwał „pewnym dziś niestety często spotykanym typem”, a miłość jego „miłością studencką”, zaznaczył wreszcie, że za to on, autor, wie doskonale, iż sprawy erotyczne nie są najważniejszymi, bo „na świecie dzieje się tyle rzeczy, od których grzmi aż pod niebo — aż gwiazdy z gniewu...” — „trzęsą się” napisał, zmazał i poprawił na: „gasną”. Po sprawiedliwości dodać trzeba, że szło mu i o to, żeby zbić z tropu Olę, żeby nie myślała, iż on sobie z niej aż tyle robił; a przecież równocześnie pragnął na niej także i ten wpływ wyrzucić.

Za to miał Gasztold rozkosze, pławiąc się w potopie swego stylu — muzycznego, pieszczącego ucho, to szumiącego jak kaskada spadająca po kamieniach z gór, to groźnego jak piorun, kiedy zahuczy rozpacznie w chmurach gęstych, poczwarnych w upiorną a głuchą noc jesienną itd., itd. *Miał styl*, a „styl to człowiek”. Rzeźbił, cyzelował, drążył, malował, śpiewał. Ten styl był dla niego rękomię talentu, zdawało mu się, że wylewa on się z jakichś nieznanych mu rezerwuarów jego duszy — a to po prostu były odtłoczone przez lekturę foremki, przez które przepływały słowa, tworząc mniej więcej te same melodie. Odkrył zresztą niektóre sekrety swego stylu. Naprzód, żeby trafić na jakiś dobry, wydajny rozpędnik do rozpoczęcia zdania; taki rozpędnik można potem w różnych wariacjach powtarzać jak motyw muzyczny. Po drugie, lubił czasem, zwłaszcza na końcu jakiegoś ustępu, kiedy się już dobrze rozmachał, dawać stylowi ostrogę i puszczać go w galop. Wtedy wydłużał zdania w dalekie okresy, włókł czytelnika po wertepach, oszalał, hipnotyzował, porywał, myśl nieskomplikowaną i banalną w najbardziej zawile i cudowny sposób wyrażał, powtarzał, tak że było to jakby echo wystrzału, tysiącokrotnie odbite w lesie pełnym grot tajemniczych, aż wreszcie zziąjanemu, w labiryntach zabląkanemu czytelnikowi dawał uspokojenie w długim, długim, pełnym, pełnym akordzie rozlewającym się majestatycznie jak tafla wód afrykańskiego jeziora.

A ponieważ muzyk był bohaterem powieści i naturalnie grał dużo a ślicznie, Gasztold miał także sposobność do różnych elukubracji stylistycznych, którymi starał się sprostać muzyce. Były to ustępy przeznaczone do przepisywania w imionniczkach panieńskich, do deklamowania przy akompaniamencie, do zacytowania w recenzjach z tym dodatkiem, że powinien się znaleźć muzyk, który by to na powrót przetłumaczył na mowę tonów.

Jedno tylko małe zmartwienie miał Gasztold ze swoim stylem: oto chciał być koniecznie aforystycznym, bo uważał to za specjalną zaletę stylu. A że treść nie zawsze dobrze krystalizowała mu się w aforyzm, musiał czasami szachrować, wplatał aforyzmy ukute przy innych sposobnościach i naciągał do nich treść, np. wkładał je w usta figurom

---

poetyckiego. Zresztą, kocioł garnkowi przyganiał, a oba zasmolone: u mnie są elukubracje malarskie i architektoniczne, tak samo niefachowe. *Przed wschodem słońca* oparte jest zresztą tak jak przeważna część dzisiejszych powieści na podwalinach dualizmu: czyn i myśl. O ile mogę się dorozumieć, to i *Wyzwolenie* Wyspiańskiego jest wysubtylizowaną wariacją tego samego dualizmu; tak przynajmniej bywa pojmowane. Ponieważ spotkałem się już parę razy z twierdzeniem, że Wyspiański w *Wyzwoleniu* zajmuje wobec poezji to samo stanowisko, co ja w *Paluby*, więc muszę to sprostować. Wyspiański nie walczy z poezją w ogóle jako z pojęciem, owszem sam brnie w niej po pas, ja zaś twierdzę, że „poezji” nie ma, nie było i nie będzie {Szerzej rozwijam to w *Szańcu do Paluby*; przypis autora}. O ile zaś idzie o zwalczanie tej działalności ludzkiej, która bywa nazywana już to myślą, już to poezją, już to wyrafinowaniem psychicznym itd., to stoję po stronie poezji i wszystkich Płoszowskich na świecie. Umysłowość ludzka prze do tego, że „poetą” stać się musi każdy człowiek, to jest bowiem przejściowa forma do wyższych form życia, to jest inżynieria psychologiczna, architektura dla kompleksu  $\alpha$ ,  $\beta$   $\gamma$ ... Tak jak są inżynierie kompleksu a, b, c... i A, B, C... (higiena). Myśl jest o wiele ważniejszą niż czyny, których reperuar jest tyłu przymusami ograniczony i których ostatecznym celem jest zwykle pewien stan myśli. [przypis autorski]

epizodycznym *ad hoc*<sup>167</sup> wprowadzonym. Oto przykłady tych aforyzmów: „Niektóre duże ludzkie są jak błękitny kąkol, inne jak pożyteczny kłos zboża, inne znowu jak chwast zielony, który ani pożyteczny, ani piękny nie jest”. „Fartuszek kobiety nie może nigdy zastąpić sztandaru idei”. „Filiestra poznasz po tym, co mówi, arystokratę ducha po tym, co zamilcza”. Aforyzm o tragicznych bohaterach z arystokracji, skreślonych według recepty dramatu *Na jedną kartę*, brzmiał tak: „Dzielność prawdziwa polega na tym, żeby wyteżenia i zdolności człowieka szły w linii przeciwnej, a równoległej do najważniejszych przeszkód życia; bo tylko wtedy energia się nie rozprasza”. „Jeżeli takie były cierpienia ustami przez nią zadane, to i rozkosz pocałunków, w jej ustach mieszkająca, musiała być jedyna”. (Co za logika.) „Geniusze muzycyjni to wulkany, przez które wybucha ukryta we wszechświecie ogólna harmonia”. „Prawdziwa muzyka jest więcej niż muzyką, jest poezją; prawdziwa poezja zbliża się do muzyki”. „Prawdziwa muzyka jest odnajdywaniem duszy instrumentu; tu jest związek muzyki z mitologią”. „Prawdziwy wdzięk jest bardzo zbliżony do wdzięczności — dla wszystkich i dla wszystkiego”. „Muzyka jest czasem, który tęskni do tego, żeby być miejscem”. „Na każdą wklęsłość w naturze przypada odpowiednia wypukłość<sup>168</sup>”. Naturalnie było także mnóstwo aforyzmów na temat mężczyzny i kobiety, że mężczyzna tak, a kobieta owak; np.: „Mężczyzna ma uczucie w rozumie, a kobieta rozum w uczuciu” itp.

*Chora miłość* dzięki znajomościom, jakie posiadał Gasztold, i jego znanemu burzliwemu charakterowi zyskała średnie powodzenie. Atoli większa część czytelników i recenzentów pomimo ostrzeżeń zawartych w tytule i przedmowie uznała książkę za niemoralną i dla zdrowia społecznego zgubną. Nie jakoby ci ludzie mieli mimo owych ostrzeżeń dobry węch, lecz po prostu dlatego, że to, co autor im podsuwał, wcale na nich nie działało, nie włożyło się nawet do ich umysłu, szczęśliwego z posiadania jednego wygodnego kryterium, było dla nich już zanadto subtelne i skomplikowane. Jakie wrażenie wywarła *Chora miłość* na Strumieńskich?

### XIII. DALSZE FLUKTUACJE

„Podziemne życie” Strumieńskiego wywierało także odwrotny wpływ na jego stosunek do Oli. Gdy niebo myśli o Angelice było jasne i słoneczne, Strumieński oddalał się od Oli, ofiarowując jej tylko „ziemską miłość”, w czasach jednak gdy pierwiastek pałubiczny brał górę, Strumieński wracał do Oli i cieszył się, że ją ma, potęgował uprzejmość i dobroć dla niej, aby jej wybić z głowy Gasztolda. Czasem jak dawniej powstawały między nimi nieumówione separacje, w których on chciał jej upór przewyciężyć, lecz potem mościł drogę, wykradał się do niej, do własnej żony, albo też ona jego w tym naśladowała — i z tego później rodziły się dzieci. Ciągle się mylił co do niej i wracał. Podobnie było i z Olą; gdy kochała męża, do miłości tej mieszały się zastrzeżenia i kaprysy, za to gdy się z nim gniewała, do gniewu wkradała się miłość. Ilekroć obmówiła męża przed krewnymi, miała wyrzuty sumienia i starała się po kryjomu wynagrodzić mu tę krzywdę. Zresztą nie miała ani powodu, ani potrzeby zaostrzać swych sporów z mężem, tym bardziej że nie chciała sobie psuć firmy poważanej obywatelki, którą to firmę bądź co bądź jemu zawdzięczała, ani narażać na szwank tych wpływów, stosunków, tego miru, jaki posiadała w okolicy, będąc panią Strumieńską, młodą matroną. Lubiła chodzić do domów chłopskich, roznosić leki, być całowaną po rękach, słuchać życzeń: żeby Pan Bóg dał pani i panu 100 lat zdrowia; chętnie nazywała się nawet chłopomanką. Dla wygody psychicznej więc przyzwyczała się wbrew swemu „przekonaniu” uważać Strumieńskiego za

Miłość

<sup>167</sup>*ad hoc* (łac.) — na poczekaniu; dosł.: do tego. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*Na każdą wklęsłość w naturze przypada odpowiednia wypukłość* — [Komentarz autora z *Uwag.*] Aforyzm: „na każdą wklęsłość przypada w naturze jedna wypukłość” ja sam niegdyś ukulem i na serio wziąłem. W nim to streszcza się dosadnie dążność do symetrycznego poglądu na świat, jaką się nabywa u nas wskutek szkolnego wychowania, lektury itd. Z pewnością trzy czwarte czytelników moich pisałoby się na ten aforyzm, którego trafności obiektywnej dlatego badać nie potrzeba, bo jego psychologiczne powstanie jest wytłumaczone w duchu uwagi [do słów „bicz losu pędzi nas do wszechwiedzy (...)” w rozdziale VIII]. Zastosowaniem owego aforyzmu byłaby bajka o Panu Bogu, który za karę zesłał na ludzi choroby, lecz równocześnie w kamieniach, roślinach itp. poukrywał na każdą chorobę osobne lekarstwo; zadaniem ludzi jest teraz wszystkie te lekarstwa wyszukać. Zasada tej bajki jest tak bardzo w każdym z nas zawarta, tak łatwo narzuca się mocą swej symetryczności, że najpewniej musiano ją już gdzieś kiedyś wypowiedzieć, czy to w formie legendy, czy nawet w formie teorii; zapewne panowie uczeni będą o tym wiedzieli. [przypis autorski]

prawowitego dziedzica majątku i nazwiska. W powolnym procesie asymilacyjnym ustały prawie między nimi dotychczasowe starcia na tle intelektualnym i socjalnym, a tylko zachowanie się wobec osób trzecich lub wobec kwestii odleglejszych pokazywało czasem, iż ta asymilacja jest tylko zwyczajem, ale nie porozumieniem. I tak np. Ola ostrzyła swój dowcip na wychowaniu Pawelka. Co do wyrugowania stryja, to z biegiem czasu coraz bardziej przechylała się na stronę męża, bo pogodziwszy się z jego wyjątkowym stanowiskiem w rodzinie, dbała o przysporzenie i przymnożenie bogactwa dla swego nowego domu, a stryj właśnie stał temu na przeszkodzie. Jej zainstalowanie się w Wilczy, tak niezgrabnie popsute przez dzikie pretensje Strumieńskiego, było dla niej okresem wyszumienia się, rozkwitnięcia i wyżycia się wszystkich panieńskich rojeń o zbytku, lśnieniu, prowadzeniu domu, ściąganiu tych gości, do których się z uprzejmym uśmiechem mówi: „Macie, przypatrujcie się, podziwiającie!” — rojeń, których w domu rodzicielskim nie mogła zaspokoić z powodu szczupłości majątku. Po tym to wyszumieniu się nastąpił dla Oli okres praktyczny, dawne zachcianki zmniejszyły się i ograniczyły, coraz bardziej zaniedbywała śpiew i muzykę, stała się zapobiegliwą i hałaśliwą gospodynią, a w lustrze odkrywała na swojej twarzy drobne rzekome oznaki starzenia się, o których skwapliwie donosiła mężowi, wykrywając i na jego twarzy i usposobieniu podobne symptomy.

Strumieński był jej stałym towarzyszem podróży, ale uwielbienie Gasztolda było jedyną dochowaną dotąd pamiątką „złotych czasów”. Właściwie powinna się była obrazić i oburzyć z powodu jego powieści, ale nie potrafiła, wyjęła stamtąd dla swej pamięci tylko to, co jej pochlebiało, a pochlebiała jej nawet bezwzględność Gasztolda w ocenianiu jej charakteru, w tej bezwzględności bowiem widziała bezsilną rozpacz rozkochanego autora. Z zadowoleniem próżności łączyło się u niej pewne współczucie dla Gasztolda, litość, tak że niemal przebaczała mu, iż usiłuje mieć ją bodaj na papierze. Współczucie było właściwie tylko nazwą, energię dawała tu wdzięczność dla Gasztolda, że tyle sobie z niej robił. Wreszcie żywiła dlań jakby podziw, że on miłość brał aż tak bardzo na serio (bo ona brała na serio jego branie na serio), uważała, że zawiodła się na nim *in plus*, ponieważ i literackie zalety jego książki, w sam raz dla niej zrobione, wydały jej się nadzwyczajnymi, takimi, jakich się po nim nie spodziewała. Ciągnęło ją, żeby go zobaczyć, spróbować, czy on będzie śmiało spojrzeć jej w oczy i jak się zachowa, pokazać mu, że ona nie jest bynajmniej „pachidermą” (wyrażenie z *Chorej miłości* zamiast „gruboskórna”), powiedzieć mu, że się dobrze spisała... W ogóle te uczucia jej i zachcianki były niejasne, sprzeczne, w wyborze ich rozstrzygnąć mógł tylko przypadek, chwila. Prawdopodobnie w sytuacjach opisanych przez Gasztolda była także siła sugestyjna, która na nią działała w pewnym wcale nie niebezpiecznym stopniu. Ona sama to sobie mówiła, ale spodziewała się po sobie więcej w tym kierunku, niż mogła. Jako mężatce przystało jej też mieć raz w życiu romans, prawdziwą miłość kobiety 30-letniej (choć tyłu lat nie miała), bo to należało do szablonu — jak daleko jednak taki romans mógł się posunąć, tego nie wiedziała. Wiedziała, że niektóre panie wdają się w tajne miłostki, ale gdy je obserwowała, nie mogła nic po nich poznać, zbijała z tropu i dałaby dużo za dowiedzenie się, jak się właściwie zdradza swych mężów tak, żeby ich przecież nie zdradzić i mieć taką samą spokojną, swobodną maskę, jak te panie. Powieściom nie wierzyła, zresztą nigdy nie pozwalała im wpływać na siebie praktycznie, używała ich tylko czasem jako pozorów do postanowień powziętych już z innych motywów. Zapytywała o kwestię zdrady małżeńskiej samego Strumieńskiego, który — nb. ze względów egoistycznych, bo nieraz obawiał się o wpływ Gasztolda — tłumaczył jej i udowadniał, że zdrady małżeńskie w ogóle trafiają się rzadziej, niż się zwykle przypuszcza (brał miarę z siebie i poniekąd usprawiedliwiał się w ten sposób przed sobą, że sam nie zdradza!), że powieści i plotki wymieniają tylko to, co jest procentem niewierności, a nie wspominają o mnóstwie małżeństw wiernych, których historia byłaby o wiele ciekawsza. Nadto nie omieszkał Strumieński napędzić Oli strachu przed możliwymi skutkami zdrady pod względem zdrowia — sądził, że to zapewni mu przynajmniej jej fizyczną wierność. Obawy jego były przesadne. Ola była zdolna co najwyżej do miłostki salonowej, nie do miłości, miała zaś za mało w sobie namiętności, żeby webrnąć naprawdę w niebezpieczeństwo. Jadąc do Warszawy, mówiła sobie w myślach (nie myślała): „Ja go (tj. Gasztolda) nauczę moresu, czy też mi spojrzysz w oczy, ukarzę go” itp.

Warte wzmianki jest jeszcze zachowanie się Strumieńskiego wobec dzieła Gasztolda. Naturalnie był on z powodu tego dzieła ogromnie rozgniewany, nazywał Gasztol-

Rodzina

Żona, Gospodyni, Pozycja społeczna, Pieniądz, Małżeństwo

Próżność, Małżeństwo, Miłość

Zdrada

da podłym głupcem, wynajdował w jego powieści idiotyzmy, z ironią odczytywał żonie uszczypliwe opisy, które odnosił do siebie. Np. Strumieński Gasztolda miał, tak jak jego rzeczywisty prototyp, nogi w kształcie litery X, podczas gdy potomkowie rycerzy mieli nogi w kształcie O, odziedziczone po przodkach, którzy całe życie siedzieli na koniach<sup>169</sup> i uganiai się za Tatarami i Turkami. Te argumenty wyszydził Strumieński, Oli natomiast wydawały się one bardzo trafne, podobnie jak i inna uwaga bohatera Gasztoldowego (zaczepiona z jakichś książek), że twarze wielu ludzi przypominają różne zwierzęta: psy, konie, ptaki, świnie itd. Bohater powieści popierał to spostrzeżenie przykładami z najbliższego otoczenia, frapując nimi swoich interlokutorów; Gasztold rzeczywiście byłby z pewnością w większym kłopotcie, gdyby go zmuszono przytoczyć odpowiednie przykłady. Strumieński śmiał się także z arystokratycznych teorii Gasztolda, choć w duchu, jak wiadomo, sam im jeszcze trochę hołdował. Wreszcie irytowało go i zniechęcało do Oli to, że Gasztold opisywał, jak ją całował, ścisnął jej rączkę, a gdy Ola perswadowała mężowi, że Gasztold kłamie, robił jej wyrzuty, dlaczego swoim zachowaniem się upoważniła Gasztolda choćby do tak zuchwałych myśli. Powstała mała sprzeczka, po której Strumieński chciał Olę pocałować, ona zaś kazała mu wprzódki wypłukać usta. „Może mnie nie puścisz do Warszawy?” O tym się Strumieńskiemu ani śniło, rozgniewał się, puścił ją, powiedział: „Możesz nawet nie wracać”. Chciał jednak pojechać za nią po kryjomu, śledzić ją — ale zaniechał tego, a korzystając z jej nieobecności i ze swego niepokoju o nią, zanurzał znowu swój mózg w unoszącej się nad nim atmosferze Angeliki. Dopiero z drogi otrzymał od Oli list przeproszący, na który bardzo zimno odpowiedział.

Gdy Ola przyjechała do Warszawy, upłynęło nieco czasu, zanim się spotkała z Gasztoldem, tenże bowiem z powodu swej książki nie pokazywał się w domu krewnych Oli, ale wreszcie przybył tam, zwabiony nadzieją ujżenia — nie Oli, lecz pewnej pani, o której serce się teraz ubiegał, a którą tylko tam mógł spotkać. Niecierpliwość i zazdrość usposobiły Olę przychylnie dla Gasztolda, wnet jednak poznała, że on teraz używa jej tylko za środek do obudzenia zazdrości i do rozkochania tamtej niewiasty. W istocie Gasztold znacznie już ochłodził dla niej, czy dlatego, że wyantycypował już w swej powieści prawie wszystkie możliwe sytuacje, jakie mógł przeżyć z Olą (prócz tych, które przeżył istotnie), czy też dlatego, że podczas swej próby samobójczej i przedtem wyczerpał na myślenie o Oli za dużo energii i w końcu przekonał się, że ta miłość się nie opłacała. Ola mniemała zrazu, że Gasztold gra tylko komedię obojętności, którą przyobiecwał w swej powieści, i zachowywała się wobec niego tak, aby miał różne przyjemne złudzenia, ale zresztą postępowanie jej było wyczekujące: więcej interesowało ją to, co on uczyni, niż to, jak ona postąpi. Naturalnie nie myślała wprost o zdradzie, oczekiwała tylko, że teraz oto odbędą się różne przejścia, awantury na tle jego miłości, że ona odegra w nich ważną rolę i w ten sposób przynajmniej dostanie się do tego koła wielkich miłości, w którym przebywali Strumieński i Gasztold. Dopiero gdy poznała, że się zawiodła, że Gasztold naprawdę o nią nie dba, że nie chce już wyrabiać żadnych komedii ani tragedii, powzięła doń urazę, poddała się podszeptom nieświadomej, a raczej nieświadomionej, perfidii i wykonała plan, który potem Gasztoldowi wydał się rozmyślnym i wyrafinowanym (podobna pomyłka zdarza się i Strumieńskiemu co do X-a s. 176<sup>170</sup>). Za pomocą kokieterii, ale takiej, która to sobie zawsze furtki otwiera, doprowadziła do tego, że zwróciła jego uwagę w swoją stronę. Gasztold nie zapomniał wprawdzie o swym nowym ideale, ale mimochodem chciał może uszczknąć kwiat, który się ku niemu widocznie sam nachylał, a na który już od dawna „zapracował”. Ola zaś pozorowała swoją komedię przed samą sobą tak: przecież to nie szkodzi flirtować, ona chce widzieć, jakimi rozpustnikami są „ci

Zazdrość

Literat

<sup>169</sup>podczas gdy potomkowie rycerzy mieli nogi w kształcie O, odziedziczone po przodkach, którzy całe życie siedzieli na koniach — [Komentarz autora z Uwag.] Takich frazesów jest mnóstwo w potocznym życiu. Genezę ich już raz wytłumaczyłem w uwadze [do słów „z chaty swych rodziców wyniosł (...)” itd. z rozdziału II], dodam tylko, że używa się ich w sposób zabobonny i naiwny: jest to niejako grafologia w odgadywaniu charakterów. Człowiek, który z czyjegós chrząkania nosem, sposobu siedzenia, chodzenia itp. ważnych oznak wnioskuje o jego charakterze, zamiast zważać na słowa i czyny, podobny jest do tej narzeczonej, która otrzymawszy list od narzeczonego, zamiast w liście podchwycić setki „naturlautów”, poszła z nim do grafologa. [przypis autorski]

<sup>170</sup>podobna pomyłka zdarza się i Strumieńskiemu co do X-a s. 176 — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment z rozdziału VIII, zaczynający się od słów]: „Strumieński zaś upatrywał w tym zającu intrygę oszukańczą, która rozpoczęła się już w chwili inicjowania owego związku, ale mylił się (...)”. [przypis edytorski]

mężczyźni”, oto ten Gasztold np. sprzeniewierzył się jej, ale gdy czuje, że może ją skusić do grzechu, łamie wiarę swej nowej bogdance... tfu! I kiedy raz Gasztold oszołomiony objął ją i pocałował w obnażone ramię, publicznie zwymyślała go, wspomniała przy tym i o jego powieści, w której on ubliżył jej i jej mężowi. Uczyniła to z takim namaszczeniem i z tak doskonałą pozą obrażonej godności kobiecej, że Gasztold, czując, iż wszyscy oficjalnie stają po jej stronie, był bezsilnym, przeprosił, że pod wpływem wina posunął się za daleko, i wkrótce wyniósł się z sali. Właściwie bardzo wielu przezieierało zachowanie się Oli względem niego i wiedziało, że jej oburzenie było sztuczne, ale nikt nie miał ochoty wystąpić przeciwko kobiecie w imię sprawiedliwości, pozornie więc przyznano Oli słuszność, nawet ułagodzono ją i wyproszono u niej przebaczenie dla Gasztolda. Ola nie miała nawet tej satysfakcji, żeby panna, do której zalecał się Gasztold, do niego się zraziła, dziewczę to bowiem, może na podstawie nieświadomie przeprowadzonej analogii z samą sobą, dobrze „czuło” motywa postępowania Oli. Zawiedziona, skwaszona wróciła Ola do domu.

Tymczasem Strumieński w Wilczy przebywał męki zazdrości, głównie fizycznej, chociaż i on cenił u Oli także wiele stron jej usposobienia i temperamentu, których czyste, niepodzielne źródło teraz, jak się obawiał, zamąci mu inny mężczyzna. Wprawdzie w głębi ducha gardził Olą, że go na takie obawy naraża, że nie daje mu swoim charakterem nawet rękojmi wierności, w chwilach niepewności jednak stawały mu przed oczyma wszystkie jej zalety, zapalał się do niej i czuł, że ją „kocha”, skoro mu tyle bólu sprawia wyrwanie jej z serca. Ale równocześnie czuł po raz setny, że na takiej opoce nie może budować swego kościoła, i zwracał się myślą ku Angelice. Zawsze bowiem w Angelice, tj. nie w niej samej, ale w niewyraźnym świecie marzeń z powodu niej utworzonym, ześrodkowywały się jego niezaspokojone troski i tu bez żadnego logicznego uzasadnienia ginęły lub przebarwiała się, tu brał sobie wynagrodzenie za wszystko złe w życiu, stwarzał sobie panaceum egoistyczne, kościół, w którym się modlił dla własnej wygody i przyjemności, a nie tylko dla bóstwa w nim królującego.

Wróciwszy do domu, Ola musiała się wyzaliczyć przed Strumieńskim, pochwaliła się swoją wiernością, oburzała się na arogancję Gasztolda, opowiadała mu o jego zalotach — ale przeważnie z tymi szczegółami, które zdarzyły się jeszcze wtedy, gdy Gasztold rzeczywiście za nią szalał. Strumieński udawał, że na całe to zajście zapatruje się tak jak Ola, chociaż domyślał się, jak się ono odbyło. I podobnie jak poprzednio Ola podczas pobytu kuzynki przeciw niemu, tak teraz on — lecz tylko w duchu — wziął stronę Gasztolda przeciw Oli. Kontent był wprawdzie, że go Ola nie zdradziła, w zasadzie jednak gardził — nie jej wiernością, ale tą dyspozycją obojętności w niej, tym brakiem zapału do spraw erotycznych, któremu jedynie może zawdzięczał ową wierność, ale skutek którego sam nie miał z Olą takiej dozy szczęścia, jakiej potrzebował. W pewnej sprzeczności z tym pojmowaniem rzeczy przez niego stało wybadywanie Oli, czy go przecież myślą nie zdradziła, czy nie było chwil, w których wyobrażała sobie to lub owo, bo przecież jeżeli Gasztold tak daleko się posunął, musiał mieć od niej jakieś upoważnienie, jakąś zachętę. Ale Ola nie chciała rozumieć tych zapytań lub też, gdy rozważała zajścia *ex post*, pod zabarwieniem wynikłej już skutkiem nich złości do Gasztolda, to przeszłość jej sama się fałszowała, szczegóły przemieniały się w jej pamięci na takie, jakimi je Ola mieć chciała. Ostatecznie Strumieński, korzystając z całego tego epizodu, zażądał od niej wynagrodzenia za jej niebezpieczny flirt z Gasztoldem, a przez wynagrodzenie, w które zresztą nie wierzył, miał na myśli pretensje opisane w rozdz. VII, chociaż tym razem określał je tylko bardzo ogólnikowo. Ale Ola przypominała mu pobyt kuzynki, zarzuciła mu, że on nie ma prawa robić jej wyrzutów, bo sam jest nicpoń, oświadczyła wreszcie, że zarówno on, jak i Gasztold nie są jej warci, że ona żadnego z nich nie kocha. W jej miękkim mózgu wszystkie takie frazesy i szanice chwilowe zaraz przybierały cechę słuszności i prawdopodobieństwa.

Pokłócili się, postanowili się rozwieść, mieszkali w osobnych pokojach, unikali się wzajemnie. Ale tak jej, jak i jemu nie chciało się rozwiązywać węzła aż do końca, woleli uznać, że cała sprawa jest zbyt błaha. Zaczęli do siebie pisywać listy, które dzieci odnosiły, w listach wyluszczały swoje zarzuty, żale, dalsze niby to niezłomne postanowienia i wymagania. Pisali sobie na ten temat, jakim powinno być „prawdziwe małżeństwo”, rozbierali bardzo na serio mądrą kwestię, czy „miłość” istnieje czy nie, i przekonywali się, że skoro się oni tak ciągle kłóca, to może nie ma miłości. Albo też uznawali małżeństwo za szkołę

Zazdrość, Miłość

Zazdrość, Zdrada, Miłość,  
Małżeństwo

życia, w której kształci się charakter, oczyszcza się przesadne pojęcia o miłości — słowem „uczuli się” i „odkrywali” rzeczy będące już dawno na składzie w ich głowach. Naturalnie pogodzili się, w końcu nawet postanowili zapomnieć (!) wzajemnych uraz; takie spory bądź co bądź zczyściły atmosferę, pogłębiały ich stosunek, jakiś czas rozmawiali ze sobą o filozoficznych podstawach miłości, a potem szło wszystko po dawnemu. Strumieński strzegł się jednak tym razem mówić żonie o swym życiu podziemnym; bo i nie chciał się przed nią kompromitować, i to życie coraz rzadziej powoływało go do siebie.

Miał zresztą długie epoki dobrego pożycia z Olą. Potrzeba kochania i tego, żeby być kochanym, sprawiała, że zgadzał się ze złudzeniami i wyszukiwał wśród nich zadowolenia dla siebie. Było wiele rzeczy łączących go z żoną: przede wszystkim pieniądze; bez tego czynnika byłoby ich małżeństwo może jeszcze bardziej niewygodnym. Chociaż Ola była jego żoną, przecież dawała u siebie kupować mniejsze i większe porcje miłości, bo on ją sam do tego przyzwyczaił. Lubił w niej pociąg do wspaniałości, blichtru, szyku — wskutek czego urozmaicenie, którego brakło wewnątrz, objawiało się przynajmniej w szacie zewnętrznej ich stosunku. Musiała mu się podobać — to było jej obowiązkiem, miał przez to tajne zadowolenie, że traktuje ją jako metresę. Debatowali nad tym, co by sprawić dla domu, sobie, dzieciom, jakich sprowadzać nauczycieli, jakich użyć przyjemności, jak przyozdobić Wilczę, by im się zdawało, że jest im u siebie pięknie i dobrze. Powstał też między nimi z czasem silny łącznik — botaniczny. Ola „pasjami” lubiła kwiaty; otóż częścią, by podzielać jej upodobanie, częścią na wzór Rousseau, zaczął Strumieński zajmować się botaniką, lubić niezwykle lub piękne formy liści, kwiatów; jego pociąg do robienia kolekcji miał tu wdzięczne pole, a ambicja nie była podniecona. Wyrobił sobie przekonanie, że człowiek inteligentny, jeżeli nie jest artystą, powinien się zajmować jaką nauką pozytywną, jakimś amatorstwem w jednej z dziedzin przyrody, które by przynajmniej dla niego samego było źródłem trwałych i bezspornych przyjemności, chociażby nauce nie miało przynieść pożytku. Tak z biografii schodził na botanikę, po wytworach sztuki i życia studiował spokojne wytwory natury. Uczył się od Oli i uczył ją wzajemnie. Mieli swoją cieplarnię, inspekty, założyli wspólnymi staraniami park w klinie między rzeką a lasem. Za pomocą botaniki godzili się często podczas utarczek: gdy jaka roślina nieoczekiwanie wydała kwiaty, gdy trzeba było zasłonić inspekta, zanotować temperaturę, wynaleźć szkodnika, dopilnować robót w parku, kupić rzadki okaz itd. Wprawdzie i w tej dziedzinie mieli niektóre odrębne upodobania i to dość charakterystyczne, i tu trafiały się aluzje do stosunków życiowych. Ale na ogół biorąc, bezpłciowe stosunki roślin usposabiały ich pokojowo, nie wzbudzały myśli o moralności lub niemoralności, redukowały miłość i jej nienaturalne czy nadnaturalne zapędy do właściwej miary, do prostoty — tak mówił sobie Strumieński. Innym jednak razem mówił sobie, że jak wśród roślin, tak wśród ludzi nie ma miłości, są tylko prawa natury — i czuł, że tym powiedzeniem mógłby wyzwolić w sobie sferę różnych apetytów.

Takie były fluktuacje w życiu wewnętrznym Strumieńskiego, jego wahania się między obiema kobietami, z których jedna była za daleko fizycznie, druga za daleko psychicznie, obie więc zostawiały w nim próżnię. Wpływ owych fluktuacji zaznaczył się także w rezydowach to tych, to owych zakresów jego przekonań. I tak w różnych chwilach i fazach życie jego różne mu się wydawało: raz jako zmarnowane i zwichnięte wyjątkowością, to znowu jako błyszczące i specjalne lub wreszcie sądził, że jedno z drugim się zgadza i może tak iść dalej. Życie zmieniało barwy, a on punkty widzenia.

A naokoło niego kręcił się świat, w którym, jak mu się zdawało, skrupuły były nieznanne. Widział, jak „miłość” przybiera szczególne formy wskutek pokątnych jej odgałęzień, tingłów, zboczeń, chorób wenerycznych itp., widział, jak mężowie zdradzali swoje żony bez ceregieli, jak jego goście, którzy przyjeżdżali doń na zabawy, polowania, brali sobie dziewczęta po pijanemu i cynicznie potem opowiadali o ich zaletach. To wszystko wywierało nań pewien zaraźliwy wpływ, ukazywało mu nowe pokusy, wzbudzało w nim wątpliwości co do obranej a przyrodzonej mu metody życia, „psuło mu jego koła” — zwłaszcza gdy np. był w fazie trzeźwości i myślał sobie, że właśnie jakaś zdrowa zdrada wyleczyć by go mogła z ulubionych chimer i oddać społeczeństwu (!). U żadnego z tych ludzi nie dostrzegał tak zastarzałych, romantycznych poglądów jak u siebie, mniemał, że oni mają instynktowny, właściwy takt w tych rzeczach, i pozwalał im sobie imponować. W istocie rozpusta ich, mimo brzydkich pozorów, była wegetatywna, niemal niewinna.

Miłość

Miłość, Zdrada, Pokusa,  
Natura, Seks, Pozory, Fałsz

Byli jak psy i inne zwierzęta, a te są przecież naturalne. Dusze ich były „niezepsute”, po większej też części wygłaszali oni zasady „idealne”, zwłaszcza starsi: pp. X., Truskawski, Przetocki i inni. Wznoszono toasty na cześć matron, ujadano na powszechne zepsucie, a w poufnej rozmowie przy kartach i winie zwierzano się z różnych świństw, opowiadano sobie tłuste anegdotki, zgrywano się, szastano pieniądze, intrygowano przeciwko sobie. W nastroju takich wieczorów obowiązki społeczne i narodowe wydawały się tylko jakimś pobocznym sztafżem, a na główny plan wychodziły różne namiętności — co prawda przez stosunki życia okrojone, zmniejszone, skarykaturowane. Jowialny p. X. przywoził z sobą z podróży talie kart pornograficznych i rozdawał znajomym, którzy je znowu w sekrecie pokazywali swoim matronom. Tenże sam p. X., który swoją córkę chował w świętej nieświadomości co do spraw płciowych, w zaufanym kółku deklamował pornograficzne utwory Fredry, a raz po sutej libacji rażony został apopleksją w objęciach niewiasty z gminu w ustronnym gabinecie u Strumieńskiego. Beniaminkiem kobiet był synalek stryja Mariusza, młodzieniec, który, mając się wkrótce żenić, widocznie dla wprawy uwalniał dziewczęta wiejskie od dziewictwa<sup>171</sup>, werbując je do tego celu jak rekrutów, a w wolnych chwilach pisał wierszowany modlitewnik dla swojej narzeczonej, talizman miłości i czystości, oprawiony w bieluchną kość słoniową.

Tacy ludzie, jeśli mówili o sztuce, występowali przeciw niezdrowym prądom modernistycznym, przeciw dekadentom, realistom, naturalistom i — o czym kto słyszał lub przypadkowo czytał. Żądano, żeby wszystko było tak jak dawniej, nie oszczędzano nawet tych artystów, którzy wskutek modernizmu byli właśnie wstecznikami, bo ich nie rozumiano. Wymagano „piękną” estetycznego, poetom nakazywano, żeby opisywali cnotę, szczęście i wielkie charaktery, lepsze niż w życiu. Wołano na gwałt o wielkich ludzi, urządzano uroczystości na cześć już zmarłych znakomitości, bo ci, którzy sami byli małymi, pozbywali się w ten sposób obowiązku dopięcia ideału własnej wielkości. Augurzy literaccy stawiali różne bóstwa w swej świątyni, ogłaszali ich kult jak objawienie, a heretyków palili na stosie. Jednak szczególnie żarliwie występowano przeciw wnikaniu w tajemnice miłosne i płciowe. Dlaczego? Bo każdy z ludzi minionego pokolenia miał w tej dziedzinie za sobą jakieś bankructwo, jakieś rozczarowanie i albo nie umiał boskiej iskry wykrzesać i swoje utajone fiasko ochrzcił doświadczeniem, albo też uważał siebie za bardzo kompetentnego i z zazdrości irytował się, gdy młodzi chcieli w tych sprawach coś więcej wiedzieć niż on, lepiej je rozstrzygnąć, głębiej zejść pod ziemię, żeby za dnia gwiazdy zobaczyć.

O wielcy augurzy! Jeśli zechcecie i mnie spalić na stosie za to, że „babrzę” w rzeczach płciowych, to raczcie przynajmniej zważyć, że ja tajemnice intelektualne traktuję — staram się traktować — z jeszcze większą bezczelnością, bo zaiste mózg (dusza) ma daleko więcej części wstydlivych niż ciało. Przy tamtych tajemnicach wystarczy chęć opozycji, swawola, ale tu trzeba muskułów w mózgu, aby podnieść olbrzymi ciężar. I ja wyprężam muskuły, popisuję się i podnoszę ciężary — może puste, fałszywe? Kto wie? Wam zaś, augurzy, wpisuję do sztambucha aforyzm: „Kłamstwo wypływa na wierzch jak oliwa, prawda opada, bo jest ciężka i trudna”.

#### XIV. ARCHITEKTURA

Nadmiar umysłowy Strumieńskiego dążył do wypowiedzenia się w jakimś dziele sztuki. Myślał on chwilami o dziele poetycznym, ale zawsze tylko rozsnuwał własne życie i nie mógł odeń odstąpić nawet tak jak Gasztold. Zresztą w epoce życia rozstrzygającej o kie-

<sup>171</sup> *młodzieniec, który, mając się wkrótce żenić, widocznie dla wprawy uwalniał dziewczęta wiejskie od dziewictwa* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Szczegół o narzeczonym-lowelasie piszącym modlitewnik dla swej narzeczonej zaczerpnięty jest z rzeczywistości. Krakowska Akademia Umiejętności powinna by ogłosić konkurs na rozprawę o tym, jaki stosunek zachodzi między zamaskowaną pornografią w życiu i w piśmiennictwie a tępieniem otwartej dyskusji o tajnikach erotycznych i fałszywym idealizmem. Wiele materiału dostarczyłby Fredro, gdyby ktoś odważył się przywiązać wagę do jego pornograficznych utworów i zestawivszy je z jego oficjalną poezją, poczynił wnioski o zapatrywaniach jowialnego komediopisarza na kobiety i na „miłość”. Sięgnąć by także należało do sztuk naszych sympatycznych jak Bałuckiego, Przybylskiego. Swego czasu zwrócił mi ktoś uwagę na jeden bardzo charakterystyczny szczegół w *Wicku i Wacku*: obaj ci urwisze wpadają na scenę, goniąc za dziewczętami wiejskimi (zapewne tylko w celu niewinnego flirtu?), a publiczność wcale się tym nie oburza, widocznie nie uświadamia sobie dokładnie następstw takiej bieganiny. Ale może to jest tylko tzw. tężyzna, co? Ja nic przeciwko takiej tężyznie nie mam, ale to porozumienie między autorem a publicznością co do „miary artystycznej” jest pozazdroszczenia godne. Pornografia kontuszowa, pornografia przy kufelku itd. [przypis autorski]

Sztuka

Erotyzm

Sztuka



runku upodobań artystycznych wzył się głównie w sztuki piękne i przypisywał sobie w tej dziedzinie zdolności — zmarnowane. Także pewnego rodzaju wstyd wstrzymywał go od poezji: to było za łatwym, to zrobiło tylu, to wyglądało dziecinnie... Był zresztą na poetę zbyt zamożnym i za mało ambitnym (ambicja jego była tylko odruchowa), nie nawykł od młodości układać swego życia do kariery duchowej i dążności zaimponowania całemu światu. Natomiast budowa kościoła we wsi otworzyła mu dziedzinę architektury. Tu nie potrzebował geniuszu, tu mógł być znawcą i amatorem przy pewnym nakładzie pilności w celu poznania abecadła architektury. Ale napotykał na części trudne dla siebie i niezrozumiałe i zniechęcony wołał umknąć na pole teoretyczne. Mówił więc sobie, że architektura jest projekcją duszy szukającej form, niemogącej się wyżyć, kształtującej sobie świat materii, a nie wcielaniem idei ciężkości lub lotności, jak pisano w estetykach. Właściwie i te jego ogólniki miały genezę osobistą. Miał bowiem na myśli swój specjalny wypadek: że miłość, jak drzewo, napotykając zapory do rozrośnięcia się (śmierć Angeliki), szuka nowych dziwnych dróg; że gdy człowiekowi idzie o to, żeby swój dom upiększyć, to chce on właściwie stworzyć świat dla siebie, odrębny, podobniejszy do swego wnętrza itd. — jechał na analogiach i filozofował.

Ale projekt budowy pałacu wyrósł z innych motywów, przypadkowych<sup>172</sup>. Było wówczas hasłem powszechnym rozwijać przemysł i stryj Mariusz wraz ze Strumieńskim, pobawiwszy się trochę torfem, zamierzali postawić cukrownię. Poczyniono do tego niektóre przygotowania, uruchomiono fundusze, ale potem wyłoniły się różne trudności gospodarskie, obawa przed stworzeniem gniazda socjalizmu w okolicy itp. i projekt spełził na niczym. Może i dlatego, że Mariusz, dusza przedsiębiorstwa, rozchorował się i wkrótce zmarł, śmierć jego wróciła Strumieńskiemu swobodę, gdyż nad młodym Mariuszem łatwo zapanował i ugiął go pod swoje rozkazy. Teraz w sprawach praktycznych i gospodarskich uwolniony był od złośliwej kontroli i krytyki, mógł strzelać bąki, jakie mu się żywnie podobało.

Zdarzyło się, że już po ukończeniu budowy kościoła ksiądz Huk, Strumieński i pewien młody architekt, który właśnie ów kościół wybudował, rozmawiali z sobą na probostwie. Strumieński powiedział żartem, że w kontraście do kościoła wybudowałby sobie pałac świecki dla swoich potomków (powiedział naprawdę „potomków”). Znalazł był w papierach Angeliki szkic takiego pałacu, uważał za swój obowiązek kiedyś może urzeczywistnić go, ale zresztą bawił się tylko tą myślą i dopiero teraz ją wypowiedział. Sam skierował przy tym rozmowę na króla Ludwika bawarskiego i jego pałace, bo ten wzór właśnie majaczył mu w fantazji. Architekt podchwycił to, udał, że się przejmuje myślami Strumieńskiego, bo miał w tym znowu swoje specjalne cele, i tak z projektu na żart wyłonił się zamiar na serio.

Technika wypadków jest taka, że właściwych decyzji zwykle nie ma, jest tylko kalejdoskopiczne wirowanie zewnętrznych okoliczności, które pozwala woli skoczyć na punkt dogodny. Dopiero po decyzji wylaniają się różne współmotywy, które ją przedtem poza progiem świadomości poparły, albo też są to spóźnione sojuszniki<sup>173</sup>, które się do owej decyzji *ex post* wciela i z nią harmonizuje. I tak Strumieński znalazł jako poparcie swego zamiaru naprzód radosną zgodę Oli, która marzyła, że w nowym pałacu przebędzie drugą młodość. Potem pomyślał sobie, że ponieważ od niego zaczyna się niby nowa dynastia panujących w Wilczy, więc należy dla tej dynastii założyć nową stolicę, aby jego „potomkowie” nie byli już intruzami. Ale równocześnie i jego nałóg tęsknoty przystosował się do nowych planów. Własnym zachciankom nadawał Strumieński sankcję Angeliki. Marzyło mu się coś w rodzaju Alhambry<sup>174</sup>, coś skromnego na zewnątrz, odciętego od świata, ale za to wewnątrz pełnego krużganków, dziedzińców, wodotrysków, rzek, ogrodów, niespodzianek, ozdób, obrazów, rzeźb, tak samo odrębnych i dziwnych jak całe ustroenie. To wszystko miało być poświęcone egoistycznemu życiu, ulubionej kontemplacji,

<sup>172</sup>*Ale projekty budowy pałacu wyrósł z innych motywów, przypadkowych* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Tu np. naśladuję ton pamiętnikarskiego referatu o czymś, co piszącemu tak dokładnie rysuje się przed pamięcią, że zapomina na chwilę, iż słuchający właściwie o tym szczególe (o pałacu) nic jeszcze nie słyszał. Tej sztuczki używam zresztą tylko dla zilustrowania sprawy poruszonej we wstępie do rozdziału X [„(...) chcę opowiadać fakty tak, jak się one przedstawiają *a posteriori* dla rozważającej pamięci, nie dla wyobraźni (...)]. [przypis autorski]

<sup>173</sup>*spóźnione sojuszniki* — dziś popr.: spóźnieni sojusznicy. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*Alhambra* — zespół pałacowy w Grenadzie w Hiszpanii, zbudowany w latach 1232–1273 i rozbudowywany do XIV w. [przypis edytorski]

zupełnemu zapomnieniu o świecie zewnętrznym — gdzieś w głębi stałoby mauzoleum Angeliki z jej wielką kryształową trumną. I odczuwał zwróconą wstecz tęsknotę za takim budynkiem; gdyby go był posiadał wówczas po zgonie Angeliki, nie brakłoby mu nic do szczęścia — w takim otoczeniu miałby może odwagę i albo by życia w ciszy dokonał, jako pustelnik nowego rodzaju, albo zahipnotyzowałby się na śmierć, albo wysadziłby się z całym gmachem w powietrze...

Ale Strumieński nie myślał o tym wszystkim na serio, marzył raczej o dyspozycji dziecinnej u siebie, która by go uczyniła zdolnym do takiego romantyzmu, marzył na rachunek jakiegoś innego Strumieńskiego, śmiałego dzieciucha. Wiedział doskonale, że taka nieokreślona kombinacja Alhambry z kościołem żałobnym jest niewykonalnym szaleństwem, i postanowił trzymać się tylko planu Angeliki. Zresztą w ogóle tak on, jak i architekt na razie bawili się tylko swoimi zamiarami, mówili o nich teoretycznie, chociaż z takim przejęciem się, że Strumieński prawie ani się spostrzegł, jak zamiar przeszedł w wykonywanie. Architekt, namawiając Strumieńskiego do budowy pałacu, miał na celu przeprowadzenie własnych artystycznych pomysłów, a że był zwolennikiem secesji, więc pretensje Strumieńskiego dotyczące szczegółów budowy były mu nie na rękę. Wprawdzie nawykł już do uwzględniania różnych, dziwacznych nieraz kaprysów, ale tym razem czuł się szczególnie podrażniony, liczył jednak na to, że Strumieńskiego przekona. Zaczęły się dysputy, w których architekt wywodził, że plan Angeliki, zresztą tylko szkicowy i niezupełny, przekroczyłby trzykrotnie prelimitowany fundusz, że nie byłby to dom mieszkalny itp. Strumieński odpowiadał mu rozmaicie, ale bał się uwikłać z nim w rozmowę zbyt fachową i zdradzić się z brakiem zasadniczych wiadomości — nie wiedział, że architekt ów już uważał go za upartego i zarozumiałego dyletanta. W dyspucie zaznaczał Strumieński tylko ogólnikowo swój brak zaufania do wszelkich przyjętych stylów i szablonów; zapatrywania te miał od Angeliki, a ona od malarzy. Zarzucał architektom, że twórczość ich obraca się tylko w zakresie kilku stylów, że nawet to, co jest u nich nowym, jest tylko oficjalnie nowym i śmiałym, że nie uwydatniają plastycznie uczuć nowożytnego człowieka — tu miał siebie na myśli — nie starają się o style indywidualne, ale wszyscy razem eksploatują ten styl, który się właśnie stał modnym. Architekt zaś udawał, że to są tylko ładne (komplement dla Strumieńskiego) dedukcje filozoficzne, sztuka konkretna natomiast chodzi innymi drogami, że styl w architekturze jest zawsze tworem zbiorowym; bronił wreszcie w obecności Oli swego projektu z wielkim zapałem, wykazywał jego zalety i powaby, bo szło mu o pozyskanie wpływu Oli na męża — i to mu się udawało, ale tylko dlatego, że Strumieński bał się swoich marzeń.

W jednej z takich ogólnikowych dysput sprzeczali się o sposób budowania sztucznych ruin. Strumieński utrzymywał, że naprzód powinno się coś starożytnego wystawić, a potem dopiero zburzyć, architekt zaś twierdził, że taki pośredni sposób, takie naśladowanie prawdy bez planu, pozostawione przypadkowi, byłoby kosztowne i niepotrzebne, że w sztuczny sposób daleko lepiej wyrazi się i spotęguje ideę ruin niż w sposób „naturalny”, w którym nie można osiągnąć silniejszych wyrafinowań ruinowych. Sztuka ma przecież za cel dopowiedzieć to, czego nie mówi jękająca się natura. Ten wywód na razie zbił z tropu Strumieńskiego, więc żeby zyskać na czasie, ratował się na stanowisko praktyczne: że takie ruiny nikogo by nie złudziły. Architekt odparł, że utworów ruinowych i tak nikt nie żąda, cała dysputa przeto ma znaczenie tylko akademickie. Strumieński, rozważywszy potem rzecz, wynalazł sobie argument, że taki utwór, o jakim mówił architekt, nadawałby się chyba do obrazu, a w naturalnym materiale raziłby, podobnie jak woskowa lalka zamiast rzeźby, rzekome zaś „wyrafinowania ruinowe” robiłyby tylko komiczne wrażenie. W ogóle wyrobił sobie o architekcie zdanie, że po uszy grzęźnie w szablonach i oprócz tzw. fachowości ma swoje teoryjki ochronne, którymi się zasłania przed ludźmi szerszych poglądów.

Gdy architekt widział, że Strumieński obstaje przy swoim i może w ogóle nic budować nie zechce, bo jego zapał teoretyczny ostyga, zgodził się na połączenie swego planu z planem Angeliki; przeciw temu jednak wystąpiła Ola, twierdząc, że tak powstanie monstrum. Wówczas Strumieński, aby jej pokazać, że tak nie będzie, kazał rozpocząć budowę, zwłaszcza że równocześnie chciał także zrobić na przekór całej okolicy. Wieść bowiem o zamiarze Strumieńskiego rozeszła się, a sąsiedzi, którzy już od pewnego czasu zauważyli u Strumieńskiego odstrychnięcie się od przyjętego przez nich trybu życia,

Ruiny, Sztuka

Polak, Sąsiad, Sztuka,  
Własność

odświeżyli stare plotki, zarzucali, że marnuje grosz na cele prywatne, niepożyteczne dla biednego społeczeństwa, że lepiej by tych pieniędzy użył na to lub owo, np. na szpital dla wariatów, w którym by i sam mógł się leczyć — że przeto nie płynie w jego żyłach prawdziwa krew Strumięńskich. Wiedziano, że gmach ma być w stylu secesji, a już sama ta nazwa świadczyła o zbrodni: kto budował w stylu secesji, musiał być przez to samo socjalistą, anarchistą, ateistą, apostatą, nie był nawet Polakiem, ani go matka Polka nie karmiła. Więc w Strumięńskim ruszyła się dawna drzazga i rzucił w „ich” stronę niemą groźbę: „Czekajcie, ja wam cały majątek Strumięńskich na swoje widzimisię przetrwonię!”. Zawziął się tak, że chwilami żywił nawet na serio zamiar odrzucenia przybranego nazwiska, i staczał o to wojnę z Olą, grożąc jej, że sobie połowę majątku zabierze, wyjedzie z Pawełkiem do Ameryki, a ją zostawi. Ola na to: „I owszem”. Pod takimi auspicjami rozpoczęła się budowa, na poświęcenie kamienia węgielnego przyjechał tylko p. X. (było to jeszcze przed jego śmiercią), który sobie nic z niczego nie robił. Strumięński, zgrodziwszy się raz na pomoc architekta, poddał się jego intencjom artystycznym, rad był, że pod jego, Strumięńskiego, egidą dzieje się ten secesyjny skandal (którego rozmiary przesadzał), i patrzył teraz przez palce na to, że architekt z planu Angeliki — tak mu się zdawało — mało co zostawił. Była tu obopólna szacherka: architekt bowiem, niby pod wpływem przymusu, ale w istocie z przekonania, przyjął kilka szczegółów planu Angeliki, Strumięński zaś w gruncie rzeczy przecież obawiał się, żeby nie wyszło cudactwo, i był szczęśliwy, widząc, że architekt pozostał przy swoim, gdyż bądź co bądź nie wierzył w praktyczność planu Angeliki, a o dziele architekta przypuszczał, że będzie bardziej „do ludzi podobne”. Tak to zawsze w najidealniejszych pragnieniach Strumięńskiego zachowany był przecież praktyczny tok sprawy (zasada kontrabandy).

Chociaż w postanowieniu budowania pałacu pietyzm dla Angeliki bardzo małą odegrał rolę, Strumięński miał takie wrażenie, jakby tę budowlę stawiano ku jej czci, z jej inicjatywy. Motyw *ex post* przybrany stał się dlań prawdziwym, zasymilował się z genezą przedsięwzięcia tak, że było ono teraz dla niego niejako nową „próbą w głąb” — ale wyrzuconą na zewnątrz. Nastrój poprzednich „prób w głąb” przypominał mu się także i przez to, że znowu ujrzał się niejako osaczonym przez ludzi wrogich nowemu życiu, nowej idei, którą właśnie reprezentował pałac: ziarno zasiane przez Angelikę wschodziło. (I tu kładł własne pomysły na karb Angeliki). Ale rzecz się wkrótce utarła i nie miała ostrego przebiegu. Zaczęto doń przyjeżdżać, przypatrywać się, podziwiać — było to dziełem Oli. Pałac kosztował coraz więcej, bo architekt sam przekroczył swój kosztorys, a Strumięński wskutek dorad Oli wpadł w dług. Wprawdzie pierwiej odgrażał się, że cały majątek poświęci, ale nie było to mówione na serio. Gdy dług zajrzał mu w oczy, przeraził się, bo chociaż nie był skąpym, szanował swój majątek jako jedyny pewny grunt, który się pod nim nie chwia, szanował go tym bardziej, że pamiętał ubóstwo i te przykre okoliczności, którym swój dobrobyt zawdzięczał. Rachunki, oszustwa na każdym kroku, ciągłe przekraczania kosztorysu, pilnowanie robót, brak bliskiej komunikacji kolejowej, ciekawość ludzka i zbiegowiska — to wszystko dawało mu się we znaki, nużyło go i irytowało, wzmagając jego wyrzuty sumienia na temat własnej lekkomyślności. Nosił się nawet nieraz z zamiarem zwinienia budowy. Tak siłą rzeczy stało się, że ster budowy ujęła w ręce Ola, która skorzystała skwapliwie z tej sposobności, aby odegrać w Wilczy ważną rolę i doprowadzić arcydzieło do końca — pod wpływem namów architekta, który pod niebiosy wynosił jej energię. Mówiła: „Nie radziłam, ostrzegałam, ale teraz, gdy się już tyle zrobiło, wezmę gmach na swoje słabe barki”. W finansowe kłopoty Strumięńskiego nie wierzyła, owszem, często miała go w podejrzeniu, że ukrywa przed nią jakieś kapitały czy dochody. On zaś chętnie ułatwił jej przyjemność tej powtórnej niejako inicjatywy w budowie pałacu, nawet udał, że się opiera, waha, że ona go dopiero przekonuje itd. Tak podsycając w Oli umiejętnie zapal dla sprawy pałacu, zsuwał na jej „słabe barki” część swej lekkomyślności i w duchu miał — nie, robił sobie Mefistofelesowskie zadośćuczynienie, że wskutek szczególnego (?) zbiegu okoliczności Ola stoi na straży dzieła, które się zrodziło w głowie jej rywalki (a wszakże pozwolił usunąć plan tej rywalki) i ku jej czci (nie bardzo!).

Ale mimo to, im więcej gmach wylaniał się spośród rusztowań, tym bardziej jego przyszły właściciel czuł się zeń niezadowolonym, rozczarowywał się. Gdy inni mówili: „Piękne!”, on nie mógł mówić, że nie, musiał mieć dobrą minę, ale w duchu protestował;

tak dalece to, co powstawało, było odległe od jego fantazji, tak nic nie miało wspólnego z Angeliką. Żał jego był niesłuszny, był nawet na wpół udany, on sam przecież z góry mógł wiedzieć, że tak będzie; wszak widział plany i znał się o tyle na rzeczy, iż mógł sobie budynek wyobrazić, może nawet już wówczas zawarty w nim był ów żal i rozczarowanie, które to uczucia czekały tylko na swój czas rozwoju. Zły był teraz, że dał się architektowi sterroryzować jego niby fachową wiedzą, że nie opanował go tak, jak swego czasu Angelikę, zły był nawet na Angelikę, że jej plan udaremnił mu obmyślenie jakiegoś własnego, który by lepiej ich (jego) ideom odpowiadał, wreszcie zniechęcił architekturę w ogóle, jako sztukę ciasną, nieelastyczną, nie mogącą wyrazić subtelniejszych poetycznych myśli. Pałac wydał mu się pasożytem, który, wśliznąwszy się w jego pierś, ssie z niej soki i wyrasta w coś niespodzianego, czego nie oczekiwał, coś swojego, ale nie jego. (Pierwiastek pałubiczny).

Jego najulubieńszym zajęciem było teraz obcowanie z Pawelkiem. Pawełek wszedł już właśnie w te lata, w których po przebyciu elementarnych nauk, po nabyciu pierwszych pojęć, miał duszę najpodatniejszą do przyjmowania tych silnych wrażeń, od których się zwykle datuje pamięć każdego człowieka. Strumieński wbrew swemu pierwotnemu planowi nie mógł się wstrzymać od zasiewania w nim wrażeń artystycznych: na spacerach ćwiczył jego wzrok w pojmowaniu piękności przyrody i chociaż miał zasadę, żeby dziecku nic nie narzucać, przecież narzucał, może dlatego, że jego umysł był wówczas w ogóle zbyt rozkołysany w fantazjach artystycznych. Co prawda nie widział w Pawelku oczekiwanych zadatków na przyszłego geniusza, lecz tylko posłuszeństwo, poddanie się. Przez zęcną politykę rodzinną przywiązał do siebie syna, zrobił niewidzialną przegrodę między nim a Ołą i resztą rodzeństwa, wzbudził w nim małe ambicje, które on sam tylko mógł zadowalać, dawał mu małe czynności, był dlań po cichu starszym bratem i przyjacielem. Mówił żartobliwie, że to jest jego syn po pierwszej żonie, i naprawdę otoczył go odpowiednią atmosferą, a Ola oddała mu go do tego idealnego użytku, nie mogąc dać siebie. Pawełek duchowym pasierbem Oli! W tym jednym punkcie przynajmniej nagięła się do intencji męża. Tak powstał wyjątkowy trójkącik rodzinny, w którym ojciec i syn złączeni byli ze sobą linią o wiele krótszą i bliższą niż z matką, a który wewnętrznym konstrukcjom Strumieńskiego na temat Angeliki nadawał cień pozoru zewnętrznego sprawdzania się. Ale trójkącik ten nie zawdzięczał swego istnienia jakimś planom Strumieńskiego albo dobrotliwym ustępstwom Oli, albo obopólnym umowom, przeciwnie, wytworzył się samoistnie po szeregu gniewów, w których Pawełek towarzyszył ojcu przeciw matce, po szeregu drobnych aluzji i czynów fantazyjnych, powiedzeń żartobliwych, które teraz dopiero pokazywały Strumieńskiemu swoją dziwną ciągłość i wewnętrzną logikę. A że syn miał po matce dziedziczyć talent, więc Strumieński zaczął w duchu przeznaczać Pawelka na malarza, chociaż nic nie mówił o tym ani jemu, ani nikomu. Nie chciał zbyt wyraźnie urzeczywistniać swych konstrukcji, z którymi tylko igrał dotychczas, bał się także, by nie zwichnąć innych sił, które mogły drzeć w Pawelku, a jednak widocznie popychał go w jedną stronę.

Kiedy raz ujrzał swoje dzieci bawiące się wśród wzniesionych już fundamentów pałacu (Ola zakazywała tej zabawy), przyszło mu na myśl, że wrażenie otrzymane z takiej budowli w tym wieku pozostaje niezatarte na zawsze. Idąc dalej za tą myślą, powiedział sobie — a słyszał to od Angeliki, gdy mu się skarżyła na brak talentu — że, ażeby zostać artystą, trzeba w dziecięctwie przeżyć jakieś nadzwyczajne tajemnicze wrażenie. W duszy swej miał już plan takiego wrażenia, ale go sobie nie wyjawiał, bał się i dopiero powoli doń dochodził. Uczyl Pawelka różnych potrzebnych rzeczy, ale tylko tego, co sam umiał, np. swojej botaniki, resztę zostawiał nauczycielowi wiejskiemu, który uczył we dworze. Nie pozwolił jednak uczyć chłopca geografii, bo wyczytał gdzieś, że ta nauka najprędzej rozszerza pogląd dziecka na świat realny; ale ostatecznie nie udało się wyminąć tej nauki. Obok potrzebnych rzeczy mówił Pawelkowi także wiele rzeczy niepotrzebnych, np. na wzór Angeliki zmyślał i rozpowiadał mu rozmaite fantastyczne historie, rzekomo dziejące się teraz w świecie, w historiach tych utrzymywał pewną ciągłość, a pobudzał i Pawelka do takiego samego komponowania, rozwijał w nim zmysł do kłamstwa artystycznego, do udanej wiary w rzeczy zmyślane i nieistniejące. Odbywało się to pod pozorem zabawy, wychowania, opowiadania bajek — a Ola miała z ich rozmów nieraz sporo śmiechu. Działał tu może w Strumieńskim jakiś instynkt dla zachowania pewnych cech swego

Syn, Ojciec, Matka,  
Zdrada, Sztuka

charakteru: mówił on sobie wprawdzie tylko tyle, że sam filistrzeje i dlatego przelewa resztę zakonserwowanego polotu na syna, ale przy tym właściwie stare grzechy wracały, bo kierowała nim nadzieja powtórzenia może tej samej roli kuratora artystycznego, którą miał przy Angelice.

Natura jest obfita w aluzje. Raz podczas wycieczki zaskoczył ich deszcz w lesie; burza, grzmoty, wylanie rzeki — to wszystko zbliżyło ich do siebie, znosząc różnicę wieku, wywołując w nich jednakowy nastrój. Potem wracali brzegiem Wontoku, mijając wciąż liczne kałuże, w których urwiska i drzewa szeregiem się odbijały. Pokazując Pawłkowi odbicia przedmiotów w rozlanej wodzie, wiódł Strumieński jego oczy ku temu, by śledzić owe odbicia coraz dalej pod ziemię, widzieć je lub domyślać się ich w głębi — i mówił o światach pod lustrem wody, o gmachach podziemnych. Pawełek widział, że to nieprawda, ale czuł też coś w tym rodzaju, że to prawda poetycka, był współnikiem błagi, i w zmoczonych do nitki sukniach, niesiony na rękę przez ojca, przytulał się mocno do niego. Strumieński nie był dla chłopca szczodrym w oznakach swej miłości, skąpił ich z pewnym wyrachowaniem, aby ich wartości nie osłabiać. Tym razem jednak ucałował go serdecznie, a było to w chwili, gdy stanęli naprzeciw pałacu po drugiej stronie stawu i w wodzie widzieli odwrócony szczytem w dół, spadający w rozjaśnione niebo, drugi, daleko piękniejszy pałac, błyszczący i lśniący, jakby zbudowany z jakichś tafli kryształowych przez tajemnicze duchy podziemne, na przekór budowłom nadziemnym tuż pod nimi właśnie, przez duchy, które swoją czynność kryją zazdrośnie przed okiem ludzkim za pomocą złudzenia, iż to jest tylko zwykły fenomen optyczny. Tak mniej więcej mówił synowi Strumieński i w tej chwili, bawiąc go, był po swojemu twórczym, wymyślał symbol dla siebie samego, bo mu się wyraźnie ujawniło, że jego *forsa*<sup>175</sup> leży w budowaniu właśnie takich fantastycznych pałaców — we własnej — a jeżeli nie we własnej, to w cudzych głowach.

Więc Pawełek jako nowe medium. Czar i „poezję” tych scen muszę zostawić *à discrétion*<sup>176</sup> czytelnika. Było to dziecinne i wzniosłe, głupie i rozumne. Nie lubię takich epizodów poetycznie wyzyskiwać, i tam, gdzie kto inny może na moim miejscu roztoczyłby wachlarz stylu, ja poprzestaję na napisaniu: itd. Tak samo przeskakiwałem wszystkie poetyczne ustępy w historii porozumienia Strumieńskiego z Angeliką. A zresztą na czymże właściwie polega „poezja” (ten cudzysłów nie ma wcale ubliżającej intencji) takich zakątek życia? Może na tym, że i tu są punkty wstydlive i ukryte części pałubiczne, ale wyjątkowa łatwość ich przewycięzania wywiera taki urok, jakby chwilowe zawieszenie prawa ciężkości. Jak np. Strumieński opowiadał Pawłkowi o Angelice nawet rzeczy tak piękne i mądre, że chłopak ich zrozumieć nie mógł. Zwykle jednak przerabiał Strumieński osobno dla niego historię Angeliki, w czym wspomagało go to, że Pawełek słyszał już dawniej od domowników — z tymi dziećmi bywają czasem poufalsze niż z rodzicami — legendy o Angelice i o jej kaplicy, chociaż nic o tym ojcu nie mówił. Jak potem sam Strumieński nie odczuwał już w Angelice kochanki, ale wczuwając się w tok myśli syna, poddawał się macierzyńskiemu niemal oddziaływaniu tej postaci. Było to współnictwo ekstaz, spisek, nowa tajemnica pod pozorem wychowania — i Strumieński, jak kiedyś zaznał prawdziwych rozkoszy miłości, tak teraz stworzył sobie dostosowane do nich, jedyne w swoim rodzaju rozkosze ojcowskie — a to wszystko pod pretekstem (początkowo przynajmniej) wypalenia piętna na pierwszej epoce umysłowego życia Pawłka.

I sięgnął dalej. Dawny idealny obraz czystej miłości (s. 67, 99, 136<sup>177</sup>) przeistoczył mu się pod wpływem nowych warunków. Wpływy kościelne (zaznaczone na s. 181/182<sup>178</sup>)

<sup>175</sup>*forsa* (z łac, wł.) — tu: moc, siła. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*à discrétion* (fr.) — według własnego uznania. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>s. 67, 99, 136 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragmenty zaczynające się od słów: „Uradzili więc, że miłość platoniczna nie znika, lecz tylko anektuje nową dziedzinę, rozszerza się (...)” (rozdział IV); „Znowu inna forma tej samej dyspozycji ku ostatecznościom idealnych (...) Strumieński wyrobił sobie (...) teorię, że organa wszystkich zmysłów są powtórzone w mózgu, w którym niejako siedzi drugi, mały człowiek. »Widział oczyma duszy«, »słyszał w duszy« (...)” (rozdział V); „Tu znowu zamajaczył mu niewyraźny, bo nieśmiały obraz tej „idealnej” miłości, który wytworzył był się w pierwszej epoce stosunku do Angeliki (...)” (rozdział VII). [przypis edytorski]

<sup>178</sup>zaznaczone na s. 181/182 — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment zaczynający się od słów]: „Strumieński budował kościół (...)”. [przypis edytorski]

nasunęły mu wizje innej, egotycznej religii, z aparatem grobów, kościołów, ołtarzy gdzieś w przestrzeni, z unoszącym się jej duchem. Czego sam nie zrobił, zrobić już nie mógł, bo może miał umysł zaskorupały i niepodatny, to chciał czuć teraz przez duszę syna, dać mu się zastąpić. Dawniej „rozpacz” jego nie była jeszcze tak uduchowiona, była w nim, teraz już wyszła z niego, zamieniła się w postać niewidzialną i szła za nim jak upiór, domagający się ofiary. Sądził, że już pora zaznajomić Pawełka z jego prawdziwą matką. Wprzód więc z rozmysłem pracował nad tym, żeby wrażenie przygotować jak najlepiej. Szło o ostatnią, Oli jeszcze niewiadomą tajemnicę pokoju Angeliki. Aby podnieść urok tej tajemnicy, zastosował nowy mechanizm i wynalazki optyczne. Pawełek musiał się znaleźć jakby w grocie, w odłamie owego kraju zaczarowanego, który mu Strumieński ukazał w lustrze wody — co nie dostawało, musiał dorobić fantazją.

Liczył Strumieński na to, że tajemniczymi akcesoriami podziela zrazu więcej niż treścią wrażenia, ale że treść ta przecież stanie się dla Pawełka kiedyś rzeczą główną. Układał sobie, że potem raptem przerwie wrażenia, usunie ich przyczynę, zatrze realne ślady wypadków w pamięci Pawełka, wyśle go gdzieś z domu, aby cały ten wpływ pozostawić w nim jakby niewytłumaczony, jakby sen. Gdy wróci, nie znajdzie realnych śladów, będzie może daremnie badać, może wypytywać ojca, który mu nic nigdy nie powie, chyba potem kiedyś zostawi mu pamiątkę — lub nie, wszak sam miał w swoich wspomnieniach z lat dziecięcych zdarzenia, o których nie wiedział, czy były faktem czy tylko mimowolnym własnym wymysłem, snem. Taką zagadką przeszłości miało być dla Pawełka objawienie się Angeliki. I wykonał swój zamiar.

## XV. GWIAZDA PODZIEMIA

Pawełek miał dawniej wojsko zrekrutowane z chłopców wiejskich. Ola, chociaż w teorii była zwolenniczką ludu, wyśmiewała to bratanie się syna Strumieńskiego z chłopami jako rzecz znamienne, ale je tolerowała, bo i inne jej dzieci brały czasem udział w kampaniach wojennych Pawełka. Od pewnego czasu jednak Pawełek zaniedbał tych zabaw jako niegodnych siebie, rozpuścił wojsko, a rodzeństwo pozbawione swego *gaudium*<sup>179</sup> zaniósł nań skargę do matki. Było to jakoś pod nieobecność Strumieńskiego. Spostrzeżono, że Pawełek wieczorem gdzieś się wykrada i znika; pierwiej można było myśleć, że jest gdzieś z ojcem, ale teraz? Ola zamknęła go razem z innymi dziećmi i sama pilnowała. Zauważyła, że Pawełek się niepokoi, że chciałby się wymknąć, myśli o czym innym, mało mówi i jest krnąbrny. Raz udało mu się zbiec, posłała za nim służącego, który go dogonił i do domu sprowadził. Wreszcie zaczęła wpadać na różne przypuszczenia. Widziała ona już dawniej w zachowaniu się męża pewną zmianę, a równocześnie jakieś konszachty z Pawelkiem. Nie dziwiło jej to zrazu, bo była przyzwyczajona do różnych jego „humorów”, teraz jednak — acz po swojemu — zastanowiła się nad sytuacją.

Małżeństwo ma swój barometr pewnych czułości i poufałości, na którym obie strony poznają stopień swego przywiązania i wzajemne zamiary. Drobnе wahania i zmiany na tym barometrze stają się według okoliczności wskazówką, ostrzeżeniem, uspokojeniem itp. I chociażby jedno nie znało historii serca drugiego, to na nim się ona odbija, choćby nawet komitywa płciowa była już uszablonowana. Tylko w złych romansach<sup>180</sup> — zwłaszcza

Tajemnica

Małżeństwo

<sup>179</sup> *gaudium* (łac.) — radość, zadowolenie. [przypis edytorski]

<sup>180</sup> Tylko w złych romansach (...) np. żona męża (...) nie kocha, śpi z nim, a mimo to „kocha się” na zabój w drugim „idealnie” — [Komentarz autora z Uwag.] Tak jest np. w powieści Kowerskiej pt. *Marzyciel*, w *Malce Schwarzenkopf* Zapolskiej, gdzie małżeński stosunek Małki do Jojny jest całkiem pominięty, a byłby bardzo ciekawy. Nie odbieram zresztą autorom prawa, by niektóre przejścia w swych utworach, choćby nawet ważniejsze, tylko zaznaczali albo omijali; w niższych gatunkach twórczości jest to nawet konieczne. Wskazuję jednak na szkodę, jaka płynie dla prawdy przez wyrzucanie takich pałubicznych wycinków życia i na obojętność czytelników i widzów wobec tego rodzaju zaniedbań. Ktoś powie, że *takie rzeczy*, o jakie mi chodzi, nie grają w życiu tak bardzo ważnej roli. Zgoda! ale i to ustępowanie *takich* drobiazgów na drugi plan wobec czynników jeszcze bardziej żywiołowych, choć mniej pikantnych, odbywa się w *inny* sposób. Żądam więc, aby *takie* kwestie pojawiały się w powieściach, jeżeli już nie tak jak w *Nielsie Lybnem* Jacobsena, to przynajmniej w „stadium dyskusji”, przynajmniej tak jak w *Bez dogmatu*, gdzie Płoszowski zaczyna przecież raz myśleć o tym, co Kromicki robi z Anielką. Każdy, kto czytał tę powieść, przypomni sobie, że ten właśnie ustęp raptownie nadaje powieści odrębny, demoniczny urok (pałubiczne piętno rzeczywistości), chociaż ostatecznie „idealizm” bierze górę, a czytelnik z pewnym zawodem przekonuje się, że autorowi nie szło na serio o rozstrzygnięcie pytania, w jaki sposób Anielka godzi lub nie godzi w sobie miłość do Leona z obowiązkiem żony. Więcej już chwalebnie sobie Hebbła, który w tragedii *Judyta*, każe swej bohaterce, zhańbionej przez Holofernesa, tak mówić mię-

cza kobiecych — dzieje się tak, że np. żona męża długi czas nie kocha, śpi z nim, a mimo to „kocha się” na zabój w drugim „idealnie”. Dzieje, dzieje się i to, ale nie w tak prosty sposób, jak się o tym pisze. Uwagę tę uzupełniam w komentarzu, tu dodam jeszcze tylko, że w małżeństwie Strumieńskich nie ona, ale głównie on był tym, który dzieje i wahania swej duszy zdradzał na owym barometrze, a Ola wiedziała o tym.

Przestała pilnować Pawełka, zwolniła nad nim kontroli, aby go mogła łatwiej śledzić. Przeczuwała niemal, że wkracza w państwo Strumieńskiego. O istnieniu tego państwa dowiadywała się czasem z aluzji męża, ale nie chciała się przedtem mieszać w te sprawy, udawała niezrozumienie, zdawało jej się zresztą, że już wszystko wie, co można było wiedzieć. Teraz kierowała nią tylko ciekawość, czy Pawełek istotnie wejdzie do muzeum Angeliki i co on tam będzie robił. Ukryła się więc wieczorem koło muzeum, które w ciągu trzech lat stało się niemal niedostępnym z powodu drzew i gąszczów, nigdy niewycinanych. Obok pod powiewem wiatru stękała sosna i biła piersiami o mur kaplicy — poetyczny symbol żalu. Wkrótce spostrzegła Ola Pawełka, który tu szedł jak do siebie, i wsunęła się za nim po kryjomu; lecz chłopak, posłyszawszy szelest za sobą, cofnął się o parę kroków, nadśluuchiwał i potem drzwi od wewnątrz zasunął.

W sali panował zmierzch wieczorny. Pawełek przystąpił do okien, zatrasnął w nich okiennice, tak że stało się całkiem ciemno. Za chwilę jednak zadrgały w górze po obu stronach stropu dwa punkciki, zrazu małe jak robaczki świętojańskie, potem powiększyły się i przybrały kształt pary olbrzymich oczu, wysyłających dwa ukośne, silne pęki białych promieni świetlnych, które odwrotnymi stożkami nasycały coraz dalszą przestrzeń. Biegnąc wzrokiem za promieniami, ujrzała Ola na płaszczyźnie przecięcia się obu stożków szybę szklaną, za którą zrazu nic nie było; aż gdy się jej oczy chwilę oswoiły z grą niezwykłego światła, ujrzała, jak za szybą światło to skoncentrowało się na jednym punkcie: na owym melancholijnym obrazie tęsknoty, o którym Strumieński powiedział, że mu jest najmilszy.

Pawełek ukląkł przed obrazem tak, żeby lepiej widzieć, co się wewnątrz dzieje. W tej chwili skutek chłodu przeszedł Olę dreszcz, lecz ona, poczuwszy ów dreszcz, mimo woli natychmiast przypisała go innej przyczynie, wywołując przez to w sobie samej uczucie pewnej obawy, a przynajmniej naprężonego oczekiwania. Pochylona naprzód twarz Pawełka, wydłużona szyja, czoło przytulone niemal do szyby — to wszystko także sugerowało Oli, by naśladowała jego zachowanie się. A widząc znowu te fale cofnięte od brzegu, te trzciny pochylone w jedną stronę i zmrok ponury<sup>181</sup>, doznała — jak sobie potem mówiła — po raz drugi w życiu tego samego wrażenia, co pierwszym razem: że to nie jest wszystko. Pawełek jednak nie oczekiwał, lecz badał coś, bo wnet odwrócił się, popatrzył w górę i wykonał jakąś manipulację tak prędko, że Ola nic nie dojrzała, bo tymczasem uderzyło ją inne zjawisko. Oto nagle wielkie oczy, niby ślepe dotychczas, napełniły się żywymi rubinowymi soczewkami, z których trysnęły smugi czerwonego światła, przeciskając się między białymi promieniami; pod ich wpływem proszek farb jakby wirować zaczął, kształty się zatarły, zmieniły, a wtedy —

o cudzie cudów! —

wyłoniła się na obrazie wielka jasna głowa kobieca, okolona złotymi włosami, a była to głowa Angeliki.

Dłońmi odgarniała sobie włosy z czoła, oczy jej były utkwione w przestrzeń uporczywie, hipnotyzująco, usta miała trochę rozwarłe, jakby drgające, a w nachyleniu głowy, blasku oczu była taka rozpaczliwa chciwość życia, że od tego obrazu w czarnych ramach rozpływała się i udzielała widzowi sugestii, przenosząca go poza próg nonsensu, ażeby wierzył, że te oczy odsyłają otrzymany obraz do jakiegoś tajemniczego zbiornika, że te usta za chwilę przemówią coś o tym, co jej oczy ujrzały na ziemi, że może mocą niewidzialnego rozkazu nastąpi nagle wstrząśnienie wśród martwych atomów, czyhających

dzy innymi: „Wyobraź sobie tę chwilę, w której (...) twoje zmysły powstają przeciwko tobie samej, jak pijane niewolniki, niepoznające swego pana...”. [przypis autorski]

<sup>181</sup>A widząc znowu te fale cofnięte od brzegu, te trzciny pochylone w jedną stronę i zmrok ponury — [Komentarz autora z Uwąg.] Zapewne mało kto przypomni sobie, że to Strumieński wniósł w nią to wrażenie [rozdział VII „Obraz, który Strumieński teraz pokazał, był pierwaj pominięty tak przez niego, jak i przez Olę. Przedstawiał skaliste wybrzeże nad jakąś wodą, ogromnie puste i smutne (...)]. [przypis autorski]

nad brzegiem życia — żywa postać zaszeleści w przestrzeni i spłynie na ziemię. Lecz nic z tego się nie działo, natomiast osoby patrzące na obraz i z nimi jakby wszystko dokoła wzięło w chwili zapatrzenia się, stawało się nieruchomym, asymilowało się mimo woli do tej żywej martwoty i ciszy, jakby nie było innych form życia, tylko to ciężkie upiorowate oczekiwanie, niemające nic wspólnego ze sztuką, okrutne, beznadziejne, bezrozumne.

Było to ostatnie dzieło Angeliki malowane wśród trwogi przed śmiercią, wśród żalu za ziemią i niebem — po całych dniach gorączkowej, rozpaczliwej pracy, sekretne farby zawarły nareszcie to, co artystka uważała za „duszę swej postaci” i co chciała pozostawić na świecie, bo nie wierzyła w świat pozagrobowy i w możliwość przebywania po śmierci jako duch w atmosferze otaczającej kochanka.

Cały obraz, ujęty w ogromne czarne ramy, był jakby domem, do którego okna z wewnątrz przez jakiś korytarz przyszła ta postać i wychylała się, żeby zobaczyć, co się dzieje na świecie. Przegradzająca szyba zaś wywierała taką sugestię, jakby miejsce poza nią należało już do „duchów” obawiających się bezpośredniego zetknięcia się z ludźmi.

Pawełek patrzył w obraz z wyuczoną bezkrytyczną ekstazą i zupełną wiarą, zakrywał sobie oczy, odwracał się i znów patrzył, po czym ukląkł, wyciągnął ręce i zaczął po cichu wymawiać chaotyczne zdania w rodzaju: „Nie odwiedzałem pani, bo mnie matka zamykała”, „Może pani czego chce, może mi co rozkaże”, „Niech mnie pani weźmie z sobą”, „Niech pani coś przemówi do mnie” itd.

Chwilami postać jakby ustępowała poza mglistą, nieokreśloną zasłonę farb, potem znowu wyraźniej się wybijała, przy czym odchylenie głowy tak złudnie naśladowało ruch, że Ola w pewnej takiej chwili uczuła bezwiedną trwogę i krzyknęła. Chłopak odwrócił się, a ujrawszy matkę, uczynił, że światło natychmiast zgasło. W ciemności stali oboje, a pani Strumieńskiej się zdawało, że jest ktoś trzeci z nimi. Słysząc było wyraźnie uderzenie sosny o strop budynku i Oli nie wpadło jakoś na myśl zastosować tu powagi matczynej. Nagle Pawełek podniósł u jednego okna okiennicę, a szybko otworzywszy okno, wyskoczył i uciekł. Ola została sama. Ogarnął ją pewien strach, który chciała przezwyciężyć, by się przyjrzeć dokładnie wszystkiemu. Zbliżywszy się do szyby, zapalała zapalki, lecz jedna po drugiej gasły, mogła tylko w chwilach rozbłyśnięcia się płomyków widzieć obraz samotnego brzegu morskiego. Trzciny się poruszały, fale uderzały o brzegi, tak ponure, jakby miały w swych objęciach martwe ciało. Ostatnią zapalkę zaświeciła przed lustrem, a poprzeczna skaza na nim mignęła przed nią jak błyskawica. Odwróciwszy się, przeszła Ola ku oknu, wołając dopiero teraz za Pawelkiem. Wtem cofnęła się — bo nowy dziw! miesiąc wypłynął zza chmur i oświetlił okolicę, wywołując przypadkowo fenomen optyczny: oto w specjalnych ramach otaczających okno ukazał się całkiem jakby sztuczny wytwór krajobraz nocy miesięcznej, na nim jako najwyższy punkt widniał cmentarz, spod którego stóp wypływały białe glazy. *Memento mori*<sup>182</sup> stało w środku okna, a młoda pani, która nigdy o śmierci bardzo nie myślała, straciła rezon pod nawalem tych zjawisk cisnących się naokoło niej gwałtownie w samotność nocy i przelekniona — bo była dość zabobonna — krzyknęła, a potem zaczęła się żegnać. Pobiegnęła do drzwi i chciała wybiec, targnęła za klamkę, drzwi były zamknięte. Gniew ją porwał, targnęła raz i drugi, i dopiero wtedy spostrzegła, że drzwi są tylko z wewnątrz zaryglowane. Odsunęła zasuwkę, wyszła pośpiesznie, po chwili wróciła i chciała wyjąć klucz, ale klucza już nie było. Całe to zajście trwało zaledwie kilka minut.

Strach wstrząsał nią jeszcze trochę, ale na zewnątrz objawiało się to tylko wybuchami gniewu, hamowanymi pewnym respektem. Gdy Pawełek przyszedł do domu, skradając się z daleka od matki, spytała wprawdzie: „Gdzie ty się włóczysz?”, lecz było to tylko zaznaczanie powagi, nie chciała dostać i nie dostała też żadnej odpowiedzi. Cała sprawa zaskoczyła ją tak nagle, że nie wiedziała, jak się zachować, w myśli miała tylko owo zjawisko, przy tym poszlakę jakichś machinacji i jakąś niepewność, czy to się zwykle tylko na tym kończy. W domu pp. X-ów nasłuchiwała się wiele o duchach i o sztucznych sposobach ich wywoływania, a przy tym z latami pokazywało się u niej — jak już powiedziałem — coś jakby powrót do zabobonów i dewocji, recydywa do form atawistycznych, czego jednak nie trzeba brać po darwinowskiu.

<sup>182</sup>*memento mori* (łac.) — pamiętaj o śmierci. [przypis edytorski]



Zawołała Pawełka do lekcji fortepianowej, ale jemu ręce drżały, nie śmiał patrzeć na matkę. „Dlaczego ci ręce drżą? Dlaczego nie patrzysz mi w oczy?” były jej zapytania, którymi chciała swój kłopot przenieść na niego. Nie mówiła z nim jednak nic o zajściu w muzeum, obiecując sobie interpelować o to męża.

Wtem zajechał powóz z powracającym Strumieńskim, lekcja się zaraz skończyła. Strumieński był w dobrym humorze, przywitał żonę, rzucił parę słów wesołych, a potem poszedł zaraz do siebie, bo miał niby jakiś interes do załatwienia. Pawełek podskoczył za nim, aby mu opowiedzieć o zajściu, lecz ojciec, nie wysłuchawszy dobrze, o co rzecz idzie, przerwał mu już przy pierwszych słowach i odsunął go. Pawełek się zaciął, powziął podejrzenie, bo jako dziecko miał nieufność nawet do ojca, i postanowił nic już nie mówić.

Ani wyniesiony z muzeum strach, ani respekt dla duchów nie były u Oli tak silne, by jej dusza nie odrzuciła wkrótce tych uczuć i nie wytworzyła natychmiast w ich miejsce gniewu na Strumieńskiego i Pawełka. Bo Olą rządziły przede wszystkim nie tyle myśli i decyzje, co chwilowa sytuacja, jej też Ola oddawała się zupełnie, doznając przy tym całkiem na serio pierwszych lepszych z brzegu uczuć, do tej sytuacji stosownych. A więc tym razem naprzód zazdrości, a potem oburzenia: jak on śmiał mieć tu nałożnicę! Przechowywała, że była może na tropie czegoś niemoralnego — gdyby coś podobnego znalazła w powieści, a, to co innego, ale tak... wydało jej się to potwornym, wariackim, głupim i miało posmak nieprzyzwoitości. Chciała go jednak przede wszystkim złać za Pawełka, a podniecała ją do tego nie tyle zazdrość żony lub matki, ile jakaś zazdrość w ogóle, jakaś chęć wywarcia na nim swej złości, która wszakże w jednej chwili mogła się przełamać w żal, oburzenie, sympatię itd.

Była pewna, że Pawełek ojca o wszystkim powiadomił, i czekała, rychło mąż przyjdzie i zacznie się przed nią usprawiedliwiać, tłumaczyć. Będzie zakłopotany, ona zaś wystąpi — głównie jako matka Pawełka, na zazdrość żony była za dumną. Wprawdzie bowiem tolerowała konszachty Strumieńskiego z Pawelkiem, ale ta tolerancja nie była niczym stałym, była tylko milczącą umową, którą teraz mogła zerwać, zwłaszcza że nadarzała jej się taka pyszna do tego sposobność.

Ale Strumieński jakoś nie przychodził — zaczęła się niecierpliwić. Powiedziała sobie: „Nie przychodzi, bo nie wie, co teraz zrobić, szuka wykrętu, boi się”. To podniecało jej odwagę. Była przygotowana przerwać jego tłumaczenie się słowy: „Nie trzeba, obejdzie się, nie chcę tego słuchać” — lub czymś w tym guście. Lecz gdy nie nadchodził, prosiła go w duchu: „Przyjdźże, a ja cię złać”. Wszedł Strumieński, ale całkiem nie taki, jakim go oczekiwała: swobodny, bez śladu zakłopotania. „Bezczelny!” — pomyślała, nie wiedząc, że Strumieński o niczym nie wie. Zaczął jej mówić o zaręczynach Gasztolda, co ją mocno zajęło, tak że wyszła z nastroju oburzenia i potem już nie mogła go znaleźć, tym bardziej, że musiała się nieco wstydzić swego zbyt skwapliwego zainteresowania się Gasztoldem, a wzmianka o Gasztoldzie przybliżyła jej wspomnienie warszawskiej kompromitacji i... pewnych niefortunnych nadziei romansowych. Pocieszała się zrazu myślą, że Strumieński chce ją tylko zaszachować, ale po opowiedzianych faktach poznała, że tak nie jest, że Gasztold zaręczył się istotnie. Zapanowała jednak nad przykrością, którą jej sprawiła ta nowina, wypowiadała różne uwagi o tym, jakim będzie to przyszłe małżeństwo, obmawiała tak Gasztolda, jak i jego narzeczoną, w czym jednak potrzebowała od męża pewnej pomocy i wyrozumiałości. Z niechęcią do Gasztolda budziło się w niej jako uczucie dopełniające przywiązanie do Strumieńskiego, a wskutek takich powikłań wprawdzie już odczuła zazdrość o niego (tj. o Strumieńskiego) nabrała szerszych kolorów. Interpelację swoją odłożyła nieświadomie jako atut do jakiejś innej kłótni, a tymczasem poddawała się powstałemu w niej świeżo splotowi uczuć. Jego milczenie o obrazie Angeliki już jej nie gniewało, ale imponowało, martwiło, przygnębiało. Poczula żywo, że nikt jej nie kocha, że wszyscy (uogólnienia z powodu Gasztolda) ją zdradzają, łzawo jej się zrobiło. Zawołała do siebie Pawełka, aby go udobruchać: przyszedł posłusznie, bo dąsał się na ojca. Pawełek przezuwał bystro, że z powodu tego obrazu powstało jakieś napięcie między ojcem a matką, lecz nie wiedział jakiego rodzaju. Pieszczoty matki zrozumiał tak, że ona go prosi, żeby nic ojcu nie mówił, i w duchu obiecywał jej milczenie — był trochę rad temu, że z obu stronami spiskuje. Tymczasem Ola zaczęła grać na fortepianie, chciała, jak to piszą, wypowiedzieć się w muzyce, dać mężowi coś do poznania, grała

więc z wielkim ferworem, aby wywołać zapytanie: „Co ci jest dzisiaj?”. Grała, myliła się naumyślnie, nie kończyła — ale na próżno. On nie poznawał, nie zwracał na nią uwagi, chyba naumyślnie.

A sekret był ten, że Strumieński wrócił do domu ululany, przez drogę wytrzeźwiał, napił się potem u siebie czarnej kawy, ale jeszcze czuł wino w głowie. Wstydził się nieco przed Olą, zajęty więc udawaniem pewności ruchów nie zwracał uwagi na jej zachowanie się lub też mówił sobie: „Czegoś ona dziwna, ale może mnie się tylko tak zdaje, lepiej dam pokój”.

Zaledwie przypomniał sobie zapowiedzieć żonie gości na drugi dzień: „Będziemy mieli jutro gości, ciekawych gości!”, lecz nie chciał mówić kogo. „No, kto przecież?” — „Et, nic, chcą widzieć pałac”. Do tego była Ola przyzwyczajona.

Mimo swego stanu, a może właśnie wskutek niego, Strumieński wewnątrz swej duszy patrzył teraz jasno i gonił szybkie myśli. Zajęty był wyobrażaniem sobie towarzystwa, z którym się niedawno pożegnał. Ilekroć zetknął się z ludźmi, ostygły nieco jego interesy melancholijno-pedagogiczne i traktował je wtedy jako brzydki nałóg, z którym się ukrywać należy. Dlatego to odpędził Pawełka, bo w takich chwilach życia swą powierzchwną wspólność z nim mimo poetyczności zatrważało go jako stosunek dziwny, a może nie-naturalny i kompromitujący. Bo to „życie podziemne”, które się w nim formowało, było bardzo delikatne, jak mózg pokryty błonką tylko, a nie czaszką. Patrząc na Pawełka i jego pieszczony się z matką, pomyślał: „Jaka obłuda! Tak przecież w rodzinie być nie powinno!”. Powiedział sobie także, że już najwyższy czas wykonać resztę planu co do Pawełka — należy go odciąć od Angeliki, nim mu się zabawka sprzykrzy, aby zachować w nim świeżość i siłę wrażenia. Już mniej więcej przeczuwał, jak to wykona. Ale równocześnie z Pawełkiem chciał i on sam skorzystać: zerwać (na razie? na zawsze? tego nie określał) z tym tak luźnie do niego przyczepionym kawałkiem przeszłości, który się skupiał w sekretnym obrazie pierwszej żony. Odwagi w tym kierunku dodawało mu wspomnienie, co do którego nigdy nie był pewnym, czy się nie myli, w tej chwili np. myślał, że nie. (Chęć zerwania zamieniła się w przypomnienie, a raczej wytwarzała je w mózgu jako swoją podstawę<sup>183</sup>, asekurowała się zaś niesumienną niepewnością). Oto zdawało mu się, że sama Angelika w rozmowach przed śmiercią wspomniała mu coś o tym, że jeżeli taki (jaki?) czas kiedy nastanie, niech on, mąż, zniszczy wszelki ślad po niej. Słowo „wzelki” wydawało mu się trochę przesadnym. Myśli te toczyły się w jego głowie trochę po pijanemu, ale swoją drogą upicie się było teraz tylko wygodnym pozorem, którym otulał pewne nieokreślone nadzieje, a te właśnie nadzieje wywoływały tamte tzw. rozsądne myśli. Siedział przy Oli, bo go muzyka też trochę ogłuszała, i był naumyślnie bezmyślny. Inne dzieci w drugim pokoju układały z klocków pałac — natura jest pełna aluzji. Pawełek patrzył na nie obojętnie, chuchał na szyć i przecierał ją. Strumieński obserwował jego ruchy i wtedy zastanowił go jeden szczegół: oto Pawełek, mówiąc o kobiecie na obrazie, nazywał ją czasem i np. dziś „pałubą”, „naszą pałubą”. Dźwięk tego słowa przypominał Strumieńskiemu coś ohydneho i ordynarnego zarazem, co by to jednak było, nie pamiętał. Wprawdzie jeszcze dawniej dowiedział się Strumieński od Pawełka, że on to słowo „pałuba” zasłyszał od parobków i pastuchów wiejskich, w jakim jednak sensie tego słowa używano, Pawełek wytłumaczyć nie umiał. Ostatecznie dziś nie chciał sobie

<sup>183</sup> Chęć zerwania zamieniła się w przypomnienie, a raczej wytwarzała je w mózgu jako swoją podstawę — [Komentarz autora z *Uwag*.] Podobnie [rozdział XII „Kiedy Ola wyszła za mąż, udawał, że musi pić, ażeby się oszołomić, że musi się wdawać w miłostki, (...) aby się pocieszyć. Oficjalna nieszczęśliwa miłość była pokrywką wybryków, a jednak gdy Gasztold zamianował ją tak ważnym czynnikiem w swoim życiu, wchłonęła w siebie wszystkie inne ujemne pierwiastki z tego życia i zaczęła działać tak dobrze, jakby na serio”; rozdział XIII „(...) gdy rozważała zajścia *ex post*, pod zabarwieniem wynikłej już wskutek nich złości do Gasztolda, to przeszłość jej sama się fałszowała, szczegóły przemieniały się w jej pamięci na takie, jakimi je Ola mieć chciała” i „(...) on nie ma prawa jej robić wyrzutów, bo sam jest nicpoń (...). W jej miękkim mózgu wszystkie takie frazesy i szańce chwilowe zaraz przybierały cechę słuszności i prawdopodobieństwa”; rozdział X „(...) czasem to i owo zmyślał i dodawał, wsuwał między zdarzenia jakieś własne wymysły czy domysły, a te mu się potem w głowie tak utrwały, że uważał je za wspomnienia rzeczywiste”; rozdział XX „(...) wiedzenie o obrazie przemieniło się potem nieznacznie (czy za jego wolą?) w stan niepewności, niedokładnego jakby zapamiętania”]. Pomyśl, chęć chłonie w siebie nastrój prawdy. [W rozdziale XV] używam wyrażenia: „Z wolna jej chęć pomyślnego rozwikłania sprawy *uprawdzała* tę nową zazdrość”. Wytłumaczyć te zjawiska można, jak mi się zdaje, tylko hipotezą, którą podaję w *Trio* pod 6): „stwarza wyobrażenia naśladowujące wyobrażenia autentyczne”. Tu także mają swoje „fizjologiczne” wytłumaczenie sprawki należące do tzw. „garderoby duszy” [rozdział IX]: „preparat, który wychodzi, przekonuje ich samych”. Można by także mówić o galwanoplastyce w umyśle. [przypis autorski]

Strumieński psuć nad tym głowy. Powiedział „dobranoc”, bo chciał prędko pójść spać, Ola nie znalazła nawet sposobności, aby powiedzieć: „Ja wiem wszystko!”. Nie pocałował jej na dobranoc — jaki on jest.

Wprawdzie Strumieński, żegnając się z żoną, obrzucił ją spojrzeniami na wpół czuły mi, na wpół pożądanymi, a dla zamaskowania tej drugiej cechy swego spojrzenia dodał uśmiech łagodny, wprawdzie Ola to zauważyła i mogła stąd wysnuć wniosek, że on się z nią „gniewać” nie chce, jednakże wolała nie przyjmować tego do wiadomości, bo ten szczególnie nie dopasowywał się do tej komedii psychicznej, którą już teraz zamierzyła odbyć ze sobą. (Wymijanie tego, co by mogło popsuć symetryczność uplanowanego zdarzenia — punkt fałszywy).

Po odejściu Strumieńskiego miała Ola krótką, grzeczną wizytę pierwiastka pałubicznego. Zawsze w mężu lubiła pewien patos, o ile był do niej skierowany, teraz, leżąc w łóżku rozgorączkowana, myślała nad tą sprawą głębiej. To, że on kochał i ukrywał Angelikę tak długi czas, wywołało jej podziw, poruszyło w niej strunę romantyzmu, nastrojona jeszcze do ostatniego drgania na ton *Marii Dunin*. Ale niedługo mogła myśleć bez rozdrażnienia, chociaż forsowanie wykrzyknika: „Wariat!” już się jej nie udawało. Czuła znowu pewien strach przed nim jak przed czarownikiem, ale — przecież go znała, nieraz był tak śmiesznym. Chciała wmawiać w siebie, że on zapewne dopiero od niedawna robi takie komedie, ale przypominała sobie różne jego aluzje, wycieczki, ten krajobraz nadmorski... Miała żal do siebie samej, że się dawniej o tym nie dowiedziała, że nie mogła w nim obudzić takiego zaufania, ale żal do niego, że on ją wówczas oszukał, nie zwierzył się ze wszystkim — on tylko wyzywał ją, dokuczał jej Angeliką, ale nie był szczerym.

Trapiła ją jednak jeszcze głębsza, bo naruszająca byt egoizmu i ambicję, zazdrość intelektualna, tej np. treści, że ona sama, choćby się w kim na serio kochała, nie jest zdolna do takiej miłosnej zapamiętałości, jaka według jej obaw była u Angeliki, a zapewne i u Strumieńskiego. Poczula znowu gorzyc i nienawiść do „tej kobiety”, która zniszczyła ich „szczęście i spokój domowy”, wydarła jej serce męża, a przecież była o wiele brzydszą. Ażeby tę zazdrość w sobie ukryć, mówiła wprawdzie porażająco: to czysty bzik, to szaleństwo, komedia! Biorąc miarę ze siebie, przeczuwała także, że Strumieński znowu tak bardzo na serio zapamiętałym nie jest, bo przecieżby nie robił tego lub owego, nie rozpałaby się tak do niej, do Oli — nie, nie. I w tym przeczuciu był jej ratunek (podobnie ratuje się Gasztold s. 230, w. 8 i n.<sup>184</sup>). Nie było to wcale przeczucie genialne, lecz wywołane chceniem; chciała przeczuwać to, co jej było dogodnie — a jak wiemy, przeczuwała, niech będzie, trafnie — chociaż z drugiej strony obawiała się, czy to uspokajanie siebie samej nie jest złudą, czy może przecież nie ma tam czegoś nadzwyczajnego. Ale na tle owego przeczucia postanawiała: trzeba mu to wydrzeć! Wydostać to od niego! On w walce z nią powinien mieć równe siły, żadnej rezerwy, żadnej ucieczki! I w tym celu wybrała sobie środek najlepszy (instyktowne trafianie s. 138, w. 22<sup>185</sup>): zamiast zazdrości prawdziwej, intelektualnej, przyjęła w sobie i wysunęła na pierwszy plan zazdrość fałszywą, płytką, mniej niebezpieczną, mianowicie zazdrość płciową o Strumieńskiego, a więc takie uczucie, które, jak wiedziała, było Strumieńskiemu pożądane i miłe (przemianowanie pobudek patrz s. 232, w. 3<sup>186</sup>). Na tej drodze mogła mu wydrzeć ją — to jest raczej jego wydrzeć jej. Przeczuwała powodzenie tej taktyki w przyszłości i przejęła się nią na serio, upajała się zazdrością o Strumieńskiego, rozżalała. Z wolna jej chęć praktycznego i pomyślnego rozwikłania sprawy uprawdzała nową zazdrość, zacierając jej genezę. Gwoli podniecenia i rozwielenia w sobie tego nowego uczucia fałszowała przeszłość. Jak ona go kochała! A on jej wydarł syna! Zrodziła mu troje dzieci! Poświęciła

<sup>184</sup>podobnie ratuje się Gasztold s. 230, w. 8 i n. — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment rozdziału XII]: „(...) zaczął wąpić w swój talent malarski. Stało się to na wpół dla poży (...).” [przypis edytorski]

<sup>185</sup>instyktowne trafianie s. 138, w. 22 — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment]: „(...) wpadł Strumieński instyktownie na najlepszy sposób przygotowania sytuacji, w której by musiał wreszcie wszystko z siebie wydobyć. Wszczął wielką awanturę z żoną i pokłócił się z nią” (rozdział VII). [przypis edytorski]

<sup>186</sup>przemianowanie pobudek patrz s. 232, w. 3 — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment zaczynający się od słów]: „Więc dla zatarcia wstydliwego punktu, dla wyrządzenia sprawiedliwości samemu sobie (...)” (rozdział XII). [przypis edytorski]

się, wychodząc za niego, wyrobiła mu stanowisko w świecie! A on gdzie, na co podziewał swoją miłość. Oszukiwał ją — nie zdradzał wprawdzie tak, ale jeszcze gorzej! Poniżał ją. Ona zaraz jutro wyjedzie, rozwiedzie się z nim! Tak szczyła się w zazdrość, lecz zarazem i w większą miłość ku niemu, jako rację bytu zazdrości. Przypominała sobie Gasztolda i zwała teraz na siebie winę, nazywała siebie niewierną żoną. Nie wyjedzie więc, ale zostanie tu, musi swoją winę odpokutować. Zresztą — cóż się właściwie stało? Może to wierutne głupstwo, zabawka, o którą nie warto robić awantur. Nie, nie tak. Rezultatem tego kotłowania uczuć była bezkierunkowa złość zamaskowana rozżaleniem, a objawiana płaczem do poduszki wśród nocy.

Przyznaję, że mój wywód, a raczej hipoteza o zazdrości intelektualnej, jest niejasny i wątpliwy. Ta nazwa nie wystarczy na wyczerpanie treści całego kłębka uczuć i ruchów myśli, które tu mogły w grę wchodzić. Zamiast zbiorowej nazwy „zazdrość intelektualna” mógłbym z równą niedokładnością powiedzieć „potrzeba odporu w ogóle” lub szopenhauerowska „wola”. Ale rozwikłać ów kłębek byłoby rzeczą arcytrudną, a może niemożliwą, gdyż kto wie, czy każda nitka dałaby się jakoś opisać — chyba według jakichś przypuszczalnych objawów, podobnie jak w chemii odkrywa się istnienie pierwiastków i związków, forsując sztucznie ich okazanie się. Ja sam próbuję się załatwiać z takimi wypadkami w duchu uwagi wypowiedzianej w rozdz. XIX. „Trio” pod 6, ale to może być tylko *pro foro interno*<sup>187</sup>. Faktem jest, że każdy autor, obserwując życie, dochodzi do pytań, przed którymi staje. Otóż ja myślę, że komponując w myśl zasady wypowiedzianej na s. 198/199<sup>188</sup>, muszę i w moim opowiadaniu przyjąć punkty, których nie rozumiem, aby dać w nim zupełny równoważnik sposobu spostrzegania i pamiętania życia. Na taki punkt właśnie powyżej natrafiłem; naturalnie można ich było napotkać mnóstwo i w poprzednich epizodach, lecz zazwyczaj dzieje się tak, że człowiekowi badającemu lub piszącemu wystarcza urojenie wyczerpującej całości.

## XVI. PRÓBA PRÓBY

Gdy Ola obudziła się nazajutrz po niespokojnych snach, poranek nie rozwiął jej nastroju, bo mąż zawsze jeszcze nie zbliżał się do niej, kręcił się gdzieś... Wtem ogrodnik wręczył jej bukiet róż od pana. Był to dar częsty i stereotypowy, tym razem jednak widziała w nim znak, że on ją przecież kocha.

Stało się wkrótce coś, co ją w odegraniu przeczutej roli ubiegło i — czy może nadało energię ruchową ukrytym czynnikom? Tak by się to nazywało, ale w każdej sytuacji drzemie tysiąc czynników gotowych do zapłodnienia i rozwoju to tak to owak. Nie nastąpiło więc coś, co „konieczne” tak być musiało — na wzór dramatów naśladowujących Sofoklesa — chyba że mówimy o tej wspólnej wszystkim konieczności, tak wspólnej, że już nie jest koniecznością, bo znosi się we wszechświecie. Ot, przyszły nowe fakta i sprawa — skrzystalizowała się? Wybuchła? Zagmatwała się? Powiedzmy, naśmiewając się z autora: spałubiła się.

Idzie o wizytę dwojga dość ekscentrycznych gości, którzy na pięknych koniach zajeżdżali przed dwór Strumieńskich. Mężczyzna, przyjaciel młodego Truskawskiego, pan Jelonek, nie był tak głupim, za jakiego powszechnie go uważano z powodu, że puszczał pieniądze, nosił perukę i udawał człowieka wiecznie podróżującego. Kobieta była dawniej aktorką w jednym z większych miast rosyjskich, gdzie przetłumaczyła jakiś lichy dramat historyczno-społeczny, potem nauczyła się emancypacji na jakimś zagranicznym uniwersytecie, teraz zaś udawała osobę politycznie podejrzaną, udając, że pozornie bada Galicję i zbiera daty, wiadomości, typy i krajobrazy niby tylko do powieści czy też studium publicystycznego. Ta poza miała jednak swoje podstawy — ale to nas tu nie obchodzi. Jelonek,

<sup>187</sup>*pro foro interno* (łac.) — na rynek wewnętrzny; na potrzeby własne. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*komponując w myśl zasady wypowiedzianej na s. 198/199* — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment] „(...) ta moja nudna metoda podawania przekrojów, myślenia przed czytelnikiem, zamiast urządzania przed nim teatru, nie jest wcale tylko dowolnym złamaniem przyjętego zwyczaju, lecz naśladowaniem najwykleszej, najnaturalniejszej formy, w jakiej każdy człowiek przedstawia sobie prawdziwe zdarzenia. (...) Tak jak się w przeciętnych powieściach opisuje fakty, tak może się one i dzieją, ale w tej formie nikt zająć swego życia nie pamięta ani rozważa (...). Otóż i ja często podchwytuję ten ton pamiętnikowy, bo on mi daje pewną gwarancję prawdy (...)” (rozdział X). [przypis edytorski]

z którym miała stosunek wzajemnej dobroczynności, jeździł z nią wszędzie, narzucając się jej z fotografowaniem wszystkich i wszystkiego. Szło mu o to, by pokazać okolicy, że wdaje się w konszachty z kobietą tak niebezpieczną, kto wie, czy nie anarchistką. Zawitali do Strumieńskich w przejeździe, aby zobaczyć pałac, po południu zaś mieli się udać dalej w swoją jakąś tam niepotrzebną podróż. Panowie mało się znali, a owa eksaktorka, pani czy panna Berestajko (czyli krótko Berestajka), była tu zupełnie obcą.

Jelonek, widząc ślady łez na twarzy Oli — na co mu zwróciła uwagę jego towarzyska — zaczął ją nudzić opowiadaniem swoich przygód podróżniczych i opisywaniem zwiedzonych miast, ale gdy się pokazało, że oboje znają dobrze Radom, rozmowa poszła im dość gładko. Tymczasem Strumieński zajął się Berestajką. Ponieważ po francusku nie umiał, porozumiewali się z sobą mieszaniną języka polskiego i ruskiego, względnie rosyjskiego, co stworzyło od razu między obojgiem atmosferę nieco humorystyczną, a zarazem bardzo wygodną do przemykania sobie przedwstępnych czułości. Strumieńskiego interesowała ta kobieta (mówił sobie: jako typ, nie jako „kobieta”), a przy tym rad był, że sposobem rozmowy z nią może irytuje Olę. Ola patrzyła na jego umizgi z początku ze zdziwieniem, tak dalece ta scena odskakiwała od jej wczorajszego toku myśli, potem jednak obserwowała je z ogromną ciekawością, wśród której nie miała czasu załatwić się z Jelonkiem tak, jakby kiedy indziej uczyniła, owszem, udawała skutek roztargnienia, że go kokietuje, więcej naśladując tamtą parę niż na serio. Czula, że Strumieński niektóre szczegóły rozmowy adresuje do niej, obawiała się prawie, że on może tylko na żart i z ironią umizga się do Berestajki, jego umizgi bowiem i powodzenie chwilami czyniły go w jej oczach imponującym i pięknym; zazdroszcząc w ten sposób, miała przyjemność w zazdrości i rozkoszowała się swoją ukrytą do niego miłością.

Wszystko to odbywało się na tle oficjalnego fabrykowania sobie wrażeń z rozmaitych, rzekomo pysznych krajobrazów, tudzież rozmów o sztuce budowniczej, dramatycznej, aktorskiej, fotograficznej itd. Oglądano pałac, Jelonek fotografował go, zachwycając się po bliźniaku jego położeniem, fasadą itp. Każde się popisowało, czym miało. Wzięto się potem do gry w *lawn-tennis*: Strumieński z Rosjanką po jednej, Ola z Jelonkiem po drugiej stronie siatki. Strumieńscy grali bardzo dobrze, Jelonek licho, aktorka nie umiała wcale i dopiero teraz z zapałem się uczyła. Wskutek tego Strumieński miał z nią zabawę, Ola zaś miała uciechę, że „my oboje tak dobrze gramy i aż się popisujemy”, uczuła miłą sobie wspólność ze Strumieńskim i objawiła to nieznacznym wykrzyknikiem, który Berestajka dobrze sobie spamiętała.

Mówiono potem o sportach. Jelonek opowiadał, dlaczego porzucił rower — jako niezdrowy, a zarazem nieszlachetny wynalazek świadczący o skarleniu ducha. Berestajka, aby dać próbkę swej ekscentryczności, zaproponowała Strumieńskiemu wyścig konny do niedalekiej grupy skał o szczególnej formacji, zwanych tam Organami. Strumieński siadł na wierzchowca Jelonka, wnet jednak zmiarkował, że to nie ma być wyścig na serio. Dał się z początku daleko wyprzedzić, potem ona, widząc, że Strumieński ją niebawem doścignie, z przekory, zamiast na most skierowała z drogi w bok do Wontoku i wjechała w wodę. Koń stanął i zaczął pić, wkrótce przypędził Strumieński, dziwił się, a stanąwszy przy niej, klepał jej konia po szyi. W tej chwili ujrzał na jej palcu pierścień i chcąc ująć jej dłoń swoją ręką, prosił o pokazanie pierścienia. Zdjęła z palca pierścionek i pokazywała jakiś wyryty na nim oryginalny rosyjski napis, lecz wtem, podając, upuściła go do wody. Sprzeczali się, kto niezgrabny — pan, pani. Rosjanka udała wielki żal i prosiła Strumieńskiego na wszystko w świecie, żeby jej pierścionek wydobył. Powiedział, że każe szukać. Ona: „Ale ja nie mam czasu, to pamiętka, to talizman”. Nikogo nie było w pobliżu, dla Strumieńskiego nastąpiła kłopotliwa sytuacja — czyż miał sam leźć do wody? „Niechże pani ostrożnie wyjedzie, poczekamy, aż się woda z mułu oczyści, może go dojrzymy i wydobędziemy”. „Niech no tylko pan ostrożnie jedzie”. Wyjechali na brzeg, ale w wodzie nic nie błyszczało, Strumieński nie wiedział, co robić z kapryśną kobietą, która nalegała na natychmiastowe szukanie pierścionka, ona zaś: „Widzę, że muszę tu sobie sama poradzić”. I siadłszy na brzegu, zaczęła energicznie bez ceregieli zdejmować bucik i pończochę, a obnażywszy jedną nogę, pluskała nią w wodzie. „Nie dbam o to, co pan sobie pomyśli — wiem z góry, co — nie widzę w tym nic okropnego”. Strumieński: „Ja też nie widzę nic okropnego, przeciwnie, to, co widzę, jest...” — „A nie patrzy pan na mnie, odwróć się, pilnuj koni”. Upominał ją, co robi, a gdyby kto zobaczył! — Aha! tuś

Flirt

mi! — i zaczęła się śmiać na głos, gdy on patrzył dalej. On trochę urażony: „Czy chciała się pani pochwalić zgrabną nóżką?” — „Tak”. „Znałem i znam zgrabniejsze”. „Wątpię, a czy dużo?” — „Zdaje mi się, że się posuwamy za daleko”. „Ja tak, pan nie”. „Pani mnie wyzywa?” — „Dzieciak z pana”. „Czy pani zamieściłaby taką scenę w swoim romansie?” — „Cóż znowu, czyż pan nie widzi, że się nim bawię?” — „A jednak nie osiągnie pani swego zamiaru”. „Zobaczymy”. Wtem nadeszła mała, bosa dziewczynka z opalką w ręce, nazywała się Agatka. Strumieński polecił jej szukać w tym miejscu zguby. Rosjanka: „Szukaj, szukaj mała, dostaniesz coś ode mnie”. Z miernym pośpiechem obuwała nogę, a Strumieński rzekł: „Szkoda”. Ona nie pytała: czego? bo wiedziała, że szło mu o drugą, i chciała mu zrobić zawód. Gdy siedli na konie, rzekł Strumieński: „Gdy Agatka nie znajdzie, to dostanie coś ode mnie”. „Dlaczego?” — A Strumieńskiemu przyszła właśnie na myśl gra słów: strumień i Strumieński, wspomniawszy więc o zaślubinach doży we-neckiego z morzem, wytłumaczył żartobliwie, że oto teraz ona z nim zaręczyła się w taki sam symboliczny sposób.

Całej tej scenie przypatrywała się Ola z bijącym sercem przez lunetę Jelonka, który tymczasem, chcąc się jej przypodobać, sfotografował Pawełka, a potem w tym samym celu oglądał jakiegoś parobka o facjacie, jego zdaniem, bardzo komicznej. (Miał estetycznego bzika, by wszędzie węszyć komizm.)

Strumieński z Rosjanką pojechali ku Organom, objeżdżając je dookoła. Opowiedział jej najprzód legendę przywiązaną do tych skał: że był jakiś kościół, w którym diabeł grał na organach, aż niebo, dowiedziawszy się o tym, zesłało piorun niszczący; czy też, że diabeł, nie mogąc znieść dźwięku tych cudownych organów, ukradł je z kościoła i uciekając, porzucił je po drodze... legenda ma kilka wersji. „To ciekawe — rzekła Berestajka — napiszę na ten temat nowelkę albo dramat wierszem”. „Dla mnie — odparł Strumieński — o wiele poetyczniejszym jest powstanie tych skał takie, jak je tłumaczy geologia. Wszędzie tu widzimy ślady czasów przedpotopowych, epoka pliocenńska, tu, gdzie się pani teraz znajduje, przelewało się morze, tu, nad nami, wysoko, pływały sobie ichtiozaury, potworne ryby...”. Opowiadając o tym, spoglądał chciwie na rozmaite wyżłobienia i zakątki skał znajdujące się po drugiej stronie, to jest tej, gdzie już od dworu nie mogli być widziani. Teraz stąpali obok siebie w milczeniu, trzymając konie za uzdy. „Tu, w tych dziuplach i jaskiniach gnieździły się owe ryby” — mówił dalej Strumieński. W pamięci jego wynurzył się przez skojarzenie wyobrażeń krajobraz podmorski Angeliki i niewidzialny świetlany balon, który nad nim krążył, obniżył się i objął mu na chwilę głowę. Ale Strumieński chciał zwalczyć ów nastrój pośrednio, więc podzielił się nim z Rosjanką (lecz przy tym już także udaremniał obecną pokusę), mówiąc jej: „Mógłbym pani pokazać obraz, który przedstawia wnętrze takiego morza”. „Bardzo ciekawa”. „Mam tu zbiór obrazów...” — „Tak? Słyszałam coś o tym”. „Ale to same bohomy — rzekł Strumieński, wymijając, bo na chwilę pożałował. — Wolę pani pokazać mój ciekawy zbiór muszli morskich we dworze, to pani lepiej przypomni faunę i florę przedpotopową”.

I wrócili. Strumieński zły na siebie, że wypuścił sposobność — ale bo też był zaskoczony! — uprzytomniał sobie nieznośność takiego wahania się i postanowił powetować je sobie jak najprędzej. Przygotowane to w nim było jeszcze wskutek flirtu z kuzynką, teraz zdecydowało się. Bo gdy go więzy zdobyły, dobrze było grać niewolnika, ale gdy uczył ich zacisk na rękach... Raz poświęciwszy jedną sposobność, mniemał, że zrobił dość dla „idei”, teraz los powinien być sam oddać od niego pokusę, inaczej on wytłumaczy to sobie na swoją korzyść. Nie całkiem jeszcze wyraźnie działał w nim motyw: „Może ta trzecia uratuje Olę, zedrze urok z Angeliki, zrobi to, czego nie może zrobić Ola jako żona legalna i dozwolona”. Tak wyglądałby rozmotany kłębek jego myśli, kłębek, który jak w ogóle myśli, miał swoje „ja”.

Przy obiedzie widziała Berestajka, że Ola jest ładna i że daje jej odczuć różnicę stanu i cnoty, jaka dzieli obywatelkę od niezaangażowanej aktorki. „Czekaj, dam ja ci za to” — myślała Berestajka. „Ten bukiet (stał na stole) z róż dostałam dziś rano od męża” — rzekła między innymi Ola. Strumieński się skrzywił i włożył do ust kęs potrawy. „Pozwoli pani jedną wziąć sobie na pamiątkę?” — spytał Jelonek. „Ależ panie Władysławie — rzekła doń Rosjanka poufale — nie wypada, zrobi pan krzywdę pani domu...” — „Ależ owszem, proszę” — rzekła Ola, wybierając dlań kwiat. „To może i pani sobie jedną wybierze” — rzekł Strumieński. Berestajka wyjęła najpiękniejszą i wpięła sobie w gors — Oli aż się

na płacz zebralo, przyrzekła sobie jednak wytknąć mężowi, że dam nie traktuje się w ten sposób różami, bo to jest uchybienie zwyczajom salonowym.

Strumieński wnet potem, zastawszy Berestajkę samą na ganku, robił aluzje do tego kwiatu, niby dopominając się jego zwrotu w zamian za inną różę, którą zaraz sami zerwą. Szło mu o byle jaki pretekst dotknięcia jej ciała. Sytuacja była taka, że Berestajka stała na ganku przechylona przez poręcz, Strumieński trochę niżej na grządce ogrodowej. Kiedy twarzą zbliżył się do niej, niby żeby wziąć różę, ona szybko rozpięła stanik z przodu i rzekła po francusku: „Wolno tylko pocałować!”. (Tymczasem róża wypadła na ziemię). Strumieński spełniał rozkaz z przyjemnością, a pewnego rodzaju wzruszenie oświadczyło nim, gdy aktorka, przycisnąwszy jego głowę do piersi, bawiła się jego włosami. Po chwili zerwali się i poszli do reszty towarzystwa, bojąc się, że ich może szukają.

Bezpośrednia rzeczywistość ma swoje nieubłagane prawa. Odtąd Strumieński popadł w ponure milczenie, rozmyślając tylko nad tym, *gdzie*. To znaczy, gdzie ją zaprowadzić, aby zaspokoić raz zbudzoną żądzę, która mu zmysły zupełnie rozdrażniła. Bo już w nim powstały myśli musowe, całkiem nowy obraz, żywiołowo domagający się zrealizowania, własna krew go podeszła. I albo milczał, zamieniając z Berestajką gorące spojrzenia, które go jeszcze bardziej upewniały o tym, czego się ona po nim spodziewa, albo irytował się z błahych przyczyn, na Jelonka w duchu, a głośno chociaż sposobem żartu na Olę, gdy dostrzegł jakieś usterki w załatwianiu przez nią obowiązków gospodyni lub gdy mu się coś nie podobało w zapatrywaniach przez nią wygłaszanych (robił to chwilami tylko w celu dogodzenia Berestajce, której niechęć ku Oli przeczynał). Natomiast Ola dowcipnie odpierając jego gderania, po cichu żałowała go, z całej duszy zaś była oburzona tylko na Berestajkę, ładacznicę, która pod jej dachem tak sobie zuchwale poczyna. Czekala sposobności, by jej zrobić jaką przymówkę. Lecz zarazem była w niej doza ciekawości: co też nastąpi? czy nastąpi? i drżała ze strachu. Strumieński i Rosjanka byli dla niej w tej chwili przecież jakimś wyższymi ludźmi, którzy mogli dopuścić się tego, o czym ona tylko słyszała. Zazdrość fizyczna była u Oli dość słaba, powstały w niej tylko odruchy obowiązkowej, konwencjonalnej zazdrości, którym natychmiast przeciwstawiła swą również konwencjonalną, a bardziej teraz pożyteczną obojętność i dumę. Miałaby być zazdrosną o taką tam... Zarazem widziała i czuła niemal jakąś treść moralną u Strumieńskiego, a ponieważ знаła jego dotychczasową katońską cnotę małżeńską, bardziej z nim współczuła, niż gardziła, solidaryzowała się z nim prawie, jak siostra z bratem bawiącym się w donjuanerię. W tym usposobieniu podtrzymywało ją jeszcze i to, że kilka razy chwyciła okruszynki czułości rzucone jej przez męża sekretnie, jakby na przeprosiny (podwójna polityka Strumieńskiego!), okruszyny jej zdaniem szczerolote w porównaniu z jego ołowianą, jakby wymuszaną grzecznością dla obcej. Nie miała zresztą żadnej pewności, czy jej podejrzenia są słuszne i czy się sprawdzą, a zasady taktu towarzyskiego i gościnności nie pozwalały jej na żadną kontrminę, na którą nawet czasu nie miała. (Powód zaniechania, całkiem zewnętrzny wprawdzie, tkwiący w mechanizmie sytuacji, ale tak ważny, że inne „motywy” wobec niego wyglądają tylko na przymusowe poparcia.) W końcu wszakże słyszała od Jelonka, że ona jedzie dalej w świat, za oczy, bo jest „włóczęgą jak prawdziwa artystka”, jeżeli więc Piotr nawet zbłądzi, to wróci na łono żony jako skruszony grzesznik, a wtedy ona mu naprzecza co niemiara. Taki był jej kłębek myśli. A jednak wciąż drżała z niecierpliwości czy obawy; żeby sobie już raz pojechali! Robiła różne niedorzeczności, za które właśnie mąż ją strofował.

Tymczasem Strumieński zdecydował się już prawie na „gdzie”. Wystąpiło ono w jego umyśle z podejrzaną uporczywością, lecz im dłużej badał teren, rozważał, że tu się kręci służba, tam dzieci, tym bardziej jedynym mu się właśnie to wydawało. Wmawiał też w siebie, że chcąc być odstępca od swojej religii, musi zarazem ze zbytnej sumienności popełnić zbrodnię, świętokradztwo. Szli teraz wszyscy czworo po raz drugi tego dnia ku budującemu się pałacowi: był bowiem projekt, że Jelonek z najwyższego szczytu już ukończonej części pałacu odfotografuje cały krajobraz. Co w tym krajobrazie było ładnego lub nadzwyczajnego, na to by Jelonek sam nie mógł dać odpowiedzi. Aha — mówił między innymi: „Co za pyszny szlachecki dworek!”. Gdy tak szli, obskoczyły ich dzieci, Pawełek narzucił się na przewodnika. Strumieński siedł za nimi z Berestajką i z okazji rozmowy o krajobrazach zapytał ją, czy widziała kiedy krajobraz podmerski. Ona pojętnie nie zdziwiła się, że on już drugi raz dzisiaj o tym mówi jakby na nowo, i odrzekła:

Flirt

Erotyzm

„Nie”. „A to ja pokazałbym pani doskonale rzeczy w tym *genre*<sup>189</sup>. Mam tu swoją galerię obrazów — ot tam — ale jej teraz nie pokazuję, bo tam wszystko poprzewracane do góry nogami”. Ola zdziwiła się niezmiernie i zarumieniła. Jak to, on by chciał...? A już myślała, że z tego nic nie będzie! Ale przecież tam, właśnie tam; nie, to być nie może! Teraz już nic nie pojmowała, zaczęła już prawie wszystko widzieć tak jak Jelonek, tj. nie domyślać się niczego.

Wtem ujrzeni na gościńcu Agatkę, która pocałowała wszystkich w ręce, powiedziała, że pierścionka nie znalazła. „No to przegrałem zakład i muszę dać pani przyobiecana muszlę”. (Wykręt ten przyszedł mu na myśl wskutek przypomnienia, że miał wynagrodzić Agatkę). Państwo sobie tu zostańcie, fotografujcie, a my tam pójdziemy. „Jakie muszle? — spytała Ola — muszle są we dworze i jakże to pani z sobą weźmie”. „Mam ich kilka jeszcze w moim muzeum, a przy tym chcę pokazać naszemu gościowi ten krajobraz Angeliki, wiesz, Olu, podmorski, bośmy dziś mówili raz o tym, zwiedzając Organy” — rzekł bezczelnie Strumieński. „Ależ tam nie wolno chodzić” — wstrzymywała go Ola. „Nie wolno? Dlaczego? — spytała wesoło Berestajka. — O! To ja właśnie tam pójść muszę”. I korzystając z wrzawy, którą dzieci zrobiły, weszli przez najbliższą furtę z podwórza do ogrodu, a szli dość prędko, ze spuszczonej oczyma, nie mówiąc nic do siebie.

Kiedy zaś tamci wstąpili na najwyższy punkt pałacu, a Jelonek nastawił swój aparat fotograficzny, zdarzyła się zabawna przygoda. Diana, ulubiona suka legawa Oli, nadbiegłszy, szczekała z dołu oburzona, że nie wzięto jej na górę. Dzieci ją wołały, lecz ona, zamiast szukać drogi, szczekała dalej. Wtem Jelonek schował głowę pod sukno aparatu fotograficznego; widząc to, Diana zaczęła gwałtownie ujadać i podskakiwać. Śmieli się wszyscy, Ola pytała, czy się tego psa w powietrzu też odfotografuje, czy w ogóle — wszystko? Dzieci chichotały się chórem, Ola niespokojna wtórowała im, aby się oszłomić, bo (nie choć) jej się na płacz zbierało, aż wreszcie Jelonek wystawił głowę spod sukna, mówiąc, że już wszystko skończone.

Niebawem połączyła się z nimi reszta towarzystwa, która, jak wiadomo, wstąpiła do ogrodu oglądać sobie krajobrazy. Wrócili w usposobieniu tak samo ponurym, w jakim się oddalili, i zaszła tylko ta zmiana, że Berestajka szła przodem, a za nią Strumieński. Ola patrzyła ku mężowi z łagodną sympatią, kładąc na dnie oczu przebaczenie, lecz nie spotykała jego wzroku. Strumieński zajęty był teraz całkowicie niespodzianym i kompromitującym go obrotem swego przelotnego stosunku do Berestajki. Zaproponował on jej, żeby się częściej widywali, pytał, jak to będzie możliwe itd., to jest w ogóle chciał mieć sposobność powtórzenia z nią tego, co się już raz stało. Ale ona nic na to nie odpowiadała, ignorowała go w sposób złośliwy i bolesny, a potem nie tylko nie korzystała z chwil dogodnych do porozumiewania się, w których on ją wzrokiem przyzywał, lecz nawet z niewytłumaczonym (dla niego) cynizmem zaczęła się zdradzać z poufałą kokieteryą względem Jelonka, niby przez zapomnienie mówiła do Jelonka „ty” i nalegała, żeby natychmiast odjeżdżać. Z irytacją swoją i natręctwem musiał się w końcu Strumieński aż zdradzać i pohamował się dopiero, gdy mimo woli spojrzął na żonę. Wśród tego Ola, oburzona także w imieniu Strumieńskiego, przymówiła się po cichu do Berestajki, ta zaś odrzekła wyniośle: „Pani się zapominasz w domysłach”. „Co to ma znaczyć?” — krzyknął Jelonek. „E nic, potem panu powiem”. (Chciała mu skłamać, że ją tamten bezskutecznie namawiał). Kiedy wreszcie, nic nie wskórawszy, musiał Strumieński żegnać gości zwykłymi komplementami, przystąpił do konia, na którym Berestajka już siedziała, i udając, że coś poprawia u siodła, szepnął jej: „Podła...”, ona nieznacznie, ale silnie trzasnęła go szpicrutą po palcach, po czym się goście uklonili i odjechali.

Oni zaś zachowali się wobec siebie tak, jakby się nic nie stało. Ola ubawiła się niepowodzeniem męża i zarazem sympatyzowała z nim jeszcze bardziej niż przedtem, bo właśnie ostatnia część zachowania się Berestajki zamiast jej dokuczyć, uratowała ją. Pokręciła się chwilkę po ogrodzie, czekając, czy on jej co powie, potem, nic nie mówiąc, odeszła jakby do swoich zajęć i zostawiła męża samego — było to z jej strony bardzo roztropnie i dyplomatycznie. Śpiewać jej się chciało, jakkolwiek lży jeszcze czasem stawały w oczach, spojrziała w lustro, poprawiała sobie włosy: „O jakim ja ładna, ładna”, a potem śpiewać zaczęła.

<sup>189</sup>*genre* (fr.) — rodzaj, styl. [przypis edytorski]



Do zamkniętego już epizodu jedno uzupełnienie. Zachowanie się Oli wyda się może komu nieprawdopodobnym, ja jednak uważam je za możliwe i sędzę, że w życiu można by wnet wyszukać podobne przykłady, mimo to kreślę całe zajście tak, jakbym robił śledztwo jakiegoś niezrozumiałego czynu. Womela, zapytany przeze mnie w tej sprawie jako ekspert, podał mi jeszcze następujący sposób wytłumaczenia zachowania się Oli. Ola wkrótce po przybyciu Berestajki widzi w niej rywalkę niebezpieczniejszą niż teoretyczna rywalka, Angelika. Trwożą ją objawy zaborczego, zuchwałego temperamentu aktorki, trwoży ją zwłaszcza ta myśl, że Berestajka w pewnej wiadomej chwili rozwinie więcej werwy niż ona, Ola, która ma sobie pod tym względem nieco do zarzucenia. Ponieważ zaś idealność Strumieńskiego obraca się koło Angeliki, więc Oli pozostał tylko ten zakres, do którego właśnie wkrada się Berestajka; będąc zazdrosną o tę, nie o tamtą, jest Ola zazdrosną głównie o tak zwany po prawniczemu faktyczny stan posiadania. Aby więc osłabić działanie Berestajki, Ola staje do niej w kontraście i wysuwa swoje zalety: tolerancję, łagodność, siostrzaną solidarność itp. tak, żeby je ukazać w jak najkorzystniejszym oświetleniu, na tamtym polu bowiem nie może i nie chce z nią współzawodniczyć.

Ale nadzwyczaj uważny i patrzący mi na palce czytelnik zapyta, jaką rolę odegrało w uczuciach Oli tego dnia to podejrzenie, że Strumieński wie już o jej wczorajszym odkryciu? I jaką wartość i znaczenie miała w takim razie w jej oczach jego zdrada? Otóż, jak samo poczucie rzeczy mówi, ta komplikacja była dla Oli za daleka, tym bardziej że Ola pod wrażeniem nowych wypadków zapomniała już myśleć o tym, iż Pawełek zapewne opowiedział o wszystkim jej mężowi, i mimo woli zachowywała się tak, jakby ona sama tajemnicę Strumieńskiego przypadkowo podglądnęła. Zresztą całe zachowanie się jego było dotychczas tak swobodne, że nie mogło poprzec jej wczorajszego podejrzenia, jakoby on wiedział o jej wiedzeniu.

Jaką jednakże rolę odegrało w dotychczasowym zachowaniu się Oli samo to jej wzdęcie o tajemnicy ukrytej w muzeum oraz powzięte w nocy postanowienie? W jakim stopniu działał na nią motyw, że Berestajka zedrże może urok z Angeliki i „uleczy” Strumieńskiego? Tu, pod tym błahym na pozór szczegółem ukrywa się ważna kwestia teoretyczna. Z pewnością większość autorów na moim miejscu bez zastanowienia postawiłaby ów motyw na pierwszym miejscu, jako rozstrzygający, jako ten, który Olę przeważnie skłonił do dzisiejszej pobłażliwości wobec romansu męża z obcą. Tak też i było w *Pałubie*, gdym ją pisał po raz pierwszy. Tu jednak można wyraźnie zaobserwować różnicę między pierwiastkiem konstrukcyjnym a pałubicznym. Oto uzasadnianie zachowania się Oli za pomocą owego motywu, chociaż nasuwa się jako najbliższe, najprostsze, i niby wynika nawet z założenia sytuacji, byłoby przecież sztucznym, niezgodnym z prawdami rzeczywistości. Albowiem motyw: „Ona zedrże urok z tamtej” działał już na samego Strumieńskiego dość niewyraźnie (s. 297 w. 3<sup>190</sup>), jakby tylko dodatkowo, cóż dopiero na Olę! Na tę mógł on działać chyba jeszcze bardziej pośrednio, ogólnikowo, nastrojowo, a i to tylko na podstawie jakichś dawnych aluzji i pouczeń męża (np. po wyjeździe Mosorowej), gdyż Ola samoistnie nie wpadłaby na pomysł o „zdzieraniu uroku”. Ale epizod z Berestajką zaraz w pierwszej chwili wybił się ponad tło innych okoliczności (samorząd faktu) i tak zajął uwagę Oli, że ustosunkowała się do obcej mniej więcej w sposób podany przez Womełę, a więc bez łączności ze sprawą Angeliki, do zaniechania zaś wszelkiego protestu przeciw zdradzie męża zmusił ją powód mechaniczny, podkreślony już na s. 299 w. 16<sup>191</sup>. Dopiero po odjeździe Berestajki, gdy istotne niebezpieczeństwo minęło, motywy przesunęły się w pamięci Oli, zajścia wczorajsze odzyskały powoli swe znaczenie i wtedy to Ola, rozwinięszy leżący na spodzie zarodek motywu, postanowiła mniemać, że w celu uleczenia męża z szaleństwa poświęciła nawet swoje prawo do wierności małżeńskiej. W ten sposób przygotowywała się wewnętrznie na przełomowe sceny z mężem,

<sup>190</sup>motyw: „Ona zedrże urok z tamtej” działał już na samego Strumieńskiego dość niewyraźnie (s. 297 w. 3) — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment zaczynający się od słów:] „Może ta trzecia uratuje Olę, zedrże urok z Angeliki, zrobi to, czego nie może zrobić Ola jako żona legalna i dozwolona” (rozdział XVI). [przypis edytorski]

<sup>191</sup>powód mechaniczny, podkreślony już na s. 299 w. 16 — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment:] „(...) zasady taktu towarzyskiego i gościnności nie pozwalały jej na żadną kontrminę, na którą nawet czasu nie miała. (Powód zaniechania, całkiem zewnętrzny wprawdzie, tkwiący w mechanizmie sytuacji, ale tak ważny, że inne „motywy” wobec niego wyglądają tylko na przymusowe poparcia.)” (rozdział XVI). [przypis edytorski]

których bliskość przeczuwała; po drugie zaś usuwała pewien wstydlivy punkt: mianowicie własne wewnętrzne wyrzuty z tego powodu, że nie chciała, nie umiała czy też nie mogła przeszkodzić zdradzie mężowskiej. Punkt fałszywy zaś był ten, że Ola doskonale przeczuwała, iż zdrada Strumieńskiego odbyła się „bezinteresownie”, bez żadnego związku ze sprawą Angeliki. Będziemy później widzieli, jak znowu zazdrość z powodu Angeliki nabierze u Oli żywych kolorów, wysunie się na pierwszy plan, tak że Ola w celu bronięcia się przed Angeliką wezwie w pomoc Berestajkę i zaszachuje nią Strumieńskiego. Dodać w końcu wypada, że w odwodzie przygotowywała się jeszcze w Oli zemsta na Strumieńskim za kłopoty psychiczne, jakie jej sprawiał swoimi romansami; to uczucie także się później częściowo zdemaskuje.

Wracam do Strumieńskiego. Strumieński był zanadto zajęty sobą, żeby zwracać uwagę na żonę. Myślał o Berestajce i wstrzymywał się od spluwania w stronę, w którą odjechała. Porównywał ją z pajęczycą, która po zapłodnieniu zabija pająka, tłumaczył sobie jej zachowanie się nikczemną sfinksowością kobiet w ogóle. Istotnie Rosjanka nauczyła się z książek traktować mężczyzn niby to jako narzędzia, którymi się potem pogardza, ale w tym wypadku grał rolę daleko prostszy motyw: ten, że odgadując jakowąś solidarność Oli z mężem, chciała dokuczyć jej przez dokuczenie jemu. Prócz tego mniemała, że go zaintryguje, zaimponuje mu i w pamięci głębiej mu utkwii, a nadto wiodła ją kobieca (?) potrzeba obrócenia kota ogonem, paradoksu w praktyce. Dość, że Strumieńskiemu było nieprzyjemnie na ganku. Tu stała ona, tu stał on — wyobrażał sobie. Kiedy kładł głowę na jej piersi, czuł wyraźnie pod uchem sztywny brzeg gorsetu, do którego go ona przyciskała — a on udawał, że mu z tym rozkosznie, chociaż właściwie było mu tylko niewygodnie. Rozkosznie mogło być — poprawił się — ale nie było. Prawym policzkiem dotykał jej spoconych piersi. A podczas tego zaznaczania przyjemności był tak obojętny, że mógł obserwować, jak po ścianie, w której tkwiła poręcz, spacerowała do góry duża stonoga.

Wśród sondowań swego rozczarowania puścił się tą samą drogą, którą odjechali goście — nie z tęsknoty, lecz aby wyjść do żniw. Potem zwrócił się na lewo i dróżką polną, okrążającą z daleka wzgórek, na którym był cmentarz, udał się do kosiarzy. Spotkał paru oficjalistów i wdał się z nimi w rozmowę, lecz nic do nagany nie znalazł. Potem miał zejść nad rzekę, gdzie budowano śluzy, lecz ponieważ droga wypadała pod cmentarz, mimo woli porzucił tę myśl i udał się w przeciwną stronę. Uszedłszy jednak paręset kroków, złapał siebie na gorącym uczynku małego tchórzostwa czy też unikania trudności i szybkim, zanadto pewnym krokiem wrócił. Kiedy już był na ulicy cmentarnej, zszedł na trawnik między groby, uchylił furtkę od ogrodzenia otaczającego grobowiec Angeliki i stanąwszy przed nim, czekał na wyrzuty sumienia.

Zając mu się wyrwał niemal spod stóp.

Wezwane nie przybywały, bo tylko on sam mógł być swoim nieprzyjacielem. Znajdował się pod zbyt jeszcze świeżym wrażeniem poprzednich wypadków: najpierw tego gwałtownego wyładowania elektrycznego, w które się rzucił na oślep jak w zimną wodę, potem gniewu i zniechęcenia. Nie było jeszcze miejsca na nowe przedstawienie w duszy. Przy silnie świecącym słońcu nie pozwolił sobie zaimponować „chłodowi wiejącemu z grobów”, lecz wyjąwszy ołówek, napisał na nagrobku datę tego dnia: 28 lipca 1... i słowa: *Ego te non amo*<sup>192</sup>.

Słowa te zdawały mu się wyrażać zarówno dobrze lekką skruchę, jak lekką naganę. Wyższa zabawka.

Tak załatwiwszy się z cmentarzem, poszedł ku rzecce. Schodząc z góry, zobaczył jakąś postać siedzącą na jednej z poprzecznych belek śluzy, a ubraną w jasny słomkowy kapelusz z czerwonymi wstążkami. „Po co ten chłopak tu siedzi?” — myślał sobie Strumieński. „Siedzi zadumany, wpatrując się w wir pod śluzami, myśli Bóg wie o czym, a mógłby spać”. Przyspieszył kroku. „Chłopiec ten staje się coraz bardziej melancholijnym, wrodzony talent zaczyna się w nim burzyć kosztem dzieciństwa. Niechybnie moja to wina. Trzeba go już posłać...”. Tak mówił w myślach, a myślał w myślach, że trzeba go odesłać, bo chciał być teraz ze swoją nową sytuacją sam na sam. Wśród tych myślatek zbliżył się do śluzy, ale ukradkiem, żeby go nie przestraszyć. W końcu jednak zamiast

<sup>192</sup>*ego te non amo* (łac.) — nie kocham cię. [przypis edytorski]

Pawełka ujrzał na belce jakiegoś chłopaka wiejskiego łowiącego ryby na wędkę. Kapelus z czerwonymi wstążkami, jak się pokazało, podarował mu dopiero co Pawełek i to dało powód do zdudy.

Ta omyłka jednak nie uspokoiła Strumieńskiego, lecz, owszem, wzmogła w nim przykry stan niepewności. Nie chcąc myśleć o sobie, myślał o Pawełku, lecz i tu cofnął się. Dawniej, będąc w takim usposobieniu, pędził zawsze na pewien utarty, w górę, pod niebo wznoszący się szlak marzeń, teraz zawracał z drogi wyuczone myśli. Coś się zaczęło mścić na nim, zagmatwało mu się tam, jakby się „dusza” nabawiła niestrawności. Kiedy doszedł do domu, był już wieczór: księżyc wypłynął na niebo, zawiesił się tuż nad cmentarzem i otoczył go romantyczną aureolą zimnego światła, pochodzącego raczej... jakby... z promieniowania fosforu zawartego w kościach gnijących w ziemi trupów — ale cóż to szkodziło. Pograżonemu w tym widoku Strumieńskiemu przypomniało się nagle, że na jednym nagrobku zostawił datę i napis. I to w miejscu tak wyraźnym, tak na pierwszy rzut oka widocznym! Ktokolwiek bądź (miał niejasno na myśli Olę) może go tam odczytać, i co sobie pomyśli? Po co było tej manifestacji z napisem? Żałował jej. Należało tam wrócić i wymazać ów napis kawałkiem kredy, choćby mu się to naprawianie swej zuchwałości miało wydawać dziecinnym i niedorzecznym. Nic przecież nie stało na przeszkodzie, żeby tam wrócił, choćby i dziś jeszcze, choćby zaraz, zanim — etc. Czyżby mu się... tylko nie chciało? Powietrze było ciepłe, okólnicy<sup>193</sup> wracali z pól, tam gdzieś śpiewali czy śpiewały — byłaby to więc czynność, niemająca w sobie nic nadzwyczajnego. I widział wciąż w duchu siebie, jak pochylony lub kłęczący przed nagrobkiem wymazuje litery, a to wyobrażenie tak natrętnie go podpędzało, że stawiał kroki, jakby szedł naprzeciw wiatru, wracał do domu.

Łypnął oczyma w bok ku muzeum. Więc to było to święte miejsce, które... hm, zbzcześcił i zanieczyścił. Popsuło się — koniec, ha. I to taka... psiakrew. Nie, dlaczego zaraz... zachował się jak prosty gbur, nie miał nawet racji. (Teraz ja sam będę trochę rozjaśniać jego myśli). Miałże nienawiść, urazę do niej... że mu popsuka podziemne życie? Nie! Wszakże ona była tylko narzędziem losu, którego on sam użył. Ale miał urazę o to, że popsuka mu satysfakcję mogącą bądź co bądź płynąć ze zdrady, że popsuka nagrodę „zbrodni”, że przez nią „zbrodnia” się nie udała, nie była pełną, tylko jakoś to wszystko wyszło nijako. Pierwiastek pałubiczny.

Co jej strzeliło do głowy? O kobiety! Musiał jednak — mimo wszystkiego — przyznać (nieśmiałość!), że w tym pośpiechu, nieładzie sukien, szybkim porozumieniu się egoizmów, było coś, co miało odrębny urok. Wprawdzie on nazywał to tylko „pikantnym”, bo na wzór swych kolegów wieku i stanu zmniejszał pobłażliwie doniosłość swych grzechów, nadając im utarte salonowe nazwy, które zaraz wywoływały w nim wrażenie, jakby się znajdował w przyzwoitej kompanii współników z całego świata.

Gdyby ten jego stan zadowolenia przenieść w naoczną świadomość, można by go skondensować w aforyzmie: „Tylko grzech nasycy”. Jego zmysłowość dawno już nie miała takiej biesiady *extra*, więc z kradzioną przyjemnością odnowił sobie to wspomnienie. Biesiady! I tu miał pewną trudność, żal, że „kielich rozkoszy” był prawie tylko nadpoczęty. Głodny i złodziej nie mają biesiady. Lecz, aby zneutralizować rozdrażnienie ciała powstałe wskutek owych wspomnień, rzucał znowu na drogę swych myśli to, jak ona go potem wydrwiła, jak jakiego osła, jak pospolitego durnia, ani domyślając się, co on dla niej poświęcił. Pasma — przecięte trochę brudnym nożem. Ale za to też, chociaż była autorką sztuki grywanej przez jakiś tam teatr, użył jej tak, jakby była wiejską Magdą lub Kaśką. Tak, użył jej — sobie, nie jej. Więc... zdradził?? To przemknęło tylko. Im bardziej nurtował w nim gniew, tym silniej wmyślał ów piękny proceder ze wszystkimi szczegółami na to miejsce przed nieoświetloną szybą, ukryte wśród ścian mauzoleum — jakby wywierał przez to na kimś akt zemsty. Zemsty za ten cały niewyraźny, ale niezadowolający go związek faktów, który można by przypisać duchom, gdyby owe fakty były zakrojone bardziej na miarę F'idiasza<sup>194</sup>.

Gdyby się nie wstydził (czegoś w sobie), mógłby z tego przygnębiającego, a właściwie całkiem niepotrzebnego rozgardiaszu myśli wycofać się tak, jak się przechodzi z jednego

<sup>193</sup>okólnik — ogrodzona część pastwiska lub podwórza, przeznaczona dla bydła, koni lub owiec; tu: miejscowy najemny pracownik rolny; w oryginale „ogólnicy” zam. okólnicy. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>F'idiasz (ok. 490 p.n.e. — 430 p.n.e.) — wybitny rzeźbiarz grecki. [przypis edytorski]

pokoju do drugiego — zaraz teraz. Czuł tę możliwość, która się doń zalotnie uśmiechała. Ale wtedy musiałby skasować epizod „Angelika”, przyczepiony teraz do niego tak jakby z tyłu, bo nań nie patrzył, więc kopnąć to, dla czego powinien był żywić pietyzm. Ona była taka piękna — taka — ale o niej teraz nie myślmy. Stało się, skończyło się. On nie skończył, tylko ono się skończyło. Ale może się nie skończyło, może ono chce jeszcze... Na szczęście nie było to trudnym, bo o zdradzie tylko on jeden wiedział, sprawa ta stawała się nawet obfitą, urozmaiconą, serce i mózg mogły pracować...

Spacerował po ogrodzie wzdłuż dworu tam i na powrót. Wtem Pawełek, któremu nadchodzący wieczór przypomniawszy jego wycieczki, przybiegł do ojca, a przyjęty dobrze przez niego, złamał zaraz swe postanowienie i opowiedział, co mu się wczoraj przytrafiło. Wiadomość ta mocno przeraziła Strumieńskiego, ukłuła go boleśnie i jeszcze bardziej skomplikowała jego myśli. Co Ola sobie z tego powodu wysnuła, jak sobie to wytłumaczyła? Czy jej to zaimponowało? Zapewne nie. Uczuł się wypartym ze swego dawnego posterunku z dwóch stron. Najprzód był zły na Olę, że podglądała, wkradła się w jego tajemnicę, drogą (widzieliśmy dopiero jak) tajemnicę, profanując (a on!?) ją swoim wiedzeniem o niej. A z tym żalem współdrżał inny, cień tamtego żalu: że nie mógł teraz samotnie i swobodnie oddać się swoim nowym perypetiom, pieścić się skrucą lub cynizmem, miał świadków, kontrolę nieprzyjemną. I napłynął węń czar, jaki miały i mogłyby mieć teraz wrażenia psychiczne z tego dawnego źródła, a żal za tym, co by mógł teraz przebywać, gdyby nie świadek, wzbudził w nim żal za tym, co utracił (?) niepowrotnie. (Dlaczego koniecznie „niepowrotnie”?) Był jak samobójca, który zadawszy sobie cios, rozpacza za światłem dnia i wynajduje w nim nowe, nieznanne mu jeszcze rozkosze. Ale nawet i ten żal nie był czysty, szczery — to było tylko łakomstwo, chciałby mieć i to, i tamto.

Ktoś przebiegł obok niego — jakaś postać po domowemu ubrana. Była to Ola. Rzucając miłe pozdrowienie, podała mu czterolistną koniczynę, blagując: „Pomyśl sobie, znalazłam to, po raz pierwszy w życiu”.

I szybko weszła do domu. Strumieński przystanął. W słowach Oli było coś, co go tknęło, a jej zachowanie się wydało mu się podejrzanym. Przypomniawszy sobie zwłaszcza jedną chwilę dzisiejszego dnia: jak podczas umizgów do Berestajki naraz spotkał wzrok Oli, uparcie węń utkwiony, jakby patrzyła nań przedtem wciąż bez poruszania powiek; skrzyżowawszy się jednak z jego spojrzeniem, natychmiast odwróciła swe oczy w inną stronę (może miała w nich łzy?). Zanotował to sobie wówczas w pamięci, aby potem rozważyć, jak ma sobie to spojrzenie tłumaczyć. Teraz przypomniawszy sobie także jej błagalne słowa, gdy szli do pałacu. Czyżby żona jego domyślała się, co zaszło między nim a Berestajką? Jeżeli domyślała się, to z jej strony byłyby to całkiem bezpodstawne podejrzenia, co najwięcej bowiem miała prawo się domyślać tyle, że on — wywiera wrażenie i z grzeczności udaje flirt. W zasadzie nic by mu to nie szkodziło, że żona wątpi o jego wierności małżeńskiej. To dla niej dobra lekcja, mogła i powinna była uważać to za rewanż za Gasztolda. Jego zdrada była czysto fizyczną tylko, a jej — niby na pozór mniejsza, w istocie gorsza. Tak myślał, aby mimochodem uspokoić także swoje małżeńskie sumienie. I że też to właśnie stało się w chwili, gdy sprawa Angeliki mogła się w małżeństwie oprocenować.

I on podobnie jak Ola nie zadał sobie pytania: „Czy ona już podczas pobytu Berestajki przypuszczała, że ja dowiedziałem się o jej wczorajszym odkryciu, i jak w takim razie przedstawiała się jej moja dzisiejsza zdrada? Czy jako czyn cyniczny? Mający może na celu zaszachowanie jej, zmylenie z tropu? Czy jak?”. Szczęściem Strumieński o tym nie myślał, podobnie jak Ola — szczęściem, bo byłby może popełnił błąd taktyczny i mylnie odgadując jej tok myślenia, byłby się zbyt prędko uspokoił i nie przedsięwziął środków ostrożności. Jak Ola instynktem (?) trafnie odgadła, że Strumieński romansował z Berestajką, nie mając żadnych innych celów prócz romansowania samego, tak Strumieński odgadł, że ona bierze rzecz po prostu, nie wiążąc jej ze sprawą Angeliki. Jego umysł jął więc wysnuwać teraz inny, łatwiejszy, a dla bytu jego egoizmu ważniejszy wątek myślenia.

Bo ponad inne popędy ludzkie, głód, miłość i instynkt samozachowawczy, górą idzie egoizm intelektualny, ten zwłaszcza, który objawia się w chęci przeprowadzenia komedii

Egoizm, Kondycja ludzka

swego charakteru<sup>195</sup>. A taką komedię, dopasowaną do charakteru Strumieńskiego, była sprawa Angeliki.

Musiał ratować w duszy Oli (dlaczego nie w sobie tylko?) swoją opinię tajemniczego człowieka, mającego styczność z jakąś odrębną, melancholijną atmosferą à la Maria Dunin, atmosferę, w której wszystko jest czyste i wielkie, a nic nie ma pospolitego, nic z dziedziny Kasięk i Magd. Niby to nie szło mu o siebie, ale o Angelikę, niby to chciał się zabezpieczyć przed podejrzeniami Oli bardziej w interesie ideału niż w interesie stróżów ideału. Ola nie powinna była nic wiedzieć o jego zagmatwaniu wewnętrznym, trzeba mu więc było rozwiać wszelkie jej domysły co do Berestajki, bo ona by to źle, fałszywie rozumiała, trzeba było wydrzeć, wydobyć obraz zrzucony w błoto, oczyścić go, olśnić nim, dać mu to, co mu się należało pokazać, czym on jest (chyba był?) dla niego.

Tak wołała o ratunek jego zagrożona ambicja, jego życie podziemne, które pragnęło być pogrzebane z wszelkimi honorami. A w ten chaos myśli obradujących w kostiumie uczuć wpadła inna wiązanka obserwacji, pocieszająca, rozjaśniająca wyjście. Oto trzymał w rękę czterolistek koniczyny. Co on oznaczał? Jakżeż się Ola dziś zachowywała? Odtwarzał sobie w pamięci jej słowa, jej mimikę w różnych chwilach i wystąpiła w nim nadzieja. Skądże ta radość na jej twarzy, to śledzenie go, te lzy (?) w jej oczach, ta sympatia teraz? Bo niewątpliwie myślała, że on sprzeniewierzał się przede wszystkim Angelice, a nie Oli, myślała, że za pomocą Berestajki ona sama odzyska jego miłość, wyruguje z serca tamtą, reprezentantkę wrogiego jej świata umysłowego. Tak opuścił Strumieński dopiero co zajęte stanowisko ostrożnego spostrzegacza i skonstruował sobie z różnych drobnych poszlak intencję terazniejszego zachowania się Oli. Przypadkowo, jak wiemy, nie mylił się, ale właściwie powinien był, znając ją, spodziewać się po niej czego innego, np. szyderskiej obojętności. Jeżeli więc teraz trafnie odgadywał jedną warstwę jej duszy, to albo dlatego, że wbrew lepszemu przeczuciu (punkt fałszywy) zgadzał się na jej komedię, podobnie jak ona podczas wczorajszych rozmyślań nocnych zgodziła się na jego komedię (wzajemna chytryść i intuicja wskutek dłuższego współżycia) — albo dlatego, że przeceniał objawy jej zazdrości miłosnej, nie umiając sobie tak jak ja za pomocą insynuacji zdać sprawy z tego, że to jest właściwie zazdrość egoistyczna, intelektualna, ambicja, która wczoraj przesunęła się dla bezpieczeństwa w inną formę.

Umysł Strumieńskiego, podchwyciwszy ową szansę ratunku, przesadził tedy w pojmowaniu Oli takim, jakie było dlań korzystne i przyjemne. Napelniała go zrazu wdzięczność dla niej za ten ratunek, a potem brnął dalej, zapalał się do Oli, kochał ją. I teraz na tle planu oczyszczenia obrazu Angeliki przygotowywał się w jego duszy nieświadomie inny plan, w jego rodzonym stylu. Plan ten uwyraźnił się dopiero potem, podczas przeprowadzania go, ja jednak dla całokształtu muszę go już tutaj trochę odsłonić: szło o to, żeby wynagrodzić sobie przykrość sprawioną przez aktorkę, niejako naprawić sobie smak — zaokrąglić i wycieniować lepiej symbol zerwania, jak dotąd zbyt zaimprovizowany, a zarazem na ten rachunek użyć od razu owoców wolności, dokonać zuchwałego czynu

<sup>195</sup>egoizm intelektualny, ten zwłaszcza, który objawia się w chęci przeprowadzenia komedii swego charakteru — [Komentarz autora z *Uwag*.] Najtrudniejsze miejsce w całej *Palubie*. Pojęcie „komedii charakteru” tworzę jako tymczasowy schowek na pewne dość różnorodne objawy, których powstawanie nie całkiem jest mi jasne. Sprawa ta jest właściwie podobna do poruszonej [w rozdziale XII] sprawy instynktu samozachowawczego pewnych utworów mózgowych, tylko że tu idzie o wytwory najbardziej umiłowane, o najdroższe „skarby duszy”. Za komedię charakteru uważam pewne typowe, stałsze zachcenie umysłu, aby rzeczy, zajścia i stosunki tak a tak pojmować. Zobaczymy to na przykładzie. Jakaś matka ma syna nicponia, ale wierząc (?) w jego dobre serce, daje mu pieniądze, ochrania jego lotrostwa itd., i nigdy nie da sobie wyperswadować, że syn jest nicponiem. Dlaczego? Bo zapewne sama wie o tym, ale dla dobrobytu jej charakteru (nazywają to „słabostką”) jest potrzebne, by on był nicponiem, a ona w to wierzyła i była wyzyskiwana. Filozof, który wierzy w swój system, autor, który chce wmówić w czytelnika, że przeprowadza to a to (autor *Paluby*?). To jest ten rdzeń myśli, z którym człowiek jakiś czas tak się żyje, że potem mimo podejrzeń, iż może się myli, nie chce się go pozbyć: za wiele trudu i bólu sprawiłoby rozpleść, rozmiękczyć ów rdzeń czy guz. Tu należą jednak nie tylko stałe, widoczne rdzenie, ale i sporadyczne wybryki, które każdy sam sobie niespodzianie płata w kompromisie ze sobą: jeżeli np. ktoś wbrew własnej woli wygaduje się z czymś pod pozorem (pozór tworzy się natychmiast), że zasięga rady; pisze się list, żalując równocześnie, że się go pisze; wierzy się w swój talent, choć się wie, że się go nie ma; robi się coś śmiesznego lub nierozsądnego, pomimo że rozum dokładnie nas ostrzega przed następstwami. O ile mi się zdaje, to jednak te wszystkie przykłady można wytłumaczyć bez używania słowa „charakter”, np. naśladowaniem samego siebie, uzasadnionymi przypuszczeniami, że się ma może słuszność, jeżeli się robi tak, jak się robi itd. [przypis autorski]

wyemancypowania się. A jak wiemy, ten jego plan psychiczny był dość zgodny z planem Oli.

Nie chciał się jednak śpieszyć, bo należało wpierw utrwalić przekonania Oli o idealności jego pośmiertnego stosunku do Angeliki, wybić jej z głowy brzydkie domysły co do Berestajki, a dopiero w dogodnej chwili wykonać główne *coup*<sup>196</sup>. Teraz jeszcze mogłaby podejrzewać, że ją chce przeprosić za zdradę. Postanowił więc kontynuować dotychczasową swoją taktykę względem Oli, póki się da, a przy tym wyssać masę delikatnych słodczytkwiących w tym nowym ustosunkowaniu się do niej.

Poszedł więc, rozmawiał, jadł, pytał, uśmiechał się, dawał rady, razem z nią obmawiał swoich gości, przytakiwał i pomagał gorliwie Oli, gdy o Berestajce mówiła z punktu widzenia patriotycznego i rasowego. Naturalnie Ola strzegła się zdradzać z domysłami o podwójnej zdradzie popełnionej przez Strumieńskiego, bo: 1) była na to za delikatną i wstydziła się, 2) wolała, by on tą winą sam się gryzł dalej, 3) nie chciała przerywać przyjemnych scen dysonansem, a 4) czuła po temperaturze jego i swojej, że wnet rozpalone będzie ognisko, które wszystko rozjaśni. W jej zachowaniu się było pochlebstwo, szacunek i skromne przymawianie się; widocznie pod wpływem tych wypadków (wczorajszych? dzisiejszych?) mąż odzyskał u niej urok nowości, chociaż nie śmiała jeszcze zbyt wyraźnym przejściem do czulszej taktyki dać mu do zrozumienia, że obojętność między nimi trwa już trochę za długo i broń Boże, żeby się w regułę zamieniła.

On tolerował to z przyjemnością, w zwrotach rozmowy dawał do poznania, że ustępuje, rozkoszował się niedomówieniem głównej rzeczy w sytuacji, z zadowoleniem widząc, że i Ola się na tym rozumie. Bolała go trochę głowa, więc przesadził w objawach odczuwania tego bólu, skarżył się, aby powiększyć jeszcze miłą dlań sympatię Oli. Mimo to, choć go ciągnęło, obawiał się czy wstydził przejść na teren pocałunkowy; komunikacja w tym względzie odbywała się między nimi za pośrednictwem dzieci, które nadto — zwłaszcza Oli Pawełek — dostarczały tematu do różnych miłosnych aluzji. Nie przyszło jednak do żadnego serdecznego wybuchu. Ola, zajęta jego bólem głowy, zbliżała się doń nieraz, chcąc dotknąć jego czoła, ale i ona mimo woli wolała przeciągać strunę tej tęsknoty z bliska czy też nie chciała, bała się pierwsza przekraczać Rubikon. Wprawdzie on myślał sobie, żeby ją na dobranoc pocałować w rękę, ona zaś przygotowaną była uprzężyć go w tym i jego w rękę pocałować, lecz obojgu zabrakło stanowczości. W końcu Strumieński, skarżąc się na coraz większy ból głowy, oddalił się.

## XVII. KOMEDIA TRYUMFALNA

Ola była nieco zawiedziona w swych oczekiwaniach, że wszystko zaraz się rozwiąże i wyjaśni, bała się, że jej rozkochany stan będzie może daremną robotą i że piętno zdrad przylgnie do jej męża, zanim zgoda nastąpi. Pomyślała sobie przeto, że on się wstydzi, boi, żałuje, chciałby wynagrodzić, ale myśli, że jest zbrodniarzem, taki był smutny, skruszony, tak go głowa bolała. I zapewne go jeszcze boli, zapewne on się tam wije z bólu, bije z własnymi myślami, przyzywa ją po cichu, ale boi się przełamać lody, które wytworzył on — czy może raczej ona?

Strumieński tej nocy dość długo przewracał się na łóżku, nim zasnął, a zasnął z myślami o Berestajce. Miał najprzód sen, że mu wbijają gwóźdź w głowę (wskutek bólu głowy), a po 15 latach wykopują na cmentarzu czaszkę z tkwiącym w niej bretnalem. Czytał on jeszcze bardzo dawno historię, że w ten sposób wykryto raz jakąś zbrodnię popełnioną przed 15 laty; widocznie za dnia podczas odwiedzin na cmentarzu tabliczka z tym wspomnieniem sama się wynurzyła i sen przygotowała. Zbudził się, a potem we śnie znowu Berestajka i przebyta z nią scena zaprzętały jego umysł, ale bynajmniej nie w erotyczny sposób. Otrzymał przez nią obstalunek od bogatego Hiszpana nazwiskiem Rosolo (?) i w obecności Gasztolda zapakowywał dla owego Hiszpana obraz przedstawiający pogrążone w morzu mózgi ludzkie. Objaśniał i opowiadał Gasztoldowi o tym obrazie, ale ponieważ sen jest siecią zanadto pajęczą, żeby pomieścić w sobie dwie świadomości, dwa nieprzesuwalne rezerwoary zdarzeń, rychło więc pokazywanie zmieniło się w akcję. I oto Strumieński znalazł się na dnie zielonego morza, w którym w górę i w dół pływały wstrętne, potworne ryby z głowami ludzkimi. Ryby gadały do siebie i śpiewały,

Sen, Strach

<sup>196</sup>*coup* (fr.) — cios, uderzenie. [przypis edytorski]

a jedna z nich z głową brodatego Żyda (dlaczego nie Angeliki?) ściagała go, on uciekał po dnie, potykając się o swoje muszle, ale coś odrywało go od dna i podnosiło w górę do owej ryby. W przerażeniu obudził się, lecz jego trwoga przed potworami nocy trwała dalej; nie mógł ani rusz stać się sobą i wyzwolić się. Wtem usłyszał w pokoju jakby bliski szelest i tłumiony oddech: ktoś był naokoło niego w ciemności, zbliżał się nieuchronnie, skradał się, by śmiertelny cios zadać. Serce mu bić przestało, a pod kołdrą spotniał cały. Jakaś wyniosła postać jakby się wynurzyła spod ziemi i zaczęła się nad nim pochylać. Nagle wyskoczył z łóżka i wydawszy krótki okrzyk trwogi, chwycił ją za gardło, obalił na ziemię i dusił z całej siły. Ale wtedy poczuł pod dłońmi jakieś ciepłe ciało i długie włosy, na dłoniach ręce usiłujące go odepchnąć, usłyszał skarżący się jęk kobiety i ocknął się. „Kto tu?” krzyknął.

„To ja, nie zabijaj mnie” — odrzekł głos; była to Ola. Strumieński oprzytomniał zupełnie, podniósł żonę, która sama wstać nie mogła, i złożył ją na łóżku. Potem zapalił świecę i oświetlił jej twarz: była blada, chwytiała oddech szeroko, oczy miała przymknięte, zdawała się nieprzytomną. Zaczął ją całować gorąco i mówił: „Nie bój się, nie, to ja przez sen tylko, co ci jest najdroższa, Olu, Oleńko, Oleczko, żono moja, matusiu prześliczna, ptaszku złoty, zbudź się, powiedz choć słówko do mnie, nie gniewaj się, moja perło, mój brylancie, moje wszystko na świecie, mój aniele — prawda, że ci już nic nie jest? Nio, nio, otwórz twoje oczęta cudowne, spojrzysz na mnie, cóż boli, boli, bardzo boli — oj boli, boli — mój aniołku, takaś bladziutka jak śmierć” itp. Ola otworzyła oczy, uśmiechnęła się i prosiła po cichu: „Wody”. Strumieński wyszedł przynieść karafkę z wodą, a wtedy Ola podniosła się, wyjęła szybko szpilkę tkwiącą w kaftaniku nocnym pod szyją (szpilka ta przedtem drasnęła ją lekko), zrobiła nią sobie na szyi krwawą rysę i znowu opadła na łóżko. Strumieński wrócił, nalał wody do szklanki, nacierał czoło i twarz Oli i podniósłszy jedną ręką do góry jej głowę, drugą przytknął szklankę do jej ust i dał jej pić jak dziecku. Ola chlipnęła parę razy, powiedziała: „Dziękuję” i znowu opadła głową na poduszkę, pokazując szyję. Strumieński dojrzał krew, ten widok całkiem go zgnębił, nie wiedział już, jak przeproszać, zmywał krew chusteczką umaczaną w wodzie, czuwał co chwila nad tym, by krew nie występowała, choć to była tylko mała ryska, całował zranione miejsce, całował rękę Oli podnoszącą się do szyi, pytał, czy może kompres, może waty lub jakich maści, potem szukał szpilki i badał przy świecy jej koniec, czy nie jest zardzewiała, ażeby jego anioł nie dostał gangreny i nie umarł. Ona zaś uśmiechała się do niego, a potem zamykała oczy i znowu je otwierała, uśmiechając się — było obojgu bardzo błogo w tym przedłużaniu nad potrzebę swoich ról: pocieszanej i pocieszyciela. A kiedy ją znowu zapytał, czy jeszcze co boli, potrząsnęła głową — wzięła jednak jego dłoń i kładąc ją sobie na sercu, rzekła: „Tu boli”. To jego, a potem ją rozweseliło, nachylił się i pocałował w czoło, nazwał ją jeszcze swoim dzieckiem najmilszym i swoim kotkiem delikatnym. „Właśnie mnie wyratowała, jak miałem brzydki sen, jakiś Hiszpan czy Rosjanin miał mnie zjeść — a ja za to ciebie udusić chciałem. Jeszcze odrobinę później, Oleczko, a byłbym zjedzony, i co byś jutro ze mnie miała”. Zrobiła na to poważną minę i opowiedziała mu, że właśnie i ona miała o nim straszny sen: śniło jej się, że on umarł, ona płakała i to ją taką trwogą nappełniło, że musiała wstać i przybiec do niego i przekonać się, czy on żyje, bo bez niego i ona żyć by nie mogła. Gdyby on wiedział... „Nie mówmy o śmierci — rzekł Strumieński. — Więc Ola dlatego przyszła? Ano jestem zdrów i cały, jak widzisz”. „Broń Boże — rzekła po chwili Ola pod wpływem jego zaniepokojonego wzroku — ani mi się to śniło. Widzisz — chciałam tylko zobaczyć... czy cię jeszcze głowa nie boli”. To wyrzekła znacząco i odwróciła głowę, niby nie śmiejąc mu spojrzeć w oczy. „Nic, nic a nic już nie boli” — rzekł Strumieński, westchnął, a potem znowu nachyliwszy się nad Olą, rzekł, że to jest piękna, piękna chwila — Ola zaś dostrzegła w jego oczach lunę budzącej się żądzę, która usiłowała być dyskretną.

Właśnie podczas tego romansowania zaczął na dworze padać deszcz — i wtedy spojrzeli oboje, że jedno okienko jest nieprzymknięte, bo deszcz w szybkę dzwonił, a czasami wpadał i do środka na wazonki pod oknem. Ale było im tak dobrze, żadne nie chciało się ruszyć, a Strumieński mówił, że byłoby mu teraz bardzo nieprzyjemnie wystawić rękę za okno (pewne zwierzenie). „Dlaczego, czy się boisz? — (niezręczność) zgadywała Ola i dodała: — »Idź zamknij, rzekła baba...«”. „Boję się kataru, ale chcę ci jedną rzecz wyjawić, najśłodsza”. „O, jeżeli ci to ma przykrość sprawić, to nie mów, nie, nie, ja się nie

domagam, ja nie jestem taką, jak inne kobiety, które prześladowają mężów swoją zazdrością, bo cię kocham”. „Czy mnie naprawdę kochasz?” — „Ależ pisaliśmy sobie, pamiętasz? Że miłość nie istnieje”. Potem, śmiejąc się, prostowała: „A kogoż mam kochać jak nie ciebie? Kto jest od ciebie lepszym, piękniejszym, wykształceńszym? Ty może jeszcze zawsze o tego Gasztolda? Ale wstydz się porównywać siebie z takim chłystkiem”. „Popatrz mi w oczy, żonusi, ty coś wiesz o mnie, prawda? Przyznaj się. Popatrz mi w oczy!”. Patrzyła, mierzyli się wzrokiem, na dzień oczu mieli dawne wrogi. „Ej, ej, czy ty mnie może podejrzewasz o Rosjankę, z którą tu figlowałem, chcąc cię rozkochać, ej?” — „Chce mnie zmylić z tropu?” — myślała Ola i rzekła mściwie: „Gdzież tam, poniżyłabym siebie i ciebie takim podejrzaniem, zresztą nie mogłabym być zazdrosną o taką tam... Dlaczego ty nie jesteś szczerym ze mną, tak jak dawniej? Co się tobie stało?”. W tej chwili okienko skrzywnęło trochę silniej, Strumieński wstał i zamknął je, nie śpiesząc się (robił sobie symbol), po czym, wróciwszy do żony, rzekł: „Więc ty mi nie masz tego za złe, Olu?”. Przybrawszy minę nieco bolesną, mówił dalej: „Widzisz, ja ci to chciałem dawno powiedzieć, wtedy — ale zabrakło mi odwagi, oszczędzić cię chciałem, zresztą, tyś była wtedy taka niepocziwa. Nie mogę mówić, nie nie, wiąże mnie przysięga, ale skoro przypadek tak wczoraj zrządził... ach na coś ty to zobaczyła, teraz może nas jakie nieszczęście spotkać (liczył na jej zabobonność). Ale niech i tak będzie... rozwiąże mi usta twymi pocałunkami, Olu”. Pochyliła się nad nim i spełniła jego żądanie. „Przerażasz mnie, ale masz tu, masz, masz, no no, niechże te usta mówią, już otworzone”.

Strumieński zaczął chodzić po pokoju. „Ale musisz mi przysiąc... na to, co masz najdroższego, że zapomnisz o tym, co ci powiem. E, co mówię, przyrzeknij mi tylko”. „Ale jakże możesz... po co ja mam zapominać, ja chcę pamiętać, ale jeżeli każesz, to zapomnę. Czy ci może co grozi? Podziel się tym ze mną — ja dotychczas nie chciałam być taką jak Elza Lohengrina<sup>197</sup>, ale teraz czuję, że ona miała słuszność. Wiesz, ja nigdy tego nie mogłam zrozumieć”. (Powtarzała to, co Strumieński jej swego czasu mówił jako swoje, ale Strumieński mile widział teraz ten plagiak.) — Zaśmiał się, siadł koło niej: „E nie, nic nadzwyczajnego, tylko że nie zrobisz żadnego użytku z tego, zachowasz się, jakby nigdy nic”. „Przyrzekam, przysięgam, co zechcesz, ale mów — ja czuję, że ty od dawna coś w sobie dusisz”. „Więc dobrze, opowiem ci różne historie, prawdopodobne i nieprawdopodobne, cudowne i pospolite, tylko słuchaj”. „Czy mi to tutaj opowiadać będziesz? A która godzina?” — „Dopiero po dwunastej, nie niecierpliw się, zajmie cię to”. „Mów, mów, jak zechcesz, ja cię w niczym nie krępuję, cała się w słuch zamieniam. Zaczynamy nowy rozdział pod tytułem: »wyjaśnienia«, nieprawdaż?” — „Tak, tak, moja droga — tu klasnął dłonią o jej dłoń — wyjaśnienia, wykład, a potem demonstracje”. „O to to widzisz, na to ciekawam”. „Oho, trochę cierpliwości, moja pani — weźże mnie za rękę, ja zbiorę myśli, tylko jak będziesz widziała, że przestaję, że waham się, to ściśnij mnie za rękę”.

Siadłszy na krawędzi łóżka, Strumieński zaczął opowiadać to, co miał już od dawna wystylizowane w umyśle, z początku szerzej, potem dał się unosić prądowi opowiadania i przyjemności ustnego określania swych wrażeń i zapatrywań z nich wysnutych. Wnet opuścił szlak utarty, wytknięty swym pamiętnikiem, bo wskutek długich rozmyślań wiele się rzeczy w nim po cichu skupiło, i teraz mówiąc, odkrywał nowe przejścia, których przedtem nie zauważył, nowe tajniki i pogłębienia. Już nie siedział, lecz chodził, mówił w sposób naturalny, nie zważając niemal na żonę — ale ponieważ sprawa stawała przed jej trybunałem, więc ją osobno na podorędziu przerabiał, przesadzał, barwił. Gdy się tak rozpędził, wynurzały się w jego umyśle z toni nieświadomości także pewne szczegóły, których dotąd prawie nie tykał, i stanęły w kącie jego świadomości jako ostatnia rezerwa. Miało to niby praktyczny cel: aby złudzić Olę co do Berestajki, aby zerwać z Angeliką, aby wyczuć rozkosz pogodzenia się z żoną — ale środek wymancypował się spod celu<sup>198</sup>.

Między innymi określał Strumieński żonie charakter Angeliki, w wykładzie jego jednak znać było jakby wahanie się dwóch sprzecznych uczuć. Równocześnie pod niebo wy-

<sup>197</sup> *Elza Lohengrina* — bohaterka opery *Lohengrin* (1850) Ryszarda Wagnera. [przypis edytorski]

<sup>198</sup> *ale środek wymancypował się spod celu* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Podobnie [w rozdziale VII: „Właściwie stawał się on teraz i u siebie niekonsekwentnym. (...) zachowanie się Oli narzucało mu dalej rolę zamkniętego w sobie, nieugiętego, tylko bardziej na serio — zaczął prawie wierzyć, że nie powinien do swoich »skarbów« dopuszczać intruza”]. [przypis edytorski]



nosił Angelikę i obmawiał ją np.: „Ona właściwie nigdy mnie nie kochała, była tylko ze mną związana jakimś specjalnym pociągim zmysłowym, a zazdrość jej (chwalił się trochę) była jeszcze większa niż zmysłowość. Jej śmierć! To rzecz szczególna — wśród jak dziwnych okoliczności to nastąpiło. Nigdy ci o tym nie mówił. W pamięci mojej wirują różne wspomnienia, zgłaszają się. Można ją nazwać obłąkaną, wariatką, ale i świętą — my mali ludzie (przymówka do Oli) wiele byśmy u niej zrozumieć nie mogli. Ja też dotychczas jestem w rozterce, domysły moje uspokoiły się, nic mnie nie obchodzą jak nieodkryta zbrodnia, ale pokutuję w duszy jak duchy cmentarne. Oto jeden z takich nierozjaśnionych tajników”. Tu opowiedział w sposób mający zjeżyć włosy na głowie swoją hipotezę co do garbatego dziecka Angeliki, które mogło być przyczyną jej obłąkania i samobójstwa. „A może co innego? Kto to wie? Ty Olu, ty jedna — przed twój trybunał mają pójść wszystkie moje obawy i skrupuły, ty będziesz moim spowiednikiem i dasz mi rozgrzeszenie, jakiego dawno pragnąłem”.

A w duszy — nie złośliwie, ale nieprzeparcie szemrała mu zapowiedź roztoczenia przed Olą pawich piór swojego życia podziemnego, swoich ekstaz i ostatnich ostatków tajemnicy... „Czekaj — szeptało mu tam do Oli — przygniotę cię ja moją spowiedzią (przesadzał jej znaczenie), upokorzę cię”. Więc Ola, przeczuciem (na podstawie jego tonu i analogii z dawnymi podobnymi scenami) odgadując jego zamiar, rzekła:

— Ale przerażasz mnie, co ja ci mam przebaczać i rozgrzeszać. Zmiłuj się, ty wszystko powiększasz, rozpalasz się. Posłuchaj mnie, mój najdroższy, ja znam ciebie, ty jesteś najlepszy człowiek w świecie, ale nie szarp twojej Oli nadaremnie, takem już w tych dniach cierpiała z powodu ciebie, oszczędź mnie, nie szydź. Tak mi już w skroniach pulsa biją. Widzisz, to to skwarne powietrze tak działa i tobie także tak oczy świecą. (To znaczy: to nie z duszy ci idzie, ale z ciała ten zapal, więc nie wzbijaj się w dumę i nie tumań mnie).

On nie pozwalał wydrzeć sobie planu i wykonał manewr w celu pozyskania jej współudziału odrobinką szczerości: „Ach, ty myślisz znowu, że ja chcę grać przed tobą jakąś komedię, ty mnie zawsze o to posądzasz” — usiadł przy niej, ujął ją za rękę. „Zlituj się, Olu, przecież ty mi jesteś najbliższą, do śmierci związaną, z tobą mam dzieci i pod jednym dachem mieszkam i mieszkać będę, nie bądźże wrogiem moim, nie sądz mnie tak. Korzystaj z tej chwili, bo ona może już nigdy we mnie nie wróci, przebac mi, jeżeli ci się mój ton trochę patetycznym wydaje, ale to taka nawyczka (prawie już ją pozyskał, ale nie dowierzała jeszcze), wyrwij mi z serca zabliznioną drzazgę, abym wyzdrowiał i był już z tobą”. (Poznała, że się za daleko posunęła, wzruszył ją jego ton serdeczny, zawstydzila się, że nie jest sama taką, i nic nie mówiąc, zaczęła go głaskać po twarzy i całować). „Czy pada tam jeszcze? O już ustaje. To niechże to wreszcie już raz powiedzianym będzie — po co ja okrążam wiecznie (a dalej okrążał, bo chciał naprężyć strunę), zdejść ze mnie ten ciężar hipnozy. Ona, wiesz kto, znalazła przed śmiercią sposób, żeby na całą mą przyszłość rzucić swój jaskrawy obraz, swoje piętno na mej duszy wypalić, obraz swojego ciała — i ja to mówię nie w przenośnym, ale w dosłownym znaczeniu. Widziałeś go, Olu, prawda? (Tak nawiasem uporał się ze sprawą uprzedniego wiedzenia Oli o obrazie; Ola tylko drgnęła, zawstydzila się, jakby przyłapaną na gorącym uczynku fałszywości). Ale nie dość jest to widzieć, to trzeba rozumieć, odczuć, wiedzieć całą historię. Chociaż mogłabyś to uważać i za zwykły figiel tylko, za zabawkę dziecinną — (tu sam sobie przerwał i aby natychmiast zboczyć, zabrął w inną stronę) wiedz więc najpierw o liście, który mi zostawiła Angelika” — opowiedział bliższe szczegóły — „treści nie pamiętam dokładnie, tylko tyle a tyle” — powiedział, ile pamiętał, a zacytował tylko koniec — „jeżeli chcesz mnie uratować od śmierci wiecznej, to uczyn tak, a ja zamieszkać w tobie i będę przy tobie w godzinie śmierci». Widzisz, jaki biblijny styl, i ona mnie tym wiązać chciała”.

„I ty się pozwoliłeś...?” — „Ach, to jest właśnie (okrążał) — pozwoliłem, będziesz słyszała historię mej żaloby i spytasz, czemuś sobie w łeb nie palnę...” — „Ach nie mów tego, nie wolno ci tak mówić”. „No no, dziecko moje, widzisz, tylko ten list, nie pamiętam go dobrze, on zawierał jakieś różne, ale niejasne, pityjskie informacje, co zrobić w przyszłości, i ty tu radzić musisz, jak z tą kłutwą (kłamał) zerwać, bo ja sam się boję, nie boję, ale nie mogę — wiesz przecie, że w nas wszystkich tkwi atawistyczna żyłka pogańska, wiara w duchy, penaty i lary, zabytek po naszych przodkach, w krwi to mamy, i ty pewnie sama czujesz takie różne obawy, trwogi niewytłumaczalne”.

Tu Strumieński umilkł i widocznie (?) coś mu się stało. Ola ścisnęła go za rękę, patrząc mu w oczy, on tolerował tę jej troskliwość, wobec której rósł jego smutek (chęć do szczerych uczuć smutku, aby je wyzyskać). Po pewnej pauzie rzekł nagle: „Pozostaje nam jeszcze jedno do zrobienia, możemy pójść, deszczyk już ustał. Czy pójdziesz ze mną?”.

— Dokąd? Czy tam?

— Tak.

— Ach, dziękuję ci (w oczy wlała wyraz błogiej wdzięczności) cieszę się, cieszę — a potem będziesz już mój, prawda?

— Odziej no się, Olu — ależ ja jestem, jestem twój — żebyś się nie przeziębiła.

Narzuciła na siebie szal, wyszli, on za chwilę wrócił, wziął swój szeroki płaszcz góralski (zobaczymy później po co), narzucił na siebie, objął ją za szyję. Gdy weszli do salonu, rzekł: „Ach, gdybyś wiedziała, jaka tu się rozegrała scena!”. Pytająco spojrzęła. „Potem, mamy całe życie czas na to — a teraz zapewne nie uwierzysz, że ja czuły jestem na takie rzeczy, ale zaczekaj tu, siądź w ciemności do fortepianu i zagraj mi... to ulubiony mój kawałek, a ty to grasz prześlizgnie, taki mam w piersiach dziwny nastrój — zrób to, zrób, nie wahaj się, błagam...” (chciał ją sobie ująć i zrobił jej przyjemność, niejako i zapłatę na dalszy współudział, za dalsze jej służenie jako medium). „Ach, zrobię, co zechcesz, byle cię uspokoić”.

Siadła do fortepianu i grała, podczas gdy on otworzył oszklone drzwi i stanąwszy w nich, patrzył w ogród.

Z całego kawałka, który grała Ola, podobało mu się właściwie tylko jedno miejsce, reszty nie rozumiał, mimo to siłił się przejmować nim, dotrwał w swej roli pilnego słuchacza. (Bo nie analizował jej tak, jak i owej pięknej sytuacji na ganku; por. s. 298 w. 1 i n. a s. 306 w. 15<sup>199</sup>).

Była jasna noc; wilgoć panowała w atmosferze, rosa była na kwiatach (niby lży?). Szli. (Tu mam sposobność popisania się talentem poetyckim — ale nie bardzo mi się chce robić nastrojków, wskażę tylko miejsca, gdzie bym mógł udoić „poezję”, a wypełnię je może kiedyś później w popularnym wydaniu *Patuby*). Skoro tylko uszli kilka kroków, przybłąkały się do nich dwa czarne widma: były to psy łańcuchowe strzegące domu, które poznawszy pana i panią, skakały teraz naokoło nich i skomlały po cichu z radości. Strumieńscy, nazwawszy psy po imieniu i pogłaskawszy je, poszli dalej w tym towarzystwie, lecz psy wnet ich odbiegły. Na ścieżce rozlały się kałuże błota, Strumieński wziął żonę na rękę, by sobie „nóżką” nie powalała, ona zawiesiła mu ramiona na szyi i, patrząc w gwiazdy, czuła (decyzja) takie szczęście jak nigdy jeszcze.

Były to tak zwane szczęśliwe chwile, a zdarzenia życiowe rzeczywiście czasem, dość często nawet, przy dobrej woli do autosugestii i pieniądzech zagużlają się, zwężają w takie chwile szczęśliwe lub poetyczne. Temu nie przeczę, chociaż mi niejeden zarzuci, że sprozaiczam wszystko, ściągam w dół (uwagę takich zwracam na świeże porównanie o kwiecie, który analizowany traci zapach). Życie składa się z różnych składników, a nici bezimiennych krzyżują się w różne guzki, nawet „piękne”. Otóż Strumieńscy czuli tę szczęśliwość i mimo woli chcieli przedłużyć ją, wyssać, nie śpieszyło im się też bardzo tam, dokąd szli, jakby przeczuwali (?) nieporozumienia. Więc najprzód do swoich kwiatów — nacieszyli się kwiatami i swoją wspólnością w tej dziedzinie, potem, gdy psy ich znowu obskoczyły, łaszcząc się, Ola powiedziała: „One nas prowadzą do siebie, odwiedźmy ich, Luta ma pieski, zrobmy jej wizytę”. Ujrzeni Lutę na słomie, warczała, pod nią niby milion piszczących szurków wiszących u wymion. „Luta, Luta, my ci ich nie weźmiemy, nie, nie, tylko się napatrzymy”. Ot w tym punkcie np. poetyczne odczuwanie sytuacji przez nich polegało tylko na nieświadomionych asocjacjach: pieski to niby dzieci, rodzina, w tak małym kółku, spierwotniona, ale zgodna (?), mikrokosmos, symbol uczuć rodzinnych — a więc znowu trącona struna ich wspólności. Następnie szli przez ogród wśród drzew owocowych. Zagrzmiąło, błyskawica rozdarła niebo, Ola krzyknęła i schroniła się do pobliskiej altanki z poprzeczek brzoźowych, tam ją Strumieński uspokajał — choć nie było

Szczęście

<sup>199</sup>nie analizował jej tak, jak i owej pięknej sytuacji na ganku; por. s. 298 w. 1 i n. a s. 306 w. 15 — [autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajdują się fragmenty:] „pewnego rodzaju wzruszenie opanowało nim, gdy aktorka, przycisnąwszy jego głowę do piersi (...)”; „(...) udawał, że mu z tym rozkosznie, chociaż właściwie było mu tylko niewygodnie” (oba z rozdziału XVI). [przypis edytorski]

potrzeba — całusami (poetycznie: pocałunkami), a gdy wyszli, wiatr zatrzęsł drzewami, z jabłoni spadło kilka jabłek w wilgotną trawkę, jedno jabłuszko potoczyło się do nóg — koło nóg Oleńki — hołd i dań drzew, składane swemu państwu! — a Strumieński, który miał dobry wzrok, znalazł jabłuszko i podał Oleńce.

Są w muzeum. Zaraz ogarnął ich charakterystyczny chłód panujący w salach przestronnych, niezamieszkałych przez ludzi. Ola, widząc szybę i różne nowości, pyta męża, skąd się one tu wzięły; on jednak wymija jej pytania (bo musiałby mówić o Pawelku), ironizuje sobie: „Oto jest ten pogański ołtarz, wykopalisko z czasów przedhistorycznych!”. Przysuwa dla żony trzcinową kanapkę (u Oli myśli: „Gdzie to było? Tu czy tam?”), sadza na niej żonę i mówi tajemniczo: „A teraz dam ci przedstawienie!”. Położył obok Oli swój płaszcz, objął ją wpół i pocałował, nie zważając na jej ciche pytanie: „Co ty chcesz robić?” i zgasił przyniesioną latarkę. W tej chwili zaświeciły tajemnicze oczy, czerwone błyskawice przebiegły pokój, a za szybą pojawiła się wielka głowa ludzka, nasyciona światłem. Można jednak stracha odesłać do domu! I uczynił, że znów było ciemno w pokoju, i znowu potem stracha zawołał. Tłumaczył Oli cały mechanizm optyczny. Że rzecz nie polega wcale na jakichś wynalazkach, które mają być dopiero wynalezione, jak cudowności Poego<sup>200</sup> lub Vernego<sup>201</sup>, ale na znanych już fenomenach, na interferencji światła i na sekretnych farbach profesora Lipmanna, i wcale nie wymaga koncesji prawdopodobieństwa. Ola niewiele z tego rozumiała, ale rozumiała przecież tyle, że cudowność nie odgrywa tu żadnej roli, i jej oczekiwania zawiodły ją nieco, zwłaszcza gdy Strumieński kładł nacisk na tę naturalność tj. tak zwaną sztuczność zjawiska. On to robił z pewnym celem, wprawdzie bowiem zamierzał opowiedzieć jej tu historie ze swojej żaloby, lecz wstydził się, zresztą odkładał to na kiedy indziej, w tej chwili zaś zajmował się figlarnymi myślami, do których popychała go konsekwencja miejsca i okoliczności.

Angelika kąpała się tam i patrzyła mu przenikliwie w oczy, widziała go tu pierwszy raz w tym towarzystwie i zapytywała: „Co ty tu robisz? Czy już chcesz skończyć ze mną — zabić mnie?”. A on patrzył jej również w oczy po dawnemu, zuchwale, odpowiadał jej buntowniczo w myślach i rzekł do Oli: „Pocałujemy się tu przed nią, niech widzi. Widzisz, nie zadrżała, nie ruszyła się, znowu pocałuj. Cóż ty na to, Gela, zrób nam co, rzuć piorun, przerwij naszą miłość! Olu, powiedz głośno: przerwij naszą miłość!”.

Nie powiedziała, przycisnęła się mocniej do męża, raził ją wzrok Angeliki — słowa Strumieńskiego wzbudzały w niej pożądaną sugestię. Opierając się tej sugestii, rzekła: „Kto ten obraz wymyślił, musiał być wariatem”.

„Mimo to nie potrzebujesz się lękać niczego. Powiedz mi jednak — jak tak patrzysz, co ci przypomina to wychylenie głowy?” — „Nie wiem, okno chyba”. „Mnie ono przypomina głowę po drugiej stronie gilotyny”.

I spojrzal jej poważnie w oczy, lecz jej przyszła do głowy myśl pusta, której się nie mogła oprzeć, i śmiejąc się, rzekła: „Ja już wiem, co mi to przypomina. Przypomina mi stare przysłowie: modlił się dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu — ha! ha! — Gniewasz się. E, nie gniewaj się” — i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Masz słuszność Olu — to to właśnie jest bardzo stosowne. Ja jestem tym dziadem, który się modlił do obrazu, klęczałem przed nim — patrz tak!

Tu muszę znów pohamować niecierpliwość „pięknych czytelniczek” i dorysować tło psychologiczne, na którym rozgrywała się ta cicha walka charakterów. Temu szło o pozbycie się Angeliki, ale jak już wspomniałem, sama ta decyzja (?) zerwania, żal, uroczystość chwili i jej ważność dla całego życia wywołały w nim na nowo cały nawał wspomnień, mózg jego owinęły fale podziemnej rzeki, wzburzone, spiętrzone. „Chciał” mieć bodaj tę ostatnią satysfakcję — dla siebie? dla Geli? — żeby pod jej sztandar ukorzyć Olę, gotów był sprzedać się Oli albo za cenę poddania się jej pod panowanie Angeliki, uznania jej potęgi, albo też — gdyby ona teraz znalazła w swej duszy coś nowego, strasznie cennego, co by mógł przeciwstawić Angelice, co by mu wynagrodziło ten czar, który tam tracił. Do tego mimo woli parla jego natura (typowa jego sytuacja), znajdował się właśnie na tym samym punkcie, na którym już raz był podczas drugiej próby, opisanej w ustępie

<sup>200</sup> Poe, Edgar Allan (1809–1849) — amerykański poeta, nowelista, krytyk literacki i redaktor, autor opowieści fantastycznych. [przypis edytorski]

<sup>201</sup> Verne, Juliusz Gabriel (1828–1905) — francuski pisarz, dramaturg i działacz społeczny, uważany za jednego z prekursorów fantastyki naukowej. [przypis edytorski]

VII. Chęć pozbycia się Angeliki mieszała się z chęcią ostatniego jej apoteozowania, obie chęci wspomagały się wzajemnie i przechylały na szalach. Jakżeż Ola? To uwarstwowanie uczuć, jakie widzieliśmy u niej przed nocą, powoli zmieniło się w niej teraz znowu wskutek maskowanych ataków Strumieńskiego na jej dumę. Nie ufała mu i przeczuwała (tj. wiedziała bez uświadamiania sobie pośrednich członów rozumowania), że chce uświetnić Angelikę jej kosztem. Jak za dnia niebezpieczną była dla niej Berestajka, tak teraz niebezpieczeństwo to przybrało znowu żywe oblicze Angeliki. Ostatnie wypadki usposobiły ją wprawdzie przyjaźnie dla męża, ale — jak w sobie już zawczasu wmawiała! — on ją złudził, pozyskał, grał na jej sercu. Mimo to chciała sądzić, że on się „poprawił”, że przestał już robić głupstwa na temat Angeliki i brać je na serio (w tym sądzie utwierdzał ją właśnie epizod z aktorką); była nawet gotową wydrzeć go (gdy się poprawił!) i wydrzeć mu, to znaczy w ogóle coś w tym kierunku zrobić, stała jednak na straży własnych egoistycznych świętości dostosowanych do jej charakteru. Mogła z nich coś pozornie ustąpić, „zrobić ofiarę”, ale nie spodziewała się, że Strumieński wystawi ją na zbyt ciężką próbę. Ratować go chciała, gdyby był już nawróconym na serio grzesznikiem, ale nie wbrew jemu samemu. Na to liczyła, liczyła i na to, że on od czasu do czasu puści jakiś fajerwerk, pozwalała mu grać komedię i brała w niej udział, odczuwała jego kłamstwa i cieszyła się nimi, byleby tylko ta komedia nie przekraczała pewnych milcząco umówionych granic, nie stawała się grą na serio. A tymczasem właśnie dla niego komedia, aby go zadowoliła, musiała być prawdą! Już tam w pokoju zauważyła Ola pewne oznaki, które jej się nie podobały — teraz wobec widoku rywalki, nie erotycznej, ale intelektualnej, wyczuwała ostrożniej, obserwacja jej zaostrzyła się. „Czuwała” nad tym, czy Strumieński nie zrywa milczącej umowy i nie przechodzi z komedii do szczerości, co przetłumaczone na język świadomości brzmiałoby: czy jej nie wykpiwa ten komediant. Oto jest sieć psychicznych nici. Rolę w niej główną gra nieporozumienie, ale nie jakieś odwieczne nieporozumienie między ludźmi, tym mniej nieporozumienie między „mężczyzną” a „kobietą”, ale tylko takie, którego nie mogli przewyciężyć państwo Strumieńscy — jako ludzie nieidący za wskazówkami zdobyczy psychologicznych, jako ludzie, którzy się jeszcze nie wykształcili na *Patubie* i podobnych jej dziełach — przewyciężyć nie mogli tym bardziej, że byli opętani bezpośrednio swych uczuć i wydając czas na ich wyżycie się, nie mieli czasu na ich zanalizowanie. O takie rzeczy mi głównie chodzi, a nie o fatalaszki nastrojowe i poetyczne.

Trzeba jednak obok owego ogólnego tła psychicznego uwzględnić warstewkę najbliższych wrażeń i spostrzeżeń, które często same dla siebie całkiem człowieka absorbują, a często wydobywają zeń raz tę, raz ową część nagromadzonego psychicznego materiału wybuchowego i to nawet w sprzeczności z tłem ogólnym. (Samorząd chwilowych okoliczności). Tak np. w objaśnieniach, które Strumieński dawał o obrazie, były ironiczne uwagi Angeliki całkiem niezgodne z jego terażniejszą rolą (por. s. 143 w. 8 i 27<sup>202</sup>). A znowu, gdy Ola krytykowała portret jako cyrkową sztuczkę i nazywała go brzydkim, traktowanym zbyt realistycznie, stanął gorąco w obronie obrazu i udowodniał, że główny jego urok stanowi właśnie ta jego cielesność i to zaparcie się siebie kobiety, która, nie zatajając braków swej piękności, wzbija się ponad przeciętną próżność kobiecą (przytyk!) i osiąga przez to równocześnie swój cel i jako kochanka, i jako artystka, bo im więcej go kocha, tym więcej usiłuje zostawić mu siebie samą a nie swoje upięknione przedrzeźnienie. (To sobie Strumieński wymyślił teraz, aby się sprzeciwić Oli, portret Angeliki bowiem był przecież po części idealizowanym).

Najbliższym wrażliwym dla Oli było także to, że bądź co bądź ogarniała ją pewna przytłumiona obawa, echo wpojonych zabobonów salonowych, wiary w urzeknięcie, złe oczy, legend o Angelice itd. Stąd też poniekąd płynęły jej narzekania na zbytnią realistyczność obrazu; my byśmy to nazwali: bezpośredniość, aktualność. Zwłaszcza podczas pauz w rozmowie widok obrazu i dwóch błyszczących gał ocznych przykro ją nastrajał, zapominała o sztuczności tych zjawisk, a gdy po pauzie do męża przemawiała i odwracała się do niego, miała wrażenie, że się ktoś za nią zbliża, nachyla, aby lepiej słyszeć jej sło-

<sup>202</sup>w objaśnieniach, które Strumieński dawał o obrazie, były ironiczne uwagi Angeliki całkiem niezgodne z jego terażniejszą rolą (por. s. 143 w. 8 i 27) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment zaczynający się od słów: „Objaśnienia, które dawał Strumieński, były dość skąpe, czasem drwiące (...)” (rozdział VII). [przypis edytorski]

wa. Była w niej bojaźń, nie ta pierwsza popędowa, lecz ta, która powstaje po rzekomym uspokojeniu i wzrasta w cieniu lekceważenia, a umysł Oli, jak wiemy, nie był zbyt odporny na wrażenia terażniejszości. Strumieński, spostrzegając jej lekki niepokój, powiększał go, podniecając przez to i siebie samego do odczuwania grozy, bo w tym nastroju mógł łatwiej natrafić na lepsze sposoby straszenia jej. „Dlaczego drżysz? Czy ci może zimno? Czy chcesz, bym zapalił nasze światło? Lub czy może czujesz, że ktoś tu jest i przechadza się w ciemności?” — mówił na wpół ironicznie, niby żartując, lecz potem odwrócił to w serio, westchnąwszy głęboko.

Ola wstała z nagłym postanowieniem, by wyjść i popsuć szyki Strumieńskiemu, lecz porzuciła zamiar, siadła, chociaż nieco dalej, i usiadła na coś, co ją ukłuło. Zmacała palcami: była to sprzączka... aha, podwiązka. Domyśliła się zaraz, że to zapewne podwiązka Berestajki, która ją tu rzeczywiście zostawiła, czy na pamiątkę Strumieńskiemu, czy na niespodziankę dla Oli, ot na chybił trafił. (Była to jej maniera: porównaj epizod z pierścionkiem). Ola, chowając ten przedmiot do kieszeni, zrazu zarumieniła się i uczuła w sobie jakieś zmysłowe drżenie (sugestia miejsca i przypomnienia sobie chwil swej zazdrości), lecz potem, widząc Strumieńskiego wpatzonego w obraz, uśmiechnęła się lekko. Chciała go zaraz o podwiązkę zainterpelować, lecz ponieważ teraz uczuła się już tak bezpieczną i pewną siebie, taką panią sytuacji, i wyobrażała sobie, jak bardzo byłby on bezsilnym i śmiesznym wobec takiego argumentu jak ta podwiązka, wołała więc nie pognębiać go (zwłaszcza że i nie wiedziała jak, i nie wypadało jej może teraz poruszać tej nowej „paskudnej” sprawy) i dała pokój.

Strumieński zaś, spostrzegłszy uśmiezek na jej twarzy, sądził, że ona się śmieje wprost z niego. Wstała — więc chciała pójść, siadła i zaśmiała się — więc pomyślała, że wariat. Urażona miłość własna i zemsta za przeniknięcie jego komedii nasunęły mu na obronę rezerwę szczyrych stanów. Zawrzała w nim jakby nienowa myśl, że Ola może nie docenia sprawy, nie odczuwa wspaniałej grozy zawartego w niej symbolu. Osamotniło go, przesunęło w nim uczucia, w duszy jego wyjęty już został zupełnie cały pokład wspomnień związanych z obrazem Angeliki.

— A ja ci powiadam — mówił z wolna — nie uśmiechaj się, bo ci z tym nie do twarzy. Proszę cię, jeżeli mnie kochasz, podejdź do tego widma, dotknij go palcami lub napluj mu w twarz. Jak powiedziałaś? Modlił się dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu. Ale nie możesz tam się dostać — o, ja ci zadanie ułatwię.

I ażeby łoskotem przerwać monotoność sytuacji, żeby wytworzyć nowy czynnik wrażeń i przygnieść tę oporną Olę, wziął dużą muszlę z konsoli i trzasnął nią w szybę oddzielającą ich oboje od Angeliki. Szybka pękła, muszla przez wybitny otwór wpadła do środka, zawadziła o piersi portretu i upadła do stóp Angeliki. „A tom ją ugodził” — krzyknął Strumieński. Ola zerwała się: „Co ty robisz, czyś oszalał, pewnieś się skaleczył, czy nie uważasz, że mogłeś mnie skaleczyć?”

Na prawej ręce Strumieńskiego pojawiła się czarna pręga krwi, Ola chwyciła tę rękę, lecz Strumieński odtrącił ją i sam szybko obwinął sobie rękę chusteczką. Fakt ten popsuł mu trochę efekt, ale on nie dał za wygraną.

— To nic, to głupstwo, to nie moja krew, ale jej... — Chciał wyrazić tę myśl, że chociaż krew zdaje się być na pozór jego krwią, lecz w istocie płynie z jej piersi za pośrednictwem jego ręki; jednak myśl ta nie była jeszcze tak jasną, by się zaraz mogła wcielić w stosowne słowa. Szybciej natomiast przyszła mu druga myśl: — Ha, zresztą sama widzisz, że duchy mścić się umieją. Teraz przynajmniej przekonamy się, czy tam co jest naprawdę. Wyjdźże do nas, szanowny duchu! — Dotknął dłonią płótna. — Widzisz, to nie ciało, to płótno i farby, czego się boisz! Albo czy może mam cię zabawić i powiesić płótno do góry nogami? I to potrafię. Nie ma biedniejszego, śmieszniejszego i głupszego upiora na całym świecie. Ja się całkiem, całkiem czego innego po nim spodziewałem. Chciałem cudu, objawienia, a to pozostało wszystko tak samo.

Głos jego drżał w miarę, im bardziej się zbliżał do głównego rdzenia wyjawień. Nagle ukląkł opodal żony i powiedział: „Napluj, napluj, moja najdroższa!”. Potem niby ziewnął niedbale, wyciągnął ramiona, westchnął, ukrył twarz w dłonie i załkawszy umyślnie parę razy, aby obudzić w gardle fizyczny spazm, zaczął potem naprawdę płakać z cicha, wstrząsając piersiami. Ola, której jego zachowanie się sprawiło przykrość, wrzuciła się znowu, sama płakała, a objawszy jego głowę, szeptała mu słowa pociechy i miłości. Zra-

niona jego ręka dawała jej pretekst do łagodzenia go, do troskliwości. „Widzisz, jak ty mnie dziś opatrywałaś, tak ja ciebie teraz! No dajże mi rękę!” — Oderwała mu ją od twarzy, zaczęła obwijać, całować. Po to też on po części ukląkł obok niej, aby z tą ręką coś zrobić. (Zwracam szczególną uwagę na te punkty rozmysłu wśród afektu). Rozgrzany dotknięciami Oli, Strumieński obejrzał się na obraz, wykrzywił się doń, a czując, że teraz najlepsza chwila, by wykonać plan, z którym tu wchodził, a który (mimo Berestajki! o tej teraz zapomni!) uważał przecież za nieprawdopodobny, objął Olę wpół, przechylił na swój płaszcz. Ola broniła się: „Wstydzę się, ona patrzy, daj pokój!”. Aby ją przenieść w nastrój przygotowany w domu, rzekł: „Ależ nic, niech patrzy! niech nam zazdrości, żeśmy żywi, ach nie opieraj się, najdroższa, niechże już raz pryśnie ten czar — Kocham cię!”.

Czy to była miłość ku Oli? Czy wyszydzenie Angeliki? Czy akt jej uczczenia? Ironia czy prawda? Ostatni wysilek ku obronie Angeliki, a zarazem jej zdradzenie? Strumieński drżał, dotykając ciała Oli, jakby (?) sobie samemu gwałt zadawał, w jego ruchach była zrazu sztynność i ironiczna machinalność, którą im bardziej Ola odczuwała, tym silniej przyciskała go do siebie i całowała, wśród łez, aż wreszcie sprawiła to, że jakby w tajemnicy oddał się jej samej tylko, razem z nią zgłębiając rozkosz zespolenia się dwóch wrogich natur, wzdychających za taką chwilą zgody, wyzyskującą wrogostwo. Więc zwycięstwo Oli? Onaż to sprawiła? Nie — tylko zmysły szły odrębnie swym utartym szlakiem, jako niezbędna oś dzisiejszych perypetii, i one szczerością swoją wymusiły na Strumieńskim szczerze miłosne oddanie się Oli. Nad nimi zaś pochylona była opiekuńcza głowa Angeliki, przesycona światłem, bezrozumnie obojętna, z wyrazem twarzy niebędącym w żadnym związku z tym, co się działo i szydzącym z wszelkich interpretacji.

Wreszcie Strumieński ruchem mającym w sobie coś aktorskiego wyzwolił się z objęć Oli, a korzystając ze swojej chwilowej zresztą czysto fizjologicznej swobody, zaczął się śmiać głośno i z przymusem, aż sam nie poznawał, co się z nim dzieje. Drwił tym śmiechem z siebie i z Oli, która w głębi duszy rozszoszona, bo się całkiem czego innego po swej „ofierze” spodziewała: wdzięczności, jakichś ostatecznych postanowień, patrzyła na niego wzrokiem mówiącym stereotypowo: „czyś oszalał?” i znowu wyciągnęła ręce do niego, lecz potem cofnęła się, szepcząc: „Ja się ciebie boję!”.

A na to zagrało w nim coś tryumfalnego i rzekł:

— Może masz słusność. Kto wie, jaka ofiara popłynęła u stóp tego ołtarza. Ten duch żądał mojej krwi — dałem mu ją. (Dwuznacznie, zresztą Strumieński mieszał teraz wszystko).

Aby zaś wydobyć z sytuacji resztkę patosu za pomocą tajemnicy, którą miał w zapasie dopiero od paru godzin (s. 323. w 3. i n.<sup>203</sup>), dodał:

— Bójże się mnie i ty, bo nie wiesz, co cię czeka. Patrz na ten martwy manekin (tu przypomniało mu się słowo Pawelka), na tę pałubę za tym szkłem, ona ust nie otworzy i nic ci nie powie, jeżeli się to nie przecisnie samo na moje usta, jak przeżerający wyrzut sumienia, bo tego nikt nie wie na świecie prócz mnie i tej tu niemej pałuby, która skończyła samobójstwem — ha ha pyszne samobójstwo! (zmieniając wyznanie) Olu, Olu, zabiliśmy Gelę dla siebie, będziemy teraz żyć szczęśliwi.

Wypowiadając te słowa, czuł Strumieński, że znajduje się na jakimś szczycie swego życia, bo uległ wreszcie tajemnicy, która nań czekała spokojnie od lat tylu, a której dotychczas nie wcielił nawet do swego podziemnego życia, odsuwając ją, prowadząc jakby zupełnie osobny rachunek — podziemne życie podziemnego życia. Wspominałem o niej już przedtem w licznych aluzjach, lecz dopiero teraz wypłynęła ona na sam wierzch świadomości i odwagi Strumieńskiego, wywabiona z podziemia konsekwencją sytuacji.

Patrząc przenikliwie na Olę, badał, jakie to na niej wywiera wrażenie, lecz ona zdawała się być obojętną. W istocie zaś w Oli coraz bardziej kipiało oburzenie, aluzje zaś jego o zabiciu Geli odnosiła do tego, co się teraz stało, do rozbicia szkła, a zresztą nie zważała na nie szczegółowo, bo też i on wyraził się jeszcze zbyt niejasno. Było więc proste niepo-

<sup>203</sup> *tajemnicy, którą miał w zapasie dopiero od paru godzin (s. 323. w 3. i n.)* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „(...) wynurzały się w jego umyśle z toni nieświadomości także pewne szczegóły, których dotąd prawie nie tykał, i stanęły w kącie jego świadomości jako ostatnia rezerwa (...)” (rozdział XVII). [przypis edytorski]

rozumienie. Otóż Strumieński, spostrzegłszy to, chwycił ją w ramiona i patrząc w oczy, rzekł krótko, ale groźnie:

— Bo musisz wiedzieć — słuchaj — że ja jestem mordercą Angeliki. Ja ją zgwałciłem, tak samo jak dziś ciebie, i doprowadziłem ją do samobójstwa.

Od wzniosłości do śmieszności krok jeden. Efekt chybił, gdyż Ola, wściekła z gniewu, zachnęła się, wyrwała mu się i krzyknęła: „Co mi tu będziesz udawał wariata i drwił ze mnie! Myślisz, że ja nie wiem, co się tutaj dziś już działo! Patrz — naści tu tę podwiązkę — czyja? Czy może twojej Geli? Może to ta pani stamtąd wyszła i zdjęła, co? Co?”.

I pomyślawszy mimo woli: „A tom mu nasoliła!”, pomyślała także, że nie wypada jej być złą, lecz raczej pobitą, upokorzoną, zasloniła swój kontrefekt płaczem, rzuciła się na kanapę i łkała. Strumieński zgłupiał, zagmatwało mu się wszystko, uczuł namacalnie, w całkiem ordynarny sposób rozchwiewanie się symetryczności w życiu, działanie pierwiastka pałubicznego. Lecz wkrótce zaczął się ratować: kombinować, pojmować, „rozumieć”, i ot, patrząc na Olę, wzruszył się i nową nawałą uderzyło na niego przypuszczenie — jasne niby zupełnie: „Więc ona o tamtą była zazdrosna! Nie o Angelikę! Ja jej imputowałem co innego, a ona mnie karze zazdrością żywą, aktualną, prawdziwą (!) O, Olu dobra!”.

A w Oli była w tej chwili tylko prawdziwa zazdrość intelektualna o Angelikę pod pozorem Rosjanki — przesunięcie się motywów. Lub może zbiór zazdrości? W połączeniu także z zazdrością o wolność grzechu?

Objął ją, chciał uspokajać, ale ona (żeby z tym skończyć i przenieść walkę na inne miejsce) wyrwała się, wstała, poprawiła włosy i milcząc szła ku wyjściu. Wymykała mu się!

— Czemu uciekasz?

Wyszła. Pobiegł za nią.

— Wróć ze mną, tyle ci jeszcze mam do powiedzenia.

A ona, płacząc, rzekła:

— Nie chcę już nic słuchać, ty szkaradny, nic, nic a nic (tupała nogą)... a takam była dobrze usposobiona.

Poszła dalej, on za nią. W muzeum została Angelika, patrząc na porzuconą na ziemi podwiązkę.

Strumieński, dogoniwszy Olę, pytał: „Czy ty się gniewasz na mnie? Czyż na tym ma się skończyć noc dzisiejsza? Olu! Olu!”. Milczała. „Jakże ty się możesz z tamtą (mówił o Berestajce) porównywać! Każesz mi tak odpokutować! A ja ci przecież chciałem ten błąd wynagrodzić wszystkim, co mam!”. (Znowu rzecz przekręcił, przedstawiając swoje wyznanie jako zadośćuczynienie za dzisiejszą zdradę.) Ona czuła, że dalsze upokarzanie go nie miałoby celu, chciała zaś, żeby i jej było przyjemnie w pogodzeniu się z nim. Więc rzekła: „Ależ ja gniewać się, co mówisz? Tylko mi się tak przykro zrobiło, ale należało mi się to za Gasztolda! Więc to ty mi przebac! Przebac mi!”. (Znana finta pokrzywdzonych, że robiąc siebie winnymi, utrudniają zadośćuczynienie.) Wyszli z ogrodu furką na dziedziniec i skierowali się ku drodze, bo Strumieński rzekł: „Chodź, przejdziemy się jeszcze, to pomówimy, pogodzimy się!” — „Z największą chęcią, ale widzisz, możemy się zaziębić, chodźmy do domu”. „Zobaczmy więc tylko nasz pałac!” — „Ach tak, nasz pałac!” — rzekła i wsunęła rękę pod ramię Strumieńskiego. Patrząc w tę stronę, oboje myśleli mniej więcej to samo: że mają się tam sprowadzić jako przykładni obywatele, zgodni, nowi, że więc należy się już jakoś załatwić ze swoimi nieprzyjemnościami. „Nieprawdaż, że tam rozpoczniemy nowe życie — Olu?” — „Piotrusiu?”.

Gdy wracali, Strumieński próbował znowu swego i przyznał się do grzechu z Berestajką. Ola przerwała mu: „ależ nie, nie, ja wiem, że to nieprawda” (bronila się, aby mu nie pozwolić na szczerość). „Wiesz? Skąd? — spytał nieco ironicznie — Przecież ta podwiązka to dowód dostateczny”. „Ach, co za dowód! Ja tobie więcej wierzę niż wszystkim dowodom. Nie mówmy o tym, zrób mi tę przyjemność, mój mężu drogi, i nie mów o tym, po co zakłócać sobie mamy czar (?) tej nocy, tak pełnej wrażeń”. W istocie Ola była leniwą pod względem chęci przebywania perypetii, wiedziała, że Strumieński coś jej tam powiedział, że mogłaby go interpelować, robić mu albo z nim awantury, ale nie chciało jej się, było to późno w nocy, a jej umysł zasypiał. Zresztą złudzona, że z ujrze-

niem i wyjaśnieniem obrazu wie już wszystko, nie przypuszczała istnienia jeszcze innych komplikacji. Powtórzyło się u niej to samo, co po pokazaniu jej muzeum (s. 153<sup>204</sup>).

Kiedy się położyła spać, Strumieński, trzymając rękę pod jej poduszką, przypomniał jej żartobliwie dzisiejszą scenę w muzeum i żartem tym nawiązał dalszy ciąg, po czym opowiedział jej, jak to się rzecz miała z zamordowaniem Angeliki, dziś jeszcze bowiem musiał przed nią ten cały jad wysączyć z siebie. Było to po śmierci dziecka Angeliki, kiedy już oboje mieli wyjechać w podróż, a usposobienie Angeliki dla niego zupełnie się zmieniło. „Przypominasz sobie, Olu, Marię Dunin? Otóż tak samo prawie ze mną było: ona mnie męczyła, gardziła mną (przesadzał świądome, bo wiedział, że to było u Angeliki przejściowe), byłem przykuty do jej chimer, bo jej się zdawało, że ona przeze mnie traci talent, przeze mnie, który właśnie jej pomagałem, rozwijałem, oddałem jej wszystko na usługi, aby mogła pracować spokojnie. Ty Olu, ty byś tak nie zrobiła, bo ty jesteś prawdziwą kobietą. Ona kobiecości nie miała. Cóżem miał zrobić. Wiedziałem o jej pociągu do mnie i na to rachowałem, myślałem tak jak tamten ze *Snów Marii Dunin*, że przez jej ciało dostanę się do duszy, rozdmucham w niej dawną miłość. »Zmuszę cię« — rzekłem jej. Ona na to: »to ja się zabiję«. — Dobrze i owszem — I wiesz, co się stało? Potem raz w nocy ktoś wszedł do mego pokoju, tak jak ty dziś, precyzyjnie się chciał. Zbudziłem się i siadłem na łóżku. Ona stała w ciemności. Była to walka milcząca w ciemności, podczas której powiedzieliśmy sobie wszystko. Potem położyłem się, udając, że nic nie słyszał. Ona przeszła cicho i prędko. Zawołałem ją: »gdzie idziesz? Czy topić się?« — »Tak jest«. »A to dobranoc«. »Dobranoc«. Pozostałem. Chciałem jeszcze krzyknąć: »Gela, Gela, chodź tutaj!«. Biec za nią, ale byłem za dumny. Często robiła takie głupie wycieczki, jakby chciała naumyślnie narazić swe zdrowie, abym ja się niepokoił i martwił; raz mi nawet uciekła i dwa dni jej szukano. Co za natura obca, całkiem nie nasza, Olu! (etnograficzne oklepanki) Rozważałem: niechże się topi! Nieraz tym groziła, może to będzie i lepsze dla niej i dla mnie. Chciałem wstać, ale byłem jakby przykuty do łóżka, potem zmorzył mnie fatalny, krótki sen. Zbudziwszy się, przeraziłem się, pobiegłem, najpierw w stronę muzeum, potem ujrzałem na krzaku biały szal. Krzyknąłem: »Gela!«. Nic się nie odzywało. Pochyliłem się nad studnią, nic się nie szamotało. Nie byłem pewny, co się z nią stało — czyż miałem skakać do wody? Długo to trwało, zanim ją wyciągnięto. Sam bałem się tam schodzić, studnia głęboka, lustro wody daleko. Ja tę całą sytuację później po wszystkim nieraz rozważałem. Mogłem się wprawdzie ucześcić odchylonych desek ocembrowania i trzymając ją w ramionach, krzyknąć: »na pomoc!«. Ale któż by nadszedł? Z tak głęboka nawet głosu może nie słycać. Może by przyszedł wartownik nocny, z reguły pijany, albo pies ukazałby się na zrębie i zaszczekał. Wreszcie ją wyciągnięto — środki zarządziłem. Były bezskuteczne. Mnie nie można nic zarzucić. Studnia była bez wiadra, na żerdzi zakładano konewki — prymitywnym sposobem — jak wiesz. Jeden chwyt zaczepił ten hak na krawędzi i spuścił się do środka, ale go dwóch mocnych do góry ciągnęło. Czy może powinienem był poddać się pierwszemu popędowi i rzucić w dół na oślep? Cóżem winien, że mój instynkt samozachowawczy i rozwaga były większe? Rozgrzeszże mnie, Olu”.

Widzimy, że Strumieński, który pierwotnie miał w planie imponować Oli „zbrodnią”, teraz uległ treści opowiadania i nawet usprawiedliwiał się. Ola, która uklękała w łóżku, siadając na swe stopy, i z zaciekawieniem słuchała go, teraz objęła go, milcząc. Czują, jak ludzkim było to, co opowiedział, i choć nie zastanawiała się nad tym, w czym Strumieński widzi swoją winę, zachowywała się jak matka tuląca do siebie dziecko, które by właściwie skarcić trzeba: miała to samo uczucie dla niego, co wówczas, gdy go pielęgnowała podczas jego choroby. Zresztą szczegóły śmierci Angeliki były jej przeważnie znane, samo więc opowiadanie zostawiało jej czas wyczuwać lubość sytuacji i swój drobny, niewinny tryumf. Przycisnęła go do siebie za szyję, on w tym wyczytał jej solidaryzowanie się z nim i współnictwo na wstecz — jakby go broniła przed niewidzialnym duchem w kącie pokoju. „Tak, tak, broń, nie daj mnie, Olu!” — Oddawał się jej ciepłu, nie przerywał — uspokajał się przy niej niemal zupełnie.

<sup>204</sup>to samo, co po pokazaniu jej muzeum (s. 153) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „Ola zaś mniemała, że już się wszystko skończyło, że skoro zamknięta dotychczas kaplica ukazała jej swoje wnętrze, to nic więcej niepokoić jej nie może” (rozdział VII). [przypis edytorski]



Ale właśnie to „niemał” jemu nie wystarczyło. I teraz chęć pogłębienia nowego wspólnictwa zachwiała znowu komitywę między nim a Olą. „Widzisz, do tego dążyłem — czy ci teraz dobrze ze mną? A tyś myślała, że mnie idzie o to, żeby ci zaimponować, zgnębić cię Angeliką, prawda?” — „O nie, nie myślałam”. „Ach, trzeba było sobie na to pozwolić, miałabyś więcej słuszności, niż myślisz. Widzisz, ja jestem z gruntu zepsuty, robaczliwy. (Znowu à la *Bez dogmatu*). Nie mogę mieć nawet szczerych wyrzutów sumienia, tak ci to opowiadam, jakby nic. A przecież nie mówiłem ci rzeczy najważniejszej: przecież ona była obłąkaną, niepoczytalną, powinna być dla mnie nietykalną, świętą — a ja... a może myślisz, że nie była? Czy ci nie zgroza przede mną?” — „Ależ co mówisz. Ty jesteś najlepszym człowiekiem na świecie, tylko widzisz wszystko w czarnych kolorach. Wesomości ci trzeba, ja ci ją dam. Nie trap się, nie przesadzaj, nie krwaw sobie duszy, ja cię rozgrzeszam, jeśli ci tylko tego trzeba; co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Opowiadałeś mi o tym dziecku, ja, wiesz, rozważam sobie i sądzę, że to tu była przyczyna”. „Olu, ty jesteś prawdziwą kobietą i matką i nie mylisz się zapewne, ty zdolna jesteś lepiej ją odczuć niż ja, powiedz mi, czy rzeczywiście poczucie macierzyństwa mogło być w niej takie silne?” — „Ależ naturalnie, mój drogi, wy mężczyźni nic o tym nie wiecie”. „Czy też może była zmartwiona i przerażona atrofią poczucia macierzyńskiego w sobie i to ją gryzło?” — „To wszystko jedno, mój drogi (wcale nie wszystko jedno), to na jedno wyjdzie”. „Ach prawda, nie mylisz się. Jeszcze jedno ci powiem, ale nie pomyśl, że ja ją obmawiam. Wiesz, dlaczego się ona broniła, dlaczego uciekała ode mnie? Z świętości? Nie! Dzieci nie chciała mieć — ot i tyle. Ażes się zarumieniła, biedaczko? Przebacz, że ci mówię taką obrzydliwość. Prawda, że ty tego nawet nie pojmujesz (tu Ola chciała powiedzieć: »Pojmuj!«, ale się wstrzymała), bo ty jesteś całkiem inna natura, wychowana w innych tradycjach i potępiasz taki sposób myślenia”. „Nie, nie potępię jej nigdy, modlić się będę za nią, ale i ty jesteś dla niej za surowy”. „Prawda, prawda, przecież widzieliśmy jej malarskie marzenia o dziecięciu...” — „Widzieliśmy! Takie prześliczne!” — „Ale one nic nie znaczą, to wszystko moje pomysły! (śląd rozmyślań z rozdziału XI s. 219<sup>205</sup>) Ty myślisz może, że się tym chwale?” Ola milczała. „Był jeszcze pewien antagonizm między nami, którego ty nie zrozumiesz: byliśmy wrogami, nie wiedząc o tym, zazdrościliśmy sobie wzajemnie<sup>206</sup> (przesada szczeroci)... Kto wie, czy na ostatek ona nie chciała się nawet zemścić na mnie, dokuczyć mi (wybrał naumyślnie ten pospolity wyraz — a nie »zgnębić«), abym dobrze żałował za nią, aby mi się dać we znaki, aby mnie napiętnować”. Ola patrzyła nań potakującym wzrokiem, ale od kilku chwil już odbywał się w jej myślach mały zwrot: czuła, że sprawa nie jest tak prostą, jak jej się z początku wydawało, że oto rozkrywają się przed nią jakieś dalsze tajniki, przede wszystkim zaś uczuła podobieństwo między swoim stosunkiem do męża a stosunkiem Angeliki i obudziła się w niej lekko solidarność płci. Równocześnie Strumieński już się wykapał i wymył zupełnie ze

<sup>205</sup>śląd rozmyślań z rozdziału XI s. 219 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment rozdziału XI zaczynający się od słów: „Oto Strumieński wahał się, czy i o ile ma podnieść swoje własne zasługi w dziełach Angeliki, jak wysoko ma oceniać swój wpływ, żeby się nie narazić na zarzut samochwalstwa (...)”. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>(...) zazdrościliśmy sobie wzajemnie (...) — [Komentarz autora z *Uwag*.] Takie składniki są konieczne w stosunkach ludzi między sobą, chociażby byli sobie jak najbardziej oddani. Strumieński przesadził w mierze owej milczącej zazdrości. Że intelektualne interesy biorą często górę nad płciowymi, nad miłością, to pokazał Strindberg np. w *Spowiedzi głupca*, a popularnie Lemaitre we *Flipocie*. Płciowe interesy są właściwie także egoistycznymi, ale to jest właśnie jedyną stałą osią „miłości”, że przypadkowo w jednej fizjologicznej sprawie egoizmy schodzą się równolegle i równobieżnie: jeden egoizm jest zadowolony przeważnie tylko wtedy, gdy i drugi jest zadowolony. Dokoła tej osi chciałoby się w ten sam sposób ugrupować inne interesy egoizmu, lecz to już się nie tak dobrze udaje. [rozdział XVII „Strumieński czasem w interesie swego egoizmu wychodził przecież z obrębu nazw i myślał nie gotowymi ułożeniami, ale fotograficznie, faktami, czyli używając starego wyrażenia: intuitywnie te fakty odczuwał (...)”; por. rozdział VII „Czasami w irytacji, na podstawie analogii z samym sobą, dobrze oceniał jej egoizm, objawiający się w drobnych ukłuciacz szpilkami w najniewinniejszej na pozór formie, lecz zamiast wiedzieć w tym wpływ jej wychowania (...) w swoich walkach psychicznych z Olą upatrywał rzekomy wieczny antagonizm między mężczyzną a kobietą w ogóle”, rozdział VIII „(...) Truskawski odgadł te motywy Strumieńskiego — nie przez psychologiczną intuicję lub badanie, ale przez czysto złośliwą insynuację (...)”; rozdział XV „Biorąc miarę ze siebie, przeczuwała także, że Strumieński znowu tak bardzo na serio zapamiętałym nie jest (...)”, rozdział XVI „Jak Ola instynktem (?) trafnie odgadła, że Strumieński romansował z Berestajką, nie mając żadnych innych celów prócz romansowania samego, tak Strumieński odgadł, że ona bierze rzecz po prostu, nie wiążąc jej ze sprawą Angeliki. Jego umysł jął więc wysnuwać teraz inny, łatwiejszy, a dla bytu jego egoizmu ważniejszy wątek myślenia”]. W filozofii takie zachowanie się umysłowe uznane jest za najlepsze, a w ostatnich czasach otrzymało nazwę „krytyki kopiującej”. [przypis autorski]

swych wyrzutów sumienia, aż nawet przyszło mu na myśl: że drobny fakt zostawienia mu takiego a takiego listu dostatecznie świadczy, że Angelika pogodziła się z nim w duchu, nim poszła na śmierć. A więc był niewinny! Lecz tego dowodu nie wyjawiał już Oli, bo sam przeraził się, do czego go to doprowadza! Więc nic nie było? Więc tylko wiele hałasu i strachu o nic? (pierwiastek pałubiczny). Zaniepokoił się i nie badając sprawiedliwie tego narzucającego mu się rozumowania, odtrącił je, podjął dopiero co porzucone wyrzuty sumienia, owinął się w nie, oszołomił. Wstał, przetarł czoło i rzekł: „Nie, to nic nie pomoże, to są wykręty, to jest to nowożytnie znieprawienie sumienia, na które wszyscy cierpimy”. „Ach, jakież ty jesteś okrutny względem siebie samego, takim zawsze byłeś, to jest tylko wydelikacenie, wysubtelnienie sumienia, sam nieraz o tym mówiłeś”. Rzeczywiście Strumieński raz mówił Oli o wydelikaceniu sumienia, mając na myśli samego siebie. Ot, można zawsze fakty naciągać tak i tak. „Ach, Olu, nie męcz mnie, stań ze mną na tym samym poziomie, nie uważaj mnie gwałtem za lepszego, niż jestem, ja chcę, żebyś ty mnie kochała, mnie, a nie mój obraz sztucznie wytworzony w twym sercu. Wmyślże się i wczuj we mnie — co mówię? Dopuść tylko do głosu to, co sobie rzeczywiście o mnie myślisz, i o tym mów ze mną. Myśmy dziś nakłamali porządnie oboje: ot, np. zupełna, święta prawda jest to z Berestajką. Co ty sobie myślisz o niej (siadł przy niej), powiedz prawdę, czy i jak jesteś zazdrosną. Jest jeszcze dużo takich rzeczy (miał na myśli Pawełka), o których nie mówimy ze sobą, niestety. No, widzisz, jaki ze mnie łotr, przyznaję się przed własną żoną do takich zbrodni i grzechów i nawet się nie rumienię. Cóż ty na to?” — „To już twoja rzecz się rumienić, daj mi święty pokój, chcę spać, nie majacz dalej. Powiem ci zresztą, co myślę: ja jestem od dawna twoją ofiarą, pastwisz się nade mną. Pastwiłeś się nad Angeliką, a teraz nade mną. Chcesz prawdy, masz prawdę”.

Strumieński klasnął w ręce: „Brawo! Jesteśmy na najlepszej drodze. Ty jesteś moją ofiarą... o tak, nie mylisz się. (Tu strzeliła mu nowa myśl do głowy). Ofiarą, ale nie moją. Tyś myślała, że ja jestem tylko pospolitym grzesznikiem, a ja jestem tylko kapłanem. Pamiętasz *Powinowactwa z wyboru*? Widzisz, chciałem... niech się potwór nasyci. Naprzód tę aktorkę, potem ciebie, potem jeszcze inne, aby się ten głodny wampir nasycił”.

Odepchnęła go gwałtownie, zapragnął więc już zakończyć tę scenę zgodnie, ale nie szczerze. „Co, co? Ty bierzesz to wszystko na serio, odwracasz głowę? Ależ ja żartowałem, moja droga. (Wreszcie już ją upokorzył, zadawszy dobre atuty, a teraz się niby cofał). Któż widział brać to na serio! Widzisz, sama mi zarzucasz, że ja sobie tyle z tego robię, a sama się gniewasz. Przysięgam ci zresztą święcie, że jak najprędzej zburzę tę całą rudere albo dam ci ją na kaplicę, jak zechcesz. Ciebie już tylko będę kochał (wybryk patetyczny, którego nie myślał dotrzymać). No, uśmiechnij się. Tak tak — ale uśmiechnij się naprawdę, nie przez łzy. Nie płacz, nie płacz, przebac mi. Widzisz, dobrze powiedziałaś, że to wszystko są komedie, tak, tak, przebac mi takie różne wybryki mego charakteru, a ja ci będę przebaczał twoje (znów ją ujął), dobrze? Bo to są drobiazgi (?), na które dziś jedno, jutro drugie musi patrzeć przez palce, a właściwie tak w całości wzięwszy, to my się kochamy, tyle lat przecież z sobą żyjemy (argument nie łąda). A teraz zaśnij, ja ci zamknę oczka tak o, pocałuję, powiem dobranoc”. „Zostań jeszcze, nim zasnę, podaj mi rękę, tak, czekaj, nim zasnę, mój złoty, a potem weź rękę lekko, nie zbudź mnie, wolno ci pocałować w czoło, ale leciutko na dobranoc, a jutro — czekaj ty niegodziwcze!”

Strumieński wnet poszedł do siebie, lecz zaledwie przestąpił próg swego pokoju, przypomniał sobie, że w pokoju Angeliki jeszcze się świeci. Musiał tam pójść zgasić, nie chciał, ociągał się, ale i jego ciągnęło. Wyrwał się sobie i poszedł tam (na pobojuwisko). Wszystko było na swoim miejscu — stwierdził naprzód. Tylko rzuciła się nań cała ćma latających tu, niezaspokojonych myśli. Teraz to inaczej mu było niż np. za pierwszych dni po śmierci Angeliki. Coś opustoszało, w przestrzeni był nastrój pożegnania — tak mu się to przedstawiało, bo szukał do własnych zamiarów rzekomych zewnętrznych pobudek.

Patrząc w twarz Angeliki, przypominał sobie czar swego podziemnego życia, swoją tęsknotę, to lube osamotnienie, i czuł pewną tęsknotę za tęsknotą. Cały rok po śmierci Angeliki i te kawałki podziemnego życia razem złożone odczuwał tak, jakby książkę czytał, jakby coś obcego, dzieło doskonałej sztuki. A teraz się to rozbiło jak ta szyba.

O, jakąż nadziemską kobietę on posiadał! Jakież mu ona pozostawiła nadziemskie podziemne rozkosze! O cudzie w naturalnych granicach! Jak to było, kiedy zahipno-

tyzowawszy się tym widokiem, usypiał i śnił o niej (nie bardzo! s. 103<sup>207</sup>), wciąż, tak codziennie aż do obłąkania! O wybredne tajemnicze porozumienie z zagrobowym światem, o śmieszne, poetyczne dialogi, które z nią sobie układał. A te dni przed jej śmiercią (chyba połogiem) pełne niebiańskich planów, wyprawa jej w dziedzinę śmierci i straszne nieanielskie umowy egoizmów!

Lecz tu właśnie znowu odnajdywał sobie punkciki, które mu wszystko psuły, które mu pójść za nią nie pozwalały i oddały go na powrót „nędznemu życiu”. Te drobne, niewarte wzmianki drobiazgi, męty w kielichu rozkoszy! Dlaczego np. obraz był dla niego po jej śmierci niespodzianką, dlaczego go nie uprzedziła? Tak, tak, niby *Powinowactwa z wyboru*, niby szereg rozmów na ten temat! Ale po cóż ten podstęp, to wyłudzenie wyrafinowanej wierności i nigdzie furtki do ucieczki! Nie sztuka było umrzeć i zostawić go na całe życie z bezrozumną rozpaczliwą zagadką, czy on tę komedię wierności ma wiecznie brać na serio! O, toteż się oboje pysznie skompromitowali! Te usta natrętne nigdy go nie pocałowały, nie wydały szeptu ze siebie, płótno pozostało zawsze cienkim płótnem, barwy barwami, nitki nie zamieniły się nigdy naraz w naczynia krwionośne i nerwy, farby nie wypęczniały i nie zalsniły, nie zadrgały kolorami życia — były to rzeczy tak niemające z niczym związku, tak głupie i monotonne jak ziemia i kamienie. Tylko on brnął konsekwentnie dalej w ten beznadziejny eksperyment, ba, nawet weń nie brnął, bawił się nim, zaniedbywał go, robiąc z inną kobietą dzieci, postanawiał przekazać go światu jako niezwykłą facecję, dumny był z niej i wreszcie dziś zabił, zdusił nienawistny postulat.

Widzisz więc, Gela, te ofiary, które tu dla ciebie płynęły, nie były dla ciebie nigdy. (Prostował to, co powiedział przed Olą). Ja jednak drwię, szydę z ciebie naprawdę... kobiety w moim własnym imieniu i na swój rachunek, a nie na twój... je, bo mi się podobają, bo są żywe i ciepłe, i będę... kogo mi się spodoba, nie tak, jak chcesz ty, ty potwornie idealny wampirze, któryś mi chciał soki z ciała wysysać, masz, poszukaj sobie tutaj, może się jeszcze co dla ciebie zostało — ha! ha!

I kiedy tak myślami mówił, życie jego w tej chwili wbiegło znowu w nastrojowe, poetyczne zwężenie, bo właśnie gdzieś daleko zaczęło coś wyc przeciągle i straszliwie. Wstrząsnął się, odetchnął i wsłuchiwał się z lubością w ten, jakby najęty do tej chwili akompaniament, któremu wnet zawtórzyl inny. Jakże te psy wyły, wyły, wyły, tak właśnie jakby on z Angeliką, której cudowne oczy posyłały mu tylko nieustannie nieme spojrzenia i spojrzenia.

Pochylił się, ukląkł i dotknął płaszcza, który tu zostawił, przytulił się do niego, poczuł ciepło na twarzy i, jakby skarżąc się Oli, szepnął: „O, jaka straszna głowa, jaka straszna głowa!”

A potem pocałował miejsce, gdzie leżała Ola, i myślał o niej z wielką czułością, jak ona śpi, zmaltretowana przez niego, jaka ona była dziś słodka, pełna dobrej woli. W tej chwili kochał je obie i marzył o tym, jakby to było słodko mieć taką monstrualnie piękną kobietę o dwóch głowach, prawie jednakowo kochanych.

\*

Zanim przejdę do dalszego toku myśli Strumieńskiego, muszę dla uzupełnienia dorzucić parę obiektywnych uwag do kwestii samobójstwa Angeliki. Idzie o to, o ile słusznie Strumieński siebie posądzał? Istotnie sprawa była taka, że on nie mógł z niej wybrnąć. Na samobójstwo Angeliki złożyły się wszystkie razem pobudki przezeń przytoczone, tylko domysł, że dziecko urodziło się dziwolągiem, był zupełnie mylny i śmieszny. Działy więc w niej i rozpacz za dzieckiem, i ogólne odrętwienie, i zniechęcenie do sztuki obok żalu za nią, spotęgowane poczuciem własnej niemocy artystycznej. Niemoc tę przypisywała Angelika pośrednio miłości i beznadziejnie tęskniła za swym dawnym życiem Amazonki, a jej zaburzony nieco stan umysłowy dał siłę tej recydywie. Lecz równocześnie wciąż działała w niej i dawna miłość do Strumieńskiego, a raczej tej miłości przesadne wyobrażenie, umowy przed połogiem, tudzież plan opanowania Strumieńskiego za pomocą

<sup>207</sup>usypiał i śnił o niej (nie bardzo! s. 103) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „(...) tymczasem zamiast utęsknionej przezeń postaci zjawiał się uparcie inny sen, (...) mianowicie sen o instruktorze, który po pijanemu bił go liną za to, że Robertowi przed pójściem do szkoły nie powkładał książek do torby” (rozdział V). [przypis edytorski]

obrazu: plan, który udał się lepiej, niż się spodziewała, gdyż podpisany został przez egoizm Strumieńskiego. Oczekując śmierci, przygotowała wszystko, lecz zawiodła się, bo śmierć nie nadeszła, a to zepsuło jej symetryczność owego planu, który dogadzał jej poetycznej duszy i oddziaływał na nią niemal hipnotyzująco. „Postanowiła” więc sama sprowadzić gwałtownie ten jeden mały, ale niezbędny warunek powodzenia planu: śmierć własną. Podniecenie umysłowe na tle fizjologicznym po urodzeniu dziecka popychało ją i tak do szukania motywów śmierci we wszystkim, *wyzyskiwała* więc własne podniecenie (podobnie jak to robią pijacy), wmówiła w siebie, że nie da szczęścia mężowi, że ona jest tu intruzem, że dla niego jest Ola itd. — ale te szlachetne motywy były już to uzupełnieniem, już to zamaskowaniem, już to poparciem chęci sprowadzenia owego warunku. Samobójstwo jej więc było już w zasadzie postanowione, list do Strumieńskiego napisany. Popędowa przyczyna samobójstwa tkwiła tylko w dyspozycji chorobliwej, w dostępności mózgu dla chwilowych uniesień. Ostatni zaś powód tkwił istotnie w ataku Strumieńskiego, bo ten atak jego na jej wolność nasunął jej myśli o niepowrotności życia dziewiczego, o wiecznej zależności od mężczyzny w ogóle i od pragnień „nieestetycznych”, które się w niej samej na przekór jej budziły. Potem weszła do pokoju Strumieńskiego w nocy i tu ostatnie jego słowa podnieciły ją znowu, dały jej złość, a więc i natychmiastową siłę do wykonania samobójstwa, siłę, którą Angelika naumyślnie się posłużyła, aby w ogóle raz przeciw zamięszości swój spełnić. W grę przy tym weszło i to w oka mgnieniu zrobione, wyrafinowane obliczenie, że Strumieński uczci jej obraz i wypełni jej nakaz choćby wskutek wyrzutów sumienia, dla zadośćuczynienia za winę. A więc Strumieński trafnie poznał niektóre jej motywy, nie wiedział jednak i nie mógł wiedzieć o jej popędzie do symetrycznego planu, bo chociaż podobne popędy i w nim działały, ale on nie umiał ich określać tak, jak ja tutaj, nie byłby im zresztą przypisał takiej doniosłości. Dalej nie mógł Strumieński dokładnie na szali odważyć: o ile mógł jego atak na swobodę Angeliki *ułatwić* jej samobójstwo, a nie: popchnąć ją do tego czynu. Był w myśleniu kombinatorem, jednym z tych, którzy ulegając tysiącom utartych formułek wirujących w pamięci ludzkiej, myślą w kierunku jakiegoś z góry już upatrzonego rezultatu. Dlatego też, roztrząsając dorywczo sprawę śmierci swej żony, mówił, że motywem samobójstwa było albo tylko to, albo tylko owo, ale nie robił sobie nigdy w głowie niejako mapy wszystkich współczesnych motywów, nie namyślał się także nad skomplikowanym mechanizmem takiego postanowienia samobójczego, nie oceniał dobrze myśli podświadomych i ich działania, nie rozumiał się na tym, co by można nazwać fizjologicznym procesem myślenia. Dlatego też, ilekroć co określał, zaraz robił błędy. Tu jednak muszę zrobić to zastrzeżenie, że Strumieński czasem w interesie swego egoizmu wychodził przeciw z obrębem nazw i myślał nie gotowymi ułożeniami, ale fotograficznie, faktami, czyli używając starego wyrażenia: intuitywnie te fakty odczuwał. Podobnie i Ola intuicyjnie „odczuwała” jego komedianstwo, jakkolwiek go nie doceniała, albowiem stanęła zaraz przy odkryciu pierwszej warstwy — jak w ogóle wielu ludzi zadowala się już pierwszym rezultatem swej przenikliwości, odmiennym od kursu powszedniego.

Wreszcie co do sposobu ukrywania się owej tajemnicy w duszy Strumieńskiego, zauważyć trzeba, że dopiero samoistne następcze życie duszy uczyniło z niej rzecz tak dlań monstrualną. Z początku bowiem, podczas pierwszej próby w głąb, póki Strumieński miał jeszcze świeżo w pamięci wszystkie zdarzenia poprzedzające samobójstwo żony, mało co sobie robił z owego rzekomego zgwałcenia. Dopiero z biegiem czasu, gdy zapomniał, jaki był stosunek poszczególnych faktów do siebie, gdy zatracił ich miarę, zwłaszcza gdy zatracił poczucie stopnia jej zamęcenia umysłowego, które przeżywał obłąkaniem — wtedy epizod ów, może pod wpływem jakiejś hipochondrii umysłowej, sumienności, pietyzmu (stosunek wzajemny?), przekształcał się w jego pamięci, otaczał się atmosferą zbrodniczych wyrzutów sumienia, fałszował, i skoro podczas recydywy opisanej w rozdziale X i XI wychylił się znowu ponad powierzchnię świadomości, ukazał przyrośniętą przez ten czas paury głowę tak potworną, że Strumieński, jak czytamy w rozdziale XI, wolał ją zepchnąć na powrót w głąbiny duszy. Aż teraz wyłowił ją znowu — dla zastraszenia żony, ale bezskutecznie, po czym sam zaczął analizować i psuć swego stracha, aż popsul go zupełnie. Jeżeli zaś owej tajemnicy nie wyjawilem na początku opowiadania, tak jak właściwie uczynić należało, lecz ukrywałem ją dotychczas, to robiłem to co prawda dlatego, żeby od czasu do czasu działać bodaj trochę na najpospolitszy gatunek ciekawości u czytelnika

ka; ale usprawiedliwia mnie nieco to, że w powolnym odsłanianiu sekretu naśladowałem powolny rozwój tego tajemnego kompleksu w duszy bohatera.

## XVIII. ZROBIENIE FAZY

Pączek myśli, który zakwitł u Strumieńskiego w ów dzień, rozwinął się i wyspecjalizował odpowiednio w dniach następnych, a postanowienie, by raz na zawsze skończyć już z epizodem „Angelika”, dojrzało tak, że wreszcie nie było już postanowieniem powziętym przezeń na przekór sobie, lecz nabrało barw charakterowych Strumieńskiego, upoetyczniło się w jego duchu i usymetryzowało. Nie będę się tu silił iść krok w krok za przebiegiem jego myślenia, zagmatwanego, skaczącego, pełnego raczej wyobrażeń niż myśli, raczej poczuć myśli, szemrzących pod skorupą świadomości, niż samego myślenia, nie będę też zwracał uwagi na sposób dopuszczania do siebie pewnych rezultatów myślowych, np. że Strumieński w wyobraźni stawał przed obrazem Geli i przemawiał do niej oko w oko tak, jak to uczynił owej nocy, kiedy mu psy grały melodię. Tedy według dawnej metody powieściopisarskiej podam poszczególne kwestie i wyniki rozumowań, wiążąc je w logiczną, a nie psychologiczną całość, i tylko tu i ówdzie na próbę będę naśladował sam sposób myślenia.

Otóż najpierw trzeba wyjawić, że wszystkie te wyniki i zastosowane do nich „nowe” poglądy Strumieńskiego (powtórzone zresztą z okresu *naturam expellas furca*<sup>208</sup>) były przyrządzone gwołi planu wytworzenia sobie nowego życia miłosnego na gruzach starego. Zajrzawszy raz w oczy zdradzie, zasmakował w niej, zapragnął tego urozmaicenia rozkoszy zmysłowej, którego dotychczas nie miał. Także Ola była mu już tylko rekwizytem z czasów panowania Angeliki, jej zastępczynią. Strumieński upatrzył już nawet osobniki żeńskie, z którymi mógł wypróbować wartość nowych poglądów; dotychczas myślał o nich dorywczo, nie na serio, teraz stały się one motorami „fazy”. Należała do nich przede wszystkim Paulina, nauczycielka w domu Strumieńskich, o której wnet będzie mowa. Dlatego to nie mogę powiedzieć, żeby Strumieński przechodził teraz jakąś walkę wewnętrzną, bo wynik tej „walki” był już z góry rozstrzygnięty — było to więc raczej usprawiedliwianie tylko i pocieszanie samego siebie.

A ku temu celowi stał się głównym jego obrońcą ten sam pierwiastek pałubiczny, który mu wpiers w urzędowaniu podziemnego życia tak bardzo przeszkadzał (w rozdz. XI). Teraz Strumieński sam z zaciekłością biczownika rozbijał to życie młotem krytycznym, niszczył jego piękne umeblowanie, nie oszczędzał ani Angeliki, ani siebie, zawarł sojusz z dawnymi i nowymi skrupułami, unikał myśli, które by musiał położyć na drugą szalę. Przyjrzyjmy się, jak tendencyjnie ustawiał teraz te same fakty, które pierwiej szeregował pod innymi kątami widzenia. Ot np. wykrył na spodzie swego przywiązania do Angeliki nowy czynnik: wdzięczność. Wdzięcznym był za jej uwielbienie i miłość — ale czyż to było istotnie uwielbienie? Czyż nie odgrywał on tu raczej śmiesznej roli narzędzia, bałwana — na którego ona chwilami z takim uśmiechem wyższości patrzyła? Ich całe pożycie było pasmem różnych kłamstw: on wmawiał w nią, że ona ma talent, a sam jej wszystko poddawał, ba, sztuka była tylko formą miłości zmysłowej, nowym płaszczkiem, zabawką. Brnąc dalej w tych niesprawiedliwościach, rzucał Strumieński kalumnie na swą miłość z Angeliką. Oboje pracowali nad dziełem uszlachetnienia miłości — co za komedia! a w gruncie rzeczy oboje poprzestawali ciągle na... tym samym. Niezrozumiałość, wyższość Angeliki pochodziła tylko z hysterii, z jakiegoś nieporządku w umyśle (powtórzenie z ustępu XI). Póki mu to było na rękę, tolerował jej ekstrawagancje, a potem stał się wrogiem — z kochanka. Widział cały szereg komedii, które snuły się dalej. Jej samobójstwo było komedią, żeby go związać z sobą tajemniczym węzłem i zmusić do wypełnienia rozkazów, zawartych w liście (intuicja, o której mówiłem przy końcu poprzedniego ustępu). Wprawdzie odwrotny pierwiastek pałubiczny mógł mu powiedzieć: „A cóż to szkodzi! Właśnie to dowodzi, jak cię kochała!”. Kochała? Nie, pożądała tylko. Więc byłem przedmiotem pożądliwości, nie miłości (hipostazja miłości zamiast analizy!) Fe! Po co rozżalała się fałszywie? Wszak mogła przypuścić, że zasieje niepokój w mym sumieniu, po cóż korzystała z tej drobnej niby-krzywdy, mogła się zabić i bez tego! Kara nie

<sup>208</sup>*naturam expellas furca* (łac.) — choćbyś naturę wypędzał widłami [ona zawsze powróci]; fragm. przysłowia łac. *naturam expellas furca, tamen usque recurret*. [przypis edytorski]

stała w odpowiednim stosunku do jego przestępstwa. Zrodziło to potem inne komedie. I tak cały okres żałoby. Czyż to nie było komiczne<sup>209</sup> (rzekoma komedia przesunęła mu się w rzekomą komiczność — chociaż komiczność wyklucza taką komedię, bo owszem potwierdza jej szczerść), jak on na duchy czekał? Doprawdy, mógłby kto z tego zrobić komedię! Lub ten pies — może i to duch? I jak już wtedy myślał czasem o swej przyszłej żonie i te myśli wymiatał. Albo jak zasnął przed lustrem. Dlaczegoż wówczas — wyrzucił sobie — nie zabiłem się? Nie dostałem, obłędu? Zapewne byłem zanadto zdrowym, potrzeba było za pomocą środków fizycznych podkopać zdrowie i rozhulać ducha, bo *mens sana in corpore sano*<sup>210</sup>. Ale nie miałem odwagi; dziś za późno na to. Ta dyspozycja, ta potrzeba zatoneła gdzieś we mnie, próżno by ją galwanizować, zaniedbałem swój szczyt. (Forsowane zarzuty mieszają się z drgnieniami żalu). A po tym okresie to już nic nie robił, aby urzeczywistnić program ideału, lecz spychał go na drugich, stwarzał sobie media — media? Komedio! Miał żonę — czyż to już właściwie nie była zdrada, jak się patrzy? Dopiero Rosjanka stała się jego problemem, dlaczego już nie Ola?

Zbliżył się wreszcie i do dalszych punktów szczerści. Wszak powiedział Geli, że niekoniecznie ma być matką, gdyby nie chciała. Czyż więc... tylko, aby uchylić się od macierzyństwa? Czy też raczej *idee fixe* czystości? Bo znajdował w niej potem inną naturę... ta jej nagła apatia... zapewne wskutek zaburzenia umysłu. Byłże to więc przecież przełom fizjologiczny, szaleństwo? Na to wskazywałoby może i to dziwne, chwilami grozą przejmujące śpiewanie po włosku, które ona sama nazywała swoim „śpiewem łabędzim”. Śpiewem łabędzim? A więc widocznie przygotowywała się do samobójstwa, co potwierdza i ten list... Tyle tych i innych dowodów jasnego rozgarnienia: jeżeli była wtedy wariatką, to była nią chyba całe życie. Tak ubijał Strumieński kwestię nieczytelnosci Angeliki, ale ubiwszy ją, napotykał niespodzianie inną, niemniej dlań przykrą i pałubiczną. Jeżeli to nie był przełom fizjologiczny, cielesny, więc — przełom umysłowy, charakterowy? (por. s. 218, w. 23 i n.<sup>211</sup>). Nie pamiętał już dziś tego i nie rozumiał, bo wówczas kiedy to się działo, zanadto się denerwował samymi faktami, tkwił w nich. A jednak — zdaje mu się — wywierała na niego takie wrażenie — jakby mu się opierała naprawdę, z przekonania, jakby w tym jej nowym zachowaniu się objawiała się dopiero jej istotna istota, jej rdzeń, jej właściwe, dziewicze „ja”. A w takim razie czyż jego późniejszy kult Angeliki był rzeczywście kultem jej samej, najsamszej? (Błąd, hipostazja jednolitego, transcendentalnego „ja” zamiast „ja” empirycznego, złożonego).

W ogóle poruszeniem sprawy owego zgwałcenia przeciął Strumieński ostatni (?) tajemniczy nerw wiążący go z Angeliką. Używał tej sprawy w dwóch sprzecznych niemal kierunkach, a ku jednemu celowi: by wykręcić się, zamknąć już fazę. Raz więc uważał swój postępek z Angeliką za zbrodnię, za grzech, który odpokutowywał pietyzmem; lecz przyznawał się do tej zbrodni nie po to, żeby pochwalić swój pietyzm, bo wtedy logicznie musiałby w nim brnąć dalej, lecz żeby niejako zdemaskować niewłaściwe pobudki swego życia podziemnego, wykazał samemu sobie, że to życie było tylko upiększoną, uwygodnioną formą pokuty i trwogi, nie miało więc w sobie pierwiastków wielkich, pięknych, czystych, wyjątkowych. Albo też wykazywał sobie głupotę podejrzenia siebie samego o grzech, uniewinniał się, obniżał doniosłość tego sekretnego fackiku, uważał go za coś błahego, żartobliwego, lecz wówczas zamiast wywnioskować: „skoro zbrodni nie było, to motywy twoje były czyste, więc rób dalej to, co robisz”, wnioskowało mu: „skoro to nic ważnego, skoro nie popełniłeś żadnej zbrodni, to na cóż się bać, na co tak kurczowo podtrzymywać walący się ideał?”. A i wszystkie te wyrzuty sumienia miał po to, żeby nimi zapłacić za swe odstępstwo.

...czyż zresztą to był gwałt? (naśladując uparte powracanie sumienia do najdrażliwszej kwestii). Gdzież są różnice? Czyż w końcu nie poddała się sama? W istocie sumienie

Gwałt

<sup>209</sup> Czyż to nie było komiczne — [Komentarz autora z *Uwag*.] Widzimy, jak Strumieński, gdy chodzi o jego skórę, analizuje fakty i doprowadza je do atomu, o którym by zapewne i medycyna nic już powiedzieć nie mogła. [przypis autorski]

<sup>210</sup> *mens sana in corpore sano* (łac.) — w zdrowym ciele zdrowy duch. [przypis edytorski]

<sup>211</sup> por. s. 218, w. 23 i n. — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „(...) wreszcie jej obłąkanie, chociaż Strumieński wątpił, czy było ono wynikiem nieszczęśliwego położenia, czy jej całego usposobienia, a nawet czy było w ogóle obłąkaniem (bo zachowywała się wprawdzie dziwnie (?), ale oczywistych nonsensów nie robiła)” (rozdział XI). [przypis edytorski]

jego jest zbyt skrupulatne. Przecież w ten sposób chciał ją otrzeźwić, przeszkodzić jej ucieczkom, złamać jej uparte, uroczyste milczenie, które go drażniło, a może nawet — zdemaskować ją? Co prawda mógł się nieco wstrzymać, czekać, znosić dalej jej obraźliwe obchodzenie się z nim. Ale miał przecież różne dawne upoważnienia — jej dumę łamał wtedy nie po raz pierwszy. A nawet i wtedy — czyż nie wyzywała go właściwie sama swoją ironią i ostentacyjnym chłodem? „Spróbuj — zaczęła go — a ja się zabiję” — jakby siebie samej dobrze nie rozumiała. A więc redukowało się i to do walki pierwotnej między „mężczyzną” a „kobietą”. Chętnie podstawił ten dualizm na miejsce dopiero co pomyślanego dualizmu „dziewiczości” i „zmysłowości”. Lecz zstępował jeszcze głębiej. Alboż mu istotnie szło o skrupuły zabójstwa, czy nie raczej o to, jaką ona dawniej była? O coś oderwanego od niej? A nawet po jej śmierci strata tej dawnej, tej gorącej kochanki była czasami przykrzejszą od straty jej w ogóle — chociaż przykrość ta musiała stać w kącie wobec panowania oficjalnego, wielkiego smutku... Czyż w takim razie — pytał znowu — jego późniejszy kult Angeliki był rzeczywiście aktem wdzięczności, wynagrodzenia, ułagodzenia, a nie skrytą tęsknotą ku jakimś śliskim, „podziemnym” ideałom, które tylko uszlachetniał jej firmą?

I przy tej sposobności znowu (por. s. 215) odczuwał niechęć do autora *Marii Dunin*<sup>212</sup> za to, że przedstawił mu niejako tę drugą fazę Angeliki wyidealizowaną, a jego w faunie, który opowiada, niechęć i za to, że ten punkt nie jest tam wcale rozstrzygnięty, ale zostawiony, jakby się rozumiał sam przez się, podobnie jak absolutna niewinność Anielki w *Bez dogmatu*. Bo Strumieński wprawdzie jako dziecię racjonalistycznego wieku nie wierzył w anielskość kobiet i czasem żartował z niej, jednak dotychczasowa nauka nie dawała mu dostatecznych środków do rozumienia wielu skomplikowanych wybryków kobiecych i dlatego na wzór wielu ludzi współczesnych posługiwał się trwającymi jeszcze, a wciąż odgrzewanymi (przez archeologów umysłowości) tradycjami rycersko-romantycznymi, do których należy pojmowanie kobiety jako „istoty, która...”, anioła, stróża czystości itp. Polemizując więc w duchu z autorem *Marii Dunin*, „wierzył” przecież w idealność kobiety, a raczej bał się, by ona naprawdę nie istniała.

A z Berestajką jak to wszystko zdążyło wybitnie do jednego celu, jaki stanowiło urok to bez ceremonii. (Myśl ta kielkowała już na s. 309 w. 15 i n.<sup>213</sup>). Natura, mistrzowska natura — jak od razu zburzyła ona cały gmach komedii i kłamstwa, od razu, jednym podmuchem! Jedno żywiołowe zachcenie i już po wszystkim. Na zewnątrz można być tym a tym, wyznawać taką a taką religię lub zasady, a natura przecież zawsze zrobi swoje. Wdziera, wślizguje się wszędzie; przykładem ci święci pustelnicy, którzy jej pokusom oprzeć się nie mogli. O jakąż wszechpotężną pani — matka natura!

Tak uległ Strumieński potrzebie podciągnięcia nowego wypadku, który jeszcze wczoraj mącił mu życie, pod nowy system i znowu rzecz zabarwił, przekręcił. Bo jak wiemy, nie „matka natura” grała tu główną rolę; jego grzech z Berestajką wyniknął w większej części z wewnętrznego musu, jak skok w przepaść, z psychicznego zawrotu głowy, był także konsekwencją okoliczności i terenu (samorząd faktu). Wreszcie dodać warto, że Strumieński jakby zupełnie unikał rozważania możliwości nowej formy kultu Angeliki, tej możliwości, o której sam wspominał w rozmowie z Olą (s. 346. w. 23 i n.<sup>214</sup>). Ale sposób ten zaginął w potopie jego myśli, jak w ogóle konflikty ludzkie tylko czasem mają niedokładne żywe komentarze, pólalogie i fałszywe analogie. Chodzi o to, że Strumieński, idąc szlakiem idei z *Powinowactw z wyboru*, mógł adoptować swój egoizm na

<sup>212</sup>znowu (por. s. 215) odczuwał niechęć do autora *Marii Dunin* — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „(...) starał się w oczach Oli poniżyć autora jako romantyka, dekadenta, neurastenika, który uświetnia erotomanekę itp.” (rozdział XI). [przypis edytorski]

<sup>213</sup>Myśl ta kielkowała już na s. 309 w. 15 i n. — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment zaczynający się od słów: „(...) w tym pośpiechu, nieładzie sukien, szybkim porozumieniu się egoizmów, było coś, co miało odrębny urok” (rozdział XVI). [przypis edytorski]

<sup>214</sup>możliwości nowej formy kultu Angeliki (...) o której sam wspominał w rozmowie z Olą (s. 346. w. 23 i n.) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „Ty jesteś moją ofiarą... (...) Ofiarą, ale nie moją. Tyś myślała, że ja jestem tylko pospolitym grzesznikiem, a ja jestem tylko kapłanem. Pamiętaj *Powinowactwa z wyboru*? Widzisz, chciałem... niech się potwór nasyci. Naprzód tę aktorkę, potem ciebie, potem jeszcze inne, aby się ten głodny wampir nasycił” (rozdział XVII). [przypis edytorski]

rzecz Angeliki i zamieniać akty zdrady na akty wierności, gdyby był pojął miłość ku Angelice jako całokształt wszystkich najbardziej swoich chwil w życiu, a więc np. wszystkich wyzwoleń fizycznych i intelektualnych, gdyby w niej chciał widzieć konsekwentnie, tak jak dawniej podczas podziemnego życia: bóstwo opiekuńcze swego egoizmu, kochankę nadzwyczajną, która w nim może kochać nawet i to, czego by nikt inny nie kochał, i brać w tym udział. Wówczas nawet mógł *ex post* usprawiedliwić grzech z Rosjanką i wcielić go do kompleksu z napisem „Angelika”, zamienić to na naumyślność, co było przypadkowym. Co prawda wyglądałoby to raczej na rozbicie idei, a nie na rozszerzenie jej, gdyż taka wierność jest już tylko pozorną; lecz przecież i to wszystko, co się dotychczas działo, było tylko snuciem przędzy idealnej, nonsensowej, dowolnym „pojmowaniem”, robieniem fałszu. Zaznaczyć też trzeba, że Angelika, pisząc swój list, bynajmniej nie myślała o takich konsekwencjach, bo pojmowała wierność po prostu; ale wbiła Strumieńskiemu w głowę pomysł z *Powinowactw z wyboru*, według którego on jej ideę zreformował. Jeszcze dalej iść w kierunku tak zreformowanej wierności ani mu się śniło — tym bardziej że skoro nie było w przeszłości odpowiedniego układu z Angeliką, odpowiednich niemożliwych obietnic z jej strony, więc brakłoby mu sugestii pewności co do równoczesnego mistycznego współdziałania Angeliki w jego aktach samolubnych, a tylko taka iluzja współdziałania mogła podtrzymywać dalsze szaleństwo. Tak tedy karkołomna idea Angeliki i Strumieńskiego, idea miłości pozagrobowej, urwała się, bo nie była daleko obmyślana i do sił ludzkich zastosowana. Zobaczymy później, w XXI ustępie, że Strumieński przecież mimo to snuł pewien dalszy ciąg swego podziemnego życia, ale nie ten tu nakreślony, na który mu już brakło zapału. Chciał być wolnym, zresztą raziloby go zbyt oczywiste przekręcenie faktów. Wprawdzie bowiem mógł widzieć np. w scenach przed obrazem Angeliki pewną ironię i wybuch protestu u siebie i wziąć to za zadatek „poprawy”, ale gdyby nawet myśl ta próbowała zachwiać jego nowe plany, odparłby ją za pomocą odpowiedzi, że ironia była dopiero w scenie z Olą, to zaś, co się tam przedtem stało z Berestajką, było z całkiem zwykłego zmysłowego materiału. I tak ignorował Strumieński (p. f.<sup>215</sup>) zupełnie tę wielką, na spodzie leżącą dozę brania na serio, którą ukazałem w jego „komedii tryumfalnej”, bez wahania nazywał całe swoje życie podziemne „komedią” (por. s. 387<sup>216</sup>), aby je albo zozydzić, albo ośmieszyć.

Ale bo też dłużej nie chciało mu się żyć tym stylizowanym życiem, znudziło go to być pedantem czy fakirem własnej komedii. Stwierdził zdaniem swoim fakt, który już dawno nastąpił. Nie szło mu ani o zreformowanie kultu, ani o usprawiedliwienie *ex post* wypadku z Berestajką, decyzja jego była względnie dość jasna, dobrowolna, stanowcza: nie chciał już mieć nic z tym fantem do czynienia. Chciał to robić tak, jak inni ludzie robią, bez żadnych zastrzeżeń. Chciał kochać, np. żonę jako żonę, nie przesadzać, nie zdradzać jej wiernością, być porządnym i przeciętnym mężem. Ludzie, którzy zdradzali swe żony, więcej je może kochali niż on swoją; grzeszność w człowieku potrzebuje od czasu do czasu przeczyszczenia, zdrowe natury robią to instynktowo. Tu przyszły mu w pomoc głównie wspomnienia z okresu *naturam expellas furca*<sup>217</sup>, ale teraz już nie rzucał się w „czynny” jako antydot<sup>218</sup>, chciał tylko wypełnić maksymę: *homo sum et nihil humani a me alienum puto*<sup>219</sup>, a więc być artystą życia, sługą złotego środka.

Wszystkim (właśnie że nie!) był związany z teraźniejszością, rzeczywistością: interesami, ciałem, zajęciami, sympatiami, antypatiami nawet. Były to węzły jakby fizyczne, tkwiące we krwi. Sprawa Angeliki, lubo<sup>220</sup> dlań najciekawsza, zajmowała może tylko dziesiątą część jego życia. Dopiero teraz otwały się przed nim horyzonty swobody — po tylu latach „cnoty”. Strumieński nie wiedział i nie doceniał tego, że ta „cnota” była nie

<sup>215</sup>p. f. — *post factum*; po fakcie. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>nazywał całe swoje życie podziemne „komedią” (por. s. 387) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „Widziałem np., jak odkrywcy w sobie pewną warstwę komedii, użytkowaleś to odkrycie i wycofałeś się” (rozdział XIX). [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*naturam expellas furca* (łac.) — choćbyś naturę wypędzał widłami [ona zawsze powróci]; fragm. przysłowia łac. *naturam expellas furca, tamen usque recurret*. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>antydot (daw.) — antidotum. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*homo sum et nihil humani a me alienum puto* (łac.) — człowiekiem jestem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]



czymś śmiesznym, ale stróżem tego szczęścia, które mu dawały jego objawienia umysłowe, a zarazem organicznym niejako wytworem jego charakteru, który był, że tak powiem, monogamicznym i dążył do erotycznego wyzyskania jednej kobiety aż do ostateczności — co widzieliśmy na Angelice i na Oli.

Poczucie kłamstw dawało mu siłę krnąbrności do przeprowadzenia swej woli. Któż go pilnował? Któż go kontrolował? Kto widział, że on zepsuł jakąś szaloną ideę? Kogo by to choćby interesować mogło? Sprawa była tak niepodobna do niczego, tak swoja, że strach. Kto śledził zawiłania jego myśli? Kto mógł udowodnić, że on w tym a tym gdzieś zblądził? Czy Angelika? Ależ nie ma świata pozagrobowego. Sumienie? Pedanteria — to był przecież on sam, a nikt sobie samemu krzywdy nie robi. Ola? Ależ ona zapewne uważała już całą historię za zamkniętą, skończoną. Miała za ciasny umysł i serce, żeby pielęgnować z zachwytem inspekta w jego duszy — poznał to właśnie tej nocy. Jeżeli wygadał przed nią wszystko, to dlatego, żeby się raz tego pozbyć, nie mieć nic dziewiczego w sobie, pozbawić uroku samotności to, czym się pieścił dotychczas — miała ona rolę lancetu, którego użył do puszczenia sobie krwi.

W chwilach, gdy decyzja była mniej stanowczą, udawał niejako przed ideą, że ją przez Pawełka ratuje, przeszczepia na inną glebę, że najlepiej będzie teraz „to miejsce” zamknąć, tym bardziej że było ono na pewien czas (!) sprofanowane (?). Kto inny nie potrzebowałby się wprawdzie bawić w zamykanie i mógłby zostawić rzecz w tym punkcie, w którym ona stanęła, ale jemu do poczucia swobody potrzeba było jeszcze symbolu zerwania, tj. zamknięcia lub zniszczenia muzeum.

Teraz, po wejrzeniu w rusztowanie wątpliwości i wykrętów Strumieńskiego, zobaczymy, jak wkrótce na miejscu jednej idei postawił nową, której zawiązek już także poznaliśmy — nową upiększającą wieżyczkę.

Oto otrzymał od Berestajki list z wyzwaniem na pojedynek; miał o oznaczonej porze stawić się po tamtej stronie rzeki koło domu przewoźnika. Fakt ten, wnosząc nowe rozpraszające czynniki, wpłynął opóźniająco na rozpęd wzięty przez Strumieńskiego, a nawet zrazu wykoleił go nieco.

W pierwszej chwili, po przeczytaniu listu, był Strumieński najpewniejszy w świecie, że tu idzie o żart tylko, pod którego pozorem aktorka chce z nim odnowić stosunki i powtórzyć to, co się już raz stało. Czy miał jej zrobić tę łaskę, tę przyjemność? Wprawdzie epizod z nią zdołał już w czasie kilku dni wyrósć na pewien symbol wolności płciowej, pozbyć się „przypadkowych” szczegółów; mimo to, gdy stawał się znowu aktualnym, drgnęła w Strumieńskim równocześnie chęćka zemśczenia się na Berestajce, rewanzu za jej lekceważenie. Ta druga chęćka przeważała, gdyż używał jeszcze błogich owoców pogodzenia się z Olą, i nie chciał tak zaraz wkroczyć w otwartą bramę do wolności, którą już raz był wprawdzie przestąpił, ale tylko mimo woli. Nowe postanowienia zbyt wcześnie przystępowały do niego, żądając wcielenia ich w życie, gdy na to jeszcze nie miał dostatecznej siły moralnej — czy też niemoralnej. Był dopiero w stadium utrwalania w sobie nowych ram teoretycznych, a burzenia dawnych, był jeszcze pełen różnych wątpliwości i krótkich recydyw żalu, a po rozkoszach z Olą był na razie zaspokojony, wdzięczny i nie chciał tej Oli zdradzać. (A więc brnął w dawnym: szło mu o czystość, nieskazitelność, niepańubiczność sytuacji). Nadto, jak już zaznaczyłem, urządzając swą fazę, miał on — nie na myśli, ale — na uczuciu inny romans, nie z Rosjanką, do którego zrobienie fazy miało być mostem.

Jednakże gdy drugi i trzeci raz przeczytał list Berestajki, tknęła go niemile sztuczna powaga, z jaką jej wyzwanie było wystylizowane. Najwidoczniej chciała mu zaimponować oryginalnością, a może nastraszyć go — a on nie mógł odgadnąć, do jakiej granicy prawdy posunie się ta jej komedia. Nie wiedział, czy warto narażać się na niebezpieczeństwo spotkania się z takim indywiduum, które nie ma nic do stracenia. (Teraz, gdy mu szło o własną skórę, dobywał najlepszych sądów). Taka wariatka mogła go naprawdę zabić — a już choćby to igranie z nim, grożenie mu, było dlań bardzo kłopotliwym. Wprawdzie miał mnóstwo sposobów uchylecia się od tego niby-pojedyunku z narwaną aktorzycą: i jako mężczyzna nie potrzebował stawać na jej wyzwanie, i sama forma wyzwania bez sekundantów, bez przygotowań urągała przyjętym zwyczajom, wreszcie sumienie nie wyrzucało mu żadnej tak strasznej zbrodni, żeby ją aż krwią zmyć należało. Powiedział jej wprawdzie jedno obelżywe słowo, ale uczynił to przecież w chwilowym uniesieniu, obu-

rzony jej impertynenckim zachowaniem się względem Oli (tylko?), powiedział, no i dostał za to po palcach. Czego chce jeszcze ta małpa? Napisała jednak: „spodziewam się, że Pan mimo wszystko zaspokoi żądania kobiety”, a słowo „kobiety” było podkreślone. W pierwszej chwili pojął był to zdanie fałszywie, jednostronnie, bo wprawdzie właściwy jego sens rozumiał, ale zwiedziony słowem „zaspokoi” mniemał, że tu idzie o coś figlarnego, że całe to zdanie jest dwuznaczne i obiecujące. Teraz jednak przekonywał się, że mogło jej iść tylko o jedno: o upomnienie go, by się nie zasłaniał tym, że nie ma obowiązku bić się z kobietą. W istocie, jako człowiek wyższy nad przesady, musiał jej przyznać równe prawa i aby się nie narazić na zarzut, że jest albo zacofanym albo tchórzliwym, musiał jej stanąć. Wybrał się więc w drogę, wzięwszy rewolwer raczej dla ewentualnej obrony niż dla pojedynku, bo spodziewał się, że na miejscu jakoś się ta sprawa ułoży i albo ona sama nada jej inny obrót, albo w ostatecznym razie on nagada jej słowa prawdy i, nie troszcząc się o dalsze groźby, powróci do domu.

Czekał na nią może pół godziny, potem, wracając, spotkał ją idącą piechotą. Robiła miny ponure i tragiczne, a w ustach miała słowa goryczy i skargi. Rezygnowała z pojedynku, nie myślała ani na chwilę zabierać męża żonie i ojca dzieciom, chciała tylko zaznaczyć swoje prawa do honoru. Zresztą on miał słuszność, bo ona jest w istocie tym, czym ją nazwał, lecz mimo to obrażać siebie nie pozwoli i lubi śmiałkom dawać nauczkę. On nie potrafi ocenić jej sposobu życia, w tym zapadłym kraju panują różne śmieszne przesady i iluzje, których ona mu zabierać nie myśli. Dlatego odmawia mu prawa sądenia o jej konduicie<sup>221</sup>. Jest samą na świecie, kto bądź może szarpać jej dobrą sławę, zmylony pozorami, nikt nie wie, co się na dnie jej duszy dzieje. Jelonek idiota... ona sobie z tego nic nie robi... mężczyźni lalki... trzeba żyć... no i jest się młodą...

Gdy się zaczęło gadanie o dnie duszy, Strumieński był już całkiem uspokojony, bo zdawało mu się, że przeczuwa, do czego zdąża to wszystko. Ale tak bliski obrót rzeczy znowu go nieco rozczarował, było mu przykro i kłopotliwie. Na szczęście zbierały się chmury grożące deszczem, to jednak zamiast posłużyć do nowej idylli wśród romantycznych okoliczności: błyskawic, huku piorunów, posłużyło Strumieńskiemu za pretekst do przerwania schadzki. Poradził jej schronić się w domu przewoźników, ale sam tam nie wszedł, mówiąc, że nie chce dawać złym językom pola do plotek, i korzystając z fury przejeżdżającej drogą, kazał się zawieźć do domu. Pod wrażeniem przygrywek burzy odbyło się to tak prędko, że się nawet nie pożegnali i nie umówili co do następnej schadzki, a Berestajka, wchodząc do chaty przewoźnika, była pewna, że Strumieński pomimo swych skrupułów wnet za nią przyjdzie, i dopiero potem opatrzyła się, że on jej uciekł.

Gdy na drugi dzień otrzymał nowe zaproszenie na schadzkę, już go iść nie korciło. Z załatwieniem historii pojedynkowej Berestajka przestała być dlań bodaj niebezpieczną, a pożądanie nie budziło się, choćby dlatego, że wczoraj po jej aluzjach przeczuwał, iż jej oryginalność skończy się wynurzeniami i żalami, które by mu obraz jej jako zuchwałej i nieobliczalnej zatarły, a w końcu naciąganiem — co wszystko stłumiłoby radość zuchwałego zrywania zakazanych owoców w tym ogrodzie. Mimo to dał odpowiedź, że przybędzie — uczynił to jakby z obowiązku dla swych nowych zapatrywań. Przeszkadzały mu jednak trudności zewnętrzne. Miejsce na schadzkę było źle wybrane, na tę samą porę zaś wypadł mu w innej stronie pilny interes: musiał jechać do młodego Mariusza, który mu donosił o przybyciu znawców torfu. I tę przeszkodę byłby może przewyciężył, ale w ten sam dzień wieczorem (o tym zapomniał!) miał także przyjechać architekt ze swoją młodą żoną i należało go ugościć. To udaremniło ostatecznie schadzki, ale swoją drogą wszystkie te przeszkody sprawiły, że Strumieński zaczął odczuwać pewien żal i niezadowolony: on nie potrzebował kurateli losu i wołał mieć swobodny wybór pójść lub nie pójść. Na przekór więc patrolującemu losowi gromadziła się w nim już wspomniana siła moralna, a raczej niemoralna, w duchu nowych jego zapatrywań. Ale siła ta, nagromadzona dzięki Berestajce, została zużyta w innym kierunku, nie dla Berestajki, lecz, jak wkrótce zobaczymy, po pierwsze dla Pauliny, po drugie dla zupełnego zerwania z Angeliką. Wprzód jednak wykonał Strumieński jeszcze taki manewr: pokazał Oli list aktorki i popisał się, że mógł pójść na schadzki, ale nie poszedł, chociaż od przyjęcia gości mógł się wykręcić tym, że jedzie do Mariusza torf oglądać. Strumieński zrobił sobie w umyśle

<sup>221</sup> *konduita* (daw.) — prowadzenie się, zwłaszcza budzące zastrzeżenia etyczne. [przypis edytorski]

tak, że wierzył w to nieco na serio — wierzenie to zmroziła i rozwiła trafna odpowiedź Oli, że całkiem niepotrzebnie mówi jej o tym, co nie powinno ulegać żadnej wątpliwości, wtajemnicza ją w rzeczy dla niej przykre i wstrętne (rozszerzała tu swój zarzut aluzjami do ostatniej nocy). Zapytała, jaką odpowiedź dał aktorze. Na to on się zmieszał, poznał swe kłamstwo i odrzekł, że obiecał przyjechać, ale tylko dlatego, żeby jej dać nauczkę: będzie to bardzo komiczne, jak ona będzie jeździć tam i na powrót i wściekać się ze złości, że jego nie ma. (Tak było istotnie, miał tę zemstkę w rezerwie, ale nie jako zamiar, tylko jako pocieszenie się). Ola zmierzyła go wzrokiem mówiącym: „poznaję się na tym!”, a powiedziała: „Ubliżasz sam sobie, mszcząc się na kobiecie żartem niegodnym mężczyzny; co mnie to zresztą obchodzi”. Dla niego zaś dodała z pewnym rozżaleniem szablonowej zazdrości: „Mnie przykro, że ona w ogóle na ciebie czeka i plugawi mnie (powinna była powiedzieć: ciebie, ale egoizm wylazł) myślami”.

Teraz wypowiem spostrzeżenie, na które się zgodzi zapewne wielu ludzi mieszkających na wsi. Pewne zmiany w otoczeniu, np. jak w tym wypadku przyjazd gości, wywierają wpływ podniecający. Goście przywożą z sobą nowe zapatrywania, temperamenty, często nowe wiadomości, plotki, co sprawia, że pewne odłogiem leżące myśli nasze wprawiają się w ruch. Trzeba ich oczekiwać, przyjąć, mówić z nimi, reagować na ich charakter, ustosunkowywać się do nich, często dobywać gwoli swej obrony różne rezerwy, porównywać siebie z nimi, nieraz badać swe życie. A ponieważ myśli naczelne (i podrzędne, tyranizowane przez człowieka, często są takimi) związane są jakby w jeden łańcuch, przeto za poruszeniem kilku drgają, odzywają się bezpotrzebnie inne, wstrząsają się pewne połączenia myślowe — wskutek czego myśli się całkiem niezależnie od myśli nasuniętych przez gości, myśli się o swoich myślach. Jest także prawo w psychologii, że kontrasty wywołują się wzajemnie; otóż hałas, zakrętanina itd., sprawione przez gości, mogą wywołać uczucie osamotnienia, ale jeśli się samemu nie jest zbyt przy tej wizycie zajęty. Jaskrawo uwydatnia się coś podobnego na dzieciach, które najwięcej dokazują i broją wtedy, gdy goście przyjadą. Starsi bardziej maskują swe podniecenie; naturalnie wiele zależy tu od tego, jakim jest gość, od częstości jego wizyt itp. Otóż w tym wypadku przyjazd gości lechtał tylko duszę Strumieńskiego. Zrazu było mu nieprzyjemnie, że musiał zrezygnować ze schadzki, potem jednak przewyciężył to przy pomocy nowych wrażeń, co prawda nie bardzo obfitych. Mówiło się o pałacu, o mieście, podobała mu się młoda żona architekta i zdawało mu się, że i on się jej podoba. Nie o nią jednak chodziło. Strumieński zwrócił baczniejszą uwagę na nauczycielkę lub raczej towarzyszkę swych młodszych dzieci, Paulinę. Była to młodziutka, dość ładna osoba, nauczycielka w tej wsi, mieszkająca samotnie w szkole. Strumieński, który jako prezes rady szkolnej miejscowej czasami wizytował szkołę, zwrócił był jeszcze dawniej uwagę na opuszczenie Pauliny i polecił Oli, by jej zaproponowała guwernerkę we dworze. Zaopiekowano się nią jakby najstarszą córką, bo dziewczyna była potulna, a posłuszeństwem swym dogadzała Oli. Pani Strumieńska mniemała, że ją wy kieruje na ludzi, lecz Paulina miała już różne swoje zachcianki, przesady i poglądy, i mimo pozy posłuszeństwa po kryjomu parla ku swemu losowi, zwłaszcza w zakresie miłości. Strumieński dotychczas nie patrzył jeszcze na nią w ten sposób, by „z nią popełniał grzech w sercu swoim”, chociaż nieraz, gdy wychodziła z dziećmi na spacer, towarzyszył jej czeredzie, rozmawiał z Pauliną jakby także z dzieckiem, lubował się dość niewinnie w jej świeżej postaci, pouczał — a ona go bardzo pilnie słuchała. Ale dopiero dzisiaj, gdy wśród rozgwaru zrobionego przez gości widział ją czasami z daleka przekradającą się wraz z dziećmi, uśmiechniętą, zachował się wobec niej parę razy kokietyryjnie i uświadomił sobie miłosny zamiar, który, jak zaznaczyłem, kielkował już w jego umyśle i był magne sem, około którego stosownie ugrupowały się dawne jego myśli, tworząc nową kombinację. Na razie rozwinęło się w nim tylko poczucie możliwości rozpoczęcia stosunku z ową Pauliną, podsycone podnieceniem z powodu nieprzyjścia do skutku schadzki, a w następstwie, jako pierwsze stadium wiodące do tego celu, pewna sympatia ku Paulinie. Mniemał jednak (resztki sumienia — odczepne dla sumienia), że tę sympatię zaraz łatwo stłumił.

Od Berestajki przybył znowu posłaniec z oznajmieniem, że ona czeka i czekać będzie do późnej nocy, po czym przenocuje w tej a tej karczmie, nazajutrz zaś opuści te strony. Wówczas Strumieński zdobył się na pewien koncept utrzymany w drastycznym stylu tych stosunków, jakie go z Berestajką złączyły. Odpisał, że dziś absolutnie przyjechać nie

może, a potem chciał dla niej dodać jakiś drogocenny podarunek, o którym jednak nie w liście nie napomknął. Wszystko jednak, co miał pod ręką, to były albo pierścionki, albo biżuterie żony, albo jakieś pamiątkowe przedmioty, a szukać innych nie miał czasu. Sięgnął więc do swego biurka: znalazł banknot setkowy i kilkadziesiąt złotych drobnymi, że jednak drobnych dodawać nie wypadało i posłaniec mógł je poznać i ukraść, załączył do listu tylko ową setkę i pchnął posłańca w drogę. Nazajutrz dopiero namyślał się, czy to nie było za dużo lub za mało.

Więc tylko na sto reńskich otaksował pan Strumieński przysługę wyświadczoną mu przez Rosjankę! Ona zaś przyjęła tę kwotę, a w liście, który Strumieński od niej w parę dni potem otrzymał, znajdowało się wyjaśnienie, że wzięła pieniądze jako honorarium za daną mu lekcję — napisała te słowa w innym znaczeniu, nie tym, które obchodziło Strumieńskiego — w zamian za to na pamiątkę zostawia mu podwiązkę, którą znajdzie tam a tam. Trochę niejasną aluzją o osłe obładowanym złotem kończył się ów serdeczny list miłosny.

Wracam do chwili, w której Strumieński odsunął pokusę, odgradzając się od Rosjan-ki ubliżającym banknotem. Gdy jednak posłaniec odjechał, a noc się zbliżała, goście byli już prawie „przyjęci”, wolny czas nadchodził, ogarnął go niepokój, gorączka, niecierpliwość. Siedział przy szachach z architektem i partię za partię przegrywał — cierpliwa gra podniecała jego niecierpliwość. Ale architekt poszedł wkrótce spać, bo chciał rano wstać na polowanie na dzikie kaczki, i Strumieński był wolny. Teraz uczynił coś, o czym z góry mógł wiedzieć, że skutku nie odniesie (przygotowanie sobie pozoru): zaprosił kartką Olę na schadzki do muzeum. Ale Ola odpowiedziała również na kartce, że nie ma czasu, bo ma dużo do pomówienia z żoną architekta, przy czym porywczo dodała, że jeżeli mu idzie o wynagrodzenie za wierność, to niech sobie lepiej pojedzie na schadzki. Bo i na nią ta wizyta działała, odświeżała ją nowinami ze świata, wróciła jej odwagę w stosunku do męża i zmniejszyła szacunek dla jego pretensji w ogóle.

Więc Strumieński wybrał się tak, jakby na schadzki z Rosjanką, ale nie szedł w tę stronę, tylko spacerem krążył w pobliżu cmentarza i muzeum, jakby przecież grawitował do tej najlepszej, niezawodnej kochanki. Za cenę niewidzenia się z Berestajką kupował teraz odwagę do ostatecznego rozprawienia się z Angeliką, ale nowa sympatia do Pauliny nadawała temu finałowi ton łagodny i zgodliwy, a pogodne, czyste niebo, zasiane gwiazdami, niby to harmonizowało z jego uczuciami i myślami, nadając im szerokie tło kosmiczne. Zrazu zajmował się patrzeniem na okna dworu, w których powoli gasły światła, potem marzenia jego zaczęły krążyć koło Pauliny, a równocześnie i koło Angeliki. Miło mu było wyobrażać sobie daleką, transcendentalną opiekę zmarłej nad wszystkim, co teraz poczynał. Nie czuł już ani wyrzutów sumienia, ani buntu; jakoś to się nagle oddaliło od niego, jakby było ostrożne i chciało go udobruchać podstępem. Wspomnienia wynurzające się z cieniów nocy wlewały się w niego miękkie, dobre, sympatyzujące. Tak powoli dokonywała się w nim mała kontrabanda na rzecz Angeliki. Nawet gdy myślał o Paulinie, to nie wprost fizycznie, ale osłaniał ją w wyobraźni gazą romantyczną, kochał się w niej lekko, a raczej przygotowywał w swoim sercu pewną szczerą miarę rozkochania się, potrzebną do przekonania i zdobycia dziewczyny. Myśli jego stały się swawolnymi, lotnymi — aby je lepiej było można przemycać. Odzywały się w nim wspomnienia pierwszych eksperymentów z Olą, dźwięczała słabo jeszcze raz nuta *Powinowactw z wyboru...* a ze swych pierwszych uczuć do Pauliny zwierzał się niejako tej Angelice, której niebieska szata, wybita gwiazdami, wisiała na niebie. Tak jego opór przeciwko Angelice wchodził po kryjomu w sojusz z odrastającą ku niej miłością, sojusz nielogiczny może, ale psychologicznie możliwy, albowiem oba te konglomeraty były zarówno potrzebne dla dobrobytu duszy Strumieńskiego: wolność absolutna i możliwość przykombinowania wszystkiego do Angeliki.

Spostrzegłszy, że zbacza znów na dawne tory, wpadł w mały gniew i rozpacz, poznając taką niewolniczość swych myśli, które jak nierozumne psy wracały wciąż do swej pani. Powrócił do swego motta: „Jak można sobie tyle robić z głupiego spółkowania!”. Ono nie jest święte, są rzeczy ważniejsze, grzechem jest tak pojmować grzech! I pod wpływem tego motta niebo przestało być dłoń spódnicą Geli, lecz patrząc w gwiazdy, wmawiał w siebie, że czuje ruch natury, że się do niej upodabnia. Być jak zwierzęta i rośliny, które są moralne, nie przywiązując wagi do swych funkcji fizjologicznych, oddając swe soki żywotne

Zdrada

według przypadku, bez prośby i bez przymusu, bez apoteoz miłości i świętwa namiętności. Posiadać i być posiadany przez byle kogo, tak jak chce odwieczne prawo<sup>222</sup>. Ludzie to, ludzie wypaczyli naturę, ujęli miłość w karby i formy, i prawa, wypaczyli ją, ale natura na każdym kroku z nich się śmieje pod powierzchnią praw, form i konwenansów, która ma tylko złudzić ludzi co do ich siły, broi dalej swoje. Więc być z nią w zgodzie, w nieugiętej zgodzie, czuć, jak to wszystko, co się w niej przelewa, przelewa się i przeze mnie, i nie stawiać tam. Natura cała jest przesycona miłością, oddycha nią i żyje z niej; miłość to żywioł nieokiełznany, który wszystko tworzy, wywraca, gubi, niszczy, przetwarza sam nieobliczalny. (Por. s. 90, 188 w. 2, s. 257 w. 22<sup>223</sup>).

Widział sieć miliona kanalików, jednoczył się z kosmosem, dźwięczała mu w duszy muzyka panteistyczna, wysnuta z kulek, które w nim już dawno płynęły. A więc, jak widzimy, znowu „pojmwował” „miłość”, bawił się jej określaniami; tylko tym razem wpadał w ekstrem<sup>224</sup> i pojmwował ją brutalnie, mniej więcej tak, jak się o niej mówi w dziełach przyrodniczych, z pewnym poletem napisanych.

Zresztą niewiele już sobie robił z potrzeby jasnego rozejrzenia się w teraźniejszej sytuacji, z potrzeby filozoficznego uzasadnienia swoich przeszłych i przyszłych postępów, wolał pograć się w to, do czego go natura niosła, a więc poddawał się myślom lekko zmysłowym: o Paulinie, Oli, Berestajce, Angelice, o tych kobietach, które pozdradzał jedną w sekrecie przed drugą. Fałszywe poczucie, że zachował w stosunkach z nimi (wciągał już i Paulinę) swoją krytyczną odrębność, swój egoizm, dodawało mu teraz pewnej otuchy. Z drugiej strony przecież czasem budziły się w nim wątpliwości, czy nie wchodzi teraz w istocie na drogę moralnie niebezpieczną; kwestia wiarołomstwa, chociaż odsuwana, groziła tym, że stanie się aktualną, Angelika ustępowała w głąb jako zabawka, a Ola występowała na pierwszy plan, jako uprawniona przez Boga i ludzi groźna kapłanka ogniska domowego, ona też brała w opiekę Angelikę i — tu był punkt wstydlivy — z szyderstwem patrzyła na jego przeszłość, na jego życie podziemne, w którego mechanizm wejrzała. Ale wynikłe stąd uczucia wstydu i obawy przed nią, tudzież uczucie niechęci za porzucenie go dzisiaj Strumieński zużytkował na to, ażeby je przeciwstawić swym skrupułom, przykrywając wszakże tę walkę szacunkiem, którym płacił Oli za przewilej zdradzania jej.

Te i tym podobne przykre pałubiczne myśli neutralizował w sobie nastrojem swego życia podziemnego (nastrojem, nie szczegółami!), które chciał teraz odrzucić, ale którego siła przelewała się już w inne konstrukcje (o czym nie wiedział). Żal, rozbudzony wyobrażeniem rozstawania się, przywodził mu w ostatniej chwili na myśl te wszystkie dobrodziejstwa, których tu zaczerpnął. Przeglądał ich album w nieskończoność, rozmawiał ze swym kultem na równi, przechadzał się z nim jak z kimś, co ma na zawsze odjechać. Wprawdzie w kąciku duszy jak *enfant terrible*<sup>225</sup> odzywała się myśl: dlaczego właściwie ma odjechać? Po co? Czy nie lepiej powiedzieć sobie, że nic się nie zaczęło, nic nie było i nic się nie potrzebuje kończyć? Po co z tego robić ceremonię? Ale on strzegł się tej myśli i utraćał jej głowę, był grzecznym, ale stanowczym. Podobnie subtelnie i zgodliwie rozmawiają może ze sobą małżonkowie mający iść do rozwodu, gdy całują się po raz ostatni i gdy jedno z nich w ten ostatni pocałunek i ostatnią rozmowę usiłuje instynktownie włożyć niemą prośbę: „zostań!” pomimo niezłomnej już umowy co do rozstania. Ale Strumieński chciał mieć raz swoją wolę wobec tyranizujących go idei, one więc ustąpiły, jak żona, która zgadza się na rozwód, pewna, że wróci potem jako upragniona kochanka, nielegalna, ale tym silniejsza. Mimo woli jednak (podobnie jak przy końcu rozdz. VI) pozostawił i teraz w duszy małe zastrzeżenie, odłamując swej decyzji ostrze, ale tuż przy

<sup>222</sup>Posiadać i być posiadany przez byle kogo, tak jak chce odwieczne prawo (...) — [Komentarz autora z Uwag.] Gdyby szło o zbijanie tego nowego „pojmwowania”, można by Strumieńskiemu powiedzieć, że przecież i wierność jest w myśl natury, że są zwierzęta monogamiczne itd. [przypis autorski]

<sup>223</sup>Por. s. 90, 188 w. 2, s. 257 w. 22 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajdują się fragmenty: „Traktował miłość jak rzecz religijną (...)” (rozdział XI), „wszystko jedno, z kim zadawała niższe kategorie swych uczuć” (rozdział IX), „Innym jednak razem mówił sobie, że jak wśród roślin, tak wśród ludzi nie ma miłości, są tylko prawa natury” (rozdział XIII). [przypis edytorski]

<sup>224</sup>ekstrem — dziś: ekstremum; tj. skrajność. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*enfant terrible* (fr.) — okropne dziecko; osoba nietaktowna, niedyskretna, łamiąca wszelkie reguły życia towarzyskiego. [przypis edytorski]

samym końcu; mniemał, że tym zastrzeżeniem ludzi ją z litości, pozostaje twardym. Atoli któż oceni, czy tym sposobem, zamykając główne wejście, nie otwierał równocześnie po cichu maleńkiej furtki do opustoszałego raju swych myśli, aż one może kiedyś odrosną i odkwitną. (Typowa sytuacja charakteru; por. s. 109 w. 19, s. 165<sup>226</sup>).

Stał przed rozjaśnionym obrazem Angeliki i wpatrywał się w nią bacznie, jak żeby badał teraz wyszedź to, co tu było niedomówionego. Z uśmiechem sceptycznym naśladował nieco swoje dawne zachowanie się tutaj. W duszy pozwalał powstawać wszystkim najczulszym formułkom pożegnalnym i poddawał się ich sile uczuciowej. Ugiął kolana i unosił się złudzeniami. Robił sobie tak, aby mu się zdawało, że postaci tej bliższą żywiej oczy, że jedno ramię walczy z twardym oporem jakiejś toni i wyłamuje się, że cała postać chce się ucieleścić, rozchylić płótno, jak całun grobowy, i spłynąć ku niemu. Przymrużył oczy i wskutek drgania powiek widział to złudzenie jeszcze wyraźniej, potem oczy zamknął, lecz miał jeszcze jej jaskrawe odbicie pod powiekami. Odbicie to zacierało się, jakby zapadało w chmury, pod stopy czerwonych wirujących tapet — wśród tych złudzeń zamknął na ślepo swój przyrząd do smucenia się, a gdy otworzył oczy, głowa Angeliki znikła już na zawsze w ciemnościach.

\*

Ta linia to tylko dla Strumieńskiego, to oznaka jego „fazy”, granica nowego etapu, ale nie dla nas. My wiemy, że on we wszystkim, wbrew usiłowaniom, zachował swój charakter i może tylko przesunął nieznacznie to, co dla tego charakteru było typowym. Nie ma tzw. (w dramacie) przełomów psychicznych, walk, nawróceń, są tylko kotłowania zewnętrzne, których program nawet jest prawie z góry przygotowany — chyba że człowiek, zamiast zwracać uwagę na treść swoich myśli i uczuć, zajmie się badaniem sposobów, w jaki one powstały, i stanie się jasnowidzącym w odbudowywaniu ich genezy.

W nowej rubryce, którą utworzył u siebie Strumieński, zapisała się najpierw Paulina. Wiosenne wody jej młodości rychło przypędziły ją na brzeg Strumieńskiego. W dzień, w którym się to pierwszy raz stało, wydał rozkaz zburzenia muzeum pod pozorem, że budynek grozi sam zawaleniem. Tak przynajmniej raz zewnętrzny symbol miał się zgodzić z treścią wewnętrzną. Atoli Ola wstrzymała termin, prosząc, by budynek nie burzyć, lecz odrestaurować go tylko, by tam przecież stanęła tak jak dawniej kaplica. Ola nie popadała wprawdzie bardziej w bigoterię, ale chciała mieć kaplicę dla szyku. Strumieński wszakże wytłumaczył jej, że nie wypada mieć ustronie Boże na miejscu, na którym odbywały się tak świeckie rzeczy, że na kaplicę znajdzie się miejsce w pałacu, a Ola go usłuchała, bo szło jej głównie o zaznaczenie swego popędu do pobożności wbrew mężowi. Zburzono tedy muzeum, usunięto rumowiska i zasadzono drzewami to miejsce, obrazy zaś zabrał Strumieński do dworu, zamierzając je rozwiesić w pałacu, aby tam wystawić je wreszcie na widok publiczny; ale i z tym się nie kwapił, bo termin wprowadzenia się do pałacu był jeszcze daleki.

Tu mógłbym na rachunek Strumieńskiego zrobić małą elukubrację poetyczną, żegnającą muzeum, np. w formie litanii z odpowiednim „leitmotivem”<sup>227</sup> czy też rozpędnikiem. Szkoda nawet, że od samego początku nie wprowadził jakiegoś osobnego poetycznego „leitmotiwu” dla muzeum i w ogóle dla Angeliki; mógłbym być w toku powieści modulowaniem tego motywu robić znakomite efekty: raz rozbrzmiewałby on melancholijnie, to znowu tryumfująco, a np. teraz pogrzebowo. Uzupełnię to jednak w szkolnym wydaniu *Paluby*, ażeby profesorowie gimnazjalni mieli klasyczny przykład dla pokazywania tajemnic techniki poetyckiej; tutaj napiszę tylko psychologiczny nekrolog muzeum. Jaką rolę miało ono w podziemnym życiu Strumieńskiego. Czy tylko symbolu? Nie. Po pierwsze ciągła świadomość istnienia tego ustronia musiała oddziaływać na umysł jego

<sup>226</sup>Typowa sytuacja charakteru; por. s. 109 w. 19, s. 165 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajdują się fragmenty zaczynające się od słów: „Na uspokojenie zaś osieroconych duchów, w przelocie myśli stworzył sobie wykrętek, że właśnie gdy wróci, podda się z tym większą ochotą dotychczasowej robocie” (rozdział VI) i „aby Angelika miała mauzoleum tylko w jego duszy, w jej najdalszych i najskrytszych grotach. (...) Miał swoje *sanctissimum* (...)” (rozdział VII). [przypis edytorski]

<sup>227</sup>*leitmotiv* (niem.) — motyw wiodący, przewodni. [przypis edytorski]

jak sztyldwach pilnujący więźnia. Myśli, jeżeli są natrętne, można łatwo usunąć z horyzontu widzenia, ale muzeum nie było ani przeźroczyste, ani przesuwalne, nie można go było burzyć i ustawiać na powrót. Przez tyle lat wiedzieć, że tam coś stoi ciągle i cierpliwie — to coś znaczy, to mogło wywołać u Strumieńskiego, że tak powiem, jakiś zez umysłowy, jakąś sugestią drżącego pamiętania o czymś tam jeszcze, mieszającą się nawet do najpospolitszych myśli, taką sugestią, jaką by miał np. człowiek, zresztą o zdrowych zmysłach, któremu by się ciągle zdawało, że mu się jakiś piesek koło nóg płacze. Po drugie. Spójrzmy na mapkę: jak to muzeum, oderwawszy się niejako od dworu, ukryło się w ogrodzie wśród gąszczów i drzew i wychyliwszy się ponad płot, patrzy na cmentarz. Ten rozkład miejscowości mógł się odbić i na duszy Strumieńskiego i wyźłobić w niej odpowiednie (nie takie same!) ślady, tak że kompleks duchowy dotyczący Angeliki mógł około owych bardziej konkretnych śladów (bo śladów rzeczy naocznych) grupować się tak, jak się grupują opilki żelaza około magnesu, a nawet nasycać się ich konkretnością. (Myśli w jakiś sposób naśladują wyobrażenia miejscowości, czy też łączą się z nimi, por. s. 72/73 i 108<sup>228</sup>). Wszystkie te porównania biorę nie w przenośnym, banalnym znaczeniu, lecz, jak następny rozdział pokaże, prawie dosłownie. Z tego wyvodu widzimy, jak ważną była rola muzeum, bez którego by może Strumieński o wiele prędzej uwolnił się od Angeliki. Uwzględnijmy wreszcie, że rzecz dzieje się na wsi, gdzie urozmaiconych i wyższych wrażeń jest tak mało, iż jeden stan psychiczny trwać może długo, tak jak bagno bez przepływu świeżej wody, czym zaś dłużej trwa, tym bardziej oddziela się i wyodrębnia od innych spraw — a wówczas może lepiej zrozumiemy dziwne życie Strumieńskiego. Wracam do tekstu wypadków.

Stosunek z Pauliną nie ze wszystkim wypadł według planu Strumieńskiego. Przede wszystkim poprzestał on tylko na Paulinie nieco za długi czas, a przecież obiecał był sobie: jakoś zastąpić ilością i z kawalków składać sobie ideał. Po drugie mimo woli wciągnął i Paulinę w obręb swego dawnego życia, bodaj pośrednio. Działo się to tak: Paulina w dziecinnej skrusze z powodu swego grzechu żałowała nie siebie, lecz Ołę, swą dobrodziejkę, że jej taką krzywdę robi, nazywała siebie złodziejką, rozpustnicą, metresą. Zamiast spodziewanego spokojnego użycia, miał Strumieński nowe koło dramatyczne. On sam wprawdzie wychodził z zasady, że Oli wystarczy stanowisko jego żony i że ona sama nie chce wiele więcej ponadto; szanował ją, mówił, że małżeństwo jest kontraktem społecznym, w którym miłość i w ogóle kwestia erotyczna przejściową odgrywają rolę — ale tego wszystkiego nie mógł nauczyć Pauliny, która uparcie obstawała przy swojej komedii. Jej tajemnym staraniem było utrzymać stanowisko sympatyczne w tym sympatycznym domu. Ola wnet dowiedziała się o miłostce męża i poznała wtedy, że to, co go miało „uleczyć” i na nowo do niej przywiązać, właśnie go od niej oderwało. Nastąpiły wzajemne wyrzuty, gniewy, groźby, ale wreszcie i ten trójkąt dobrze się ułożył, a pogarda Oli dla męża zmieniła się powoli w tolerancję pogardliwą, a potem w tolerancję istotną, chociaż zawsze z furtką otwartą do pogardy. Tak było jej w sam raz wygodnie, a nawet przyjemnie, bo zresztą uznawała ona, że Strumieński wzorem innych mężów musi mieć pewien dodatek do żony. Jego duchowe plus miało w miłostce wpływ, z czym i Oli było lepiej, bo ta pewna uroczysta rezerwa, którą Strumieński przedtem zachowywał wobec niej po nieudanych próbach w głąb, teraz znikła, stosunek był jasny, ludzki, wesoły. Co więcej: zakłopotany Strumieński zdrajca był jej czasem bardziej lubym niż dawny, czuła dla jego wybryków pewną macierzyńską czy siostrzaną sympatię, maskując jednak chrześcijańską wyrozumiałością te uczucia, które w nagiej formie musiałyby się jej wydać nienaturalnymi. Strumieński zaś był teraz dla niej „anielsko-dobrym”, dogadzał jej we wszystkim, jakby po cichu prosił: „Patrz na to przez palce!” — więc i ona chciała

Zdrada, Miłość,  
Małżeństwo, Gra

Małżeństwo, Miłość

<sup>228</sup> Myśli w jakiś sposób naśladują wyobrażenia miejscowości (...) por. s. 72/73 i 108 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajdują się fragmenty: rozdz. IV „Są jednak już w Wilczy. Tu stosownie do przewidywań Angeliki i Strumieńskiego miłość ich nabrała nowej siły, uzyskała odrębny koloryt. Zdawało się im, że są w jakiejś świątyni wśród lasu pełnego dzikich ludzi i zwierząt (...)”; rozdz. VI „(...) nie omieszkął Strumieński powodzią odpowiednio się wzruszyć; np. w czasie jej srożenia się »było mu tak, jakby« »ten smutek« wystąpił z brzegów i wylał się z jego własnego serca, a raczej z »duszy«, a duch »jej« unosił się ponad wodami, zaś po uspokojeniu się nawałnicy »było mu tak, jak gdyby« ta woda pokrywała »jakieś krajobrazy jego duszy«. Istotnie zresztą w owych analogiach, w ostatniej zwłaszcza, a prócz tego ogólnie w widoku rozległości toni, były momenty, które objęły zastępstwo podupadłych już uczuć”. [przypis edytorski]

być dobrą, pokazać mu, że jest dla niego taką, jaką by inna żona nie była. Paulina niby na pozór krzyżowała jej tę komedię tolerancji swoją własną komedią. Raz padła jej do stóp z płaczem, a Ola głaskała ją jako zbłąkane dziecko. Paulina chciała wyjeżdżać, zmienić posadę, ale Ola sama ją zatrzymała. Tak każde z trojga robiło swoje, ale zespół był dobry, bo każde miało w nim swój osobny psychiczny interes. Strumieński, patrząc z daleka na tę idyllę wśród tak zwanej zbrodni, idyllę, którą sam urządził — rozluźnił się w niej, nieumówione dwużeństwo wydało mu się nową subtelną formą miłości — ale miłości w dawnym znaczeniu jako idei, którą urzeczywistnić należy. Wbrew tedy jego zamiarom, by nowym stosunkiem porzucić sferę miłości, zgłębić ją, uczynić ją swoją niewolnicą, pokrajać na miłostki, pokochał ten nowy epizod: Ola — Paulina, mający w sobie taki tajemniczy, niebezpieczny urok, jakby nad trojgiem nimi Angelika niewidzialnie trzymała swe dłonie opiekuńcze i błogosławiące. Robił wysiłki, żeby przerwać to koło zaczarowane, ale wysiłki te nie były na serio.

Z usunięciem muzeum dokonał Strumieński jakby amputacji, która mu raz tak, raz owak się podobała. Myślał np. sobie, że ta emancypacja spod „miłości” (jego cudzysłów!), którą rzekomo przeżył, jest oznaką wieku dojrzałego. Nowe stadium nosiło cechę wszechsceptycyzmu ze skrytką sybarytyzmu. Czy długo został takim? Nie, bo wnet musiały grać rolę inne bieguny jego umysłowości i inaczej ugrupować jego przekonania. Walka przekonań w jego duszy, pozostawionej zupełnie samej sobie, była dość jałowa — o ile nie padały w nią promienie ze świata pałubicznego; małe walki tego rodzaju są potrzebne tylko dla higieny psychicznej, są to zamiany komórek, które się rugują i zastępują, ale zamiany nie tak bardzo zasadnicze.

Nowy system Strumieńskiego doznał później, jak zobaczymy w XX rozdziale, wielkiego ciosu z całkiem nowej strony; przygrywką jednak do tego kataklizmu na rzecz moralności była rozmowa, którą Strumieński miał raz w pociągu z pewnym wytwornym publicystą. Ten to człowiek chcący grać rolę nowożytnego Europejczyka wtajemniczał go w wyższe zagraniczne „sardanapalstwo”. „Zepsucie” było w jego oczach wykładnikiem arystokracji, rzeczą stworzoną dla wyższych ludzi, ostatnim ukrytym kwiatem postępu. „My wszyscy — mówił ten pan — bogacze materialni czy umysłowi stanowimy cech wspólny, rozumiemy się. Na zewnątrz przed innymi mamy dość taktu, wytrawności i rozsądku, aby to pokryć, nikogo i nic nie naruszając, tolerując „wszystko, co święte”. Strumieński przypatrzył się tu swej nowej emancypacji erotycznej jak w lustrze karykaturującym, zdawało mu się prawie, że jego dobry anioł wciela się w owego towarzysza podróży, aby pokazać mu ekstrem<sup>229</sup> i ostrzec go. Był w nim pewien wyuczony rdzeń moralności (i estetyki), zresztą nie wabiło go takie „wyższe zepsucie”. U niego rozszerzenie zakresu grzechów musiało zawsze iść w parze z jakimś aparatem fantastycznym czy pseudofilozoficznym, do wymyślenia zaś takiego aparatu musiałaby go wprzód popchnąć z zewnątrz jakaś bardzo żywa pokusa (tak jak tym razem Berestajka, Paulina) żądająca rozłamania starych, a zbudowania nowych ram, a ta pokusa fizjologicznie nie nadchodziła. Tak to rozwiązałość zawsze się u niego wiązała.

Na tle takiego życia umysłowego dawny postulat Angeliki rozbudzał w nim czasem przecież pewne politowanie, np. gdy dla wynagrodzenia jej nazywał ją genialną i przyznawał jej obrazom prawo obywatelstwa w sztuce. Pewna część w nim brała to uznanie i tę cześć na serio, druga nie. Aby jedną lub drugą zadowolić, zaprosił do siebie Gasztolda, zamierzając mu pokazać obrazy i zapytać o zdanie. Gasztold stał się bowiem tymczasem powagą w rzeczach sztuki. Zarazem zepsucie Strumieńskiego podsuwało mu inny cel uboczny: chciał zaszachować Gasztoldem Olę — a jego niezepsucie pokazywało sobie w perspektywie jakąś katastrofę, która może oczyści stęchłą atmosferę i rzuci go znowu przemocą w świat czystszy (który sam niedawno właśnie mianował grzesznym).

Gasztold, przybywszy, stwierdził najpierw, o ile przeholował w swej powieści co do Strumieńskiego (Strumieński sam był mu w tym naumyślnie pomocnym), i przekonał się, że środki orientacyjne, na których oparł kreślenie charakteru Strumieńskiego, były dość fałszywe. Widział kłopoty majątkowe, w które się Strumieński uwikłał wskutek budowy pałacu, pertraktacje co do wykupna jednego folwarku przez młodszych Mariuszów, plany co do sprzedaży pałacu — i przestał nań patrzeć z zazdrosną pogardą artysty

Sztuka

<sup>229</sup>ekstrem — dziś: ekstremum; skrajność. [przypis edytorski]



wobec groszoroza. Strumieński za pomocą aluzji pozwolił Gasztoldowi wpaść także na trop historii z Angeliką, lecz dał mu z niej pojąć tylko pierwszą warstwę, tak że Gasztold uwierzył w idealną wierność Strumieńskiego i postanowił nawet osnuć na jej tle nową powieść. Spostrzegł on wprawdzie stosunek Strumieńskiego z Pauliną, ale to mu nie psuło szyków, bo raz „pojawszy” Strumieńskiego w ten sposób, nie zapytywał, jak on w swoim umyśle godził jedno z drugim, i mniemał, że Strumieński ową wierność pojmował całkiem po prostu, jako myślenie o zmarłej od czasu do czasu. Wyciągał Strumieńskiego na wyznania, aby mieć materiał do swej powieści, lecz Strumieński mistyfikował go, pozował, z czego Gasztold wysnuwał wniosek: jaki on skryty, jak czci to swoje — chociaż Strumieński postępował tak głównie dlatego, że mówienie prawdy sprawiłoby mu kłopot, i wcale nie miał zamiaru robić Gasztolda naprawdę swoim powiernikiem, robił sobie zeń tylko niejako nowe medium, któremu półgębkiem imponował. Gasztold poznawał się na tym, ale uważał, że na dnie milczącej, uroczystej przesady Strumieńskiego musi być dużo prawdy (bo sam Gasztold dla zupełności chciał, żeby tak było; pierwiastek konstrukcyjny). Tylko gdy Strumieński pokazał mu pewną część obrazów Angeliki, Gasztold zmienił nieco front. Powstało w nim coś jakby zazdrość. Wykazywał techniczne naiwności, mówił, że to literatura nie malarstwo, że to malarstwo domowe, familijne, do prywatnego użytku, ale w istocie rzeczy odczuwał brak stosownego miernika. Wobec Strumieńskiego czasem na odczepne nieco chwalił, ale Oli mówił „szczerze”, że to nic niewarte. Ponieważ jednak należał do tych, którzy dali się opanować słowu „genialność”<sup>230</sup> i szukają dlań poznań, zdawało mu się często, że tu właśnie spostrzeża pewne oryginalne, szczególne znamiona takiej „genialności”. I chociaż z drugiej strony nie zgadzało mu się to znowu z teorią, że kobieta nie może być genialną, przecież w duchu zachwiewał się, czy się może nie kompromituje wobec tych dzieł, czy może nie lepiej stanąć na stanowisku liberalnym, współluznącym, i zaczął też w tym kierunku lawirować. Co się tyczy Oli, to zaszachowanie jej nie udało się Strumieńskiemu, bo Gasztold nie chciał już tym razem robić jej przyjemności daremnym wzdychaniem, ona zaś, widząc to, traktowała go lekceważąco, z pewną grzeczną złością. Żal jej nieco było, że się już do niej pożądliwie nie wzdycha (jej zmysłowość polegała na chęci widzenia cudzej zmysłowości), ale przeboleła to i tym cnotliwiej wychowywała swe córki. Strzegąc niemoralności w swoim domu, zakrywając ją niejako swoją firmą, tym bardziej umacniała się w swej czcigodności, w spokojnej, wyrozumiałej dumie (dusza wytwarza sama z siebie równoważnik swych krzywd, bo tego żąda jej higiena, podobnie jak ciało samo zabliznia ranę). Wreszcie wspomnieć trzeba o szczególnego rodzaju antagonizmie między Gasztoldem a Pawełkiem. Gasztold był czegoś zły czy zazdrosny, że Pawełka uważają — tj. uważa Strumieński — za małego geniuszka, i mszcząc się za swe poczucie pewnej rywalizacji z tym chłopcem (por. *Wstęp*) podrwiwał sobie z niego, wykrywał jego dziecinne przyjemności i tajemnice, a w odwet za to Pawełek go nienawidził. Gasztold dość często przyjeżdżał na zaproszenie Strumieńskiego, było prawie tak, jakby dobrze żyli ze sobą; zresztą Strumieńscy byli mu wdzięczni za to, że udawał, że mu się ich pałac podoba.

Tak by się nic nowego nie stało, gdyby nie całkiem niespodziewany, groteskowy niemal obrót, jaki wzięła zapomniana już historia Angeliki odnośnie do Pawełka. Nim jednak do tego przystąpię, chcę się jeszcze raz ostatni obejrzeć na swej drodze, rzucić okiem na szczyty Strumieńskiego i wychodząc z roli referenta, dośpiewać pieśń niedośpiewaną.

Sztuka, Zazdrość, Kobieta,  
Męczyzna, Mizoginia

<sup>230</sup>tych, którzy dali się opanować słowu „genialność” — [Komentarz autora z *Uwag.*] Do odróżniania „geniuszu”, „talentu” i do tym podobnych formułek na rangi umysłowe nie przywiązuję wielkiej wagi; uważam je za ciasne. Są jednak ludzie, którzy z zamilowaniem bawią się tymi słowami i gwarząc o sztukach pięknych i poezji, rozdają owe słowa jako tytuły różnym żyjącym i zmarłym znakomitościom, kłócąc się nieraz między sobą, czy jakiś Y miał talent czy geniusz, czy też może był genialnym talentem? Jeszcze dawno temu lubiłem czytać wywody naukowe o tym, jakie cechy znamionują geniusza, a jakie talent, i próbując tych cech tak, jak się próbuje różnych kapeluszy w sklepie, zazwyczaj orzekałem, że jestem geniuszem. Moi koledzy poeci, a jest ich pięćuset, robili to samo z takim samym skutkiem, nieprawdaż? [przypis autorski]

## XIX. TRIO AUTORA

Bo cóż sądzisz ty sam, szanowny autorze? Czy chcesz się kryć pod swoje dzieło<sup>231</sup> jak inni poeci, udawać wszechmądręgo, wmawiać w nas, że opowiadasz rzeczywiste wypadki, imponować nam swoimi subtelnościami psychologicznymi, które sam nieraz cofasz i takim niepewnym, szukającym tonem wypowiadasz? Nie, tego się po tobie nie spodziewam, szanowny autorze, w twym opowiadaniu były takie akcenty, które mi się każą spodziewać, że wprowadzisz mnie za kulisy kulisy swej sztuki. Wprowadzasz? Ale czy naprawdę? Więc powiedz mi najprzód — jak ci się podoba Strumieński? Czy jesteś jednym z tych autorów, którzy wyszydają, wydrwiwiają swe postacie, aby przez to narzucić czytelnikowi opinię, że oni sami więcej wiedzą, że są mądrzejsi? Czy nie przerzucasz właśnie swego własnego chaosu na Strumieńskiego? A co myślisz o jego eksperymentach w celu pogłębienia miłości? Czy się z nich wyśmiewasz, czy...

Mamże wyraźnie powiedzieć, że jestem po stronie Strumieńskiego? Gdyby taki człowiek żył i gdybym mógł podglądać jego życie wewnętrzne, byłby dla mnie zjawiskiem imponującym, wyjątkowym ze swymi przerażającymi próbami, rad bym się z nim spotkał i pomógł. Powiedziałbym mu może: Panie Strumieński, ty, który chciałeś urzeczywistnić frazes, w jakież to wpadłeś chaos! Dlaczego ci nie przyszło na myśl, że nie ty skompromitowałeś ideę, ale że idea skompromitowała się przed tobą! Nic innego nie można było tu stworzyć nad to, co ludzie robili, a ty żyłeś wciąż pod pręgierzem fałszywej myśli, że dobrowolnie nie zrobiłeś tego, co ci się wydawało najwyższym, i tak stałeś się niekrwawym męczennikiem idei. Co zrobiłoby stu innych ludzi na twoim miejscu? Nie troszczyliby się o wygasanie uczuć w swych sercach; szablonu żalu, pozostawione po jakichś dawnych czujących, wystarczają im na minimalne ich bóle i tęsknoty. Płyną z falą — tyś chciał płynąć przeciw fali i wcielić przeszłość do terażniejszości, próbowałeś jej we własnych myślach wystawić trwałą pomnik, dać jej dalsze życie w sobie i w innych — lecz w jakież potem popadłeś chaos<sup>232</sup>!

Widziałem np., jak odkrywszy w sobie pewną warstwę komedii, zużytkowałeś to odkrycie i wycofałeś się. Mamże ci brać to za złe? Potknąłeś się tylko na własnej szczerości. Bo cóż to znaczy komedia? Pokazuje się, że jest ona niezbędną częścią działania ludzkiego; a jeżeli człowiek wybiera sobie wyższe formy życia, ma jakieś wzory lub plany przed oczyma, wówczas musi mu towarzyszyć *uczucie roli*. Zwłaszcza gdy idzie o przewzięcie punktu wstydliwego lub o natężenie pewnych uczuć, które zazwyczaj w tzw. naturalnych warunkach znajdują się w małej dozie (tu np. miłości, żalu), wtedy musi wejść w grę wyrafinowanie psychiczne, wyzyskiwanie samego siebie, ale ono nie powinno człowieka zmylić z tropu, nie powinno być nazwane komedią. Pojmie to każdy, kto np. choćby raz w życiu wygłaszał mowę pogrzebową nad mogiłą jakiegoś sławnego, ale osobiście obojętnego mu człowieka. W pewnym dramacie ojciec bolejący po śmierci syna chce zabezpieczyć rozpacz przed zmniejszaniem się jej i mówi między innymi: „Znienawidziłbym nawet pociąg do smutku, pociąg — to przecież przyjemność!”. Musi być pewne

Gra

<sup>231</sup>kryć pod swoje dzieło — [Komentarz autora z *Uwag*.] Bawię się nieraz, śledząc podczas lektury różnych dramatów, jak poeta sili się, by nie wprowadzać tzw. rezonera, lecz przedstawiać rzecz „obiektywnie” tj. tak, żeby czytelnik sam wysnuł sobie te wnioski, które by autor rad weni wzmówić. Jednak taka „obiektywność” nigdy się nie udaje i autor ucieka się do innej metody: robi ze swojej idei akrostych i rozdziela go między poszczególne osoby, wkładając każdej w usta to, co jest stosowne do jej charakteru; czytelnik czy widz ma sobie potem złożyć w całość te aluzje poety. Tak robią ci, co mają coś do powiedzenia; ci, co nic nie mają do powiedzenia, nie robią nawet i tego. Powodem tych kłopotów literackich jest przesąd, że dramat jest czymś w rodzaju kategorii kantowskich, spadłą z nieba, najwyższą formą twórczości, którą należy tylko wypełnić (zamiast, żeby poeta sam każdej chwili na nowo ją stwarzał). Przesąd ten grasuje wśród bezkrytycznych adeptów literatury razem z przesądem o sonecie, o istnieniu talentów specjalnie lirycznych, specjalnie dramatycznych, epicznych itd., bo chociaż każdy zna postulat oryginalności, ale chce być oryginalnym tak, jak o tym w książkach piszą, a za mało ma wyobraźni, żeby jej aparat skierować na własną mózgowicę. Poeci poza sobą, ale nie w sobie. [przypis autorski]

<sup>232</sup>w jakież potem popadłeś chaos (...) — [Komentarz autora z *Uwag*.] Por. [rozdział XI „(...) rzeczy jak ta ostatnia robi się dla zabawki, i więcej wartości ma dorywcze pomyślenie i wypowiedzenie takiego projektu niż wykonanie go”, rozdział XII „(...) przebywał gwałtowne napady szczerości, napisał listy, w których się silił na zupełne pozbycie się pozy, na niebiańską naiwność i niemal dziecięcość. Ten brak pozy był pozą (...)]. Co do przykładu z *Dzikiej kaczki*, to jest on przytoczony tendencyjnie, gdyż właściwie Ibsen ma zamiar wykazać przede wszystkim kruchość „idealnego postulat”, jaki stawia Grzegorz. Przykładem byłby i *Don Quichotte*, w którym autor chwilami nieświadomie i wbrew woli swojej sympatyzuje z bohaterem tak, że później powiedziano nawet, iż Cervantes chciał w *Don Quichotte* stworzyć symbol. [przypis autorski]

stadium umyślności, komedii, śmieszności nawet. Tego nie uwzględnił Jacobsen, pisząc *Nielsa Lybne*, gdyż nie docenia „poetycznych” zachcianek swego bohatera, rozczarowuje się jego komediami, w ogóle traktuje jego zachowanie się nie jako dążenie do lepszych form życia, lecz jako fantastykę. Również np. Ibsen w *Dzikiej kacze* szykanuje poniekąd Hjalmara za to, że nie zaraz zrywa z Giną, lecz zwleka i więcej grozi, pozuje, niż działa. W ogóle zanadto się ulega rozróżnianiu dwóch kontrastów: pozorowi i istocie rzeczy, a tylko Goethe miał pomysł powiedzieć: „*So lasst mich scheinen bis ich werde*”<sup>233</sup>.

Pozory

Zauważyłem już, że Strumieński był tylko o tyle szczerym, o ile mu było potrzeba, czy to do fajerwerku, czy to dla dogodzenia swemu charakterowi — i wskutek tego rozwinęło się dzieło jego życia. Pytanie powstaje, czy niepełność w szczeroci jest jego winą. Tu nawiązuję do kwestii poruszonej już w rozdziale IX. Czy w ogóle w szczeroci jest pewien punkt migotliwy, gdzie się zaczyna odpowiedzialność etyczna? Lub — żeby nie przesadzić etycznego znaczenia sprawy: czy jest chwila świadomego zatajania, postanowienie niewiedzenia, rozmyślne uleganie czemuś, co jest przyjemniejsze lub mieści w sobie nakaz — czy też ta odpowiedzialność nie istnieje wcale, istnieje zaś raczej niemożliwość tego, żeby być czystym lustrem swych myśli, gdy w te myśli coś się wkradnie, co je tyranizuje i przebarwia?

Falsz, Kondycja ludzka

Otóż Strumieński zabagnił sprawę Angeliki<sup>234</sup>, ponieważ nie zastanawiał się nad obu wyżej poruszonymi kwestiami.

Po trzecie zaś nie mógł sobie dać rady z kwestią natury i nienatury i przeraził się (naumyślnie zresztą) ewentualnego zarzutu nienaturalności, postanawiając sobie działać w myśl natury i kochać tak, jak mu się podoba. Co jednak znaczy „nienatura”? Właśnie (to „właśnie”, z którego się rodzą filozofie) że postępował wedle wskazówek natury, rozszerzał ją, stwarzał drugą naturę w naturze. Słowo „nienaturalność” jest tylko obłudnym wynalazkiem przeciętników i świętoszków, wiadomo bowiem, że nieraz w „nienaturalnościach” natura lepiej się wypowiada niż w swych pospolitych przejawach. Emancypacja miłości „z pęt ziemskich”, którą przeprowadzał Strumieński zrazu z Angeliką, a potem sam, jest już choćby z tego względu zamiarem naturalnym, że oboje byli częstkami natury, a więc ich zamiar idzie na tę samą rubrykę.

Natura, Miłość

Inna rzecz, jeśli o naturze będziemy mówić jako o możliwości. Tu powstają dwie kwestie: co czekało Strumieńskiego w dalszym ciągu jego eksperymentów? I czy w ogóle jego przedsięwzięcie miało sens jaki?

Rozważmy więc, czy Strumieński, gdyby zechciał asymilować czy też anektować wszystko, nawet zdradę, do miłości, byłby już u końca swych eksperymentów? W tym celu, dla lepszego uwydatnienia sprawy, zmienmy najprzód nieco samą sytuację i wyobraźmy sobie idealną parkę, niezmiernie wysubtelnioną psychologicznie, która stara się doprowadzić miłość do nadzwyczajnej wyżyny — a zarazem (finta planu) do absurdu przez ironię dla tego, który miłość stworzył. Postanawiają tedy np. przez próbę wzajemnej zdrady przezwyciężyć czynnik fizyczny, tak że satysfakcja ze zdrady musiałaby się wcielać do skarbcza miłości, jedno odczuwałoby rozkosz zdrady drugiego, nawet rozkosz z tej reszty niepowiedzialnej czy przeciw ukrywanej — słowem, igraszki aniołów wcielonych w ludzi, bawienie się niebezpieczeństwami. Aby dojść do takiego wymijania przeszkód lub asymilowania ich (Womela nazwałby to „zniebieszczeniem”), trzeba by ogromnej siły psychologicznej, szczeroci, mądrości i przenikliwości. Tak to można teoretycznie pomyśleć — to niby przewidywanie i przełamywanie czynników życia występujących w praktyce (pałubizmu), będzie to jednak tylko temat, plan symetryczny, w każdym razie *a priori* powzięty mimo swego „przewidywania”. W życiu nastąpiłoby rozchwianie się tematu (ideału), okazałoby się bankructwo słów „wcielać się”, „zasymilować”; które obejmowały więcej porównania niż treści. Owa idealna parka nie urzeczywistniłaby swego

<sup>233</sup> *So lasst mich scheinen bis ich werde* (niem.) — Więc pozwólcie mi świecić, dopóki jestem. [przypis edytorski]

<sup>234</sup> *Otóż Strumieński zabagnił sprawę Angeliki* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Ten temat zawdzięczam dziełu Przybyszewskiego pt. *W Malsromie*. Falk i Iza kochają się, ale Falk nie może przeboleć tego, że „pierwszym” był u niej kto inny. Wypytuje o szczegóły... ale to go nie uspokaja. Autor kreśli tę sytuację tak, jakby była sytuacją bez wyjścia, tragiczną od urodzenia. Otóż przeciw temu chciałem zaprotestować, wykazać, że ludzie stojący bardzo wysoko pod względem intelektualnym potrafiliby przeciw i taki szkopol przezwyciężyć: dojść świadomie do tego stanu wyrozumiałości czy obojętności, jaki w wielu małżeństwach siłą rzeczy sam w takich razach po pewnym czasie powstaje. Stąd się wziął ów temat, z którego pierwiej chciałem zrobić dramat pt. *Komedia tryumfalna*, lecz potem, pisząc *Pałubę*, sam siebie okradłem. [przypis autorski]

planu, a odbyłoby się to np. w ten sposób, że zdrada bądź co bądź okazałaby się faktem zbyt samoistnym i rozgąlionym, faktem, który można „zasymilować” tylko pozornie, za zbyt wysoką cenę rzeczywistego wyłomu w miłości. Bo albo jest prawdziwa zdrada i wówczas nie ma mowy o jej kompromisie z miłością, albo nie ma zdrady, ale wówczas nie ma też eksperymentu. W wypadku Strumieńskiego próba taka — jeżeliby na serio o niej myśleć — byłaby jeszcze trudniejszą, jeszcze bardziej beznadziejną, ponieważ ze śmiercią Angeliki miłość właściwie straciła swój grunt, a jeżeli Strumieński mimo to pielęgnował ją dalej, pietyzm miłosny rozszerzał i urozmaicał, to jak widzieliśmy, było to przystosowanie do jego charakteru, był to sposób, w który on dla swego wewnętrznego i zewnętrznego życia wyzyskiwał sprawę Angeliki, a zresztą wpływ nakazu i ukrytego w sumieniu robaka. Wprawdzie można by powiedzieć: to nic nie szkodzi, więc niechby korzystał z tego, że to jemu samemu przynosiło charakterową korzyść, niechby niejako podszedł naturę i wyzyskiwał własny egoizm, i w ogóle niechby wszelkie takie czynniki życiowe kierował na młyn swego celu. Ba, ale gdzież będzie wtedy moment owego „wyzyskiwania”? Jeżeli się wszystko tak składać będzie z naturalnych, zwykłych, niskich nawet pobudek, to ich suma będzie również egoizmem, pospolitością, zdradą itd., chociażby się na niej przylepiło etykiety: „miłość” lub „wierność”. Jeżeli się zaś powie: „wierność i miłość w granicach ludzkiej możliwości”, czyli „wierność i miłość mniej więcej”, to przez taki dodatek pozbawia się oba te słowa treści i wartości.

Więc czekało Strumieńskiego *fiasco*. Na każdym kroku plan miłości czy wierności rozchwiewa się, rozpada. Niszczy go obfitość życia, wytwarzając ciągle nowe niespodzianki, kwestie, bałamuctwa. Pochodzi to stąd, że plan wysnuty był ze słów „wierność” i „miłość” jak z niewzruszonych podstaw o stałym zakresie treści, bez rewizji ich jako pojęć. Zarówno Strumieński jak Angelika brali miłość dosłownie (rozd. IV, s. 69<sup>235</sup>, gdzie miłość jest kryptogramem świata), wytknęli plan *a priori*, niejasno i jakby nie na serio, upajając się tylko jego atmosferą — dali się unieść pierwiastkowi konstrukcyjnemu, a nie uwzględnili pałubicznego. Psycholog, zamiast służyć takim słowom, wolałby siły swojej użyć na skrytykowanie ich i sprowadzenie do bezimienności, a potem budowałby jakieś silniejsze „wieżyczki nonsensu”, czyli ideały bardziej przystosowane do rzeczywistości. Przystosowane — więc łatwiejsze, poddane jej? Nie — ale należałoby mieć fantazję tak bujną, żeby rozporządzała już tym wszystkim, co daje rzeczywistość, znała jej materiał i w tym materiale czerpała tematy do swych planów. Strumieński nie znał materiału.

Wierność, Miłość

\*

W ostatniej instancji tedy sensacyjna, silnie erotyczna, ustępami kryminalna sprawa Angeliki przedstawia się nie jako kwestia zmysłów lub serca, ani jako kwestia społeczna, moralna lub estetyczna, lecz tylko jako *kwestia intelektualna* albo może naukowa, zawila, nudna, bo trudna, szczepiona z siecią rachunków, w których gubi się oko. Moim zdaniem *do tej instancji dochodzi każda sprawa jeśli się ją na serio bada*<sup>236</sup> i zdarłszy z niej pierwszy anegdotyczny i poetyczny urok, sięgnie się do warstw najdalszych — i to jest najważniejszy wynik *Pałuby*. Wprawdzie o owych najdalszych warstwach poeta trzymający lutnię pod pachą nic do „wyśpiewania” nie znajdzie, ale śmiało zapuszcza się w nie

<sup>235</sup>rozd. IV, s. 69 — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „Oto Angelika i Strumieński wnet przyszli do poznania martwych punktów w miłości zmysłowej i przerazili się ich obecnością. (...) Postanowili więc walczyć z tym czynnikiem, który ich zreformowanej, rozszerzonej miłości zagrażał nowym fiaskiem. Wśród egzaltacji przyszli sobie do przekonania, że jest problemem, kryptogramem świata, który należy rozwiązać, który rozwiążą oni, kapłani miłości. Odcyfrowaniem zaś tej zagadki wydawała się im wspólna śmierć przez miłość”. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>*do tej instancji dochodzi każda sprawa jeśli się ją na serio bada* — [Komentarz autora z *Uwag*.] To jest jeden z najważniejszych rezultatów *Pałuby*. Być może, że aparat naukowy, który przykładam do faktów w niej skreślonych, jest błędny, ale jeżeli mi się udało choćby raz jeden wydobyć dowód, że fakty dopiero wtedy stają się doniosłymi w życiu duchowym człowieka i w poezji, gdy wejdą w alembik gruntownego *vulgo* naukowego badania lub przejdą przezeń, jeżeli mi się to udało, to zadanie moje spełnione. Żeby mi zaś nie zarzucono, iż w *Pałubie* użyłem przykładów umyślnie do tego celu skonstruowanych, podejmę się wykazać na dziełach różnych naszych znakomitości, ile tam popelniono zaniedbań intelektualnych i jaka wskutek tego powstała kołowaczina. I cóż mi po wszelkich fajerwerkach poetyckich, jeżeli odczuwam na każdym kroku, że poeta intelektualnie kompromituje się przede mną! Poezja jeżeli ma być czymś, to koroną myślenia, a nie azylum dla ubogich duchem. [przypis autorski]

samotny człowiek, gdy niedoglądany przez nikogo, wiedziony tylko własną tragiczną ciekawością, chce dotrzeć do najdalszych konsekwencji, choćby one były nie wiedzieć jak jałowe i niepoetyczne. Słowa „intelektualny, rozumowy, naukowy” budzą pewne odium i prawie miałbym ochotę powiedzieć aforyzm: że pewne misteria nie lubią hałasu i zgiełku i mają to do siebie, że się stroją w formę niepozorną, a nawet odstręczającą, by pozostać *incognito*. Czy jednak czujecie poezję tej apoteozy? Jest mi to zresztą wszystko jedno, czy to, co daję, będzie się nazywało poezją, filozofią, czy mieszaniną jednego i drugiego.

Moim dążeniem było pomijać albo tylko zaznaczać poetyczną stronę wypadków, a zamiast tego wykopywać na jaw ich korzenie, może niepoetyczne, ale ważne, godne, by się im przyjrano. Każdy łącznie poznał, że wszystkie moje nawiasowe zdania i uwagi były dla mnie omal ważniejsze niż sam tekst. Dla zaokrąglenia tych uwag uważam za stosowne wyluszczyć tutaj osobno niektóre ukryte zasady tej metody psychologicznej, którą się posługuję, i chciałbym, żeby czytelnik przyjął to jako rodzaj prywatnego zwierzenia z mej strony.

1.) Najpierw idzie mi o to, co bym nazwał *teorią bezimienności* — przy czym zaznaczam, że w myśl tej teorii właśnie nie mam pretensji do narzucania ludziom tej nazwy, podobnie jak i nazwy „pierwiastek pałubiczny”: obie są jednostronnymi, przejściowymi uchwyceniami pewnych kwestii, mogą mieć wartość jako próby, a nie jako „prawa”. Według teorii bezimienności wielka część słów, zwłaszcza w dziale zjawisk psychicznych, jest nie tylko niewystarczająca, lecz często fałszywa. Gdyby to nie było aforystyczną przesadą, można by powiedzieć ładnie: nazwa była grobem kwestii. Wygląda to tak, jakby człowiek, zauważwszy jakieś grono zjawisk, które go bardziej niepokoiło<sup>237</sup> lub w ogóle zwróciło jego uwagę, zanotował je sobie w pamięci stałym znacznikiem, pozostawiając sobie dalsze ich wyjaśnienie na później, lecz ponieważ owa grupa zjawisk już go potem silniej nie atakowała, więc tymczasową nazwę zostawił jako wystarczającą. Wymieniając nazwę niejako naciska się w mózgu (duszy) pewną sprężynę, za której pociśnięciem ma wyskoczyć pewien szereg obrazów, jakaś panorama, lecz, jak wiadomo, najczęściej wystarcza zamazane poczucie zbliżenia się tej panoramy. Jeżeli się jednak zacznie porównywać na serio to, co życie przynosi, z nazwami zaczerpniętymi ze „skarbnicy” słów, natenczas okazują się liczne ułamki, niedokładności, fałsze. Życie, płynne życie na każdym kroku rozsadza konwencję słów i wykazuje ich nierównoległość. Jeżeli zaś słowa wyobrazimy sobie jako punkty przecięcia się linii w życiu, to powiemy, że linie są ważniejsze, realniejsze niż punkty. W świecie zewnętrznym jeszcze jako tako przystają określniki do rzeczy, ale gdy idzie o rzeczy psychiczne lub o skomplikowane stosunki powstałe z krzyżowania się działań wewnętrznych z zewnętrznymi, wówczas powstają dowolności, kontrabandy, żeglowanie pod cudzymi flagami.

<sup>237</sup> jakby człowiek, zauważwszy jakieś grono zjawisk, które go bardziej niepokoiło (...) zanotował je sobie w pamięci stałym znacznikiem (...) — [Komentarz autora z *Uwag*.] To nie historia narodzin słowa taka jak u Nietzschego narodziny tragedii, a u Przybyszewskiego narodziny *metasłowa*, ale porównanie, bo ja nie mam pretensji do jasnowidzenia w przeszłość. Zresztą nic mnie tu nie obchodzi powstawanie słowa u ludzi pierwotnych, gdyż moim zdaniem tak słowo, jak i np. dramat, chociaż się już przyjęły, zmieniają swoją genezę i np. człowiek współczesny tworzy dramat z całkiem innych pobudek psychicznych niż starożytny. Dlatego powyższe porównanie jest przeciwieństwem jeszcze czymś więcej niż porównaniem. Zastrzegam się przeciw możliwym zarzutom, jakoby moja teoria bezimienności była parafrazą teorii Przybyszewskiego o metasłowie. Kto nie czuje różnicy między jedną a drugą, tego zapraszam do siebie, aby dowodnie przekonał się, jak dawnymi są wszystkie hipotezy wypowiedziane w *Trio*. I wnioski są inne. Przybyszewski potępia uspołecznienie się słowa, a więc zróżniczkowanie go, i wywyższa muzykę ponad słowo, dlatego bo on idzie za ulubioną dziś w myślicielstwie modą spierwotniania (wzór: Nietzsche). Moda ta polega na tym, że wyszukuje się jakąś starą genezę, porównuje się ją z dzisiejszym stanem rzeczy, np. na jego niekorzyść, i mówi się, że potrzeba robić tak, jak ongiś było: „nawiązuje się”. Za dowód starczy odległość historyczna. Ja natomiast traktuję słowo tak, jak to dotychczas robiono: nie jako okrzyk wydany z okazji jakiegoś uczucia lub spostrzeżenia, lecz jako próbę opisu kształtów i stosunków tak zewnętrznych, jak psychicznych. Dlatego też żądam zróżniczkowania aparatu słów, a sądzę, że w tym kierunku zdąży zarówno nauka, jak poezja, chociaż i poezja jest niecierpliwiejsza, podobna do wyzła, który, wyprzedzając myśliciela, na prawo i na lewo węszy i tropi. Zestawienie jej z nauką mniej by może gorszyło czytelników, gdyby wiadano, ile błędów poetycznych bywało zawsze w tzw. nauce, co udowadnia Mach. Przebaczenie mi, panowie uczeni, że znowu wyluszczam rzeczy znane wam tak dobrze lub jeszcze lepiej. Jean-Paul w dziełku *Kapelan Schmelzle* próbował pokazać w tchórzostwie punkt, w którym ono jest właściwie męstwem, ostrożnością, wynikiem silnej wyobraźni. Bardzo dobrym tematem byłoby pokazać na jakimś wypadku przeróżne fale psychiczne przepływające pod słowem „wdzięczność”, tak np., żeby się ona stawała nawet niewdzięcznością. Nb. dopiero potem pokazałoby się, ile by się zostało z tego tematu, powziętego *a priori*, gdyby się go chciało zamienić na mięso rzeczywistości. [przypis autorski]

Toteż w toku mojego studium okazywało się nieraz, że słowa: miłość, wierność, w praktyce są formą na różne treści, tak samo: podziemne życie, rozpacz, żal, tęsknota, smutek itd. Stosunek Strumieńskiego do Angeliki na przykład można by nazwać na ogół miłością, a jednak widzieliśmy, że już za życia Angeliki miłość ta warta była cudzysłowu (jak wykrył rozdz. XI), składała się z różnorodnych części, których w ogóle sumować z sobą nie można. Były tam zmysłowość, przyjaźń, wzajemna poręka egoizmów, eksperyment, ambicja, robienie miłości — chociaż i to są też znowu słowa, znowu błędy i jednostronności. Co do wierności, to już poprzednio, omawiając sposób zespolenia jej ze zdradą, pokazywałem, na jakie manowce prowadzi to krępujące pojęcie. Czy Strumieński był wiernym? Tak by można powiedzieć ogólnikowo, można by nawet napisać romans, w którym by się wykazywało, że Strumieński wśród pokus zachował wierność mimo pozorów niewierności, podobnie jak były romanse wykazujące, że jakiś człowiek, którego miano za złego, był w gruncie rzeczy dobrym, gdyż jego „złość” była tylko formą objawiania się „dobrego” — byłaby to jednak dopiero druga faza różniczkowania się pojęć, faza przejściowa do teorii bezimiennosci — a i ta teoria ma również wartość tylko jako sito kontrolne. Albo np. „zazdrość” u Oli! Zauważyć tu także muszę dla usunięcia nieporozumień, że powyższych wywodów nie można brać tak, jakobym ja przeprowadzał np. analizę pojęć miłości, zazdrości lub wierności. Sama chęć takiej analizy już by była błędem; skoro bowiem miłości nie ma, więc nie można też jej analizować jako miłości, analizować można tylko zdarzenia.

Miłość, Wierność

Więc gdzie jest prawda? Zgadając się na razie na ten wyraz, powiem, że za prawdę uważam przybliżanie się do niej, uwzględnianie i wyliczanie coraz to nowych okoliczności i relacji zacieśniających pole prawdy. Tak samo jak przyznałem się, że nie daję życia, przyznaję też, iż w niniejszym wywodzie nie daję „prawdy”, rozbijam tylko skorupę nomenklatury albo wmawiam w siebie i w innych, że to robię, nazywam to tak.

Prawda

2.) Wiadomo mi dalej, że jednak owe słowa i pojęcia, kombinując się w mózgu ze sobą i z nowymi wyobrażeniami, wytworzyły odrębny *następczy świat zjawisk*, z którym się liczyć trzeba. Błędy występują tu jako fakty, zjawiska rozradzające się, mające własne sposoby krystalizacji, których wykrywanie jest ogromnie trudne. Wspomnę tylko o dwóch kwestiach z owego życia następczego, które bardziej zwróciły moją uwagę i ułożyły się w pewne przybliżenia:

3.) Że niektóre słowa zakorzeniają się w mózgu, utrwalają, otaczają pewną melodią, pewną sferą uczuć i kojarzeń podświadomych. Np. słowo „miłość” wyobrażam sobie w mózgu jako płytkę naelektryzowaną tą nazwą, tymi literami nawet; naokoło siebie wytwarza ono pewne fluidum wprawiające w ruch proszek innych wyobrażeń, wrażeń książkowych, życiowych itd., tak że choćby miłość jako coś jednolitego w życiu nie istniała, to jednak istnieje ta płytka i jej ton jako rzeczy realne tylko innego gatunku — może nawet wywierać szczerze skutki: łzy, wybuchy itd. (zob. s. 126, w. 8 i n.<sup>238</sup>).

Miłość

Wyrażeń: płytka, fluidum, proszek (foremki s. 244 w. 1<sup>239</sup>, kulki s. 374<sup>240</sup>, tabliczka s. 317 w. 21<sup>241</sup>) nie używam tylko przenośnie, używam ich jako surogatów pewnych nie znanych mi procesów, więc prawie (tj. tylko o tyle, o ile mam na myśli kształty) dosłownie. Przekonałem się, że wiele dziwnych, niebezpiecznych, rzekomo niewytłumaczonych faktów psychicznych w życiu codziennym można bez litości pojąć, gdy się stosuje taką metodę mechaniczną, graficzną czy chemiczną. Zresztą metody owej instynktownie już od dawna bardzo często wciąż się używa; np. gdy się mówi: „odważał w duszy dwie decyzje”, „biegł za swoją myślą”, „odsunął od siebie smutek”, „to wspomnienie wynurzyło się z jego pamięci” itd. itd. Tylko że ja, jak powiedziałem, biorę te wyrażenia prawie do-

<sup>238</sup>zob. s. 126, w. 8 i n. — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „I kto wie, czy pewna część najsuubtelniejszych może uczuć nie zawdzięcza swego istnienia właśnie wytworzeniu się i pokomplikowaniu wielu formulek (następcze życie duszy), a chociaż oparta na nich, niemniej jest konkretna i żywa, niemniej dolega?” (rozdział VII). [przypis edytorski]

<sup>239</sup>foremki s. 244 w. 1 — patrz rozdział XII: „(...) a to po prostu były odtłoczone przez lekturę foremki (...)”. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>kulki s. 374 — patrz rozdział XVIII: „Widział się miliona kanalików (...) dźwięczała mu w duszy muzyka panteistyczna wysnuta z kulek, które w nim już dawno płynęły”. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>tabliczka s. 317 w. 21 — patrz rozdział XVII: „(...) widocznie za dnia podczas odwiedzin na cmentarzu tabliczka z tym wspomnieniem sama się wynurzyła (...)”. [przypis edytorski]

słownie, to znaczy wyobrażam sobie pomocniczo, iż w mózgu musi się odbywać jakaś funkcja podobna do odważania, wynurzania się, biegnięcia itd., że muszą też istnieć urządzenia podobne do wagi, do niepoprzebijanych ścianek, magnesów, rezerwuarów itd. — owe wyrażenia są tedy dla mnie czymś więcej niż poetycznymi porównaniami. Rolę powyższej metody w badaniach psychologicznych uważam za podobną do tej, jaką mają w fizyce przyrządy wymyślane po to, aby w pewnym szeregu zjawisk wiadomych wydobyć lub uzupełnić człony niewiadome. Zastrzegam się więc z góry przeciw zarzutom, że popadam w materializm, bo kwestia, czy zjawiska psychiczne są materialne czy spirytualne, jako też kwestia podmiotu i przedmiotu nic mnie tu nie obchodzi, a wyrazów „mózg” i „dusza” używam zamiennie.

4.) W związku z poprzednim stoi inne przybliżenie, odnoszące się jednak nie do mechanizmu, lecz do treści słów. Przy pewnych słowach stracono ewidencję ich genezy, z narzędzi stały się one panami, tak że teraz do słów doszukuje się pojęć i treści, jakby chcąc koniecznie dać posady tym ubogim, ale majestatu pełnym arystokratom. Porobiły się więc słowa-postulaty, słowa-potwory, jakby spadłe ze słońca, takie *idées fixes* wielu ludzi: piękno, sztuka, poezja, prawda, miłość itd. Siłą się więc np. na gwałt zdefiniować: co to jest poezja, jaką ma być poezja? Lub: jaką ma być „prawdziwa” miłość? Lub: co to jest etyka? Lub używają tych słów jako straszaków albo narzędzi zabójczych i samobójczych. Zdaje im się, że w takich słowach tkwi jakaś istota, którą trzeba wyzwolić — podobnie jak wstęga zwinięta w jajku wielkanocnym. Widzieliśmy, jak Gasztold za-hipnotyzowany był słowem „poezja”, a Strumieński z Angeliką słowem „miłość”, której rzekomą „istotę” koniecznie wyczerpać należało. Widzieliśmy, jak wskutek tego Strumieński z Olą przychodzili do przekonania, że nie ma miłości, podczas gdy powinni byli dojść tylko do wniosku, że nie ma tego coś (coś, jakiś — takie wyrażenia nieokreślone są już tylko pokrywką zawodu w tych razach), które przez to słowo „rozumieli”... Czyżby to się działo nawet wskutek jakiegoś fizykalnego rozszerzania się atmosfery słowa, czyli, mówiąc mniej materialistycznie, wyidealizowania go, tak że potem trudno je zrealizować, czyli wypełnić powstałą próżnię odpowiednikami z rzeczywistości<sup>242</sup>?

5.) Prawie tę samą rolę co słowa grają w życiu umysłowym całe zdania, aforyzmy, szablony, symetryczności<sup>243</sup>, całe sposoby zachowania się, role, problemy, teorie, przysłowia, dualizmy, (kobieta-mężczyzna, natura-nienaturalność, forma-treść, istota-pozór, myśl-czyn, uczucie-rozum, pierwotność-kultura), kontrasty, paradoksy, dwutykowości. Są one już to uchwyceniem jakiejś kwestii za pomocą szeregu słów związanych w snop światła jednostronnego, już też wywołują wśród tłumu wyobrażeń stanowiących jakąś kwestię pewne stałe manewry, podziały, przesypywania się. Ten regulujący wpływ pewnych uchwycień (które się zresztą mogą skondensować także tylko w słowa: np. idealizm, dekadencja, brak woli) objawia się na wielu miejscach w *Patubie*, np. u Strumieńskiego w jego zdrowotnych skrupułach, u Gasztolda w cechowaniu Strumieńskiego jako filistra, u Oli w poglądach na macierzyństwo i sztukę itd. itd. Wychodząc z pewnych uchwycień,

Słowo

<sup>242</sup>(...) wskutek jakiegoś fizykalnego rozszerzania się atmosfery słowa (...) — [Komentarz autora z *Uwag.*] Właściwie istnieją tylko *przesuwalne* kompleksy kwestii, oznaczone dla skrótowca tymi etykietami (poezja, sztuka itd.) nieprzesądzającymi w niczym treści. Opisany pod 4) proces psychiczny jest powodem tak zwanych w języku naukowym hipostaz. Jak częstym jest hipostazowanie w codziennym życiu, niech poświadczą dwa autentyczne przykłady. Raz pewien doktor praw sprzeczał się z pewnym doktorem filozofii o to, co to jest „modernizm” (*das Moderne*), i obaj wierzyli na serio, że temu słowu musi odpowiadać pewien ściśle ograniczony w świecie spłot relacji. Mnie się zaś zdaje, że ten, który pierwszy użył wyrazu *das Moderne*, wpadł nań może wśród gorączki rozmowy, dorywczo uszlachetniając ujemne słowo „modny”. Drugi przykład: spotykałem już wielu ludzi, którzy uparcie twierdzili, że „nie ma sądu obiektywnego”. Nawiasem mówiąc, w odbiorze takiej „teorii”, a raczej najtańszego frazesu, pozostałego w spadku po filozofii sceptycznej, gra rolę albo próżniactwo, albo próżność dążąca do zbitcia z pantafelki każdego, co by chciał być tak naiwnym i mieć w ogóle jakiś trwały sąd. Otóż „sąd obiektywny” przyjęto tu za wysoko, rozsadzając milczącą konwencję słowa, gdyż „sąd obiektywny” „sam w sobie” jest rzeczą, którą, mówiąc z Schopenhauerem, można pomyśleć (to znaczy powtórzyć w myśli jako słowo z pewnym niejasnym migotaniem otoczenia), ale nie wyrazić. „Sąd obiektywny” jest naturalnie zawsze tylko względny, jest to sąd subiektywny, przyjęty przez ludzi logicznie myślących, chyba że przez to słowo będzie się rozumieć nieznaną jeszcze resztę w przedmiocie, przez sąd niewyczerpaną. [przypis autorski]

<sup>243</sup>(...) *symetryczności* (...) — [Komentarz autora z *Uwag.*] Rolę symetryczności w błędach myślowych poznałem jeszcze wówczas, kiedy udzielając lekcji matematyki wciąż spotykałem się z tym, że moi uczniowie pewne zadania algebraiczne rozwiązywali bez troski o ich treść, kierując się tylko poczuciem symetrii np.  $(a + b)^2 = a^2 + b^2$ ; *pierwiastek*  $z^2 + b^2 = a + b$ ;  $a^2 + b^2$  *dzielone przez*  $ab = a + b$  [przypis autorski]

ciągle je stosowali lub czasem jak Strumieński zmieniali, różniczkowali — jakkolwiek pewna linia pozostawała ta sama.

Wybór owych uchwyceń tudzież pewne stałe sposoby posługiwania się nimi — to skutek przyrodzonego charakteru, zapewne jakichś rowków w umyśle, którymi bieżąca myśli i uczucia i zbiegają się w pewne stałe figury. Słowo „charakter”, tak jak go używam, nie oznacza nic jak tylko pytajnik, otwarcie trudnej kwestii, jest tymczasową nazwą tego, co by tłumaczyło pewne wspólności w życiu umysłowym każdego człowieka. Ponieważ fakt istnienia takich wspólności jest czymś, co Rzeczywistość wstawiła w życie całą mocą swego pałubizmu, przeto usiłowałem w moich charakterach dać równoważnik tego faktu, trudno by mi jednak było powiedzieć, jakie to wspólności i podobieństwa cechują np. charakter Strumieńskiego. Wprawdzie można by go opisać jako mieszaninę wyższej pedanterii, powolnych zmian w myśleniu, wytrwałości, brutalstwa, uczuciowości, komiczności, lubowania się w zaokrągleniach i tym podobnych cech, przeze mnie czytelnikowi raczej narzuconych niż wykazanych — lecz to by była charakterystyka w rodzaju tych, jakie się daje w wypracowaniach gimnazjalnych. Ja, budując moje charaktery, starałem się czasem wylać spod szablonu, według którego charaktery literackie są dość dowolnymi zlepkami dość powierzchownie wysortowanych cech ludzkich, i chciałem w niektórych przynajmniej momentach oprzeć myśli i czyny mych osób na motywach mechanicznych, które słowami określić trudno. Sądzę też, że kiedyś będzie się opisywać charaktery ludzi za pomocą przybliżeń w rodzaju formuł matematycznych.

6.) Na koniec przychodzą stany psychiczne, w których brak bardziej widocznego rdzenia, kombinacje uczuć, słów, myśli, wrażeń chwilowych, bardzo mgliste i łatwo przesuwalne. I tu naturalnie życie następcze odgrywa wielką rolę. Ale główną rzeczą, którą chcę z naciskiem podkreślić, jest to: że znowu ani składu, ani kształtu, owych mgieł wewnątrz duszy nie można dokładnie opisać za pomocą słów — i że w tym wypadku przybliżenie słowne takiego zjawiska psychicznego jest jeszcze trudniejsze niż w poprzednich. Dlaczego? To wyjaśnię za pomocą następującej hipotezy, użytej tylko sposobem porównania: przypuśćmy, że dla przechowywania w pamięci wyobrażeń oraz ich kombinacji i innych wytworów, wyraźnych i dość ściśle określonych, istnieje pewna materia; otóż oprócz niej istnieje jeszcze podobna do niej druga materia, która jednak działa samoistnie i jest bardziej czynną niż bierna. Ona to wprowadza nieporządek w matryce wytworzone przez pierwszą materię, rozcieńcza je, przetapia, wpływa na inne krystalizowanie się tej materii, stwarza wyobrażenia naśladujące wyobrażenia autentyczne, sama też wchodzi z nią w osobne związki chemiczne<sup>244</sup>. Aby owe połączenia chemiczne jako tako zbadać i poznać przynajmniej te ich składniki, które są dostępne, trzeba im zadać pewien gwałt i użyć podobnie jak w chemii odczynników. Dzieje się to np. w ten sposób: próbuje się w myślach, w jaki sposób objawiłyby się pewien stan psychiczny, jeżeliby został kilkanaście razy natężony i miał odpowiednie warunki do wyłonienia się — tak otrzymuje się pewne zaważone zdarzenie, przed które kładzie się czasem słówko „jakby”. Np. „Ktoś jest tak skromnym, jakby przeproszał drugich za swoje istnienie”. Tym sposobem posługiwałem się np. podając motywy wstrzemięźliwości Strumieńskiego podczas wizyty Mossorowej, gdy pisałem, że Strumieński jakby żywił zabobon, że Ola odgadnie jego zdradę — naturalnie bowiem takiej myśli nie było w nim ani w stanie świadomym, ani nieświadomym i ja podałem ją tylko jako przybliżenie. Podobnie zdefiniowałem stan psychiczny Strumieńskiego podczas wizyty u piesków i w altanie „jakby drzewa składały im

<sup>244</sup>przypuśćmy, że dla przechowywania w pamięci wyobrażeń (...) istnieje pewna materia (...) druga materia (...) wprowadza nieporządek w matryce — [Komentarz autora z Uwag.] A może nawet owa druga materia tworzy sama, bez pomocy pierwszej osobnego rodzaju formacji? Polem, na którym najwięcej objawia się jej działalność, jest sen. We śnie wyraźnymi są tylko odłamki życia następczego, zawierające „przedstawienia” łatwo zamienne na rzeczywistość, reszta jest niewyraźna, tak że nie można jej opowiedzieć. Niewyraźna? Czy dlatego, że jej nie pamiętamy? Bynajmniej. Tylko dlatego, że we śnie stosunki, zjścia i połączenia między znanymi nam wyobrażeniami są często inne jak w świecie światła dziennego; chcąc te stosunki ująć w słowa, zwykłe się je przekręca lub ucieka się do poezji, która jest tylko jedną z form życia następczego. Gdyby jednak zbadać prawidła rządzące tym światem, który w odróżnieniu od świata następczego nazwijmy samoistnym, wtedy wykonywając na szerszą skalę pomysł Strumieńskiego zaznaczony [w rozdziale V: „Jak posłać do snu reżysera ze swymi rozkazami?”] i obierając sobie dowolne tematy, można by stworzyć Królestwo Snów. Do sprawy tej jeszcze kiedyś powrócę, tu zastrzegam się tylko, że za pomocą hipotezy o drugiej materii bynajmniej nie chcę ratować tzw. duszy, ani też nic mnie nie obchodzi istnienie jakichś kanalików między tą moją ziemską „duszą” a absolutem lub pralodem. [przypis autorski]



hold”. Lub na s. 310<sup>245</sup>. ....„jakby przez to wywierał na kimś akt zemsty”. Inne przykłady na owe związki chemiczne: formacje zazdrości u Oli, historia słowa „pałuba” w umyśle Pawełka w następnym rozdziale. Muzykę uważają także za takie „jakby”, tylko w innym kierunku.

Powyżej wymienionych pięć punktów jest właściwie przedstawieniem jednej sprawy z różnych stron i w różne sposoby, ale zresztą do podziału tego większej wagi nie przywiązuję, bo mogłem sprawę ująć tak samo w trzy, pięć, jak i 30 punktów. W ogóle, jak poprzednio prosiłem, trzeba całą powyższą elukulbrację naukową przyjąć jako moje zwierzenia, jako mój poemat filozoficzno-liryczny, który w tym celu wygłaszam, ażeby pokazać moje ostatnie szące i po tym, co było dla mnie jasne i niewątpliwe, pokazać i to, co jest dla mnie samego mniej jasne i wątpliwe. Więc i zastosowanie moich teorii na przykładach pozostawiam lojalności czytelnika.

7.) Nawiązując do tego, co wyłuszczyłem pod 5, podnoszę, że z drugiej strony nie mogę zaprzeczyć, iż same fakty wzięte z życia mają pewien swój lokalny koloryt i nieraz grupują się w sposób ludzający, wyzywający do snucia pewnych nastrojów, problemów, w ogóle: ustawiają się pod pewnymi kątami widzenia. Życie Strumieńskiego przebywa pewien zodiak, jedne nastroje przepływają w drugie; mamy więc w *Pałubie* chwile, w których fakty życiowe grupują się idyllicznie, komicznie, filozoficznie, poetycznie, problemowo, etycznie, upiorowo itd. Zbieg okoliczności wywołuje wstrząśnienie odnośnych sfer myślowych w mózgu, nadaje im chwilową aktualność, pobudza do nowej mizernej produkcji<sup>246</sup>, wskutek której powstają pewne nowe trudności, zagadki, rachunki niby koniecznie domagające się rozwiązania. Np. problem wierności Strumieńskiego, miłości, potem etyki. Niektóre z nich sam „rozwiązywałem” za Strumieńskiego, robiąc idealne przedłużenie zaczętej linii, w życiu jednak problemy takie neutralizują się, przepadają, ale bo też i ściślejsze badanie owych problemów doprowadza nas do atomów nieproblemowych, bezimiennych, z których składa się życie.

Przyznaję się, że w toku powieści istnienie owych atomów raczej postulowałem, niż wykazywałem, ale bo też wykazywanie teorii na przykładach odbywa się zwykle przy pomocy szachrajstw i jest właściwie niemożliwe, jeżeli się rzecz weźmie uczciwie, ponieważ każda teoria jest tylko przybliżeniem, więc w ostatecznej instancji poezją, wieżyczką. Zaniedbanie to moje pochodziło także stąd, że mimo pozoru planu, obmyślenia, suchości i moje dzieło jest pod pewnym względem improwizacją, pełną niespodzianek dla mnie samego.

8.) Głównie jednak lubowałem się w podkreślanii dwóch rzeczy: po pierwsze tajemnic intelektualnych, po drugie *techniki zdarzeń*. Poeci dotychczas zważali prawie tylko na zachowywanie prawdy życiowej w pewnych momentach, a zresztą korzystali z wymyślonej dla swej wygody *licentia poetica*, zapominając lub nie wiedząc, że materiałem dzieł literackich są nie tylko szczegóły życiowe, które ich zdaniem można wydać, rozciągnąć, „oczyścić z naleciałości”, lecz także stosunek ilościowy i jakościowy tych szczegółów do siebie, morfologia życia. A więc zważać też trzeba np. na pewne stałe w życiu minimum i maksimum namiętności, znaczenie przypadku, procent nieprawdopodobieństw, robienie życia, jego asocjacyjność, autoironię, pozory symetrii i przełomów, polaryzację charakteru, powtarzania się, „...są chwile w życiu ludzkim...”; współczesne sobie dwa odmienne kierunki duszy i życia, i wiele rzeczy, które tylko w sposób nieledwie zabawkowy poruszyłem. Obowiązek zmusza mnie do dodania, że do zastanawiania się nad sprawą techniki faktów życiowych skłonili mnie głównie Kleist, Hebbel i Schopenhauer<sup>247</sup>.

<sup>245</sup>na s. 310 — patrz rozdz. XVI. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>mizernej produkcji — [Komentarz autora z *Uwag*.] Mizernej dlatego, bo zbyt często przebywa się „kataklizmy”, których program jest z góry naznaczony, odkrywa się pewne rzeczy jako nowe, których się już przedtem wyuczyciło. Np. Strumieński w rozdz. XIX i XX. W wielu powieściach i dramatach osoby przebywają duchowe „kataklizmy”: od jednej banalności do drugiej, tylko że autorzy sami biorą te kataklizmy na serio (np. Rydla *Na zausze*, Przybyszewskiego *Złote runo*). [przypis autorski]

<sup>247</sup>lubowałem się w podkreślanii (...) po pierwsze tajemnic intelektualnych, po drugie techniki zdarzeń (...) do zastanawiania się nad sprawą techniki faktów życiowych skłonili mnie głównie Kleist, Hebbel i Schopenhauer — [Komentarz autora z *Uwag*.] Por. strony: 132 w. 24 [tj. fragment rozdz. VII „Rzeczywiste życie posiada pewien kwas niwelujący (...)”], 133 w. 17 [tj. fragment rozdz. VII „Ale na szczęście ze stanami takimi (...)”], 157 w. 1 [tj. fragment rozdz. VII „W ogóle wchodziły tu w grę współcześnie dwa czynniki (...)”], 159 w. 25 [tj. fragment rozdz. VII „Ze wszystkimi najpiękniejszymi uczuciami i zamiarami łączą się (...)”], 166 [tj. fragment rozdz. VIII „Idealem byłoby właściwie opisywać bezpośredniość (...)”], 262/263 [tj. fragment rozdz. XIV

9.) Moje uwagi na temat roli słów w procesie myślenia nie mają bynajmniej na celu zaniechania słów w ogóle. Idzie mi tylko o doskonałą świadomość ich względności i większe niż dotychczas uwzględnianie kształtów i treści stanów psychicznych, które słowami rozbijano, a nie opisywano. Powyższej uwagi jednak nie należy brać tak patetycznie i szablono, że są cuda, których wysłowić nie można itp. — jak tego wzór dał Mickiewicz na początku *Improwizacji*. Owszem, idzie mi raczej o ulepszenie, zróżniczkowanie, spotęgowanie aparatu słów, tak aby można było mówić faktami, sygnalizować sobie wzajemnie całe kawały duszy. (Poetycznie: symfonie szczerości zamiast poszczególnych dźwięków). Wówczas by może zaczęły się wyrównywać przepaście psychiczne między ludźmi. Cóż jest do tego potrzebne? W pierwszym rzędzie wydobyć na jaw podziemnego życia psychicznego, ale nie w znaczeniu metafizycznym, tj. nie tak, jak je pojmują np. Przybyszewski. Dotychczasowym błędem było, że sięgano albo za płytko, albo — przeskakując całe życie następcze — za głęboko, tj. tam, gdzie już nic być nie może, i robiono rzekome wizje kosmiczne zamiast uprawiać introspekcję. Mnie się zdaje, że zbadać warstwę na kilkaset metrów pod tzw. powierzchnią duszy — to może wystarczy, nie trzeba szukać nadiru<sup>248</sup>.

A więc kultura szczerości? Raz już powiedziałem to słowo. Teraz jednak wydaje mi się ono nieco za sentymentalnym i o tyle złym, że, jak wiadomo, niemal każdy uważa siebie za szczerego i powie zapewne, że on tej kultury nie potrzebuje. Szczerość zresztą jako przyznanie się, jako spowiedź, jest dość łatwa — w pewnych granicach. Więc raczej kultura mądrości. Zostańmy jednak przy szczerości, ale zaznaczmy, że szczerość nie jest czymś, co się mieć chce lub nie chce, a zawsze się mieć może, lecz że szczerość jest sztuką, której arkany zbadać należy. Przez szczerość rozumie się tu nie jej nagłe objawy, ale cały stan umysłowy, który może nawet przybierać formę nieszczerości, bo u prawdy jest kłamstwo na służbie. Zauważę też, że o ile szczerość i prawda są bezkrytycznymi postulatami, o tyle je nawet odrzucić należy. Tego nauczył nas Nietzsche, rzuciwszy pytanie: „*Aber warum überhaupt Wahrheit*”<sup>249</sup>? Sądzę jednak, że prawda, a za nią i szczerość mają swe usprawiedliwienie w tym, że dążenie z nimi związane zawiera najwięcej jednostek siły i stosunkowo najwięcej rokuje nadziei.

\*

To był niejako bilans. Czy dobrze odegrałem rolę wyrachowanego, łamiącego wszystkie przeszkody myśliciela? Ale autor, zamiast tylko czasem wychylać jowiszową twarz spomiędzy chmur, powinien by może wynagradzać swą śmiałość i wyżyny własnym rumieńcem? Nie chcę iść tak daleko. Tylko, by siebie nieco sympatyczniejszym i bliższym uczynić, zdradzę jedną przynajmniej zakulisową tajemnicę swoich powyższych mądrości.

Otóż są pewne bieżące — w najwyższym znaczeniu — potrzeby ducha, które się załatwiają błędami umysłowymi, bujającymi nie wiadomo gdzie, gdzieś na pograniczu w cieniwej sferze między tym, co jest nieznanne, a tym, co jest już rzekomo załatwione, jakieś nowe niby to wykluwające się, świtające dopiero pojęcia, formy uchwycenia, porównania, obrazy, próby, bańki, wieżyczki nonsensu. Idealista wymykający się spod opieki mędrca budującego automaty! Myślenie na tej krawędzi jest z natury rzeczy chaotyczne — w ogóle człowiek tylko dla drugich robi pewną sugestię jasności, sam sobie zaś zostawiony, udaje się nad tę krawędź i zaczyna na serio myśleć, tj. gubić się w przestrzeniach, które zabudowuje wieżyczkami nonsensu.

I oto obecnie nawet moja ostrożność, kulminująca w wykrywaniu pseudozwiązków między faktami i w teorii bezimienności, ma swoją pozę, swoją melodię, a sam jej nastrój uroczyście jest oznaką związku. Czy związki-związki czy związki-niezwiązki? Oto jest pytanie. Żądając mówienia faktami, mam pyszałkowane uczucie, żem zdarł ze świata skorupę

Idealista, Kondycja ludzka

„Technika wypadków jest taka, że właściwych decyzji zwykle nie ma (...)”, 234 w. 30 [tj. fragment rozdz. XII „(...) owszem twierdzą, że takie wypadki (...)”], 301 (zakątek komiczny) [tj. fragment rozdz. XVI „Kiedy zaś tamci wstąpili na najwyższy punkt (...) już wszystko skończone”], 332 w. 18 i n. [tj. fragment rozdz. XVII „Trzeba jednak obok ogólnego tła psychicznego uwzględnić warstewkę (...)”; red. WL] itd. Wpływy: głównie Kleista *Michał Koblhaas*, Schopenhauera: nauka o charakterze, Hebbła: *Herod i Mariamna* w porównaniu z jego rozbiorem tragedii Massingera *Lodovico*. Od zwrotów Hebbła: *Die Gebrochenheit der Idee* (w jego uwagach o dramacie) i *Verwirrung der Motive* wywodzi się mój pierwiastek pałubiczny. [przypis autorski]

<sup>248</sup>nadir — punkt na sferze niebieskiej położony naprzeciwko zenitu. Znajduje się prostopadle pod horyzontem i jest najniższym punktem sfery niebieskiej. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>*Aber warum überhaupt Wahrheit?* (niem.) — Ale dlaczego w ogóle prawda? [przypis edytorski]

nomenklatury, że plamom, które dotychczas łączono liniami w figurki lub zdarzenia, teraz na nowo przywracam ich pierwotne znaczenie plam, a wzrok fizyczny i umysłowy buja już po morzu bezkształtu; głos ludzki zamiera i staje się szeregiem dźwięków pustych — a zmysły ludzkie, idąc przeciw dotychczasową swoją utartą drogą, otrzymują pewną naganę od rozumu, który rad by je sam wyręczyć w dziele jakiegoś wszechrozszerzenia, i sam w fantazji wyobraża dla ich zachęty tę mozaikę, której nie ma w rzeczywistości. Gdyby tę filozofię namalować symbolicznie, to chyba jako człowieka, nie nagiego jednak, lecz odartego ze skóry, lub jak świat wiruje, szumi i huczy przerażeniem, przelewa swe soki, tony i barwy... Coś z sądu ostatecznego, coś z tego. Oto moja analityczna synteza, mój twór potworny.

Ale tak się chce być od siebie samego mądrzejszym, krytykuje się (nb. po swojemu) swoją ostatnią myśl, kopie się pod nią, oblega się własne miasto. Otóż pierwszy rzut oka naokoło przekonuje mnie, że tak przecież na rzeczywistość nie patrzę, że przecież sam porzuciłem teorię wszystkojedności<sup>250</sup>, owszem, jako czciciel Rzeczywistości uznaję różnorodność faktów, uznaję, że: *entia praeter necessitatem non esse minuenda*<sup>251</sup>, że rzeczy i sprawy mają swój lokalny koloryt, który jest „dany” — więc nie można pojmować wszystkiego, jakby się trzęsło i migotało.

Ale i to znowu podlega zarzutom, bo.... Tak płynę w chaos.

\*

Dlaczego to wszystko mówię? Po analizie przedmiotu przychodzi kolej na mikroskop. Spełnić to, co w świecie fizycznym równałoby się widzeniu własnych oczu. Sprawa Strumieńskiego tkwi we mnie samym: jest to konglomerat reminiscencji, zachcianek, fantazji, zemst, ukrytych polemik, własnych i cudzych pomysłów, tła współczesnych głupstw — i różnych innych rzeczy. Czyż będę może wmawiał, że Strumieński to żywa figura, a nie królik doświadczalny, którego konstruuje, aby dowieść — udać, że dowodzę — tego, co mi się podoba? Błagą jest porównanie z perłą, którą można wykroić z muszli, błagą jest to, co Gasztold sądzi o oddzielnym organizmie dzieła — nie ma takich fikcyjnych całości. Owszem, dzieło takie to żywy nowotwór duchowy, którego nie można wykroić, nie uśmiercając go, który poza mną będzie czym innym, niż był we mnie. Dlatego wyrwam go z jak największym pękiem moich nerwów — kapiący krwią — jak drzewo z korzeniem wyrwane ma w splotach korzenia kawały ziemi, z której wyrosło.

Zarazem spełniam postulat Grossa, że dzieło poetyckie ma dawać nie tylko rezultaty myślowe, ale także cały kompleks związanych z tymi rezultatami radości, wątpliwości, patosu, dróg itd., że poezja to właściwie myślenie *kat'egzochen* — całym sobą. Przeto prawie nie waham się nawet dać tu chwilowego ukształtowania się w kalejdoskopie swoich własnych stalszych myśli i rezultatów, i obrazów, i nadziei z nimi połączonych, daję nawet moją pozę spokojnego patosu.

W ten sposób dotarłem aż do granic osobistych. I te trzeba by przekroczyć, raptownie roztworzyć drugi horyzont nad pierwszym i pobujac w nim. Bo czyżby dzieło apoteozujące pierwiastek pałubiczny samo nie podlegało jego potędze? Czyż autor nie mógłby powtórzyć rozdziału XII w zastosowaniu do siebie?

Poezja

<sup>250</sup>*teoria wszystkojedności* — [Komentarz autora z *Uwag.*] Swego czasu urobiłem sobie teorię, że zadaniem poezji jest sprowadzić każde zdarzenie do „horlizmu” (od noweli Maupassanta pt. *Horla*), do stadium, w którym ono zaczyna być straszne przez swoją bezpośredniość. I raz postanowiłem sobie opisać w horlistyczny sposób zwykłe spadanie meteoru, lecz po różnych próbach przekonałem się, że mi się to nie uda. Nie wszystkie bowiem zajścia są w równym stopniu ważne dla człowieka, a rojenia poetyckie o tym, że na płatku lilii może się rozegrać cały dramat (Wierzbicki, Zbierzchowski), są albo szkolarem, albo bezkrytycznym uleganiem sugestii paradoksu. Raz pewien doktor filozofii usiłował udowodnić mi, że „Janko muzykant” pod względem „artystycznym” może stać wyżej nawet od „Raskolnikowa”, i myślał, że Bóg wie jak mi się przysłuży, zbijając moją naiwną wiarę w wyższość „Raskolnikowa”. Naturalnie, że z pewnego punktu widzenia można powiedzieć, iż wszystkie fakty na świecie są zbudowane z jednego materiału, ale to stanowisko ciągle zaznaczać i w zaznaczaniu go upatrywać jedyne zadanie poezji, to jest nudne. Miarą rzeczy jest życie praktyczne (w najlepszym znaczeniu). Nadto każdy fakt ma swój lokalny koloryt i np. spraw gieldowych nie można opowiedzieć tak samo jak spraw miłosnych, wynajdując tu i tam „poezję”. [przypis autorski]

<sup>251</sup>*entia praeter necessitatem non esse minuenda* (łac.) — byty wykraczające poza to, co potrzebne, nie powinny być redukowane. [przypis edytorski]

Miałbym więc pisać swoją własną *Patubę*? Zdaje mi się, że zapomniałem na chwilę, w jakim się towarzystwie znajduję. Czyż mam sam jeden — w literaturze — grać w otwarte karty? Tam gdzie się gra nawet fałszywymi?

## XX. PAŁUBA

Hejże ha, mój ty antypoetyczny pegazie — dość długo już oraliśmy ziemię zachwaszczoną kwiatami poezji, może teraz pohulamy po swoim w „wyższych regionach”, obryzgując „błotem” tych, którym ty wydawać się będziesz nie „rumakiem”, ale uskrzydłonym zwierzęciem o długim ryju! Ale wszak tobie w to graj, ty bestio apokaliptyczna, ty psiakrew jakaś, ty...

Zapewne nikt po mnie nie oczekuje, bym w Pawełku kreślił jakiegoś geniuszka *à la* Orcio<sup>252</sup> Krasieńskiego. To nie ja, to Strumieński i Gasztold tak go pojmowali; bardzo wiele dzieci w istocie nasuwa takie porównanie. Najłatwiej by wprawdzie było pójść teraz śladem tych autorów, którzy przez swoje dzieci powieściowe chwalać się wspomnieniami z własnego dzieciństwa, wpłatając je tak, aby czytelnik domyślał się pierwiastka autobiograficznego i podziwiał, jakim to niezwykłym dzieckiem był sam autor. Tę ja chcę oszczędzić swemu czytelnikowi. Jedyne to mu napomknę, że historia Pawełka jest dalekim echem *Frühlings-Erwachen*<sup>253</sup>, dramatu Wedekinda<sup>254</sup>, którego wyjątkowemu czarowi nikt z porządných ludzi oprzeć się nie zdoła.

Strumieński wypuścił już Pawełka z tej pedagogicznej sieci, niebieskiej, niewidzialnej, którą go był oplątał. Dlaczego? Jak wiadomo, jeszcze pierwsi przewidywał on tę zmianę i przygotował ją przez usunięcie śladów Angeliki, przy czym ten środek do starego celu połączył z osiągnięciem nowego, przejściowego celu: uspokojenia się. Tak się to szczęśliwie złożyło. Opuszczając Pawełka, Strumieński nie działał z wyraźnym zamiarem, po części nawet ulegał zewnętrznym okolicznościom. Faktem było, że chłopaka trzeba było oddać do szkół średnich, jakkolwiek nie osiągnął on jeszcze przepisanej wieku, faktem też było, że Strumieński chciał się go pozbyć jako byłego współnika jednej rzekomo już zamkniętej epoki — ale najbardziej tajemniczą okolicznością było to, że Strumieński zazdrościł Pawełkowi swego własnego wychowania i własnej troskliwości. Nie umiałbym tylko dostatecznie opisać subtelnego współdziałania tego motywu, tak w nim nie było nic brutalnego, a była raczej jakby jakaś rezygnacja, prośba o przebaczenie i wyrozumiałość. Wprawdzie Schopenhauer powiada w swoich *Maksymach*: „Tak, nie ukrywajmy tego: jakkolwiek silnymi są te węzły, którymi przyjaźń, miłość i małżeństwo łączą ludzi ze sobą, jednak zupełnie szczerze postępuje każdy ostatecznie tylko z samym sobą i chyba jeszcze ze swoim dzieckiem”. Ale egoizm i tu wciska się szczelinami. Nie trzeba zapominać, że Strumieński był wówczas przypuszczalnie w połowie lat swoich, postanowił „bankructwo ideałów młodzieńczych”, zawarł sojusz z życiem i chciał pić z kielichów jeszcze nienadpoczętych. Zdawało mu się, że tak właśnie z porządku rzeczy wypada, zrobił więc u siebie epokę i dla niej poświęcił Pawełka. Zresztą zajmował się synem, póki w nim widział tylko swoje dzieło, lecz z czasem ujrzał i w nim „resztę”, zaczątki jakiejś obcej indywidualności, których opanować nie mógł. Tajemnica ojca, który w swym synu nie czuje już swego syna i dziwi się, jak przez jego ciało mogło przeskoczyć coś tak obcego. Spostrzegł dalej Strumieński, że bajki o Angelice stworzyły w umyśle Pawełka osobne, nieprzewidziane rozgałęzienia. Pawełek brał dużo rzeczy zbyt dosłownie, dzieciennie, zajmowały go uboczne szczegóły: mógł np. przynosić jej jeść, czytał jej, gadał do niej androny<sup>255</sup>; jednym słowem wydawał się ojcu przeciwieństwem parodią jego samego (punkt wstydlivy). I z tego więc względu była Strumieńskiemu na rękę historia z Berestajką, dzięki której mógł Pawełka wykluczyć od dalszej poufałości. Taka dyspozycja w duszy Strumieńskiego naturalnie wnet wymyśliła (*sic!*) sobie odpowiedni zbieg okoliczności, któremu on rzekomo dopiero ulegał.

<sup>252</sup> *Orcio* — bohater drugoplanowy z *Nie-boskiej komedii* Zygmunta Krasieńskiego. [przypis edytorski]

<sup>253</sup> *Frühlings-Erwachen* — książka Franka Wedekinda to krytycznospołeczny, satyryczny dramat, który ukazał się w 1891 r. Opowiada o historii młodzieży, która w okresie dojrzewania skonfrontowana jest z problemami psychicznej niestabilności i społecznej nieakceptacji ich seksualnych żądz. [przypis edytorski]

<sup>254</sup> *Frank Wedekind* — niemiecki pisarz i autor, ur. 24 lipca 1864 r. w Hanowerze, zm. 9 marca 1918 r. w Monachium. [przypis edytorski]

<sup>255</sup> *androny* — brednie, głupstwa. [przypis edytorski]

Dziecko

Ojciec, Syn

Ojciec, Syn, Dzieciństwo

Przestał się więc zajmować Pawelkiem, nie wiedząc, że w tegoż duszy dzieją się dalej na tle jego posiewu szczególne rzeczy. Tu muszę wprzód wspomnieć o czymś, co, jak mi się zdaje, zdarza się u wielu dzieci, choćby były dziećmi o przeciętnej inteligencji, takimi, które wyrastają potem na pospolitych ludzi. Jest to wykluwanie się jakiejś odrębnej dziecięcej filozofii, która polega więcej na wrażeniach i fantazji, na niedokładnym jeszcze poznaniu świata otaczającego niż na genialności i z czasem wskutek bliższego obznajomienia się z łańcuchem życiowych stosunków znika zupełnie, nie mając żadnych konsekwencji. Mógłbym na potwierdzenie tego spostrzeżenia najpewniej znaleźć dowody w wielu dziełach, nb. poetyckich (np. prawdopodobnie u Jean-Paula), bo naukowe jeszcze nie zaszły tak daleko, ale na podorędziu posiadam tylko dwa cytaty. Jeden z pewnego czasopisma z artykułu o Tolstoj. Autor, wspominając o pierwszym dziele Tolstoja pt. *Lata młodości*, przytacza zeń taki ustęp:

„(...) Miałem wrażenie, że oprócz mnie nie ma nikogo i nic na całym świecie, że rzeczy nie są rzeczami, lecz wyobrażeniami, które tylko wtedy się ukazują, gdy na nie skieruję uwagę, i że te wyobrażenia natychmiast znikają, skoro tylko przestaję o nich myśleć... Bywały godziny, w których pod wpływem tej *idée fixe* dochodziłem do takiego zamącenia umysłu, że nieraz szybko odwracałem wzrok w inną stronę, mniemając, że tam, gdzie mnie nie ma, zobaczę niespodzianie — nic...”

Nie bardzo wierzę w aż tak nadzwyczajną intensywność takiego stanu i zdaje mi się, że Tolstoj podłożył *ex post* pod swoje wspomnienie idealizm Fichtego. Drugi cytat z noweli Korolenki<sup>256</sup> pt. *W nocy*.

„(...) Był to (mały Bazylek) wielki fantasta i często myślał o tym, co się na świecie dzieje, kiedy wszyscy śpią i on, i Marek, i stara niańka... Czy pokój zawsze tak samo wygląda, czy zegar idzie głośno, chociaż mu się nikt nie przysłuchuje, czy świeca pali się jasno, chociaż nie ma komu przyświecać, i czy tarakany tak samo bezmyślnie przypatrują się świecy? I niejednokrotnie budząc się z tymi myślami ostrożnie wyzierał spod kołdry... Jednakże było tu coś strasznego, czego żadną miarą nie mógł pochwycić”.

Otóż i Pawełek znajdował się w kole podobnych myśli. Czuł on, że w postępowaniu Strumieńskiego z nim jest coś nieprawidłowego, że ojciec wyrabia z nim jakieś historie. Mimo łączności z ojcem zachowywał zawsze względem niego jakby rezerwę, jakby odrębne stanowisko, obserwował go i był mądrzejszym, niżby można sądzić, patrząc na jego czyny dziecinne, które były wypływem temperamentu odpowiedniego wiekowi. Dzieci często wiedzą o tym, że są dziećmi. (A starsi są czasem większymi dziećmi, niż się zdaje).

Strumieński sam przyzwyczaiał Pawelka do uczucia spisku wobec kogoś; z chwilą gdy go porzucił, uczucie to obróciło się w duszy chłopca przeciw ojcu, a rozszerzając się i na innych ludzi, skryształizowało się w pewien niejasny system. Pawelkowi wydawało się, a raczej miał on (chciał mieć?) takie wrażenie, że wszyscy „starsi” (rodzice, krewni, nauczyciele, goście) złączyli się przeciw niemu w spisek, mają co do niego jakiś tajemniczy cel na oku i przeto grają komedię, na której trop on wpaść nie może; robią i pokazują mu świat w takich a takich kształtach i kolorach, aby go złudzić, a wskutek tego on, Pawełek, jest na jakimś ogromnym przedstawieniu i tylko przypadkiem domyśla się, że to jest przedstawienie. Poza stosunkami z sobą przypisywał im jakiś odrębny, nadnaturalny sposób istnienia; to zaś, że w owej komedii starszych wszystko się tak dobrze zgadzało, a na niczym podpatrzeć ich nie mógł, było dlań dowodem doskonałości spisku. Symbolicznym dla tego stanu umysłowego było jego zachowywanie się wobec lustra. Patrząc w lustro, widział w nim odbitą swoją postać, potem oddalał się, udawał, że jest czymś innym zajęty, i raptem odwracał głowę, aby ujrzeć, co jest w lustrze podczas jego nieobecności: czy jakieś cudowne pałace, czy twarz diabelska. Ale lustro nigdy się nie dało zaskoczyć, miało się na straży — tak podobnie jak i starsi, z którymi musiało być w jakimś tajemniczym porozumieniu.

Był egoizmem w tej dziecięcej filozofii, była zarozumiałość bezwiedna: uważał siebie za środkowy punkt jakichś zamiarów i zabiegów, swoje teraźniejsze życie za przejściowy okres ukrycia, podczas którego dokonuje się coś, co potem tę komedię naokoło niego jaśniejszą uczyni i wreszcie rozerwie. Być może, że takie marzenia osnwały się w jego duszy na

<sup>256</sup>Korolenko, Władimir (1853–1921) — urodzony w Żytomierzu rosyjski pisarz ukraińsko-polskiego pochodzenia, publicysta i dziennikarz. [przypis edytorski]

podobieństwo bajek o królewiczach, którzy porwani z domu pędzili życie w zaklętym świecie, otoczeni byli jednak rojem czujnych dworzan (analogia w wielu punktach nie dopisywała) i przechodzili jakieś próby czy coś takiego.

Otóż oczywista komedia Strumieńskiego nadała konstrukcjom Pawełka (których by jeszcze nie można nazwać myślowymi) rodzaj potwierdzenia, zwłaszcza od chwili gdy komedia ta nagle ustała i zakończyła się obojętnością ojca. Teraz uświadomił sobie Pawełek do pewnego stopnia owo dawne swoje filozoficzne uczucie; niebawem jednak ta pierwsza filozofia zaczęła wpływać w stadium sceptycyzmu. Gdy zaczął uczęszczać do szkół, zanadto dobrze przekonał się, że się ludzie o niego, tylko o niego, nie troszczą, że oprócz niego żyją jeszcze setki takich osobników jak on, godnych mozołów starszyny. Nauka geografii i historii wreszcie zadała ostatni cios jego „dośrodkowemu” pogładowi na świat; wszelako pogład ten wegetował w nim jeszcze dalej kłamiwym życiem. Takie rozdwojenie umysłowe sprawiło mu przykrość, przed którą ratował się właśnie wspomnieniem cudownego obrazu — Pałuby. Ono było dlań jedyną konkretną rękojmnią jego wyjątkowości i jego praw do bajkowego świata.

Tu pora wytłumaczyć, dlaczego Pawełek nazwał Angelikę — Pałubą. Przede wszystkim Strumieński nie mówił mu nigdy, kogo przedstawia obraz, ani nie wymieniał imienia: Angelika, mniemając, że przez to łatwiej osiągnie swój cel. Tymczasem Pawełek zasłyszał wśród domowników i chłopów słowo „pałuba”. Tak nazywa się już to ogromny drewniany taran do zabijania pali w rzece, już to manekin służący do przymierzania sukni kobiecych, pospolicie zaś czepia się to słowo jako pogardliwy przydomek brzydkich, nieprzyjemnych bab, lecz jest w tym wypadku bardziej dokuczliwym niż strasznym. Pawełek nie znał dokładnie zastosowań słowa „pałuba”, nie oznaczało też ono dlań zrazu nic wstrętnego ani ohydneho, tak że niemal tylko przypadkiem przeniósł je żywcem na obraz Angeliki. Latało mu ono w głowie samopas bez odpowiedniego wyobrażenia, a ponieważ wydawało mu się słowem bądź co bądź niezwykłym, więc szczepił je z tym, co było dlań bezimiennym i również niezwykłym, tj. z obrazem Angeliki. Czy i o ile odegrał tu rolę moment akustyczny, to ocenić niezmiernie trudno. Przypuszczam, że Pawełek z początku nie wyczuł ordynarnego lub raczej dzikiego brzmienia zawartego w samogłoskach „a” i „u”, ale je przeczuł — choćby pod wpływem tonu, w jakim je usłyszał wymówione. Podobnież i w jego dziecinnym obcowaniu z obrazem mieszkającym w muzeum Angeliki zawarte było w sposób nieuświadomiony przecucie innych form nastroju możliwych przy tym obrazie: nastroju widm i grozy — może pod wpływem zasłyszanej u tych samych chłopów legendy o pokazywaniu się pewnej nieznamojej pani w okolicach wilczańskich. Jak legenda ta dopiero później w jego wyobraźni zrosła się z kompleksem dotyczącym Angeliki, tak i różnice brzmienia w słowie „Pałuba” aż później mu się uświadomiły.

Rozbieranie muzeum Angeliki nie mogło się odbywać tak skrycie, żeby go Pawełek nie dostrzegł; ale przecież zatarło się ono w jego pamięci w zwykłej formie — pozostał tylko fakt, że Pałuba znikła — dlaczego znikła? Nie wiedział i nie śmiał dopytywać, a to, co wiedział, wcale mu nie wystarczało. Wspomnienie jej było dlań zagadką, która jednak zamiast drażnić jego ciekawość i badawczość, przybierała formę miłosnej niemal tajemnicy. Pawełek tęsknił za nieznaną, usiłował na próżno rysować sobie całe wnętrze muzeum wraz z jego panią, tym wyraźniej jednak rysował je w swojej fantazji. Wiedział on dobrze, że owa pani jest właściwie tylko obrazem, ale pomijał to (szachrajstwo), wyobrażnia jego bowiem domagała się istnienia żywej osoby poza portretem. Tak wiedzenie o obrazie przemieniło się potem nieznacznie (czy za jego wolą?) w stan niepewności, niedokładnego jakby zapamiętania.

Opowiadania ojca połączył w jedną baśń, którą potem samodzielnie przy pomocy swej lektury rozsnuł; stało się to zwłaszcza podczas zawierania pierwszych chłopięcych znajomości. Nie powiedziałbym, że uległ wrodzonemu dzieciom popędowi do zmyślenia i blagowania; powiem raczej, że kiedy obcowanie z pewnym zaufańszym towarzyszem wydobywało zeń nagromadzone wspomnienie w postaci różnych, nieraz naprędce zmyślonych bajek o Pałubie, to działo się to prawie tak, jakby owemu towarzyszowi chciał zaimponować albo go zadziwić; chociaż u Pawełka takie ambitne motywy przybierały inną barwę, były bardziej zwierzeniem i nowym spiskiem przeciwko starszym niż świadomą chęcią oszukania kogoś. Atoli zwierzał się on nie z tego, co przeżył istotnie, lecz z fantazmatów tak jakby z żywych faktów, przy czym nie przychodziło mu wcale na myśl, że

Ojciec, Syn, Wspomnienia

mógłby właściwie mówić o ojcu, obrazie, komedii itd. Opowiadał np. tak: że ma stosunki z pewną piękną panią, którą zaczarowano; mieszka ona na księżycu i jeździ nadpowietrznym niewidzialnym okrętem. W nocy ściana się rozstępuje i wtedy owa pani przybywa do niego, bierze go za rękę, schodzi na dół podziemnymi krużgankami aż na spód ziemi, otwiera tam klapę i zlatuje z nim razem w przestrzeń, gdzie jest nocne niebo zasiane gwiazdami. Łądują w mieście, które jest przylepione do dna ziemi wieżami w dół (odłamki z opowiadań Strumieńskiego), a całe wygląda jak jeden prześliczny pałac kryształowy: ta pani siada na tronie z kości słoniowej i ma koronę na głowie, a jest wielka jak sfinks egipski, on zaś klęka u jej stóp, kładzie głowę na jej łonie, a wtedy na oboje spada śnieg złoty — itd. Nawet rzekome swoje dialogi z tą panią zmyślał Pawełek i opowiadał łatwowiernemu towarzyszowi, później zaś, po rozstaniu się z nim, także innym, a instynkt samozachowawczy kłamcy ostrzegał go przed poufalością w tym kierunku z ludźmi, którzy by mogli go wyśmiać i zburzyć mu jego iluzje.

Urojenia Pawełka nie miały barwy zmysłowej, owszem, zetknąwszy się niespodzianie z innymi zjawiskami dziecięcego życia podziemnego przekroczyły niewinne granice fantastycznej bajki, przybierały cechę upiorową, niebezpieczną dla samego ich autora. Raz np. przeglądał razem z kilkoma chłopcami jakieś ilustrowane czasopismo. Naraz widzi przed sobą obrazek: *Ukazanie się demona*. W jakiejś dolinie szwajcarskiej miał się raz rzeczywiście wedle podania ukazać demon. Ze skrzydłami nietoperza, w szatach — kobiecych, pod ścianą kotliny prawie tuż nad ziemią wolno pomyka, wlepiając straszne oczy w przerażonych mieszkańców wsi. Koledzy przeglądają dalej, nie zwracając wiele uwagi na ten obrazek, przejrzeni cały oprawny rocznik i wychodzą wszyscy. Za małą chwilę ktoś wraca sam? Pawełek. Po cichu stąpa, a przekonawszy się, że nikogo nie ma, wyszukuje tę ilustrację, patrzy na nią zahipnotyzowany, zamyka księgę, znowu otwiera i patrzy, wreszcie kładzie ją z ostrożnym respektem, jakby się bał obrazić tego ducha, co w niej siedzi — i odchodzi na palcach. Później ten obrazek wydarty wraz z objaśnieniami przechowuje u siebie, ale jest to dziwna pamiątka: bo zaziera do niej tylko w chwilach odwagi i mociuje się niejako z bijącym z niej wrażeniem grozy.

Kiedy indziej, idąc wieczorem od któregoś z kolegów, zauważył w pewnym ogrodzie, tuż przy parkanie nad drogą, drzewo o dziwnych konturach: było podobne do damy z rozwianą krepu na kapeluszu, z zarękawkiem w rękach, pochylonej naprzód, jakby idącej gdzieś w przestrzeń. Był to wieczór, zieleń liści (*sic!*) nie była widoczna, a wiatr gwałt drzewo wciąż w jedną stronę, tak że dama zdawała się coś chcieć od niego — zadrżał. Za dnia wyszukał to drzewo, sosnę, i rozwiewał swe złudzenia, patrząc bystro na właściwe kształty gałęzi, a przecież wieczorem szedł tam umyślnie znowu i wdrażał sobie w pamięć specjalny ruch tej szpilkowej statuy; idąc nawet po drugiej stronie trotuaru, nie sam, odwracał raptownie głowę ku drzewu na jedną chwilę, bo wówczas ów gest pani w żalobie w szczególności widmowy sposób występował.

Te wrażenia różniły się od zwykłych dziecięcych nastrojów strachajłowych<sup>257</sup> jakąś niewyraźną aktualnością, podobieństwem do zagadki, którą Pawełek odczuwał jako tylko dla siebie przeznaczoną. Strzegł się jednak łączyć je z ładnym jak dotąd, właściwym kompleksem Pałuby (Angeliki) — ale one same łączyły się z tym kompleksem nieznacznie poza wolą właściciela. Wskutek współdrżania podobną cechę tajemniczej aktualności przybierały i inne strachy, których Pawełek dawniej, póki był u ojca, niemal wcale nie doznawał. W związku z jego urojeniami wyśniwały mu się różne rzeczy będące ich spazczeniem. Np. na jawie marzył i błagował o ludzie karzełków, który w nocy przychodzi doń z jakichś krużganków mających wylot pod jego łóżkiem, obiera go swoim cesarzem, słucha jego rozkazów itd., we śnie jednak wychodził do niego spod łóżka potworny, szydersko uśmiechnięty, chwiejący się na nogach człowieczek, miną swoją nakazywał mu iść za sobą, potem cofał się pod łóżko, a Pawełek przez chwilę wysilał się, by stać w miejscu i zwalczyć tajemniczy pociąg, w końcu jednak nagle z okropnym krzykiem rzucał się za nim... i budził się ze snu. Potem jeszcze nieraz mu ręka drżała, ilekroć rozbierając się kładł trzewiczki obok łóżka.

Ale mimo to ciągłość fikcji z Pałubą doznałaby przerwy wskutek innych zajęć Pawełka, gdyby nie powrót kolegi, któremu pierwszy raz o niej opowiadał. To postawiło go znowu

Imię, Kobieta

<sup>257</sup> *strachajło* — pot. o człowieku tchórzliwym. [przypis edytorski]

na dawnym stanowisku, ale był już na tyle wysubtelniony akustycznie, że go imię „Pałuba” raziło. Zaszła w nim szczególna walka. Usiłował „tej pani” nadać inne fantastyczne imiona: Komoda, Metelewapu, Niwina, Laridilamia, Krucifigosa (każda z tych nazw mimo ich dowolności miała swoją genezę, którą pomijam) — atoli skutek tych usiłowań właśnie imię „Pałuba” brało w nim górę, nabierało cech prawdy, której czymś innym zastąpić nie można, która się zemścić musi, a przy tym wchłonęło w siebie przygotowany przez demona i sosnę nastrój grozy i lęku i tyranizowało chłopca. Pawełek omijał je w myślach starannie, ale nie chcąc sobie z tego zdawać sprawy, czuł przecież, że to imię jest żywiołowo zrosnięte z całym splotem psychicznym odnoszącym się do Pałuby. My zaś wiemy, że ten splot nie pod względem wyobrażeń, ale pod względem atmosfery swojej dopiero *ex post* dostosował się do widmowego tonu, który Pawełek włożył w pogardliwe tylko nazwisko „Pałuba”.

Utrzymało się więc w Pawelku poniekąd w myśl zamiarów Strumieńskiego odrębne życie psychiczne — jakkolwiek była to raczej tylko drobna nieprawidłowość, guz, z którego Pawełek mógł sobie zarówno dużo, jak mało robić, a który wobec coraz to silniejszych innych wrażeń duchowych mógł się rozpuścić i zaginąć. Poza tym życiem bowiem, zasklepionym osobno i niepoddawany kontrolom logicznej, prowadził Pawełek pospolite życie dziecka zaczynającego gimnazjalną naukę.

Dziecko

\*

Kiedy na wiosnę mokra gleba nasyci brzozy życiodajną wilgocią, wówczas przychodzą do nich niekiedy młodzi chłopcy<sup>258</sup> i prześwidrowawszy korę drzew, ściągają z nich i piją sok zimny, przezroczysty, słodkawy w smaku. Gdy już mają dość, obmazują otwory czarną ziemią, ale często ten opatrunek przesiąka wilgocią drzewa, odpada zmieniony w grudkę błota i sok wycieka dalej po białej korze na szkodę smukłego drzewka. I z ich ciałami dzieje się też nieraz tak samo.

Dotychczas jednak w fantazjach Pawelka, jak powiedziano, nie było ani cienia zmysłowości, wszystko było czystą bajką o ludziach bezpłciowych. Ba, nawet bajki te były poniekąd środkiem dezynfekcyjnym, strzegącym go od wszelkiego „przedwczesnego zepsucia”, któremu podlegały inne dzieci — przysporzyły mu bowiem parę szyderczych przydomków i wyizolowały go.

Kiedy przyjechał do domu na wakacje, był prawie sam sobie zostawiony, bo chociaż ojciec na pozór tak jak przedtem poświęcał mu dosyć czasu i np. urządził z nim przejażdżki po stawie i uczył go pływać, ale o tym, co było z obrazem Angeliki, nigdy nie wspominał. I oto podczas pewnej wycieczki w pola zdarzyła się Pawelkowi rzecz taka: ukryty w krzakach obserwował, jak kilku pastuchów rozpałiło ogień na pastwisku i piekło przy nim groch, kartofle i rydze. Wtem opodał ukazała się jakaś kobieta z długimi rudymi włosami, twarzą bladą, oczyma błędnymi, a odziana w lachmany, przez które widać było nagie ciało. Usiadła ona także w pobliżu ogniska na ziemi, robiła do pastuchów różne niby to przymilające się grymasy i nieprzyzwoite gesty i prosiła, aby jej coś jeść dali. Oni jednak pluli w jej stronę, rzucali na nią grudami, nazywali ją Kseńką Pałubą i wreszcie, dawszy jej kilka spopielonych lub niedopieczonych kartofli, odpędzili od ogniska.

Kobieta, Kobieta „upadła”,  
Szaleństwo, Przemoc

Była to wiejska wariatka, którą raz owi młodzieńcy w przystępie dobrego humoru zgwałcili, i od tego czasu odczepić się od niej nie mogli. Pawełka na jej widok i na dźwięk jej przewiska przeszły ciarki po ciele. Długo biło mu serce, a potem długo rozmyślał nad ujrzanym zjawiskiem. W jego głowce odbywał się wielki kataklizm: bo oto wszystkie bajki, którymi się zabawiał, zetknęły się z rzeczywistością, ta Pałuba, o której tyle marzył, istniała naprawdę, ukazała mu się — lecz w jakiejże postaci! A przecież w tym zjawisku było coś, czego nie rozumiał, coś odrębnego od wszystkich innych ludzi (bo początkowo nie wiedział, że to wariatka), i to właśnie zmusiło jego nieodporny umysł do wierzenia, iż to jest ta sama, a nie inna Pałuba!

Gwałt

W ten sposób padł on ofiarą pospolitej asocjacji wyobrażeń, ofiarą tego, że rzadko używane słowo „pałuba” było dlań zrazu obojętnym, tak iż mógł je przenieść na cudowny obraz Angeliki, a potem zrobiło mu niespodziankę swoją odrębną akustyką; ofiarą

<sup>258</sup>chłopcy — dziś popr. chłopcy. [przypis edytorski]



wreszcie własnych kłamstw i kombinacji, które, zbałamuciwszy jego samego, zmusiły go do konsekwencji we własnym zakresie. (Palingenetyczne pomysły<sup>259</sup> zdają się być nie tylko modą i prądem, ale mogą je oryginalnie powziąć i dzieci).

Zmusiły do konsekwencji! Jakże przesadnie brzmi to określenie, bo przecież te konsekwencje były takie malutkie. A oto są one: stosunek szkraba z Kseńką Pałubą rozpoczął się od litości. Razu pewnego mianowicie przyszła Kseńka do dworu i stojąc u bramy, zdawała się prosić o jałmużnę. Dano jej coś tam i kazano iść precz. Pod wpływem tego widoku wahające się uczucia i myśli Pawełka przechyliły się w sympatię ku Kseńce. Łzy stanęły mu w oczach, pobiegł do domu, nakrajał bułki, posmarował masłem i wyniósł to Kseńce w skrytości przed ludźmi, prosząc ją, by nikomu nic nie mówiła. Powtórzyło się to kilka razy i ten sam Pawełek, który od swojej Pałuby oczekiwał jakichś pałaców podziemnych, teraz nawet wstydziałby się wspominać jej o tym, owszem, sam był ofiarodawcą, wynosił jej jadło, konfitury, pieniądze, raz nawet bogaty szal, który w tym celu ukradł matce. Kseńka była zrazu na tę hojność panicza obojętną, potem jednak poczuwszy w sobie wdzięczność, przynosiła mu w zamian owoce: maliny, borówki, orzechy, które Pawełek zjadał zawsze sam w ukryciu, nie dzieląc się z nikim tymi specjałami, a czego nie dojadł, to zostawiał sobie na potem. Raz nawet dała mu wilczych jagód, ale Pawełek miał się na ostrożności. Przynosiła mu potem także kwiaty, wreszcie raz zaproponowała mu, żeby poszedł do lasu, ona go tam spotka i będą razem rwali czereśnie — choć już czas na te owoce minął — aby je potem konsumować w pewnej opuszczonej chacie na polance, w której mieszkowali okólnicy<sup>260</sup> najmowani do żniw. Tak się też stało, ale przy tej sposobności nauczyła Kseńka swego panicza pewnych rzeczy, wskutek których zaczął on o szóstym przykazaniu nabierać innych wyobrażeń jak dotychczasowe, całkiem naiwne i jednostronne. Pawełek był zaskoczony takim rozwiązaniem sytuacji, wkrótce jednak, po przebyciu pierwszych strachów, gustować w nim zaczął. Ale dodać trzeba, że całe połączenie tego epizodu z kompleksem Angeliki było jakby zewnętrzne i dodatkowe, przypadkowe, gdyż weszły tu w grę zmysłowe pierwiastki, jakich przedtem wcale nie było, a wrażenia otrzymywane za pośrednictwem nowej Pałuby wyrugowały teraz dawną. Tu muszę także zmienić nieco powiedzenie, że Pawełek uwierzył, iż to jest ta sama, a nie inna Pałuba. Właściwie bowiem Pawełek nie wierzył, że to jest akuratnie ta sama osoba co na obrazie, lecz wiarę jego (por. *Trio*, punkt 6) można by zdefiniować raczej w tym kierunku, że jest to wprawdzie może i ta sama pani, ale wypędzona i przeto wynędzniała i biedna, lub że jest to zastępczyni, wysłanka, w ogóle istota mająca jakąś tajemną, jej samej może niewiadomą styczność z damą z obrazu.

Teraz jednak, jak już zaznaczyłem, gwałtowne nowe wrażenia usunęły na dalszy plan snute dotychczas już to dowolnie, już to musowo upiorowe kombinacje i sprawa Angeliki w duszy Pawełka z bajkowej, widmowej, stała się płciową. Właściwie nie była to już ta sama sprawa, ale nowa, nowy płat rzeczywistości, o własnej autonomii, podobnie jak autonomicznymi ogniwami (choć w sposób mniej widoczny) były fakty z demonem, z sosną, a historia Pawełka, zatytułowana na zewnątrz „Angelika-Pałuba”, bliższy tylko pozorną jednolitością. To nawiasem, bo do dalszego potrzebne.

Ponieważ Pawełek na piękności kobiecej jeszcze się nie znał, szablonu „miłości” jeszcze go nie wyuczono (bo wprawdzie czytał o niej w książkach, ale nie wiedział, o co idzie), była to więc miłość czysto zmysłowa, obywająca się bez wszelkich ceremonii. Terenem jej był las, ogród, cmentarz, niezamieszkała jeszcze część pałacu — zuchwałość ich doszła wreszcie do tego stopnia, że raz zobaczono ich *in flagranti*<sup>261</sup> koło śluz. Natychmiast się rozbiegli: ona schroniła się do lasu, on zaś uciekł w kierunku rzeki, wbiegł na kładkę, wtem ujrzał kogoś idącego z przeciwnej strony, to go przeraziło jeszcze bardziej, w głowie

Miłosierdzie, Kobieta

Miłość, Seks, Choroba

<sup>259</sup> *Palingenetyczne pomysły* — [Komentarz autora z *Uwag*.] Dopiero po napisaniu *Pałuby* wpadła mi w ręce powieść Danilowskiego pt. *Z minionych dni*, której można przyznać wielkie zalety poetyckie, ale pomysł palingenetyczny zastosowany jest tam tylko dekoracyjnie i bezkrytycznie: poeta pozostaje niejako w epoce kamiennej tego pomysłu, bo dopiero odkrywa go i pieści się nim, upatrując między działalnością Wiktora a przyczynami śmierci jego syna jakiś tajemniczy związek. Wspominam o tym dziele także dlatego, że niektóre ustępy w nim, mianowicie opis rozpaczki Marii po śmierci Wiktora, przypominają nieco *Pierwszą próbę w głębi* i ktoś mógłby mi zbyt skwapliwie zarzucić naśladownictwo. [przypis autorski]

<sup>260</sup> *okólnik* — ogrodzona część pastwiska lub podwórza, przeznaczona dla bydła, koni lub owiec; tu: miejscowy najemny pracownik rolny; w oryginale „ogólnicy” zam. okólnicy. [przypis edytorski]

<sup>261</sup> *in flagranti* (łac.) — (przylapanie) na gorącym uczynku. [przypis edytorski]

mu się zamroczyło i zachwiawszy się, wpadł do wody. Wyciągnięto go z toni omdlałego i zaniesiono do dworu; tam odzyskał przytomność, tak się jednak ludzi wstydił i przerażał, że leżał wciąż z zamkniętymi oczyma, nic mówić ani jeść nie chciał. Wszedł Gasztold, który jeszcze pierwiej wpadł na trop erotycznych konszachtów chłopaka i robił do tego aluzje, a teraz był niby to także troskliwym i chciał z lekka żartować; lecz Pawełek nagle rzucił się na niego, plunął, zaczął go szarpać i drapać zaciekle, mszcząc w ten sposób swój wstyd. Ten powód, oprócz innych, przyspieszył nazajutrz wyjazd Gasztolda z Wilczy.

Przemoczonego Pawełka rozebrano i położono do łóżka. Było to na pięterku we dworze. Skoro z nadejściem nocy otworzył oczy i zobaczył, że go nie pilnują, pierwszą jego myślą było uciekać, bo mniemał, że zrobił coś wyjątkowego, coś tak straszego, że za to nie może już uzyskać przebaczenia. Po cichu otworzył okno i chciał się spuścić w dół po winogradzie, ale w ciemności wysliznęły mu się z rąk haki tkwiące w murze i spadł. I wkrótce potem znaleziono go leżącego bez zmysłów na ziemi. Przeniesiony powtórnie na łóżko, majaczył zaczął.

I wówczas to, tak jak nigdy przedtem i potem, uczuł Strumieński dotknięcie bogini Rzeczywistości. Przeżywał coś, wobec czego czuł się bezbronnym i poniżonym jak dziecko, chwilę, która zachwiewała posadami jego człowieczeństwa.

Zapomniane cienie i zmierzchy zmartwychwstawały przed nim na tym łóżku w całym swym nagim majestacie. Ta mała bezwolna istota wstrząsana gorączką cytowała jego słowa i myśli z szaloną pamięcią. W bredzeniu Pawełka zmieszało się wszystko: legenda o mieszkance obrazu z romansem z Kseńką Pałubą, najczystszy idealizm z wyuzdaną pornografią, a słowa jego spadały na stare, codziennością przepojone mózgi Strumieńskiego i Oli jak płomienne meteory z nieba. Już po pierwszym ataku Pawełka odpędził od jego łóżka wszystkich, nawet Olę, i sam nad nim czuwał, a zamknąwszy się w pokoju, nabił rewolwer, gotów popełnić samobójstwo; latał tam i na powrót jak w klatce, trąc czoło i mówiąc do siebie: „Co się stało? Co się stało?” Był od razu pewny, że to on jest przyczyną tych dziwolągów, które się wyroiły w głowie syna, że obraz Angeliki i narzucone Pawełkowi fantazje zawierały w sobie widocznie jakieś *fluidum* lubieżne, które się udzieliło i Pawełkowi, wypaczając jego dziecięcy umysł. I pochylony nad synem nadśluchiwał, a każde jego słowo dziełem diabła mu się wydawało, im zaś więcej słuchał, tym bardziej umacniał się w swym przypuszczeniu, aż w końcu nie ulegało dłań wątpliwości, że z tego tajemnego źródła, z którego on poił się haszyszem, to dziecko wyssało truciznę. I oto miał przed sobą w całej wspaniałości ten ferment, z którego powstaje artysta: przyszły artysta jednak leżał w gorączce, obstawiony lekami, bliski śmierci. Więc kiedy wraz z lekarzem (którego przyjazd przedtem w myślach opóźniał) wpuszczał Olę do pokoju, rzucił jej błagalne spojrzenie, prosząc nim o tolerancję, ona zaś milcząc spełniała swe czynności przy chorym z anielską cierpliwością, na dnie której znalazłbyś jednak szczyptę tryumfu z tego, iż niby stało się tylko to, co ona dawno przeczuwała (?). Co widząc Strumieński błogosławił ją wzrokiem, kruszył się w proch, przyrzekał, psem siebie robił.

Wprawdzie Strumieński wiedział na uboczu, iż Ola nie ma słuszności z tych powodów, z których ona chciała mieć słuszność (bo ona podejrzewała go o różne głupie rzeczy, których nie było), jednak nie sądził jej rozumem i dobrowolnie poddawał się pod przewagę jej „czystego charakteru”. Cokolwiek mogła myśleć, w idei miała jego zdaniem zawsze słuszność, bo czy zepsucie nastąpiło wprost, czy pośrednio przez *fluidum*, to było wszystko jedno (?): rzecz była tak prosta (?), tak bardzo prosta. Twarz Oli przy gromnicach, zapalonych przed świętymi obrazami na intencję chorego, sama wydawała się świętą; i tak nowożytność odpadła z niego jak sen szatański, a z potarganych mgieł ukazał się kościół<sup>262</sup>. Prawdą było to, co mówił ksiądz Huk, że odszczepieńcami od religii bywają najczęściej ci, co obciążyli swe serce ciężkim, niewyjawialnym grzechem; a on czyż nie mógł swego nazwać tak otwarcie, że aż drastycznie?

Sprawa Angeliki wstąpiła teraz na swym zodiaku wyraźnie w znak etyczny. To słowo znał Strumieński już pierwiej, ale teraz dopiero przyszło mu na myśl, że to to. Wiedział on, że ludzie wynajdują jakieś nowe moralności, lecz rzekł sobie teraz wyraźnie, iż zanim one się na coś zdecydują, trzeba się kierować tym, co mądrość wieków ustaliła i w su-

<sup>262</sup>Twarz Oli przy gromnicach (...) a z potarganych mgieł ukazał się kościół — [Komentarz autora z Uwag.] Pendant do klasycznego aforyzmu z *Bez Dogmatu*: „Wszystkie systemy filozoficzne po kolei diabli biorą, a msza św. po staremu się odprawia”. Aforyzm ten figuruje w *Księdze złotych myśli z dzieł Sienkiewicza*. [przypis autorski]

mieniu ludzkim do wierzenia podała. Cóżeś zrobił z tym ciałkiem młodym, które się przez ciebie przedwcześnie pokalało (?), a może wyczerpało? Jakimi wyobrażeniami zaludniłeś fantazję własnego dziecka? Jakim prawem targnąłeś się na jego nieśmiertelną duszę? Uginał się sam pod brzemieniem tych zarzutów i nie próbował przeciwstawiać im, że przecież on tylko... Alboż wówczas, gdy z nim rozmawiał i budował pałace w jego duszy, czyż tak wyraźnie odważał każde słowo, że przysiąc by mógł, iż nie zakradło się tam nic erotycznego; alboż słowa nie mają specyficznych dźwięków materialnych, które przeniesione w obce ciało trącają te same struny nerwów, na których zostały wygrane? Nie ulegało wątpliwości, że był erotomanem i tylko przyczepiał listki figowe swoim „ideałom”. Nauka udowadnia, iż właśnie tacy jak on, pseudoidealiści, pustelnicy, asceci, platonicy, są w gruncie rzeczy największymi lubieżnikami. Nie ulega wątpliwości, że on, pan Strumieński, jest zdeprawowanym indywiduum, widocznie ma już taki charakter osobisty, skąd się to wzięło u niego? Nakazywał sobie obrzydzenie przed samym sobą, opluwał własną duszę i mnóstwo najszlachetniejszej energii umysłowej rozpraszał<sup>263</sup> na nierozsądne wyrzuty sumienia.

Tak orientacje zdrowotne, poznane już do syta w poprzednich ustępach, znowu wzięły w nim górę. Równocześnie wypłynęły na wierzch także orientacje, w których główną rolę gra słowo „natura” (z rozdz. XVIII), lecz ostrze ich skierowane było tym razem przeciwko niemu. „Był wdzięcznym” naturze za to, że w ohydnej parodii ukazała mu esencję i krytykę jego eposu miłosnej. Podziemna rzeka trysnęła cuchnącym jadem, przeżarła wszystkie kwiaty egzotyczne i wydobywała się z ust Pawełka.

Hejże ha — otóż to z ust tych rwały się niecenzuralne słowa, pamiętki faktów lubieżnych, a Strumieński drżał nad słuchując i niewymownie dziwne uczucie ogarniało go, gdy przyłapywał siebie na tym, że on się w te słowa wsłuchuje i wysnuwa z nich tajemną nić sympatyczną. Bo skrucha jego była chwilami taka, jaka bywa przy spowiedzi: że się za grzech żałuje, lecz już w samym żalowaniu do serca się go przyciska. Ale ciągle niebezpieczeństwo fizjologiczne, w którym zdawało się wisieć życie Pawełka, żywiołowa potęga wypadku zbudowanego na modłę Nemezis terroryzowały jego serce. Drżał z trwogi, by Pawełek nie zwariował i całe życie takich słów fatalnych nie powtarzał; i wówczas z głębi duszy życzył mu śmierci — a raczej coś w nim życzyło śmierci — on zaś patrzył na ten dziki mimowolny objaw, robiąc zresztą to, do czego go rutyna obowiązków ojcowskich i humanitarnych popychała. Postępował jak automat i w czynach własnych uderzało go widmowe podobieństwo do zachowania się swego przed samobójstwem Angeliki. Wprawdzie kochał Pawełka więcej może niż ją, zwłaszcza od kiedy teraz ze względów egoistycznych zaczął z nim współczuć jako z mężczyzną (pomijam tę arcyciekawą skrytkę), i chęć śmierci Pawełka była dlań tylko myślą musową, układającą się na wzór sfalszowanych reminiscencji o Angelice, w gotowych już wyżłobieniach. Aktualną stała się ona tylko raz podczas paroksyzmu Pawełka, gdy ten choreńki wydał mu się tak jak nigdy wroga, ślepią siłą, narzędziem jakiegoś wszechwiedzącego oskarżyciela, który zakradł się do korzeni bytu jego (Strumieńskiego) i targał nimi jak burza. Kiedy w takiej chwili dotykał tego rozpalonego czółka lub zmieniał na spoconym chłopcu koszulę, czuł w swoich rękach taką władzę nad zmęczonym, jakby nad częścią samego siebie, lub jakby mu piersi mógł zmiażdżyć, i doznając rozkoszy zmysłowo-ojcowskich, pytał go: „Co ty mówisz... czy ty wiesz, co ty mówisz, dziecko?” — jakby się tylko skarżył przed nim.

Całą „miłość” widział teraz przykutą do jakiejś skały mięsa ociekającego obrzydliwością, skały pełnej ukrytych rozpadlin, chytrej i drapieżnej. Czymże była cała historia Angeliki, jeżeli nie arabeskami naokoło całkiem prostych świństw? Co tkwiło we wszystkich obrazach jego i jej, co tworzyło *Księgę miłości*? A jego dzieje erotyczne — czyż nie były właściwie stekiem dziwactw fizjologicznych: owo *hymen cornutum*, szaleństwo Angeliki i jej samobójstwo, te urodzenia dzieci nie wiadomo skąd, te próby w głąb, wreszcie to zdziczenie Pawełka, naokoło zaś siebie widział innych ludzi z innymi przypadłościami „miłosnymi”, których istniał cały park. A on sam nierozzerwalnym łańcuchem jakiegoś charakteru, jakiegoś atawizmu, tradycji czy naśladownictwa, należał do tego dusznego świata brudnych ciemności — aż oto nagle z tych ciemności wybiegła błyskawica i uka-

<sup>263</sup>mnóstwo (...) energii umysłowej rozpraszał — [Komentarz autora z Uwag.] Rozwaga w kierunku sumienia jest rozwagą w kierunku najmniejszej fatygi umysłowej, przy czym ma się to paradoksalne uspokojenie, że się przeciw sobie samemu wystąpiło. [przypis autorski]

Erotyzm

Ojciec, Syn, Erotyzm,  
Wina, Choroba

Miłość, Erotyzm

zała wnętrzości zdarzeń. Pawełek leżał w agonii (?) — w kąt poszły wszystkie piękności, romanse i figle, życie rzeczywiste gruchnęło go obuchem w głowę, miłościowe fiksyfiksy całego życia przekreślała ta jedna błyskawica najnamacalniejszej, najbezpośredniejszej odpowiedzialności etycznej. Więc napisał w swej *Księdze miłości* ogromne *finis* i przysiągł u Boga, że jeżeli Pawełek wyzdrowieje (a więc postawił warunek!), to on nigdy w życiu ani Oli, ani... żadnej innej kobiety nie dotknie!

O panie Strumieński, w jakiz to popadłeś chaos!

Ta wariacka rzeczywistość, doprowadzająca teraz do zamętu ten nieuzbrojony umysł, to była właśnie Strumieńskiego Pałuba. Najważniejszą i najlepszą częścią jego podrzutów i drgawek „moralnych” było to, że odczuł działanie pierwiastka pałubicznego z całą intensywnością, chociaż mylił się treściowo. Bo jakkolwiek wypadek z Pawelkiem był szczególnym, nie stał jednak w żadnym mistycznym związku z historią Angeliki, był tylko nowym ogniwem tego łańcucha konsekwencji (obraz Angeliki, demon, sosna, Kseńka), z którego każde ogniwo wprowadzało całkiem nowe czynniki, w którym poznaliśmy zupełną autonomię każdego faktu. A więc żadna rzeka podziemna nie tryskała cuchnącym jadem, żadne „zepsucie” przez niedopowiedzenie tu nie zaszło, a kompleks dotyczący Angeliki miał tyle tylko z kompleksem Pałuby do czynienia, że ubocznie, przez akustyczne manowce, w których Strumieński żadnej winy nie ponosił, doprowadził Pawełka do zaprzyjaźnienia się z Ksenią. Że w melodii tej przyjaźni, którą chory bezwiednie wyśpiewał, znajdowały się także dźwięki przeszczepione nań przez Strumieńskiego, to było u Pawełka albo logiką fantazji, albo, o ile majaczył, grą asocjacji, podobną jak we śnie, a przecież sen wytwarza na poczekaniu dziwolągi, które przeciętnego stanu umysłu w człowieku nie charakteryzują. I gdyby Strumieński bez uprzedzenia wsłuchiwał się w brednie Pawełka, nie byłby im przypisywał znaczenia nemezysowych objawień, byłby spostrzegał w nich (choć spostrzegał! Tu jest dobry punkt...) nawet szczegóły osłabiające to urojone a mylne uprzyczynowienie faktów, do którego go popchnęła śmieszna potrzeba asekurowania się za pomocą wyrzutów sumienia przed mściwością rzekomego fatum, które zdawało się układać całkiem na sposób religijny, na chwilę miało władzę w rękach i do upokorzeń zmuszało. Strumieński przyzwyczajony do omijania zwykłych interpretacji życia mniemał, że teraz trzeba zapłacić dług za wszystko, aby zaspokoić jakieś „coś”, które przez niego zostało uszczuplone. Dlatego zachowywał się nawet prawie tak, jakby to on był teraz winien niebezpieczeństwu, w które wpadło zdrowie Pawełka, jakkolwiek jasnym jest jak na dłoni, że ani on nie wtrącił go do wody, ani on nie wyrwał haków z muru, aby wywołać upadek Pawełka z nieznaczej zresztą wysokości.

Taka była na trzeźwo pojęta geneza samoudręczeń Strumieńskiego, w których nie-małą rolę grało to, że on przecież nie wiedział, co i jak się to wszystko z Pawelkiem odbyło, i miał szerokie pole do domysłów. W głowie Strumieńskiego jednak żyły te domysły i kombinacje rzeczywistością psychiczną osobnego rodzaju (*vide Trio*): tam w istocie człowieczki działały na siebie tak, jak on mniemał, co potem po różnych zmianach wywołało rozkwit owego lasu cyprysowego, o którym jest mowa w ostatnim rozdziale.

Wiem, że ten mój trzeźwy protest przeciw zachowaniu się Strumieńskiego będzie rodzajem upokorzenia dla trzech czwartych moich czytelników, którzy, ulegając również sugestii faktów, ewentualnie tak samo by czuli jak Strumieński. Bo albo z dawnego punktu widzenia pojęliby chorobę Pawełka bezkrytycznie jako karę za grzechy i nie psuliby sobie głowy nad wykazaniem związku między grzechem a karą, albo też, pojmując sprawę nieco mistycznie, powiedzieliby, że lubo<sup>264</sup> ten związek w poszczególnych swych stadiach jest całkiem naturalny, pełen autonomii i nowych zaczęć, to jednak owa naturalność jest tylko pozorem, jest formą wcielania się cudu — a w tym wypadku kary. Przytaczam to raz dlatego, żeby pokazać, że znam te wykręty mające maskować dowolność interpretacji, po drugie dlatego, że i Strumieński uganiał po wertepach sumienia na koniku z tej samej mistycznej stajni. A dodać także muszę, że ów nagły wir sumienia w umyśle Strumieńskiego, o ile nie powstał szczerze, pod wpływem wyjątkowego zdarzenia, o tyle — z powodu niesprawiedliwości i kalumnii rzucanych niewdzięcznie i ślepo na najlepsze chwile w życiu, chwile wykluwania się nowych form — był naśladownictwem różnych

Grzech, Kara, Sumienie

<sup>264</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

objawów renegactwa i reakcji, których wówczas w życiu umysłowym Polski było pod dostatkiem.

Wracam do faktów. Z Pawełkiem nie było tak źle, jak się zdawało w chwilach gwałtowniejszego nacisku choroby. W parę dni gorączka ustąpiła, a Strumieński rozpoczął już zapominać (*sic!*) o swoich obietnicach, wymijając je w myślach jako nieliczące się na serio wybuchy (p. f.<sup>265</sup>).

Pewnego dnia o zmierzchu siedział przy łóżku syna, który właśnie przebył już najcięższą *krisis*. Ucichł hałas klekotki zwołującej ludzi z roboty. Pawełek zdawał się spać, obok niego na koldrze leżała ulubiona książka z obrazkami, którą dopiero co chciał przeglądać, ale daremnie, bo zamglonych oczu wyteżać nie mógł. W nogach jego kotek, widząc, że pan się nie rusza, uwolnił się z czerwonych wawozów koldry i wyskoczywszy na okno, mył trochę pyszczek prawą łapką, potem strzepnął nią, jakby chciał powiedzieć: „Et i takem dość ładny!” lub jakby wahał się, czy nie zostać tu, gdzie go lubią, lecz potem pomyślał: „Et, co mi po was, nie warto...”, zeskoczył w ogród i znikł.

Zmęczony czuwaniem nocnym Strumieński zdrzemnął się na sofie, wtem usłyszał jakiś szelest koło okna, a otworzywszy oczy, osłupiał. W oknie, tuż nad jego plecami, w obramieniu portiery kłęzczała na czworakach podobna do zwierzęcia straszna postać kobieca, odziana szmatami, jej rozczochrane rude włosy spadały z przodu tak, że zaledwie było można rozeznąć twarz z oczami, które chciwie patrzyły na śpiącego Pawełka. Strumieński uczył zimno w krwi i nie mogąc wydać pary z ust, cofnął się. Kobieta, nie zwracając na niego uwagi, dwoma susami jak małpa skoczyła z okna i usiadła w nogach łóżka Pawełka, chichocząc się do niego. Pawełek, zbudziwszy się, wydał przeraźliwy krzyk, poderwał się, skulił nogi pod siebie na poduszkę i wcisnął się w kąt łóżka. Odbył się to wszystko w kilku mgnieniach oka. Widząc taką pozę Pawełka, Pałuba wpadła w złość i chwyciwszy go, zaczęła mu targać włosy. Wtedy Strumieński wyszedł z odrętwienia; rzuciwszy się na obłąkaną, oderwał ją od Pawełka i zaczął się z nią szamotać. Przygniótłszy ją kolanem do ziemi, wołał na służbę, lecz tak słabo, jakby się znajdował w bezwładzie sennym i nie mógł z siebie głosu wydźwignąć. W końcu zaczął stękać, ale z bólu, bo wariatka kąsała go w dłonie tak, że musiał ją puścić i odtrącić od siebie. Chwyliła go za poję ubrania i rozdarła je. „Ty wariatko!” rzekł do niej ze spokojną wściekłością i podniósł pięść. Cofnęła się przed nim do drugiego pokoju, do którego i on wpadł za nią. W zmierzchu nie widział jej dokładnie, była dlań podobną fantasmagorią, jaką się chwytają we śnie, lecz wnet wezbrała w nim taka zajadłość przeciw temu nadzwyczajnemu zjawisku, jakby ono było uosobieniem wszystkiego, czego się bał i nienawidził. Odczuwając instynktownie jego furję, cofała się przed nim, ale zawsze wyzywająco, jak zwierzę. Potrzeba uporania się z nią sam na sam, bez dopuszczenia innych świadków, jakby z własną tajemnicą, zdecydowała się w nim od razu. Dlatego chciał ją uchwycić i opanować — lecz wpadła do trzeciego pokoju i zaczęła przed nim uciekać naokoło okrągłego stołu. Obiegli go z dziesięć razy, wtem ona, która się dotychczas wciąż za nim oglądała, wstrzymała się nagle, uchwyciła go i byłaby go pocałowała, gdyby ręką nie odepchnął jej głowy od siebie. Zetknięcie się fizyczne z tą istotą wyjętą poza nawias ludzkości tak nim teraz wstrząsnęło, jakby dotknięcie pająka — odrzucił ją znowu z całej siły od siebie w kąt pokoju. Zatoczyła się, upadła, potem wstała na klęczki, patrząc nań chytrym, błagalnym okiem. Wówczas zrobił to, czego by się po sobie nie był spodziewał i czego nigdy potem nie pojął — wyjął zza biurka dubeltówkę (zwykle nabijaną dla obrony domu) i nie chcąc badać, czy i teraz jest nabita, wymierzył lufy ku dziewczynie i krzyknął: „Widzisz, precz, bo cię zastrzelę”. Cofnęła się dalej, jednak nie ku wyjściu, lecz ku szafie, która tam stała, skrzyła kluczyk tkwiący w drzwiach szafy, wlaźła do niej, zagrzebując się w futrach i ubraniach, a drzwi szafy zostawiła otwarte. Nie odróżniał jej w ciemności, lecz słyszał śmiech, wtem za chwilę ujrzał ją wychylającą się spomiędzy zwałonych stosów ubrania — patrzyła ku niemu i zrobiła pewien wymowny zachęcający znak... Stracił panowanie nad sobą i strzelił z obu luf, nie badając, czy i która nabita. Ksenia wypadła z szafy, brocząc we krwi.

Szaleństwo, Kobieta,  
Mężczyzna, Ojciec, Syn,  
Walka

Morderstwo

\*

<sup>265</sup>p. f. — skrót od łac. *post factum*, tj. po fakcie. [przypis edytorski]

Kryminalne skutki tego zabójstwa Strumieński łatwo usunął nie dlatego, żeby się w nim nie zbudziła zaraz potem groza na widok prawdziwego mordu, lecz dlatego, że cała sprawa była tak dziwną, tak jego własną, że wołał się z nią sam rozprawić. Jednak nie żałował swego czynu, owszem oświadczył nim uczucie, jakoby zabijając Kseńkę, w sposób symboliczny ułagodził anioła stróża swych wyrzutów sumienia, pokazując, że dla niego, dla ekspiacji<sup>266</sup>, nie wahał się poświęcić tego, co najbliższe i najskrytsze. Podkładem tego uczucia było, jak się łatwo domyśleć, urojone wyobrażenie, że ta kobieta, która dawała rozkosz jego synowi, jest właśnie uosobieniem tajemnic rozkoszy, czymś oderwanym od Angeliki (patrz co do tego s. 359 w. 19 i n.<sup>267</sup>) — chociaż dopiero co, jak widzieliśmy, z innych względów służyła ta postać za uosobienie wszystkiego, czego się bał i nienawidził (co podcinało korzenie jego bytu duchownego).

Teraz jednak, gdy Pawełek do zdrowia przychodził, a trup Kseńki leżał w pewnej chacie chłopskiej, gdzie mieszkali jej krewni, przesiłiło się i w nim. Patrząc na trupa przez okno chaty, czuł w nim coś uroczystego, świętego niemal. Miał chwilę w życiu, w której niejako po przebyciu pewnego koła drugi raz był w tym samym punkcie: patrzył na nieruchomą tak jak na tamtą i przyszła mu na myśl wiara ludowa w wilkołaki. Kseńka Pałuba mogłaby mu się wydawać wilkołakiem Angeliki, niewyraźnym, biednym jej wcieleniem, które zabił, nie poznawszy jej. Prawie byłby kwiat rzucił na jej pierś, prawie byłby kazał sprawić jej lepszy pogrzeb, gdyby był tego całkiem pewnym. (Wiemy, że Pawełek po ujrzeniu Pałuby był niemal w tej samej sytuacji, chociaż także nie wierzył wprost). Ale Strumieński nie robił głupstw, żałował tylko po cichu, że wyobraźnia nie całkiem go pokonuje i przygniata. Nie mógł jednak sam siebie oszukiwać, bo wszakże słyszał o przeszłości zabitej, nawet przypominał ją sobie jeszcze jako dziewczynkę z czasów, gdy Angelika żyła w Wilczy — była to trudność nie do ominięcia. Znadto dobrze czuł jeszcze w tej chwili materialny nonsens, dowolność owej wilkołaczej hipotezy i dopiero później przemycił ją do swych myśli.

A pomimo ulegania uroczystym nastrojom dopuścił u siebie myśl: czy Kseńka była dość niebrzydka na to, by on nie potrzebował swego syna posądzać o „zły gust” lub nawet zboczenie (punkt wstydlivy)<sup>268</sup>. Wyczytywał w jej rysach, co mogło być nieprzyjemne, a co mogło pociągać tajemniczo, zauważał białe jak ser ciało rudej kobiety, grube ręce i piegi na twarzy, i wyobrażał sobie Pawełka duszonego w jej objęciach. Co on sobie będzie myślał, gdy się dowie, że ojciec zabił mu kochankę? Ten sam ojciec, który mu zabrał także tamtą pierwszą idealną Pałubę? Rekonwalescent Pawełek stał się dlań rezerwuarem zagadek, a przecież gdy zamilkło w jego ustach to, co było otworzone gorączką, na pozór był znowu tym samym. Nie mówiono mu nic o tym, co się stało, i on o nic nie pytał — a Strumieński nie wiedział, czy i jaki by diamentowy most rzucić teraz do duszy syna. Brakło mu odwagi, bo jako ojciec nie mógł zapewne mówić doń tego, co by należało powiedzieć, a zresztą na szczęście wnet stracił go z oczu.

\*

Jest zwyczajem literackim, że każdy pisarz, przeprowadzający w swym dziele jakąś ideę, ujmuje ją w pewien symbol, który umieszcza na tytule dzieła, aby wbić w pamięć czytelnika to, co chciał wyluszczyć. Korzystając z tego prawa, nazwałem swoją powieść *Pałubą* — od tego momentu, w którym rozchwianie się tematowości w życiu uderzyło w Strumieńskiego żywiołową, brutalną potęgą. Użyłem także nazwy: pierwiastek pałubiczny, chociaż wcale nie mam pretensji, by ją przyjęto powszechnie, bo sam uważam ją

<sup>266</sup>ekspiacja — pokuta, zadośćuczynienie, odkupienie winy. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>czyms oderwanym od Angeliki (patrz co do tego s. 359 w. 19 i n.) — autor w ten sposób opatrzył odsyłaczami wewnątrztekstowymi pierwodruk swej powieści; tu na odnośnej stronie znajduje się fragment: „czyż jego późniejszy kult Angeliki był rzeczywiście kultem jej samej, najsamszej? (Błąd, hipostazja jednolitego, transcendentalnego „ja” zamiast „ja” empirycznego, złożonego)” (rozdział XVIII). [przypis edytorski]

<sup>268</sup>pomimo ulegania uroczystym nastrojom dopuścił u siebie myśl (...) by on nie potrzebował swego syna posądzać o „zły gust” (...) — [Komentarz autora z *Uwag*.] Podobną trudność znajduje Strumieński, chcąc przystosować do siebie szablony wynikłe z pojęcia arystokratyzmu [por. rozdział VIII: „wynosząc czyn i siłę na tron w przeciwieństwie do nieproduktywnej myśli (...) z rupieci wyszukano sobie i zrehabilitowano ideę czystej rasy, ideę arystokratyzmu jako reprezentanta siły. (...) Wprawdzie przeszkadzało mu to, że sam nie był potomkiem szlachetnego rodu ani nawet bękartem, no ale o tym już ludzie zapomnieli, zresztą mógł siebie uważać za jeden z tych świeżych soków, którymi się zasila stara, dobra rasa”; red. WL]. [przypis autorski]

tylko za przejściowe ukształtowanie się mego sposobu patrzenia na świat. Zamiast mówić „pierwiastek pałubiczny” mogłem powiedzieć także pierwiastek rektyfikacyjny, demontujący, ale zdawało mi się, że rzecz straci wskutek naukowo-tchórzliwie-przyzwoitego określenia to, co samo nie jest do niczego podobne, powinno mieć także nazwę do niczego niepodobną, dziwą i dziwną, nieuczesaną i nieprzyjemną — niewygodną do użycia, ale przeto i niedającą się zatrzeć monetą. „Pałuba” jest symbolem wszystkiego, co łamie urojoną linię wypadków od zewnątrz lub od wewnątrz, w formie brutalnej i niebezpiecznej albo wstydlivej i zawstydzającej, wszystkiego, co w człowieku jest wątpliwością i niepewnością, wyrzutem sumienia i poczuciem inkongruencji, grzechem przeciw Duchowi Świętemu i jego głosem zarazem, zleceniem z wieży egoizmu w potworną przepaść szczerości, przecięciem nerwu z sobą samym, a uczuwaniem nerwu świata — to symbol tych chwil, w których umysłowo traci się grunt pod nogami, najlepszych i najbardziej wartościowych w życiu, chwil największej przykrości i największego skupienia, chwil nagłego rozszerzenia horyzontu, chwil rozczarowania jako źródła nowych czarów, chwil hiperemocij i hiperoryginalności.

O jakże wymowny jestem w opiewaniu wariackich wdzięków Pałuby — Ty Bogini Rzeczywistości, która swój haracz po cichu wybierasz, Ty Mgło mistyczna na śnieżnych Montblancach myśli...

Lecz cicho, bo poprzez te litanie już mi pod ręką za banalnym się stało to nowe pojęcie i prawie tęsknię do tego, by się go pozbyć, tak żeby nie powiedziało: ja ciebie sam ode mnie uwolniłem.

## XXI. OSTATNIA WIEŻYCZKA NONSENSU

Zdążam do końca mojej rozprawy.

Ludzie dojrzały, doświadczeni, którzy nieraz zetknęli się z pierwiastkiem pałubicznym, nabywają pewnego wewnętrznego cynizmu i stają się zarozumiałcami. Uostrożnili oni swoje programy albo zrezygnowali na wszystkich polach — wyjąwszy na egoistycznym, i pomimo wszelkiego respektu dla urzędowego myślicielstwa mają na ustach i w sercu specjalny uśmiezek: oni to wiedzą lepiej, oni nabyli pewnej miary kontrolującej, która ich nigdy nie zawodzi, nie zajmując się nigdy filozofią, mają pretensję do posiadania esencji z filozofii. Tak to człowiek bierze sobie zapłatę za własne rozczarowania. Ale od poezji żądają, by była inna, świetlana, prosta, bosko-naiwna, by nie znała pałubicznych tajemnic życia, zupełnie tak, jak się to dotychczas działo z kobietą, której dlatego nic nie uczono, przed którą nieraz rzeczy najważniejsze dlatego ukrywano, żeby pozostawała niby aniołem, pocieszycielem, ziemskim wcieleniem ideału, „lepszym ja” mężczyzny itd. — a ten anioł bywał tylko kucharką i torbą na dzieci. Czyż jednak tzw. poezja jest naprawdę kobietą, a nie mężczyzną? Tylko zazdrość daje poezji synekurę<sup>269</sup> w niebie i we wszelkich „idealnych” regionach, aby nie odkrywała pierwiastka pałubicznego; ten na swą wyłączną zdobycz oni chcą zachować, a z poezji w duchu, choćby nieświadomie, podrwiwać sobie, że jest tak pocziwą.

Strumieński stał się jednym z takich doświadczonych sybarytów. Mniemał, że widział rzeczy, o których się filozofom i poetom nie śniło, a ponieważ jak wielu ulegał szablonowej potrzebie dzielenia życia ludzkiego na fazy, epoki, twierdził więc sobie, że oto dla niego teraz nadszedł wiek dojrzały, który cechuje się właśnie upokorzeniem człowieka na wszystkich punktach.

Można powiedzieć (naturalnie biorąc w myśli z góry poprawkę), że starsi ludzie, mający więcej wolnego czasu, jeżeli nie oddadzą się rozpuście w różnych formach, zużywają nadmiar swoich sił umysłowych w dwóch kierunkach: są albo politykami, albo już to jawnymi, już to skrytymi artystami. Nie idzie o to, by sami byli działaczami na jednym lub drugim polu, idzie głównie tylko o kierunek ich zainteresowań. W tym drugim typie pozostał Strumieński, tylko że od sztuk pięknych zwrócił się więcej ku literaturze, bo w niej łatwiej znajdował odłamki i tony ze swego życia.

Równocześnie w sferę swoich umysłowych zajęć wciągnął Strumieński w jeszcze większej mierze nauki przyrodnicze: to znaczy sprowadzał dużo popularnych książek z te-

<sup>269</sup>synekura — dobrze płatne stanowisko, które nie wymaga wielkiego wysiłku ani umiejętności. [przypis edytorski]

Wiedza

Poezja, Kobieta

Starość, Dorosłość,  
Polityka, Sztuka

go zakresu i gustował w nich. Już sama obecność tych dzieł w bibliotece była dlań sojusznikiem jego dalszych nieczystych sprawek, tworzyła rezerwę, w której spodziewał się zawsze znaleźć takie dowody lub uspokojenia, jakich by potrzebował.

Jedno szczęśliwe opanowanie finansowej sytuacji w Wilczy, które, jak mu się nieśluszenie zdawało, zawdzięczał oszachrowaniu młodego Mariusza na kupnie Smolówki, sugestionowało mu także w innych postępkach pewne cyniczne zuchwalstwo. A więc nie tylko utrzymywał dalej stosunek z Pauliną, ale spotkawszy w jakimś mieście Berestajkę, przy szampanie odnowił z nią znajomość. Ola rezydowała w pałacu, a Paulina we dworze. Mimo koniecznej pozycji zdradzanej i przebaczonej małżonki, znajdowała Ola pewną przyjemność — której się wstydziła — w roztaczaniu kurateli nad obojgiem grzeszników, w porozumiewaniu się z uległą Pauliną co do obchodzenia się z Strumieńskim — ona sama potrzebowała dla swoich kaprysów osoby, która by przed nią drżała, czuła się winną, i pomagała jej w strojeniu i podziwianiu panienek Strumieńskich. Toteż gdy Paulina wyjeżdżała — gdzieś daleko do swych krewnych, chcąc się tam wydać za męża na podstawie posagu, który jej zapewnili oboje Strumieńscy — pani Strumieńska uczuła pewną przykrość i żal, żegnała ze łzami biedną sierotę, a mężowi zarzucała niewdzięczność względem „tej istoty”.

Życie Strumieńskiego coraz bardziej powtarzać się zaczęło. W tych samych ramach, te same osoby i stosunki, a większa część głównych kombinacji już była wyczerpana. Gwiazda miłości tajemnicza, która oświecała jego młode lata, zbladła zupełnie. Doszedłszy na szczyt jakiejś wysokiej góry, drogą pełną wabiących kwiecistych widoków i niespodzianek, ujrzał po drugim stoku monotonną, szeroką płaszczyznę, a na jej granicach groby i kości ludzkie. Granica ta przybiegła ku niemu prędzej, niż się spodziewał.

Pawełek wbrew obawom ojca rósł na dzielnego chłopca. Wprawdzie poznawszy „miłość”, kochał się teraz w spotykanych ideałach platonicznie, ale z więcej realnym podkładem marzeń, lecz porzuciwszy narzucone mu przez ojca malarstwo, oddawał się z furją, właściwą jego wiekowi, wszelakim sportom, do czego go Strumieński sam zachęcał. Ileż razy mama przestrzegiała: „utopisz się, spadniesz, zastrzelisz się!”. I „sprawdziły się” jej przepowiednie. Wyjechał raz w pole na niesfornym koniu, który nie słuchając nieumiejętnego jeszcze jeźdźcy, powrócił galopem do stajni, a Pawełek siłąc się wciąż, by zmusić konia do posłuszeństwa, zapomniał uchylić głowy, zawadził nią o bramę stajni i rozbił sobie czaszkę.

Ze śmiercią Pawelka dokończył swego dzieła przypadek, ten mistrz nihilista, wyszły z łona natury, który wszystkie zdarzenia na świecie sprowadza i zubożętnia do jedynie prawdziwego mianownika bezimienności, kończąc zaś, uwięził je skrycie błyszczącą koroną sznyderstwa, gdyż ów koń, który uniośł Pawelka, nazywał się Angelo (o czym zresztą Strumieński nie wiedział).

Powoli, po przebyciu bólu po stracie nieocenionego chłopca, umysł Strumieńskiego wrócił znów do równowagi, odzyskał znów zaufanie do dawnych myśli, których nic już pokrzyżować nie mogło. Zmarły Pawełek był mu jeszcze droższym niż żywy — ten drugi — trzeci — czy czwarty grób nadawał jego życiu wyższą, cmentarną jedność, w którą ledwie się wierzyć ośmielał, bojąc się, czy się nie mylił, wiedząc, że się mylił. Postać Pawelka stała mu się tak legendową jak postać Angeliki — i kiedy pękło to ostatnie naczynie jego tajemnic z Angeliką, wydało mu się, że cała przeszłość jego leży teraz przed nim, jakby dramat kierowany dłonią niewidzialnego reżysera, który ma w tym jakiś cel — jaki, o to nie pytał. Uwiedziony nadzwyczajną, chociaż pozorną tylko symetrycznością zdarzeń, łączył ich punkty szczytowe liniami, tworzył historiozofię własnego życia, doszukiwał się w nim pseudozwiązków, którymi się upajał. Takie myśli jego rosły na cmentarzach przeszłości obficie jak las cyprysów, a ponad tym lasem od grobu Angeliki do grobu Pawelka rozpinana się tęcza, której drugie półkole gdzieś także być musiało. Bo czyż Pawełek nie był wyraźnie synem jego i Angeliki? Czyż ona, objawiając się na ziemi pod różnymi postaciami, nie zabrała go w końcu do siebie jako swojej własności? Czyż jej obraz cudowny nie dotrzymał tego, co obiecywał? Czyż nawet i owa Kseńka-Paluba nie należała do tego samego koła? Czy przez nią obłąkana Angelika na znak przebaczenia nie wróciła do niego, do nich — ona matka, a zarazem kochanka? Tu czuł jakiś nonsens o zabarwieniu kazirodczym, ale omijając go, stawiał dalej pytania retoryczne, bo to była najbezpieczniejsza forma tych myśli: czyż blask bijący z centrum koła nie padł

Śmierć, Los

Śmierć, Ojciec, Syn,  
Kochanek romantyczny,  
Marzenie



nawet na Berestajkę, nawet na Olę, nawet na Paulinę? A gdy zbyt niewyraźną była ta mowa ducha, czyż nie potwierdziła śmiercią Pawełka wilkołaczej misji Pałuby? O te runy na grobach wzajemnie się uzupełniające! O, tu był wir niedopowiedzianych, pozostawionych na krańcach możliwości cudów, wir objawień i dalekich znaków, w którym jego umysł kąpał się i tonął z rozkoszą, tu był początek jakiejś szalonej i wzniosłej orgii wszystkich ze wszystkimi, w pośrodku której królowała Angelika.

Słyszał wówczas niejako szum idei przelatujących nad nim, niejako zgrzyt olbrzymich wypadków, zahaczających się z sobą w głębiach kosmicznych... Włosy na skroniach podnosił mu zimny powiew, powieki rozwartych oczu drgać przestawały...

Sprawa Angeliki wstąpiła w stadium najwyższego, nienaruszalnego już uduchowienia.

Cieszył się więc, że zataił jej obraz i pozostał z nim sam. Postanowił żyć dalej tak jak dotychczas i czekać, „co zmienne jutro przyniesie”, lecz postanawiał także — że kiedy i na niego powonie chłód śmierci, to on rozwiesi jeszcze raz naokoło siebie wszystkie obrazy swej ubóstwianej pierwszej żony, pograży się jeszcze raz we wszystkie wspomnienia, zapali rubinowe światło przed jej cudownym obrazem i na rękę duchów przepłynie w ten kraj, gdzie wreszcie zobaczy, jak to tam jest po drugiej stronie kanwy<sup>270</sup>.

KONIEC

*Pierwszy manuskrypt skończony 31 sierpnia 1899; drugi 12 lipca 1902.*

---

<sup>270</sup>jak to tam jest po drugiej stronie kanwy — [Komentarz autora z *Uwag*.] Zakończyłem słowem „kanwa”, robiąc aluzję do znanego zdania Słowackiego: „Ten świat to dywanik na wywrót widziany, gdzie różne nitki wylażą i giną niby bez celu, a patrzący z tamtej strony widzi kwiaty i rysunki”. Oczywiście, że zdanie to jest mylne, a obiektywne wykazanie jego mylności jest niemożliwe i niepotrzebne, skoro wystarczy rozświetlenie genezy takiego błędu od strony subiektywnej: polega on mianowicie na sugestii przez porównanie lub przez tajemniczość (por. uwaga do [rozdziału VIII do słów „co dla Hamleta było chwilowym powiedzeniem”; red. WL]). Łączenie faktów dowolnymi liniami, byle z tych linii utworzyła się jakaś figurka, jest zabawką, której dlatego nie chcę nazwać poetyczną, żeby nie robić wstydu poezji. Zamiast badać prawdziwe związki, wyszukuje się pseudo-związki, traktuje się pismo wypadków niejako kaligraficznie, robi się tak, jak robi np. dziecko, które widząc grecki tekst *Iliady*, zachwyca się tylko ładnymi, niezwykłymi literkami, a nie sensem tych liter. Pierwiastek konstrukcyjny odnosi w końcu nad Strumieńskim zwycięstwo, ale nie dziwny mu się. Gdybym jeszcze przed wyjściem *Pałuby* wziął 15 naszych literatów na klauzурowe zadanie i opowiedział im w krótkości fakty *Pałuby* bez komentarzy, kazał im na podstawie tych faktów napisać poemat, z pewnością każdy pojąłby rzecz tak samo jak Strumieński, dodając tylko jeszcze więcej mistycznego sosu. Eksperyment ten można zresztą w każdej chwili wykonać, jeżeli nie na literatach, to na ludziach z przeciętnej naszej inteligencji, bo ci mają głowy napchane takimi samymi szablonami jak poeci. (W miesiąc później). A czyż nie mają? Wszak dopiero co byłem mimo woli świadkiem rozmowy między dwoma technikami, w której padły takie słowa: „Niemiec, głowa teoretyczna... jak wymierzy... nie załamie się... ale za to jak ja sobie na oko, *czuciem*... ale my, Polacy, jak co zrobimy, to na miłą odlećmy od Niemca...” (Etnograficzne oklepanki; por. [rozdział VII „skaziła naszą rodzimą, polską atmosferę jakąś niesympatyczną, niemiecką domieszką, której on z siebie teraz otrząść nie może”; red. WL]). Albo to ciągle bredzenie na temat myśli i czynu już uszami się przelewa. Do kroćset diabłów! Człowiek ma wrażenie, jakby żył wśród samych pozytywek. Czas najwyższy, żeby ktoś palnął pięścią w stół i krzyknął: „Głupstwa gadacie!”. [przypis autorski]

# WYJAŚNIENIE SNÓW MARII DUNIN I ZWIĄZEK ICH Z PAŁUBĄ

Co, komentarz? A przecież dzieło sztuki powinno mówić samo za siebie. Zdaje mi się, że tego przesądu po tym, co powiedziałem w *Palubie*, zbijać nie potrzebuję. Tzw. dzieło sztuki, o ile robione jest pod naporem wewnętrznej potrzeby, a nie z myślą „obdarzenia ojczystej literatury nowym arcydziełem”, o tyle jest tylko śladem, echem przełomów w duszy „twórcy”. Ślad może być niepełny, niedopowiedziany, bo to, co jest dla autora najważniejsze, najciekawsze, rozegrało się poza utworem. Ponieważ zaś w całej mojej książce idzie mi o przeniesienie punktu ciężkości z utworu do aktu powstawania utworu, więc jeżeli wyjaśniam czytelnikom łamigłówki *Snów Marii Dunin*, to nie tylko w celu wspomnienia ich niedomyślności, lecz także ażeby „zdiskredytować” tajniki twórczości — przynajmniej własnej. Być może, że w ten sposób pozbawiam *Marię Dunin* poetycznego uroku głębokości, tajemniczości, że niejeden, przeczytawszy moje wyjaśnienie, odcznie i powie: „No, chwała Bogu, że tam nic więcej nie ma!”, ale nie zależy mi nic na takim śmiesznym nimbie, który polega na dobroduszości czy próżniactwie umysłowym czytającej rzeszy, przyzwyczajonej do innej lektury.

*Maria Dunin* jest palimpsestem, to znaczy tyle co mistyfikacją. Palimpsestem nazywają historycy pergamin, na którym wymazano jakieś pismo, aby na tym samym pergaminie napisać coś innego; w nowszych czasach udawało się za pomocą środków chemicznych wydobywać owe pierwotne pisma, wsiąknięte w pergamin, a wówczas pokazywało się nieraz, że dawniejsze pismo zawiera treść ważniejszą niż nowsze. Podobnie jest w *Marii Dunin*. Autor wypowiada oficjalnie przekonania, pod którymi należy dopatrywać się innych jego przekonań, wręcz przeciwnych tamtym. Ponieważ zaś przy końcu autor nawet i te drugie przekonania ujmuje w cudzysłów, przeto można powiedzieć, że *Maria Dunin* jest palimpsestem do kwadratu.

Przed wszystkim *Maria Dunin* napisana jest w charakterze opowiadającego, z którym autor się nie solidaryzuje, owszem stara się go tak skompromitować, jak on kompromituje *Marię Dunin*. Bohater mój, archeolog i, jak się z przypadkowego niby napomknięcia dowiadujemy, doktor, opowiada swoje przygody źle i fałszywie, opuszcza czasem najważniejsze szczegóły, przemilcza lub przekręca wszystko, co by nań mogło rzucić niekorzystne światło, chociaż wciąż mimo zastrzeżeń zdradza się z zawiścią do *Marii Dunin* i z różnymi nieładnymi przymiotami. Tu jest też źródło wielu jego sprzeczności z sobą samym. Raz np. powiada, że *Maria* była prześliczna, zaraz potem to cofa, osłabia, w końcu jest łaskaw przyznać, że „pierwsze wrażenie było istotnie bardzo silne”. Sam zmysłowy i lubieżny, zarzuca *Marii*, że mówiła rzeczy „dwuznaczne” (ustęp II), a potem (w ustępie V) pokazuje się, że ona nie miała pojęcia o tym, o co on ją podejrzewał. *Marię* chciałby przedstawić jako dekadentkę, jako okaz patologiczny, aby się przy tym popisać swoją trzeźwością i rozsądkiem; jest to zarazem jego sposób ratunku i on bowiem później rad by brać udział w tym dziwnym życiu, do którego należy *Maria Dunin*. Spotyka go los zapowiedziany we śnie w ustępie I: że goni za głową bez ciała, głową, która wypowiedziała tajemnicze słowa. Jego własną winą jest, że nie dorósł do snów *Marii Dunin*, nie miał w sobie analogicznego żywiołu i zaraz z samego początku nie docenił jej, gdy miał sposobność stać się jej partnerem. Stąd jego nienawiść. W ustępie III wspomina o patologicznym podkładzie jej snów, lecz jest łaskaw pominąć tę sprawę z szacunku dla *Marii Dunin*, którą „bądź co bądź jakiś czas kochał i szanował” — po cóż w takim razie w ogóle o tym mówi? Kiedy (w ustępie V) musi wspomnieć o swoich zabiegach uwodzicielskich, czuje, że tu jest słaby punkt, i z góry usprawiedliwia się i polemizuje — a potem, wbrew zasadzie, że w domu powieszzonego nie mówi się o stryczku, cieszy się, że swego „honoru” wówczas nijak nie nadwerżył. Gdzie może, tam napomyka, że się w nim panny kochają, tak *Maria*, jak i *Hermina*. Np. w ustępie I: „postanowiłem odwzajemnić jej gorącą miłość”. Wciąż przedstawia rzecz tak, jakby to on był bardzo smacznym kąskiem dla *Marii Dunin*, a tu później pokazuje się, że ona go lekceważyła i że raczej on zabrnął w miłości po uszy, chociaż potem orzekł, iż to nie była „wielka i prawdziwa miłość”. Ale przecież ma on rodzaj sumienia, bo nie tylko zdradza się często, ale widocznie bierze sobie zarzuty

do serca i uznaje za stosowne jakoś się z nimi załatwić. Autor zauważa jeszcze, że jego bohater bardzo często wypada z roli i że charakter jego w całości nie jest ściśle przeprowadzony, lecz tylko zaznaczony. Jest to konieczny błąd, który pojmie każdy piszący; musiałem bowiem owego doktora wyposażać i lepszymi conceptami. Zresztą wchodzi tu w grę jeszcze jedna obszerniejsza instancja, o której jest mowa na końcu noweli, gdzie autor sam odsłania swój stosunek do całego dzieła.

Teraz kilka uzupełnień faktycznych. Częścią uzupełnień, a częścią przyznań się autor-skich. Autor sam nie wie, która z hipotez archeologa ma być prawdziwą, i przyznaje się, iż w ciągu pisania pomysł o snach kilkakrotnie dobierał sobie innych podstaw — wszelką niejasność zaś można było zwalić na doktora archeologii. Przechyla się jednak autor do następującego sposobu powiązania tajemniczych napomknien dotyczących snów Marii Dunin. Ongiś zastrzelił się jakiś mnich, filozof światoburca, zakochany w kobiecie, którą sobie uroił w swej wyobraźni, po nim pozostały jego sny, blakając się po świecie i szukając duszy, w której by się mogły zagnieździć. Taką duszą jest Maria Dunin. Ale na razie sny działają słabo, ogólnikowo, dlatego być może, że gdyby doktor miał w sobie żywioł skłonny do ostateczności, byłby mógł z początku stać się partnerem Marii. Pojawia się książka mnicha, sny Marii się wyjaśniają, indywidualizują, równocześnie zaś tworzy się przez te sny jakby podziemny kanał między światem a zaświatem. Przyczynia się do tego i Bractwo, używając Marii za szpiega, który ma się wywiedzieć, czy poza światem przygotowuje się jakiś zamach na świat czy nie i w jaki sposób raz na zawsze można by zapobiec światoburstwu z zewnątrz. Ale zamiast coś wyszpiegować, Bractwo popadło w niebezpieczeństwo, bo przez otwartą furtkę wdziera się złowróbnny powiew. W Hali Manometrów dzieją się dziwne nieporządki, ciśnienie nieznanego *fluidum* dochodzi do tak niebywałej wysokości, że to zaczyna przerażać tak wytrawnego maszynistę jak pan Acheronta Movebo. Teraz doktor ma sposobność wyświadczenia usługi Bractwu, od którego otrzymuje list następującej treści (koniec ustępu IV):

„Zrobiliśmy głupstwo, wracaj koniecznie, w Tobie ostatni ratunek. Ufamy Ci jako prawdziwemu opryszkowi. Co się tyczy Marii, to na wszystko pozwalamy”.

Pojmujemy teraz, z jakimi zamiarami zbliża się doktor do Marii w ustępie VI po nieudanych zalotach opisanych w ustępie V, poznajemy także, jak wiarygodne jest jego opowiadanie. Ujrawszy z bliska jej stan senny, cofa się doktor, przerażony czy też oszłomiony. Wszystko to śledzi Acheronta Movebo, którego mój bohater ze zdziwieniem spotyka w podziemiu. Acheronta, widząc, że nie ma innej rady, postanawia teraz przekonać się, czy niebezpieczeństwo, o którym ostrzegają manometry, jest w istocie tak groźne. W tym celu zwołuje posiedzenie, na którym kółko odnoszące się do Marii (to jest zamilczone<sup>271</sup> w tekście) napełnia się krwią, wskutek czego Marię skazują na śmierć. Wyrok wykonuje sama natura, tak jak natura zdradza Bractwu, gdzie grozi niebezpieczeństwo.

W końcu sprawa najważniejsza: co ma oznaczać Wielki Dzwon? Jaki ma cel Bractwo skupione pod jego godłem? Otóż wprawdzie trzeba wiedzieć, że moja nowela powstała z dwóch źródeł. Jedno fantastyczne, którego najważniejszym darem jest pomysł co do sposobu śnienia Marii Dunin — bez dalszego znaczenia; drugie ideowe, które mnie zasilalo dopiero podczas pisania, a którego wpływ zaraz wyjaśnię. *Maria Dunin* należy do tego okresu mego rozwoju intelektualnego, kiedy byłem pogrążony w atmosferze idei Ibsena i Nietzschego, którzy żądali od człowieka ostatecznej, jak najdalej idącej konsekwencji jego ideałów. Tak na mnie działał np. *Brand* Ibsena, którego potomkiem jest bohater mego wiersza pt. *Chrystus z Oberammergau*. Wiersz ten napisany 10 lat temu ma taką treść, że na pasywnym widowisku w Oberammergau nagle pewien człowiek wchodzi między aktorów i zamienia kłam przedstawienia w krwawy dramat na serio: wtłacza sobie cierniowy wieniec w skroń i każe się przybić do krzyża prawdziwymi gwoździami, cel zaś tego czynu tak tłumaczy:

...Bo ja niebo wam tu nagnę,  
Nie wejdę doń sam,  
Cała ziemia się odnowi,  
A Ty odśłoń twarz,  
Jeśliś jest, daj znak ludowi,

<sup>271</sup>zamilczone — dziś popr. forma: przemilczane. [przypis edytorski]

Nie wiem już, pod wpływem czego powstała też wówczas we mnie teoria, że niektóre ideały, dalej nauki, wreszcie miłość i poezja mają w sobie pierwiastek odśrodkowy, bo wzięte na serio i przeprowadzone aż do końca musiałyby zniszczyć człowieka. W mojej noweli jest jednak mowa nie tylko o zniszczeniu jednego człowieka, ale i całego świata: przypuszczam tam bowiem istnienie pewnego metafizycznego *fluidum*, rozlanego wszędzie, które „kiedyś na małym punkcie wstrząśnięte dźwiękami zbudzonego Dzwonu może zapłonąć i świat rozsądzi”. Jest to tak pomyślane, że ideał w jakimkolwiek zakątku świata konsekwentnie spełniony wydaje z siebie iskrę zdolną zapalić owo *fluidum*. Hipoteza, że zdarzenia umysłowe mogą oddziaływać na świat zewnętrzny i rozluźnić go, zaczerpnięta jest z Schopenhauera, a raczej z *Homunculusa* Hamerlinga, w którym to poemacie wszyscy ludzie postanawiają w myśl teorii Schopenhauerowskiej wywołać w sobie równocześnie żądę niebytu i tak „wołę zaprzeczyć”. Maria Dunin ma być właśnie symbolem pierwiastka odśrodkowego, przemytnikiem, łącznikiem obu światów.

Z pierwiastkiem odśrodkowym walczy jednak pierwiastek dośrodkowy, instynkt samozachowawczy ludzi i świata. Świat wytrzymuje tylko pewne maksimum brania rzeczy na serio, w ostatecznej bowiem chwili działa wentyl, który nadmiar wyrzuca, a ideał redukuje do przyzwoitej miary. W człowieku kłapa bezpieczeństwa działa na dnie jego sumienia, jest to jego *sanctissimum*, w którym on szachruje niepostrzeżenie. A zwłaszcza ludzie, którzy najwięcej biją w Wielki Dzwon<sup>272</sup>, więc myśliciele (tacy jak Nietzsche, Ibsen, Schopenhauer) i poeci — u tych funkcjonuje kłapa bezpieczeństwa najwybitniej. W rozstrzygającej chwili cofają się oni przed konsekwencją i mordują Marię Dunin w sobie. Naturalnie w świecie psychicznym odbywa się funkcjonowanie wentyla mniej lub więcej nieświadomie. Bractwo W. D. zaś jest jakby uświadomionym działaniem tego instynktu samozachowawczego natury ludzkiej, jego hipostazą, najwyższym centralnym urzędem. Pod tym względem ważna jest przemowa Acheronty w ustępie VII. Posiani są na granicy Ziemi na straży, mają za zadanie nie dopuścić do spełnienia się ideałów, do konsekwencji. Jest to symbol wspólnego spisku wszystkich ludzi<sup>273</sup>, nieumówionej tolerancji na pewnych punktach (wzajemne klepanie się po ramieniu). Więc ludzie to klapiarze, a idealisci między nimi to hiperklapiarze. Zajmują się oni szukaniem Dzwonu niby bardzo na serio (objaśnienia Herminy w ustępie VII), piszą na ten temat dzieła, zarzucają drugim brak wiary, łożą energię i pieniądze na wielkie cele, ale tak bardzo w istnienie owego dzwonu przecież nie wierzą. Mimo niewiary jednak miota nimi wciąż obawa: „A nuż jest ów Dzwon?” i stąd eksperymentu Acheronty z Marią i odwracanie niebezpieczeństwa za pomocą wyroku śmierci. Maria umiera „na truciznę z własnej krwi przyrządzoną”, to znaczy, że *fluidum* ogranicza się na zniszczenie jej samej tylko. Tak się dzieje z przemytnikiem Marią, z innymi łatwiejsza sprawa: „zsyła się ich na pożyteczne zabawki do dzwonnicy” (poezja, filozofia). Wyrazem tych pozornych sprzeczności w zadaniach Bractwa jest przemilczana w tekście rota przysięgi, która by tak opiewała: 1) Masz szukać Dzwonu. 2) Nie wierzyć w jego istnienie. 3) Cofać się w ostatniej chwili przed możliwością odszukania go i zatykać szpary, którymi by się mogły przedostać powiewy z tamtej strony.

Nowela moja jest palimpsestem, to znaczy, że ja stoję niby przeciwko Bractwu po stronie Marii Dunin i stawiam mojego bohatera pod pręgierzem. Ale w ostatnim ustępie

Niebezpieczeństwo,  
Idealista

Idealista, Sumienie, Pozory

<sup>272</sup>Wielki Dzwon — niestety, nazwę „Wielki Dzwon” zawdzięczam Niemcom. Po pierwsze wzięta ona jest z popularnego wyrażenia: „Die Sache an die grosse Glocke hängen” [niem. rozgłaszać coś, krzykliwie obwieszczać, wyjaśniać; red. WL], które zawiera odcień ironiczny, niedowierzający; po drugie na pomysł o Dzwonie wpadłem, gdy się dowiedziałem, że Hauptmann napisał *Dzwon zatopiony*, i starałem się wykombinować, co on tam mógł powiedzieć. [przypis autorski]

<sup>273</sup>symbol wspólnego spisku wszystkich ludzi — technika tego symbolu na wzór słynnej sceny z *Peera Gynta*. Inne wpływy: *Gulliver* Swifta, dzieła Poego. W tytule nawet echo z Poego (*Tajemniczy zgon Marii Roget*). A chociaż Poe’owskiego *Gordona Pyma* nie znałem jeszcze wówczas, gdy pisałem *Marię Dunin*, mimo to uważam mój rysunek kopalni Dzwonu oraz rysunek *B. W. D.* wprawdzie nie za naśladownictwo szczegółu o tajemniczych podziemiach z *Gordona Pyma*, ale za coś więcej niż przypadkowe podobieństwo: za przykład tego psychicznego objawu, iż można się mimo woli tak przejąć czyimiś pomysłami, że potem oryginalnie wytwarza się pomysły te same albo pasujące doskonale do tego samego *genre’u*. I w *Patubie* jest jeden wpływ z Poego: mianowicie najogólniejszy schemat fabuły przypomina jego nowelę pt. *Morella*. [przypis autorski]

zawarty jest najwyższy atut: że właśnie ja, pomimo iż demaskuję klapiarstwo, pomimo pozoru największego przemytnictwa, przecież sam jestem klapiarzem, sam niejako przez to zdradzenie tajemnicy wypraszam dla siebie dyspensę. Przyznaję się tedy i ja, że należę do Bractwa, przed którym w ogóle nie ma ucieczki.

Tego ostatniego atutu nie trzeba brać bynajmniej za romantyczną autoironię, raczej już chyba za pozę autorską. W pozie ma też źródło fakt, że *Maria Dunin* napisana jest techniką posługującą się wciąż tajemnicami, niedopowiedzeniami: jakby autor na każdym kroku obawiał się powiedzieć za dużo, jakby się wstydził przyznawać do wspólności z Bractwem, a chcąc się przecież zwierzyć, osłaniał swą tajemnicę przed tłumem fantastycznymi szopkami, tak żeby tylko najlepsi zrozumieli wstyd i ból jego serca. Zdawało mi się naprawdę, że taka technika odpowiada właśnie idei *Marii Dunin*, i chciałem odkrycie tego związku między techniką a ideą pozostawić wężowi recenzentów i filologów, którzy być może kiedyś wpadliby na ten dość skomplikowany koncept i uwierzyliby w niego. Ale ponieważ chcę burzyć kabalistykę filologiczno-poetyczną, więc oświadczam, iż podczas pisania wcale się jakiegś tam teoretycznej wspólności z *B.W.D.* nie wstydził; do takich abstrakcyjnych grzechów przyznawać się to wcale nie sztuka. Tajemnicza technika *Marii Dunin* pochodzi tylko z lubowania się w fantastyczności, w baroku.

Najważniejszym błędem (orientacyjnym — a te są najważniejsze!) *Marii Dunin* jest to, że tzw. ideał pojęty jest tu całkiem mglisto, bez zastosowania — ot, zwykły sobie rekwizyt poetycki, straszdyłło na wróble, a raczej na słowiki Apollina. Takimi rekwizytami posługują się wszyscy terazniejsi wielcy poeci, i nasi, i obcy, a ponieważ autor *Marii Dunin* chciał przed 6 laty robić według sławnych wzorów także różne sławne rewelacje o ideale, sile, niemocy itp. „najważniejszych sprawach człowieczeństwa” (z których sobie człowieczeństwo całkiem słusznie nic nie robi), więc pobawił się znowu symbolami — przynajmniej własnego wyrobu.

W przeciwieństwie do *Marii Dunin*, *Patuba* nie wdaje się w żadne mistyfikacje; autor pisze niemal przed oczyma czytelnika, pokazuje mu wciąż: „popatrz, jak ja to robię”. Ideowej łączności *Patuby* z *Marią Dunin* odkryć nie trudno. *Patuba* jest niejako wykonaniem programu, wypełnieniem ram mglisto zarysowujących się w *Marii Dunin*. Wprawdzie moja Ibsenowska surowość znikła, nie nalegam na „zaraz! natychmiast! *excelsior*<sup>274)</sup>”, stałem się liberalniejszym, a w *Trio* staję nawet po stronie postulatowców i usiłuję bronić momentu komedii. Ale za to banalną kwestię ideału i czynu, pozoru i treści, zamieniłem bodaj w części na praktyczną, drobną monetę, pokazałem tajemniczy moment klapiarstwa w życiu na drobniotkich przykładach, które każdy może przetransponować dla swego domowego użytku, wytłumaczyłem wreszcie, o ile takie klapiarstwo jest konieczną funkcją psychologiczną. Korzyść z tej nauki byłaby może większa, gdyby *Patuba* stała jeszcze bliżej praktycznego życia. No, ale trudno porzucać dawne poetyckie nałogi. Zresztą, jak doświadczenie literackie uczy, po mojej śmierci otworzy się zapewne ów drugi horyzont, o którym mówiłem na końcu *Tria*; kto tego dożyje, doczeka się idealnej *Patuby*, takiej, jaką się powinno było napisać.

<sup>274)</sup>*excelsior* (łac.) — dosł. wyższy; przen. (nakaz dążenia): w górę, wyżej. [przypis edytorski]

## SZANIEC PAŁUBY

Kiedy w sierpniu r. 1899 odczytałem pierwszy manuskrypt *Pałuby* gronu zaproszonych młodych literatów, utwór mój natrafił w większej części na niezrozumienie. Nic dziwnego: napisany był zwykłą dotychczasową metodą, ufającą w domyślność czytelnika, główna myśl poddana była tylko w trzech nowych pojęciach: „pseudozwiązków”, „symetryczności” i „bezmienniści”, a pokazana była tylko na niektórych kompleksach zdarzeń. Toteż obecny na owym posiedzeniu śp. Stanisław Brzozowski, jeden z filarów krakowskiego „Życia”, powiedział nawet, że mu się sam temat w *Pałubie* podobał, że on się nawet takiego tematu po mnie nie spodziewał, sądzi jednak, że jest tam wiele rzeczy niepotrzebnych, realistycznych, które ów temat zamęczają (lekceważenie realizmu przechodziło wówczas swe miodowe miesiące). Zaraz poznałem, że mój oponent, skoro się uskarża na zamęczenie tematu, stoi widocznie na tym samym stanowisku, co Strumiński, i wyjaśniłem, że ja właśnie to stanowisko zbijam jako fałszywe, że temat, o którym myślał Brzozowski, to tylko jedno z kółek wielkiego tematu, którym jest właśnie zachwianie wszelkiej tematyczności w ogóle. Przyznałem się jednak, że i ja początkowo brałem rzecz naiwnie, tematowo, że dopiero podczas pisania poczucie rzeczywistości przemogło, a ważność idei pseudozwiązków (pałubicznej) ujawniła mi się w całej pełni, i że następnie kazałem memu bohaterowi doświadczać nieświadomie w życiu tego, co ja sam w sposób teoretyczny przebyłem odnośnie do mego pierwotnego tematu. Bo aż do czasu *Pałuby* osobnym niejako torem szło u mnie pisanie poetycznych utworów, a osobnym obserwowanie rzeczywistości i myślenie o niej, dopiero w *Pałubie* zeszyły się z sobą oba te kierunki wyobraźni.

Po owym posiedzeniu wziąłem się do opracowania *Pałuby* na nowo, tym razem tak, żeby się stała jednolitym kryształem, który w jakimkolwiek przekroju pokazuje te same znamiona. Że fabuła *Pałuby*, urodzona li tylko w duchu ekstrawagancko — poetycznym, przeznaczona na zastraszenie „filiarów”, właściwie nie bardzo się nadawała do demonstrowania na niej tych prawd, które już od dawna gromadziłem, to poznałem za późno — gdy już pewna część owej fabuły nasiąknęła ideą pałubiczną, gdy oba imiona: Angelika i Pałuba, w brzmieniu biegunowo od siebie różne, stały mi się niemal symbolem dwóch form pojmowania rzeczywistości, gdy tedy *Pałuba* zaczęła mieć już historię, od której sympatii mojej oderwać nie mogłem. Pozostałem więc przy temacie — lecz postanowiłem przy powtórnym jego opracowaniu zastosować zupełnie nową metodę literacką, której ideał od dawna już świłał mi w głowie. Polegała ona na przeniesieniu punktu ciężkości z „arcydzieła” do warsztatu poetyckiego, więc poza dzieło, tam, gdzie tryska właściwe źródło poezji. Spodziewałem się, że przy takiej metodzie niepełna odpowiedniość tematu nawet oprocentuje się, gdyż będę miał sposobność zademonstrowania pałubizmu nie tylko na stosunku Strumińskiego do życia, ale i na warstwie literackiej mego dzieła, tj. na stosunku moim do tematu i do sposobu opracowywania go w każdym nawet ustępie. Ale zabrakło mi odwagi, sił i czasu do takiego zadania, które wymagałoby niejako prowadzenia pamiętnika literackiego, objaśniającego każdą fazę tworzenia. Zamierzałem też pierwotnie powieść moją przeciąć na dwie połowy w ten sposób, żeby na każdej stronie na górze opisywać suche fakty, a pod kreską, niejako w suterenach, zamieszczać wszelkie psychologiczne uwagi autora o tych faktach. Zaniechałem jednak tej formy, widząc, że takiej mechanicznej równoległości nie można by przeprowadzić bez naciągania już to faktów, już to objaśnień: wolałem uwagi zmieszać z tekstem i w ogóle nie krępować niczym swego wykładu.

Ale plany i programy powyżej skreślone, mimo rozbicia się, pozostawiły wszędzie swe ślady w *Pałubie*, która wskutek tego jest zlepkiem następujących warstw: 1) fakty; 2) zdania, teorie, jakie o tych faktach mają działające osoby; 3) dialektyka samych faktów, tj. różne inne możliwe sposoby pojmowania ich, których osoby działające nie uwzględniły, tudzież wnioski stąd wysnute; 4) co ja jako autor sądzę o każdym z poprzednich trzech punktów; 5) tło moich zapatrywań filozoficznych i estetycznych, bez którego nie można zrozumieć *Pałuby* tak, jak ja chcę, żeby ją rozumiano. Zarzucano mi już bowiem — lub też przeczuwam takie zarzuty, jak: że nie umiem rozwijać akcji, że nie mam pojęcia, jak się pisze powieści, nie potrafię charakteryzować osób, nie mam stylu, piszę rozwlekle i sucho, nie mam poczucia przyrody, rozmachu, zmysłu architektonicznego itp. Otóż

ponieważ myśli moje są mi naprawdę drogie i nie mam ochoty, żeby je atakowano pociskami najprymitywniejszymi, przeto wysyłam je w świat zawczasu opancerzone, a nawet w broń zaczepną zbrojne. Krytyków zaś, powołanych i niepowołanych, przestrzegam z góry, żeby zanim mnie zaczną laskawie pouczać, jak powinienem był *Patubę* napisać, wprzód zamietli własne podwórko, zbadawszy, czego im się wskutek rezultatów *Patuby* przeczuczyć wypada.

Poniżej podaję jeszcze kilka nieuwzględnionych dotąd przeze mnie lub nie dość wyraźnie wytyczonych stanowisk, z których trzeba patrzeć na moje dzieło, chcąc je należycie ocenić.

Miałem więc np. do walczenia z jedną trudnością, z którą nie załatwiano się nigdy tak sumiennie jak u mnie. Idzie o opisywanie zdarzeń i przedmiotów psychicznych. Mówi się, że jeśli N. opisuje jaką bitwę, to się ten opis czyta, jakby się tam było. Tak jest, bo to są zewnętrzne zdarzenia, które wyobraźnia odtwarza bardzo łatwo i bez pomyłki. Czytając np. słowa: „zdusił go za gardło, aż mu oczy na wierzch wylazły”, wszyscy sobie jedno i to samo wyobrażają. Tej plastyki i krótkości przy opisywaniu zjawisk  $\alpha$ ,  $\beta$ ,  $\gamma$ ... osiągnąć nie można. Po pierwsze zjawiska te rzadko kto obserwuje, albo gdy je obserwuje, to tylko w samym sobie, nie ma więc między autorem a czytelnikiem stałej umowy co do skrótów i znaków na mniej ogólnikowe spostrzeżenia psychologiczne; umowy takie potrzeba wciąż wytwarzać dopiero w toku wykładu. To zaś jest tym trudniejsze, że za każdym razem powinno się czytającemu dawać aparat, za pomocą którego on sam mógłby sprawdzić spostrzeżenia autora. Rzecz ma się tu tak jak w mechanice: każdy widzi spadanie kamienia z wysokości, ale stwierdzić, że istnieje nadto jeszcze jakieś przyśpieszenie, i obliczyć je można dopiero za pomocą specjalnej maszyny. Po drugie, trudność udzielenia czytelnikowi owych spostrzeżeń tkwi i w tym, że autor wciąż musi także staczać cichą walkę ze złą wolą czytelnika, któremu mnóstwo egoistycznych interesów nie pozwala na jasne pojmowanie samego siebie a w następstwie i na zgodzenie się z autorem. Trzecia trudność wreszcie, że materiał obserwacyjny jest tak lotny, iż autor sam musi się błąkać i mieć wrażenie, jakby dym do pudełka zamykał.

Więc nie z figłów, nie tak jak w starych powieściach Dzierzkowskiego, Kraszewskiego, Lama itd., ale z konieczności wytwarza się w *Patubie* ciągły kontakt między autorem a czytelnikiem. Ma to tę niedogodność, że autor łatwo staje się dla czytelnika niesympatycznym i aroganckim, skoro nie dowierzając jego bystrości umysłowej, sam formułuje mu rezultaty, do których zmierza. A wszakże czytelnicy nasi przyzwyczajeni są robić swoje interesy na lekturze: domyślać się, objaśniać, komentować, zgadywać te banalności, które im autor „z ich duszy wyczytał”; podwójnie więc niemiłym musi być dla nich autor, który nic z ich duszy czytać nie chce, a tylko ze swojej. Ale na to już nie poradzę.

Pomimo swych apostrof do czytelnika jest *Patuba* książką pisaną zupełnie *bez względu* na czytelnika, a *dla niego i przed nim*. Tymczasem wszystko, co się dziś u nas pisze, pomimo pozy tworzenia bezinteresownego, samotnego, pisze się przecież wciąż z tajemną myślą o czytelniku, o tym, jakie to na nim będzie sprawiało wrażenie. *Cała* terazniejsza poezja nasza obliczona jest tylko *na wrażenie*. Z naiwną otwartością przyznają to nawet jej teoretycy. Każdemu idzie o to, żeby małpując Baudelaire'a w myśl pochwał W. Hugo zrobić jakiś nowy dreszcz. Poeta wmyśla się z zapałem godnym lepszej sprawy w psychologię czytającego, dba o to, żeby go utrzymać w jednorazowym naprężeniu, walić go raz wraz młotem po głowie, oblicza głupstewka, boi się, by nie powtarzać tego samego wyrazu parę razy w jednym zdaniu, boby to raziło wewnętrzne ucho czytelnika, robi symfonię obliczoną w proporcjach, aby tylko nie wypuścić go spod chwilowego uroku — i czyżby taki poeta chciał popsuć filigranową architekturę swego dzieła apostrofami do czytelnika? Skazać „wieczność” poematu, wspominając o Daszyńskim? Wypadać z tonu na każdym kroku? Psuć iluzję temu czytelnikowi, który chce być przeniesionym w kraj zaczarowany, zawracać go co chwila z drogi, zmuszać do myślenia?

Ja jednak pogardzam z całej duszy pisaniem na *takie* wrażenie; chcę wrażenia trwałego, mocnego, a że szanuję i czczę myśli moje i staram się na serio o wpojenie ich memu czytelnikowi, więc łopatą wkładam mu je do głowy, nudzę go, to co ważniejsze dziesięć razy podkreślam, powtarzam. Mnie nie śpieszno, najdroższy czytelniku, znudzisz się dziś, to dokończ jutro, pozajutro, zrozumiesz mnie za miesiąc, może za rok, a moja metoda myślenia o zjawiskach psychicznych tak ci w krew wsiąknie, poza twoją świadomością, że

odłożywszy *Patubę* na bok, zaczniesz po pewnym przeciągu czasu wymyślać jej rezultaty jako twoje własne, oryginalne — o, bo to się często zdarza — i to będzie moim tryumfem. Formalnie poeci niby to nie dbają o czytelnika, a przecież treściowo są wciąż odeń zależni, bo poemat ich wtedy dopiero jest poematem, wtedy dopiero osiąga swe przeznaczenie, gdy przejdzie przez głowę czytelnika — jaką głowę! Jaką głowę! Ja zaś nie troszczę się o miny, wygody i kaprysy czytającego, nie gram na „strunach jego duszy”, lecz urządzam mu wykłady o *Patubie*, tej, która gdzieś tam napisana całkiem inaczej spoczywa w mojej głowie, a wykładam mu jak profesor, który część prelekcji mówi głośno i przystępnie, a drugą część, o której wątpi, czy ją kto zrozumie, mówi obrócony do ściany, czasem mruczając pod nosem.

Dlatego warami od *Patuby*! Nie mierzyć jej na łokcie! A przede wszystkim pamiętać, że wyliczając, w czym ona się różni od innych utworów, jeszcze się jej nie gani! I że ta połowa, która jest zrozumiałą, nie byłaby taką, gdyby nie druga połowa, pisana przez autora przeważnie dla siebie samego.

\*

Jeszcze o wrażeniu. Jednym ze zwykłych warunków wrażenia — czyli „wzruszenia estetycznego” — jest, o ile mi się widzi, potrącenie o jakiś stan duchowy, któregośmi się dobrze wyuczili, który nam w krew przeszedł, w ogóle o jakąś reminiscencję. Możemy to stwierdzić na sobie: kiedy np. pogrążeni jesteśmy w rozpacz, płacz powstaje w nas zwykle dopiero w chwili, gdy nas nawiedzi myśl: „jakiś ty biedny!”, tj. wyobrażenie siebie jako nieszczęśliwej osoby, albo gdy nas kto pociesza — z czego by nawet wnosić należało, że płacz często jest już aktorstwem uczucia. Wzruszenie ogarnia nas łatwo, gdy słuchamy lichych dramatów, np. bomb patriotycznych, które trącają w nas doskonale wyćwiczone struny. Proszę też każdego, który te słowa czyta, by sobie o ile możliwości przypomniał, kiedy to ogarniało go wzruszenie przy czytaniu jakiejś książki, czy nie często w miejscach najgłupszych, których poziom umysłowy dawno już porzuciliśmy, w ustępach sentymentalnych, uroczystrych itp., o których by nam wstyd było mówić? Na IV akcie *Dzwonu zatopionego* jestem wzruszony, słuchając bicia dzwonu, bo to wzbudza we mnie tysiące reminiscencji — bardzo głupich. A jaką rolę w takich wzruszeniach „artystycznych” gra egoizm! Wiersze, które niegdyś umiało się na pamięć, czyta się i dziś ze ściśnięciem serca, wielu uważa *Fausta* dlatego za najpiękniejszą operę, bo nie poznało innej w młodości, a *Króla Duchy* czci dlatego, bo daje im szerokie pole do popisów filologicznych. Ilekroć tedy „twórcę”, w chwili gdy pisze, ogarnia wzruszenie (natchnienie), szal twórczy, poczucie rozmachu, muzyka sfer, tylekroć może on być pewnym, że jest w pobliżu jakiejś banalności, jakiegoś wyuczonego stanu nieokreślonych reminiscencji, które po kryjomu dopraszają się życia. Wiem to z własnej praktyki, chociaż zwykle trudno dojść do rdzenia takiego stanu. „Najpiękniejsze ustępy” w *Patubie* opierają się w ostatniej instancji na banalności, a jeżeli ją zakrywają, to tym gorzej — urok leży w zakrywaniu, w sekrecie.

Wrażenie, dreszcz nigdy nie może być probierzem wartości dzieła. Autor nie powinien by mieć ani jednej skrytki przed czytelnikiem, ani jednego sidła, w które by go chwycił podstępnie. Z zakulisową techniką poetycką trzeba stanowczo zerwać.

Czyżby szło o czytelnika? Nie, tylko o autora, bo tylko wtedy, gdy między tymi oboma biegunami nastąpi straszne braterstwo szczerości, tylko wtedy możemy oczekiwać wielkich rzeczy w poezji. W poezji?

\*

Jednym z rezultatów *Patuby* jest właśnie rozbrat z poezją jako z postulatem. Zdawałby się on zbyt czynnym wobec perypetii, które poezja u nas od kilku lat przechodzi. Najprzód przywieziono z Francji aforyzm Verlaine’a: „To a to jest poezją, a wszystko inne to literatura”. Teraz, Wyspiański w *Wyzwoleniu* przelicytował Verlaine’a, wołając: „precz z poezją!”. Zrobił jednak z tego temat, wyzyskując do celów poetyckich nastroj paradoksalny takiego postawienia sprawy (na sposób tzw. „*Überwindungen*”<sup>275</sup>), praktykowanych przez

<sup>275</sup> *Überwindung* (niem.) — przezwyciężenie. [przypis edytorski]



Nietzschego). W pierwszym wypadku rzecz przeprowadziła się tylko z jednego słowa do drugiego, a nawet owszem wyśrubowano poezję jeszcze wyżej niż dawniej, w drugim przeciwstawiono poezji działanie, stwierdzając zresztą jej władzę bez pytania o legitymację tej władzy<sup>276</sup>. Poezja jako postulat pozostała na tym samym miejscu, co się okazuje choćby z tego, co się pisze o *Wyzwoleniu*. W obu wypadkach powtórzył się na małą skalę w dziedzinie ducha ten proceder, co z protestantyzmem, którego rzekoma liberalność stała się źródłem nowych błędów. Powszechne dotychczasowe przesady o poezji panują dalej, a streszczają się one w następującym tchórzliwie-ogólnikowym zdaniu, które słyszałem z ust pewnego bardzo wybitnego poety: „Wszystko mi jedno, co kto napisze, byle to była poezja”. A więc wszystko jedno: *Biblia* czy Nietzsche, Zola czy Sienkiewicz, Ibsen czy Japończyk, króciutki aforyzm Maeterlincka<sup>277</sup> czy trzytomowe dzieło Dostojewskiego — byle tam była poezja. Zachowanie się przeciętnego czytelnika wobec utworów literackich jest teraz zwykle takie, że wyczuwa on, ile tam jest poezji lub Poezji. Choćby więc nawet miał przed sobą utwór o takich orientacjach, które mu się wydają prymitywnymi lub z którymi się nie zgadza, mimo to uważa sobie ów czytelnik za obowiązek powiedzieć, że tam jest poezja, i już się z książką załatwił. Na czym ta poezja polega, to określać wielu by sobie nawet za ujmę uważało, każdy powołuje się na swoje uczucie. Ponieważ zaś w istocie jakiegoś specjalnego organu dla wyczuwania tzw. poezji nie ma, przeto całe to tajemnicze wyczuwanie jest właściwie tylko nieświadomym lub zamaskowanym przykładaniem wszelkich oklepanych, wysłużonych już kryteriów literackich do danego utworu; przy czym zazwyczaj rozstrzyga to wrażenie, które jest w ogólnym psychicznym wrażeniu częścią niejako najbardziej fizyczną: np. melodia wiersza, urok tajemniczości, podejrzenie o głębokość, wszystko to, co wyzyskuje pewnego rodzaju nieodporność mózgu, ale samo w sobie jest płytkie (proste!). Analogicznie i twórca komponuje swe utwory tylko salonową częścią swej duszy, a nie przy pomocy swych ostatnich sądów, rzeźbi w literacko-historiozoficzno-biblijno-filologiczno-symbolicznym *volapiku*<sup>278,279</sup>, a nie w materiale rzeczywistości. Dlatego np. utwory tego Przybyszewskiego, który najwięcej u nas kolportował przytoczony już aforyzm Verlaine’a, są także przesiąknięte „literaturą”.

Gdy taki wyczuwacz przeczyta np. *Patubę*, nie spyta się: czego autor chce? Czy ma rację, czy nie? Czy trzeba się do niego zastosować? Czy trzeba skorzystać dla siebie z tego kośca psychologicznego, który rozgałęzia się w *Patubie*? Nie! On spyta tylko: a ile tam kilogramów poezji<sup>280</sup>? Wielkiej poezji? I po skonstatowaniu, ile jej jest, i skonsumowaniu jej, pójdzie spokojnie dalej. Bo Poezja nie obowiązuje, nie maści nikomu sumienia, nie napada na drodze, nie wdziera się w niczyje intelektualne świętości, nie zmusza do przeuczania i przeznaczania się.

<sup>276</sup>Wyspiański w *Wyzwoleniu* przeliczył Verlaine’a (...) przeciwstawiono poezji działanie — pierwiastek publiczny chciał, że Wyspiański puścił przedź ode mnie w świat myśl na pozór podobną do jednej z tych, jakie się od dawna przygotowywały w mej pracowni, i popsuł mi tym sposobem świeżość i symetryczność oddziaływania na czytelników. Równocześnie powstał dla mnie ten punkt wstydlivy, że jako autorowi nieznanemu nie wypadła mi „przypinać latki” pisarzowi tak sławnemu jak Wyspiański, choćby dlatego, żeby się nie narazić na zarzut zazdrości. Sprawa jednak stanęła u nas w tym stadium, że absolutnie tej osobistości pominąć nie mogę. Wiem, że dorywcze załatwianie się tak z Wyspiańskim jak i z innymi naszymi autorami pociągnęło za sobą pewne jednostronności (w myśl [z rozdziału XIX: „wykazywanie teorii na przykładach odbywa się zwykle przy pomocy szachrajstw i jest właściwie niemożliwe, (...) ponieważ każda teoria jest tylko przybliżeniem, więc w ostatecznej instancji poezją, wieżyczką”; red. WL]), ale nie robilbym tego, gdybym nie miał nadziei z każdym z nich kiedyś obszerniej się rozprawić. [przypis autorski]

<sup>277</sup>aforyzm Maeterlincka — Przybyszewski, a za nim Zbierzchowski uważają *refrain* Maeterlincka: *Et la tristesse de tout cela, o mon âme, et la tristesse de tout cela...* za szczyt poezji, a ja za szczyt banalności. [przypis autorski]

<sup>278</sup>twórca (...) rzeźbi w literacko-historiozoficzno-biblijno-filologiczno-symbolicznym *volapiku* — tworzy się np. nowego Don Juana, nowego Fausta (Twardowskiego), Konrada, Chrystusa, a pewien krytyk domaga się nawet polskiego diabła. Znam też jednego pełnego nadziei poetę, który chciał w swoim poemacie urządzić *rendez-vous* Don Quichota, Don Juana i... Hioba. [przypis autorski]

<sup>279</sup>*volapük* a. *wolapik* — sztuczny język opracowany w 1879 r. przez Johanna Martina Schleyera w oparciu o łacinę, niemiecki, francuski i angielski (poprzednik esperanto); jego nazwa w tymże języku oznacza: „język ogólnoswiatowy”. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>Nie! On spyta tylko: a ile tam kilogramów poezji? (...) — to pytanie jest jednak poniekąd uzasadnione ([rozdział XIII „tu trzeba muskułów w mózgu, aby podnieść olbrzymi ciężar. I ja wyprężam mięśnie, popisuję się i podnoszę ciężary — może puste, fałszywe? Kto wie?”]), ale chodzi o to, że owo wytężenie mierzy się miarą pracy wziętej na serio, pracy tuż przy ziemi, a nie zaznaczonej symbolicznie. Nasi poeci posługują się wciąż banknotami, przekazami, a nie gotówką; np. mówi się o wielkich myślach, czynach, lotach, tajemnicach, ale nigdy się ich nie pokazuje, nie specjalizuje. Jest to twórczość trzymająca się tylko życia następczego; np. *Sny Marii Dunin*. [przypis autorski]

To wszystko pochodzi stąd, że ludzie nie zdają sobie sprawy, iż poezja jest nie czymś jednolitym, ale naczyniem na różne treści, prowizoryczną, pomocniczą jedynie formułą dla pewnych dążeń ludzkich. Jest to znany objaw hipostazowania, guz rozrośnięty wskutek tradycji do rozmiarów fikcji, której strzegą próżność i próżniactwo. Rozwiązując ten guz, wyzwala się związane w słowie „poezja” dążenia ludzkie, uruchomia się cały kompleks. Gasztold, zahipnotyzowany dotychczas jak widmem potrzebą utrafienia w tajemniczy a odwieczny rytm poezji, może teraz pisać, co i jak mu się podoba, mścić się na prawo i na lewo, tęsknić, marzyć, filozofować, bredzić — bo żaden bóg Poezji nie potępi go na sądzie ostatecznym, żadna idea nie poniesie uszczerbku.

A więc na pozór po zmierzchu Poezji zapanowałaby wśród rozproszonych dążeń ludzkich największa anarchia i dowolność — a tu dopiero co powiedziałeś, że fikcji tej strzeże próżność i próżniactwo? Jakże to z sobą pogodzić?

Bo dopiero największa wolność, najwyższe lekceważenie wszelkich praw boskich i ludzkich w poezji — te dopiero obowiązują. Linie dążeń ludzkich, przeszedłszy przez guz, rozbiegają się w nieskończoność. Zamiast „miary artystycznej” szal bezmiaru. Z początku na tarczy myśli pojawia się mały temacik, rozszerza się, wypełnia. Wytężam wzrok, by w całości ujrzeć tę wizję, i ze wzroku mego płynie to, co ją powiększa. Nie czuję nad sobą żadnej kontroli ani idei, ani czytelników, zapuszczam się w kruźganki, tracę ślad własny, robię, robię poemat — biję się z tysiącami trudności, wreszcie przegrywam walkę, tragedia pisana zamienia się na tragedię twórcy. Dlaczego to wszystko robię? I plama na tarczy myśli rozszerza się, badam swoje życie, swoje wiedzenia, swoje zamiary, dochodzę aż tam, gdzie się zaczyna bezmyślność myśli, gdzie eleacki Achilles nie może uchwycić za ogon uciekającego zółwia, aż do głupoty. Poezja rozłożona na składniki staje się myśleniem *kat'egzochen*, całym sobą (Gross).

Ale próżniactwo chce mieć miarę, takt, rytm, ideę nieokreśloną, ale nie bezkresną: poezję. W obrębie tej to poezji może się próżność sownie obłowić, stwarzając iluzję spełniania czegoś tam. Bo my piszący jesteśmy tylko o tyle poetami, o ile jesteśmy nieukami i oszustami — nieprawdaż?

A teraz gdy się wie, jaką *Patuba* nie jest, pojmie się też, czym ona jest: jest ona monstualną ruiną — a i to tylko stylizowaną. Czy tak, jak ją, powinno się pisać każde dzieło? Czy to jest program poezji, poezji przyszłości? I znów mamy błędne koło. Wszakże program *Patuby* dotyczy tylko jej samej, znika razem z nią. W każdym dziele autor na nowo bierze rozmach i na nowo stosunkuje się do kwestii „poezji” (Gross), dzieło jest tylko śladem tego stosunkowania się.

Atoli przecież powiedziałem, że poezja jest inżynierią rzeczywistych zamków na lodzie i mostów błękitnych między ludźmi. Takich definicji „poezji” można zrobić 50, a zaraz zdradzę ich sekret. Jeżeli się samemu coś chce w piśmiennictwie zdziałać, jeśli się czuje lub wmawia w siebie zdolności w pewnym kierunku i pragnie się narzucić tę dążność innym, aby ich zaprząć do swego pługą, wówczas z emfazą oznajmia się publiczności, że tego a tego — żądam nie ja, ale poezja. Naprawdę zaś rzecz ma się tak, że oto biorę jedno z tych włókien, które było związane nazwą „poezja”, i naokoło niego myślę skryzalizować wszystko, co mnie zajmuje. Psychologia praktyczna, kultura szczerości, spisanie inwentarza wszystkich trudności psychicznych, wzbogacenie życia wewnętrznego, eksploatawanie całej duszy, badanie wszystkich duchowych możliwości, potakiwań i zaprzeczeń — ale o takim programie nie można mówić bez ociągania się, bo natychmiast budzi się w duszy poczucie blagi. Mógłby ktoś jednak powiedzieć pięknie i okrągło, że oto zamordowawszy Poezję, wskrzeszam ją pod innym nazwiskiem, że Poezja jest jak feniks, który odradza się w popiele, nawet że Poezja jest zaprzeczeniem poezji, że ona najwspanialsza jest wtedy, gdy popełnia samobójstwo — itd., bez końca, bo to jest już samoródtwo słów. Kto chce, może sobie z pietyzmu, na pamiątkę, wciąż używać nazwy „poezja” w różnych niuansach tego pojęcia, kto chce być wolnym od jego szykan, niech określa każdy śmiały swój lot w podbiegunowe krainy ducha nazwą zaczerpniętą z ust czarownic Makbetowskich: bezimienne dzieło!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/irzykowski-paluba>

Tekst opracowany na podstawie: Karol Irzykowski, Pałuba. Studium biograficzne, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976; Karol Irzykowski, Pałuba, Sny Marii Dunin, Spółdzielnia Wydawnicza "Wiedza", Warszawa 1948.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Andrzeja Pająka z egzemplarza pochodzącego z jego zbiorów prywatnych.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Bucka, Małgorzata Klimczuk, Paulina Chorońska, Regina Bogacz.

ISBN 978-83-288-0315-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.